

Zofia Kossak
Krzyżowcy

Tom pierwszy
Bóg tak chce!

Rozdział pierwszy

W KTÓRYM CZYTELNIK POZNAJE DOBRYCH RYCERZY ŚLĄSKICH

Rycerz Witosław Strzegonia, ostatni z jadących, obrócił się jeszcze raz ku klasztorowi.

— Ostańcie z Jezu Krystem! — zawołał.

— Jezus Krystus, Pan nasz, z wami! — odkrzyknął stojący w bramie przeor dodając półgłosem:

— A zmylże im drogę, miły Panie Jezu! Nie ostaw krzywdy bez pomsty!...

Własnoręcznie, nie czekając na brata furtiana, zawarł zam-czystą bronę i stanął przy częstokole chmurnie patrząc w las, gdzie cichł tętent kopyt. Sandały zaklekotały tuż za nim. Nie odwracając głowy przeor słuchał żałośliwego wyliczenia brata cellerariusza, czyli szafarza.

— ...Chleb wszystek, jaki jeno był... trzy skopy... słoninę cała... cztery kopy jajców, jeden podświnek, sera dobrego kadkę, krup mieszek.

— Utropa! Chęsa zbójecka! — stęknął gniewnie przeor.

— Miodu beczułkę, piwa dwie kadzie, owsa dziesięć miar, siana pół brogu... — ciągnął szafarz głosem jednostajnym.

— Nie trzeba było tyle dawać... — mruknął przełożony.

— Starali się, ojcze wielebny, starali... Daremnie... Pacholki okrutnie były zgłodzone, konie też...

— Wielmoże takż nażreć się nie mogły — przyznał przeor. — Święty Lambercie, patronie nasz! Na cztery niedziele starczyłoby tego jadła, co w jeden dzień zećpane...

— Na pięć albo i sześć — sprostował z goryczą brat cellerariusz, wsuwając chude dłonie w luźne rękawy burego habitu.

— A nie wygadał się żaden pachol, skąd jechali? — zagadnął przeor poufnie.

Brat szafarz spojrział nań bystro, uśmiechając się półgębkiem.

— To nie wiecie jeszcze nic, ojcze wielebny?

— Nic nie wiem... Gadaj, a żywo... Pytałem nobilów, ale one sowę zadawszy żarły ilko, nic nie powiadając...

Pacholę też widno miały przykazane, żeby niczego nie gadać, alem jednego do infirmerii wziął i krzynę spoił... Coc rzekł? — niecierpliwił się przeor.

— Od Kruszwicy gnają, ani popasają... Bitwa tam była, sroga pono...

— Święty Lambercie! Pomorzany aż pod Kruszwice podeszły?

— Kamo Pomorzany! Z księciem się były...

— Z księciem?...

— Ano. Z Włodzisławem. Zbygniewa wywiodły z Saksonii i na stolec chciały sadzać, jeno Sieciechowie ich rozbiły...

— Na rany Boskie! Nowa zamieć się zaczyna!? Srogie to wieści, bracie szafarzu... Nie łążeli ów pacholek?...

— Bogać tam... Prawie gadał...

Przeor patrzył tępo w ziemię. Naraz krzyknął jak olśnięty:

— Toć trzeba było sprzysiężników całe za furtę nie puszczać! Jeść nie dawać!

— Iście, by kto raniej wiedział...

— Nie puszczać! Bramy nie ozwierać! Babilony, Achaby wszeteczne! Nie objadłyby nas, chudziaków, a tu jeszcze i od księcia monitum usłyszeć mozem...

— A opata jak na nieszczęście nie ma... Oj, będzie nam, będzie...

Nie odpowiadając przeor przemierzał szybkim krokiem niewielki dziedziniec. Wrzał z wewnętrznej pasji tym dotkliwszej, że nie miał jej na kim wyładować. Któż tu był winien? Chyba patron klasztoru, święty Lambert, któren swoje wierne sługi zaniedbał w porę ostrzec, O nowej wojnie wewnętrznej nikt jeszcze w puszczy nie wiedział. Co najprzedniejsze śląskie nobile podjechały kupą pod bramę wołając, by skoro otwierać. Na ich czele Ostój, zawołania Sarykoń, mianowany łoni przez księcia opiekunem i obrońcą konwentu. Jakoż było przed nim bramy nie otworzyć? Jadła i spyży odmówić? A toć by klasztor na mieczach roznieśli...

...Któż mógł wiedzieć, któż mógł wiedzieć?...

W bezsilnym gniewie przeor pogroził pięścią ciemnej ścianie boru, gdzie przed chwilą znikli jeźdźcy. Och, jakże nienawidził tych nobilów, wiecznie niespokojnych, którzy rnało sobie ważyć słowa wielkiego papieża Grzegorza VII, że władza ziemska, książęca, królewska jest mdłym miesiącem, a duchowna, biskupia, opacka — słońcem, zuchwale przeczyli temu, ziemskiej władzy przypisując cały blask i moc, wierząc przeciw ościeniowi i jawnie wzdychając za królem Bolkiem, mężobójcą, biskupowym zgładzcą. Ot, teraz, gdy król pomarł, pomarł jego sierota, Mieszko, a Włodzisław piękną .kamienną katedrę jął na Wawelu budować, zdało się, że będzie już spokój... Próżno cieszysz się, mizerny człeczce... Wyciągli ninie bękartą Zbygniewa!

Byłli Zbygniew — urodzony z Prawdzicówny, nie kościelnym wprawdzie, lecz prawnym, rodowym ślubem związanej z Wodzisławem • — bękartem czy nie, tego przeor nie był pewien. Jedno natomiast nie ulegało wątpliwości: że nowe boje sprowadzą nowe zniszczenie zbiorów, nowe wyludnienie siól, z trudem osadzonych po straszliwych latach: trzydziestym dziewiątym, czterdziestym... Nowe zaprzepaszczenie owoców zakonnej zabiegliwości i pracy.

•...A nasze skopy i podświnka zzarty jak na stypę po nas... — pomyślał. Żal i gniew zdjęły go takie, że nie bacząc na obecność brata cellerariusza wyciągnął pięść:

— Bodaj was ziemia pochłoneła, przeklętniki! — zakrzyknął — bodajście nigdy doma nie wrócili! Ci zasie, których przeklinał, ciągnęli jeden za drugim wąską leśną drożyną niechawszy szerokiego gościńca. Czy była owa drożyna wydeptana przez bartników, smolarzy, zbieraczy czerwiu lub po pro.stu wygnieciona przez zdążające do wodopoju zubry i dziki — nie dbali. Wiodła ich na południe, ku ziemi śląskiej, jak trzeba. Lipiec był suchy, gorący, podmokłe leśne niziny podeschły jak grądy i konie zaledwie lgnęły, gdzie w innej porze nie przeszedłbyś cało. Drąc się przez chaszczę, wspinając na wzgórza wonne macierzanką, pozłociste rozchodnikiem, kryjąc się po pas, po uszy końskie w paprociach, brodząc przez miałkie, rozlane szeroko jeziora, w których rosły krzewy i drzewa — płoszyli fukające stada dzików i brodate byki zubrce, pasące się pojedynczo na polanach. Grzmocąc nielitościwie boki końskie długimi na piędź ostrogami, gnali ku swoim stronom w niemylnym poczuciu, że tam dopiero, na własnej rodzonej ziemi, przyjdzie im zdrowy osąd i mądry namysł, co czynić dalej po klęsce. Rozumiejąc, że owo odzyskanie, pozostawionych w ojcowiznie, namysłu i rozważki ważniejsze jest ponad wszystko, zdążali borem na przełaj, nie dbając a gr;oi;iz,y i zasadzki puszczy.

Cóż stąd, że z rozwidlenia konarów łypie na jadących ryś ślepiem zielonym, a z dziupla drzewnego leśny dziad, lichy od rysia złośliwsze — czerwonym? Nie nakładali drogi, by ominąć jak najdalej zamieszkiwane przez wiły i utopce bagniska, gdzie pod zdradną zielenią, czarującymi kępami, kwitnącymi wabnym zieleń, chlupotało czarne bajoro, barzyna bez dna. Rosły tam wielkie olchy o krwawoczerwonych korzeniach, rozpartych, wykraczonych, trzymających się kurczowo chwiejnego podglebia. W przedwcześnie wygniłych kałużach pni, wyżartych jałowością gruntu, próchno świeciło sino o zmroku. Dziupła te i próchnielizny, wysięki gnilne, wykupy ustrojone stopniami grzybów drzewnych, hub wielkich jak pół tarczy, były ulubionym siedziskiem duchów borowych, borutów i rokitów, dziadów leśnych i mamunów. Lecz rycerze nie dbali dziś o to zgoła, patrząc jeno, by koń, z twardszego obrzeża zesunawszy, w bagno się nie zapadł.

Jechali w głuchym milczeniu, nie odzywając się do siebie ani słowem. Gadatliwość nigdy nie przystoi wojom, a cóż dopiero po .przegranej bitwie! O czym by zresztą gadać mieli? Użalać się daremnie na Zbygniewa, którego dziedzicem chcieli uczynić, do praw przywrócić, a kóten w rozstrzygającej chwili odstąpił ich i ojcu się poddał, pociągając za sobą połowę stronników? Sami byli winni, iż nie przewidzieli, że niedowarzony otrok, to zuchwały, to zbyt korny, każdego doradcy słuchający, tak a nie inaczej postąpi.

Skute w zawziętym milczeniu szczęki, ucieczka spieszna ponad potrzebę i miarę, nie były wyłącznie skutkiem krusz-wickiej porażki. Głębszą, choć nie uświadomioną, jej przyczynę stanowił duszny niepokój, dręczący całe szlachtetne rycerstwo, wewnętrzna rozterka, wywodząca się z uczucia poniżenia i upadku. Zbyt świeżo każdy z tych primores no-biles, komesów i kasztelanów nosił w pamięci czasy królewskiej potęgi, gdy od stu lat zaledwie chrześcijańska Polska stała między najprzedniejszymi władztwami świata jako klucz polityki europejskiej, jako cenny sojusznik, przez cesarza i papieża wzajemnie sobie wrywany.

Hej, czasy to były, czasy! Ojciec święty raz za razem posłów słał, tytułując w listach Bolka Szczodrego ukochanym synem i Ekscelejncją, który to zaszczyt przysługiwał dotąd tylko basileusowi i

cesarzowi. Króla francuskiego bowiem zwano Eminencją, zaś czeskiego, węgierskiego i angielskiego Magnificencją. We dwóch, Grzegorz z Bolesławem, osaczali Henryka IV jak odyńca w kniei. Gdy pokonany, bosymi stopami ziąbł w śniegu pod bramą Kanosy, piętnastu biskupów polskich, saskich, węgierskich i włoskich koronowało Bolesława w Katedrze Gnieźnieńskiej, nowo po napadzie czeskim zbudowanej. Bolkowa siostrzenica Elżbieta, za Haralda wydana, siedziała na stolcu norweskim, w dalekiej, zimnej dziedzinie. Siostra Storrada królowała Dunii, królewicz węgierski, Władysław, w krakowskim dworcu się chował i przez polskie drużyny na tron węgierski wprowadzony został. W nieznaney zgoła Anglii bardowie śpiewali pieśni o mężnych i nie spoczywających nigdy wojach polskich, w puszczech wiślańskich siedzących. Kniaziów ruskich, władcy nieprzemierzonych obszarów, król polski suwał to tu, to tam, według swojej woli, za każdą wyprawą na wschód skarby przywożąc niezmierne. Prócz skarbów przywozili woje z królem chodzący rozrost wewnętrzny, radość z poznania, że świat poza rodzimą puszcza i nowiną jest tak nieskończenie wielki, nieskończenie różnorodny, budzący namiętność, by go przemierzyć, zgryźć, zrozumieć, zgarnąć. Gdy powracali w swoje tyny i grodziszczą, otoczone częstokołem biejącym czaszkami końskimi, nie mogli myśleć już o niczym innym, jak o tych doznaniach. Rozpamiętywali owo wielorakie, różnobarwne życie, moszcząc je w sobie, żując, trawiąc, aż uderzało do głowy jak miód, tryskało tęsknotą za nowym królewskim wezwaniem.

A oto w mało wiele lat zmieniło się wszystko, przepało.

Czyją winą? Złego losu, a także ich własną. Nie gadali o tym, lecz każdy na wnętrzu truł się z dawna poczuciem odpowiedzialności za zło, co się stało. Jakże zwolili króla wyżenąć z Krakowa? Nie poszli za nim na Węgry? Nie ustrzegli od Włodzisławowych zbójów, co czujniejsi od nich potrafili dopaść Bolka samotrzeć na łowach? Jakże potem nie upilnowali Mieszka sieroty? Wiadomo było, że babka Dobroniega, z basileusów rodu, Bolkowa macierz, stara, dostojna pani rządząca dworcem krakowskim, póki żyje — ustrzeże ukochane nad wszystko pacholę. Powiadano, że każdego jądła przed nim próbowała, sypiała w jednej komnacie. Lecz gdy zamknęła sędziwe oczy, jakże oni, królewscy woje, mogli być ślepi do tyła, by królewicza, świętą krew pomazańca, ostawić na Włodzisławowym dworze? Nie minęły dwa miesiące, a jużci go struto.

Gdyby ów kólewicz nieopłakany, sokół bystry, nad wszelki zmysł mądry, piękny, rycerski, w każdym calu na włada-cza naznaczony, żył i stał pomiędzy nimi, nie szczelaby polska sława, nie uciekaliby teraz lasami, wadołami... Ej, Dolo!

W rozdrażnieniu ustawicznym, w jakim trwali, jątrząc w sobie te wspomnienia, nieważki powód wystarczył, by zamieć podnieśli. Zgorlili się, że o księżnej królowej Judycie (choć Włodzisław z dobrawoli korony się zrzekł, ona tytuł królowej nosiła jako wdowa po węgierskim Salomonie) szpetnie gadają, że się z Sieciechem pokłada. Niedawne czasy, jak z rozkazania królewskiego cudzołożnicom szczenięta do piersi, przystawiano, a tu księżna jawnie tak sobie poczyna i mąż się tym nie żadzi. To znów o umknięciu Zbygniewowi praw. Skoro go mienili bękartem, to znaczy, że mać jego, cna niewiasta z dobrego rodu Prawdziców, była nałożnicą? O taką hańbę poczuły się do wróżby, pomsty rodowej., Praw-dzice z Magnusem, kasztelanem wrocławskim, na czele. Do Prawdziców dołączyły się Starze, Starekonie, Awdańce, Wilki Rogale, Zawory i inne, aż ruch ogarnął całe rycerstwo śląskie razem z małopolskim.

Co najprzedniejsze rycerstwo. Bo prawdę rzekłszy, większość kraju nie podzielała ich zdania. Biskupi i zakonniki wołały uległego, pobożnego Włodzisława, przez palce patrząc na to, co czyni królowa. Również ubożsi rycerze włodycy, scartabelle, . czyli ścierciały, zwani też miles unius scuti, chudziaki, co musiały iść na każde zwołanie wojenne, by przywileju wojaka nie stracić, nie posiadając ni konia, ni zbroi, zaciągały się z konieczności w poczet którego z wielmożów. Tam, choćby cudów męstwa dokazywał, nie wzbogacił się chudzina, bo wszystką zdobycz zabierał wielmoża. Nie pragnęli powrotu królestwa osadnicy, zwani hospes, łazeki karczujący łązy-wypaleniska po lesie, narocznicy dostarczający pod gardłem dla dworu wielkich ciężarów w postaci żywności, sprzętu, odsypu i zbiorów. Nie snił się po nocach hyr sławy ubogim smerdom, czyli śmiertelnym (od słowa smrt — śmierć) — tak nazwanym, że nie posiadali prawa nic zostawić dzieciom, uczynić żadnego zapisu ni ostatniej woli. Tedy w społeczeństwie, w którym *ojcowizna* była podstawą ustroju, mieniono ich pogardliwie śmiertelnymi, A cóż dopiero mówić o jeszcze nędzniejszej biedocie puszczańskiej, niewolnikach z jeńców wojennych, zbieraczach manny, zbieraczach czerwiu, smolarzach? Na ich chudych ramionach, lichą szmatą przyodzianych, ciężył najmocniej gniot wielkiego państwa. Innym radość bojowa i bogate łupy, dla nich ustawna praca, naroki, daniny, dniówki, ciężki przymus nie folgujący ni w budny

dzień, ni świąteczny, ni w dzień, ni w noc. Im szerzej rozrastały się zręby państwowe, im wyższe rosły kamienne kościoły, liczniejsze klasztory i grody, tym ciężiej dla robów ubogich, gliniastą nowinę pazurami z korzeni wydzierających. Że pod tym uciskiem czuli się jako jeniec imaniec, żywcem pod węgiel domu wznoszonego „na szczęście” zakopywany.

A że przedziady ich pamiętały dawną, pradawną plemienną pogańską swobodę, gdy innych ciężarów nie znano kromia ofiary dla żerca — przeto długie lata snuło im się w głowie, by tę swobodę przywrócić. Sądziło, że starczy przegnać króla i wielmożów, by wróciło życie błogie, bezgrzeszne, pracowite i pogodne jak życie bobra lub pszczoły.

Lecz gdy chwycili za broń w strasliwym buncie czterdziestego roku, snadno ujrzeni, że owe czasy szczęśliwe pierzchły ze świata jak stare bogi i że nic ich nie przywoła. Byle się gibbonął młody zrab państwa polskiego, wnet wkraczał w bezpieczną dziedzinę ciężkostopy sąsiad, nakładając jarzmo nierównie gorsze od iga własnych gospodzinów, Snadź tak już musiało być po wieki wieków..

Tych ludzi niewolnych wiele mogła obchodzić korona i spanie albo niespanie Sieciecha z Włodzisławową żonką! I tęsknoty mocnych drużynowych wojów! Owszem, radzi byli zmianie. Płocki dwór książęcy zużywał znacznie mniej niżli poprzedni "królewski skotu, miodu, piwa, placków, podwód i dni roboczych. Jasne przeto, że był lepszy.

Zaś wielmoże żądni sławy, czując swe odosobnienie, żywili tym większą pogardę i niechęć do plebsu, uważając go za mierzwę, bydło nieczułe i głupie. Coś tam księża prawili wprawdzie półgębkiem, jakoby ten plebs miał duszę urodzonym, czyli należącym, do rodu, równą, żaden rycerz jednak nie wierzył w to ani chwili.

W każdym uderzeniu pięści, z błahego powodu albo i bez powodu spadającej na barki nie dość skorego pachotka, przebijająca się owa złość wzgardliwa do wszystkiego, co gołoszyję, krótko na znak poddaństwa strzyżone, nieurodzone, służebne...

Jadący kupą w pięćdziesiąt koni rycerze (drugie tyle albo więcej sług konno lub pieszo nadążało za panami) — skroś puszczy śląskiej przedzierający się ku Wrocławiu — należeli wszyscy do owych wielmożów, primores nobiles, których pychę darmo karcił wielki papież Grzegorz VII. Ciężkie, proste strużyny włosów nosili przycięte równo z barkami. U każdego na szyi błyszczał wyróżniający czestnika od zwykłych wojów złoty łańcuch, z bujającą się na nim mizerykordią, kosztowną jak klejnot i śmiertelną jak gadzina. Twarze mieli wielkie, twarde, niby rzezane w drzewie lub kute -w kamieniu. Niektórzy spomiędzy nich nie podlegali zgoła sądom książęcym czy królewskim, własnym swoim rodowym rządząc się prawem, w które nikt im nie zazierał.

Takimi byli Starekonie, wywodzący się wprost od kapłanów żerców, chowających niegdyś święte ogiery dla wieszczby, w gaju krakowskiego zwierzyńca. Takimi byli Starze i Oławy, że to za Mieszka I przyszli z wojów obcych, przez Bolesława czeskiego na pomoc przeciw Wichmanowi przysłanych. Przynieśli do Polski pierwsze nie znane tu ranie] pancerze, nowe sposoby walki, a książę dał im się osiedlić na własnym ich prawie. Takimi byli Strzegonie, a to z przyczyny tajemnego zdarzenia, co legło u początków rodu, zdarzenia, o którym wiedział tylko najstarszy z tej krwi, przekazujący wiadomość naślednikowi, Nogodzice, Zawory i inni. Niektórzy, jak Jaszczoldy, prawili o sobie, że przedziady ich przyjechały kiedyś dawno, pradawno morzem zwałnionym, na wielkich korabiach, które ciągli w górę Odry, aż do tych ot leśnych dziedzin, gdzie ostali, bo im korabie spalono. Czy jednak istotnie tak było, nie wiedzieli na pewno ani oni, ani nikt.

Trzej bracia Strzegonie jechali na końcu gromady, ścieżką poczwórnie szerszą, niżli ją znachodzili jadący na przodzie, przetorowaną gładko poprzez chaszczce i leszczyny, rozbitą miękko kopytami koni. Mogli przeto jechać trójcą obok siebie. Choć posiadali to samo zwołanie, czyli godło, choć tym samym klejmem, wyobrażającym trzy podkowy przeszyte strzałą, pieczętowali na barku swych niewolników, swoje konie, bydło, choć to samo ciosno zarzynali na drzewcach granicznych — nie byli zgoła do siebie podobni, a jadąc tak wśród ścian boru, zestosowani kolanami, biodrem, dłońią, dalecy byli od siebie jakby dzieliły ich połacie puszczy.

Najstarszy, mąż dobrze już szpakowaty, wielkogłowy, w barach mocny, zwał się Witosław, które to miano przechodziło kolejno na najstarszego syna w rodzie. Imienia tak dostojnego nie Iza było używać do powszedniej lada jakiej potrzeby, od czego mogła się moc jego wytląć i zblakować; tedy mąż zwący się Witosławem w chwilach rady, ważnych obrzędów rodzinnych lub walki, na co dzień wołany był Głowa-czem. Przewanie przypadało dobrze do jego wielkiego łba, pełnego rozwagi i statku.

Uspodobienie miał pogodne, choć zaćmione troską: żona jego, krzepka białogłowa, z Zaworów, rodziła mu same córki. Miał ich sześć. Nie wiedząc, czym by hańbiący urok przełamać, próżno składał ofiary starym bogom i ślubowania nowemu. Poniektórzy pocieszali go, że jeśli urodzi się siódma dziewczka, będzie widunką, wzrokiem wróżebnym przeglądającą *rzeczy* przeszłe, przyszłe i zakryte. Będzie mogła mętować, czyli wróżyć z sita i wody, wieszczyc z brzozowych węgli i lotu kobuza. Taka dziewczka wróżebna może się stać wielką korzyścią dla rodu.

Głowacz na te zapewnienia potrzebował przecząco swoją wielką głową. Nie życzył sobie bynajmniej wieszczycy, nawet gdyby dorósłszy umiała zazonąć Kruka Pomłosta, wroga okłętego. Nie pragnął możliwości nawrotu tajemnych przejść, leżących u kolebki rodu.

— Wsadzać będę, aż się syna doczekam... — powtarza z zawziętością.

Jadący pobok niego średni brat, Zbylut, bezżenny był, choć czarna szczeń dawno pokryła mu brodę i policzki. Oczy miał srogie, błyskające w oczodołach pod zrosłymi nad nosem brwiami. Usta czerwone, skrzywione drwiąco, zwłaszcza gdy spojrzął przypadkiem w stronę najmłodszego brata. Nie było między tymi dwoma przyjaźni ni łatwego porozumienia. Zbylut — popędliwiec gniewliwy; Imbram, zwany zwykle Imkiem, miękki, ustępliwy, łagodny. Lubił gędźbę i śpiew. Powiadano, że maleńkiego boginka chciała odmienić. Spłoszono ją, lecz widno samo dotknięcie, a bodaj samo spojrzenie starczyło, by chłopcu umysł zamroczyć obłudami. Tenże Imbram przed rokiem pojął niewiastkę, wielce przezeń umiłowaną, i niepokój o nią — bo w tych dniach miała zlegnąć — poganiał go bardziej niż obawa Sieciechowej pogoni.

Teraz wyprzedził braci o kilkanaście kroków, by dogonić przyjaciela i krewniaka, młodszego Zaworę. Zaworów było dwóch. Starszy miał przezwisko Momot, bo był jąkałą. Zacinając się i bełkocąc, przechylał śmiesznie głowę na bok, słowa jednak, które z trudem z siebie wy~ dukał, były dorzeczne i ważne. Młodszy był wysoki, chudy, jak gdyby zapadł na chorobę zwaną ścieniem, ogarniającą człowieka, gdy czarownica cień mu skradnie i cudzym zastąpi. Na bardzo długiej szyi o wystającej grdyce nosił małą, okrągłą głowę bez zarostu, o szerokich, wiecznie roześmianych ustach. Na imię miał Przybywój, a przezywali go Jasiek, które to przezwisko nie pochodziło od imienia Jan, lecz było szydliwym wspomnieniem Jeszy, dziś pogardzanego, rie-gdyś potężnego boga.

— Do domu ilko trzy mile albo i mniej — mówił Imbram do przyjaciela, z którym przed rokiem w druźebną niedzielę wieczne druźstwo ślubowali. — Okrutnie bym rad po-skoczyć przodem, co z Ofką jest, obaczyć...

— A poskoczże...

Imbram wskazał wzrokiem braci.

—• Będą wydziwiać...

—• Ać wydziwiają... Pożrą cię czy co...?

— Bo pewnie — przyznał Imbram zadowolony z poparcia. Obejrzał się na Głowacza i krzyknął głośno:

— Bywajcie! Jadę skorzej doma! Głowacz zamachnął rozpaczliwie ręką.

— Ani mi się opoważ, odmieńcze! Niedolę na dom napytasz!

Lecz Imbram nie słyszał wołania ani zauważył ruchu ręki. Ścisnąwszy konia piętami skoczył w las, rzadki w tym miejscu, by łatwiej minąć długi sznur jadących.

— Tyli chłop a durny jak nieźrała dziewczka — mamrotał Głowacz ze złością. Rozejrzał się po czubach drzew z niepokojem, jakby szukając w powietrzu owych złośliwych mocy, co poruszone niewczesnym pośpiechem Imbrama mogły ponieść się za nim do domu i siła tam biedy narobić.

— Zawdy kłopotu przyczynia... — skarżył się bratu. Zbylut nic nie odpowiedział.

Rozdział drugi

O NARODZINACH MAŁEGO SYNACZKA W STARYM PUSZCZAŃSKIM DWORZYSZCZU

Dziecko krzychało w plecionej kobiałce uwiązanej do belki pułapu na czterech sznurach łyeczanych. W izbie panował półmrok i parna dusznota, gdyż okno zawarte było szczelnie okiennicą. W kącie, choć na dworze dzień był biały, paliła się świeca woskowa. Muchy brzęczały jednostajnie w smudze światła sączącej się ze szpary w okiennicy.

Ofka Imbramowa wychyliła się z łoża, przyciągnęła ku sobie kołyskę z czułością. Maleńka pomarszczona twarzyczka siniąła z krzyku. Matka wyjęła ostrożnie sztywną kukielkę, spowitą we wzorzyste krajki, z rączkami przy krępowanym,! wzdłuż ciała. Puszczona opałka zabujała się gwałtownie, a płomień świecy kołysał się płynnie w ślad za nią. Zwinnymi, lekkimi ruchami Ofka odwijala krajki. Nie dziwota, że krzychało niebożatko! Kawał żelaza (połowa podkowy), zawijany w powijaki jako konieczna ochrona

przeciw urokom, przesunął się aż pod plecki! A Bogucha prawi, że od rana do zmierzchu nie wolno a nie wolno przewijać!

Usunawszy się na kraj łoża, ułożyła wygodnie dziecko na duchnie-poduszce, wypchanej pachnącym sianem. Wyzwolone z ucisku rączki i nóżki poruszały się szczęśliwie. Każdy z maleńkich członeczków zdawał się obdarzony samoistnym życiem, a wszystkie przypadkowo tylko złączona ze sobą całością. Zapatrzona w drgania parsteczków podobnych do pręcików koralowych kwiatów, w zachwycający urok paznokietków nie większych od ziarna prosa (możliweż, że będą one kiedyś drapieżnymi pazurami dorosłego woja?) — Ofka nie zauważyła, że drzwi skrzypnęły. Do izby weszła Bogucha, bratowa. Już podjęła radno wiszące u żerdzi wrazonej w ścianę, oddzielające od reszty mieszkania łożę i kołyskę, nie minął bowiem jeszcze dziewięciodniowy czas odosobnienia i oprócz trzech niewiast nie wolno nikomu oglądać położnicy i narodzonego.

— Reta! — syknęła wchodząc — czyś rozum straciła?! Wielą razy ci prawiałam, że rozenice ozeźlisz?

— Dyc nóż tu jest i świeca, i zioła.

— Zawijaj małego, a skoro.

Duża, tęga, w krasych wełniakach odstających szeroko na biodrach, stała przy łożu jak gdyby na straży, przeglądając się Ofce spowijającej z żalem dzieciątko. Różowe kolanka, zachowujące jeszcze zgiętą pozycję płodu w łonie matki, nie chciały dać się wyprostować, również jak rączki, którym najmilej było trzymać piąstki tuż przy twarzy. Nieruchomym, upartym wzrokiem Bogucha patrzyła na bratańca, na jego maleńką męskość podobną do drgającego robaczka, a stanowiącą ów talizman zakłęty, dzięki któremu dziecko jest w rodzie pożądane, a matka uczczoną. Czy ona, Bogucha, doczeka się syna nareszcie? Oj, Dolo, Dolo!

— Hydrio patrzeć, jak to niezdarnie czynisz — zauważyła wzdorliwie. Odsuwając wąż rękę bratowej, wzięła się sama do dzieła. Szybкими, wprawnymi ruchami pokonała opór małego i spowinięła go ciasno od stóp do głowy, nie zapominając o żelazie. Rozkrzyżowanemu ponownie Ofka podała pierś. Bogucha z szumem przyciągnęła z sąsiedniej izby maślnicę i usiadła tuż przy radnie, by do nowej nieostrożności nie dopuścić.

— Nóż ino z jednej strony cię ochroni, a z drugiej nie — rzekła jak gdyby teraz dopiero odpowiadając na poprzednie zaprzeczenia Ofczone. — Jutro już się zły czas kończy, nie możesz strzymać w spokoju?...

—• Jutro chrzciny? — zapytała Ofka z niepokojeni.

— Ano. Opat przykazywał, co dłużej czekać nie będzie.

— Imka nie ma?!

— Imko do chrztu niepotrzebny, jeno do wvodu... Chrzcic można zawdy. Tak prawi opat. Co się bojasz? Że go potem wysadzi?

Zapiektły żal zadźwięczał w jej głosie; lecz Ofka roześmiała się srebrzyście.

•— Wysadzi? A juźci! Chroboczku miły, uzna cię ociec, oj uzna... Podniesie cię ociec tylego, tylego do samego pułapu, potem o próg stuknie i znowu podniesie, żebyś wielki wyrósł, wielki...

Bogucha zacięła wargi.

— Ady już nie gadaj, nie gadaj! Jakbyś umyślnie chciała złe sprowadzić...

Ofka westchnęła i zamikła. Bogucha stuknęła miarowo bi-jakiem. Że śmietana nie chciała się zbijać, wstała i wyprostowana, groźna, strzepnęła mocno trzykrotnie rańtuchem nad kierzą, by spłoszyć skrzata, którego niewątpliwie siadł na bijaku i w pracy przeszkadzał. Ułożywszy starannie spódnice, usiadła uspokojona z powrotem. Ofka śledziła jej ruchy z szacunkiem. Lękała się bratowej i podziwiała ją. Podziwiała jej spokój i doskonale opanowanie wszelkich zjawisk rządzących życiem człowieczym. Bogucha wiedziała, jak z należnym szacunkiem odnosić się do sprzętów domowych, pozornie zwyczajnych jak kociuba albo dzieża, w rzeczy samej mających znaczenie tajne i ważne, tyjących najskrytszych spraw cielesnych, które opat gromił. Ruszała się wśród tych sprzętów pospolitych a równocześnie sakralnych z godnością i umiejętności. Znała jak nikt wszelkie zaklęcia i moce. Wiedziała, jak przytrzymać przy domu chowańca lub sprawić, by w obejściu "zamieszkał Plon, dawca płodu w łonie samki i nasienia w ziarnie. Jeśli Plon okazywał się oporny, umiała zamówić bodaj bękartą jego, Płonka, w postaci kota znoszącego ziarno do domu. Znała, jak odstraszyć latawca i ścigający go piorun, jak uciszyć wietrznika Stralę.

I czyż' nie okrutnym szyderstwem losu było długoletnie odmawianie tej roztropnej i statecznej białogłowie upragnionego syna, tak lekko, od niechcenia przyznanego jej młodej bratowej? Komuż się

ten tęgi chłopak, usypiający przy piersi matczynej, bardziej należał: Boguszy czy Ofce, równie jak Imbram umysłowo niedojrzałej, wieczną igrą sobie z życia czyniącej, zawsze skorej do płaczu lub śmiechu, to strachającej się byle czego, to beztrąsko wyzywającej najgroźniejsze moce, jakby, nie znając, że są o wszystko zazdrosne? Zawistne o ludzkie powodzenie i bodaj najmniejszą radość? Czy ta zawiść była właściwym atrybutem potęg zaświatowych, czy też wynikiem zgorzknienia, pomstą za to, że mocny Bóg Krystus rozegnał je i ukorzył — Bogucha nie roztrząsała. Cóż by jej stąd zresztą przyszło? Nie ujęłoby zgryzoty.

Dziecko spało. Masło było zrobione. Bogucha ogarnęła kierz ramieniem i odeszła. Leżąc na wznak, oparta o wypchane sianem poduszki, Ofka błędziła oczami po ciemnym od wieku pułapie o rzeźbionych belkach. Myślała, że byle Imbram powrócił, wyjdzie z dusznej, ciemnej izby na dwór, na słońce, na pachnący wiatr. Nie trzeba już będzie zawierać na głucho okien i komina, wystrzegać się miesiąca i palić ustawnie gromnicy. Skończone posępne *wieczory*, puste jakoby przy zmarłym, gdy światło pełga, ómy kołują wkoło, z osmalonymi skrzydłami padają na polepę, po ścianach snują się cienie, w kącie chrapie Pobiedzina, szafarka, w ścianach coś stuka i trzaska. Skończone odosobnienie i nużące ograniczenia, obowiązujące ciężarną w ostatnim miesiącu. Nie wolno wtedy chodzić koło gospodarstwa ni przyrządzać jadła, siadać na progu, przestąpić między, chodzić po wodę do źródła, nosić w podołku jabłek, gruszek, jaj. Natomiast trzeba dźwigać pod szatką na łonie ciężki kawałek żelaza i nie rozstawać się z nożem, dwukrotnie w czasie Paschy święconym. To wszystko jest już poza nią dotyczące tylko pierwiastki, a nie następnych porodów.

Przeciągnęła się radośnie, splatając ramiona nad głową. Błogim, a zarazem dziwnie nieprawdopodobnym zdało jej się, że przestanie już być niewiastką, obcą przy ognisku, której nie wolno odezwać się pierwszej do nikogo. Z ostatniej będzie w domu pierwszą jako macierkę pierworodnego w nowym pokoleniu. Będzie pierwszą przed mądram, surową Boguchą. Nie, doprawdy! Zaśmiała się w głos do tej myśli. Oj, będzie się Imko cieszył! Kiedyż on powróci, ten ulubiony, miły mąż, pan, posiadacz i przyjaciel? Żebyż najprędzej, najprędzej! Czym go zakląć, jak z odległości przywołać, żeby pośpieszył?

Wyciągnęła przed siebie ręce zwołując i nagle wspomniała, że wszakże poprzedniej zimy nauczył ją zaklęcia, niezawodnej pono mocy, mnich, wędrujący od klasztoru, do klasztoru, którego w dworzyszczu dwie niedziele siedział, czekając aż mrozy zelżeją. Jęła je sobie pracowicie w myśli przypominać i powtarzać, bo żadne zaklęcie mocy mieć nie mogło, jeśli było powtórzone mylnie i nieskładnie. Nareszcie usiadła na łożu pilnie nasłuchując, czy kto nie nadchodzi (oj, byłoby jej, było, gdyby ją tak zaszła Boguchą!) i przytłumionym ze wzruszenia głosem mówiła:

Zorzyce, zorzyce
moje siostrzyce,
siądźcie na konia wronego,
jedźcie do towarzysza mojego.
Żeby on nie mógł beze mnie ni spać, ni jeść, ni siadać, ni gadać.
Żeby ja mu się podobała we stanie, w ochocie, w robocie.
Żeby się na to wołanie
wrócił na mole posłanie.
Żeby na prośby moje
wrócił się na te pokoje...

Umilkła i nasłuchiwała bacznie. Lecz nic nie było słyhać, tylko gędzolenie ptaków za oknem, a w sieni szczebioty Głowaczowych dziewcząt, niepomyślnych ojcowego zadawnionego i niezawinionego gniewu. Przeto jęła mówić po raz drugi, a ady nic nie przerywało lipcowej południowej ciszy, leżącej" wokół domu — po raz trzeci. Wolno, słowo za słowem, przejęta i ufna do tyła, że nie zdziwiła się zgoła, gdy za domawianiem trzeciego razu zaklaskały przed domem kopyta. Buchnął radosny jazgot psów podwórzowych, brzechunów. Już słyhać bieganie czeladzi. Boguchą woła:

— Witajże, witaj. Kaj to mój ostał?!

...Ofka pada na poduszki na poły żywa z radości. Przyjechał! Przyjechał! Przybył na zaklęcie!

...O Bogiem sławiony, cny grubaśny mnichu, którego łysa głowa świeciła jak miesiąc, schylona nad garnkami przy palenisku kuchennym zeszej zimy.....Bogiem sławione siostry obłoczne zorzyce. ...Bogiem sławionyś, włodyko najulubieńszy, jenż wołanie swej niewiastki z odległości słyszysz...

Mocna, męska dłoń szarpie dźwierze, że mało nie wylatują ze skrzypiących biegun. Imbram już w izbie. Lecz za nim jest i Boguchą. Obłapia go ramionami, zawraca, groźna, rozcapierzona i nieugięta jak uosobienie prawa.

— Nie obaczysz jej, aż po chrzcinach, po wwodzie — mówi głosem zdyszczanym, bo ledwo że go dognała.
— Aby choć krzyknę tej płachty usuńcie, niech na nią z dala popatrzę...
— Rozum ci się pomieszał? Nieszczęścia chcesz?
— E... zaraz tam nieszczęście... — powiada Imko' markotnie. Strasznie mu żal nie widzieć Ofki, choć wie, że tu chodzi o rzeczy poważne.

Boguchą wzrusza pogardliwie ramionami.

— Warn dać dziecko! — kiwa urągliwie głową. — Pytasz, jakbyś nie wiedział, co u Rogalów chłopiec przez, to koślawy się stał, -aże go do lasu wysadzili...

— Rogala prawił, co już taki się urodził...

— Nieprawda, wiem od baby, co przy Rogalinie była... Pro-ściuteńskiego wyjęła jako ten...

— Ha, skoro tak... A gadać jej też nie wolno?..

— Gadać wolno.

— Ofka, to czegoś nic nie mówisz? Jużem jest.

Och, wie ona dobrze, że ukochany jest, i od nadmiaru radości nie może słowa przemówić. Słyszy jego głos, czuje aż tu zapach, zapach potu męskiego i potu końskiego, skórzni i boru.

— Jesteś... — powtarza ledwo dosłyszalnym szeptem.

Zaniepokoił się.

— Coc jest, Ofka?! Coc jest?!

— Nic, ilko mi mgło...

— Od czego? Słabaś?!

— ...Od szczęścia...

— Mojaś ty!!

— Tfu! Tfu! Tfu! — pluje Bogucha w tył i w przód, w prawo i lewo. Tych dwojga nikt nigdy rozumu nie nauczy. Zali nie wiedzą, jak niebezpiecznie przyznawać się głośno do szczęścia?

Imbram pojednawczo obejmuje ramieniem jej szerokie barki.

— Małego mi choć daj, ac go znam, ac go podniosę...

— Nie poczekasz na tamtych?

— Z krztem poczekamy, a uznać chcę zaraz.

— Twoja wola.

Poszła po dziecko. Ofka chwyciła ją za ręce błagalnie.

— Siostrzyczko! Jątrewko! Ady się zmiłuj! Ostaw choć szpareczkę, abym увидziała...

Choć tyle co koniuszek par-sta...

Po krótkim namyśle Bogucha się zgadza. Ofka może widzieć Imka, byle on jej nie zobaczył.

Rozpruwa na szwie radna maleńki otworek. Gdy Ofka przytknie doń oko, ujrzy, jak Bogucha kładzie śpiące maleństwo na stole. Rozpowija je uroczyście przed oczami ojca, ukazuje, że sprawiedliwy chłopiec się narodził. Że choć czerwony jak rak, a mały jak pięść, prostonogi jest i szerokoplecy.

Mały nie płacze zgoła. Rad, że go rozpowito, syty, aż mu spęczniał brzusek przepasany lnianą szmatką. Ślepka, mętnie błękitne jak ślepka szczeniąt, obrócił ku światłu. Widzi jeszcze nimi chowańce i rożenice, skrząty i boginki, wszystko, co ludziom zakryte. Aż jutro, gdy'go opat zleje poświęconą wodą, zasunie się przed nim świat nawi, a otworzy ziemski, ojcowski, człowieczy.

Ostrożnie, ostrożnie ujmuje Imbram synka w swe wielkie rycerskie dłonie. Bogucha zabiegliwie poucza, jak ma palcami podtrzymywać główkę, by się na wiotkiej szyjce nie chyb-nęła. Tak, o... / ojciec unosi małego w górę, jak jego samego unosił niegdyś dziad. Wysoko, aż wąty puch, którym pokryta głoweńka, dotknie rzeźbionego siostrzana w miejscu, gdzie wyrzeźbiony jest znak rodu: trzy podkowy strzałą przeszyte. Trzykrotnie go podniesie, by wiedziały opiekuńcze duchy dziadów i stryjców rodowych, w tym siostrzanie mieszkające, że tenci jest jego, prawego Strzegonia, pierworodny, prawowity syn i dziedzic...

Teraz po trzykroć zniży się do ziemi, mdłym ciałkiem dotykając progu, świętego progu, pod którym mieszkają bożęta domowe, a także duchy dzieci nieżywo zrodzonych i dzieci w las wysadzonych, które, mimo okręcenia główiny śmiertelnym rańtuchem, zdołały trafić do domu po zgonie. Wszystkie je trzeba ujednać niskim pokłonem, by stały się przyjazne nowemu członkowi rodu, przychylnie jego małym nóżkom, gdy zacznie próg przestępować a bałykać się przezeń. By mu służyły wiernie, nie puszczając do domu złej Doli, później, gdy mężem dojrzałym zachręści nad progiem rycerską ostrogą. I kłoni się ojciec jeszcze raz, trzykrotnie porękę dając za swojego syna, że wszystkie bóstwa i moce domowe szanować będzie i w należytej pieczy a chroni trzymać...

I gdy tak bez słów daremnych to wznosi małą istotkę do góry, to chyli się z nią do ziemi, patrzą w niego bez tchu: Ofka przy swej szparze w ścianie, Bogucha z rękami opuszczonymi bezwładnie wzdłuż kiecek. Obie głosu z siebie wydać nie mogą: Ofka z radości, Bogucha z żalu. Nigdy jeszcze, nigdy Głowacz nie podniósł jej dziecka. Miał to kogo podnosić? Córkę o siostrzan trącić, na pośmiewisko chyba przed-dziady budzić?

Łza płynie po mocnym jej licu, ociera ją szybko, zawstydzona i bierze od Imka dziecko, które drze się już teraz wniebogłosy. Niech je Ofka uspokoi.

•— Nie ostawię cię tu ani chwili — mówi do Imbrama zwykłym, już opanowanym głosem — jeszcze jaką głupotę zrobicie... Chodź...

— Pójdę — zgadza się uległe — jeno mi rzeknij, Ofka, żeś rada jest?

— Oj, rada... rada...

•—• Znowu! —• mamrocze gniewnie Bogucha, wypychając dziewierza z izby.

— Idź, obacz żróbka od carogrodzkiej kobyły, też jest strasznie piękny! — woła za nim na pociechę.

Rozdział trzeci

...DRZEWIEJ... DRZEWIEJ...

Wprawdzie Witosław, zwany Głowaczem, nie mógł rad. widzieć, że tyle upragniony syn młodszemu bratu, nie jemu się narodził, zbyt był jednak rozważnym i społecznie myślącym mężem, by to po sobie dać poznać. Ród się odnowił i ta pomyślna okoliczność musiała usunąć na bok wszelkie inne -względy.

Natychmiast po przyjeździe zarządził chrzciny szumne, biesiadne, gromadne, jak przystoi dla pierworodnego, pilnie bacząc, by wszystko uczci/wie zładzić a nic nie przeoczyć. Srogo też zapowiedział przybyłym z nim wojom i czeladzi, że jeśli im miłe oczy, miła ręka, stopa, noga, niech się nie poważy żaden mleć durnym ozorem o klęsce kruszwickiej i przewidywanych jej skutkach. To uczynił, by nie osepścić tak ważnego dnia, troską i frasunkiem nie zaćmić chwil mogących wywrzeć wpływ na całe dalsze życie nowokrzczęń-ca. Zresztą nie miał co czynić w tej sprawie. Zbylut pojechał z rycerstwem do kasztelana wrocławskiego Magnusa radzić społecznie nad dalszą obroną lub walką. Gdy wróci i zawiadomi o powziętej przez rody uchwale, będzie czas chwycić się miecza. Teraz nikt nie miał znać groźby wiszącej nad domem, ani Ofka, ani Bogucha, ani żaden domowników. Im bardziej ta groźba (Głowacz czuł to dobrze) była rzeczywistą i rychłą, tym bardziej należało uczynić wszystko, co w ludzkiej mocy, by uroczystość nie została niczym zamącona. Gdy topór przyłożony jest do pnia drzewa, tym cenniejszą staje się jedyna młoda płoneczka, z której nastąpić może odnowa.

Wiec gońce konne z wicią krzywulą, białą krajką przewiazaną, pomknęły w cztery strony, spraszając do dworzysz-cza na trzydniową ucztę swaczynę, wszystkich współplemień-ców, turodzców, chlebojedźców i powinowatych. Zarazem roznosili wezwanie do wszystkich poddanych, by się jawili z pokłonem przed młodym dziedzicem, przynosząc należne dary, czyli godne.

Rozesławszy wici Głowacs uważnie opatrywał dom, własnoręcznie wbijając po dwa noże w odrzwia, przez które przechodzić miała kuma z niekrzczęńcem, a to, by zły duch nie uzyskał do nich dostępu. Baczny na wszystko, dopytywał, zali niewiasty mają sól święconą w dniu świętej Agaty, by dziecku podsypać pod plecy, przypominał i przestrzegał, że choćby opat się gniewał, imię trzeba w kościele rzec cicho, cicho, tak, by psotny duszek Pomian, zwany też echem, miano powtarzający, imienia nie pochwylił i szkodnikom losu nie podał. Sprawdzał, czy przygotowano żelazo i żar, które kuma miała przestąpić na progu, i czy wybrano już drzewo, pod które wyleje się wodę ze chrztu. W troskliwości tych przygotowań zaszedł do izby Ofczynej, kazał sobie wynieść zza radna małego i przemówił do niewiastki kilka dobrotliwych słów bodaj po raz pierwszy w życiu. Oszołomiona, a zarazem ośmielona tą łaskawością, odważyła się zapytać głowy rodu, jakie imię dostanie Imbramów syn.

— Moje — odparł krótko — bo pierworódtwo ma z tego pokolenia.

l prędko odszedł zdjęty żalem, zostawiając Ofkę w zachwyceniu. Imko gadał już coś wprawdzie, że tak by się należało, oboje jednak nie oczekiwali, by Głowacz sam z do-brawoli wyzbywał się swego miana. To jest mąż uczciwy, hej! Święte, dostojne miano z pierwsłowem Wit, oznaczającym i. wić, jaką kapłan wieszczun trzymał w garści składając ofiary, i wiciądza lub witezia, i prawo rozsyłania wici. Imię, co znaczy: władza, moc, dostojność... Ofko! Ofko! Spodziewałaś się to kiedy?...

Głowacz zaś przeszedł do czeladnej, gdzie kobiety pod przewodnictwem Boguchy tłukły w stępie, mełły w żarnach świętą obrzędową kaszę i pszenicę na polewkę zbożową. Bogucha, spojrzawszy na zatroskaną twarz męża, umknęła wzrokiem czerwona ze wstydu. Wiedziała aż nadto dobrze, co go gnębi. Kłoniąc z poddaniem głowę, jak gdyby w oczekiwaniu zasłużonych razów, rozpląkała się. Lecz on nie miał zamiaru taić ni wymyślać, a widząc łzy lecące jak groch na jej pracowite ręce poklepał ją po łopatkach, jak to zwykł czynić ulubionym klaczom i krowom. Spojrzała nań wdzięcznie, ocierając oczy rękawem, lecz on, miejsca znaleźć nie mogąc, wyszedł już przed dom, na plac co ino wysypany żółtym rzeczonym piaskiem, potrząśnięty tatarakiem.

Na lewo w podwórzu ćwiartowano świeżo zabite skopy, wieprze i woły. Pod częstokołem, wśród pokrzyw, lebiody i krzów czarnego bzu siedzieli sznurem niewolnicy i poddani, co bliżej mieszkając,

już na zwołanie ściągęli. Przyniesione ze sobą godne trzymali przy sobie w węzełkach ze szmat, króbkach z kory lub dzberach samorodnych, z jednej kłody wydlubanych. Radzi ze święta śledzili chciwie okiem przygotowania, wróżące obfitość jadła.

Ach, wszystko przypominało własną krzywdę, pomyślność braterską. Rad o niej bodaj na chwilę zapomnieć, Głowacz poszedł na okólnik, „gdzie pasły się konie, duma jego i bogactwo. Konie! Zaprawdę były one czymś nieporównanie doskonalszym od innych stworzeń, świątecznym klejnotem, ozdobą rycerskiego życia. Do pociągu, do jarzma, do pracy zrodzony jest cierpliwy wół, powolny i mocny. Któż by śmiał konia zaprzęgać do pługa, lśniący kark ugiąć uprzężą? Koń, horz, stanowi jedno z rycerzem, tylko rycerzowi służy i tyle jest wyższy nad wszystkie zwierzęta, ile rycerz wynosi się nad inne stany. Rumak bojowy, biegun ścigły, towarzyszy w boju najwierniejszy, niezastąpioną jest niczym oznaką przywileju władzy, pańskości i posiadania. Toteż nie masz dla rycerza cenniejszego łupu nad konia. Koń niedościgłym marzeniem każdego ubogiego milesa, wojaka unius scuti. Konny rycerz nie lęka się nawet czarów i zasadzek nocy. Bo koń nie przestąpi mogiły, w której upiór leży, ani podejdzie do drzewa, w którym czatuje Rokita. Wąskim uchem o miękkiej wyścieli pochwyli niedostrzegalne kroki wiły czy też dziwożony. Nozdrzami, na dnie których drzemie ogień, zwęszy truciznę i wszelką zasadzkę. W chodzie ma. dostojęń- • stwo konia Świętowita, konia, w którego obleka się Frey, bożek północnych wikingów, konia Wodana, bożka Duńczyków, którymi włada Storrada. Gdy porwą się z nagłą, puszczając na wiatr nie tknięte nigdy nożycami grzywy i ogony, gdy pomkną łąką na przełaj, z chrapem i kwikiem chwytając się w biegu zębami za karki, zda się, jakby odprawiały święte biegi, łoni, łoni, drzewiej, drzewiej, wiosną i na Gody czynione...

Stado Strzegoniów składało się z trzech saskich bojowych źrebców i sześciu matek. Gromada pięknej młodzieży pasła się osobno w lesie na polanie pod czujną opieką koniu-chów. W grodzi przy matkach plątały się cienkonogie, spi-czastouche, kosmate łoszęta. Na odgłos kroków kryły się z, a matki, kłapiąc niegroźnie bezzębnymi pyszczkami.

Głowacz, wsparty o żerdź, patrzy ze szczególnym zachwytem na źróbka od klaczy zwanej carogrodzką. Imtaram przywiódł ją z Kijowa, a pochodziła pono od jednej z klaczy tureckich, co przywiozły na Ruś Annę Porfirogenetkę, córkę i siostrę basileusów, wydaną za kniazia Włodzimierza. Klacz była stara, gęsto hreczką osypana, lecz wielkiej cnoty. Dotychczas ani razu nie źrebiła się i przestano już oczekiwać od niej przychówku. Dopiero tej wiosny... Piękny, smukły źreb-czyk, siwy w przyszłości jak matka, pokryty był na razie czarnym źrebięcym puchem, miękkim i wełnistym. Małąką, wąską głowę o wielkim, wypukłym oku obracał śmiesznie i sztywno ku patrzącemu. Ponowna fala żalu i zazdrości przejęła serce Głowacza. Cóż to za koń będzie! Nie ma co, szczęściło się latoś Imbramowi...

Zawrócił ciężkim krokiem ku domowi. Przy wejściu starszy sługa Pobieda, stojąc na drabinie, przybijał kołkami wieniec z ziół święconych *na* świętego Jana. Dworzyszczce było starodawne, czasy Mieszka I pamiętające, szeroko rozsiadłe, z trzemem czy piątem nad wielką sienią, na przestrzał domu idącą. W piątze były dwie izby, za strażnicę i skład cenniejszych rzeczy służące. Wchodziło się do nich po drabinie umieszczonej w sieni, łatwej do wciągnięcia na górę. Ze strażnicy kryty ganek drewniany z tęgich bali zbity, rzucony jak most, łączył dwór ze stojącym o kilkanaście kroków kościołem. Kościół był zbudowany przez Witosława, syna Witosławowego a ojca Głowacza.

Niewielki, półokrągły, przysadzisty, z twardego polnego kamienia żmudnie murowany, z wąskimi nielicznymi oknami i warownym wejściem. Głowaczów ojciec, budując go, miał dwojaki cel na oku: .zbawienie duszy i obronę przed napaścią. Drewniany ganek, rzucony od dworu sięgał jednego z okien kościoła, wiodąc tędy na empore, wnękę łukową, leżącą ponad zakrystią. Wielmoża idąc na modły nie potrzebował przepychać się między ludem tłumnie kłęczącym przed kościołem. Ukazywał się oczom poddanych na górze po prawej stronie ołtarza, wywyższony w kościele jak i w życiu.

Także w razie napaści i niebezpieczeństwa ganek wiodący na empore posiadał nie lada znaczenie. Mieszkańcy dworu mogli się tu schronić, zaś kościół murowany, warowny nie lękał się obłężenia. Wokół chropawej, okrągłej absydy rosły wielkie lipy, brzozy, dęby i jabrządy ostałe z pierwoboru, nie tak dawno jeszcze rozkładającego się tu wszędy, dziś zepchniętego da-

leko na skraje zasięgu oka, poza równe szmaty pól pokrytych bielejącym żytem i jęczmieniem. Ostawiono te drzewa przy kościele, by ludzie mieli cień w czasie nabożeństwa, a pszczoły, których ule gęsto stały wokół, pożytek. Między lipami rosi niezmiernie stary i wysoki cis, którego nie zrabano, przeto że na pnium twardym i ścisłym jak żelazo, o przekroju barwy krwi, tępiły się i łamały topory.

Mógł zresztą ostać bezpiecznie. Jadowity cisowy cień, przyprawiający o śmierć każdego, co by w nim spoczął, przechwytywały bowiem rosnące wokół niższe i rozłożystsze lipy, że nigdy ziemi nie dotknął. Nie wiedzieć, co myślał i jako się gorlił złośliwy duch wrosły w czerwone drzewo, bujające chudym czubem nad szczelną ciemnozieloną kopułą lipową. Jedno było jasne, że szkodzić nie mógł. Z przeciwnej strony kościoła, wsparty o pień wielkiego, niegdyś święconego dębu, zielony od panującego latem mroku liści, ośmiokątny, niski pod wysoką spiczastą strzechą krył się dom plebana Pietrka. Był to cichy i łagodny człowiek, o licu zawsze stroskanym i załknionym. Jedną z głównych przyczyn tej troski byli czterej synowie, młodzi księżyce, co miasto zaprawiać się do stanu duchownego, jak tego żywnie pragnął, woleli iść w puszcze z lukiem i oszczepem. Łowieckie ich powodzenia zasilały walnie ubogą księżą spiżarnię, lecz umartwiały ojcowego ducha. O łacinie żaden ani chciał zaślężyć.

Obecnie od paru niedziel w ubogiej chacie plebana bawił gość nie byle jaki, napełniający gospodarza czcią i zbożnym lękiem: opat lubiąskiego klasztoru, którego wracając z Saksonii zatrzymał się tu w przejeździe, by obrzędu chrzcin dokonać. Wprawdzie Bogucha w imieniu nieobecnego męża prosiła go, jak mogła, by raczył zamieszkać w świetlicy we dworze, on jednak wolał zająć dom plebana. Pragnął w ten sposób okazać Strzegoniom, jako potępia przyjaźń okazywaną przez nich Ncgodzicom, tym samym, co wraz z królem Bolkiem ubili biskupa i na których za tę zbrodnię ciążyła nieodpokutowana, niezmaszana klątwa. Nie chciał spać pod dachem, pod którym mógł snadno spotkać owych prze-klętników wydanych na potępienie. Będąc jednak niepoślednim i bystrym politykiem nie wyrażał swego oburzenia zbyt jaskrawo. Roztropna mądrość, nabyta po świecie (rodem był z Prowansji, młodość spędził w klasztorach niemieckich i włoskich), pouczyła go dawno, że zbyt upieranie się przy swoim, -doprowadzanie sporów do miejsca, gdzie nie da się

ich rozsypać inaczej jak mieczem, nie bywa korzystne. Nieustępliwie ścigając wyklętych, sam w najtajniejszej głębi duszy uważał, że umartwiony krakowski biskup zbyt ostro nastawa! na króla. Że Bolko szalony był i popędliwy, wiedział wszak dobrze. A z całego nieszczęścia komu korzyść wyszła? Juźci co tylko niemieckiemu cesarzowi. Niemrawiec Włodzisław, stolec objąwszy, wnet się z nim ujednał, i wielki papież Grzegorz VII, pozbawiony sojuszniczki Polski, umarł pokonany na wygnaniu. Taż sama mądra rozważa cechowała opata Gwidona względem otaczającego go zewsząd, ustawicznie jeszcze żywego pogaństwa. Utwierdzony przez mnichów kluniackich w nowoczesnym surowym, chrześcijaństwie, widział dobrze, że puszcza i krajem rządzą po dawnemu bogi. Dobrze jeszcze, gdy ludzie oddają prymat nad nimi Stwórcy Wszechmocnemu, uznając Go za starszego! Widział, że modlitwy są dla tutejszych ludzi równoznaczne z zaklinaniem żerców, a relikwie z nawięzami chroniącymi od uroków. Cóż mógł jednak na to poradzić? Nic się nie przerobi od razu. Czas, mądry starzec, pewny sprzymierzeniec nieśmiertelnego Kościoła powszechnego, mógł sam jeden tylko wytracić wspomnienie starej wiary.

Opat Gwido nie przeczył zresztą bynajmniej istnieniu i obecności tychże bożków, pogańskich przebrzydłych demonów. Przekonał się o niej nieraz aż nadto dobrze. Wiedział, że trzyma je w zdrowiu i sile wiara ogólna i miano. Imię ma moc stwarzania rzeczy nazwanej, wywoływania jej kształtu zza. granicy bytu. Gdyby zdołano zapomnieć imienia bożków, straciłyby swoją Władzę. Za mało też było dzwonnów, jeden n.a dziesiątki mil. Ot ten choćby na kościele: napis na nim głosił *Demonēs fugo, nebulas spatgo, lecz* nikły dźwięk nie mógł przebić boru. Tym bardziej że ilekroć poczynano dzwonić, już trzęsła się puszcza od srogich kroków rozgniewanego Śwista Pośwista. W szumie i trzasku drzew ginął błogosławiony poświęcany głos. Dzwonnik z całej siły musiał trzymać sznur, gdyż wrywali mu go z ręki planetnicy, wołając z góry: Puść! Puść!...

Choć pleban z rodziną wyniósł się obozować pod lipami, w ciasnych, ciemnych izbach panował zadawiony zaduch, brzęczały roje utrapionych much i mimo całej polityki opat nie wytrzymałby tu długo, gdyby nie jeszcze jedna poważna przyczyna: ciekawość. Od brata zakonnego, wysłanego przez przeora naprzeciw zwierzchnika, wiedział coś nie-

coś o sprawie kruszwickiej i postanowił nie odjeżdżać nie dowiedziawszy się wprzód, jakie uchwały zapadną na radzie śląskich wielmożów, ninie we Wrocławiu trzymanej. Jaki zamysł zrodzą ciężkie, tylko do miecza skore głowy wojów? Kto wie, może giętkim, ćwiczoną rozumem uda się ten zamysł odpowiednio zmienić i korzystniej nakierować?

Więc opat Gwido czekał, i. oto teraz Głowacz, wracający od koni, spotkał go idącego ku dworowi.

Asystowało dwóch kleryków: jeden niósł krzyż, drugi łaskę krzywulę. Opat, choć w lata dobrze pomkły, trzymał się prosto, głowę miał łusą, nos cienki, wejrzenie imperatora rzymskiego. Siła lat spędził pośród puszczy słowiańskich, przecież nie zatracił dotąd odrębności południowca, syna kraju, gdzie słońce łaskawsze, a krew w ludziach gorętsza. Na habicie nosił lekki pół-pancerzyk, na znak, że był szlachetnego rodu, a na ramionach kosztowny płaszcz. Na bosych nogach sandały, a to zarówno zimą, jak latem. Skłonili się sobie z Głowaczem, wchodząc razem w progi domu, przyjacielsko, lecz uważnie, by godności swego stanu w niczym nie pochybić.

W wielkiej sieni, stanowiącej zarazem świetlicę dworu, mroczyło się już i ogień kwitł jaskrawo w cieniu. Na ścianach rozwieszone były sieci i broń. Psy łowieckie drzemały w kątach. Wokoło ścian biegły ławy zasłane skórami. Przed ławami w uczciwym kącie, kącie dziadów, rozpiął się potężny stół na krzyżalach, o płycie grubej jak belka, z jednego starodrzewu wypiłowanej. Od wieku i spoczywających na nim dłoni płyta nabrała gładziny lodu i barwy ciemnego jantaru. Stół ten, na którym kładło się chleb, był ponad wszystkie inne sprzęty poważany i święcony jako siedlisko przyjaznych skrzatów domowych. Tuż za stołem, na ławie dwakroć od pozostałych szerszej, miękko skórąmi zasłanej, leżał dniem i nocą, zimą i latem, Głowaczowy dziad, sta-rzyk, dominus, blisko stuletni, Chrobrego pamiętający. Z dawna był głuchy i na nogi słaby, rzadko też schodził ze swojego wyrka, osobnego pachółka mając do posługi. Białe zmierzwiłone kudły okalały twarz zdrobniatą, gęstymi zmarszczkami we wszystkie strony przeoraną. Bystre niegdyś oczy starego wiciądza stały się mętnie błękitne, podobne do oczu nowo narodzonego prawnuka. Jeny gdy przed tamtym świat doczesny miał się odemknąć, przed pradziadem zasuwiał się z wolna, przemijał z każdym dniem, uchylając wrota nawi.

Od wielu już lat stary dominus leżał nieruchomo całe dni, pokaśliwując i klnąc gniewliwie, gdy dziewczęta Głowacz-

we podeszły -zbyt blisko. Natomiast nocami zwlekał się czasem z ławy i sunął po domu jak mara, stukając kosturem i strasząc domowników. Gadał wtedy ustawicznie sam do siebie, a jak inni twierdzili — do dziadów. Gdy wnukowie byli doma i otoczył go lubny rozgwar wojacki, szczękanie broni, grube głosy, donośne śmiechy i klątwy, wyrwał się ze starczego odrętwienia. Ożywiał się i opowiadał dorzecznie różne minione wspomnienia, nie dbając, czy go kto słucha, czy nie. Otaczano go wielką czcią jako żywe uosobienie tych, co mieszkali w siostrzanie, niewidzialni siadali w uczciwym kącie. Był zresztą ostatnim, jedynym z żyjących, który straszliwy i tajemny początek rodu znał nie z legendy, lecz z opowiadania ludzi, co w nim brali udział. Przenigdy jednak ni teraz, ni drzewiej, nie chciał dorzucić żadnych szczegółów do skąpej wiadomości o zdarzeniu.

Gdy Głowacz usadził opata na poczesnym miejscu, a Bo-gucha, poprzedzająca swe dziewczki czeladne, wniosła chleb, misę mięsiwa i świeżo warzone piwo, stary dominus przysunął się ku nim. Chrciny prawnuka, o których był powiadomiony, uczyniły go mownym i raźniejszym.

— ...I nie minęło sześć roczków, a wszyscy żywota zbyli... — mrucał schryptym głosem, snując nić,-co mu się właśnie w umyśle naprzęda — zginęli jako to ziele...

— Którzy zginęli? — huknął mu w ucho opat, sądząc, że coś ze zdarzeń ostatnich posłyszysz.

Stary zwrócił nań z wysiłkiem mało widzące oczy.

— Chrobrowicze... juźci, co Chrobrowicze... pomne...

— Stare dzieje, pamiętacie...

—• Juźci... pomnę. Bezprymowi jeszcze się łeb świecił, co mu go mnichy italskie w Rawennie postrzygły, a już żer-ców zwoływał, judził, święte gaje przywracał i zakonników przykazywał rznąć... Otto podczas to samo... A oba zginęły lada jako skoro potem... Dytrych, to już trzech... Mieszkę utrupił miecznik... Bolesław Mieszków takóżywot rychłe i źle skończył... To pięciu...

Klątwa to stara sprawa, klątwa nieodpokutowana, przez biskupa Gaudentego rzucona — zauważył twardo opat, lecz stary go nie dosłyszał.

— Za Bezprymowym zwołaniem — ciągnął jednostajnie — powstały stare bogi... I wszystek lud... Umartwiły mnichów, umartwiły księży, biskupów... Jednych zacniejszą śmiercią mieczem gładząc, drugich, jako pośledniejszych, kamienując... Oj, łelum, leluml...

— Dziw, że Bóg nie wytracił tego plemienia jak Sodomy i Gomory,...

— A dyć wytracił, wytracił... Wielu Chrobry miał pancernych, tyła by nie znalazł potem

tarczowników... Więcej było za Chrobrego rycerstwa, niżli po tych leciech ostało ludzi wszystkich stanów... Że to jedne w niewolę poszły, drugie mór pobił a głód... Na nowinach krze porosły, a w kościele Świętego Piotra Apostoła liszka swoje młode wywiódła... Srogości takie się działy, że Giedczanie wyszli z grodu, z grodu Giecza, co był żrenicą królewską! I naprzeciw Brzety-sławowi szli z różgą złotą prosić, by ich do Czech wszystkich przeniósł... Ano. ...Pomnę, jako Brzetysław na stu wozach wiół skradzione królewskie dobro. A wozy naładowane były tego, że jarzma pękały... Oj, lelum, lelum...

...Wojciechową trumnę czeskie woje niosły na ramionach od Gniezdna do samej granicy... Takoz i krzyż szczerozłoty, co go dwunastu ludzi ledwie mogło dźwignąć... I trzy tablice złote, pięć łokci długie, dziesięć piędzi szerokie, na których napis łaciński był, ale napisu nie pomnę...

Wywiozły Czechy dzwony i krzyże, i kielichy... Mnichów i księży ludzie utrupili. A przecie Bóg Krystus wrócił... Wróciły klasztory i ninichy... Siła ich znowu... Widno ta wiara mocniejsza... krzepciejszy Bóg...

— Wiera — mruknął z cicha opat.

Stary zachrzypiał, steknął, splunął i podjął znowu swe śpiewne gadanie, jakoby pieśń o przeszłości nuconą przez prze-

szłość sarną. — Pomną

prawił — jako było z Bolkiem, i biskupem...

Ćwierć kopy roków bez mała... Uszedł biskup z grodu do kościoła mnichów tynieckich, co na skałce na moczarach stoi... Zowią go Świętego Michała Archanioła mniejszy. W nim się zawdy zbierały lóтарыńskie kluniackie przemienie i swoje narady wiodły... Że nałożnic trzymać nie Iza, jedna białka ma chłopu na całe życie wystarczyć, i insze namowy głupie. Tamo biskup mszę odprawiał, a przy mszy, jako zwyczajnie, powtarzał, że wyklęty (niby Bolko) jest obmierzły, zgniły, trędowaty i śmierdzący, a kto by z nim jadł abo spał, abo gadał. abo jaką przą miał, tako jest zgniły i gnój, i trąd... A Bolko wszedł do kościoła jak raz ze swoją drużyną... Gadały Nogo-dzice, co ujednać się chciał i biskupa do grodu wołać spadki, ale kiej to usłyszał, krew się w nim zapiekła i sięgnął biskupa czekaniem przez łeb... Wnet też Śreniawity i Nogodzice dopadły, a posiekały..

— Biesy przekłete, które przeca w tym domu jak swojaki są witane! —• sarknął gniewnie opat.

— Co gadacie? —• zapytał stary, zwracając na niego zasnutę bielmem oczy.

—• Gadam, co hańba przewieczna przyjmować w domu prze-klętników, jeże umartwiły Bożego człowieka! Stary pokiwał głową.

— Ano — przyznał. — Ano. Żle się stało, bo Szczepanow-ski był pierwszy, a pierwszy biskup polskiego rodu... Żle... Ale Nogodzice są-prawe chłopcy, dobre woje. Powiadają, że jak ten starszy, Odylen, rąbnął, to na dwie połowy przeciął gładko kość i ciało...

Opat zerwał się z miejsca ożeźlony do żywego, lecz baczny na wszystko a pomny jutrzejszej uroczystości Głowacz ujął go pojednawczo za ramię, zapytując, zali wielebnik nie ciekaw obaczyć młodych legawców, niedawno od wrocławskiego kasztelana otrzymanych.

— Krzyżowcy t. III

Rozdział czwarty

GDZIE OFKA DOŚWIADCZA,

JAK ŁACNO BOGI ODMIENIAJĄ DOŁĘ W NIEDOLE, SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIE, A DOBRO WE ZŁO

Rycerz Nowina, dla swej gadatliwości przezwany Tarchałą, rzucił na kupę podarków kosztowny pas, złocistymi blachami nabijany. Brat jego, Nowina Dąb, mizerykordię z łańcuchem. Ludbor, Cwała i Świeboda Oświętowie przyrzucili kubek srebrny, miecz, szeroki i płat wzorzystej materii. Ogończyki, zwołujące się w potrzebie zawołaniem Orzy! Orzy! przywiodły pięknego żrebca okrytego kropierzem, wspaniałością daru wprowadzając wszystkich w podziw. Kosztowne dary przynieśli Biesy z książąt plemiennych starodawnych, podobnie jak Mzury lub Jastrzębce, równych Piastom. Bieleje cisnęły trzy kopie rycerskie i stan z farbowanej skóry.

Za wielmożami na rozścielone u stóp Imbrama i Ofki radna składali dary zwykli wojacy, milesy. Nie stać ich było na rycerskie cenności od zagranicznych kupców nabywane lub w dalekich wyprawach zdobyte, przeto rzucali łupieżę kunie, wydrze, niedźwiedzie i wilcze, podkowy, topory, łuki przez całą zimę pracowicie gięte, parzone, suszone, odporne i mocne jak stal. Znosili cięciwy z baranich kiszek skręcone, strzały ciemierem zatrute, birkutowym pierzem ulotnione, które to pierze ma cnotę samo wieść strzałę do celu. Rzucali kołczany z kary brzozonej lub skóry pięknie wyrobionej, oszczepty i włócznie.

Radna były dwa, tuż koło siebie leżące. Przechodząc stawali przed pierwsze mówiąc: „Witosławowi Imbramowiczo-wi na szczęście, na dołą, na wiek"... — i rzucali co bądź: patyk ułamany, kilkoro

szyszek, ślepe kocię, stare strzały lub zgięty kubek cynowy. Przed drugim radnem mówili: „Co zbytnie, co stratne, co byle jakie, to miotnę, niech bierze, kto chce...” — i składali dar właściwy. Czyniono tak gwoli owej zawiści bogów, której nie Iza było obudzić widokiem zbyt świętych darów. W podejściu tym obok szacunku i lęku

przebijała również świadomość własnej ludzkiej przemyślności, poczucie, że zazdrosny bożek potężny jest, ale głupi, skoro równie dziecinnym wybiegiem można go w pole wywieść i nieszkodliwym uczynić.

Ledwie widoczni zza stosu podarków, Imbram z Ofką siedzieli nieruchomo obok siebie. Ofka miała na głowie zawicie z chusty cienkiej i białej jak śnieg, suknię obcisłą, mocno błękitną, oszytą u dołu frędzlą. Suknia i chusta przywiezione były kiedyś dawno z Kijowa, a tkwały je roby greckie. Dziecko przykrępowane powijkami do wklęsłej bukowej deszczułki, pokryte kosztowną złotem dzierganą zasłoną, leżało na jej kolanach, nie rozumiejącym wzrokiem patrząc na przesuwany się korowód ludzi. Niedołężne spojrzenie chwyciło z przebłyskiem zaciekawienia przelot rzucanego na radno przedmiotu. Imbram trzymał dłonie nieruchomo na kolanach. Włosy przygładzone i nasmarowane tłuszczem lśniły w słońcu. Ofka spozierała nań z ukosa, usiłując przybrać ten sam co on nieruchomy, skupiony, a zarazem obojętny wyraz twarzy. Daremnie. Po drobnym jej licu, wybielonym przez słabość, przelatywały uczucia radości, zachwytu, ciekawości i dziecinnej dumy, widoczne i ruchliwe jak obłoki gnane po niebie. Piersi jej wzbierały pokarmem, ciężyły, rozpierały boleśnie lnianą ciasnoczę i błękitną w Carogrodzie tkaną szatkę, potęgując uczucie niemieszczenia się w dotychczasowym kształcie, wyrastania ponad siebie samą. Spojrzała znowu na męża. Nie poruszył się, nie zmienił wyrazu twarzy, lecz po niedostrzegalnym drgnięciu powieki poznała, że zauważył jej spojrzenie i dzieli jej radość.

Wojacy przeszli. Teraz ciągnęli hospites lub hospes, osadnicy wolni, nie przywiązani do ziemi, obrabiający pańską rolę własnym sprzężajem. Zależnie od zamożności znosili płótno bielone, mąkę, krupy, kruchy soli, krasę wełniaki, ciołka, barana, podswinka, gołębie lub gęsi. Za wolnymi, liczniejszą gromadą, szli osadnicy niewolni, czyli chłopci i narocznicy, dostarczający dla dworu narzaz, osep i stróże, sprawiający przewód, powóz, wywóz, pomiot, nastawę, mostne, poradlne, podworowe, powołowe,. Skromne były ich 'darunki: miarka orzechów zbieranych w lesie, krótaka pachnącej żywicy, piskorzowe prątki wysuszone, jarzmo gładko wyrzeżane lub płozy do sani. Rzucali je z ulgą na radno, mamrocząc niezrozumiałe słowa dani i chciwie wdychając zapach pieczonego mięsiva niosący się tu z dziedzińca. Sterty chleba i beczki piwa stały opodal. Patrząc na nie, czuli po raz pierwszy w ży-

ciu błogą zyczliwość ku panu, wdzięczność dla małej istotki, dzięki której będą mogli przez trzy dni jeść i pić do syta, Zarazem jednak do radości mieszał się żal, że brzuch ludzki tak małą ma pojemność i choćbyś nie wiem jak pragnął, człowiecze, nie zjesz więcej, niż podołasz, nie zmieścisz w kałdun tego wszystkiego jadła, co tutaj nagotowane. Drapiąc frasobliwie kudły, szli ku stołom i wzdychali. Pochód dawców zamykali pisarczyki, bobrowniki, bartni-ki, rybitwy. Nie zwykłe roby, lecz dziedzicznie z ojca na syna zawód swój sprawiający. Każden z nich nosił we krwi doskonałą znajomość natury i obyczajów stworzeń oddanych ich pieczy. Przynosili rączki miodu, kręgi wosku, skórki bobrowe, wędzone i suszone ryby...

Nie przeszli jeszcze wszyscy, gdy na dziedzińcu rozległ się tętent. Gość zapóźniony z darami? Nie gość. Swoj. Ze złym pono darem. Zbylut, zdyszany, na koniu zdrożonym do tyła, że wyglądał jak licha szczawręga. Zeskoczył, rzucił wodze pachołkowi i szedł pieszo ku gromadzie.

Już Głowacz oderwał się od niej, by spotkać przybyłego samodwa. Ciężko mu było iść: od brata powiało przypomnieniem niepewnych wypadków. Usunął je z umysłu, by nie zaszkodzić bratańcowi, i usunął je tak dobrze, że zdały się jemu samemu niebyłe.

Z innym zgoła uczuciem Ofka patrzyła na zbliżającego się Zbyluta. Nadejście jego dopełniało miary radości, stanowiło ten jedyny, ostatni szczegół, jakiego brakowało do poczucia pełności zwycięstwa. By i ten wzgarclliwiec posępny, szydli-wy, ujrzał ją strojną, świętą, czczoną .matką Witosława. Niech patrzy, niech się podziwi...

Dotychczas miał dla niej tylko milkliwą wzgardę i niechęć, na którą czym by zasłużyła, nie wiedziała. Bo dawniej, dawniej, gdy jeszcze jako młódka prostowłosa biegała, zdało jej się nieraz, że ją wyróżnia spośród innych dziewcząt. Raz nai stadzie w noc Sobótki chwycił ją za ręce i ciągnął bież słowa w las.

Że oczy mu się świeciły jak wilkołakowi, wyrwała się i uciekła. Wnet też później mówili się z Imbramem. O, Imko, miły, luby, swój! Nie było nic z wilkołaka w tym mężu, przyjacielu. A Zbylut nie znosił ich obojga i nie krył się z tym bynajmniej. Dopóki Ofka była niewiastką, której jedno prawo: milczeć, zносиła to w skrytości, usuwając się byle dalej od niego. Lecz dziś zmieniło się. Wiele ją Zbylut obchodzi! Pokraśniała z zadowolenia i spojrzała wyniośle na podchą-

dzącego. Odpowiedział na wyzwanie złośliwie litosnym uśmiechem, krzywiąc twarz w świadomości przynoszonej przez się klęski. Ofka spuściła oczy i mimo woli chwyciła Imbrama za rękę. Zbylut patrzył na brata jadowicie.

— Jeślić miłe oczy — rzekł półgłosem — odpraw tych ludzi i chodź do izby na radę...

— • Wnet przyjdę — odparł Imbram pogodnie, nie ruszając się z miejsca.

Doczekał, aż złożono ostatnie godne, i wówczas wstawszy prosił ofiarodawców, by szli do uczty, zachowując dobrą myśl. Czeladź zgarniała dary, zapędzała przyprowadzoną żywinę. Szafarz Pobieda skwapliwie zbierał cenniejsze przedmioty, by je do górnej izby zanieść. Ofka tuliła się do męża. Jej poprzednia radość i pewność zmierzchły, jakby powiał na nie nagły chłód.

— Tak się czegoś bojam. Imko... tak się bojam...

— Nie bojąc się, miła, isto nie ma czego... O, mały zasnął... Jak to sobie śpi chrobaczek... Odnieże go doma.

— Skoro przyjdiesz? — pytała, nie mogąc się rozstać.

— Jużci, że skoro.

Oj, nieskoro przyszedł, nieskoro. Późno w noc czekała nań chodząc w swym długim lnianym giele od łoża do okna patrzeć, jak księżyc bije się z chmurami, i znów od okna do łoża pojrzeć na małego, śpiącego cicho w opałce. Nasłuchiwała trwożnie pogłosu rozmów toczonych na radzie w sieni, dolatujących chwilami aż tutaj, to cichego chrabęszczenia w ścianach i trzaskania. Na koniec rozległy się kroki. Imko nadchodził. W stąpieniu powolnym, ociągającym się wyczuła nieomylnie złą wieść. Zastygła w bezruchu. Imbram ujął ją za rękę.

— Słuchaj... • — zaczął.

I długo, uważnie, dobierając słowa, tak by białka będąc zroszowała przecie, o co idzie, jął jej opowiadać o poparciu danym Zbygniewowi (bodaj ziemia otroka zeżarła!), o kruszwickiej nieszczęsnej porażce i ostatnich wiadomościach przywiezionych przez Zbyluta. Przerażliwe wieści. Okłętę nowiny. Sieciech z Czechami się zmówił i ze wszystkich stron Śląsk okrążył. Przysięgł on na miecz, że nie spocznie, aż opiekunów Zbygniewowych wytraci jako jaźwców w jamie, a plemienników ich w swoim Sieciechowie zawrze. W Małopolsce podżegł przeciw wielmożom władcyków, ziemię im po buntownikach obiecując. Sam nadchodzi z wielką siłą. Jastrzębców obiegl, starego Gniewa ubił, a młodszego

Ostoja pojmał ł kupcom wschodnim w niewolnik! sprzedał. Porwały się na to — prawil Imbram — wszystkie, powiadając, że nie może być, a Zbylut bił się w piersi i ryczał, że prawda jest, że tak! W niewolniki sprzedał Sieciech Jastrzębców książęcą, rycerską krew!

Na to się ważył! Wobec takiej hańby Bieliny, Jastrzębco-we krewniak!, i Awdańce, które z Bieliniami miały wrózdę od dwu pokoleń trwającą, ugodziły się i wzajemnej pomsty przysięgły zaprzestać ślubując społem zgubę Sieciechowi. Na razie uchwalono na Węgry pójść, tam się skrzyknąć, zebrać i w sposobnej chwili uderzyć, dobierając do pomocy rycerstwo, co z Bolkiem na węgierski dwór uszło i dotąd tam siedzi. Bo tu - - prawil wojewoda Magnus — wybiorą nas po kolei jako raki z kosza...

Tu Imbram urwał i zamilkł. Zmilczał przeto, by żonie próżnego żalu nie przyczyniać, gdyż wedle słów Zbylutowych wojewoda dodał potem, iż kto by nie chciał uchodzić, niech się z Włodzisławem ujedna, co hańbą nie jest, bo Zbygniew pierwszy ich odbiegł i zdradził. Włodzisław krwie niechciwy, daruje chętnie. Może ja sam tak uczynię — gadał wojewoda — bo gdzie nie można przeleźć, trzeba podleźć, a może jeszcze doła się odmieni i ja Sieciecha raniej w loszku przywrę niżeli on mnie...

...Dwie są drogi dla rycerstwa, społem na Węgry albo się z księciem ujeclnać... jak komu wola, a trzeciego chodu nie ma...

Tak uchwalono na wrocławskiej radzie.

Obejmując Ofkę ramieniem Imbram przypomniał sobie *f.* goirytżą, jako wtedy chciał powstać i rzec, że on jest z; a\ ujednaniem. I jako Zbylut spojrzał na niego szydliwie, powiadając: Słuchajcie Imbrama, on się pewnikiem ukorzy, Włodzisławowe ciżmy będzie ślinił, bo mu luto białki i dziecka odjeżdżać...

I choć w słowach tych odgadnął najskrytszą myśl braterską, on, Imbram, zgorlił się, wstał i zaklął na cześć rycerską, że młodszym będąc tak postąpi, jak starsi bracia uchwała...

A oni postanowili... jechać...

Głowacz. byłby ano ostał, byłby ostał, jeno Zbylut poty gadał, a hańbił, a judził, aż wszystkich bez mała przekonał. Uchodźć mają na Węgry. Nie ma już dla Imka wyboru...

— Sam bym rad płakał nad sobą — wyznał żałośnie. — Wyjechać łacno, a kiedy wrócim, nie wiada... Może na Gody, a może dopiero wiosną...

Leżąc w jego ramionach nie odpowiadała nic, odurzona jak obuchem, zabita głuchą rozpaczą.

Senli to był straszliwy czy jawa? W jednym dniu z wyżyny nieopisanego szczęścia, radości i dumy zlecieć w przepaść opuszczenia, niepewności i rozłąki? Możliweż to? Los mścił się srogo za radość. Prawdę mówiła Bogucha!

Zatrwożony milczeniem podniósł ku sobie jej śliczną twarz, ledwie majaczącą w mroku, bo miesiąc skrył się za chmury. Poddawała się bezwolnie, zwiotczała z żalu, osłabła. Ogarnęła go nieopisana tkliwość i żalność nad sobą samym i nad nią. W ciemności muskał ostrożnie palcami jej lice, jakby był ślepcem, któren dotykem stara się zapamiętać kształt ukochany. Nie widząc, uprzytamniał sobie głębokie wnęki oczu, na dnie których w otoczy leżały tafle przezroczyście źrenic, bławe zwyczajnie, ciemniejące w chwili miłosnych wzruszeń, a ninie nalane łzami. Nos prosty, cienki, drgający. Usta małe jak u dziecka, tak skore do śmiechu, skrzywione teraz żałośnie, zawarte bólem zbyt wielkim. Wysmukłość szyi kruchej jak łądoga... O kształcie nadobny, kształcie wdzięczny, co uczynić, by cię utrwalić, przechować, ubezpieczyć, ujrzyć po długiej rozłące takim samym, jakim dziś jesteś? Ukryć jak złoto, jak srebro, jak cenny klejnot, napierśnik, zaponę, i nie zmienionym wydobyć? Obaczyć na licu tę sama niewy-słowioną grę pierzchliwych cieni, barw, ruchliwych drgnień stanowiących istotę urody, sprawiających, że te oczy, te usta, te lica miłsze są niż wszystkie inne... Próżne marzenia! Bodaj że kwiat trwalszy jest od krasy umiłowanej! A raczej równie nietrwałe są oba. Nigdy dzień po dniu taką samą jej nie zastaniesz, a cóż dopiero po roku. Co może nastąpić po roku? Przecz uczyniłeś, Boże, że człowiek przywiązuje się do tej znikomości bardziej niżli do srebra, złota, nawet sławy?! Wieleż rozumniej postępują ci, którzy widzą w niewieście ilko narzędzie przelotnej rozkoszy i samkę płodzzącą dzieci? Jeno jak ich naśladować, nierozsądne przywiązanie z serca wygnać? Choćby nie wiem jak pragnął on, Imko, wyzwolić się z uroku miłej, nie podoła temu żadną siłą, żadną mocą...

— ...Cichaj... Cichaj... — szeptał, chociaż nie mówiła nic, leżąc bez ruchu, bez słowa. W belkach ściany coś trzaskało, może kornik, może dziad... W uśpionym domu słycać było tajemne szmery, stąpania, szelesty... Ktoś się ocierał o ściany, ktoś motał przędzę, niewidzialną przędzę zdarzeń. Jakaż to prządka w dom weszła?

Dola czy Niedola?

Rozdział piąty

...RYCHŁOLI WRÓCĄ?... NIERYCHŁO... NIERYCHŁO...

Trąc łysą czaszkę, okoloną równym wieńcem włosów, opat Gwido rozważał zamiary rycerstwa.

Korzystne są czy szkodliwe? Juźcić najlepiej byłoby, gdyby się ujednali z księciem. Skoro jednak tęgokrwiste, zawzięte wojaki nie chciały o tym słyszeć, lepiej stokroć, że wyjeżdżają, niżby się tu miała wojna zacząć. Wynik wojny bywa różny i niepewny dla rycerstwa, ale niezmiennie jednaki dla pracującej ludności: zniszczenie, głód, mordęga. Niech więc jadą, owszem, niech jadą. Mądry był, kto to wymyślił. Ale Węgry są zbyt blisko.

miedze. W dwie niedziele dojedziesz. W dwie niedziele wrócisz, Dobrowolnych wygnaćców nikt tam długo nie utrzyma. Troska o ziemię i dwory, wieść-plotka przeinaczona, przywiodą ich rychło z powrotem i dopiero zaczną się taniec. Nie, nie, niech jadą dalej, najdalej, by rychlej jak za rok nie wrócili...

I korzystając z tego, że spytano go o radę, jął gorąco namawiać rycerskie grono, by miasto w Budzie próżno siedzieć, pąc odprowadzali do świętego Idziego w Prowansji. Taka pąc odpuszcza wszelkie przewiny, może nawet zsunąć klątwe — tu opat spojrział znacząco na Nogodzica — taka pąc jest dziełem rycerskim, dziełem pięknym, sposobnością jedyną do uzyskania zbawienia duszy, a razem obaczenia szerokiego świata...

Mówił wymownie, lecz oni mruczełi niechętnie, że nic im po tym, gdyż żaden nie zna, którądy w te kraje jechać, i rychło by zabłądzili...

Opat wzruszył ramionami.

— Zbłądzić? — zawołał — śmiech pusty! Droga prosta, bezpieczna, wiadoma... Znana jak królewski gościnięc krakowski! Przez Węgry, Kroację, Istrię, Akwileję, Wenecję

Prowansja tuż... Zali oni pierwsi z Polski pójda tym chod-

nikiem!? Ilu już tę pąc odprawiało! Trudno zliczyć. Dyć drzewiej, gdy Rzym we władaniu niemieckim ostawał, zawdy z Polski jeżdżono do Prowansji o konsekrację biskupów prosić... Bo biskupstw tam jak mrowia, jak nigdzie na świecie... Jedno przy drugim, a bogate, a wspaniałe! Arles, Nimes, Narbonne, Viviers, St. Pons, Orange... Znam te strony... Z Nimes pochodzę... Móc ten kraj obaczyć, a nie jechać... Boże! A ostatnio, toć znacie, że Włodzisław posłów do świętego Idziego słał, by mu się syn z Czeszki, Judyty, narodził!... Pojechali. W trzy kwartały bez mała wrócili. Jakiejże tam mocy i łaski doznali! Ledwo po nabożeństwie dary książęce złożyli, figurkę dziecka ze szczerzego złota, kielichy, ornaty i płaszcz, już im zakonniki prawią: „Wracajcie doma, bo księżna poczęła”. Nie chcieli wierzyć, bo im się zdało za skoro, a zakonniki swoje: „Jako mówimy, tak jest. Księżna będzie miała syna, ale dla niej droga niebieska się ściele...” I prawie tak było. Na jesienne siewy Bolko się narodził, a na Gody Czeszka zmarła! Świeć, Panie, nad jej duszą!

Dopieroż w chwale poselstwo wracało! Wiele gadali! Na życie im starczy! Mały Bolko już na koniu gracko jeździ, a oni precz jeszcze o tej drodze jako o nowości powiadają... I słusznie. Tak i wy wróćcie ze sławą a dużym pożytkiem, bo zgon Sieciechowy łąco uprosicie. Święty Idzi wszystko pątnikom przyczynia, a jużćić łatwiej mu ująć ze świata męża wojennego, niż wzbudzić dziecko w łonie niewiastki, co i sama bezpłodna, i mąż jest niemrawiec. Jeśli więc tamto uczynił, uczyni łącwie i wam, wielkich darów wcale nie żądając.

Słuchali uważnie tych przemądrych racyj, wszakże na postanowienie zdobyć się nie mogli. Że tak daleko! Z Węgier zawsze można wrócić, gdyby się widzieć dało, że Sieciech jakąś niecnotę zamyśla... ..Wiem to dobrze... — pomyślał opat i głośno nuż prawić, że mienia pątników nie odważy się nikt ruszyć, bo za to Kościół rzuca kłątwe, a święty Idzi śmiertelne porażenie członków, o czym wielu już dowodnie się przekonało. Tym bardziej nie uczynią im nic Włodzisław z Sieciechem, bo do nowej katedry potrzebują papieskiego błogosławieństwa i wielkich relikwii...

Jeszcze nie przekonani wysuwali obawę przed wiedźmą--tęsknicą, co na dalekiej obczyźnie ludziom serca zżera i leku na nią nie masz. Podobno od wstrzykniętej przez nią słabości cień własny opuszcza człowieka i wraca w rodzinne strony.

A wiadomo, co wart jest człowiek bez cienia! Prędko sam cieniem się staje.

Tak, sroga to chorosc, opat o tym dobrze wiedział, lepiej niżli oni. Pamiętał lata, w których błądził takim właśnie cieniem, tracąc sen, chęc do jadła i możność modlitwy... Przeszło to wszystko, zamarło... Ale pamiętał.

Niemniej teraz istnieniu wiedźmy zaprzeczył żywo, gorąco. Wywiódł jak na dłoni, że uczucie obcości, tęsknoty za krajem jest właściwe tylko jeńcom lub pospólstwu. Rycerzowi cały świat otworem. Wszędy ojczyzna, gdzie znajdzie pole do wykazania odwagi. W każdej społeczności chrześcijańskiej, chociażby na końcu świata, rycerz pasowany jest bratem rycerza. Wszędy mu rodzina i ojczyzna, bo rycerski chrześcijański zakon jednoczy wszystkie narody. W tym jego moc i chwała. W Prowansji nie tylko będą ich witać serdecznie, ale i podziwiać jako mężów, co niejednokrotnie zwalczali na łowach srogie bestie, *tigrides et unicornes*.

— Jakie bestie? — Zdumiał się Głowacz.

— *Tigrides et unicornes* — powtórzył opat dobitnie. — Po tutejszemu ząbr i jednoróg.

— Nigdy nie słyzał o jednorogu.

— Wyznam wam, rycerzu, że w moim mniemaniu nic to innego jak ząbr albo tur. Wedle prowansalskich gadek naj-srozsza to, najdziksza bestia na świecie. A cóż jest większego jak ząbr, srozszego jak tur?

— To większych bestyj już nie masz?

— Jest, owszem, pono jedna jeszcze większa. Zowią ją *elephantus*... Golemy potwór!

Wzniesioną głową, od której wisi nos długi na dziesięć łokci, sięga wyżej niż najwyższe drzewa, nogi ma jak wielgachne dęby... W chrześcijańskich krajach się nie trafia, jeno w pogańskich, etiopskich. Snadź z czartem trzyma spółnictwo...

— Skąd wiecie, panie, to wszystko?

— Z uczonych ksiąg przez arcybiskupa Aarona przy katedrze krakowskiej zebranych, który to zbiór zowią z grecka biblioteką. Pierwszy w Polsce. A ogromny. Do dwudziestu opus liczy. Przeczytałem prawie wszystkie te yolumina...

Patrzyli na niego z podziwem i zdumieniem, gdyż sama nauka liter zdała im się rzeczą trudną nad pojęcie. Lecz opat, choć zadowolony z uznania, szybko nawrócił do właściwego wątku rozmowy, którym była

Prowansja i gród świętego Idziego, w tamtejszej mowie zowący się Saint Gilles. Zrazu malował powieść krasnymi barwami z rozmysłem, by

ich do podróży zachęcić. W miarę jednak jak mówił, ogarniał go wiecznie żywy urok niezapomnianej ojczyzny. I nie dbając już o to, czyli pojedą lub nie, prawił z zachwytem, przytłumionym głosem, o górach, winnicach, kamiennych zamkach, oliwkach, skałach bieluchnych od słońca, o morzu, jakiego żaden z nich póki żyw nie baczył, morzu szafirowym, skaczącym śnieżystymi wełnami na brzeg...

Czarowne to było jak bajka, a oni ciągiem jeszcze wahali się w dwie strony. Prawdę rzekłszy, nfelubo im było zapuszczać się samym w obce kraje. Po raz pierwszy mieli wyjechać samotrzeć, nie z królem, nie w tęgiej drużynie wojac-kiej, radośnie ciągnącej po zdobycz. Mieli wędrować jako wygnańcy, bez określonego celu, bez pewnego powrotu. Mogli iść jak sierpem rzucił, gdzie wola, na południe czy zachód, i ta świadomość napełniała ich przykrym niepokojem. Sprawy proste i łatwe, gdy się szło w kupie, pod przewodem swego króla, orężnego pana, widziały się teraz złożone i trudne. Jak im się będzie żyło w tej obczyźnie? Po jakimu wtedy będą gadać, jeśli pojedą gdzie indziej, niż na znajome Czechy albo Węgry? I frasobliwi, po raz pierwszy bodaj w życiu nie wiedzący, co począć, targali obwisłe wąsiska, spozierając na siebie niepewnie,

i

Głowacz wstał przerywając wymowę opata.

— Tak czy tak — rzekł — jechać trzeba przez Węgry. Samiście, panie, mówili. Na Węgrzech uznamy, czy pąc odprawić, czy nie.

— Słuszna, słuszna... — przystawał opat roztargniony przecierając oczy olśnione widem ojczyzny. Zatopił się w nim do tyła, że prawie zapomniał, o co mu przedtem chodziło. Niech sobie jadą, gdzie chcą. Co go to obchodzi? Prowansjo! Prowansjo!

Pozostali rycerze odetchnęli z ulgą. Jużci, co na Węgrzech uznają. Mądrze Głowacz rzekł!

Ruszyli się z sieni ławą. Trzej Strzegonie, dwóch Zaworów, dwóch Mowinów, trzech Oświętów i Nogodziec jeden. Razem jedenastu.

Na dziedzińcu przed domem rozsiedli się na murawie ścier-ciały i sługi, mające jechać z panami. Będzie ich dobre pół kopy. Siedzą w milczeniu, nie radząc nad niczym. Choć są liczniejsi, choć na nich legną ciężary i kłopoty drogi, nie oni stajDiojwią o jej kierunku. Nie mają tu nic do gadania. Ich prawo słuchać, co powie wielmoża. — Czeka ją. •— Kazano

konie mieć gotowe. Są gotowe. Wozy również, tylko woły, pasące się tuż na wygonie, podprowadzić. Przy wozach mocnych, pełnokołych, dobrze smarowanych, szafarz Pobieda chodzi wzdychając. Próbuje ręką, czy dobrze uwiązano wory z pieniędzmi potrzebnymi na długą, a nie zdobyczną wyprawę. Oj, lelum! Zwycię rycerze zwozili w dom dobro, a teraz poczynają wywozić. Żle, źle. W płaskich miechach kołczą srebrne denary króla nieboszczyka, z jego podobizną i napisem: *Boleslaus justitia*, piękne denary, ciężki-e, dobrej wagi. Wzdycha szafarz jeszcze głośnie, gdy dźwiękną pod ręką złote grzywny i bugi ramienne, zdatne do łamania na cząstki, gdy trzeba, miałkiego grosiwa. W osobnym worku leżą grosze czeskie, skojce i szelągi, a także Hermanowe brakteaty, liche blaszki, tylko po jednej stronie znaczone. Prócz monet, w takichże worach-bułgach ze skóry wołowej, znakomicie chroniących od wilgoci, znajdują się łupieżę kunie, płyty cienkiego płótna i sól. Wszystko przeznaczone na podarki lub wymianę, bo wiele jest osad, gdzie monety nie chcą przyjmować, nie widząc jej użyteczności, radzi zaś obrok i jadło za towar gotowy mieniają.

Na drugich wozach, starannie skórami okrytych, leżą suszone placki jęczmienne, mięso wędzone, kadź smalcu dla okrasz i do włosów, skóry niedźwiedzie i wilcze do spania, zapasowe rzemienie, kołczany i łuki. Zapas strzał. Na wierzchu, każdej chwili łatwe do wzięcia, wielkie kopie i podłużne szczyty. Stylisko kopii zaostrzone jest i okute z obu końców, a to, by siedząc w siodle, łatwo je można wbić w ziemię obok konia, nie nużąc dłoni. Szczyty wieszają się na szyi na szerokim pasie, do boju przeciągając jeszcze lewe ramię przez pętlę, na odwrocie tarczy mocno przyklepaną.

Ten ciężki oręż pojedzie na wozach. Zdałoby się złożyć także na wozy zbroje i hełmy, uciążliwe w długą drogę, w czas upału, lecz idąc w cudzy kraj nie wypada tego czynić. Jakoż-by obcy poznali, że rycerze pasowani jadą?

Zresztą zbroje te są lekkie, niecałkowite, jak u Chrobro-wych bywało. Zamiast pancerza kołczuga z siatki żelaznej, kolan sięgająca, z rękawem okrywającym dłoń aż po końce palców. Na niej rycerski pas srebrny lub złoty. Hełm krągły, spiczasty, z lambrami po bokach i siatką osłaniającą kark i potylicę. Miecz goły, szeroki u pasa. Mizerykordia na piersi, Pod kołczugą kaftan skórzany. Nogawice z siatki lżejszej nieco niż kołczuga.

Błyskając złotem łańcuchów i pasów, rycerze stoją gotowi

do drogi. Zająkliwy, lecz mądry Momot bełkocze, że czas jechać, bo nic się zwlekaniem nie zyska. Chyba to, że Sie...sie-ciech du... dukle wojami obsadzi. Prawie gada. Jechać, to jechać. Gniade woły już stoją przy wozach. Parskają okryte kropierzami konie. Scierciały, milites gregarii, zarzucili kołczany i łuki na plecy. U pasa mają miecz, w garści włócznię. Zwykle sługi niosą palice nabijane krzemieniami i topory!

Jechać! Jechać! W ciemni izby szeroko otwartej starzyk, dominus, ze swego wyrka woła coś niezrozumiale. Stara się podnieść, wyniść. Mierzwi się po swoim barłogu. Chrzypliwe jego gdakanie zda się wojom głosem nieżyjących dziadów--opiekunów. I ciężkość spada na serca. Odjechać łatwo, a powrócić trudno. Kany powiedzie ich nieznana cesta? Kiedy ponownie obaczą śląskie swoje puszcze i domowe święte progi? Czyje kości wybielał się na obczyźnie, a dusza z nawrotem wśród swoich nie trafi?...

Bogucha stoi przed domem nieruchomo. Ręce złożyła godnie na podołku. Z pogardą patrzy na Ofkę, co ze szlochem i łkaniem czepia się ramion mężowych. Nie mogła pożegnać się raniej w komorze, jeno tu w obliczu wojów jasełka odprawia?! Albo i ten Imbram! Zamiast odesłać żonę do izby, gładzi ją po głowie krótko ostrzyżonej, z której zsunęło się zawicie. Białka z gołą głową przy obcych wojach —• niewsty-da! Gdzie Głowacz? Czyż na to pozwoli?!

— ...Oj, wolej bym umarła — zawodzi Ofka śpiewnie jak płaczka — wolej bym się w kanię przemieniła i za tobą poleciała... wolej bym zielem czakanką ostała i przy drodze wędła... oj, Dolo!
— Przestań! — syczy Bogucha ze złością. — Pokarm ci się obróci i zgorzknie... Dziecko strujesz... O dziecko dbaj, nie o chłopa!

— Dobrze mówi Bogucha, idź do małego — powiada Imbram łagodnie, lecz nie puszcza płaczącej z objęcia.

— Wołałam ciebie z zakłębem, toś przyszedł, a jakoż teraz posłyszysz na Węgrzech za tyłimi górami?... Jako mam. cię przywoływać?...

— Przestań! — woła rozszniona jątrew. — Syna masz! Syna! O niego dbaj! Słozami nic nie odmienisz!... Bacz! Nie trzeba się było tyła cwanić, chwalić, storzyć! Nie powiadałam, że boża ozeźlisz? Nie ostrzegałam? Na drugi raz słuchaj mądrzejszych, Ofka nie słyszy nic, nie odpowiada, lecz Imbram zaciska mimo woli pięści. Ogarnia go gniew i bunt przeciw tym mo-

com zawistnym, wiecznie sprzeciwym, krzywym na każdą biedną ludzką radość. Dość, by człek w poczuciu szczęścia wyrzekł szczerze: Dobrze mi, już suną gacki ponure, émy niewidzialne, by tę szczęśliwość zatruć, zgłodzić i omroczyć. Bodaj przepadły! Bodaj je przegnał Bóg Krystus łaskawy! Głowacz spokojnym, gospodarskim głosem rzuca w kierunku żony i szafarza ostatnie zlecenia i rozkazy. Co gdzie mają siać. Z której kupy brać ziarno do siewu. Siwą klacz trzeba odstanowić cisawym ogierem, a graniatą cielicę pokryć tym łysym buhajem... Dobytku strzec...

— Nie troskaj się, wiem, co trzeba — zapewnia Bogucha i Głowacz kiwa przyjacielsko głową, wiedząc, że słowa żony mają wagę. Nawet rozporządzenia poprzednie wydawał raczej ze zwyczaju jak z obawy. Zły był i markotny, że odjeżdża gospodarstwa, żniwa, pszczoł, ulubionych koni, Boguchy, nawet tych utrapionych dziewczek, które mu rodziła, zamiast synów — nie niepokoił się jednak bynajmniej. Czyż nie zostawiał małżony, białki statecznej i mądrej? W przeciwieństwie do Imbrama, nie wątpił, że czy powróci za rok, czy za dziesięć lat, zastanie ją taką samą, godną, rządą, zabiegliwą, strzegącą niestrudzenie mężowskiego dobra. Była to świadomość kojąca.

Już wszystko gotowe i nic nie stoi na zawadzie odjazdu. Opat błogosławi odjezdnych uroczyście, podnosząc w górę swą łaskę krzywulę. Ofka płacze cicho, tuląc twarz do piersi męża. Jasne włosy czepiają się łusek kolczugi. Dłonią okrytą żelazem Imbram usiłuje niezdarnie nakryć je zsuniętym na barki zawiciem. Zbylut śledzi ich spod oka, z właściwym sobie szyderczo wrogim wyrazem. Jasiek Zawora uśmiecha się życzliwie w przestrzeń, jak to Jasiek. Starszy brat jego, Momot, milczy, jak to Momot. Milczy nawet gaduła Tarchała. Zarówno jak inni patrzy w las udając, że nie widzi niestosownej słabości Imbramowej. Wiadomo i tak, co każdy o tym w duchu sądzi. Ludbor Oświętów nalega: Jedźmy, jedźmy, Szafarz Pobieda dźwiga konew miodu. Dziewczęta przyniosły już kubki gliniane, żegnalne.

Odlawszy parę kropel dla bożat domowych, rycerze piją do dna. Prasną kubkami o ziemię, zadcpczą

skorupy nogami. Pokłonią się nisko w pas domowym progom, ścianom, strzesze...
Skoczyli na koń. Ruszyli.
Zatrzeszczały jarzma wołów, zaskrzypiały bolejąco koła, choć nasmarowane.

___ Ofka! Nie smęć się! Rychło powrócim! — zakrzyknął
Imbram od bramy.

___, Nie obracaj się! — warknął Głowacz. Wściekły był na
brata. Nie rycerz, lecz boginkowy odmieniec! Niezguła!
— Nie płacz! nie! Wróćm rychło! — powtórzył gromko Imbram ku staniającej się przed
opuszczonym domostwem postaci.

Złośliwy duszek Pomian pochwycił okrzyk niebaczny. Już od ciemnej ściany boru leci ku jadącej
gromadzie rycerskiej szydliwe wypominanie: ...nie... rychło... nie... rychło... nie... rychło...
...A działo się to szóstego lipca, w dzień świętej Dominiki, męczenniczki i panny, roku Pańskiego ,
który to rok był ostatnim z bieżącej indykcji, siedemdziesiątej trzeciej od Narodzenia Pana naszego,
Jezusa Krystusa.

Rozdział szósty

O ZBAWCZYM KLASZTORZE W SROGICH GÓRACH ALPEJSKICH LEŻĄCYM

Prawdali to, że pogodnie ciepły wrzesień ściele się jeszcze w opuszczonych niedawno dolinach?
Prawda, nieprawda lub czary, skoro zamieć śnieżna owija tchem śmierci wędrowców. Fujawica zatyka
dech w gardle. Ostre źdźbła śniegu skleją rzęsy, ślepią oczy. Kostnieją ręce. Lodowacieją ujęte w
żelazną siatkę łydy i golenie. Pomroka spowija głowę. W białym świszczącym tumanie zamieci,
śnieżnej błóżynie, w odmęcie lodowych skier, wirujących płatków, majaczeję chwilami — wąska
perć, obrywistne turnie, zerwane źleby lub skaliste zręby, zwieszające się niskim pułapem nad głową.
Zamajaczą, zaczernią i pierzchną, cofną się w białą olugę, jak za grań niebytu. Zdradliwe kolisko
zamieci rozścielę się na ich miejscu niby łagodna płaszczyna, ni to step szeroki, ni to wygon wsiowy,
po którym tarza się śnieżna kurzawa, lecz. jechać możesz bezpiecznie, dziwiąc się tylko, że wiechy
wytycznej nie widać.

Zaledwie jednak utrwózona myśl spojrzy z ulgą w tę złudną nizinę, jużci się ona rwie w oczach, łamie,
rozdiera, odsłaniając pod sobą próżnię, przepaść nagłą jak błysk miecza, uciekającą spod nóg
zawrotniej, niż zdąży oko. I ukazawszy na mgnienie swą grozę, zawiera się znowu świat górski, nad
wszelkie pojęcie ludzi nizinnych straszliwy.

Śmiertelny, srogi świat! Wicher strąca z ganku w dół. Konie chrapią przerażone, odmawiając kroku w
przód. Niezwyczajne góry, ślizgając się po upłazach. Zdążający przodem mul-nik przewodnik obraca
się raz po raz. Woła przeciągle: Nadążać, nadążać! Kto przystanie — zginie!... Próżne wołanie.

Głos jego tonie w zamieci i tylko dzwonki przy uprząży muła brzęczą dzwonkiem konających. Głuszy
je wicher, rzwący jak róg bawoli, w który zatrąbią anieli na Sąd Ostateczny, jak smok, Lewiatan,
uwięziony w gardzielach wąwozów., Znaro-wiony rumak burzy wziął na kiel i sadi po szczytach. W
ze-

stawieniu z jego mocą czymże są skoki Śwista Pośwista, puszczańskiego bożka, tratującego zielone
kopuły drzew? Czymże są przy alpejskiej grozie, jeśli nie łagodą samą? Tętnią kopyta potężnego
zwierza, furkocze, trzepie się grzywa, omracza-jąc cały świat, klaska i chlasta ogon zmiatający pył z
wierchów i przepaści. I nie tylko zwykła istota człowieka, lecz rycerz, nobila, wielmoża zda się przy
nim czymś węższym od złotoskrzydłej jętki jednodniówki.

W trwożnym poczuciu tej nicości, ostatkiem instynktu życia, ostatkiem sił i woli, prą się w przód
rycerze węgierscy i polscy, w ślad za mułem przewodnika i ginącym w wichrze głosem dzwonka.
Krok za krokiem ciągną ku przełęczu Monte Jovis. Węgierscy jadą z poselstwem do Ojca świętego.
Gdy zdążają ludzkimi dziedzinami, nie pustacią przeklętą jak ta, jeden z licznych sług, towarzyszący
poselstwu, niesie przed nimi pozłocisty kształt wzniesionej ręki na wysokim drzewcu. Ręka oznacza
prawo monarsze, powagę i nietykalność poselstwa. Nietykalność wobec ludzi, nie na wiele bowiem
zda się ona w obliczu żywiołów. Darma nią straszyć burzę. Więc też zmarniałe i pomniejszone
pozłociste ramię wlecze za sobą sługa gdzieś na końcu orszaku, jeśli go już ze zgrabiałej dłoni w
przepaść nie upuścił.

Pospołu z węgierskim poselstwem jadą polscy wielmoże. Ci sami, co dziewięć niedziel temu
wyjechali z Głowaczowe-go dworzyszca. Do gromady przybył im jeszcze jeden dobry rycerz,

Mojmir Ściborowic, którego z królem Bolkiem na Węgry ujechał przed laty i tam ostał. Teraz się do swojaków przyłączył. Dwunastu ich jedzie zatem niby Apostołów. Dobre, gniade woły i mocne pełnokole wozy ostawili wraz z częścią sług na Węgrzech, konnych jeno zabierając ze sobą. Gdyby w przedśmiertnym osłupieniu kostniejącego umysłu był czas i chęć do rozmyślań, tych dwunastu jadących ważyłoby teraz zapewne w głowach gorzkie dumanie nad własną nieostrożnością, co ich wywiodła w te dziedziny śmierci. Wszakże mieli spokojnie siedzieć w Budzie, czekając sposobnej pory, by powrócić doma. Wszakże ich nikt z Węgiei nie wyganiał! Po co tu przyszli? Nic innego, jeno sprawy to mnisze czary. Opat Gwido, Włodzisławowy obmierzły sługa, czyż nie nakłaniał ich jak mógł do podróży, byle dalej odciągnąć od domu? Widząc, że namową nic nie wskóra, nawet-zy posłał za nimi, które zmąciły jasne zazwyczaj rozeznanie wojów.

— Krzyżowcy t. I/II

Tak byliby powiadali niechybnie Głowacz Strzegonia, Mo-mot Zawora lub Nowina Dąb, gdyby się ostatkiem siły ze śmiercią za bary nie brali. A gadaliby niesłusznie. Nie opa-towe czary ich pognały. Sami oni, zasłyszawszy w Budzie, że poselstwo do Ojca świętego wyrusza, przyłączyli się doń. Nie z przymusu. Z dobrowoli. Z owej dokuczliwej trawiącej tęsknicy za minioną wielkością i sławą, za własnym królem i panem.

Urodziwy, rycerski Włodzisław węgierski, syn siostry Każ-mierzowej, na wawelskim dworcu wychowany, widział się im poniekąd ich własnym królem. I myśleli woje, że przyżeniw-szy się k'poselstwu, lubo będzie ciągnąć pod osłoną i przewodem jaśniejącego w słońcu znaku mocnego władacza.

...Bacność, bacność!... Jeszcze oczami ślepić w białą ciemność, jeszcze wodzami podtrzymać ślizgającego się konia, bo mulnik przewodnik krzyczy coś, co dolatuje wprawdzie jak brzęczenie muchy, lecz brzmi trzeźwiącą nadzieją. W gęstej oćmie prześwituje czerwone światełko, błyska przez zasłony śnieżne. Zdaje się dalekie, w rzeczywistości jest tuż, tuż. Pierwsi jadący już są przy nim. To pochodnia. Unosi ją w górę brat zakonny w zasutym śniegiem habicie. Za nim o parę kroków zrąb domu, tak przesłonięty śnieżycą, że bez pochodni przejechaliby mimo, ani zobaczywszy. Dom stoi na przełęczy, gdzie wicher dmie jeszcze silniej, lecz miejsca jest dość. Wędrowcy złążą z trudem z koni. Słaniając się na sterg-łych nogach, Y/chodzą w drzwi, z których bucha ciepło i światło. W wielkiej izbie wałęsają się na szerokie ławy biegnące wokoło ścian. Osłupiałymi oczami, poprzez rzęsy płaczące zamrozem, patrzą na błogosławiony ogień, na zakonników krzątających się przy nich niby przy oczekiwanych, z dawna spodziewanych gościach. Pieczołowite ręce ściągają przymar-złe do ciała pancerze, zdejmują piach przedni okuty śniegiem, kusz tylny iskrzący się mrozem. W dymiących misach roznoszą gorącą polewkę, co zda się esencją czarodziejską życia.

Stojąc pośrodku izby, opat, mąż barczysty, wysoki, liczy wchodzących. Dopytuje, ilu ich było z rana, gdy rozpoczynali podejście. Mówi biegle po łacinie, w której to mowie odpowiadają mu równie sprawnie żupan Geza Sukki de Szuha, poseł, i Mojmir Ściborowic, nieboszczyka króla Bolka niegdyś ulubiony towarzysz. Z rozmowy wynika, że nobile są wszyscy, a ze służby jeszcze trzech nie staje. Starszego ścier-ciały z orszaku żupana Gezy i dwóch serwiensów Oświęta Cwały.

___ Zawdy mi wiatr w oczy wieje — narzeka poszkodowany

Oświęta. — Od samego zarania... Drugim się urodził... Białkę mam puklatą, po porodzie zgarbaciła... Terazem chłopów postradał... Trzech miałem... Jednego na Węgrzech kołtun ze wszystkim pokręcił, a ninie te dwa niezguły kajś się opsnęły... Jako sobie z koniem poradzę?...

___Na moich ani spoglądaj — uprzedza kwaśno brat Ludbor —• dość mają i tak roboty...

— Sam czyścić horza nie będę...

Ludbor wzrusza ramionami na znak, że on też nie. Reszta odurzona ciepłem, parująca zmęczeniem, patrzy sennie na rodzącą się braterską waśń. Lecz z przyległej izby wychodzą trzej zakonnicy w kapturach naciągniętych na głowę, zapiętych ciasno pod brodą, opasani linami, z czekaniem w jednej, a pochodnią w drugiej garści.

— Kajże idą? — zdumiewają się rycerze.

— Szukać zaginionych chrześcijan — objaśnia opat kreśląc znak krzyża nad wychodzącymi.

Cwała kiwa głową z zadowoleniem, rad widząc taką dbałość o swe mienie, lecz pozostali litują się nad mnichami. - Tamtych nie znajdują, sami żywota zbęda.

— Scierciała żupana Sukki z wolnych był, dobrych wojaków, ale Oświętowe to proste chłopcy... Szkada braci w tę oćme posyłać...

— Temu szkoda, co żadnego nie utracił —• odcina zgryźliwie Cwała.

— A nie, to samo bym gadał, choćby i moje przepadły...

— Nie swarzcie się, panowie — uspokaja przeor. — Ratować, zbłądzonych nasza to służba, dla której tenci klasztor zbudowano. Zaś czy nobila, czy chłop, zarówno nam jest, po wszystkich jednak o odkupił Pan nasz Jezus Chrystus Przenajświętszą swoją Krwią...

' % *";•

Urażone milczenie zalega po tym nieoczekiwanym wyją- " śnieniu. Odymaiąc wzgardliwie usta rycerze gorlą się wewnątrz, wspominając w duchu wszystkie długoletnie urazy żywione do zakonników, do duchowieństwa w ogóle... Nobila czy sługa, zarówno mu jest... Ej, mnichu!

Poznałbyś, co to uchylbiać rycerzom, żeby nie to, żeś im żywota zratował!

Rozumiejąc, jako żadną miarą nie Iza teraz swej krzywdy dochodzić, milczą wielmoże dorzucając jeno w sercu nową zadziórę do poprzednich, zadawnionych. Nie życząc sobie przemawiać do obelżywca kładą się na ławach lub wprost na polepie, ramię podtykając pod głowę. Wprędce sen morzy

strudzonych. Rozgłośnie pańskie chrapanie wlewa się w odgłosy burzy.

Pośrodku izby chodzi opat samojeden. Dorzuca dREW do ognia, odmawia cierpliwie nakazane przez Grzegorza VII piętnaście psalmów, za króla, za księcia, za grzeszników, za pogan... W przerwach nasłuchuje wicheru, co zda się cichnąć chwilami, by wnet wybuchnąć na nowo. Niskie kamienne domostwo chwieje się, rzekłbyś, jak arka na wodzie. Śnieg wali w ściany, w dach niby taranem. Co parę pacierzy nagły poryw zamieci wpada przez komin, rozrzucając skry i popiół poza palenisko. Szatańska noc! Czy trzech wysłani powrócą? Czy nie zginęli już", równie jak tamci, których szli ratować?

Wiązania dachu trzeszczały i opat pomyślał, że pogańska nazwa góry, przywodząca pamięci obrzydłe rozpustnego bożka Jowisza, snadno może rozzuchwalić diabelskie natarcia. Trzeba by ją zmienić co rychlej na chrześcijańskie, opiekuńcze miano... Lecz jakie? Któremu ze świętych oddać przełęcz i klasztor w szczególną pieczę? Święty Leonardzie, poradź!

Drzwi skrzypnęły. Brat Mamert, stróżujący z pochodnią przed domem, wsunął się do izby.

—• Ogrzać się kapkę przyszedłem, bo już od zimna nie mogę...

Opat spojrział nań przeciągle.

— Pogrzej się, bracie, owszem. Jeno daj mi pochodnię, ano postróżuję tę godzinkę, zanim brat Placyd cię zmieni...

Brat Mamert porwał się jak oparzony i bez słowa wyskoczył na dwór machając kolistą pochodnią, by się rozżarzyła. Opat podjął swoją wędrówkę w skos i wzdłuż komnaty, stąpając uważnie, żeby śpiących nie potrącić. Spoglądał na drzwi, za którymi znikł brat Mamert, powtarzając z cicha: „...Bo chocia żywiemy, Panu żywiemy, chocia umieramy, Panu umieramy... Przeto czy żywiemy, czy umieramy, Pańscy jesteśmy..."

Wicher skowyczał w kominie jak pies, i zatopiony w modlitwie człowiek przypomniał sobie nagle, nie wiedzieć czemu, że przejeżdżający tędy niedawno baron de Retz' opowiadał, jako wyuczył sobie przednio psy do tropienia ludzi. „...By się jucha na drzewo schował, przez wodę przepłynął, w najgęstsze chaszczce zaszył, wszędy go bestie znajdą i rozedrą... Słuszna kara na biegunów, co prawego pana opuszczają..." — opowiadał chełpliwie. Przypominając sobie teraz srogie, czerwone lico pana de Retz, opat pomyślał, że zdałyby się w klasztorze psy tropiące ludzi, jeno nie na zgubę ich, lecz

na pomoc. Cóż stąd, że bracia zakonnicy nieśli najlepszą, bohaterską dobrą wolę, poszukując zaginionych wędrowców, gdy w niedoskonałości ludzkich zmysłów snadno mogli przejść o dwa kroki od zasypanych, przywalonych śniegiem, lub razem z nimi nie trafić nazad do klasztoru?

— Koniecznie trzeba dostać psy... psy... Rozumiesz, bracie Placydzie? — zwrócił się do wchodzącego zakonnika.

— Psy? Tak jest, ojczcie wielebny. Zdałyby się psy, by obcych do klasztoru nie puszczają...

— Głupiś — ofuknął go opat. — Właśnie, by ich przywodziły. Idź no skoro zastąpić brata Mamerta... Burza huczająca nad Alpami, nad górą i przełęczą Monte Jovis (co miały w przyszłości nazywać się

Górą Świętego Bernarda), nad drogą Hannibalową i nad całym pasmem zębatych wierzchów i wąskich dolin, odgraniczających słoneczną Italię od reszty świata — nie cichła, choć dzień rozbielił mdło śnieżną kurzawę. O opuszczeniu klasztoru nie było co marzyć i wobec tej oczywistości rycerze postanowili puścić pozornie w niepamięć prostackie słowa opata. Nie godziło się bowiem żywić urazy do gospodarza, zostając pod jego dachem.

Gromada oczekujących pogody zwiększyła się w tym czasie o nowych gości. Wysłani nocą trzej bracia zakonni wrócili nad ranem wpół żywi, jednak żywi, wiodąc odnalezionego ścierciałę żupana Gezy oraz panów prowansalskich, Rogera de Foix i Gastona d'Armaillac. Obaj byli wasalami grabi od świętego. Idziego, Rajmunda, pana Tuluzy, a jeździli do Saksonii, odwożąc, posag córki Rajmundowej, grabianki Gizeli, za niemieckiego margrafa wydanej. Z licznie towarzyszących im sług i mułów prawie połowa zginęła w śnieżycy. Cieszyli się jednak, że sami są żywi i że burza spotkała ich wracających próżno, nie uprzednio z wiezionymi skarbami.

Zdradliwa przepaść tumanem śnieżnym zakryta, w którą zwały się bogato przystrojone muły tuluzańskie, była tą samą, być może, co pochłonęła obu serviensów Oświęta Cwały, Suchopiątka i Kokota. Te śląskie pachoty nie wrócą już nigdy, chyba cieniem, w swojackie dziedziny. Bez pochówku porzucone ciała patrzą zmarzłym szkliwem oczu w wywyższone ostrza szczytów. Śmierci tej zbyt rychłej, bezpotrzebnej, nie może im prze-

baczyć rozgniewany Cwała. Niedołęgi leniwe, ostawiające pana w obczyźnie bez służki!

— Innym ni żaden pachół nie zginął, a mnie oba — narzeka uporczywie. — Takie już moje szczęście we wszystkim... Bo i drugim się urodził... I białkę mam puklatą... I teraz sam chyba będę rzemień smarował i koniowi obrok zadawał.

Opat, zasłyszawszy od Mojmira przyczynę żalów rycerza, pocieszał go, że byle zeszedł w doliny, kupi sług co najlepszych, wiele tylko zechce. Głód w kraju srogi, rok ten zowią annus famis, siła ludzi wolnego stanu dobrowolnie się w niewolę zaprzeda.

— Taką tu bieda? — pytał poseł Sukki de Szuha zdumiony.

— Annus famis, tak!... Zaś poprzedni zwano annus miser... rokiem nędzy... Na siedemdziesiąt lat ostatnich liczą trzydzieści lat głodu... To za wiele, za wiele na siły człowiecze... Ludzie mrą z głodu jak muchy... Juźci nie bogacze, trzymające zboże w spichrzach i komorach i za drogie pieniądze je sprzedające. Powiadali mi, że za jedną owcę żądają dwanaście nieobcinych denarów!

— Za jedną owcę?! Z czegoż taka bieda?!

— Z czego? — wybuchnął opat — a dyć z tych ustawicznych walk, ustawicznych bojów! Zali te krainy nieszczęsne mogą odetchnąć, ta ludność może chociaż dzień jeden pracować?! Po jamach kryje się w lasach- jako dzikie zwierzę, a pole krzami zarasta! Jeny wyjdzie rolnik z sochą, juźci lecą, juź go pędzą, juź w niewolę biorą, bo to przeciwnika człowiek! Ustawiczna idzie rzeźba wszystkich przeciw wszystkim, bez której panowie rycerze pono żyć nie umieją! Cesarz przeciw Kościołowi, Italczyki przeciw Burgundczykom, Burgundczyki przeciw Frankom, Franki przeciw Normanom, Normanowie przeciw wszystkiemu, co żyje! Budny dzień — wojna! Święto, choćby i największe — wojna! Zawdy wojna! Jeny rycerzów w niej nie ubywa, ubywa biedaków. Rycerze nasze dobrze baczą, by-zapaśnika tylko kopią z siodła wysadzić, do niewoli wziąć, okup dobry zgarnąć. Nie zabijają się zgoła, chyba przypadkiem... Umartwiają za to wiela mogą biedoty, gołoty, prostaczków niewinowatych! Wybijając rolników, cieszą się, że nieprzyjaciela niszczą. I ot skutki: w słodkiej italskiej, prowansalskiej czy frankońskiej ziemi głód i głód... Ludzie zabyli, że można być sytym... Z pociechą myślą, że nastąpi koniec świata! Czekają nań! Powiadają, że w tysięcznym roku świat ocalał, bo wieki, które liczyła Sybilla, nie

mają naszej miary stu lat, ale sto dziewięć z okrajem. Zatem kres przewidziany w Apokalipsie miałby nastąpić w roku tysiąc setnym... Za pięć lat... Wierzą w to... Sam widziałem nadania poczynające się od słów: „W oczekiwaniu rychłego końca świata...” Wierzą w to niewinni prostaczkowie, radzi uciec z tego piekła, z tej udręki, tylko sprawcy ich niedoli nie drżą przed myślą, że kajś nastąpi sąd Boży! Musi nastąpić! A wtedy...

— Nadużywacie, ojciec wielobny, naszej cierpliwości, dufni,

że nikt na tym miejscu miecza na was nie podniesie — przerwał Roger de Foix schrypłym z gniewu głosem. — Pamiętajcie atoli, że podobną mowę niejeden już biskup życiem przyplacił...

Opat skrzyżował ręce na piersi prostując szerokie plecy. Mąż to był wysokiej krwi, bojowy i

gorejącymi oczami pchnął teraz rycerza jak mieczem.

— Powtórzyłbym te słowa w każdym innym miejscu, gdzie zostawałbym w waszej mocy.

— Wierzmy — odparł d'Armaillac z goryczą. — Wy, mni-chy, lubość znajdujecie w tym, by judzić, dogryzać, przeklinać...

Opat podszedł ku niemu tuż blisko.

.....- Nie lubość, ale obowiązek - - warknął. — Obowiązek!

Obowiązek nasz, wiecznego powszechnego Kościoła Chrystusowego! Na tośmy są! By stawać okoniem przeciw waszej straszliwej, wielmożnej pysze, waszej chciwości, srogości! Wołać, że ludzie są równi, któż się ośmieli inny oprócz nas?! Kto obroni tych maluczkich, szczególnej naszej opiece przez Chrystusa powierzonych?! Umartwiajcie, wiele chcecie; te, co zostaną, będą krzyczały to samo! Roger de Foix wybuchnął szyderczym śmiechem.

— Ejże, opacie! — zawołał — powoli! Powoli! Wiera, miałyby u nas posłuch mnichy czy biskupy, by jak wy w górach siedziały, o zbawieniu drugich, nie o sobie myśląc... Iluż jest takich! Iluż?

Powiadaj! Chrystusem się nie zastaniaj! Raczej powiedz o papieżu Benedykcie, co Żydom sprzedawał tiarę i urząd, a potem odbierał zbrojnie, by komu innemu sprzedać! Teraz straszy nocami na rzymskiej Kampanii w postaci pacwy, pół niedźwiedzia i pół wieprza! Powiedz o biskupie Adalbercie, co prawił, że anioł kazał mu z chłopów ściągać podwójne daniny, a za drogie pieniądze sprzedawał własne paznokcie i włosy jako relikwie!

— Powiadaj o antypapieżu Wibercie, co ninie pcha się do Rzymu! — dorzucił d'Armaillac.

Opat nic nie odpowiedział. Odszedł dwa kroki ku oknu, przygarbił się, zmałał. Aż żupanowi Gezie i Mojmirowi Sci-borowicowi, śledzącym z uwagą rozmowę, dziwnym się zdało, że tak szybko ustąpił. On zaś modlił się cicho, po czym wrócił, lecz spokorniał, ściszony.

— Juźci — wyznał — nie ma co unosić się pychą... Chodzą w sukni kapłańskiej, które w oczach Pana bardziej na chłostę zasłużyły niż najgorszy zbrodzień. Górze im w godzinie sądu! Ale nic to nie ma do Kościoła... Bo sprawy te są ludzkie, a sprawy Kościoła Boskie... Zresztą mija to zgorzenie... klu-niackie reformy ogarnęły bez mała już wszystkie klasztory...

Zamilkł. Ach, duszę by dał, żywota chętnie zbył, byle na podobne oskarżenie móc krzyknąć śmiało: nieprawda! Ale to była prawda... W owczarni Pańskiej było dużo złych pasterzy, wilków w baranią skórę przyodzianych.

Wielką, mroczną izbę, wstrząsaną wiatrem, zaległa cisza; przerywały ją tylko potężne ziewania.

Nudziło się siedzącym wkoło rycerzom. Wprawdzie zaraz z rana opat przyniósł im szachy do zabawy, oprócz dwóch Prowansalczyków jednak żaden z wojów nie wiedział, do czego służą dziwaczne, mi-sternie rzezane kukiełki. Oświęta starszy szepnął swoim, by ich lepiej nie tykali, bo może to tutejsze na więzy są, czym przerażony Jasiak Zawora puścił co szybciej króla trzymanego w garści. Byli nie tylko znudzeni, ale i setnie głodni. Polewka z bobu niekraszonego i placki z obtłuczonego jęczmienia, pieczone w popiele, mogły się zdawać smakowite tylko wczoraj. Dziś spoglądali wzgardliwie na to jadło, od którego lepszą parzę jadały ich psy. Cóż jednak mieli począć? Innej nie było. Dziękować Bogu, że się znajduje i taka.

— A jakie nowiny o Saracenach? — zwrócił się do opata Roger de Foix.

— Nie ma dwu niedziel, jak ludzie tu się schronili powiadając, że w dolinie ich pełno.

—• Tu w dolinie? Nie może być!

— Tak jest, jako prawię. •— Uwierzyć nie Iza!

Opat spojrział twardo na mówiącego.

— Dlaczego? — zapytał ostro. — Dlaczego? Czy kto im zawadza? Drogi broni?

Teraz z kolei rycerz de Foix zmieszał się i odstąpił, co słuchającym Mojmirowi i żupanowi Gezie wydało się równie

nieoczekiwanym i niezrozumiałym jak poprzednia porażka opata. Lecz zasłyszana nazwa zaciekawiała ich. Jęli dopytywać, co to za napastnik?

— Daleko leżą wasze kraje, skoro o nich możecie nie wiedzieć, czego i zazdrościć należy —• odparł opat. — Saraceny, najsroższy to wróg Chrystusowy, synowie Beliala, czciciele Mahometa, jednego z siedmiu starszych demonów, którego oni za proroka uważają... Jest ich ćma. Na zgubę chrześcijaństwa sprzysiężeni. Wolą Boską tak jest zawdy, że kiedy my mocni, oni słabi; kiedy my słabniemy, oni krzepną i nastawa ją. Nikandy widno nie bylichmy słabi jak ninie, bo nigdy, przenigdy

oni nie byli mocniejsi. Ziemia Święta w ich bezbożnym ręku! Chrystusów Grób Najświętszy, nieopłakany! Hiszpania! Więcej niżli połowa Italii! Ino patrzeć, kiedy podejda pod Rzym, jak podchodzą pod Bizancjum...

Mojmir tłumaczył spiesznie słowa opata swojakom.

— Zali brakuje tu dobrych rycerzy, że to plugastwo tak się rozpościera? — zapytał Zbylut Strzegonia chętnie.

— Bo ja wiem? — wzruszył ramionami Mojmir.

Lecz óTArmaillac domyślił się zapytania z ruchu odpowiedzi i rzekł:

— Na męstwie nam nie zbywa, ale z poganami trudno walczyć, bo czary ich strzegą.

— Awo, u nas też pogany: Lutyki, Jazygi, Prusaki, przeca ich bijem.

— Nie wiada, czy byłoby tak samo z Saracenami.

— Ej, zginęliby, jak Obrzy.

Nie odpowiadając pan d'Armaillac z rycerzem de Foix zajęli się ustawianiem szachów, jawnie tym okazując brak chęci do dalszej rozmowy. Opat prawil Mojmirowi:

— Nie czary bronią Saracenów, bo żadne pogańskie uroki przeciw Imieniu Boskiemu nie obstaną, ale ich zgoda i jed-nota. Posłuch jest u nich, zawziętość. A u nas? Jak najadą ziemię jednego barona, to jego sąsiady się cieszą nie dbając, że jutro przyjdzie kolej na nie...

Zasepiony usiadł, zmęczonym ruchem składając ręce na kolanach.

— Niedobrze ja wróżę o przyszłości — wyznał. — Może i słusznie prawią ludzie, że koniec świata nadchodzi... Niechby nadszedł... Świat jest stary. Za stary. Wszelkie stworzenie popsulo drogę swoją, przeto kara nastąpić musi... Za długo już żyje ludzkość... Ileż na ziemi zmieniło się mocarstw, władztw... Ile udoskonalono wynalazków! Trudno je zliczyć!...

.*,

Ogień grecki... Albo szkło! Albo zegary, co czas mierzą nie suciem piasku lub siłą cienia, lecz zawiłym systematem kół zębatach!... Jakże potężną, mądrą mogłaby być ludzkość, jakże zaś jest nিকczemną, ślepą, wstającą ku obronie tylko doczesnego mienia, które śmierć jej wydrze! Tysiąc lat dał Chrystus Pan światu, aby Go poznał i przyjął... Nie poznał, nie przyjął... Krew męczenników darmo wsiąkla w ziemię... Nie wstał z niej posiew... Słuszna tedy, by świat zginął... Niech zginie... Nie pożałuje go nikt... •— Mat — rzekł zwycięsko de Foix, posuwając wieżę.

— Zaczynamy na .nowo — odparł d'Armaillac. •— Nie byłbym przegrał, jeno ten gładzi a gładzi. Geza Sukki de Szuha ziewnął rozgłośnie i zauważywszy, że wiatr przycicha, wyszedł przed dom popatrzeć, co się dzieje na świecie. Gyor Bakócz i Imbram Strzegonia wyszli za nim.

— Gadał, że świat jest stary i spsowany — objaśniał ich żupan. — W takiej pustce siedząc, nie dziwota, że mu się rozum pomieszał.

Wiatr ucichał rzeczywiście. Chmury rozdarły się na poły i za ich szarą posową ukazała się głębia nieba, nieskończenie odległa, nieskończenie czysta, o zimnej, potyskliwej barwie, ni to zielonej, ni to błękitnej. Zieleń barwiła się na kraju różową smugą, rzucającą odbłask na góry pokryte świeżo spadłym śniegiem.. Na przekór słowom opata, czarność turni, białość śniegu, chłodna toń nieba dawały wrażenie czegoś zupełnie nowego, rozkazem Boga zaledwie wywołanego z chaosu, świeżej karty, na której miały się dopiero pisać dzieje świata.

W ten rozpostarty dziwny świat Imbram zapatrzył się z niepokojem. Nie rozumiał nic z tego, co mówił opat, ani teraz, ani uprzednio, chociaż mu tłumaczył Mojmir. Wszystko było tu obce i niepojęte, zarówno góry, jak ludzie, ich słowa i myśli. Poczuł się zgubiony i nieszczęśliwy. Po raz tysięczny pożałował gorzko, że pojechał.

. Mógł spokojnie ostać.na Węgrzech i wrócić na Śląsk, kiedy by cpcSajL Zresztą, co tu długo gadać. By nie był wiepinie łagodnym ustępliwcem, mógł się być przeciwic braciom i wcale nie wyjeżdżać! Ujednać się z księciem i spokojnie siedzieć doma. Doma! Jak wywołany zaklęciem, opuszczony dom rodzinny stanął przed oczyma. Roboty polne już pewno skończone... Zaczynają się długie wieczory jesienne, furkoczące wrzecionami, wieczory ciemne i mgliste, których tak boi się

Ofka. Och, znał i on, Imbram, ten lęk jesiennych wieczorów, gdy zmarłe dziady wstają z żalników i pogastów, chodzą wzdłuż ścian, przypominając o należnej sobie obiacie. Strach wtedy chodzi po domu. Dom niby zabezpieczony, białe czaszki końskie ślepią z płotu w głuszę nocy, przecież strach jest. Tamta strona życia, zaświatowa strona nawi ociera się krawędziami o życie codzienne i krzesze

nieznośny lęk. Zwierzęta nie znają tego lęku. Stary brodacz ząbr bezpiecznie drzemie na polanie, oparty grzbietem o drzewo. Ryba spokojnie śpi w mule. Niestraszne są dziwy nocy liszce, wiewiórce ani ptakom w gniazdach. Tylko człowiek, pan stworzenia, czuje Nieznane i drży.

...Ofka, biały kruchy kształt, o włosach jasnych jak len, połyskujących jak pawłoka oczach, płacze z obawy i tęsknoty, samotna w swym łożu. Któż cię utuli, miła, kto cię uspokoi? Twój mąż i przyjaciel rzucony w obcy, niepojęty świat, czuje się sam równie bezradny, spłoszony i słaby jak świeżo uległe szczenię.

Rozdział siódmy

W KTÓRYM DOBRZY WOJE ŚLĄSCY WĘDRUJĄ PRZEZ DZIEDZINY PROWANSALSKIE, ZGOŁA OD ICH WŁASNYCH ODMIENNE

Królewskie ramię,- wzniesione na drzewcu, lśni w słońcu nad węgierskimi posłami. Na białych skałach wapiennych wygrzewają się jaszczurki. Biel skały wyziera zewsząd spod warstwy ziemi. Ziemia jest czerwona niby osad z wina na dnie kadzi. Czerwień ziemi na białości skały wygląda jak krew zaschnięta na łysym czerepie. Cykady brzęczą nieustanną muzyką, co nie milknie od wschodu do zachodu słońca. Rzekłbyś, że to granie ziemi samej, starej, bogatej ziemi nad-śródziemnomorskiej. Na tej czerwonej, urodzajnej ziemi rosną rozległe dąbrowy. Dęby tu inne niżli nad Odrą lub Wisłą. Niższe, o liściu ostro wycinanym, twardym i mocnym jak rzemień. Prócz dąbrów pokrywają kraj gaje oliwek i fig. Ciemnofioletowe, nabrzmiałe słodyczą owoce odrywają się same z gałęzi, z głuchym pacnięciem pękając na miazgę. Gdzie nie wyrosła oliwka lub figa, nie rozkorzenił się dąb — tam zagarnia grunt makia, nieprzebyta gąszcz, ciegiędź, bugaj krzewów nieprzebytych, wonnych, nie tracących listowia wiecznie zielonego. Długie na cal ciernie, wąskie, drobne liście łączą się w zbite poszycie, przez które nie przedrze się ini zwierz, ni człowiek.

Gdy nad kotliną śródziemnomorską, czarowną, starą ziemią, co wykołysała dzieje rasy białej, przeciągnie wiosna naj-pierwszym oddechem — makia zakwita niby klasztorny wiry-darz, Cystus jaśnieje kwiatem do dzikiej róży podobnym. Błada, połyskliwą kiścią spływa złotodeszcz. Ciemnieje bukszpan. Gdzie skrawek ziemi wolny od zarośli, tam się rozkłada kobierzec dzikich tulipanów, hiacyntów i szafrańców. Piękna jak marzenie jest wówczas Prowansja, a świat cały zda się nowy, zaledwie wyszły z rąk Boga.

Lecz gdy upalne, suche, uporczywe lato spopieli trawę

szeleszczącą pod nogami, z makii opadną kwiaty, ukazując ciernie, świetne zielone listowie pokryje pył, oliwki zszarzeją i tylko czerwieni się ziemia, żółcieje trawa i niby cicha przygrywka skrzypek czarodziejskich dzwonią brzękliwie cykady — wtedy wydaje się świat stary i znużony, iście jak go określał opat z Monte Jovis, uginający się pod brzemieniem przebytych czasów, ludów i wiar. Wędrowców zdążających gośćciami, którymi rzymskie imperium pocięło tę ziemię wzdłuż i w poprzec, raz po raz uderzą w oczy ułamki powalonych posągów, ślady owych dawnych wierzeń. Zniekształcone, oszpecone, jaśnieją w cieniu makii lub dąbrowy żółtawą białą marmuru, różną od bieli wapienia.

Gdzeniegdzie, na wzgórzach bezleśnych, porośniętych macierzanką, wznoszą się szczątki budowli. Kolumny lekkie jak pręciki kwiatu, nakryte rzeźbioną belką. Wszystko z kamienia, z tego samego marmuru, złotego w cieniu, przeświecającego pod słońce różową poświatą.

— Pogańskie rzymskie kąciny i bogi — mówił o nich towarzyszem pan de Foix, spluwając z niechęcią.

Rycerze śląscy spoglądali z ciekawością. Bogi te nie były w niczym a w niczym podobne do kłód drzewa lub ciężkich bab kamiennych czczonych przed laty w ich puszczech. Nie przypominały wcale pokracznego Trzygłowca, którego niezdarne wyobrażenie, ukryte w dziupli olbrzymiego dębu, wykryło baczne oko świętego Ottona.

Kąciny tych i bóstw, wędrowcom polskim nie znanych, musiała być mnogość wielka, gdyż niezliczone kapliczki przydrożne zbudowane były prawie wyłącznie z ich szczątków. Z prostej surowej budowli o nieudolnie wiązonym sklepieniu, z grubej warstwy narzuconego tynku wyzierały bogate kapitele o pięknie rzeźbionym profilu, maski i liście akantu. Wśród nich, pod ciężkim łukiem romańskiego odrzwia, stróżował święty opiekun najbliższej osady, lekarz cudowny, gojący chorobę oddaną mu w pieczę. Stał sztywny, nieugięty poważny, od wychylających się z tynku roześmianych postaci straszliwie odmienny, z surową zadumą przed siebie spoglądający. Zwał się Marcin, dobry biskup, Wit, Lambert, Idzi albo Mamert. Otaczali go wciąż pobożną ci sami, co szli bezpośrednio potem

kłaniać się bożkom powalonym w lesie. Chrześcijaństwo było tu najwcześniejsze, najsilniej zakorzenione, lecz równocześnie stare pogaństwo kwitło niezniszczalnie żywe, jak gdyby na tej bogatej, mądrej doświadczeniem

ziemi dość było miejsca na wszystkie wiary i na wszystkie bogi.

Szerokie, ukośnie żłobkowane płyty gościńca cesarów wzdymały się, podnoszone korzeniami drzew przydrożnych, rozsadzane siłą rosnącej ziemi. Powierzchnia stawała się niebezpieczna do jazdy, szczególnie nocą. Ileż to wieków już nikt nie dbał o tę drogę, nie dozorował jej prócz tego jedyne go opiekuna: kamiennego świątka w sklepionej kapliczce!

Szczególne pieczołowicie przybrane kapliczki strzegły mostów, śmiałym, rzymskim łukiem rzuconych przez rzeki i płynące w wąwozach strumienie. Kamienna ich nawierzchnia zdarła się od zużycia, tworząc w wielu miejscach dziury, zapadnie, mogące pochłonąć konia wraz z jeźdźcem. Patrzącemu z oddalenia mosty te o krępkim zarysie wydawały się całe i mocne, w rzeczywistości prawie żaden nie nadawał się już do przejazdu. Choć Kościół uroczyście obiecywał odpuszczenie grzechów każdemu, kto by jął się odbudowy, ludzie woleli szukać brodu w pobliżu gościńca albo budowali prom. Darmo na wszystkich kapliczkach przymostnych wmurowane były tablice głoszące, że błogosławiony i sowity w zasługę będzie ten, co bodaj jeden kamień do naprawy mostu przyniesie. Pracowite kucie tych napisów było zgoła zbędnym trudem, któż bo umiał czytać z przejeżdżających? Tylko zakonnik lub rycerz, oba jednak do pracy ręcznej nieobo-wiązani.

Przy brodach chętnie zasiadali poborcy podatkowi sprawujący myta. Znajdowało się Ich wielu, zbyt wielu. Każdy z zamieszkałych w pobliżu gościńca baronów, biskupów lub opatów nakładał myto na przejeżdżających, wysokość jego samowolnie ustanawiając. Za te świadczenia był rzekomo obowiązany do utrzymywania służby bezpieczeństwa na drodze i ścigania zbójców. O ile jednak myta nigdy nie zaniedbał pobrać, o tyle bezpieczeństwo podróżnych nie spędzało mu snu z powiek.

Według obowiązującego zwyczaju rycerze i duchowni nie płacili za przejazd. Słudzy i niewolni piesi połowę ustanowionej opłaty. Konni lub wozem całą. Kupcy podwójną. Żydzi czterokrotną. Opłata z rzadka tylko wybierana była w denarach. Poborcy myta ściągali ją chętniej w naturze, przy czym jeśli wieziono ładunek wina, poborca miał prawo otworzyć wszystkie beczki i z każdej ująć po trochu na posmakowanie, po głębszym namyśle z przyjaciółmi wyrokując, którą beczkę zabierze dla siebie. To samo tyczyło innych

towarów, jak miód, ryby, skóra, zwoje sukna lub jedwabiu, z których złośliwy poborca mógł kazać sobie wyciąć płat ze środka.

Że zaś kamienne świątka i żywi poborcy nie zapewniali bynajmniej bezpieczeństwa na gościńcu, i' w nieprzebytej osłonie makii roilo się od zbójców napadających na kupieckie wozy — coraz mniej ludzi ważyło się jeździć z towarem. Ruchliwy niegdyś szlak pustoszał, a miasta, słynące za Rzymian z bogactw i cywilizacji, upadały.

— I miesiąca nie ma, jak na gościńcu tuluskim zbóje zamordowały dobrego chrześcijanina, co z picownymi wozami a zamorskimi korzeniami jechał... Było to podłe zamku, poszli my Więci-do pana na skargę, że tak pod jego bokiem zbóje sobie śmieje poczynają... Pan pyta: „Kiedy to było?” — Właśnie na Angelus dzwonili... — Machnął ręką. „Bogać mi głowę zawracać, skoro rzecz zaszła po zachodzie słońca... W dzień pilnuję gościńca, w nocy nie”... — Z niczym odesłał, nie uprosili my nawet, by myto, co wziął, oddał... — opowiadał z roz-zaleniem spotkany na drodze kupiec paryski. Juźci nie opowiadał rycerzom, którzy by się z, nim w znajomość nie wdawali, jeno giermkowi pana de Foix, nazwiskiem Saint-Pierre de Luz.

— ...Na Angelus dzwonią, to już pjawi: noc • — a może zresztą i sam ze zbójami był w zмовie... — zabończył de Luz ze śmiechem.

Imbram Strzegonia i Jasiak Zawora, których d'Armaillac wyuczył przez ostatni miesiąc gadać niezgorzej łąciną pro-wansalską, stanowiącą mowę międzynarodową rycerstwa — patrzyli na mówiącego ze zdziwieniem.

— Rycerz, prawicie, byłby ze zbójami w zмовie?

—^rA bo co? Mało który tak nie robi! Pan de Leonnais, królów pociot, ma na swym wybrzeżu skałę, o którą siła okrętów co rok się rozbija. Tę skałę nazywa perłą swego skarbcza, a jego ludzie nocą w zły czas ogień mylny na brzegu palą, żeby statki na skałę przywieść, a wraków się nabrać...

...Albo pan de Charpentier, takóž królewski siostrzeniec, za-wdy najpierw myto zedrze, potem ze zbójami napada i resztę zabierze...

— Godziż się tak zdradliwie czynić?! — wykrzyknął Imbram z oburzeniem.

— Rycerzy wszak nie napada — objaśnił z godnością, usłyszawszy, o co chodzi, de Foix.

— Pewnie, pewnie — mruczał wesoło de Luz — miałyby też

co napadać na rycerzy! Chybaby rozum stracił? Huczek byłby po całej dziedzinie. I zbóje nigdy rycerzy ani księży nie na-padają. Boją się. O kupca nikt się nie ujmie, a o rycerza wszystkie rody stanęłyby, nie folgując, aźby winowajców pojmały i 'żywo poćwiartowały...

Ów de Luz nie był otrokiem, jak zwykle giermkowie, lecz przeciwnie mężem dojrzałym, o skroniach dobrze siwizną przejętych. Pochodził z przedniego rodu. To, że mimo wielkich zalet i przyjaźni z panem de Foix nie był dotąd pasowany, zajmując ciągle pośrednie stanowisko między towarzyszem a sługą — stanowiło jego stałą bolączkę, którą usiłował pokryć żartami i przekpinkarni z samego siebie. — Pan mój jest wasalem grabi od świętego Idziego — powiadał nieraz Strzegoniom — ale w tym ujmy ni żadnej nie masz, bo Rajmund jest krwi królewskiej... Ja natomiast jestem wasalem mojego pana, którego ród podlejszy jest od de Luzów... Ha, trudno... Brzuch mi już wkleśł z tęsknoty za pasem, ale go nie uwidzę... Całe życie przekołacze się człek giermkim...

•— Nie stało wam sposobności popisania się odwagą? — spytał Zbylut z niedowierzaniem. De Luz roześmiał się gorzko.

— Ej, sposobności! Więcej niż włosów na głowie! Zapytajcie się de Foix... Ale cóż stąd? Samo męstwo ani ród nie wystarczą... Chudoby jeszcze trzeba... Najkosztowniejsza na świecie rzecz •— być rycerzem. Tylko bogactwo stanowi o znaczeniu rodu. Stąd pełno obaczyście w Tuluzie giermków leciwych, oszczędziłych, co nigdy po pas nie sięgną... Nie stać ich na to.

Nie mogli zrozumieć jego wywodów, więc się niecierpliwił.

— Owa, z czego ma żyć rycerz? Dziedziny takie już chude i wytrzebione, że tyle dają co nic... Wojna takóž coraz mniej przynosi... Dziwiliście się, że rycerze ze zbójami społem grabią, a cóż mają począć innego? Dyć nie Iza im jać się żadnej a żadnej roboty... Tylko łowy a wojna... Musi tedy pasowany albo na swoim kasztelu siedzieć, zwierzynę bez przyprawy i placki jęczmienne jeść, albo pieniądze jak bądź zyskać, żeby z orszakiem na dwór jechać, gdzie turnieje, gonitwy, pierścienie, gędźby i dworce miłosne... gdzie życie! Wywiódł ci wprawdzie jeden skryba, że kasztelan na zamku ma dwanaście uciech przyjemnych, czyli radości, którymi — jeśli dobrze pomnę — są: łowy, szermierka, szachy, żarcie, picie, żonine dziewczki, słuchanie żonglerów, puszczenie psów na

niedźwie-
dzia na dziedzińcu, grzanie się przy kominie, sądzenie poddanych, puszczenie sobie krwi wiosną, patrzenie, jak śnieg pada... ale to wszystko mało, mało, przyjaciele... W świat ciągnie każdego, a na to, by w świat iść, potrzeba złota...

Słuchali z rosnącym zdziwieniem, swoje niezrozumienie kładąc na karta niedostatecznej umiejętności języka. Trudno im było pojąć, co powiadał. Na co wyliczać, a jeszcze opisywać, *rzeczy* tak proste i same przez się zrozumiałe, jak łowy lub grzanie się zimą przy ogniu? I dlaczego nie wspomniano o najprzedniejszych uciechach dworzyszczka: o siejbie, żniwie czy *zwózce*?

— U nas kasztelan robót chłopskich nie dogląda ani o nich wie — odparł z pewną wyższością de Luz, dorozumiawszy się,

co im chodzi — od tego są dzierżawcy. Płacą panu daninę z łana i to sutą...

•— Skoro tak, czemu powiadacie, że na kasztelu grosiwa skapo?

— Bo pan zwyczajnie ściągnie z dzierżawy za dziesięć albo więcej lat wprzód, a denary w mig się rozejdą.

Pogadywali tak jadąc społem ku Clermont, gdzie papież Urban II miał w przyszłym miesiącu sobór trzymać. Jeszcze na Monte Jovis domówili się, że dziad pana de Foix, Robert, zginął walecznie nad Odrą, w roku Pańskim tysiąc piętnastym, czasu bojów Chrobrego z cesarzem Henrykiem. O tych bojach zachował się pogłos na Zachodzie, gdzie dotychczas z uznaniem wspomniano tych, co mierzyli się z niezwyciężonym, dalekim wojackim plemieniem. Dowiedziawszy się, że toż właśnie plemię Chrobrowych wojów rnąją przed sobą, rycerze de Foix i d'Armaillac poczuli dla polskiej drużyny przyjaźń i szacunek.

Zmieszani pospołu, Polacy, Węgrzy, Prowansalczycy, ciągnęli bez pośpiechu szerokim rzymskim gościńcem o płytach rozsadzonych trawą. Ciągnąc dzielili się wiadomościami, jakie posiadali o królach, panach lub krajach. Wyrażali zgodne sądy o węgierskim Włodzisławie, zwanym przez pieśniarzy gwiazdą zaranną, jasną jak słończko, którego złociste ramię błyszczało na czele gromady; o tak pysznym niegdyś cesarzu Henryku IV, złamanym i zhańbionym po trzykroć: przez papieża, przez żonę, kłamliwą i niedorzeczną Adelajdę-Praksedę, przez ukochanego syna Konrada; o

lekkomyślnym królu francuskim. Filipie, obłożonym klątwą za to, że wypędziwszy prawowitą małżonkę Bertę, wziął w łożnicę urodziwą bezwstydną

— Krzyżowcy t. I/II

nicę Bertrade, żonę pana de Montfort, i z nią w cudzołóstwie trwał.

« .:;*«tj

— Tenci Filip — mówił d'Armaillac — koronę ma, ale płaszcz do niej brak. Sam Paryż mu ostał i kilka co bliższych kaszteli... I z Paryża, ino patrzeć, kiedy go Normany wyżeną...

Za czym rozmowa schodziła na świeżo zmarłego Wilhelma Bękart, zwanego Zdobywcą, groźnego pana Normanów, i na jego synów. Także na innych książąt i baronów, co dawną Galię Cezara podzielili na kilkanaście państewek nienawidzących się wzajem.

— Bogaci oni są, dufni, mocni — przyznawał d'Armaillac — ale takiego jak nasz Rajmund między nirni nie masz... Zwierciadło rycerstwa. Podobnie jak Tuluza lub Prowansja są zwierciadłem i sercem świata... Ani Flandryczyk ze swoimi Fryzami, ani Burgundczyk, ani już najbardziej te obrzydłe Normany równać się z nim nie mogą... Znów Filipowy brat Hugo — to leń; uczony Szczepan z Blois, co ma tyle kaszteli, wiele dni w roku — tchórz; Godfryd lotaryński — prawy mnich. Na modłach ciągiem siedzi, powiadają, że niewiasty dotąd nie zna... Jedne gadają, że przez ślubowanie, inne, że przez bratową Baldwinową...

— Miłował ci ją?...

— Chyba nie, bo to jęzda zła jak śmierć... ale pono drzewiej się znali... Pewnikiem obaczycie wszystkich na soborze... Strach, wiewa ludu jedzie...

Jakoż wiewa ludu zdążyło w tę samą stronę. Wychodzili gromadnie z osad, dworów i kaszteli. Część tych kaszteli wzniesiona była z kamienia na wzór rzymskich castrum ku podziwieniu śląskiego rycerstwa, większość jednak nie różniła się wiewa od polskich tynów. Głęboka przykopa, z której ziemia wyrzucona do wnętrza tworzyła nasyp, grodziszcze. Na nasypie częstokół. Za częstokołem budynek drewniany z takąż wiewa-życą, ciężką, kwadratową, zwieńczoną zębata gankiem. Wejście do wieży, zawierającej paradne komnaty, znajdowało się wiewa nad ziemią. Wchodziło się doń po drabinie lub długim przystawianym pomoście. Na częstokole i na wieży wisiały brunatne strzępy, które z bliska okazywały się wyschlým łupieżem. Był biewa zwyczaj czasu oblężenia okrywać ściany świeżymi bydlęcymi skórami dla ochrony od pożaru. Ten sposób wydał się rycerzom polskim trafny i godny zapamiętania.

Równie licznie jak kasztele, rozsiane były wzdłuż drogi miasteczka. Że biewa z nędzą panowały w nich nagminnie, ludzie chętnie ruszali w drogę do dalekiego, nie znanego im Clermont, sądząc, że na północy znajdą wiewa chleba. Choć nie wiedzieli na pewno, w czym by się mogła na skutek soboru poprawić ich dola, korzystali z, zachęty rzucanej przez księży, zakonników i mnichów wędrownych. Spośród tych rzesz wiewa młodych, silnych mężczyzn oddawało się, dobrowolnie w niewolę, i Cwała Oświęta, którego wziął sobie trzech italskich pacholców zaraz po zejściu z gór, nie był pewien, zali się zbytnio z kupnem nie pośpieszył. Mógł być znaleźć tutaj krzepciejszych, zmyślniejszych...

Dwa były sposoby dobrowolnego zbycia wolności. Oddać się we władzę lub oddać w niewolę. We władzę mógł się oddać nawet urodzony, zubożały wiewa albo mdnisteriales, napędzony księży słuęa. Akt prawny oddania się we władzę, oblatowany u notariusza czy też sądowego piercy, brzmiał: „...Ja, taki a taki, nie posiadając środków wiewa i odziania, oddaję się waszej opiece, obiecując przez cały ciąg życia służyć wam i zachować posłuszeństwo jako człowiek wolny, nie mający mocy usunąć się spod waszej pieczy i opieki do końca dni moich. Chyba, żeby wam wypłacił tyle a tyle dobrych denarów (cena wahała się zależnie od sprawności i wieku sprzedawcy) jako okup za słuębę moją do kresu żywota”.

Choć mało było prawdopodobieństwa w zebraniu okupu, umowa ta zostawiała cień nadziei, złudzenie, że można będzie kiedykolwiek wolność odzyskać. Natomiast nieurodzeni oddawali się na własność bez zastrzeżeń, niezdatny krzyżyk — dowód swego chrześcijaństwa — kładąc pod aktem, którego przeczytać nie byli w stanie, opiewającym:

„...Niczym nie zmuszony nakazem, wiewa własną wolą, postanowiłem cały mój byt oddać na wasze usługi. Przeto cokolwiek byście chcieli ze mną zrobić, zrobić możecie za przewodem Boga, mając wszelkie prawo do mego ciała i duszy. Ta zaś sprzedaż i wiewa moja ma mieć trwałą wiewa do dni żywota mego”...

Wędrujący zatrzymywali się na popas w przydrożnych gospodach, gdzie w wielkich dzbanach glinianych pienilo się młode wino. Nie było w nich natomiast piwa i miodu, co stanowiło szczerą udrękę dla rycerzy polskich. Ani im w głowie powstało, gdy wyruszyli w te kraje, że pozbawieni będą ulubionych napitków, równie zda się do życia potrzebnych jak sen albo chleb. Z niechęcią, niesmakiem przyzwyczajali

się do wina. A było tu tego wina, było! Winnice porastały gęsto grunt czerwony, na białej skale rozestłany. Winobranie dawno było już skończone i tylko gdzieniegdzie, na mniej słonecznych stokach, wisiały ciężkie, wonne grona. Po wsiach deptano nogami w kadziach odleżały owoc. W brunatnej cieczy, pokrytej bąblami powietrza, stały dziewczyny ugięte po biodra, łyskające białymi udami na ciemnym tle kadzi. Stojąc po dwie naprzeciwko siebie, obejmowały się ramionami, odurzone zapachem moszczu tryskającego spod stóp. Gdy ruda drodze ukazywał się orszak rycerski, ludność wysuwała się chyłkiem za węgły, boć -nigdy nie wiada, co panom może przyjsć do głowy. Na placu zostawały tylko owe deptaczki, odkryte po łono, bezsromne, pozornie zajęte robotą, ukradkiem ciekawie zerkające na rycerzy. Prowansalczyzy śmieli się i kiwali ku nim dłonią, lecz polscy i węgierscy rycerze odwracali głowy zgorzeleni. Goła białka dobra w łożnicy lub w łaźni, ale przy drodze, jak poćpiega — tfu!

Czasem w miasteczku trafiali na gody sprawiane ku czci starego bożka winnej jagody, Bachusa. Starszawego golca przystrojonego w winorośl, z dzbanem wina w dłoni, obwożono na wozie, ciągnionym przez młodych chłopców okrytych skórą kozimi. Wokoło biegały młódki, porozdziewane do cna, wieńcami przystrojone. Tańcząc i krzycząc, płaskały się wzajem po udach. Towarzyszący pasterze dęli w trąby z kory i wygrywali na fujarkach dziwaczne pieśni o zapomnianej dawno treści i sensie. Stary ten zwyczaj zachowywano, choć nikt nie wiedział już, skąd by pochodził ani kogo miał oznaczać golec wieziony na wozie. Nie wiedziano również, czemu księża i zakonnicy tak srogo się za ów obrządek gniewają, grożąc uczestnikom święta ogniem piekielnym i wiecznym potępieniem. Toteż na odgłos kopyt świętujący uciekali co duchu, kryjąc się w gąszczu zarośli. Stamtąd, przeblyskując przez zieleń nagością jak rzeczywiście nimfy i satyry, patrzyli chciwie na ciągnące poczty pańskie. Szumne, bogate, wspaniałe. Z sokołami zakapturzo-nymi u sokolniczych na pięści, z psami zesforowanymi. Gromady służby barwnej jak dziecięta. Panie siedzące na umieszczonych na grzbiecie końskim ławeczkach z poręczą i krajem sukni i rękawa muskające ziemię. Żony nobilów dźwigały na głowie wysokie, spiczaste rusztowanie, okryte długim, białym kwefem. W tym stroju wydawały się nadmiernie wysokie, smukłe i wyniosłe. W przeciwieństwie do jurnych, jędrnych dziewczek depczących wino lub tańczących wokół Bachusowego

rydwanu, ukazywały ze swego ciała tylko wąski trójkąt twarzy, ujętej pod brodę podwiką, oraz końce palców, wysuwających się z długiego, opadającego na dłoń rękawa. Widne w trójkacie białego obramienia twarze były woskowo-błede o przemyślnie czernidłem przedłużonych oczach, drobnych ustach, wąskim nosie. Palce, wylaniające się z kosztownej materii, widziały się cienkie, białe, niezwykajne roboty, o pofarbowanych na czerwony kolor paznokciach. Spowite w ciężkie, obcisłe szaty, zdawały się owe kasztelanki czymś zupełnie odrębnym, nie mającym nic wspólnego ze zwykłą kobietą, białka, niewiastą krzepką, robotną, przedmiotem rozkoszy woja. Toteż rycerze śląscy patrzyli na nie ze zdziwieniem, większym bodaj niż tamci gapie z zarośli. Ciekawość zbierała wiedzieć, co to za stworzenia, czy sypia się z takimi, czy mają kobiece przyrodzenie lub służą tylko do ozdoby? Zapytany w tym względzie de Foix odpowiedział wyniosłe, że największą rozkoszą obcowania z tymi szlachetnymi damami jest rozmowa, stanowiąca kunszt nie lada, byle komu niedostępny. To dopełniło miary zdumienia wędrowców. O czym można gadać z białką? Białka nie jest do rozmowy!

Dzwony w niedalekim klasztorze dzwoniły na wieczorny pacierz, gdy zatrzymali się na popas przed gospodą. Onegdaj przeprawili się na promach pod Avignonem przez wielką wodę, zwaną Rodanem, i niechając na lewo świetne, ludne Nimes, szli w górę doliną rzeki, kierując się na St. Etienne.

Gospoda zmurowana była, jak większość domów w tym kraju, ze szczytków świątyni czy też pałacu rzymskiego. Tuż ponad ziemią wyrastał z niej ściany kapitel. Brodacz-siłacz pod-trzymywał zgiętymi barki węgiel domu z jego płaskim dachem i koślawymi ścianami. W otwartych drzwiach gospody stał zakonnik o chudej, płaskiej piersi, patrzący z uznaniem na gospodarza, który wyniósł z domu Surowe mięsiwo w cebrzyku i stanąwszy nad płynącym o parę kroków od domu potokiem, ciskał je w wodę z rozmachem.

— Zaśmierdło? — zapytał de Luz podjeżdżając.

— Zaśby, Wasza Miłość, u mnie Bogu dzięki nie ma o to strachu... Post już zachodzi, tegdy w domu prawego chrześcijanina nie godzi się trzymać mięsa. Niech je ryby zjedzą!

— Słuszna, słuszna — przytakiwał skwapliwie zakonnik — nie godzi się trzymać, by zaś w pokuszenie nie wpaść... Jako tutejsze wagansy zeszedło tygodnia: wołu w piątek skradły

i zaraz zećpały, nie dbając o post... Nie mogły do niedzieli strzymać!

Westchnął nad tym zepsuciem, skłonił się przyjezdnym i odszedł klekocząc sandałami. Rycerze obsiedli

ławy wbite w ziemię wokół stołu umieszczonego przed drzwiami.

— Rzuciłeś mięso do wody, a nam żreć się chce — zauważył cierpko de Foix.

Gospodarz obejrzał się ostrożnie wokoło.

— Wnet je wyjmę, Wasza Miłość. Mam tu jamę pod kamieniem, gdzie w chłodzie lepiej się trzyma niż w domu...

— Tak praw od razu. Czego ludzi oszukujesz?

— Z klasztorem zawdy lepiej żyć dobrze, Wasza Miłość. A mięso co duchu wyciągnę.

•— Wina nam przedtem daj, byle dobrego!

Postawił wino i kubki gliniane. Z wnętrza domu, zwabiony hałasem, wyszedł wysoki szpakowaty rycerz w wytartym pancerzu i kosztownym pasie. Skłonił się, obie dłonie obracając ku siedzącym, w znak, że nie trzyma w nich broni i zdrady żadnej nie żywi. Przybysze powstali z miejsc ukazując podobnie dłonie w uczciwym rycerskim powitaniu.

— Jestem Gouffier de la Tour —• rzekł nowo poznany. — Do Clermont jedziecie?

— Jedziemy owszem społem do Clermont — objaśnił de Foix — ci oto szlachetni rycerze z tak dalekiego kraju, że Saksonia przy nim wydaje się bliższą...

De la Tour pochylił głowę z uznaniem.

— Cały świat jedzie do Clermont., Ja też, choć nie z tak. daleka... A gdzieżeście go słyszeli?...

•— Kogo? — zapytali ze zdumieniem.

— Tego, który woła do Clermont.

— Urbana II? Zali tu już jest?

•— Nie, nie Urbana II. Mnicha Piotra, co zeszłej niedzieli gadał w Avignon?

— Nie słyszeliśmy o nim...

— Nie słyszeliście? — powtórzył z niedowierzaniem Gouffier de la Tour, wodząc po nich niebieskimi jak chabry oczami — nie słyszeliście, a wždy jedziecie do Clermont?

— Szlachetni obcy rycerze sprawiają poselstwo do Ojca świętego, któren tam ma być, nam zaś trzeba szukać Rajmunda, pana Tuluzy, jego dobrymi wasalami będąc.

— I nie dziwiło was, zacni panowie, że wszyscy równie jak wy, ciągną w tę stronę?

— Przecież sobór zwołany!

Machnął ręką niecierpliwie.

— Sobór! Siła soborów już była, a na żaden tyle luda nie ściągnęło... Bo on kazał...

— Ten mnich?

— Ten mnich. Piotr. Nie wiedzieć, skąd on. Z Amiens pono...

Mały taki, chuderlawy... w zdartej opończy... Kaptur mu wisi do pięt... A kiedy gada, ludziom serca truchleją... I ja struchlałem..

Każdy z siedzących za stołem zasądził w duchu, że pan de la Tour przebrał miarę w winie, skąd pochodzi mglistość jego niebieskich oczu i mętność wywodów, nie okazali jednak przypuszczenia tego po sobie.

•— O czymże gadał? — zapytał uprzejmie de la Foix.

•— Dyc o Jeruzalem! O Jeruzalem! O Pana Chrystusowej krzywdzie! Serce krwią płacze, gdy słuchać, a my tu siedzimy...

— Ech! —• rozczarował się de Foix — nie on pierwszy o Jeruzalem powiada...

— Tak, dobrzy panowie bracia, powiadali już niejedni, ale odkąd Saraceny Ziemię Świętą zagarnęły, on pierwszy stamtąd żyw wrócił...

— To był tam.?

— Jużci że był... Swoimi oczami na poniewierkę Chrystusową patrzył... Teraz do Clermont wszystkim kazał iść... Wszystkim chrześcijanom... Po co, nie wiem... Obaczmy...

Pochylił głowę trwając w zamyśleniu. Z otwartych drzwi dolatywał brzęk naczyń i swąd przypalonej oliwy. Imbram Strzegonia wstał z chrzęstem, by wyprostować nieco kości przed jedzeniem. Nieodłączny przyjaciel jego, Jasiek Zawora, za nim. Odeszli o kilka kroków.

— Na prawego przygłupka patrzy — zauważył Imbram. — Zrozumiałeś co z jego gadania?

— Niech niebo spadnie i skowronki potłucze, jeśli co zrozumiał! Ale dziwa j no się, dziwaj!

Podnieśli głowy. Z szumem i piskiem nadlatywała niska, ciemna chmura. Zakołowała nad ich głowami, zawirowała i opuściła się z nagłą na pobliskie wzgórze pokrywając je w mgnieniu oka ciemną, połyskliwą, mieniącą się, świergocącą łuską.

•— Jaskółki! —• wykrzyknęli obaj ze zdumieniem.

...Jaskółki, czarno-błękitne sterniczki, z rudawym podgardlem i białym podbrzuszem... Jaskółki, takie

same jak te, co się gnieździły pod okapem śląskiego dworzyszczca, co w pogoni za muchami wpadały niejednokrotnie aż do sieni, kwi-

liły w przelocie nad starzykowym barłogiem szybko uchodząc ku światłu: te same, co z kałuży na dziedzińcu brały błoto do lepienia swych domków przyściennych... Jaskółki!

— Nikandym takiej ómy ich nie oglądał — dziwił się Jasiek — a zmęczone, patrz, w ręce można by je brać...

— Skąd się ich tyle zebrało?...

Gouffier de la Tour, słysząc ich wykrzykniki, podszedł i przeżegnał się.

— Cuda, prawe cuda... pewnikiem i one lecą do Clermont... Lecz de Foix, d'Armaillac i inni zakrzyczeli go, że zawdy

tej porze chmury ptactwa spadają na nocleg, z czego korzystają chłopięta, by je w sidła złowić. Rankiem znów kajś odlatują. Nie cuda to zatem żadne.

Gospodarz, przestępując z nogi na nogę, ośmielił się zabrać głos nie pytany i wyjawiał, że mówił kiedyś w gospodzie uczony zakonnik, jako to ptactwo ucieka przed chłodem kajś z dalekich północnych krajów, gdzie zima bardzo jest sroga, i za morze leci, skąd znów na wiosnę powraca.

— Może to być — przyznał obojętnie de Foix,

...Z dalekich krajów, gdzie zima bardzo sroga... Więc i z, e Śląska pewnikiem! Czyż nie widzieli co jesień, jak się jaskółki zbierają w kupy do odlotu, obsiadując gęstym wiankiem kaletę i brzegi dachu? Gdy one wiodły rady koło domu, bociany sprawały swój sejm bociani na łęgach, to kołując w błękitnym powietrzu z rozpostartymi nieruchomo skrzydłami, to opadając na ziemię. Potem równie jak żurawie, kaczki

gęsi, z wielkim klangorem i klekotem odlatywały na południe, by dopiero wiosną wrócić. Nikt nie troszczył się o to, dokąd lecą, jak nie przychodzi nikomu na myśl pytać, gdzie lęgnie się zorza i dokąd zima odchodzi. O jaskółkach jednych, owszem, prawiły coś prządki, że za słońcem lecą i kajś pod lodem zimują... A oto te ptaszki swojackie przyleciały aż tutaj, przefrunęły nad krawędziami skał, górami, których okropy nie Iza zbyć z pamięci, i jeszcze dalej poleca... Za morze...

Towarzysze ich dawno zajadali suto doprawione oliwą i ziołami mięsiwo, a oni obaj, Imbram i Jasiek, stali jeszcze obok siebie, radzi, że stoją tak właśnie, sami jedni, bogin-kowi odmienne, podlegający niewytłumaczonym wzruszeniom, wyśmiewanym przez tamtych. Cóż mogły obchodzić wędrownie jaskółki Głowacza, Momota, Zbyluta czy Nogodzica? Oni zaś obaj czuli, że na widok utrudzonych ptasząt coś ich uła-pia za grdykę, jak gdyby wymawiali w pełni słowo lulek lub

brali w rękę czarodziejskie ziele lilialis, zwane też marzanną polną.

De la Tour znów podszedł ku nim, patrząc łagodnymi niebieskimi oczami na ruchomy, aksamitny kobierzec.

— Zmorzone niebożątka —• rzekł — ale obaczycie, czy jutro nie polecą ku Clermont... Bo cuda dzieją się, cuda...

— Haj! Haj! Normany idą! — zawrzęsnał naraz przeraźliwie gospodarz za nimi.

— ~Gdzie?

— A ot z góry! Znaki widzą się normandzkie!

I znikł, jakoby go co zmiotło. Dwie czarnuchy dudniące bosymi nogami, przybiegły zgarniać w podołki kubki i misy z nie dojedzonym mięsem. Rycerze spieszenie dopinali pasy, podciągali miecze, pilnie zarazem przyglądając się nadjeżdżającym. Ci zjeżdżali już ze wzgórza. Stan ze znakiem zdobywczyn wikingów nad nimi. Twarze mieli twarde, zuchwałe, oczy jasne, włosy rude. Patrzyli przed siebie z pychą zwycięzców świata, synów morza, co świeżo zawojowali Anglię i Sycylię, a nie tak dawno spustoszyli Galię, Bur-gundię, Prowansję. Niszczyciele kościołów, prześladowcy re-likwii, czyż ktokolwiek w tym kraju mógł był zapomnieć szalonej ucieczki nad wszystko czczonych świętych kości, starych prochów, uwożonych rozpacznie od klasztoru do klasztoru, od kościoła do kościoła, ciągle ściganych przez najeźdźców, chciwych nie ich świętości, lecz złota i klejnotów relikwiarzy. Niby dziś byli sprzymierzeńcami, dobrymi sąsiadami, lecz stara nienawiść trwała, i panowie de Foix, de la . Tour, d'Armaillac i ich ludzie patrzyli na zbliżających się z nienawiścią, dziwną rycerzom polskim, którzy w nadjeżdżających nie widzieli nic obcego. Przeciwnie, ze zdumieniem ujrzeni, że znak normandzki jest ten sam a ten sam, co plemienny znak rodowy Jaszczółdów, dobrych rycerzy, o

których powiadano, że kajś dawno, dawno, od morza na korabiach przybyli. Nie godziło im się jednak uchylać od bitwy.

Normandczycy przystanęli. Było ich z pięciu rycerzy i dwa-kroć tyle konnej i pieszej służby. Starszy z rycerzy zawołał donośnie:

Miejsce w gospodzie dla prawych wasali dobrego rycerza, szlachetnego księcia Roberta Courte-Heuse, pana Normandii!

— Gospoda jest zajęta przez prawe poselstwo króla węgierskiego, przez dobrych rycerzy polskich i prowanskich.

— Opróżni się...

— Na rany Chrystusa — nie!

Więc Normanowie zawrócili kilkanaście kroków w tył, by zrobić sobie miejsce do natarcia. Pozostali spieszenie siadali na konie, które już podprowadzali pachotcy, widząc, co się święci. Giermki chwyciły topory i szczyty. Stanęli za końmi rzędem, drapieżnie czekając chwili, w której panowie zetną się ze sobą, a oni będą mogli rąbnąć szerokim dwustronnym toporem w tarczę giermka przeciwnika. Za plecami wojów zamykano z trzaskiem okiennice gospody. Dziewki, które poprzednio zbierały kubki, wyskoczyły oknem i pognały do strumienia. Przebrnęły wodę piszcząc przeraźliwie, jak gdyby już czuły na sobie zdobywcą garść nieprzyjaciela, i skryły się w lesie. Gospodarz, spotniały ze strachu, wysuwał okrągłą jak miesiąc głowę przez otwór dymnika. Trzaskały sucho spuszczone z hełmów nanośnice. Z kopią, w pół ucha końskiego złożoną, normandzcy czekali, jak obyczaj każe, aż przeciwnicy będą gotowi do walki. Ci stali już rzędem, w rzadkim szyku zwanym płotem. Tylko Węgrzy z żupanem Gezą Sukki de Szuha na czele, ze wzniesionym złocistym ramieniem, ustawili się w gotowości, ale na uboczu, nie mając prawa brać udziału w walce, dopóki by poselstwo nie było sprawione.

— Na Boga, czyście gotowi?

— Tak jest, na Boga!

Ściskając lędźwiami boki końskie, aż stękają źrebce, runęli ku sobie straszliwie, lecz zanim zdążyli się dopaść, kopią sięgnąć — z boku zagrzmiął tętent kopyt. Na potężnym ska-rogniadym, ogierze sady biskup Albert z Nimes, wzniesionym pastorałem potrząsając w górze. Za nim ciżba pieszych i konnych, milicja święta pokoju. Konni włodycy, a piesi — hołota, uzbrojona lada jako lub nie uzbrojona wcale. Wtłoczyli się klinem, między przeciwników, nie dbając, że mogą być z dwóch stron stratowani i przebici.

— Stać! *Treuga Deil* — ryczy biskup. — W imię Chrystusa Pana i Namiestnika Jego na ziemi. Urbana II •—• stać!

— Uchodź stąd, biskupie, skoro, bo cię przebodziem! — krzyczą groźnie rycerze normandzcy. Zdarli konie, farbują im pyski zakrwawioną pianą, kopie trzymając ciągle w pogotowiu.

— Nie potrzeba nam obrońców! — wołają rozeźleni Pro-wansalczyki •—• sami sobie damy radę!

— *Treuga Deil* — powtarza biskup zapalczywie, a że jest siłacz, podbija ręką kopie złożone do grzy.

— Od kiedy i w czwartek *Treuga Dei*?

— Piątek już zaszedł! Na Anioł Pański dawno przedzwo-nili! Kopie wzniesić! Chrzęścijanyšta czy pogany? Miasto do Clermont społem iść, tutaj na siebie nastawać?

— Do Clermont! — powtarza de la Tour i pierwszy kopię podnosi.

- Myż jedziemy do Clermont — tłumaczą się chmurnie Normany.

- Czemuż tedy bijatyki stroicie na drodze?

— Miejsca w gospodzie nie chcą zwolnić...

— Przyjmcież u mnie nocleg, sercem proszę...

Powoli, z namysłem, z nietajonym żalem, rycerze podnoszą kopie i wbijają tyłcem w ziemię. Czyli że bić się nie będą, przynajmniej teraz. Giermki z niechęcią zaczepiają topory za pas, odrzucając szczyty z powrotem na ramię. Biskup błogosławi rozjeżdżających się w pokoju. Ukazując ręką północ, woła jeszcze: — Do Clermont!...

Zmierch różowoloty barwi szare gaje oliwek prowanskich. Polskie jaskółki ułożyły znużone skrzydełka na murawie pokrywając darnik aksamitnym wzorcem. Oba poczty rycerskie już zniknęły w dali. Biskup odjechał rad. Przed gospodą zostaje tylko milicja Boża. Zadawalona, że obroniła święty pokój, wzywa gromko gospodarza, by ich uczęstował winem, a gdy się nie kwapi — widząc, że liczni, a nie wątpiąc, iż o zapłacie nie myślą — wywalają społem drzwi, 'plądrują piwnicę. W ochocie ogólnej tłuką sobie kubki o głowy, po czym przechodzą do stołów i ław. Gospodarz, w ślad za dziewczkami, przebrnął potok i skryty w gąszczu klnie, targa włosy, przeklinając cały świat, rycerzy, biskupa i świętą milicję...

Rozdział ósmy

O BOŻYM CZŁEKU, PIOTRZE EREMICIE, I LICZNYCH PANACH, RYCERZACH, BARONACH, KSIĄŻĘTACH NA SOBÓR DO CLERMONT Z CAŁEGO ŚWIATA CIĄGNĄCYCH

Imbram odwracał niecierpliwie twarz w przeciwną stronę, lecz chudy, smagły wyrostek nie ustępował. Zauważył przedtem błysk życzliwego współczucia w oku rycerza i teraz niezmordowanie biegł za nim, a raczej obok niego, gotów każdej chwili śmignąć w bok, w zarośla, przed uderzeniem w kark nadjeżdżającego z tyłu pachołka. Niestrudzenie podnosił błagalne oczy i dłonie.

— ...Po łokcie ręce urobię, i przyodziewku mi nie trzeba... za strawę, panie, za strawę!...

— Mam dość sług — odrzucił Imbram niechętnie.

Lecz gest, towarzyszący tym słowom, nie był widocznie dość twardy, bo chłopiec aż się zachłysnął ponownym błaganiem.

— Takiego sługi, jako ja będę, nie macie, dostojny panie! Na żywych pójdę czy zmarłych, w ogień czy we wodę... Za jedną strawę... za strawę...

— Ady, niech który przegna tego wyjca! — odwrócił się ze złością Zbylut jadący przodem.

Zanim pachołcy zdążyli wykonać rozkaz — a byłiby to uczynili skwapliwie — Imbram powstrzymał ich dłonią. Uszy poczerwieniały mu pod labrami z gniewu na brata. Co się tu mieszał?

— Sam go każę przegnać, jak zechcę... Do mnie ma przą...

— Sam podolasz? — dogryzł Zbylut szydliwie. — Cię, jaki srogi! To czegoś tego nie robisz?

•— Bo myślę, czy go nie wziąć na pachołka — rzekł z zastanowieniem Imbram, który jeszcze przed chwilą ani o tym myślał.

— Masz dwóch, chwaci aż nadto.

— I... trzeci by się zdał...

Smagły wyrostek nie spuszczał z nich oczu, żebrząc ze zdwojona nadzieją:

•— Weźcie mnie, panie, ja z wolnych, z dobrego rodu... Obaczycie, jako wam służyć będę... obaczycie...

— Konia nie mam... — burknął Imbram. Zły był na brata, na siebie. Trzeba było zrazu rzucić chłopcu grosz nie wdając się z nim w rozmowę.

— Będę biegł za koniem, będę biegł za koniem!

— Nie nadążysz, daleko jedziem... — Nadążę, panie, nadążę...

Imbram gryzł wąsy niechętnie. Nie patrząc czuł na sobie drwiące spojrzenie Zbyluta, przeglądające go na wskroś. Zgorlił się, zapragnął właśnie postąpić na przekór.

— Jeśli nadążysz, możesz ostać — rzucił — dostaniesz strawę i odzież jak tamte moje pachołki.

Chłopiec bez słowa skoczył całować skórnie rycerza. Czarnymi jak węgle oczami spoglądał w górę z tak nieudaną wdzięcznością, że Imbram poczuł mimowolne wzruszenie, i jak zwykle w tych razach pomyślał, nie wiedzieć czemu, o swym małym synku i o Ofce.

— Jak cię zowią?

— Benito, panie.

— Ejże, ejże! — zawołał Zbylut ku przodowi, składając ręce przy ustach — nie ruszymyż to rysią? Przykrzy się tak wszawo ciągnąć!

— Ano — odskrzyknął któryś z Węgrów jadących na przedzie. Szeregi zakolysały się, konie ruszyły klusem, kurz wznosił się nad drogę. Benito biegł rażno, dość było jednak

.nań spojrzeć, by poznać, że zgłodzony i znędzniały, długo tego biegu nie wytrzyma.

...Zbylut umyślnie, to zrobił — przemknęło Imbramowi przez głowę. — Com mu zawinił, ja, albo ten chłopiec?

Przystanął i skinął na swego seryiensa, Sobka.

•— Weźmiesz chłopaka za siebie na konia — chudy, wiele nie przecięży...

Sobek skrzywił się niemiłosiernie, zatrzymując podjezdka bez słowa. Benito skoczył na zad koński dysząc z utrudzenia i radości.

Zresztą wprędce zwolnili znów kroku, z powodu kurzu unoszącego się ciemnym, duszącym tumanem.

Jesień była sucha, choć późna, gościńcem od paru niedziel szło tyle ludzi, wozów i koni, że drogę pokrywała gruba warstwa pyłu startego na miałki proch. Pył ten podobny był do popiołu i zo-

Stawiał popielny smak w ustach. Ziemia wokół nie była tu już czerwona, czerwona, skała nie była biała, biała — obie były czarne, czarnoszare. Na widnokregu wznosiły się wzgórza o ostrych, spłyniętych zboczach i tępo ściętych wierzchołkach. Że niegdyś z tych ściętych wierzchołków spływał

w dolinę, żywy i straszliwy ogień, co stał się z czasem czarną urodzajną ziemią, nie domyślał się żaden z jadących.

Jadąc w milczeniu Imbram rozmyślał nad przyczyną wzajemnej ich ku sobie ze Zbylutem niechęci. Skąd właściwie powstała? Dlaczego? Stosunek z Głowaczem, acz daleki od serdeczności, był jednak uczciwym braterskim stosunkiem. Podczas gdy ze Zbylutem!

...Jak gdybym mu co skradł... — myślał nieraz Imbram z żalem.

Na szczęście obecna podróż niewiele dawała sposobności do przejawiania uczuć. Jakoś samo z siebie, siłą wzajemnego ciężenia, gromada wędrowców rozpadła się na trzy człony, najchętniej ze sobą przestające. Więc Węgrzy na czele ze swoim złocistym ramieniem, ważni i godni jak przystoi posłom, z nimi Zbylut, Nowina Dąb i młodsi dwaj Oświętowie. Potem de Foix, de la Tour, d'Armaillac, Imbram, Jaśko i Tar-chała. Na końcu zdążyły zgryźliwe i niechętne seniory, dawniej ciągnące na czele, Głowacz, Momot Zawora, Sciborowic, Nogodziec i Oświęta Cwała.

Ci mądracze czuli się bardziej od innych wyrzuceni z przyrodzonej koleiny życia, pomniejszeni, nie umiejący odnaleźć samych siebie. Dotychczasowa mądrość, którą się chlubili, wynikająca (podobnie jak mądrość Boguchy, Głowaczowej żony) z doskonałej znajomości wszelkich przepisów, zabiegów chronnych ubezpieczających, ze znanstwa skutków i przyczyn życzliwej lub nieżyczliwej uwagi rządzących światem mocy •— mądrość ta w obcych dziedzinach stawała się wątpli-wą i chwiejną. Nie wiedzieli, jakie prawa władają dziwnymi, cudzymi krajami, przez które szli. Nie wiedzieli, czy przebywanych brodów strzeże, prócz świątka w kamiennej kapliczce, ten sam, co na Śląsku święty wieprz, opiekun wód; co za bobaki, dziady albo wiły lęgną się w tutejszych pierwo-borach, ani jakie skrzaty, chowańce, ubożą mieszkają pod frankońskimi progami? Co im jest miłe? Co przykre? Czuli się jak człowiek stojący nieruchomo na moście lub promie wpatrzony w wodę, co płynie własnym swoim nurtem, z którym się ów człowiek nigdy nie połączy. Patrzyli, jak inni ludzie żyją, nie biorąc w tym życiu ni żadnego udziału. Ich

własne życie urywało się na chwili wyjazdu z Węgier, a kiedy nawiąże się z powrotem?

Osowiali i odosobnieni, małowiele odzywali się do siebie, czując nieuzasadnioną niechęć do wszystkiego. Bo choćby ci Węgrzy! Niby przyjaciele, druhy serdeczne, sami do podróży namówili, teraz zaś trzymali się z daleka, uparcie zaznaczając, że są poselstwem swojego króla, którego nie myślą dzielić z nikim ani używać splendoru nikomu. „Trzeba było własnego strzec” — rzekł kiedyś otwarcie żupan Geza Sukki de Szuha. I poprzednie złudzenie, że można będzie jechać jakoby z przyrodzonym panem, rozwiewało się, ustępując miejsca dokuczliwemu, utrapionemu, od piętnastu lat nie dającym spokoju żalowi nad zaprzepaszczonym, królewskim plemieniem, od Mieszki I po najstarszym synu nieochybnie się wiodącym. Śmierci pięknego królewicza skrytobójczo otrutego nic nigdy nie odrobi, nie naprawi, nie odpomści. Choćby Włodzisławowice były samą dzielnością i cnotą (o Zbygniewie wiadomo już, że łada jaki, z małego Krzywogębego może co wyrośnie), nie będą już równi z tamtymi, chybając błogosławieństwa rodu płynącego prostą strugą od praojca do prawnuka.

Pograżonym w niewesołych rozmyślaniach niemało zgry-żliwości dodawało stwierdzenie, że tak zwane przygłupki, niemrawce, odmieńce, w pogardzie u nich zostające, a to: łagodny, przyciężki Imbram, papla Tarchała, Przybywoj Zawora o głowie jak makówka i wystającej grdyce, którego samo przezwisko „Jasiek” wskazywało dowodnie, jak był śmieszny, nierównie lepiej radzili sobie teraz niż oni. Ciekawili się wszystkim po drodze, dopytując o każdą rzecz, uczyli się chciwie i szybko języka, porozumiewając się łatwo z otoczeniem. Tę ciekawość i chęć poznania potępiały surowo seniory. Folgowali jej sami niegdyś, niegdyś, czasu szczęśliwych, niezapomnianych wypraw kijowskich, niemieckich, gdy chęć ogarnięcia świata rozpieierała duszę. Lecz wtedy jechali jako zwycięzcy. Nie potrzebowali lękać się o swoją godność i znaczenie, dostatecznie mieczem utwierdzone. Inna rzecz dziś. Wędrującym samotrzeć bezpieczeństwa nie przystoi zdradzać zaciekawienia cudzym krajem, nasuwając snadno przypuszczenie, że z dziczyzny jadą, skoro się wszystkiemu tak cudują.

Nie dbając o te dąsy starszych, „odmieńce” chętnie przebywali z Prowansalczykami. Szczególnie przyłągnał do nich de la Tour. Może podobnie jak Imbrama boginka go chciała

odmienić lub — jak to było z Jaśkiem •— rozenica spojrzęła przez ramię. Był olbrzymiej siły i niezmiernie łagodnego usposobienia. Miłował zwierzęta i dzieci, i kłął się na świętą, nieszytą suknię z Argenteuil, że

nielatki i żywina muszą być Bogu najmilsze, bo najniewinniejsze. Poza tym był to mąż ucześniejszy od niejednego opata i nowym przyjaciołom opowiadał chętnie o przeszłości przebywanego kraju. Rycerze śląscy, których dziady pamiętały żerców, dowiadywali się ze zdziwieniem, że te dziedziny nadśródziemnomorskie od ośmiuset lat przeszło są już chrześcijańskie. Jeszcze większy podziw budziła w nich wiadomość o srogich rzymskich prześladowaniach, jakie tu niegdyś miały miejsce. O dziewczkach rozdieranych przez dzikie bestie, o tym, jako chrześcijan obrzucano gnojem, broniono wstępu do łaźni, urzędów. To wszystko nie mieściło im się w głowie, znali bowiem chrześcijaństwo tylko jako już nakazaną z góry władczą wiarę, walecznie strzeżoną przez mocnych królów i biskupów. Dlaczego Chrystus dopuszczał takiej poniewierki swych ludzi? Musiał być jeszcze młody i mdły, później dopiero wzmógł się do tyłu, że obalił inne wiary oraz niezliczone posągi bożków, stojących przy drogach i na wzgórzach równie gęsto w Owernii, jak poprzednio w Prowansji.

Skruszone i okaleczone leżały pospołu stare bogi Galii, które imperium rzymskie, chcąc zjednać sobie tubylców, dźwignęło do świątyni o smukłych kolumnach i precudnie wyrzeźbionych kapitelach, zrównało we czci z bożami rzymskimi, greckimi, z bóstwem egipskim o głowie szakala, z płodnym krwawym bykiem Mithry, z bogami indyjskimi w postaci słonia i małpy, z perskim jaśniejącym Ormuzdem —• a które teraz, na równi z nimi wszystkimi, strząśnięte były w proch i pył.

Jadący rycerze mijali stojące na czarnych skałach ciężkie, z omszałych chropawych głazów wzniesione kromlechy lub dolmeny, nieludzką siłą wydarte z ziemi, ujęte i wywyższone. Gdy spoglądali na nie, czując się bezwiednie bliższymi tych posępnych, surowych łomów niż misternie rzeźbionych, pieszczonych ciał bogiń' —• de la Tour objaśniał, że księża bronią zbliżać się do tych głazów, stawiając to za grzech równy z modłami u źródeł, jedzeniem koniny i święceniem czwartku jako dnia bożka Tora.

Na co Ślązacy odpowiadali, że podobnie u nich księża gniewają się o matowanie, palenie ogni i robienie stada, a przecie wszyscy to czynią.

— To źle, to źle tana w sile...

wzdychał de la Tour — to trzyma sza-

W miarę jak zbliżali się do Clermont, liczba zdążających w tę samą stronę rosła. Mnich Piotr, którego imię było na wszystkich ustach, wyprzedzał ich o dzień drogi. Na każdym postoju dowiadywali się, że co ino odjechał na swojej mulicy. Ludzie miejscowi na wyścigi opisywali przybyszom jego mizerną, cherlawą postać w zdartej opończy z długim kapturem, z powodu którego dzieci przezwały go *Petnis cucullus*,

co się wcale nie gniewał. Schodził już pono całą Francję, Normandię, Bretanię, Pikardię. Był na północy, na południu, na zachodzie i na wschodzie. Wszędzie — opowiadali — mówiono o nim, jak się rzadko mówi o śmiertelnych. Znoszono mu w darze odzież, klejnoty, przysmaki, on zaś rozdawał to natychmiast ubogim. Godził zwaśnione małżeństwa

nawoływał panów do łagodności względem sług. A nade wszystko prawił o Jeruzalem i Grobu Chrystusowego strasznej krzywdzie, przykazując słuchaczom ruszać do Clermont, gdzie Ojciec święty jakąś radę na to zło obmyśli. Od ciągłego wołania gardło ma zapalone — mówili — i gdy rozmawia, to ochryplym szeptem, że ledwie go można zrozumieć. Ale gdy stanie na placu wśród tłumu, duch Pański wstępuje weń i brzmi głosem, że słyszą go na całym rynku. Litościwsze kobiety podają mu, gdy skończy, ciepłą wodę z oliwą albo kozie mleko, bo chwytą się za piersi z bólu. Czasem pije, czasem nie widzi nawet, że mu podają. O jedno tylko strasznie się gniewa i krzyczy: kiedy gorliwcy wyskubują sierść z jego mulicy, chowają ją w zanadru jako relikwię. I ciągle przykazuje iść natychmiast do Clermont, do Clermont, gdzie spełnić się mają jakieś wielkie *rzeczy*...

Jakie — nikt dokładnie nie wiedział, lecz wszyscy wiązali tobołki, gotując się ruszać w drogę.

Poniektórzy, co znali swojaków Piotra z tej samej dziedziny pochodzących, prawili, że był on niegdyś człowiekiem jak wszyscy, miał białkę i troje dzieci. Zawdy jednak uciekał od rodziny i przesiadywał samojeden w lesie, w szałasie skleconym z gałęzi. Żona tropiła za nim i gdy kryjówkę odnalazła, sprowadzała męża za łeb do domu ku uciechu całego przysiółka. To ulubienie samotności zjednało mu przezwisko Pustelnika, Eremita. Na koniec żona umarła, dzieci odchowane poszły w świat i Eremita opuścił okolicę, nie-

Crzyżowcy t. I/II

chając sąsiadom swe nędzne domostwo i dobytek, składający się z kozy i wyleniałego kota.

Nikt nie wiedział, czy zaszył się w puszcze, czy wywędrował za granicę hrabstwa Vermandois. Jak się okazało, wywędrował on znacznie dalej, dalej, niż mogła sięgnąć wyobraźnia jego krajanów, do Ziemi Świętej, z której ninie wrócił. Czy gdzie po drodze śluby zakonne składał — nie wiedzieć.

Te opowiadania ziomek nie cieszyły się zbytnim powodzeniem u zagorzałych zwolenników mnicha Piotra. Wstrząśnięci potężną wymową, woleli nie słyszeć o jego pospolitej przeszłości. Dla nich istniał

od chwili, w której wszedł do Jeruzalem. Co było raniej, nie dbali.

Inni znów ze słuchaczy czuli przykry zamęt w głowie, ten sam, który trapił rycerzy śląskich słuchających opowiadań pana de la Tour. Sądzieli dotychczas (takich było wielu), że najświęszym miejscem chrześcijaństwa, władcym jego ogniskiem, jest Rzym. Z pewną urazą i zawstyżeniem dowiadywali się, że Bóg mógł zostać pokonany i oddać Grób swój w ręce pogan. Wraz i Saraceni, zwycięzcy Boga, rośli w ich pojęciu na Obrzych, z którymi zmierzyć się byłoby straszno i chwalebnie zarazem.

Niezależnie od tych uczuć wszyscy z jednakim pośpiechem szli do Clermont, przepychali się, ciągnęli ręczne wózki naładowane dziećmi i gratami, pędzili kozy, których nie było przy kim zostawić, schodzili z drogi ustępując pocztom pańskim, rozlewali się rzeką po polach szukając skopów lub nie wykopanej rzepy. Wiatr zimny, północny pociągał nagłąc do pośpiechu. Gościńcem sunęły nieprzerwanie orszaki rycerskie. Mijając się okrzykiwały swe rodowe zawołanie, pana i kraj, unosili otwartą dłoń. Nawiązywano rozmowy. Dwaj rycerze niemieccy zasłyszawszy, że śląscy znają ich mowę, prosili o zezwolenie wędrowania razem. Nie znając łaciny byli jak zagubieni. Zwali się Gottschalk i von Emich. Głowacz i Moj-mir przystali na ich prośbę, acz niezbyt chętnie, bo wygląd rycerzy niemieckich nie był szczególnie udujący.

Wilfryd Guillebaut, jeden z rycerzy normandzkich (z którymi potykać się miano przed gospodą pod Avignonu, jeno biskup walczących rozgrodził), zdążył równoległe z nimi w bogatym pocście brata swego, Omera, starszego woja

twardej, podejrzliwej twarzy. Pomiędzy braćmi na pięknym dzianecie jechała żona Omera, Willibalda, blada, znudzona obojętna pani. Nieruchomego wzroku nie odrywała od uszu

swego wierzchowca. Złociste krzyże jaśniały nad dworami biskupów, wyróżniającymi się bogactwem, liczbą sług zbrojnych i wozów. Biskup Lambert z Arras, który był krewniakiem rycerza de Foix, ujrawszy go, przyzywał z daleka ręką, a gdy ten podjechał, jął ze wzburzeniem opowiadać

doznanej niedawno przygodzie. Pan Garnier de Pons, wzięwszy w oćmie orszak biskupa za kupiecki, napadł nań zbójcko i biskupa w lochu zamknął. Dopiero rano omyłka się wyjaśniła. Zawstyżony kasztelan padł wielebnemu do nóg, przebaczenia prosił ofiarując się osobiście odprowadzić dostojnika do Clermont, by go podobna myłka po raz wtóry nie spotkała. Lecz urażony biskup przebaczyć nie chciał i teraz rozповідаł zająście umyślnie podniesionym głosem, by jak najwięcej ludzi o szpetnym postępku pana de Pons słyszało.

Po czym wysapawszy się, pytał pana de Foix, czy rzeczywiście nikt nie wie, dlaczego takie tłumy ciągną do Clermont? Co tam nastąpi? Kim jest naprawdę mnich Piotr? Czy działa z nakazu papieża? Czy sam przez się? Przewidziany porządek obrad soboru nie zawierał nic, co by usprawiedliwiało te ciągi powszechne.

— ...Bo o ile mi wiadomo... — prawił, rad, że znalazł słuchacza — w pierwszym rzędzie mają być podwojone klątwy ciężące na Henryku i Filipie... Tych bezbożników trzeba ugiąć... Potem miano rozstrzygnąć spór, czy święty Dionizy, dobry biskup i patron Paryża, jest lub nie jest jednym z Dionizym Areopagitą, którego w Atenach nawrócił święty Paweł... Któryś z mnichów południowych, kierowany niewątpliwie zazdrością, powiada, że gdyby to był ten sam człowiek, musiałby żyć przeszło trzysta lat... Dlaczego tak wielki święty nie mógłby żyć trzystu lat? W czym tu dziwo? Jednak ta wątpliwość oburza słusznie dobrych mieszkańców Paryża

sobór obiecał ja rozsądzić... Na koniec, mieliśmy utwierdzić pokój Boży w trojkiej postaci, mianowicie: *Pax Dei*, pokój Boży, obejmujący zawsze i wszędzie zakonników, duchownych, wdowy, sieroty, nieletnich i starców; *Asylum Dei*, schron Boży, strzegący każdego, kto by się ukrył w kościele albo w miejscu poświęconym; i *Treuga Dei*, rozejm Boży, zabraniający walki komukolwiek w poście, adwencie, w święta, wigilie i każdego tygodnia od czwartku wieczór do poniedziałku rano...

Cóż nam zatem pozostanie? —• roześmiał się de Foix.

— Walka z nieprzyjaciółmi Krzyża! — odkrzyknął bi-

skup. — Gdy ten potrójny popręg dociągniemy, skończą się wasze ustawiczne boje w kraju.

De Foix nic nie odpowiedział, lecz zachował wyraz wąpiący, czym podniecił krewniaka do dalszej przemowy.

— Nie myśl — grzmiał biskup — że nie zdołamy tego przeprowadzić! Od czego milicja Boża? Każdy z nas wystawi oddział, nie gorszy od waszych drużyn...

...Tedy walka nie tyle się skończy, ile wzmoże... — pomyślał pogodnie de Foix, lecz nic nie rzekł, gdyż uwagę obu zwrócił mąż olbrzymiego wzrostu, kroczący pieszo środkiem drogi. Odziany w wytarty skórzany kaftan, na szyi, na szerokim rzemiennym pasie, nosił zawieszony jak mizerykordię wielki, dwuręczny miecz.

— Na nikim nie zejdzie w Clermont, skoro i on jest... — zauważył biskup.

Znany powszechnie olbrzym zwał się Walter Sans Avoir, czyli Bez Mienia, bękart, wysokiego, podobno nawet królewskiego rodu. Przed laty niesprawiedliwie odmówiono mu pasa, czym ozeźlony przysiągł, że się bez niego obejdzie. Miecz na szyi zawiesiwszy, chadzał samopas, mieszając się z wszelką hołotą, głodny, biedny i niezależny. Że wstawił się kilkakrotnie wielkim męstwem, król Filip ofiarowywał mu tyle uprzednio pożądaną pas, lecz Walter zaszczyt odrzucił. Chodził nadal po świecie z mieczem na szyi, samotny i niczyj.

Mury Clermont otaczały tłumy tak gęste, że trudno było przedostać się do grodu. Sam gród był warowny, ludny, bogaty w kamienne gmachy i kościoły. Kościołów bez mała pół setki, w tym ani jednego drewnianego. Pośrodku miasta stała katedra, o której mówiono, że przed tysiącem lat wznosił ją święty Ostremiusz i cudowną mocą zakrył obłokiem przed oczami pogan i całego rzymskiego senatu. Podobno gęsta biała mgła otaczała ją w noc i w dzień, rozwierając się jeno, gdy wierni zdążali na modły.

Dziś żaden obłok nie potrzebował osłaniać niskich, sędziwych wrót. Że była ciasna i ciemna ze swą koślawą półokrągłą absydą, uroczyste nabożeństwa odprawiano u Panny Maryi z Przystani, który to feftściół zbudowany przez świętego Avitusa, spalony przez Normanów, został niedawno przez świętego Zygon z wielką okazałością i przepychem rzeźb odbudowany na nowo. Równie piękne i czcigodne, choć mniejsze, były kościoły: Świętego Piotra, Świętego Symforiana, Świętego Cyrgi, Świętego Jakuba, Świętego Szczepana, Świętego Hilarego, Świętego Artemiusza, Świętego Maurycego,

Świętego Wawrzyńca, Panny Maryi Chwalebnej i innych. Wszystkie były, powszechnie przyjętym zwyczajem, świątynią i zarazem urzędem, sądem, twierdzą i składnicą żywności w czasie głodu. Niektóre stały daleko poza murami, na miejscach, gdzie pochowane były szczątki męczenników. Prawo rzymskie nie pozwalało grzebać zmarłych w obrębie grodu — *Hominem mortuum in urbe ne sepelito* —• przeto cmentarze, przyjmujące wędrowców ziemskich na sen nieprzespany, układały się wzdłuż drogi. Gdzie na cmentarzu spoczął święty zewłok ofiary areny, tam w przyszłości stawał kościół. Przy kościele kupili się ludzie, powstawało przedmieście, po wielu latach mające się zrosnąć z grodem.

Obecnie miasto, wały przed murami, przedmieścia, place targowe, nawet bagnista nizina, po zachodniej stronie miasta leżąca, wszystko pokryte było ruchliwym obozowiskiem. Bielaty stany nobilów, baronów, książąt. W najdogodniejszym miejscu, na lekkiej wyżynie, tuż koło bramy świętego Her-wiusza, barwił się z dała i błyszczał obóz postów basileusa Aleksego, zwanego Isapostolos, Apostołom równy, Labarum z orłem dwugłowym, rozdartym, połyskiwało nad nimi. Namioty, sprzęt wszelki i wozy przechodziły bogactwem i ozdobą wszystko, co kiedykolwiek widziano, toteż poselstwo otaczał nieustanny tłum gapiów. Opodal zajął stanowisko dwór królewicza duńskiego Swenona. Skórzane stany były skromne i nieliczne, lecz proporzec czerwony, przecięty wielkim białym krzyżem, znano szeroko po świecie. W tłumie, zalegającym dolinę, znajdowali się przybysze z całego świata. Rycerze i gołota. Mnichy i wędrowne igrce. Łazęgi i bieguny zbiegłe od swych panów, okrywające szmatami wypalone klejmo, rade, że ich w tej ciżbie niełatwo rozpoznać. Ubogie wojaki, milesy. Dziady i kaleki. Trędowaci. Mnisi. Serviensi i pacholki, waganty, goliardy, włóczęgi, kleryki, zawdy skore do zamieszek i figlów żaki. Łatwe kobiety. Sztukmistrze, niedźwiednicy. Żydzi w spiczastych czapkach, z obowiązkową żółtą łatą przyszytą na lewym ramieniu. Ci przesuwali się ostrożnie, przeprowadzani niechętnymi spojrzzeniami. Byli pogardzani, a zarazem niezbędni jako użyczający pieniędzy. Co prawda, pieniądz ten był drogi. Prawnie wolno było pobierać czterdzieści sześć od sta rocznie, lecz zazwyczaj pobierano sześćdziesiąt, a nierzadko sto. Kościół zabraniał surowo tych praktyk, uważając za grzech śmierfelny wzbogacanie się bez pracy, - dlatego pożyczaniem trudnili się tylko Żydzi. Do niedawna pomagali im w tym Lombardczycy. Ci,

jako dobrzy chrześcijanie, nie pobierali odsetek, natomiast naznaczali nieistotne, zbyt rychle termina oddania, za każdy dzień opóźnienia dopisując wysokie sumy jako kary. Ten sposób zarobkowania ustał, odkąd biskup Gilbert obłożył zajmujących się nim kłatwą, obłożył zaś dlatego, że, pożyczwszy wiosną pięćdziesiąt funtów srebra, ujrzał się po żniwach winnym osiemdziesiąt funtów. Teraz już Żydzi byli wyłącznymi dostawcami gotówki. Niewypłacalnych dłużników, twardym obyczajem ówczesnym, zaprzędawali w niewolę lub brali do siebie jako niewolników, co było najcięższą dolą. Pomimo to znajdowali zawsze licznych i natarczywych klientów.

Rycerze węgierscy i śląscy patrzyli z ciekawością i zdumieniem na te różnorodne, barwne fale ludzkie. Napotkany strażnik grodzki, de Viel, podjął się wynaleźć miejsce posłom króla węgierskiego i towarzyszącym im rycerzom. Po drodze, wiodąc ich naokoło murów, opowiadał, że takiego zjazdu nie było nawet chyba czasu wielkiej wędrówki. Już przyjechało trzynastu arcybiskupów, dwustu dwudziestu pięciu biskupów, dziewięćdziesięciu opatów, a ilu książąt i rycerzy, tego nikt nie zliczył! — Jak będzie z wyżywieniem tego ludu, nie wiem — mówił de Viel rozkładając ręce. — Jeszcze spyża jest, ale za drogie pieniądze. Kupcy chcą zarobić, co się da, biedota od nich nie kupi i pewnikiem zaczną się niedługo rozruchy, boć tego ćma, a każdy chce zreć...

Na razie jednak długie rzędy kramów zdradzały obfitość jada i towaru. Nawołując się we wszystkich gwarach galijskich przekupnie sprzedawali ryby i wędzone mięso, oliwę, ser, wino, krowy, kozy, zioła, placki, leki, barwniki, korzenie, sól, konopie, len w snopkach, sukna pikardzkie, broń przednią, płótna flamandzkie, skóry hiszpańskie i genueńskie, futra, a nawet klejnoty. Mieniacze pieniędzy z powagą tkwili przy swych wagach. Na uboczu znajdował się nawet kram z inkaustem, złotem malarskim, farbami i pergaminem, nowym, czystym, a także starym, o zeszkrobanych dawnych, rzymskich tekstach. Pergaminów, których zapas był ograniczony, nie wolno było sprzedawać nikomu (przypuściwszy, że znalazłby się nabywca, o czym należało wątpić), dopóki arcybiskup w otoczeniu duchowieństwa nie zeszedł procesjonalnie zakupić ilość potrzebną klasztorom diecezji na cały rok. Na te zakupy (bo niezależnie od soboru, zawsze o tej porze, w oktawę świętego Marcina, rozpoczął się w Clermont targ dwuniedzielny) oczekiwali niecierpliwie bracia zakonni pi-

sarze, iluminatorzy, ozdabiający ostatnie już karty zeszłorocznego zapasu. Niechętnie myśleli o przerwie w pracy, pracy, co była namiętnością, nałogiem, a zarazem pewną ścieżką do zbawienia duszy, bo za każdą literę, wypisaną w pobożnej księdze, Kościół odpuszczał jeden grzech powszedni, a za piękne inicjały przyozdobione wizerunkami świętych Pańskich — ćwierć kopy grzechów. Niektórzy z tych mnichów przepisywaczy, o zacerwienionych, mrugających oczach i zgarbionym karku, schodzili na plac obejrzeć zawczasu pergamin, by kupiec nie dość biegłemu w tych sprawach opatowi nie wsunął towaru lichego, o chropawej, nierównej powierzchni. Gładząc cienkimi, wrażliwymi jak oko palcami białe kartki o tęgim chrzęszczącym połysku, widzieli już na nich zwijające się ornamenty, złote obrzeżki wokół tęczy barw i słodkie lica wychylające się %, zewiętego gąszczu wzorów. Ani spojrzawszy na otaczającą różnorodną barwność życia, wracali do klasztoru z tym wymarzoną obrazem pod powiekami, niecierpliwymi, kiedy go na papier przeleją. Czasem tylko jakiś kształt zewnętrzny, szczególnie doskonały, czyjś ruch, spojrzenie, uśmiech, wygięcie gałęzi, kolor nieba, narzuciły się przemożnie, wtargnęły w pojęcie, by potem niegasnącym pięknem, wykwitnąć na kartach psalterza.

Przyjętym powszechnie zwyczajem., najmożniejsi nobile, barony przybyli do Clermont ostatni, za ledwie o tydzień wyprzedzając Ojca świętego. Towarzyszył im tłum sług, wasali, giermków, sokolniczych, pisarzy, lutnistów, śpiewaków. Gdy stanęli, służba rozpędzała kijami pospolitą ciżbę, czyniąc wolny plac pod obóz pana. Że wszędzie był już natłok i przeganiani nie mieli gdzie się pomieścić, powstawał niesłyszany lament i wrzawa, powiadamiając cały gród, że ktoś bardzo znaczny przyjechał.

Jeden z najwspanialszych orszaków przywiódł ze sobą grabią Rajmund St. Gilles, pan dziedziczny Tuluzy. Ludzie i konie błyszczeli od złota i barw, jak gdyby szli na świetny turniej, nie na kilkutygodniowe obozowanie jesienne pod miastem. Sam Rajmund był dorodny, otwarty, rycerski, hojny i nie znoszący sprzeciwu. Towarzyszyła mu żona, córka króla Kastylii, uchodząca za najpiękniejszą i najdumniejszą panią w kraju. Patrzyła na świat wyniosłe spod długich ciemnych rzęs. Zdawać się mogło, że nie rozróżnia rycerza od

pachołka, tak dalece wszyscy w jej oczach byli nicością, źdźbłem słomy, prochem niegodnym uwagi. Pasierbica jej, Gizela, za margrafa niemieckiego wydana, opowiadała nieraz, że macocha nawet mężowi każe wyczekiwać pod drzwiami sypialni i zachowywać przepisany ceremoniał. Sześciu paziów towarzyszyło stale pięknej pani. Dwóch niosło rucho pozłocistej sukni, pozostali pachnidło, chusteczkę, zwierciadło, a gdy zmrok zapadł — pochodnie. Odziani byli w kosztowne stroje o barwach królestwa Kastylii, nogawice pstre i odmienne, rękawy długie, rozcięte, dotykające ziemi. Co najpiękniejsze dziewczęta dobierane były na dworki i szły za panią parami, pobożnie spuszczać oczy.

Nierównie skromniejszym dworem przybyli książęta lota-ryńscy, Godfryd i Baldwin de Bouillon. Starszy, Godfryd, o którym mówiono, że dotąd niewiasty nie zna i mniszy żywot prowadzi, był cichy, łagodny, stanowczy. Nosił długą, jasną brodę, co mu dodawała powagi. Wesoły, ruchliwy Baldwin, o ciemnej cerze i orlim nosie, zdawał się być o dziesięć lat młodszy, choć w rzeczywistości różnica wieku między nimi była mała. Staro również wyglądała żona Baldwina, Gontrana, sucha, zawzięta i jędzowata, Za Lotaryńczykanri nadjechał Hugo cle Vermandois, brat króla Francji, piękny, leniwy, lekkomyślny, bezinteresowny i nieustraszenie odważny. Z nim razem. Szczepan, grabią de Blois i Chartres, synący z bogactw i wiedzy. Posiadał znakomicie trudną sztukę pisania i układał dobre wiersze. Chociaż sprawiedliwy i rozważny, nie miał miru wśród nobilów, którzy w jego uczoności wietrzyli coś niemieckiego.

Męskim natomiast w każdym calu był Robert, grabią Flandrii, zwany włócznią i mieczem rycerstwa. Dwór miał nieliczny, lecz starannie dobrany z co .najprzedniejszych wojaków. Rozłożył się z nimi daleko od miasta, by swych Fryzów i Flamandów nie narażać na starcie z południowcami. Ostatni nadjechali książęta normandzcy. Wiedli ze sobą liczne drużyny, świetnie uzbrojone, karne i sprawne. Książąt było trzech. Robert Courte-Heuse, czyli Krótkoudy, pierwotny syn Zdobywcy, z nieodłącznym kapelanem Arnuldem de Ro-hes; Wilhelm, zwany Rudym, i najmłodszy Henryk. Nie byli ani urodziwi, ani przyjemni w obcowaniu, każdy z nich mając w sobie coś z dziadka, Roberta Diabła, i babki, chytrej wieśniaczki z Falaise, przy tym krótkonodzy, o wielkich głowach, ze skłonnością do otyłości odziedziczoną po ojcu... Że jednak przedstawiali siłę, z którą nikt nie mógł się

równać, otaczano ich szacunkiem i poważaniem. Tuż za nimi nadjechał sam Ojciec święty, biskup rzymski Urban II, i zdawało się, że sobór w końcu się rozpocznie, gdy otwarcie jego odsunął nieprzewidziany a przykry wypadek.

Ludzie Hugona, królewskiego brata, pobili mieszczan, rzekomo nie chcących im sprzedać towaru. Mieszczanie uciekając schronili się do katedry, skąd zawzięci wojacy wywlekli ich na plac i ubili łamiąc prawo *Asylum Dei*. Sędziwy arcybiskup miejscowy, Durand, tak się tym przejął, że zmarł tejże nocy. Co prawda wiekowy był, więcej niż osiemdziesięcioletni, i spracowany przygotowaniami do soboru. Zatem miasto rozpoczynać obrady, trzeba było sprawić zmarłemu świętym pochówek, wybrać zastępcę na jego miejsce i oczyścić splamiony zbrodnią kościół, przed którym drużyny liugonowe boso, w śmiertelnych koszulach odprawiały publiczną pokutę. Otwarcie soboru odłożono na dwie niedziele, który to czas wypełniał sobie każdy, jak mógł.

Szczęśliwym trafem obóz Rajmunda St. Gilles wypadł w pobliżu miejsca zajętego przez poselstwo węgierskie, przeto nawiązana w czasie podróży przyjaźń między rycerstwem polskim a rycerzami de Foix, de la Tour i d'Arriaillac nie została przerwana. Prowansalczyki odwiedzali ich prawie codziennie, zabierając Jaśka, Imbrama, Tarchałę, czasem i pozostałych, do swego obozu, rozbrzmiewającego o każdej porze dnia muzyką i śpiewem. Grabią Rajmund kochał się w i grach i gęźbie. Dwór grabiego mieścił się w obszernym, niskim domostwie, dorywczo skleconym z bali i chrustu oblepionego gliną, lecz obitym od zewnątrz skórą, od wewnątrz złotogłowiem i futrem chroniącym od chłodu, którego nie znosiła Elwira. Szumnych uczt, turniejów ani tanów nie wypadało urządzać ze względu na żalobę po arcybiskupie, lecz dozwoloną była ulubiona zabawa dworska, zwana „obleganiem twierdzy miłości”.

Do tej zabawy, pośrodku placu przed dworem, ustawiano ni to wieżyczkę, ni to wielką beczkę, z otworami wyrzyniętymi wokół. Wewnątrz zamykano urodzive dworki pani. Do wyzierających przez otwory różowych, roześmianych liczek dobierali się zajadle rycerze. Panny miotały w nich pociskami, w porze letniej kwiatowymi, w obecnej gałązkami, liśćmi dębu lub pękami namotanymi kolorowych nici. Stosownie do prawideł gry, rycerz, trafiony bodaj najlżejszym pociskiem, musiał odstąpić i wygłosić coś kunsztownego i miłosnego, przytaczając, o ile nie miał samorodnego natchnienia, cudzy

wiersz lub strofę piosenki. To uczyniwszy, dopiero mógł wrócić do walki. Rycerz, któremu dało się pochwycić pannę za ręce, nim go ugodziła, wyciągał ją przez otwór i odnosił na bok jako branke. Towarzyski bronili zawzięcie unoszonej, piszcząc i przytrzymując ją za nogi. Rajmund St. Gilles śmiał się do łez hucznym śmiechem i zachęcał swoich wojów do gorętszej napaści. Piękna Elwira w kwefie dwa łokcie wysokim, w sukni kosztownej jak relikwiarz i płaszczu podbitym gronostajami (miała do tego prawo jako córka królewska) uśmiechała się po swojemu, wyniośle i bezosobowo. Gdy wszystkie panny wytaszczono z wieży, ostatnia pozostała otrzymywała wieniec cnoty. Wesołe młódki nie kusiły się jednak zbytnio o ten zaszczyt, rade czując na sobie twarde ramiona rycerskie. Śluzacy przyglądali się tej zabawie ciekawie, ale z oddalenia. Nie czuli najmniejszej ochoty wziąć w niej udziału. Podobne swawolenie było, zdaniem ich, dobre tylko na stadzie, w noc Sobótki, wśród młodziaków. Przy tym zabawa ta była daremną. Pokładźmy po niej nie- następowały. Więc po co? Bardziej jeszcze dziwnym i bezcelowym widziało im się owo mówienie kunsztownych strof. Nie rozumieli ich zgoła, choć w ogóle nieźle już łacinę pojmowali. Przy tym sam pomysł układania wierszy osądzali jako niewłaściwy. Zнали rozliczne śpiewy, zaśpiewki, przyspiewki, ślubne, pogrzebne, weselne, zrękowinowe, lecz powtarzały się one z dziada pradziada, od wieku te same, obrzędowe i niezmiennie. Ładnie by się wybrał, kto by w nich chciał słowo zmienić! Wśród strojnych niewiast, otaczających Elwirę, wyróżniała się czarnym kwefem, zawsze spuszczonej na lica, pani de Salviac de Viel, krewniaczka pana strażnika grodzkiego. Obok niej siadywała córka Blanka, urodziwa, chmurna, o posępnym wzroku. Obie trzymały się jakby na uboczu i nie odzywały do nikogo. Strażnik grodzki opowiedział panu de la Tour ich niewesołą a znaną powszechnie historię: Blanka wydana była przed paru laty za głośnego okrutnika Hugona de Montbeliard. Znęcał się nad nią do tyła, że matka, łagodna, świątobliwa wdowa, nie mogąc patrzeć na udrękę dziecka, otruła zięcia odwarem z bieluniu i żmijowej głowy. De Montbeliard zmarł ku powszechnej radości i uldze. Radość ta była tak szczerą, że choć znano ogólnie przyczynę zgonu, nikt nie wystąpił przeciw teści z oskarżeniem. Nawet spadkobiercy zmarłego nie poczuli się do wróżdy, radzi, że obie

kobiety opuściły zamek nie zabierając nic z mienia. Od tego czasu minął prawie rok i sprawa poszła w zapomnienie, każdej chwili jednak mogła wskrzesić na nowo. Dawne sądy rzymskie karały każdą zbrodnię same przez się, nie czekając, aż się oskarżyciel zgłosi, zbierały lica, czyli świadków i dowody; sądy współczesne natomiast działały tylko o tyle, o ile wkroczenia ich zażądano. Lica, dowody nie były potrzebne. Wystarczała przysięga obu stron. Gdy wypadała sprzecznie, wyprowadzano przeciwników na ogrodzony dzie-dzińczyk, gdzie pod okiem sędziów potykali się walecznie, aż dopóki by jeden nie poległ. Pokonany był krzywoprzysięcą bez najmniejszego wątpienia. Względem kobiet i duchownych, którzy potykać się nie mogli, stosowano ordalia innego rodzaju, jako to ujmowanie rozpalonego żelaza albo rzucanie na wodę. Osiągnięty tym sposobem wyrok był nieodwołalny.

Dzięki powszechnej nienawiści, otaczającej pamięć pana de Montbeliard, żona jego i teściowa uniknęły, jak dotąd, sądu i kary dla mężobójczyń polegającej na obcięciu członków i zakopaniu żywcem. Mogło się to jednak zdarzyć każdej chwili, byle się oskarżyciel znalazł. Obie zatem obawiały się wszystkiego, co mogło wywołać ku nim czyjąś niechęć lub urazę. Żyły w nieustannej grozie, pragnąc, by o nich co najrychlej zapomniano. Prócz tego matkę, łagodną, świątobliwą wdowę, trapiły nie wyrzuty sumienia, lecz to, że wyrzutów sumienia nie czuła. Daro spowiednik żądał od niej skruchy i żalu za czyn popełniony. Ilekroć wspomniała blade, złe oczy zięcia, jego przebiegłe, zimne okrucieństwo, czuła z rozpaczą, że strułaby go raz drugi, trzeci i dziesiąty, że poszłaby znowu nocą zrywać kwiat, bieluniu i łowić żmiję wśród skał. Rozumiała, że Bóg musi ją za to potępić, a nie była w stanie uznać, że źle postąpiła.

Na tle ogólnej wesołości panującej na Rajmundowym dworze matka i córka odbijały swą gorzką zgryzotą. Zatrzymywano je z litości, gdyż opieka potężnego grabi stanowiła najlepsze wędzidło na możliwych złośliwców, pragnących zguby obu kobiet, nikt jednak nie pragnął ich towarzystwa ani zachęcał do pogodniejszego życia. Snuły się po świetnym obozie jak dwie potępione mary. Jedynym, który je rozumiał i rad w pobliżu zostawał, był rycerz z Pikardii, nazwiskiem Raul de

Beaugency, płaczący się samopas wśród obozów. O tym mówiono, że by zemścić się na wuju, sprawującym nad nim opieką po śmierci rodzi-

ców, zaprzedał duszę swą diabłu. Wyszedł północą na rozstaj diabelski, gdzie baby-cioty karmią Złego jajecznicą, by dostać w zamian moc nad kurami sąsiadek, i przyzywał go zaklęciem. Zły się wprawdzie nie pokazał, lecz nie minęła niedziela, a wuj nagle zmarł, co było jawnym dowodem, że szatan na rozstaju był, choć niewidzialny, i układ zawarł. Mocą tego układu dusza młodego Raula stanowiła własność piekła, z zastrzeżeniem, że widzieć będzie męki zadawane grzesznej duszy wuja.

Lecz mająca wynikać stąd rozkosz bladła, w miarę jak zacierało się wspomnienie znieawidzonego krewniaka, a osobista groza zostawała. Cóż by dał, by cofnąć chwilę, w której stał na rozstaju wzywając pomocy Złego! Ale chwili raz minionej żadna już siła nie cofnie.

Zgorzkniały i zniechęcony de Beaugency szukał towarzystwa ludzi, by przy nich o własnej niedoli zapomnieć, lecz ludzie stronili od niego. Szatan, czujny stróż, był pewnikiem ciągle przy nim i łatwo mógł przyczepić się do kogo. Lepiej trzymać się od zapisańca z daleka...

Posępna Blanka, śniąca nocami, że już ją kat żywą i młodą przysypuje ziemią, oraz matka jej, trucicielka niezdolna wzbudzić w sobie żalu za czyn popełniony, nie obawiały się rycerza. Nie zapisały wprawdzie świadomie duszy szatanowi, przecie miały zostać potępione tak czy owak. Nic im już więcej nie mogło zaszkodzić,

Rozdział dziewiąty GDZIE STYKAJĄ SIĘ DWA ŚWIATY

Stratigos Argyrios, poseł grecki, zasłonił dłonią tłumione ziewnięcie i mówił dalej, nie ukrywając ogarniającego go znużenia. Niedbałym ruchem poprawił na ramieniu złotą okrągłą fibulę przytrzymującą zwierzchnią suknię, krojem podobną do płaszcza, ze złotolitej materii bagdadzkiej tkanej w rzędy gryfów i pawi. Ze złocistego tła gryfy ziały ogniem rubinowych paszczy; ogony pawie olśniewały modrozieloną tęczą setek oczu. Suknia ta była precudna i nawet dumna Elwira, córka kastyjskiego króla, straciła na jej widok swą zwykłą chłodną obojętność. Podobnych bowiem materij nie widziały jeszcze nigdy niewiasty Zachodu.

Pod pawiooką suknią dostojnik grecki nosił tunikę białą, cienką jak przędza, a pod nią jeszcze bielsze i cieńsze giezło, przy szyi i dłoniach przetykane nicią złotą. Wnętrze namiotu wytwornością i bogactwem odpowiadało ubiorowi gospodarza. Niskie złożone stołki, kobierce o połysku jedwabiu, na nich niezliczone puchowe poduszki, obciążone purpurą, jedwabiem lub wytłaczaną i złożoną skórą. Stojące pod ścianą dzbany na wino, oliwę i wodę różaną wykute były ze srebra i chronione pokrowcami z malowanej skóry. Otwarta rzeźbiona skrzynia ukazywała obfitą podręczną bibliotekę strati-gosa, towarzyszącą mu w każdej podróży. Znajdowały się w niej, tłumaczone z arabskiego, geograficzne opisy Europy i wszystkich znajdujących się w niej krajów, księgi zawierające niezliczone egzorcyzmy i modlitwy na każdą okazję, traktaty naukowe, opisy pór roku, zmiany pogody w różnych krajach, a przede wszystkim dwa nad wyraz ulubione i niezbędne dzieła: *Ceremoniał Dworu Basileusowego*, spisany przed stu laty z rozkazu cesarza Konstantego VII Porfiroge-nety dla użytku jego syna Romana, oraz księga zwana *Onirokritis*, ułożona przez wielkiego Artemidora, podająca tłumaczenie wszelkich snów, aż do najrzadszych.

Za mieniającą się, nieco uchyloną, jedwabną zasłoną, dzielącą namiot na dwoje, połyskiwały srebrem i miedzią miednice, miski do umywania nóg, zawiły mechaniczny przyrząd do łaźni ormiańskiej i rozkładany przenośny piecyk do grzania wody na kąpiel. U wejścia półnagi pachol, piękny jak bożek pogański, rzucał na trójnóg z żarzącymi się węglami gałki żywiczne, wypełniające wnętrze orzeźwiający zapachem jodłowego boru. W głębi namiotu, na głównej ścianie, błyszczał nieopisanym przepychem złota, emalii i drogich kamieni ołtarzyk, złożony z dwóch części. W górnej jaśniała ikona Najświętszej Panny Maryi cudownej, Panagii, Theotokos Blacher-nitissy, Patronki Bizancjum; w dolnej podobna ikona, nieco tylko mniejsza, przedstawiała Bardzo Światłego, Bardzo Pobożnego, Apostołem Równego, basileusa, autokratora, Aleksego Komnena, Porfirogenetę. Między oboma obrazami tkwił mały relikwiarzyk, zawierający Prześwięty, Przedostojny, Przeczcigodny Szczałek Krzyża.

Zarówno stratigos, jak jego dwór schylali się w niskim, doziemnym pokłonie, ilekroć przechodzili mimo ołtarzyka, czcząc zarazem, świętość Bożą i swego autokratora.

Obecnie stratigos, bawiąc się niedbale zapięciem szaty i tłumiąc ziewanie, przemawiał do siedzących naprzeciw niego Imbrama, Zbyluta, Jaśka Zawory, dwóch Nowinów, Węgra imieniem Gyor Bakócz, rycerzy de la Tour i (TArmaillac, tonących w puchach" poduszek. Słuchali go z roztargnieniem, spoglądając na siebie z niechęcią i zakłopotaniem. Nigdy w życiu na niczym równie miękkim nie siedzieli, a to, że nie było stałego oparcia, napełniało ich niepokojem. Nawet na dworze grabiego Rajmunda z Tuluzy, uchodzącym za szczyt wyszukanej wygody i zbytku, sztywna, przetykana złotem tkanina opinała twarde, drewniane, zaledwie wygładzone ławy. Jeżeli były gdzie po kasztelach poduszki pierzane, to tak nabite, że nie różniły się wiele od zwykłych duchen, wypchanych sianem. W łóżach, nawet królewskich, na deskach leżała prosta słoma, przykryta mniej lub więcej kosztownym radnem. Zaskoczeni wygodą sprzętu,

woje dotykali podejrzliwie szorstkimi dłońmi połyskliwych, lśniących wsypek, nie śmiejąc się poruszyć, by nie zapaść jeszcze głębiej. Osowiałym wzrokiem śledzili ręce stratigosa, którymi z lubością podkreślał pojedyncze wyrazy lub ozdobniej-sze okresy. Ręce te były białe, upierścienione, wypieszczone, gładkie i miękkie w dotknięciu, o długich polerowanych paznokciach.

! rycerze, których pięść ze wzniesionym przedramieniem podobna była do maczugi drzewnej zjeżonej sękami, których pazury z rogu twardego"jak kopyto były krótko obgryzione (zjadając ułamki paznokci, unikało się niebezpieczeństwa wykorzystania ich do czarów) — patrzyli na dłonie greckiego patrycjusza z obrzydzeniem, jak się patrzy na nieznanego gada albo zmorę. Wszystko im się tu widziało obce i niemiłe. I poduszki, i te ręce, i głos Greka. Czyż możliwe, by rosły mężczyzna o wydatnych rysach i mocnych brwiach posiadał równie babski, cienki głos?! Głosem tym, wysokim, piskliwym stratigos przemawiał niezmiernie w starannej łacinie, kunsztownie wiążąc zdania.

— ...Tak jest, najwaleczniejsi z walecznych — prawil — tak jest, szlachetni rycerze, dumo latyńskiego świata... Z kornym podziwem i niewypowiedzianym utęsknieniem, w ucisku, co nas otacza, przychodzimy błagać o pomoc orężnego ramienia... Nikt, nikt, jeno wy, chrześcijańscy rycerze, których sława sięga gwiazd, powołani jesteście przez Stwórcę, by ratować Jego dzieło. Na Christosa Pantokratora! Poczujcie się do tego zadania co rychlej! Zwlekać nie wolno ni dnia! Żadne słowa, choćby najwymowniejsze, nie odmalują srogiego położenia chrześcijan od Agarów zagrożonych... Zaprawdę byłoby im bezpieczniej zasypiać w lwiej paszczy niżli w granicach świętego Cesarstwa! Pewniejszym żywota był Daniel w jamie dzikich bestyj niżli my! Agarowie otaczają nas zewsząd. Wydarli nam już Kapadocję, Frygię, Bi-tynię, Troadę, Pont, Libię, Pamfilię, Izaurię, Licję, wyspy Chios, Mitylenę, Lesbos... Niedługo „Gród strzeżony przez Boga" ostanie sam jeden... Latoś przeklętnicy wyrwali nam zdradziecko Propontydę i Euksyn... Są jakoby pod bramami! Co gorsza, odkryli tajemnicę płynnego ognia, który jedyny trzymał ich w postrachu. Broń święta, od tysiąca lat i więcej strzegąca murów Bizancjum, obróciła się przeciw nam! Niebezpieczeństwo stąd dla nas straszliwe, zguba rychła, jeżeli Zachód nie przyjdzie nam w pomoc. Jaką drogą synowie szatana wydostali tajemnicę płynnego ognia — nie wiedzieć... Roby, przeznaczone do przyrządzania piorunującej cieczy, nigdy, przenigdy nie opuszczały miejsca. Wprawdzie, gdy sterani wiekiem stawali się niezdolni do pracy, odprawiano ich, lecz z wyłupionymi oczami i wyrwanym językiem, by tajemnicy wyjawic nie mogli ni wejścia do warsztatów wskazać... A jednak Agarowie tajemnicę tę posiadli... Widno przez czary... Biada! biada!

— Nie słyszeliin dotąd o Agarach, jeno o Saracenach — zauważył pan de la Tour.

— To jedno... Agarami nazywamy wszystkich pogan jako synów grzesznej Agar... Zresztą mniejsza o miano. Sarace-ny, Arabcy czy Turki, wszyscy jednako na wiarę świętą nastają. Łez by nie stało na to, by powtórzyć wszystkie udreki, jakich Chrystus Pan codziennie w osobach wyznawców swych doznaje... Zawziętość bluźniercza Agarów chce posiadać i splugawić bezcenne relikwie, w naszym posiadaniu zostające. One to właśnie kierują naszym błaganiem, są przyczyną naszej troski. Nie stoimy o mizerny żywot, który każdy z nas chętnie położy w nierównej walce, jeno o te skarby święte powierzone nam przez Stwórcę. Na myśl o możliwym zdobyciu ich i pohańbieniu serce zalewa żalność niewypowiedziana... Jeśli upadnie Bizancjum — zginie wiara święta. Bo czyż są cenniejsze rzeczy niż te, które się w naszych kościołach znajdują? Kolumna, do której Chrystus Pan był przywiązany... bicze, którymi Go smagano... (Krew pozostaje na nich do dzisiaj, cudownie świeża, nieskrzepła...) płaszcz, w który Go żołdaci na pośmiewisko oblekli... korona cierniowa i trzcina... więcej niż połowa Krzyża... gwoździe użyte do Męki... całun znaleziony w Grobie... dwanaście koszów, w których cudownie rozmnożył się chleb... głowa świętego Jana Chrzciciela, nic wiekiem nie uszkodzona... całkowite ciała niezliczonych świętych męczenników, młodzianków i dziewic...

...Czyjaż dusza nie wzdrzgnie się na myśl, że te prześwięte źródła łaski Bożej mogą wpaść w ręce szatana! O, nie dopuście do tego, waleczni! Stańcie jako święty Jerzy, co pokonał smoka! Nie dopuście również, by wpadły w chciwe ręce przeklętników niezliczone bogactwa ziemskie, jakie się w „Grodzie strzeżonym przez Boga" znajdują! Zaprawdę wie-rzajcie mi, że skarby Salomonowe były niczym wobec nich... Wszystkie one będą wasze... Oddamy je z radością! Nie pożąujemy niczego, bo nie chodzi nam o nic więcej, jak o wyzwolenie chrześcijaństwa i świętych Bożych pamiątek... Wzbogaciecie siebie i rody wasze na długie lata... Spójrzcie w zawartość tego schowku...

Skinął na pacholka stojącego przy trójnogu, by podniósł wieko dębowej, srebrem okowanej skrzyni. Zalśniły precudnie, blaskiem złota i drogich kamieni, pasy, zapyony, naszyjniki, pierścienie i bugi.

— Raczcie wybrać stąd, co wola... W drobnym upomin-

ku... Słabej zapowiedzi dostatków, jakie czekają zwycięzców na miejscu. Biercież, proszę, szlachetni rycerze... Jeśli o złoto nie dbacie, powiem wam jeszcze na ucho, że klejnoty te są fraszką w porównaniu z urodą naszych białogłów... Greczynki słyną na całym świecie — i na Boga słusznie! — z czaru i kunsztów miłosnych... Z żadną niewiastą rycerz tyle rozkoszy nie zazna, co z nimi... Że zaś wszystkie one prawe chrześcijanki, miłujące wiarę świętą ponad życie, jakżeż czule i chętnie witać będą jej zacnych obrońców! Nie pożałują niczego...

Uśmiechał się, mrużąc chytrze oczy i tłumiąc ponowne ziewanie. O, jakże go znudziło powtarzanie codziennie tego samego coraz to innym prostakom, umiejętnie podniecanie wiary, chciwości, żądzy w barbarzyńcach cuchnących potem i skórą! Nie każdy by to potrafił tak jak on. Stratigos Argyrios czuł podziw dla własnej gotowości służenia ojczyźnie kosztem największych ofiar. Szlachetny Pantaleon, z woli basileusa przełożony logothesionu, oraz wielki protoseba-stos dworu, nie mogli, mianując go posłem, uczynić trafniejszego wyboru! Stratigos Argyrios nie wątpił, że wymieniem dostojnicy potrafią wielkie te jego zasługi ocenić i wynagrodzić.

Barbarzyńcy zaś słuchali w milczeniu jego wywodów nie odzywając się zgoła. Z dziecinnym podziwem patrzyli na ukazywane im klejnoty, z pełną godności obojętnością kłoniли głowy, gdy je kładł im w ręce. Przy czym sami nie wiedzieli, skąd pochodzi ogarniająca ich coraz silniej nieufność i niechęć. Tak uczenie przemawiał poseł, tak ozdobnie! Biskup lepiej by nie zdołał. Jednak nieomylny instynkt ludzi prostych i pierwotnych nakazywał im ostrożność.

Wyszli na koniec, odprowadzeni uroczyście przez roślących, doskonale uzbrojonych protospatariów. Otrzymane dary złożyli w ręce oczekujących na nich przed namiotem giermków. Przy wyjściu z greckiego obozu natknęli się na gromadkę żywo rozprawiających wojów w pancerzach skórzanych, srebrzystych szłomach, z mieczami i toporami z podwójnym ostrzem u pasa. Dźwięk ich mowy przykuł rycerzy polskich zdumieniem do miejsca.

...Swojaki!.....Rusy!...

Stanęli uradowani, a zarazem nie wiedzący, czy godzi im się witać? Rycerze to czy najemnicy albo jeńcy? Lecz tamci już wzajem rozpoznali sąsiadów i szli z rozjaśnionymi twarzami.

— Krzyżowcy t. I/II

— Wolni, pasowani jesteście, / dobrowoli na służbie basileusa zostając.

Więc już bez obawy, szczerze szczęśliwi ze spotkania pobratymców, rycerze polscy wyciągają prawice obracając je dłonią otwartą do góry. Wraz w oczach staje złotobramny Kijów, wojacka przeszłość, chwalebne wyprawy... Pożegnawszy Prowansalczyków idą radzi do skózanego stanu współplemieńców.

...Rusaki! Skąd się tu wzięty!?

Ciężkie, słodkie greckie wino przypomina miód, pijany — jak dawno już — doma, i rozwiązuje powściągliwe języki.

— Nas tu jest siła — objaśniają gospodarze — i nas, i innych ze świata... Greka w greckich drużynach nie uświadczysz, chyba przypadkiem. Współ z nami służą Bułgary, Duńczyki, Węgry, Szwedy, Awary, Pieczenięgi, Huny, ba, Sa-raceny i Turki...

— Pogany?

— A dyć. My prawe chrześcijany, ale pogan niemało, osobliwie Waregów. Powiadają Greci, że gród ich strzeżony przez Boga, ale zaciągi czyniąc, nie pytają o wiarę, jeno o wojenną sprawność. Im ta wszystko jest zarówno. I diabła by zaciągnęły...

Przeżegnali się wszyscy i spieszenie po trzykroć splunęli. — Czegój sami do drużyn nie idą?

— Hej, im oręż nie w głowie! Próżniaki prawe. Wojna nie-luba, a życie nadto miłe... Żaden głowy nie nadstawi...

— Cóż tedy robią? — pytali ze zdumieniem goście, dla których walka była treścią i ozdobą rycerskiego bytu.

— W piłkę grają, wyścigi wierzchem albo na wozach strasznie lubią, kąpią się, czytają jak mnichy, piszą, śpiewają, uczują, gadają... Takie życie! A im płuży...

— Słuchać dziw...

— Pewno, że dziw. Żeby nie my, obce, dawno by ich Sa-raceny zeżarły. Teraz tu sklamrzą o pomoc... Stratigos pono basileusowi przysiągł, że bez pomocy nie wróci... Was też pewnikiem namawiał?...

•— Ano. Dary grzeczne dał.

— Każdemu daje, byle znieść. Dawać może snadnie, bo bogactwa tam takie, jakich gdzie indziej nie ujrzeć.

Złoto wszędy: na dachach, na posowie, na podłodze... Z całego świata złoto zebrane u nich leży... Od tego złota widno tak zdumieli. Obaczmy, czy się posłowi powiedzie... Mądry jucha, chociaż skop...

— Patrzy na bystrego...

— Bystry to on jest... O skopie mówię wedle tego, że rzezaniec...

Nie rozumieli. Wytłumaczył brutalnym gestem i słowem, śmiejąc się z ich obrzydzonego zdziwienia. — Tam takich moc. Wszwstkie bękartu cesarskie, żeby się o panowanie nie zgłaszały, albo zwykle niewolne do strzeżenia żon nobilów...

— Gadacie, żarty z nas stroją, boć nikt w to wierzyć nie może...

— N?a Spasa i Przczystą, sprawiedliwą 'mówię prawdę!

Niech wszystkie tutaj poświadczą. Rzezańce pilnują im białek. Co prawda na psa zda się ta opieka, bo one k'nam rade uciekają... O zmroku w obcych drużynach pełno niewiast z samych co najprzedniejszych greckich rodów... Dopieroż uciecha!...

— Cóż mężowie?

- Niby nie wiedzą... Zresztą, co ich to obchodzi? Woid chłopięta...

- Chłopięta!?!?

— Ano. Z niedolatkami szpetnie się zabawiają. Co oczy wytrzeszczacie? Jeśli was stratigos zmani, nie takie rzeczy ujrzycie...

To mówiąc Oleg syn Olega, z plemiennych starodawnych książąt ruskich, którego dziad brał udział w wiekopomnej wyprawie Swiatopełka na Bizancjum, cisnął z gniewem kubek na ziemię i zgniótł nogą.

— Plugawce są i tyła! — wykrzyknął. •— Dziś bym na swoje dziedziny z drużyny wracał, jeno umowa trzyma. Trzeba uczciwie, po wojacku, dodzierżyć końca, dopieroż odejść. Złota można się u nich nabrać, owszem. Sławy nie zaczujesz, a cóż jest złoto bez sławy? Drzewiej były pono wojenne ba-sileuse, Bułgarobójca... Nikefor Fokas... Cemises... Teraz już nie. Pokoju jeno chcą. W matactwach strasznie urnne, ozorem mielą, głową kręcą, radzą, pergaminy piszą, złotem walą, byle się od walki wykpić, a znaleźć kogoś, co by ich zasłonił... Takie svny...

Odurzeni zarówno mocnym greckim winem, jak nadmiarem wrażeń niemożliwych do pojęcia, Ślżacy zastali w swoim obozie niezwykły rozgwar i rozruch. Od gniewnych głosów huczało jak w ulu. Bełkocząc z przejęcia bardziej niż zwykle, Momot Zawora opowiedział im, co zaszło:

Oto przyjęci bezpotrzebnie do towarzystwa rycerze Gott-schalk i Emich okazali się wierutnymi łgarzami, niegodnymi rycerskiego pasa. Starali się otrzymać pożyczkę u miejscowego bogatego Żyda, nazwiskiem Dawid Kalonymos. Jak wiadomo, dłużnik w razie nieoddania długu szedł w niewolę. Juźcić rycerz nie szedł sam. Oddawał w zastępstwie za siebie sługi, w ilości odpowiedniej do wysokości długu. Panowie Gottschalk i Emich zapewniali Kalonymosa, że cały obóz polski, przy poselstwie węgierskim leżący, stanowi ich własność. Podawali się za bogaczy, gdy w rzeczywistości posiadali jeno to, co na grzbiecie, trzy stare konie i jednego kaprawego sługę z przetrąconą nogą. Ostrożny Żyd, zanim wypłacił pieniądze, przysłał cichaczem wiernika swojego do obozu sprawdzić. Wypędzono go, grożąc płazowaniem, bo skąd Żyd śmie stanąć w obozie, lecz wiadomość o zamierzonym oszustwie przedostała się od sług do panów wywołując zrozumiałe oburzenie. Świat ówczesny, świat rycerski, posiadał tysiące wad, był twardy, bezwzględny, okrutny, łupieżczy i częstokroć niegodziwy, przecie zachowywał wiernie najważniejsze swoje przykazanie: wiarygodność słowa. Pasowany nie śmiał kłamać. Najcenniejszym przydomkiem każdego rycerza było: prawy, *preux, probus*. Za hańbę poczytywano, gdy słowa mówiły inaczej niż myśl, dłoń poczynała inaczej niż słowa. Prócz jedyne go kłamstwa w obronie czci niewieściej, dozwolonego przez rycerski świat Latynów, rycerz schwytyany na łgarstwie tracił pasowanie i cześć.

Toteż wzburzeni Ślżacy i Węgrzy obiecywali sobie ukarać przykładnie niegodnych panów niemieckich. Ci jednak, zasłyszawszy wcześniej o zajściu zapewne od swojego kaprawego serviensa, co choć kłął na nich i wymyślał, wiele wlaźło, w kole giernków, tej samej był maści, co oni — nie pokazali się więcej w obozie.

Rozdział dziesiąty

**W KTÓRYM PAPIEŻ URBAN II I ADEMAR
DE MONTEIL, BISKUP Z PUY, PRZYJACIELE,
GADAJĄ NOCĄ SAMODWA O TAJNYCH SPRAWACH
BOSKICH I CZŁOWIECZYCH**

Wiatr zimny, północny przeciągał nad grodem, świszcząc w otworach okiennych. Lecz rozmawiający w wieży zamku zmarłego arcybiskupa Duranda papież Urban II i towarzysz jego lat zakonnych Ademar de Monteil, biskup z Puy, nie czuli chłodu. Korzystając z ostatnich chwil swobodnych przed otwarciem soboru, mającym nastąpić nazajutrz, radowali się sobą po długoletniej rozłące.

Szczupły, przygarbiony papież przemierzał szybkim krokiem ciasną komnatę raz wraz przystając przy

wąskim, wy-, sokim oknie. Wysuwał przez nie głowę o zapadłych, szorstkich policzkach i przenikliwych oczach, poddając ją cięciom wiatru. W przezroczystym cieniu nocy widział wtedy rozłożony pod stopami gród i olbrzymie rojowisko ludzi, otaczające go wokół. Tysiące ogni roznieconych dla ochrony przed chłodem błyskało ku patrzącemu, niby wyczekująco. Na niebie, chociaż noc dawno zapadła, leżały czerwone, jakby zapomniane błyski, i Urban II wskazał ręką przyjacielowi te spóźnione zorze.

— Spójrz, bracie... widziałeś taką czerwień o tej godzinie?... Powiadają, że przed śmiercią Cezara słońce zaszło w otęczy czerwonej i że otęcz ta została późno w noc, choć słońce dawno się skryło... Czy nie to samo dzieje się dziś, gdy Zachód ma się oderwać od swych korzeni, by runąć na Wschód?...

— Ty wierzysz istotnie, że runie?...

Potrząsając głową z niedowierzaniem, Ademar de Monteil podszedł ku oknu. Był wyższy od przyjaciela o głowę. Że był rycerzem pasowanym, zanim został mnichem i biskupem, zachował w ruchach siłę i zdecydowanie.

Teraz, stojąc obok siebie, patrzyli obaj na morze migoczących świateł, jak gdyby spoglądali w odmęt dusz.

— Po coś sprowadził tutaj te wszystkie rozbieżne żywioły? — pytał Ademar. — Nic z tego dobrego nie wyjdzie... Nie zrodzisz przyjaźni między Robertem Courte-Heuse, wnukiem diabła, a szalonym Rajmundem z Tuluzy. Walczyć będą ze sobą, gdzie się ino dopadną, miasto iść społem, jak ty pragniesz. Raczej ogień i wodę ożenisz niżli tych baronów. Wybiją wzajem siebie i swoich ludzi, zanim do granicy dojdą...

— Wybijają się i tak, jeno w powolniejszym trybie. Mylisz się zresztą, Ademarze. Oni pójdą. Będą przeciw ościeniowi wierzgać, ale pójdą. Pójdą i dojdą. Iść — jest mus! Mus! Posłuchaj, co mówią posły Aleksego... Nie na lata, na miesiące liczy się żywot Bizancjum... Gdy runie cesarstwo, kto zatrzyma pochod Mahometa? Niedotężna Ruś, Bułgaria, Węgry czy Polska bez króla? Z dniem upadku Bizancjum Saraceny pchną się na Słowian, na Italię, Pireneje... Zaleją Francję, zajmą Rzym... Chełpią się już, że koń turecki będzie się pasł na opuszczonym Grobie Apostoła... I tak będzie, obaczysz, że tak będzie, jeżeli zawczasu naprzeciw nie wyjdziem!...

—• Może być... Przypuśćmy, że rycerstwo pójdzie... Lecz po co te tłumy?... Na coś je zwołał? Czy i one mają iść?

— Rzekłeś. Pójdą.

—• Szalonyś, Odonie! Cóż działają nieskładne kupy, wojennego rzemiosła, nie znające?

— Nie oszalałem, bracie. Słuchaj mnie jeno do końca. Zali sądzisz, że tylko Saraceny chrześcijaństwu grożą? Że nic sroższego nad nich nie masz? Spójrz wkoło! Nie widzisz, że świat ten ginie? Gnije i ginie?... Spójrz na powszechną nędzę, brud, lenistwo, przemoc, ucisk, obojętność dla spraw ducha! Z roku na rok się pogarsza, z roku na rok ciężiej żyć... Zwali się nam to wszystko na głowy, jeśli nowego ładu nie wprowadzimy. Trzeba ta całą spróchniałą budowa wstrząsnąć, wzruszyć, do dna zmącić, świeżego tchu napuścić... I oto, po c om ich zwołał... Wywieść ich chcę gdzieś, od samych siebie!... Rozumiesz!?

— Czy rozumiem., czy widzę, że świat ten gnije? Odonie! Jedno myślę: że nie warto go wybawiać...

- A chrześcijaństwo? — wykrzyknął papież z przerażeniem.

Zamilkli na chwilę.

— Pomniesz — podjął cicho, gorąco Ademar — jako pół tysiąca lat temu myśleli ludzie, że cesarskie imperium a chrześcijaństwo to jedno... Padnie Cezar, padnie Chrystus. I bisku-py wyklinały tych, co oddawali grody barbarzyńcom... Mo-

dlono się za imperium. Lecz Cezar padł. Chrystus został. Czy nie będzie tak i teraz?

Urban II zaprzeczył żywo rękami.

— ...jsjje, nie! Tego porównywać nie można!... Gdyby dzisiejsza społeczność, dzisiejszy świat upadły, musiałby upaść i Kościół...

Ademar uśmiechnął się gorzko.

— ...Kościół... — powtórzył. —• Przypomina się siła spomiędzy naszych biskupów, opatów...

— Nie kończ! Wiem, co myślisz! Mimo wszystko oni są

Kościółem, zaś Kościół a Chrystus to jedno...

— Jesteś tego taki pewny?...

Urban II odwrócił się gwałtownie ku mówiącemu. Twarz' mu pobladła jak chusta.

— Słuchaj — rzekł ściszym głosem — słuchaj, nawet w taką noc jak ta, gdyśmy sarni i nikt nas

nie słyszy, jeno te cztery ściany i Bóg, nie wolno ci dopuszczać takich myśli! Nie pozwalam! Bronię! Strzeż się! Zakazując jako zwierzchnik! Błądzisz, och, jak błądzisz... Za dużo wiedzy nabrałeś... Nadto ślęczysz w greckich, rzymskich mędrkach.

— Wiedzy nigdy dość.

— Ej, bracie, od nadmiaru wiedzy człek dufniej, chce pojąć, co niepojęte, i na manowce schodzi... Jak gnostycy, śmieszni ludzie ze swą gromadą Eonów, szczeblami ustawionych w Pleromie, i wiarą, że mogą stać się niewidzialni... Oto owoc zbytniej nauki...

— Nigdy na to nie przystanę. I ty drzewiej myślałeś inaczej... Odmienił cię Rzym... Ostawmy to... Chcesz być wtórym Mojżeszem? Tych nieboraków ciemnych, kłótliwych, głodnych ciągnąć na pustynię jak on Izraela? Bacz, że mu Pan widomie pomagał.

— Dlaczego by nie pomagał i mnie? W obliczu Jego chwila dzisiejsza jest ta sama, co tysiąc lat temu nazad. Cóż się zmieniło? Czy Jego potęga?

— Zachowałeś wiarę w cuda, Odonie.

— Zaliś ty ją stracił?

— Bo ja wiem... Wierzę równie mocno jak niegdyś, gdyśmy medytacje odprawiali, w Boga wieczne miłosierdzie. Wierzę w sens i cel stworzenia, choć tak głęboko, tak boleśnie dla nas ukryty... Szczelbym bez tej wiary... Szczelbym w tym świecie tak srogim, niepocziwym i pustym, bez świadomości, że przy miłosiernym, niezawistym ani pamiętliwym Bogu króluje ucieleśniona, ubóstwiona Macierzyńskość, ku której

przymknąć można, przypaść jak dziecko do matki i uczuć się bezpiecznym... Wierzę, że te Moce Najświętsze są ustawicznie czujne, nie gardzące by najlichszym pyłem człowieczym... Tylko z taką świadomością można na świecie żyć i nie oszaleć... Wierzę też w cuda, choć wątpię, czy są one tak częste, jak ludzie powiadają. Natomiast nie wierzę, bracie, w twój szalony zamysł. Nie! Bo nieraz mi się zda, że chrześcijaństwo padło na ludzką naturę jak anielski kwiat na skałę, kwiat, co się nie przyjął i przyjęcie nie może. Wprawdzie każdy człek zdrowym rozumem obdarzony, choćby był poganinem, przyzna, że chrześcijaństwo to jedyny lek na wszystkie bolesti świata. Miłować się zamiast nienawidzić... Tworzyć zamiast niszczyć... Chrześcijaństwo — to opieka nad dzieckiem i niewiastą... Nad wszystkim, co stare lub słabe... To sprawiedliwy rozdział •dóbr... To skrupowanie możnych i silnych więzami własnego sumienia... Czyż świat nie byłby wtedy obiecany Królestwem Bożym!? Ale natura ludzka chrześcijaństwa nie przyjęła. I nie przyjmie. By zaś twój zamysł się spełnił, trzeba, wiesz czego? By choć połowa tych ludzi poczuła się chrześcijanami. Pojmujesz, co to znaczy...

— Trzeba wierzyć, że się poczują...

— Daj Boże. Któż ich powiedzie? Ten mnich Piotr?

— O nie. Piotr, pocziwina, jest tylko krzesiwkiem Bożym. Wodzem musi być pomazaniec, król koronowany, którego supremację uznałyby nasze barony. Włodzisław węgierski. Z matki Polki. Sprawiedliwy władca, prawy rycerz. Posyłałem do niego tajne poselstwo zeszłego lata. Zgadza się. Pójdzie. Przybyły właśnie jego posły z odpowiedzią... Razem z nimi przyjechał też poczet polskiego rycerstwa...

•—• Polska... Co się dzieje w niej teraz?

— Nic dobrego. Książę imię ma Herman, po dziadku, wielkim arcybiskupie Kolonii, ale niezdatny. Korony z dobrowoli się zrzekł i lennikiem cesarza jest. Z synem wojuje. Ulubieńca ma. Nie ta to już Polska, której Grzegorz Hildebrand kazał być pomostem między Wschodem a Zachodem i wielkie znaczenie dawał... Może się to jeszcze wróci... Zawdy dobrze, że na polskich rycerzach w dniu jutrzejszym nie zbędzie... Jest także królewicz duński... Nawet Boemund ruszył się pono z Tarentu i ciągnie k'nam.

— Tego się strzeż! Powiadają, że diabeł przed nim uciekł, obawiając się, iż będzie w pole wyprowadzony i sprzedany.

— Ja się nie boję.

Wiatr pociągał coraz chłodniej, przeto odeszli od okna.

— Więc Włodzisław węgierski powiedzie... Dobrze, że się choć jeden król uchował na tę potrzebę, kłatwą nie obło-żon... — zauważył Ademar z przekąsem.

—• Któż temu winien? — zachnął się Urban gniewnie.

— Ej, nadużywają nasze biskupy kłatwy, nieraz bez potrzeby...

— Co mają robić? Daj inny sposób okiełznania ludzi.

— Powiedz mi lepiej, Odonie, byli Marcin, dobry biskup z Tours, którego głosem bożki pogańskie przewalał, sprawiedliwym świętym iii nie?
— Jakże! Był i to największym!
— Nie rzekłci on Marcin: „Ty nawet, nieszczęsny szatanie, gdybyś przestał gubić dusze, otrzymałbyś łaskę Chrystusową”?
— Tak — przyznał Urban trąc policzek w zamyśleniu — tako rzekł. I powiadają, że szatan zapłakał wtedy po raz pierwszy od upadku i zbiegł...
— A widzisz! Czyli że skrucha wystarcza, a kary nie potrzeba. Czemuż tedy tyle u nas zawziętej srogości? Czemu o byle co straszą wiecznym potępieniem i rozgrzeszenia bronią?
— Ja tak nie czynię.
— Wiem. Ale drugie? Nie ta samaż to, co Marcinowa, nauka?
— Ta sama. Jeno widzisz, bracie, łatwiej nieraz zawstydzić szatana niżli człowieka.
— Gniew nie naprawi nikogo.
— Czymże ich naprawię?
— Niczym, Odonie. Wybierz sobie z głowy, że świat można by przerobić. Nie przerobi się. A zamiar twój to szaleństwo, do którego nierad bym ręki przykładać.
— Trzeba się chwycić i szaleństwa, gdy zguba nad karkiem.
To jej nie odwlecze... Ach, bracie, kiedy my spoczniemy?! Odejść w góry lub puszcę nadmorską, śnić, że świat jest szczęśliwy i bezgrzeszny, jak był w dniu stworzenia, i o niczym, kromie o Bogu, nie wiedzieć...

Rozdział jedenasty

**GDZIE PIOTR EREMITA PRZEMAWIA, PAPIEŻ PRZEMAWIA, TYSIĄCE SŁUCHAJĄ,
TYSIĄCE ODPOWIADAJĄ, PŁOMIEŃ PRZELATUJE WICHREM I POCZĘTA JEST
KRUCJATA**

Od czarnych i wygasłych wzgórz, co przed tysiącami lat spływały żywym ogniem w dolinę, wiał ten sam zimny wiatr, tak zimny, jakby dął w dalekiej Polsce, nie w łagodnej krainie francuskiej. Lecz ludzi, stojących niezliczoną rzeszą, ze-stosowanych ściśle ramię do ramienia, grzały równie wzajemną bliskość, jak niecierpliwa ciekawość. Przeciągające się od tyłu niedziel oczekiwanie napięło wszystkie myśli jak cięciwę. Nastroj ten podnosili jeszcze uwijający się wśród tłumu mnisi i inni ludzie papiescy, powiadający o dziwnych i straszliwych znakach, od których roi się na ziemi i na niebie... Bosfor zamarzł, po Nilu zesłej zimy płynęła kra... I ludzie, co nigdy nie słyszeli, czym by był Nil i Bosfor, na sam dźwięk obcych słów żegnali, się trwożnie. Z nie mniejszym lękiem słuchali, że w Burgundii spadł deszcz głazów, a na każdym-kamieniu widniał wryty znak krzyża. Ogniste gwiazdy padały nocą na ziemię. Kometa, zwiastun złowieszczy, widna była noc w noc nad Bizancjum... W Paryżu uległo się cielę dwugłowe... Wszystko to było niezawodnym znakiem gniewu Bożego i rychłych straszliwych zdarzeń. Inni z tych mówców wskazywali na ciężką dzisiejszą dolę roba, trud i nędzę, obiecując łatwiejszy żywot w pełni błogosławieństwa Bożego.

Podawano chciwe ucha tym wieściom. Snadno przychodziło uwierzyć, że nadchodzi jakaś zasadnicza odmiana bytu, wróżona przez tyle dziwów. Nieprawdopodobnym zdawało się, by po soborze mogli rozejść się z powrotem do domów, jak gdyby nic nie zaszło, i żyć, jak żyli przodcy. Stali na tym wielkim błoniomiatym zimnym wiatrem, niby przed zawartymi drzwiami przyszłości, gotowi przyjąć, co się za nimi okaże. Czekali tylko hasła, czekali, by im powiedziano, co mają

uczynić, co spełnić. Sami nie wiedzieli, jak dalece w ostatnich tygodniach oderwali się od swoich nędznych bytowań, stojąc w nieświadomej gotowości do jakiejś wielkiej drogi w nieznaną. Na końcu tej drogi miała zabłyśnąć lepsza dola — tak napomykały mnichy — jakieś jutro piękne, chwalebne i korzystne zarazem. Zwid tego jutra rozpałał umysły, barwił wyobraźnię, tym bardziej że mało kto mógłby żałować doli porzuconej. W panującym ustroju tak nieliczni, tak bardzo nieliczni czuli się swobodnie i dobrze! Więc czekano.

Czekano od świtu. Niektórzy zerwali się jeszcze nocą, by wcześniej zająć najbliższe miejsca, skąd można będzie wszystko dobrze słyszeć i widzieć. Juźci, miejsca nie na ziemi, skąd by ich wnet przegнали wielmoże, ale na drzewach, dachach pobliskich i murach grodzkich, gdzie wiadomo, że szlachetni się nie usadowią. Pozostali kupią się szerokim mrowiem dookoła. Plac na to uroczyste, tyle czasu oczekiwane posiedzenie wybrano w pobliżu bramy świętego Herwiusza. Zrazu miało się ono odbyć na majdanie targowym. Że jednak pośrodku stała ruina pogańskiej kąciny, Ojcu świętemu nie

zdało się to miejsce odpowiednie. Demony pogańskie, niechybnie w zwaliskach pozostające, mogły łatwo wpłynąć ujemnie na szczęśliwy przebieg rozpraw.

Przy tym tuż od bramy świętego Herwiusza zaczynała się długa, łagodna pochyłość, schodząca od grodu w niską biel, dolinę, ciągnącą się aż ku Montferrand. Ta pochyłość pozwalała oczekiwać nawet dalej stojącym, że obaczą postać Ojca świętego na drewnianym podwyższeniu okrytym purpurą oraz Piotra Pustelnika. Ale czy usłyszą? Jużci, że nie usłyszą. To rzecz niemożliwa. Nie ma głosu ludzkiego dość donośnego, by obleciał wielkie błonie zasłane stutysięcznym tłumem. Usłyszą tylko co najbliżsi i powtórzą dalszym. Trudno. Zresztą to już rzecz Ojca świętego. Skoro ich tu zawezwał, zadba o to, by każdy wiedział, czego od nich chciał.

Poza wywyższoną mównicą błyszczwały namioty poselstwa greckiego, labarum z -orłem rozdartym na dwoje, na lewo czerwienił się proporzec duński przecięty na czworo wielkim białym krzyżem. Przy mównicy zostawiony był wolny kwadrat przestrzeni obsadzonej przez wielmożów, stojących konno lub na podwyższeniach. Że Ojciec święty nie nadchodził, trwając jeszcze na modłach w katedrze, a ziąb brał, ludzie gadali głośno i ruszali się dla rozgrzewki.

Poprzedzany przez czterech rycerzy przeciskał się od góry ku polskiej drużynie królewicz duński Swenon. Urodziwy,

młodziusienki. Rad był poznać wojów z plemienia swej babki Storrady. Patrzył na nich z dziecinną ciekawością, wypytując po łacinie i płoniąc się przy tym jak młódka, a oni spoglądali na niego z rozrzewnieniem i zazdrością. Wrzawa wybuchła, zwiastująca zbliżanie się Ojca świętego, więc odszedł spieszenie z powrotem. Prąca naprzód fala tłumy zepchnęła go i jego rycerzy nieco w bok z drogi, ku miejscu, gdzie na podwyższeniu, za ledwie niższym od przeznaczonego dla papieża i równie purpurą zasłanym, stał ze swym dworem Filip, pan Burgundii, najpotężniejszy z włodyków francuskich. Córka jego Florina, siedząca na przedzie, wychylała się ciekawie przez poręcz. Zwisły długie, jasne kosy, przedłużone i usztywnione wąską, złocistą, wplecioną w nie krajką. W poważnej ramie prostych biczów włosów, nad białą szatką podobną do sukien posągów stojących u wejścia katedry, różowiała twarzyczka dziecinna, o dużych błękitnych oczach i maleńkich rozchylnych ustach. Zwisie warkocze musnęły głowę Swe-nona. Podniósł ze zdziwieniem oczy i spotkawszy się z jej wzrokiem — stanął. Zapatrzyli się na siebie, aż pan Burgundii pogładził wąsa z uśmiechem. Nie było mu przykre, że syn królewski stoi tak urzeczony przed jego pieszczotką, co bezwiednie zwija w palcach i rozwija sztywny warkocz, jakby tą oznaką dziewictwa chciała się bronić przed ogarniającym ją zmieszaniem. A że był człowiekiem rzeczowym i bystrym, wnet z tego spotkania młodych wysnuł kopę trafnych myśli. Królewski syn... Dunia kajś strasznie daleko, ale ród przedni... Dwór pono bogaty... Czemu by nie?... Diuk burgundzki nie może wydać córki inaczej jak za króla albo za cesarza... Czemu by nie?... Ino wiedzieć, z kim też król duński jest w przyjaźni, a z kim w wojnie? Dałby sieli ten zięć zużytkować przeciw znieawidzonemu chłystkowi, królowi Paryża? Zapatrzoney we Florinę jak w obraz, kłoniąc się dworsko ojcu i matce, ogromnej niewieście w wysokim kwefie, okalającym twarz o trzech podbródkach, królewicz odchodził. Patrząc za nim książe postanowił zobaczyć się jak najprędzej z chytrym Arnuldem, kapelanem normandzkiego Roberta, wszystkie sprawy północne na wylot znającym, i od niego szczegółów o duńskim dworze zasięgnąć.

Nagły, potężny okrzyk przerwał te rzeczowe rozważania. Wzbił się nad szmery tysiąca pogwarek i huczał dziwnie, niby stujęcycznie:

— Narodzie! Chrześcijański narodzie!!...

Czyjże to głos? Piotra Eremita, stojącego na papieskim

podwyższeniu, za ledwie widocznej maleńkiej postaci, śmiesznej w zbyt wielkim kapturze, o ruchach podobnych do ruchów owada? Jego głos, owszem, lecz powtórzony przez trzystu przemysłnie rozstawionych powtarzaczy. Stali na przewróconych beczkach albo kłodach, co kilkadziesiąt kroków jeden od drugiego, wyćwiczeni w tym, by powtarzać każde słowo mówcy bez zajknięcia i zmiany, a najgłośniejsi jak mogli. Stali w dziesięciu kręgach, coraz to szerszych, obejmując zasięgiem głosów całe pole. A tak słowa małego człowieka w opończy z długim kapturem zdawały się brzmieć naraz zewsząd, spadać jakoby wprost z góry.

— ...Ludzie, którzy tu czekacie!

...Ludzie chrześcijańscy, czy wiecie, co znaczą srogie znaki na ziemi i niebie!?!...

...Kończąc kości wielkiego papieża o siebie, kończąc w trumnie, nie mając spokoju po zgonie!
...W Azji Mniejszej ziemia trzęsie się od dwu miesięcy, że wał się domy, drzewa i padają skały! Jak kości papieża kończą w podziemiu, tak tam cały grunt dygoce w lęku i oczekiwaniu. Nad Ziemią Świętą stoi gwiazda z ognistym ogonem, co wróży zawdy zagładę. Komu ta zagłada, komu? Co wróżą wszystkie te znaki? Chrześcijanie! One wróżą okropny gniew Boży za pohańbienie najświętszego miejsca! Chrystusów Grób w poniewierce! W pogańskich rękach! Woła archanioł, jenz będzie budził na sąd: Gdzie chrześcijanie!? Czy już ich nie ma na świecie?! Niech się odezwą, aczli są, niech słuchają! Słuchajcie, bo z archanielskiego rozkazu powiadam! Powiem, com oczami widział, dłonią dotknął, uchem słyszał... Byłem w Jeruzalemie, bardzo świętym mieście... Byłem ja sam, co przed wami stoję. Tymi nogami schodziłem Świętą Ziemię. Tymi oczami płakałem... Te ręce dotykały skały pękniętej Golgoty... I widziałem! Widziałem!... Widziałem! Dwa miesiące wraz z innymi pątnikami leżałem w pyle u bramy Świętego Miasta, wśród trędowatych i zbiegów, czekając darmo, aż strażniki zwoła wejść do grodu... Gdy przejeżdżały szejki albo kupce, staraliśmy się przemknąć między nogami wielbłądów. Czasem się to niektórym udało. Których strażniki spostrzegły, biły okropnie batami i klęły... Inni z wierzchu murów wołali (bo się wyuczili od jeńców naszej mowy, żeby móc urągać): „Lichy wasz Bóg, kiej was do swego grodu wprowadzić nie może”... A inni: „Ani On Bóg, ani prorok, ani o nich dba”... Trzeba tego było słuchać milcząc. Leżałeś, człowiecze, skopany, zbity, zhańbiony.
Od

słońca wyschły jak wiór, od głodu lekki jak liść, od hańby gorzki jak piołun... Udało mi się w końcu wejść pod wielbłądem do miasta, a tamte moje towarzysze ostały... Albo pomarły, albo leża we skwarze dotychczas;.. Dopiero gdym wszedł do grodu — o Boże, Ty wielki Boże!

— ...Boże! Boże! — leciało nad głowami zamarłego w zasłuchaniu tłumu.

— ...Niewolnik u złego pana nie żyje w takim ucisku jak chrześcijanie tameczne. Każdy musi dla hańby nosić na szyi krzyż z ołowiu lub żelaza, wagi więcej niż dwadzieścia funtów. Od męki ustawicznej drżą im członki. Od ciągłej grozy zabyli uśmiechu. Sam Bóg nad nimi płacze. Powiadają, że nie ma miesiąca, by patriarcha nie znalazł na ołtarzu świętej bazyliki listu prosto zesłanego z nieba. Archanioł poniekiedy pisze, a Matuchna albo sarn Zbawiciel swoją ręką podpisuje... Powiadał mi, który widział, że na jednym Krew Najświętsza dla wiarygodności była przyłożona... Żali się Pan w tym pisaniu nad pohańbieniem miejsca, które świętym zrobił, i do obrony przyzywa... — Obmierzło mi to pogaństwo, co śmierdzi, gdzie ja konał — powiada — zlitowałem się nad ludźmi i uprosiłem Ojca, żeby końca świata nie zsyłał, jako chciał, ale już więcej przyczyniać się nie będę, skoro tak o mnie nie dbają...

— ...Nie dbają...!! — ryknęli echem powtarzaczce.

— ...Jezu! Jezu! — przeleciało wichrem ponad tłumem.

— ...I jeszcze stało w tym liście, a to mi sam patriarcha powtarzał: Gdyby tu przyszedł mnie bronić, sam bym stanął na ich czele, jakom niegdyś wodził po tych dziedzinach ludzi, co szli za mną, a Saracenów przegonił...

— ...Jezu! Jezu!...

— ...Tom, bracia, widział i słyszał. Opuścił mnie stamtąd Bóg cało, bym to powtórzył. Za archaniołem wołam: Gdzie są chrześcijanie? ...Czemu Grobu nie wspomogą?!... Zabiegają o swoje dobro i błogosławieństwa Bożego czekają, a jakież może być błogosławieństwo, gdy Pan słusznie zagniewany?! Strzeżcie się gniewu i kary! Zły to żołnierz, co Pana swojego nie broni. Zły pies czujnik, co na szkodnika nie szczeka! Zły to syn, co grobu ojców swoich nie szanuje... Nie będzie dla niego miejsca w domu Ojca Niebieskiego, nagotowanym od stworzenia świata!... To wam powiadam, ja, który tam byłem...

—• ...Byłem! Byłem! Byłem!... — powtarzały głosy zewsząd.

— ...Do Ziemi Świętej! Wyzwolić Chrystusa! Wszyscy, kto-

rzy w Boga wierzą, nie tylko wojaki! Przyszedł dzień, że nie wolno oglądać się wstecz ani ręki przykładać do pluga!... Rzucić trzeba wszystko i iść! Wielkie dni idą, równe tym, gdy Chrystus chodził po świecie! Biada ślepym, co nie pojmując — ostaną! Idziem wszyscy, a Chrystus widomie nas poprowadzi! Opasz się każdy i ruszaj, czyś stary, czy młody, silny czy słaby, wolny czy niewolny! Przegnać Saracenów! Ratować z pohańbienia Krzyż! Idziem wszyscy, którzy się czują z Boga, a nie z czarta! Widzieliście, jako wczoraj zorze zaszły w kształcie czerwonego krzyża... Boży to znak! Chrześcijanie! Weźmiem ten krzyż i pójdziemy!...

— Pójdziemy! Pójdziemy! Pójdziemy!... — zagrzmiało po całym błoniu.

— ...Do Ziemi Świętej, do Jeruzalem! Wszyscy, którzyście tu są! Każdy zdolen dźwignąć oszczep czy siekiere! Stańcie bez leku! Wielkie cuda zapowiadam! Zapłonie gwiazda, która wiodła do Betlejem!... Wskrześnie słup ognia, który prowadził Mojżesza! Zgodniałym w drodze Bóg ześle mannę cudowną! Powtórzą się dla nas wszystkie cuda, jakie wieścili prorocy! Błogosławieństwo Bóg ześle! Komuż by dopomógł hojniej niżli nam, którzy Mu się ze wszystkim oddamy?! Za święty Krzyż! Na Wschód! Na Wschód!

— ...Na Wschód!... — podniosło się wrzawą jak grzmotem. Już nie powtarzacie, ale całe błonie trzęsie się burzą okrzyków: Za Krzyż! Na Wschód!...

...Na Wschód, bronić Jeruzalem... na Wschód drogą wskazaną przez cuda!... na Wschód, gdzie manna nakarmi wiecznie głodnego nędzarza!... na Wschód!...

Piotr Eremita zeszedł z podwyższenia staniając się z wyczerpania. W miejsce burej postaci, obciążonej wiszącym kapturem, stanął biały, szczupły człowiek — papież. Strój mniszy. Złota potrójna korona. Złoty krzyż w dłoni. Błogosławi nim pole. Żegna szerokim ruchem. Przez zziębłą szarość powietrza przelatuje złoty błysk jak promień krzyżowy.

— Bracia w Chrystusie! Bracia!...

...Do tego, co mówił sługa Boży, Piotr, to dodam ja, Namiestnik Chrystusowy na ziemi: Jest" chwila, że trzeba wszystkim iść. Wielka chwila. Nieraz tysiąc i więcej lat minie, a taka godzina nie nadejdzie.

Wyzwolić trzeba Święty Grób. Wyzwolić trzeba samych siebie. Zagłada Krzyża to nasza zagłada. Sprośny półksiężyc na wieżach to Azja w miejsce Europy. Dlatego muszą iść wszyscy. Którzyście tu są zebrani, Franki, Burgundy, Prowansalczyki, Normany, Niem-

cy, Węgry, Polaki, Duńczyki! Do was wszystkich'mówię, lecz przed innymi do Franków — ...Bracia moi, ródacy!... Znacie mnie lepiej, niżli mnie te drugie moje syiiny znają! Przyszedłem do was z wezwaniem, bo wiem, że pójdziecie! Nie rzucam tych słów w Rzymie, gdzie nie stało dla nich echa! Italia! Córka niewdzięczna! Księżę Apostołów przyszedł do niej i umęczono go! My otoczyliśmy złotem i klejnotami śmiertelne szczątki Świętych Pańskich, których oni rzucili dzikim bestiom na pożarcie! Słodka dziedzina francuska, ty mnie znasz! Gdzie łącniej mnie wysłuchają i pojną niż tutaj!? O miłe prowanskie wybrzeże, usświęcone stopą Łazarza, sióstr jego Marii i Marty! Oniż tu apostołowali. Cienie ich tu przemieszkują. Maria z Magdali dokończyła świątobliwego żywota w grocie Saint Beaume opodal Marsylii. Święty Longinus, żołnierz Chrystusowy, przyniósł na barkach ciało świętej Anny, nie gdzie indziej, jeno koło Lyon, na wyspę Świętej Barbary. Dlatego tutaj przyszedłem... Francjo, najstarsza córo Kościoła! Jak Mojżesz, uchodzący z Egiptu, zabrał tamtejsze święte naczynia, tak ty, uchodząc z walącego się imperium, zabrałaś, co było w nim wielkie i cenne. Ty jedna! Nie śmiesz dopuścić, by ninie to wszystko, coś ocalała, przepadło. Ruszajcie walczyć za Krzyż! Chrystus — to nasze dobro największe: chrześcijaństwo — jedyny nasz walor, zasługa i cześć. Bez chrześcijaństwa, chciwcy, kłótlivi i małoduszni, zaprawdę mniej bylibyśmy warci od pogan, co nas otaczają, i godni, by nas te pogany zżarły! Brońmy Chrystusa i siebie! Do Ziemi Świętej, bo tego Bóg od nas chce!!...

— ...Bóg tak chce! *Dio H volt; Deus sic vult! Diea le veult!*...

...Bóg tak chce! I wielkie błonie huczy, drga, dygocze, grzmi, faluje, wzdyma się krzykiem ogromnym. Urban II podnosi znów ramię.

— Uciszcie się! — krzyczą powtarzacie.

— Bracia najmilsi, słuchajcie, coc rzekę, mocą moją, Namiestnika Chrystusowego na ziemi: Kto pójdzie w obronie Krzyża, staje się wolnym człowiekiem i nikt już doń nie ma prawa! Wolny jest, Chrystusowy, krzyżowiec, syn Krzyża. Mocą moją namiestniczą przekreślam wszystkie ciężary, zobowiązania, angarie i długi. Rozwiązuję śluby zakonne. Któr-ren się pod krzyż zaciągnie, ma być swobodny jak ptak. Daruje się kary i wszelkie przewiny. Kajajcie się i módlcie, a uczynię więcej jeszcze: zdejmę ciężary z waszego sumienia, abyście poszli nad śnieg bielsi, aniołom podobni...

— ...Kajajcie się i módlcie!!... — krzyczą powtarzacie. Jak łan położony wichrem, zniża się olbrzymie pole. Klęka

niezliczona rzesza, pada krzyżem, ściele się mostem skruszonym. Dygocze szlochom w poczuciu swych win, nieprzeliczonych swych grzechów...

Kardynał Grzegorz Papareschi klęka przed Urbanem. Modli się w głos. Za nim cały tłum, zalegający nizinę, powtarza chórem:

— ...*Confiteor Deo omnipotenti...*

Dalsze szeregi chwytają słowa od bliższych, i nie masz ust, co by nie głośliły z drzeniem i uniesieniem swej wiary w wielkie miłosierdzie Boże, swojego żalu za grzechy, wszystkie grzechy popełnione myślą, mową i

uczynkiem, *nimis cogitatione, veibo et opere...*

Przeogromna fala głosów bije o stopy Urbana. Jak zniewolony jej brzmieniem, wyciąga ręce przed siebie. Niech im będzie odpuszczone, czymkolwiek zblądzi... Niech się staną, tak jak mówił, wybieleni ponad śnieg... W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...

Westchnienie radosnej ulgi przeleciało nad doliną. Zapłakał jak dziecko Rauł de Beaugency, rycerz, co sprzedał diabłu duszę, a ninie ją odzyskiwał. Uderzyła czołem o ziemię w podzięcie niewiasta, która struła zięcia okrutnika.

Papież mówił dalej. Powoli, słowo po słowie, by powtarzacz nic nie opuścili:

— ...Pójdziecie wszyscy... Wolni i równi... Jakżebym pragnął pójść z wami! Poprowadzić was, woje Chrystusowi... Ale nie dla mnie ta radość. Odchodzić mi z Rzymu nie wolno. Stamtąd będę za wami gonił myślą i modlitwą. Wodzem waszym duchowym będzie sam Pan nasz Jezus Chrystus. On pokieruje waszymi krokami. On was zawiedzie do celu. Widomym Jego zastępcą i wyrazicielem mianuję Włodzisława, króla węgierskiego, zwierniactwo dobrego rycerstwa... Bezpieczni pójdziecie pod jego przewodnictwem do Ziemi Świętej, jak Bóg tego chce!...

— Ja krzyż biorę! Dio li volt!... — krzyczy gromko Rajmund St. Gilles, pan Tuluzy.

— Ja krzyż biorę! Dieu le veult! — wołają równocześnie obaj lotaryńscy.

— Dieu le veult! — przywtarzają chóralnie Normany.

— ..!Bóg tak chce!... Bóg tak chce!... Zamąciło się na placu jak woda ruszona ode dna. Rycerze i niewolnicy prą się jedna-

— Krzyżowcy t. I/II

/

ko ku Ojcu świętemu, prosząc o widomy znak, /że są krzyżowcami. Wierc ktoś podaje nożyce i stojące przy Ojcu świętym biskupy tną .purpurę okrywającą drewnianą mównicę, wycinając niej krzyże czerwone. Każdy czepia sobie krzyż na prawym ramieniu. Sto rąk się nowych wyciąga. A za nimi drugie sto. I tysięcy. I dziesięć tysięcy.

Ślubują iść do Jerozolimy panowie: de Foix, de la Tour zalany łzami uniesienia, d'Armaillac, de Beaugency, królewski brat Hugo i uczonec Szczepan, Robert Courte-Heuse i Robert flandryjski, Omer i Wilfryd Guillebaut, bracia Sahriac de Viel Castel i grabią Hainaux. Młodziutki rycerzyk Engelram, piękny jak cherubin, i opiekun jego, stary Anzelm de Ri-beaumont, Roger de Barneville, Fulgencjus de Guines, duński Swenon i... Imbram Strzegonia.

Ten stał zrazu wahający, patrząc wkoło rozgorzałymi oczami. Jedno rozumiał: że przez to jest źle, przez to światem rządzą moce pogańskie zawistne, co go wyrwały od domu i rzuciły w świat — iż Grób Święty jest w niewoli, a sam Chrystus zagrożony. Wierc trzeba wyzwolić Grób i precz przepędzić nieprzyjaciół Boga. Niech nie będzie na świecie utrapień, rozłąki... Za łzy Ofki, za ich wzajemną tęsknotę! Pójdzie!... I wyciąga w górę dłoń, pierwszy raz w życiu nie dbając, co starsi bracia powiedzą. Za nim ślubuje Jasiek Zawora, zwykły zawsze to samo czynić, co Imbram, a za nimi oboma Tarchała. A wokoło gęstwa ramion. Ile głów, tyle rąk. Wrzawa jak grzmot toczy się, kłębi nad polem. Biskupom ręce mdleją. Nie stało już dawno purpury. Na gołych deskach stoi Ojciec święty. Z grodu ciągną giermki postawy sukna za suknem. Zrazu czerwone. Gdy czerwonych w kramach braknie — biorą inne. Wnet ludzie dzieła się nimi według kolorów. Wierc ci, co mówią mową Franków, dostaną czerwone. Fryzy i Flamandy zielone, Anglicy białe, Niemcy czarne, pozostali żółte. Niedługo nie stanie sukna w całym grodzie. Z uniesieniem usta ludzkie całują wycięty strzęp barwy, przypinają go na ramię drżącymi rękami.

Już wszyscy nobile są naznaczeni. Wszyscy. Jeden tylko pan Burgundii przemyśla targając wąsy. Rad by iść, a zarazem nie chce zbyt uradować odjazdem paryskiego króla, znieawidzonego krewniaka. Niepewien jest jeszcze, co począć.

Ze zdziwienia nagła cisza pada na bliższe szeregi, bo oto wysuwa się z tłumu Elwira, najpiękniejsza, najdumniejsza pani Francji. Jej sześciu paziów przeciska się za nią. Stall nąwszy przed Ojcem świętym, ślubuje spokojnym głosem wziąć krzyż Kpójść do Ziemi Świętej z małżonkiem.

Jakby na dane hasło sypną się inne kobiety. Pani Sahdac de Viel z córką Blanką. Błada, obojętna Willibalda, żona Omera Guillebaut. I sucha, zawzięta Gontrana. I — zanim zdąży przeszkodzić Filip burgundzki — Florina, wypieszczona jego jedynaczka. Kręcąc w ruchliwych palcach swe jasne warkocze, wpatrzona jak w tęczę w królewicza Swenona przypinającego krzyż, ślubuje dziecinny głosikiem bronić Ziemi Świętej. Aż uśmiechają się stojący wkoło. Diuk burgundzki nie wie, co rzec, a

jego białka, wielka, o trzech podbródkach, zawodzi.

Trójkątna, szczupła twarz Urbana II płonie bladością rozpalonego żelaza. Nie wie sam, czy stopami wspiera się o deski, czy ulatuje w górę. Ręką przyzywa stojącego opodal posła greckiego. Stratigos jest jak zwykle strojny, wytworny, lecz ogólnego zapału nie podziela wcale.

— Synu mój — mówi spiesźnie, gorączkowo papież — wra-cajże doma co rychlej, zanieś Aleksemu szczęsną wiadomość. Opowiedz, coś widział: cały Zachód rusza ku obronie Krzyża.

Stratigos stoi nieruchomo.

— ...Szczęsna wiadomość? — powtarza przeciągle. — • Wasza Świątobliwość, jesteście przerażeni. Czegoś takiego ani pragnęliśmy, ani się spodziewaliśmy...

Papież cofa się o krok.

— Słyszysz ja dobrze? Chcieliście pomocy czy nie?

— Pomocy tak, lecz któż by pragnął najazdu hord niekar-nych, niezdolnych do niczego prócz rabunku! Wracam co rychlej, ale aby pana mego ostrzec,.. Kto utrzyma w karchach te tłumy? Biada, jeśli wejdą w mury „Grodu strzeżonego przez Boga"! Widok niezmiernych bogactw rozpali krew tych nędzarzy, a co wtedy?

Papież marszczy gniewnie brwi.

— Oprócz tych tłumów, które zgoła o rabunku nie myślą, idą wszak karne drużyny baronów...

— Jakich! — • wybucha poseł. — Czy nie słyszałem, że ciągnie Boemund z Tarentu! Boemund, nieodrodny syn Guis-carda, zbrodniarza, co zagrażał Świętemu Grodowi? Samo jego nazwisko w szeregu obrońców jest największą obelgą dla świętej osoby basileusa, Apostołem zrównanego!!

Dość! • — woła papież. — Dość! Skomleliście tutaj o ponoć podając się za chrześcijan, którym chodzi jedynie o zbawienie Krzyża. Teraz widno, jaka wasza prawda, ista *graeca*

//des, jak nazywają po świecie! Teraz widno! Nie o Krzyż, o złoto się obawiacie! O siebie!

Chrystusem się zasłaniacie dla swojej korzyści! Ale nic po tym! Ta fala pójdzie mimo was do Jeruzalem, z waszą wolą czy bez woli! Pójdzie jak żywioł i bacz, aby was nie zmiotła!... Co to, na Boga?...

Urwali obaj, nasłuchując. Obcy dźwięk trąb, zbliżających się do obozu, wybił się nad wrzawę. Huczał przeciągle, skrzy-piąco, żałośnie. I ludzie, wrywający sobie z rąk sukienne krzyże, cichną, oglądając się ciekawie na dziwne poselstwo.

Jedzie ze dwudziestu wojów. Zdrożone konie. Zgrzebne konopne kropierze. Na pancerzach śmiertelne koszule. Głowy odkryte, stargane, zmierzwione. Twarze rozmyślnie ubrudzone pyłem. Nad głowami porporzec z białym jeleniem Arpadów.

— Na rany Chrystusa! Co to? — woła żupan Sukki de Szuha w przerażeniu.

Rozstępują się wszyscy na boki przed jadącymi. Oni nie patrzą na nikogo, jakby zgoła nie widzieli.

Wolnym krokiem dążą prosto ku Ojcu świętemu. Stanęli przed gołym wzniesieniem. Podnieśli w górę kopie. Zawrzasnę razem:

• — Król nasz pomarł! Król nasz pomarł! — i łomotną kopiami o ziemię.

Już ich otoczyli inni. Dygoczącym z trwogi krokiem przepychają się Węgrowie.

— Pomarł? Król? Pomarł Włodzisław?! Gadajcie, na miłosierdzie!

— Pomarł Włodzisław...

— Kaj? Gdzie? Z czego?

— W Budzie. Z dopustu Bożego. Będzie temu niedziel sześć...

— O r eta! O Nazareński!

Z brzękiem rycerze węgierscy miotają szłomy o ziemię. Kudłaczą włosy. Biorą popielny pył ziemi, zdeptany nogami, i smarują sobie lica. W milczeniu patrzy ciżba na ich rozpacz.

Kłoniąc się nisko, ze złośliwym uśmiechem na ustach, odszedł poseł grecki niezauważenie. Urban II stoi jak porażony. A w tłumie już porywają się głosy:

— I któż nas ninie powiedzie?

— Kto poprowadzi?

— Kto stanie za wodza?

Robert Courte-Heuse dzwoni mieczem, w szczyt, by zwrócić na siebie uwagę.

— Król węgierski nie żywie! — woła — kto poprowadzi

świętą wyprawę? Jeśli cne rycerstwo tego pragnie, mogą się podjąć w ucziwości...

I toczy srogimi oczami, jakby szukając śmiałków, co by nie pragnęli. Stronnicy mu przywtarzają. Lecz Rajmund St. Gilles już wrywa kopię z ziemi i potrząsa wołając:

— Nie na zbawienie duszy wyszłoby Frankom iść pod przewodem Normanów! Ja powiodę!

— Rajmund dobry rycerz! Niedoczekanie, by Normany rządziły Prowansalczykami!

— Niedoczekanie!

— Niech żyje wódz nasz Robert Courte-Heuse!...

— Piękny wódz! Wnuczek diabła, syn bękarta!

— Górze paskudnym ozorom! Wychodź, który szczekasz!

— Wszystkie ci rzeką to samo!

— Górze! Górze! Do mnie, Normany!...

— Niech żyje Rajmund St. Gilles!

— Ani Robert, ani Rajmund! Niech żyje Flandryjczyk, włócznia i tarcza rycerstwa.

— Flandria! Flandria!

I już wszystkie kopie, wyrwane z ziemi, dygoczą w roz-żartych dłoniach. Już konie, zebrane wozdami, drepczą w miejscu, pienią się i chrapią. Cofają się zadem, roztrącając ludzi, którzy chronią się i tłoczą, gdzie mogą. W ten sposób bojownicy przygotowują sobie luz do rychłej rozprawy. Siedząca bezpiecznie na drzewach gawieź aż pokrzykuje z uciechy.

Wśród ogólnego hałasu Urban II siedzi milcząc. Twarz mu zbieleła jak szata. Czyż cały zamysł rozpadnie się w jednej chwili? O śmierci, cóż uczyniłaś? Jakim prawem poczynasz sobie .zuchwale przeciwko wyrokowi Pana? Nie słyszałaś: Bóg tak chce?!...

Pole już kipi bojowym tumultem. Więc papież wstaje, unosząc krzyż w rękę. Daje powtarzaczom znak. Niech zagórują nad tłumem okrzykiem: Uciszcie się, chrześcijanie! Uciszcie się!

— Panie Jezu Chryste — modli się w głos papież. — Wodzu niebieski tych rzesz, które się Tobie oddają, naznacz swojego zastępcę, wskaż, kto je w Twoim Imieniu powiedzie...

Wyczekująca cisza leży ponad błoniem.

- ...Ześlij go, Panie, czekamy...

Cisza, szumiąca wstrzymanym oddechem tysięcy, tysięcy ludzi.

— ...Najmiiosierniejszy Panie Jezu Chryste — i głos papieża łamie się jak łkaniem — wskaż, kto powiedzie tych ludzi...

— Panie! — Wszak słyszysz!... Czekamy!...

— Dość już czekania! Normany! Normany!

— Do mnie, Prowansja!

— Stać!

— Ja powiodę...

Na stopniach mównicy staje przy Urbanie Ademar de Mon-teil. biskup z Puy. Twarz mocna, jasna. Oczy przenikliwe.

— Pobłogosław mnie, Ojciec święty, na wodza wyprawy krzyżowej...

— Ty, druho, przyjacielu... Ty?

— A cóż, mali wszystko przepaść?...

Więc papież wstając obejmuje go ramieniem, odwraca ku rzeszom, naznacza krzyżem, błogosławi i woła głośno, prze-głośno, że oto jest wódz, zastępca jego, Urbana, Namiestnika Chrystusowego na ziemi, a kto by wodza tego nie posłuchał, winien jest, jakby samego Pana Zbawiciela nie posłuchał... Ademar, biskup z Puy, przywódca świętej wyprawy krzyżowej...

Rycerze ucichli zaskoczeni. Golony łeb ma być wodzem? Pierwszy raz przytrafia się taka rzecz... Nie przeciwią się jednak, gdyż każdy uważa, że lepszy z dwojga złego biskup niż drugi wielmoża. Zresztą nie wątpią, że mdła to będzie władza i aby z kraju wyszli, snadno się z nią uporają.

A przeto po krótkiej chwili wahanja wbijają kopie w ziemię, wyciągając przed siebie niezbrojne prawice na znak posłuszeństwa i zgody.

Rozdział dwunasty

O DOBRYCH RYCERZACH, KTÓRZY WZIĘLI KRZYŻ, CO KTÓRY CZUJE, MYŚLI I ZAMIERZA

Manna spadnie dla was z, nieba... Błogosławione słowa Eremity już się ziściły. Już stały się jawą i rzeczywistością. Clermont i okolica pełne są żywności dostępnej dla wszystkich. Poprzednią drożyzną zastąpiła taniość niewidziana, niepamiętna od dawnych, dawnych lat. Gdy przed tygodniem za jedną chudą

owcę żądano trzynastu denarów, obecnie mogłeś nabyć trzynaście skopów za jednego denara. Kto żyw wyprzedawał za bezcen zapasy i żywinę, by kupić w to miejsce broń. Na placu targowym stały spędzone zewsząd stada bydła, które oddawano za łączny grosz lub niechano darmo, gdy się nie znalazł nabywca. Skoro miano wyruszać w wielką drogę, kto by się troszczył o starą krowę czy kozę? Podobnie było ze zbożem. Cena chleba spadła stokrotnie. Opowiadano, że największy w grodzie bogacz, młynarz Wilbert, który w całej okolicy skupił zboże i. zapełnił nim swe składnice aż po strychy, licząc na głód w czasie soboru, powiesił się ze zgryzoty.

Tłumy, po raz pierwszy syte, obozowały radośnie. Huczało wśród nich niby w ulu. Jak kipiąca, warząca się w wielkim kotle kasza stanowi jedną masę, jedną płynną lawę, a równocześnie pryska dokoła ziarnkami, z których każde jest osobną, odrębną całością — tak fala krzyżowców uosabia jedną myśl, jeden cel, choć każdy ze stu tysięcy ludzi z osobną biega, gorączkuje się, zdąża swoim torem. Choć wszystkie myśli płyną jedną rzeką, inaczej myślą ci i owi. Inaczej rozważają swój zamiar rycerze, inaczej gołota. Pierwsi wiedzą, że zabrać należy swe drużyny, swe sługi i konie, swych sokolniczych i psiarzy. Wiedzą, że trzeba zaopatrzyć się w denary, spyże, przewodników i tłumaczy. Rozmyślają, skąd dostać tłumaczy. Kłopoty podobne ani postaną w głowach beztroskiej biedoty. Isć — to isć, choćby dzisiaj na odwieczny. Żaden, nic z sobą nie bierze, chyba niewiastę i dzieci. Na

razie jedzą i radują się. Dziękują Bogu, Stwórcy łaskawemu. Pierwszy zapowiedziany cud taniego jadła zapewnia spełnienie dalszych. A przede wszystkim są wolni! Przypięli krzyż na ramieniu i nie troszczą się o nikogo. Na koniec przestali pracować, wychodzą o świcie na pańskie. Wprawdzie w gospodach i przy ogniskach kraczą niektórzy, że baroni strasznie są gniewni na Ojca świętego za zwolnienie z poddaństwa i mają prosić o cofnięcie obietnicy. Także opaci, bo wszystkie mnichy krzyż wzięły i kto zostanie w klasztorach?...

— Tak, tak, ino patrzeć, jak zaczną tutaj wyłapywać swoich... — powiadają bojaźliwsi, oglądając się na boki. Hej, żebyż wraz ze zwolnieniem papieskim zedrzyć jeszcze to klejmo przekłete, tę naramienną znieawidzoną pieczęć, świadczącą o przynależności do tego lub owego pana! Gdybyż ją wyciąć ze skóry!

Lecz inni śmieją się z tego. Są syci, więc mocni i dufni. Niech jeno spróbują panowie zagnać ich z powrotem! Ano, niech spróbują!... A jużci! Snadniej zawrócić wezbraną rzekę, co wyszła z koryta, niż ludzi, co są w sile, a już się poczuli wolnymi!... A jużci!!

Wesoły kleryk Bartłomiej z Marsylii bębni nogami w pustą beczkę, na której siedzi okrakiem. Sam nie wie, czy rad jest, że idzie, czy nie? Czy będzie tam wszędzie wino, błogostawione wino i równie jak tutaj chętne a urodziwe dziewczęta? Gromi sam siebie za te grzeszne myśli, usiłuje skierować płochą duszyczkę ku Panu. Ku Chrystusowi frasobliwemu, którego Grób pohańbiony. Lecz myśli niesforne płaczą się i tańczą. Nie mogą ustać na miejscu. Myśli kleryka Bartłomieja podobnie jak jego nogi nie znoszą postoju. Już rozważania jego biegną w przód, niecierpliwie, kiedy ruszą, co najpierw obaczą?... Pobok niego rolnicy Makary i Jakub Krościaty naradzają się półgłosem, czy nie lepiej zostać? Głosu ich w ciżbie nawet Pan Bóg na pewno nie był zdolen zauważyć, więc nie ma grzechu, choć się cofną. Warto zaś ostać, bo tu na ludziach schodzić będzie. A wiadomo, że czego mało, to się staje cenne... Tanecznym krokiem, odmieniona do niepoznania, przechodzi mimo Blanka de Montbeiard. Radośnie dotyka krzyża przypiętego na ramieniu. Oto jej tarcza, obrona, orędownik najszlachetniejszy. O, ukochany Zbawicielu! Za przegnane widmo kata poszłaby do Jeruzalem na klęczkach.

Gautier Sans Avoir, rycerz bez pasa i mienia, zbiera wokół siebie kupy zdrowych, młodych ludzi. Pogardliwie pędzi precz biały, postrzyżonych w mnichy i niedorostki. Wybiera samą krzepę. — Takie z was drużyny zbiorę, że niech się normandzkie skryją... — obiecuje. Chłopi i serviensy chętnie kupią się wokół niego. Ma mir. Wiedzą, że biedak i bogaczom niechętny jak oni, a co do siły i sprawności — hej! dość na niego popatrzeć!

Nieuczciwi rycerze Gottschalk i Emich gardłują też, wiele mogą, zwołują ku sobie ludzi, bacznie zarazem uważając, by w tłoku nie natknąć się na Węgrów albo Polaków. Otaczającej ich gawiedzi przedstawiają, że im prędzej wszyscy w podróż wyruszą, tym lepiej. Wprawdzie Ojciec święty i biskup z Puy codziennie przez powtarzaczy ogłaszają, by czekać spokojnie, aż się drużyny rycerskie zbiorą i powiodą, - zali to czekanie jednak wyjdzie na korzyść pospólstwu? Wiadomo, duchowni zawsze idą na rękę wielmożom. O nich myślą, nie o biedzie. Wielmoże zaś nie chcą, by ich uprzedzono, wolą co najprzedniejsza zdobycz i sławę zatrzymać dla siebie. Ot, co jest!

— Panom nie w smak, że tak wielu wac zaciągnęło się pod krzyż! — wykrzykuje Emich (co do tego

nie mijają się z prawdą) — teraz oni muszą także iść, chociażby nie chcieli... Co będą robić ostawszy? Sami ziemię uprawiać? Ale wy o nich nie stojcie...

—• Ani o nich, ani o ciebie... — podnoszą się w tłumie głosy. — Coś za jeden? Taki sam pasowany dręczyciel biedaków jak oni...

Skulona na tapczanie w kącie namiotu Willibalda, żona Omera Guillebaut, rozmyśla nad swym ślubowaniem. Smutna to i nieszczęśliwa pani. Że rycerz Omer miał przed nią inną żonę, mile patrzącą na paziów i co lepszych giermków, nie wierzy już żadnej białce. Jest podejrzliwy i okrutnie zazdrosny. Darmo Willibalda nie podnosi oczu na nikogo, siedzi przy ucztach jak z drewna, nie bierze nigdy, przenigdy udziału w płasach czy igrach. Darmo! Im bardziej jej zachowanie jest powściągliwe i skromne, tym niechybniej posępny Normandczyk wietrzy w nim podstęp i zdradę. Ani pokora, ani słodycz Willibaldy nie rozbiją zadawnionej urazy do poprzedniej żony. Ilekroć wyjeżdża z zamku, własnoręcznie ma niebogę w żelazny, na kłódkę zamykany pas, zwany arde-yertu. Męka to dla kobiety. Żelazne ogniwa uwierają biodra. Mimo wszelkie wysiłki chód zdradza upokorzenie.

Więc Willibalda pod nieobecność męża nie opuszcza swej komnaty. Wstydy się ludzi. Wstydy się wychodzić. Nie pojmuje, jak znoszą to samo inne kobiety, nie zdające zbytnio się przejmować haniebnym przyrzędem.

I teraz na myśli, że on pójdzie do Ziemi Świętej na Bóg wie jak długo, a ją pozostawi skutą, ogarnęła ją przerażenie takie, że nie zastanawiając się, co czyni, ślubowała pójść z nim również. Ma już krzyż na ramieniu.

Mąż nie przyjął tego postanowienia życzliwie.

— Po coś to zrobiła? — dopytuje. — Niezdarna jesteś, do podróży nieprzywykła... Będę miał z ciebie zawadę...

— Chcę służyć Bogu i nie rozstawać się z wami, panie...

Nie zadowala go to wyjaśnienie. Wychodzi z namiotu kręcąc podejrzliwie głową i zastanawiając się, kto ze znajomych rycerzy jest przyczyną nagłego postanowienia niewiasty.

Młody wykwinął, zawsze zlany pachnidłami, Alberon archidiakon przechodzi koło namiotu i Omer de Guillebaut myśli, że może to on właśnie. Wprawdzie, o ile mu wiadomo, Willibalda nie zna Alberona, ale któż może wiedzieć na pewno, kogo białka, stworzenie wszeteczne i z gruntu fałszywe, zna albo nie zna? A może właśnie się znają. Na wszelki wypadek Omer de Guillebaut obiecuje sobie być czujnym.

W sąsiednim wspaniałym stanie pana burgundzkiego prześlizgnęła Florina czesze swe długie warkoczki. Długie a miękkie i jasne jak jedwab są włosy córki pana Burgundii, Filipa. Równie jasne są jej myśli. Krążą nieustannie wokół zamorskiego królewicza... Pojadą wspólnie na jakąś daleką wyprawę...

Gdzie? Florina nie wie dokładnie, ale ojciec Placyd, spowiednik, musi jej to wytłumaczyć. Na ten raz najważniejsze (a czego spowiednik może nie wiedzieć) to, czy będzie się tam często widywała z tym ślicznym, z tym miłym królewiczem. Gdybyż wiedzieć, o czym on ninie myśli, co robi w niewielkim skórzanym namiocie, pod proporcem przeciętym krzyżem na czworo?

O czym myśli królewicz? O niej, Florinie, i o sławie, Układają mu się te myśli dwoiste w pieśń trubadurów, w zwoływanie śpiewne, które go samego zachwyca i zdumiewa zarazem.

A Filip, pan Burgundii? Już postanowił, co czynić? Owszem. Postanowił, zostaje. Filip paryski jest mydłek i głupiec, ale lekceważyć go zbytnio nie można. Krzyż wzięła Florina, to dosyć. Luba pieszczotka! Nic jej się nie stanie, bo skoro je-

dzie Rajmundowa Elwira i tyle innych szlachetnych pań — to będzie miała dostateczne towarzystwo i opiekę. Zresztą orszak otrzyma taki, jaki się należy jedynaczce najpotężniejszego pana francuskiego. Co zaś do wiadomości zebranych od chytrego Arnulda, kapelana księcia normandzkiego, wypadły one dla Swenona, syna Olafa, korzystnie.

Chytry Arnuld, znający na wylot sprawy wszystkich dworów królewskich i książęcych, siedzi w namiocie z Robertem Courte-Heuse, obaj jednakowo niezadowoleni. Nachylają ku sobie nieszczerze twarze o pełnych, ciężkich policzkach, zarzucając się półgłosem wyrzutami. O co? O to, że Robert, w gorącej wodzie kąpany, nie mając dość pieniędzy na zamierzoną wyprawę, zdążył już oddać Normandię w zastaw bratu Wilhelmowi. Ryzy z radością przystał i zastaw rna za tydzień gotowizną wypłacić. Arnuld nie posiada się z oburzenia.

- ...Zastawić łatwo, a odebrać trudno... Wartoż było przeciw nieboszczykowi ojcu rniecz podnosić,

tyle krwi wylać o księstwo, które się teraz w jednej chwili, bez zastanowienia, bez porady oddaje!? Wilhelm przynigdy nie odda...

Robertowi żyły wzbierają na karku.

- Nie odda? Mieczem mu wydrę, choć z gardła...

- Z jednej wojny wróciwszy, rozpoczynać drugą, gorszą?... Na Boga! Od czegoż macie mnie, szlachetny panie? Zali zawiedliście się kiedy na moich radach? I taką rzecz, taką ważną rzecz postanawiacie w dwa pacierze, ani się mnie zapytawszy! Toć ślepy by wiedział, że lepiej zastawić wrogowi, Żydpwi niż bratui Zawdy bezpieczniej obcemu, co zastaw odebrawszy musi iść precz, niż swojej, ojcowej krwi... Najgorzej trzeba się strzec własnej rodziny... Oj, nie puści on już was na stolec.

- Widzi mi się, kapelanie, co przebieracie miarę... — powiada Robert ze złością.

- A wiera, bo od żalu człowiek sam nie wie, co mówi. Jużście sami tron angielski przegapili... Teraz dziedzictwo... Takie księstwo! Takie księstwo!

- Nie kraczcież tyle... Jeszcze go nikt nie odbiera...

- Bodajbym był złym prorokiem, jeśli je kiedy ujrzycie... Trzeba było raczej darować je bratu za gotowiznę. Mówiliby was przynajmniej, żeście wielkoduszni i do ofiar dla zrato-wanła Grobu Pana skorzy, a tak, wiecie, co powiedzą?...

- Żem głupi, co? To może powiedzą? Niechby się który odważył...

Arnuld nie odpowiada nic, ale milczenie jego jest wymowne. Robert zerwał się z ławy i biega w kółko po namiocie. Sam wie, że kapelan ma słuszość... Głupstwo zrobił, nieodżałowane, wierutne... Nie z własnej winy... Ryzy tak go podszedł. Chytrze zamówił, pieniędzmi kusił... Bodaj mu oczy wygniły... Bodaj ze szczeniem skapiał, nim księstwo obejmie!

Uczony Szczepan, grabią de Blois i Chartres, siedzi na ławie przy żonie swojej Adeli, obejmując ramieniem jej zgrubiałą kibić.

— Ciężarne na wyprawę iść nie mogą — mówi — tedy ostaniesz, moja miła... Jakże ci tego zazdroszczę! Cała nadzieja, że się rozmyślą równie łącno, jak się namyślili, i może wcale nie ruszą.

— Po coście się, panie mój, zaciągnęli?

—• Musiałem —• wzdycha — sama wiesz... Krzyczeliby wszyscy, a twój brat Robert najgorzej, zem tchórz...

Poselstwo węgierskie złamało drzewce od złocistego ramienia. Przed tym, ułamanym znakiem rycerze, nałożywszy śmiertelne giezła na zbroje, siedzą w kłąg. Nie mówią nic. Każdy szanuje ich boleść. Gdy pokorę, czyli żałobę odprawią, pójdą również do Jerozolimy. Do domu niespieszne im wracać. Królować będzie teraz Koloman, uczony przyjaciel ksiąg i mnichów. Niewiele przy nim użyją. Nie Włodzisław to, którego lice jaśniało jak zorza, świeciło jak złoto, olśniewało radośnie jak słońce... Nie masz go już, nie masz... Oj, Dolo!

— ...A tak się pysznili! — mruczy Głowacz nie bez podświadomego zadowolenia.

Imbram chodzi przed namiotem tam i nazad. Nie jest pewien, czy bracia wiedzą już, że ślubował? Trzeba im to rzec... Będąż wydziwiał... A niech wydziwiają. Nie dworzyszczę to śląskie, ojcowskie, gdzie władza starszego święta... Obcy kraj, daleki, inne obyczaje. Mniejsza o ich przyzwolenie, mniejsza o przygany Głowacza i podśmiechy Zbyluta. Zaraz a zaraz im powie...

...I rozmyślając, jako im to będzie prawil, rozplomienia się ponownie zapałem. Niewątpliwie Chrystus, Miłosierdzie Przedwieczne, Chrystus, Dobro Wiekuiste — zapanowałyby nad światem, gdyby Jegb Grób był wolny... Przepadłyby wtedy strachy, zwidy i mary nocne, skończyłyby się nieustanny lęk, trwoga, ciągłe zasadzki zawistnych bożków. Och, doczekać tego dnia! Nie drzeć o nic! Nie rozłączać się z drogimi!..

Dopomóc, dopomóc, by się to stało co rychlej! Wyzwolić Grób i przywrócić Chrystusa we władanie światem!

Lecz zanim zaczął mówić (jako że to były rzeczy nieładne do wypowiedzenia), Głowacz sam zabrał głos. Pono Imko ślubował wziąć krzyż?... Prawie zrobił. Choć raz w życiu coś mądrego uczynił. Oni obaj ze Zbylutem idą ślubować też i No-godziec z Nowinami też, i Oświętowie wszyscy trzej...

Zdumienie odebrało mowę Imbramowi. Wszystkiego raczej byłby się spodziewał!

A Głowacz dalej swoje, że z poselstwem żałobnym węgierskim przyjechał dobry wojak Bielina młodszy, którego się widział z Ostojem ze Starychkoniów. Ten kazał na Węgrzech Ślązaków szukać i

ostrzec, że Włodzisław ogłosił tych, co uszli z kraju, winnymi głowy, jeśli nie wrócą do Godów. Majętności ich mają być książęce albo komu książę da... (pewnikiem Sieciechowi).

•— ...Więc bacz, Imko — mówi Głowacz — co my wcale nie uszli, jeno krzyż wzięli, a to zgoła inna rzecz... Nikt nas tknąć nie śmie, a już najmniej Włodzisław, któren ma z wie-sną poselstwo do Rzymu słać po relikwie do katedry. Już tu naszedłem jednego mnicha, de la Tour mi go naraił, któren pisze, jako wszyscy idziemy, a sam Ojciec święty pieczęcią potwierdzi. To pismo Bielina wojewodzie Magnusowi zawiezie... Niech popróbuje na nas wtedy nastawać... Gadał biskup, że kto by chciał krzyżowcowi ostudę wyrządzić, klątwą będzie obłożony... Więc innego wyjścia nie ma, jeno ślubować. Wrócim, kiedy Bóg da, ale zdobyczy mozem się nabrać niemało od Greków czy też tamtych Saracenów.

...Tak a tak prawi Głowacz spoglądając często na Momota, którego zdanie wielce sobie cenił.

— Dy... dyć... tak one je... jest — przywtarza tenże.

Imbram siedzi na ławie bez ruchu, niewiele zwracając uwagi na to, co mówią. Targa długie konopne wąsy, jaśniejsze od ogorzałej twarzy. Powinien właściwie cieszyć się, że w miejsce nagany otrzymał pochwałę i że pójdą dalej społecznie kupą, jak szli dotąd. Owszem, jużci, co się cieszy. Ale zarazem czegoś mu żal. Poprzednie uczucie zachwycenia, gorącości, zapału zgasło wobec trzeźwo rozsądnych racyj Głowaczowych. Zdało mu się, głuptakowi, że czyni rzecz wielką nad pojęcie, że dla dobra powszechnego poświęca Ofkę, swoją miłość do niej i tęsknotę... 'A ot, pokazywało się, że było ° jedyne korzystne wyjście, że w ten sposób zabezpieczał

^{bie}, Ofkę i synaczka, nie większego jak pięść. Niby to

dobrze, że tak jest, niby chwała Bogu, a niby szkoda... Czego szkoda? Ano tego właśnie, po raz pierwszy w życiu zakosztowanego doznania...

— Nie widzieliście Chebdy?! — woła z daleka Zbylut. — Kaj się smyka ta mitręga?...

...Nie, nie widzieli Chebdy... poszedł wczora i jak w wodę wpał... Nie ma go...

— Obatożyć każę jak psa — warczy Zbylut.

— Powiadają, że krzyż wziął... — bąka Benito, strużący nowy kołek do namiotu.

Głowacz, Momot i Zbylut wybuchają śmiechem.

— Po... po... po... pocieszne... Senriens wzięłyby krzyż], A konie obrządzać — kto!?

Benito nie odpowiada. Jak sobie panowie chcą. Oni, pachołcy, wiedzą dobrze, że krzyż wzięli i Chebda, i Dułęba, i Chrościel, i trzech Italczycy, których Oświata nabył po zejściu z gór, i Kocura Zaworów. Siedzą teraz wszyscy w gospodzie. Piją. Najwięcej pije Chebda. Stary sługa, pokorny, oddany, chwytający w lot każde słowo Strzegoniów. Rzucił ich. Bardziej niż winem jest pijany poczuciem wolności. Po raz pierwszy w życiu on, urodzony w poddaństwie, postąpił według swojej woli. Odszedł. Poniechał wszystkiego. Po raz pierwszy w życiu on, urodzony w poddaństwie, zdaje sobie sprawę, jak poddaństwa tego nienawidził, nienawidził swoich panów, nawet łagodnego Imbrama. Za to, że byli panami. Ale już przestali być...

Wszyscy są równi!!! Pochwalony Jezus Chrystus!

Do poważnego, najpotężniejszego w grodzie kupca Kalonymosa przychodzi stroskany kahał. Szeleszcza sajety i atfasy. Poza obejściem Żydów obowiązuje przymus noszenia nędznej opończy z żółtą łaną na ramieniu i spiczastej czapki, ale tu, u siebie, bronieni bramami getta, mogą odziewać się, jak chcą. Długie brody spływają na atłas szaty. Dostojnicy szarpia je niespokojnie, zatrwożeni i przejęci.

...Czy reb Dawid słyszał już o tym, co się dzieje w grodzie?! Czy wie?! Podobno wszyscy, co nie idą do Jeruzalem, mają zapłacić podatek? Ten podatek dla chrześcijanina będzie wynosił jedną dwunastą majątku, a dla Żydów jedną trzecią! Jedną trzecią całego dobytku! Taka wiadomość może

zwalić z nóg najsilniejszego. Kiedyż Jehowa zlituje się nad wybranym narodem i wytraci tych chrześcijan przeklętych! — ...Sza, sza... — uspokaja gospodarz. Nie jest zwolennikiem zbyt gwałtownych słów. Ale reb Salomon nie da się powstrzymać. Dygocącym z oburzenia głosem opowiada dalej, że wszystkie należności mają być skreślone, a niewolni trzymani, za długi — zwolnieni!

— Ja swoich prędzej wyrnę, a nie puszcze! — wykrzykuje. — Co to jest?! Jakim prawem?! Czy moje pieniądze oddali?! Czy ja nie pożyczyłem dobrych, doskonałych pieniędzy?

Reb Beniamin doradza niewolnych zawczasu ukryć, wywieźć, przykuć łańcuchem gdzie w lochu, aż wszyscy odjadą. Kto tam będzie ich szukał? Kto o nich wie i pamięta?...

— Tak, jeśli już po dwadzieścia lat służą, ale moi jeszcze nawet pięciu lat mi nie odrobili... Biada Izraelowi, biada! Przekleństwo na psy niewierne!

Dawid Kalonymos gładzi brodę ze spokojną rozważą. Wprawdzie podobnie jak tamci uważa przyniesione nowiny za klęskę, nie wypada mu jednak miotać się i skrzeczeć, jak to czyni reb Salomon. Ród

Kalonymosa jest uszlachcony, wyniesiony wysoko ponad inne, od chwili gdy rodzony jego dziad uratował życie Ottona III, ukochanego syna Teofano Porfirogenetki, Na żydowskim Kalonymosowym koniu, z dobrej woli oddanym, ratował się młody cesarz. Żyd Kalonymos, rodzony dziad obecnego Dawida Kalonymosa, na italskim wybrzeżu podległym miastu Stylo dał się rozsiekać przez Saracenów, by uszedł cało młody monarcha, uosabiający lepsze nadzieje całego świata. Nie dziw więc, że rodzina Kalonymosa została osypana darami i zaszczytnie wyróżniona. Izaak Kalonymos, syn poległego, był przyjmowany na cesarskim dworze. Niewątpliwie i wnuk Dawid dostąpiłby tego zaszczytu. Ale nie ubiegał się o to. Wystarczyło mu tymczasem, poczucie własnej, wypływającej z tego tytułu, godności. W tej chwili kojąco działa na niego również świadomość, że we Francji posiada tylko część swego majątku. Właściwe bogactwa Kalonymosów znajdują się w Moguncji, gdzie mieszka jego rodzina. Tam też postanawia szybko wyjechać, uwożąc wszystkich lepszych niewolników. I uśmiecha się urno woli, ku zgorszeniu przybyłych. Bo, przebieżawszy szybko myślą drogę, ujrzał na jej końcu ukochane aksamitno-Tiuczata. Małeńka Rebeka, wdzięczna istotka o spojrzeniu, ponad wiek mądry Dawidek... Dziadek kochał ich

miłością nieprzystojną poważnemu mężowi, i oto teraz, wstyd przyznać, gdy wokoło biadłą najpoważniejsi członkowie ka-hału, on, uśmiechając się nieznacznie, myśli o tym, jakie za-uszniczki przywiezie ulubienicy... A małemu? Mądry, bystry chłopak... Byle co go nie zadowolni... Jak miło jest być dziadkiem! Tak, tak, trzeba ruszać jak najrychlej, zabierając niewolnych i co się da z dobra. Rozważny wiernik Samuel pozostanie, i jeśli *trzeba* będzie podatek zapłacić — zapłaci. Stracone pieniądze odbije na dostawie broni. Ież to krzyżowcy zapotrzebują naraz pasów, koni, mieczy, pancerzy, włóczni, siodeł, szłomów, kropierzy! Ież żelaza i podków! Rycerze czekać nie lubią. Dadzą każdą cenę. Te ostatnie uwagi wypowiada głośno i słuchacze uznają je za słuszne, nacechowane głębokim rozumem. Wychodzą z łżejszym nieco sercem, niż wchodzili.

Hugo de Vermandois leży w swym namiocie na miękkim pościeliu ze skór. Ten rycerz, o ile nie siedzi na koniu, zawsze leży. Jest leniwy i wygodny jak Grek, Nie posiada jednak greckiej przebiegłości i chciwości. Ogólnie wiadomo, że od pana de Vermandois uzyskać może każdy, co zechce. Stąd jest wiecznie bez pieniędzy. Tonie w długach. Sprzedał już więcej niż pół księstwa. Obecnie czeka na powrót wysłańców, których pchnął z listem (list napisał Szczepan, uczonego mądrała) do Filipa, króla-brata. Niech się przyczyni i wspomóż swą szkatułą, skoro sam nie idzie. Hugo wie wprawdzie, że królewska szkatuła jest równie pusta jak jego, książęca, liczy jednak na zapał, jakim przejmie Filipa myśl, że wszystkie żarłoczne szczupaki, otaczające drapieżnym kołem jego małeńkie królestwo, wędrują kędyś za morze.

Podłożywszy wygodnie ręce pod głowę, patrzy w pułap namiotu i czeka.

— A jako sobie poradzi, żeby iść i drużynę zebrać, dobry pan Wilhelm de Melun? — zapytał nagle. — Boć denarów u niego jeszcze mniej niż u mnie.

Siedzący w namiocie rycerz de Barneville podniósł się na głos księcia.

— Dobry pan de Melun — objaśnia — zebrał grzeczną kupę ludzi i napada kupców na gościńcu.

Pojmanym powiada: Idę na świętą wyprawę, wy nie. Podzielcie się ze mną, czym macie, przez miłość Chrystusa Pana...

— A to przednia myśl!

— g pewnie! Pono niemało już zebrał. Były jedne, co mu nic dać po dobrowoli nie chciały, to ich wysięki do szczytu...

— Słusznie uczynił nieprzyjaciołom Świętego Grobu... Ha, jeśli Filip nic nie przyśle, może i nam przyjdzie tak uczynić...

— Lepiej nie zwlekać — powiada de Barneville — bo kupce zmądrzeją i jeździć przestaną...

Hugo ziewa w odpowiedzi.

Grabieżca de Hainaux trzyma w dłoni dłoń swojej niewiasty i nie mówi nic. Obojgu łamią się serca nad rychłym rozstaniem. Patrzą na siebie. Jakaż piękna jest Ida! Jakaż cudownie piękna i niepodobna do żadnej innej! Miłują się oboje śmiertelnie. Miłują się jak Tristan z Izoldą, miłością gorzką, świadomą, zachłanną, bo oboje poznali wprzód truciznę innych, niekochanych więzów. Ledwo rok, jak się pobrali... Trzeba się rozstać. Idą, podobnie jak Adela, niewiasta uczonego Szczepana, jest ciężarna. W zapusty przyjdzie jej czas. Syn grabieżcy de Hainaux nie może się zrodzić gdzieś w gospodzie przy gościńcu. Trzeba więc ostać. Jej trzeba ostać, jemu iść... Nie jest się rycerzem za darmo. Bóg i sława muszą być pierwsze niż niewiasta... Ale jak ciężko!...

Brat Hiacyntus, przepisywacz i iluminator, stoi chwiejąc się dusznie w dwie strony. Czego Bóg od niego żąda — jak się dowiedzieć?! Co winien zrobić, by zbawienie duszy osiągnąć? Przepisywać nadal w ukochanej celi, w bezpiecznym kręgu pergaminu, pędzli i miseczek z farbą, czy iść na świętą wojnę, w dziwny, obcy świat, przedstawiający się jego oczom krótkowidza, jego myślom samotnika jako straszny wir i matnia? Z zazdrością patrzy na gromadę oblatów radośnie rajcu-jacych o drodze. Ci się nie wahają. Poświęceni do zakonu w dzieciństwie, ba, nieraz przed urodzeniem, z radością rzucają klasztor, którego nie zapragnęli, w którym się dosyć na-zyli goryczy.

Baldwin lotaryński rozmyśla, jak by namówić papieża, by zabronił niewiastom ferać krzyż. Żeby nie śmiały tego uczy- bez mężowej zgody. Potrzebne tam one? Potrzebna na przykład Gontrana!? Myślał, że od'niej odetchnie, a tu masz!

- Kr;
żowcy t.

Jedzie, jedzie za nim to utrapienie, ta żona, co go trzyma w pogardzie i o byle co obrzuca najgorszymi wyzwiskami. Jak wszystkich zresztą. Jest kłótniwa, zgryźliwa, zawsze podrażniona. Każdy ją trzyma za jądze i mało już kto sobie przypomina, że nie dalej jak dziesięć lat temu była młodą, uroczą dziewczyną o łagodnych, ciemnych oczach. Tak się potem odmieniła! Pewnikiem stąd, że nieplodna, od czego żółć się w niewieście obraca.

Jedynym człowiekiem, który umiał powściągnąć jej wybuchy gniewu, był Godfryd, dziewiarz.

Szanowała go jak wszyscy ze względu na przykładowy, nieomal zakonny żywot, spokój i powagę.

Rzadko jednak dawał się uprosić Baldwinowi i wkraczał w jego niesnaski małżeńskie.

Wsparty plecami o żerdź płotu, Baldwin wzdycha przeciągle. Jak pięknie zapowiadałaby się ta droga w nieznane, dalekie strony, gdyby Gontrana zostawała w domu! Ha! Trudno, niech jedzie ten cierń, skoro inaczej nie można.

Zaciekawia go, jak też Godfryd poradzi sobie z pieniędzmi? Nie mieli ich. Baldwin nazbyt lubił turnieje i łowy, Godfryd był do przesady miłosierny i dobroczynny. Aby tu przyjechać, zastawił srebro stołowe u Żydów w Metz. A wielez funtów srebra trzeba będzie teraz na tak kosztowną wyprawę! Podobno biskup z Yerdun chce kupić księstwo Lotaryńskie, a mieszkańcy dobrego miasta Metz wykupić się, przejmując gród na siebie. O, chytne mieszczany! Godfryd zawsze się nad nimi litował i podatkami nie uciskał, a ot, wiele zebrali gro-siwa! Ciekawość, ile ofiarują? A biskup? Chyba mu Godfryd nie sprzeda, tylko zastawi? A może sprzeda? Niech robi, jak chce. On, Baldwin, o to nie stoi. Wyrąbie sobie tam w świecie rycerskim mieczem inne, piękniejsze władztwo. Roześmiał się do tych marzeń.

Godfryd na razie nie myśli o cenie, jaką mu jutro ofiaruje, biskup z Yerdun za ojcowiznę. Leży krzyżem w katedrze. Od kamiennej posadzki ostry ziąb przenika ciało rycerza, niedostateczny jednak, by ochłodzić rozpaloną głowę. Wsparł twarz na podścieli jasnej brody i dziękuje Bogu całą duszą za wielką odmianę, święte zawołanie, możliwość oderwania się całkowitego od wszystkich, tak już obrzydłych spraw życia, Zapomnieć o nich i pójść walczyć... O Twój Grób, Chryste... O Ciebie... W modlitwie tej nie jest sam. Choć nabożeństwo ranne

dawno już skończone, w katedrze pełno rycerstwa. Rajmund St Gilles i Robert z Flandrii, de la Tour, de Beaugency, co się już diabła nie boi, i de Luz, choć nie pasowany, i obaj bracia de Viel, de Ribeaumont, grabiowie du Grai i de Mon-taigu, bracia Henryk i Godfryd de Hache, bracia Piotr i Paweł de Toul i mnóstwo innych. Wszyscy, co złożyli ślubowanie nie z żadnych innych powodów, ale ze szczerzej miłości ku Bogu miłosiernemu, modlą się tu, dziękują, płaczą, ślubują, co który może. Ten, że wyrzeka się wina, ów, że nie tknie białki, aż powróci z Jeruzalem wyzwolonej. Głośno to mówi, więc inni go naśladują, ślubując również czystość na cały czas trwania wyprawy. Do tego poniektórzy dodają nowe obostrzenia: A to, że strzyc się nie będzie, aż głową o Grób Święty uderzy... a to, że odzienia nie zdejmie, aż w Jeruzalem... a to, że nóg nie omyje z prochu pąci, aż pod świętymi murami... Z chrzęstem miecza podnosi się z klęczek Rajmund St. Gilles. Głosem donośnym, mocnym, choć od wzruszenia drgającym, ślubuje Panu, że za łaskę ujrzenia Grobu Świętego nie chce już nigdy zobaczyć słodkiej rodzinnej Tuluzy... Nie wróci do swej ojczyzny! Wyrzeka się jej dobrowolnie, byle zyskać w zamian sławę obrońcy Grobu, największy zaszczyt dobrego rycerza...

A gdy tak stoi, wysoki, rycerski, na wyciągniętej ku ołtarzowi prawicy ważąc jak gdyby własne swoje serce, szloch rozlega się w kościele. Powstają inni ślubując podobnie wyrzec się rodzinnych progów.

Niechta, niechta... Niech ich tu już nic nie trzyma, nie ciągnie... Ani ta rodzona ziemia, ani kasztel ojców, ani zdobycze i włości... Wszystkiego zbywają ochoczo, byle im Bóg udzielił łaski żądanej. Oswobodzić Święty Grób! Własnymi stopami zmierzyć wolne od pogan Prze-święte Miejsca, w których Chrystus żył i cierpiał! Zwólże to, Panie, dobrym, chrześcijańskim rycerzom... I trzęsą się od łkań głowy, nie znające łez. Dygoczą dłonie, co nigdy dotąd nie drżały. W ciemnej nawie błyskają płomyki woskowych świec, jak migotliwe złote pszczoły. Z oddechów tworzy się obłok osnu-wający je tęczą. Modlący czują się jak w przedsionku wielkiej tajemnicy, w obliczu posłannictwa swojego. Widzą się wybrani, wywyższeni, wyróżnieni! Święta дума rozpiera pierś. Zapał mgli oczy. O. nłewysłowiona chwilo, gdy spełniać się zaczną nieśmiertelne *gęsta Dei per Francos...*

Rozdział trzynasty

O TYM, JAK TŁUMY KRZYŻOWE,
ZNĘCONE PRZEZ NIEPOCZCIWYCH DOWÓDCÓW,
RUSZAJĄ SAME W NIE ZNANĄ IM DROGĘ

Powiadają ludzie zebrani wokół Clermont, że dawno nie było zimy tak ostrej, a zarazem tak lekkiej jak ta. Słusznie mówią. Mrozy ścisnęły ziemię wnet po Godach, ale cóż oto, gdy ogniska strzelają skrami, a grzejący się przy nich są syci? Zaraz po powszechnym ślubowaniu dowódca świętej wyprawy, mądry biskup z Puy, zakupił wszystko, co było w grodzie do zakupienia z żywności i zapasów zboża. Zboże złożył do kościołów, żywność trzyma w szopach zbitych z tarcic. Obozujące tłumy podzielił na obwoły. Co dzień wiernicy jego wydają innemu obwodowi żywność na tydzień. Równocześnie na stężonych od zimna polach, szeleszczących zeszlórocznym badylem, ludzie ćwiczą się w strzelaniu z łuku, robieniu maczuga i toporem. Karki, zginające się dotąd ku ziemi w niewolniczej ciężkiej pracy, wyprostowują się, po raz pierwszy w życiu usiłują być prężne, harde jak karki wojackie. Ćwiczący dzielą się na rotę. Mają dziesiętników i setników. Biskup zabiega u rycerzy, by zechcieli objąć dowództwo nad rotami. Niech w każdej pieszej, gołocięj rocie będzie choć pięciu konnych. Niech będzie bodaj trzech, dwóch! Ale rycerze nieradzi słuchają tych namów. Nieskorzy są dowodzić byle kim.

Więc Ademar ogłasza, że pasować będzie na rycerzy dobrych giermków sprawiając im zbroję, miecz i pas, byle za ten zaszczyt zechcieli pokierować nowo zestrojonymi rotami, Pas rycerski — to nie lada pońeta. Przychodzi tedy wielu, niektórzy sędziwi, jak St. Pierre de Luz z orszaku pana de Foix, inni tak młodzi, że jeszcze brody nie golili, pięknotek Engelram, syn grabiego de St. Paul. Wszyscy będą pasowani w dzień świętego Pawła pustelnika. Przed uroczystością wykąpią się w balii pod otwartym niebem, przeposzczą .dobę i spędzą noc na samotnej rycerskiej wigilii. Rankiem przy

.roczwstęj biskupiej mszy klękną wszyscy wieńcem wokoło łtarza Każdy odziany w koszulę nową, cienką i bieloną, **Sdrel** nikt jeszcze nie nosił na grzbiecie. Taką koszulę wdziera się tylko dwa razy: do pasowania i na śmierć, do trumny. Każdy ma skórznie nowe, nogawice obcisłe i kaftan materialny lub ze skóry. Na ołtarzu i wokół ołtarza leżą miecze, **zbroi** i pasy. Zbroje z rzadka tylko są z całkowitej jednolitej blachy. Zwykle bywa to tunika skórzana naszyta gęsto kółkami miedzianymi. Pożłacane kółka zachodzą na siebie tak gęsto, że skóry wcale nie widać. Taka tunika zowie się „brouigne”, a Latyni przyjęli ją od Słowian wraz z rodzimą nazwą — broń.

Skórzana tunika naszyta gęstwą metalowych kółek jest ciężka i sztywna jak pancerz, przeto poniektórzy woje wolą lżejsze kolczugi stalowe, z siatki misternie wiązanej. Przy kolczudze wisi jedno z nią tworzący czepiec, co ciasno obejmuje skronie i podbródek, zostawiając odsłonięte tylko oczy, nos i wąski trójkąt policzków. Dopieroż na czepiec przyjdzie szłom z labrami i nanośnikiem. Nogi okryją nagolenniki stalowe, pięści — siatkowe mocne rękawice. Książd unosi kolejno z ołtarza każdą część rynsztunku, błogosławi i podaje czekającym jak komunię. Gdy na koniec weźmie w dłonie pas z uczepionym doń mieczem, święci je z osobna, ze szczególną powagą. Powiada: ...Błogosławię cię, żelazo, jasne ostrze, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego... Służ do zwycięstwa krzyża, nie przelewaj krwi niewinnej... ani dziecka, ani wdowy, ani niczego, co słabe,.. Pogańską krwią opływaj, ostrze rycerskie...

— Tak mi dopomóż, Panie Jezu Chryste i Niewinna Jego Męko! — odpowiadają chórem czekający. Ademar de Monteil, siedzący podług w karle poręczowym, bierze • z kolei poświęcony miecz. On

udziela pasowania. Ma prawo to czynić, bo był rycerzem wprzód, nim został mnichem i biskupem. Każdego z klęczących trąca mieczem trzykroć w ramię:

— Znieś to uderzenie, lecz ani jednego więcej! Pasowany całuje dotykający go miecz ze czcią, jak ósmy

sakrament. Porywa się z klęczek na nogi, skacze' na konia nie dotykając strzemięcia, wrywa z ziemi kopia, l goni pędem przebić kukłę wypchaną sianem, wiszącą u belki opodał. Im sprawniej, im. szybciej tego dokona, tym lepsza dlań wróżba na przyszłość; Zła dola,' najgorsza dola snadź bliska; jeśli się potknie albo kopia chybi. :

Toteż tłum obecnych przygląda się ceremonii badawczo i ciekawie. Czy skoczą od razu na konia w wysokie rycerskie siodło wszyscy, nawet szpakowaty, przyciężk de Luz? Czy trafią w sam środek kukły? Czy nie miną jej z rozpędu?

Patrzą z natężeniem, lecz w tejsze chwili wrzawa, wznosząca się w drugim końcu obozu, odwraca skupioną uwagę. Tam ciekawsze widowisko. Złodziejowi, złapanemu na kradzieży, gołą łeb, kąpią całego w smole i taczają w pierzu. Za pacwą bezkształtną, ośleplą, walącą się co krok na ziemię, biegnie tłum huczący śmiechem. Tak, to ciekawsze stanowczo. I większość widzów odchodzi'W tę stronę.

Tak ciągną i mijają kuse, wietrzne dnie. Zima trwa. Z ołowianego nieba połatuje śnieg. Poza powierzchniowym ruchem, wywołanym ćwiczeniami, pasowaniem albo schwyтaniem złodzieja, życie w obozach przymarło. Bo człowiek prosty i pierwotny usypia na zimę jak ziemia lub bór. Ciało robi się osłabłe i leniwe. Od Godów do Wielkiejnocy nie obaczysz czynów orężnych, wypraw rycerskich, aloli nawet zbójeckich. ...Zima!... Zima... Pora, gdy niedźwiedź zasypia w barłogu, jaźwiec w swej jamie, a równie jak one nieruchawy człowiek grz.eje się przy ogniu.

Nie wiedzieć tylko, czy kudłatemu misiowi przyśniwa się co, gdy leży w barłogu pod przykryciem wielkiego wykrotu? Nie wiedzieć także, czy jaźwiec miewa jakie zwiidy? Bo człowiek, choć wiotczeją mu ciało i mięśnie, ożywia się wtedy wyobraźnią. Snuje baśnie. Nigdy się takie baśnie nie przędą jak zimą. Można rzec nawet, że bez zimy nie byłoby baśni. I teraz także w obozach, od ogniska do ogniska ciągną opo-wiadacze bając o dziwach, jakie się dzieją po świecie. Prawią, że na niziny, ciągnące się poniżej Montferrand, co noc spadają z nieba gwiazdy jak wielkie, promieniste płyty śniegu. Dotknąwszy ziemi zamieniają się w rycerzy chciwych iść do Ziemi Świętej. To znów prawią, że widziano światła nieznane, unoszące się w powietrzu, podobne tym, co się czasem jawią nad bagnami, jeno bez porównania świetlistsze, mające rozjaśniać mrok nocy krzyżowcom, kiedy już wyruszą w pochód. Mówią też, że głodne wilki napotkały na gościńcu idącego samojeden rybałta. Ukazał im krzyż przypięty na ramieniu i przypadły do ziemi skomlać. Przeszedł skroś nich jak przez stado owiec... Albo, że święci i królowie, dawno, od wieków pomarli, wstają ze swych sarkofagów, gotując się iść na woj-

r

krzyżową... W Tours widziano o zmierzchu na rynku ukochanego patrona, dobrego biskupa Marcina, zjawionego kształtem żywym... Święty Idzi chodził błogosławiąc po murach swojego opactwa... Dzień w dzień obłoki na niebie piętrzą się

zachodzie w zamki warowne, wieże i blanki zębate. W tych wieżach siedzi załoga niebieska, którą Bóg ześle, by wspom-

ła krzyżowców... W Jerozolimie na ołtarz Bazyliki Grobu spadł list, tym razem przez samego Odkupiciela pisany... Że czeka na dobrych rycerzy krzyżowych. Gotuje im pomoc, a potem nagrodę, jakiej oko nie widziało, ucho nie sły-

szało...

Roily się te opowiadania zdumiewające, cudowne, aż pewnej nocy giermek, przezwiskiem le Cocą, zerwał się z krzykiem, wołając, że przyszedł do niego brat od kilku lat nieżyjący i rzekł, że także wziął krzyż.

Wnet po całym grodzie

nieobesztych obozach gruchnęła wieść, że zmarli idą wespół z żywymi walczyć o Grób Święty. Odtąd też każdemu nowo przybytemu (a ściągalo ich co dnia niemało) przyglądano się uważnie: człowiek to żyw z krwi i kości, czy też mara, co korzystając z powszechnego odpuszczenia grzechów, zbiegła duszą z czyśca, a ciałem z żalnika?

Tak jest zimą. Ale zima francuska trwa krótko. Jeszcze na Śląsku leży w puszczy gruby śnieg, przez który z trudem przebiera się ząbr, a nad Clermont już płynie ciepły langwe-docki wiatr, wonny i lekki jak tchnienie. Pluszcze woda, ściekająca strugami z wyżyn ku potokom. Ciuurka rażno w każdej bruzdzie, spływa brzegami gościńca. Ptactwo przelotne krzyczy ciągnąc wysoko, wysoko na wschód, i de la Tour powiada, że nie darmo zeszłej jesieni jaskółki przyleciały do Clermont. Czyż ich nie spotkali na drodze? Widno były tu gdzieś cały czas nie zauważone, a teraz razem z inną ptasią rzeszą ciągną na wschód, aby krzyżowcom pokazywać drogę...

Droga!... Droga!... Czas już na nią. Wraz z pierwszym wiosennym wiatrem stała się bliską i nagłą. Krew w żyłach krąży rzeźwo jak woda w bruzdach zagonów. Tłumy ocknęły się niby po nocy przespanej i żal im już choćby jednego dnia tracić... Więc w obozach wrzawa i rumor pogwarek. Iść! Iść! Iść! z wcześniejszym świtem, późniejszym zachodem,

milkną piękne baśnie, wraca rzeczywistość. Przy ogniskach ^e gadają _o zmartwychwstałych królach i świętych, jeno

tym, czy lepiej wyruszyć razem z rycerstwem, czy osobno własnym dworem?

— ...Osobno, osobno!... Od pół roku ciągiem powtarzam, że lepiej osobno!... — wykrzykuje; von Emich, zawsze obecny, gdzie toczy się żywsza rozmowa. Obaj z Gottschalkiem poty uporczywie powtarzali ciżbie swe wymysły i skargi na rycerstwo, aż uwierzono im, że oni są inni. Posiedli zaufanie tłumy. Są w obozach jak u siebie.

— Ruszać z rycerstwem pod przewodem Ademara — powtarza von Emich — toż to samo co wracać w obrożę... Wiadomo: wielmoże pierwsi uderzą, pierwsi zdobycz wezmą, wam zostawiając ochłapy... W razie porażki pierwsi zbiegną, bo są konni... Im zasługa zdobycia Grodu Świętego, im bogactwo, bezpieczeństwo... Dla was jak zawsze poniewierka, chudy łup, marny zgon lub jeństwo...

— Dobry rycerz Emich prawie gada! Nie czekajmy!

— Wielmoże pewno się dopiero w czerwcu ruszą...

— Do biskupa! Niechaj nas prowadzi!

— Niech wybiera, z kim idzie! Z rycerstwem, czy z nami?...

— Nie trzeba i pytać! Pójdzie z wielmożami!... Obejdziemy się bez niego!

— Bóg tak chce! Bóg tak chce!

— Piotr Eremita powiedzie! Boży człowiek! Drogę zna!

— Gdzie Piotr Eremita!?

Mały człowieczek w zbyt długiej opończy z kapturem skrył się zastyszawszy, o co chodzi. Jest strwożony i niepewny. Umie mówić, ale czy potrafi równie dzielnie działać? Modli się, by go nie znaleziono. Próżna nadzieja! Szukają go, tropią, wyciągają triumfalnie, unoszą w górę na ramionach. Łaskawe wiosenne słońce grzeje mocno. Rozpala krew jak wino. Dość czekania! Iść!... Iść!...

— ...Ty nas powiedzisz! — ryczą zewsząd. — Znasz drogę do Jeruzalem! Nie chcemy innego wodza!...

Kobiety padają mu z płaczem do kolan. Całują stopy. Wrzawa dokoła jak grzmot.

— Prowadź nas! Nie chcemy czekać na nikogo! Bóg tak chce!

Burza nie huczy głośniej niż ten straszliwy tłum, pełen uwielbienia. Piotrowi zda się, że go, bezbronnego, unosi, zalewa powódź, nagły przyptyw morza. I on ma zapanować nad tym odmetem, prowadzić go?! O Boże, nie! Iść, walczyć, owszem, ale jako jeden z tysiąca obrońców! Przenigdy jako kierownik! : ..,

Wątpliwe to jednak racje i sprzeciwy wobec naporu tłumy, który żąda spełnienia cudów, głoszonych jesienią.. Niech się nie wymawia... Czyż nie mówił, że wskrześnie Mojżesz-słup ognia albo gwiazda betlejemka?... I ze zdwojoną siłą ryczą wszyscy: __ prowadź! Prowadzi:Bóg tak chce!...

Wszyscy? Nie wszyscy. Gautier Sans Avoir, czyli Walter Bez Mienia, Gottschalk i von Emich wyzyskują chętnie niepewność Piotrową. Sami ofiarują się na wodzów.

— Ja powiodę!

__ . jviy powłedziem!

I już część tłumy odwraca się ku nim. Tryskają w górę okrzyki:

__ . Niech żyje Walter Bez Mienia, nasz wódz!

__ . Niech żyją dobrzy rycerze Gottschalk i von Emich!

Pierwszym odruchem Piotra jest radość. Skorzystać z odwrócenia uwagi, uciekać, skryć się co rychlej! Lecz gdy okrzyki na cześć tamtych wznoszą się coraz liczniejsze, cierń zazdrości uwiera serce pustelnika. Zabolalo go, że tłum tak łatwo od niego odstąpił. Tego się nie spodziewał.

Gdy wokoło huczą zwolennicy nowych przewodników,. Piotr, zostawiony na uboczu, kręci w palcach koniec wystrzępionego kaptura i rozmyśla. Czy nie był zbyt skromny?... Nie doceniający siebie?... Niewątpliwie przecież trudniej było zwołać ti' -,wszystkich tych ludzi, natchnąć świętym zapałem, niż teraz powieść do Jerozolimy, ku której drogę rzeczywiście zna, zna on jeden! Jeżeli z Bożą pomocą uczynił tamto, uczyni podobnie i to...

Stanowczym ruchem odrzuca kaptur. Wskakuje na skrzynię, co mu przed chwilą służyła za mównicę. Woła

głośno:

— Ludzie! Zgadzam się was powieść, skoro taka woła Pana!...

—• Piotr Eremita się zgadza! Nasz święty się zgadza! Chwalmy Pana! Nasz prorok się zgadza! — wołają z uniesieniem kobiety.

Ale mężczyźni nie wszyscy nawracają ku Piotrowi. Łaska tłumu jest niestała, i biada, kto chwilę sposobną przeoczy. Szerokie bary Waltera Bez Mienia, jego mocny, spokojny głos, pewność siebie panów Gottschalka i von Emicha •— mają też swoją wymowę. Wśród burzliwych obrad fala tłumu rozpada się na trzy części: pod wodzą Piotra kupią się pobożni pątnicy, rzemieślnicy i mieszczenie, starcy, kobiety dzieci. Do Waltera lgną młode, bujne chłopcy, żaki, rybałty wszelkie tworzywo wojackie. Ludzie, którym się śnią nocą różne wyprawy. Z Niemcami pójdą wszyscy, których nie

sama pobożność ni chęć sławy zaciągnęła w szeregi krzyżowców. Obwiesie, leniuchy, obieżyświaty z całego świata, rozbójniki i chciwce łase na łatwy zarobek. Jest ich niemało. Tyleż samo bodaj, co pierwszych, Piotrowych.

— Ruszamy jutro! — ryczy do swoich von Emich. — Jeny nie z próżnymi rękami... Składnice biskupowe trzeba ode-wrzeć i zapasy, wziąć!

...Hej, tak mówi mąż! Żadne słowa milej by w uszach nie brzmiały. Otóż to! Otóż to! Odewrzeć składnice! Po prawdzie biskupowe racje były skąpe... Teraz sami je sobie wydzielą!...

Struchlały Piotr składa dłonie. Na miłosierdzie Boskie! Od grabieży mają zaczynać! Od nieposłuszeństwa świętej władzy! Przenigdy do tego nie dopuści, nie zezwoli... Stanąwszy ponownie na skrzyni, woła, błaga. Chrypie od krzyku. Biedaczyna nie wie jeszcze, że wodzowi prosić ani zaklinać nie wolno.

Jedno, co zdoła wyżebrać, to, że poczekają, aż on wróci od biskupa, któremu przedstawi całą rzecz. Kto wie, może biskup zgodzi się z dobrawoli? I nie odejdą bez błogosławieństwa...

—• Co nam po biskupowym błogosławieństwie? Bóg tak chce!... — podnoszą się głosy. Ostatecznie jednak przystają pod warunkiem, że tamci, Walterowi, Gottschalkowi, także czekać będą. Inaczej, jakże? Więc na poły oszalały Piotr goni po obozie. Długi kaptur pęta się za nim. Szuka Waltera i obu rycerzy niemieckich, obłapia ich ramionami, wspinając się na palce całuje w szorstkie policzki, błaga w imię Chrystusa, którego mają iść bronić, by nie zaczynać od gwałtu. Biskup na pewno się zgodzi.

— Możem poczekać — przystaje Walter — bo przeszkodzić nam tak czy tak nie zdoła.

W tym ma słusność. Chwilowo w Clermont oni są panami położenia. Wielmoże zaraz po Godach rozjechali się do swych kasztelów sprząść drużyny i sposobić wyprawę. Ślubowali sobie wzajemnie na rycerską CjZeść stawić się w oznaczonym miejscu przed żniwami, w szyku gotowym do drogi. W grodzie zostali tylko rycerze polscy, węgierscy, kilkunastu niemieckich, Swenon duński, brat królewski Hugo, zbyt leniwy, by się miał zająć czymkolwiek, i kilka pocztów pomniejszych. O tym, by mogli stawić skuteczny,;Opór ciżbie obozującej, zatrzymać ją — ani mowy!

Półżywy ze zmęczenia Piotr spotyka Ademara w bramie grodu, biskup bowiem posłyszał już o poruszeniu w obozie.

Na widok Eremity zsiada z konia. Oddaliwszy się od służby strzelenie z łuku, staje z Piotrem samodwa na wzgórzu, ° samym, gdzie stały namioty poselstwa basileusa greckiego.

Dysząc z wysiłku i płacząc Piotr mówi, mówi, mówi. Ade-mar de Monteil słucha go z roztargnieniem, przenikliwymi oczami błędząc ponad głową małego człowieczka, po rozłożonych w dolinie nie kończącym się kręgiem obozach. Bije od nich szum niby wzburzonego morza. Słońce grzeje. W powietrzu nieopisanie słodki zapach wiosny.

Tak patrząc wspomina biskup jesienny zimny wieczór, gdy na ten sam krąg obozów spoglądał z okna wieży zamku arcybiskupiego. Tysiączne ognie błyskały wyczekująco. Zdało się wtedy Urbanowi, genialnemu marzycielowi, że odmieni naturę ludzi czuwających u tych ognia, porwie w górę i duchem ożywi. Zdało mu się (czasu soboru on, Ademar, dzielił chwilę to złudzenie), że w miejsce trzech zasadniczych namiętności--żywiółów, rządzących stadem ludzkim — głodu, chuci, żądzy władzy • — narzuci siłę nową, czynnik nadzmysłowy, potężniejszy od poprzednich, chociaż z nich przekuty, ogarniający, unoszący, porywający — czynnik miłości, wiary i tęsknoty za doskonałością Bożą... Złudne marzenia, przelotne obłudy! Natura ludzka tylko na krótkie mgnienie może się stać czystą i lotną. Sięga nieba na równi z aniołami i równocześnie opada na ziemię, podlejsza niż kiedykolwiek. Próżne są wszelkie wysiłki.

...Urban mówił: Obaczysz, że dojdą i cel najświętszy osiągną... Będą upadać, chromać, cofać się, przecież obaczysz, że dojdą...

...Jakżeś się mylił, bracie Odonie, mądry papieżu Urbanie! Patrz, co się dzieje wśród nich, choć jeszcze nie wyszli w pole... Co nastąpi dalej? Co dalej?

— Panie! Panie!... — żebrze z płaczem Piotr.

Ademar spuszcza oczy ku niemu.

Rozkaż, niech zbiorą spośród siebie wysłańców, z którymi będę gadał, a roztropnych, żeby umieli powtórzyć innym, co powiem.

Biskup jedzie! Biskup!... — idzie wrzawa skroś obozu. Czekają nowi wodzowie, Gottschalk, von Emich. I tłum napierający, ciekawy.

Prowadź nas! Nie chcemy już czekać dłużej! Chcemy isc zaraz! Bóg tak chce!

— Bóg chce, abyście byli posłuszni naznaczonemu przez Ojca świętego wodzowi. Ja nim jestem. Wy będziecie mnie słuchać, nie ja was. Wyruszamy zaraz po żniwach, nie wcześniej. Zabierzemy nowe zbiory, nie będziemy bliźnim niszczyć zboża pochodem po drodze. Rzekłem.

— My chcemy isc zaraz! Mamy takich, co nas poprowadzą!...

— Pójdziecie ze mną, gdy dam rozkaz. Kto ruszy wcześniej, przestanie być krzyżowcem. Żadnych przywódców nie znam. Jam jest jeden obrany i naznaczony. Nie szukajcie sobie samozwańców, co was do zguby przywiodą. Głodu nie macie. Nigdy w życiu nie wiodło się wara jak ninie. Natomiast nie umiecie jeszcze zgoła walczyć. By nie to, że każda godzina droga, trzeba by was jeszcze rok tutaj potrzymać. Patrzałem onegdaj z wałów, jakieście strzelali! Śmiech pusty. Każda strzała w inną stronę. Ani toporem, ani oszczepem dobrze nie władacie. O szyku nie macie pojęcia. Ni o natarciu, ni o obleganiu. Chrystus takich wojów nie potrzebuje. Na świętej wojnie każdy ma wiedzieć, po co poszedł, jaki trud na siebie bierze i czym się do zwycięstwa przyczyni... Krzykanie, że Bóg tak chce — to mało! Na świętego Lamberta męczennika •— mało!!...

Nie czekając odpowiedzi, zawraca koniem, odjeżdżając z powrotem do grodu. Tłum milczy skarcony. Słusznie prawil biskup, bo słusznie... Dobrze im się tu działo — prawda szczerza... I że zboża się deptać nie będzie, i że z łuków szyją koślawo — także prawda... Palce przyuczone do gmerania w ziemi niełacno przywykają do giętkiej cięciwy... Więc cóż? Ano cóż? To już może lepiej i poczekać?...

Tak prawią ludzie między sobą, gotowi posłuchać biskupa

ostać. Trochę im przykro, że mowa brzmiała tak twardo, wielmożnie. O cudach, o mannie ani słowa. Tylko o trudzie, a oni właśnie woleliby bez trudu... Czy nie wystarczy, że pójdą i samą liczbą wystraszą Saracenów?... Czy nie dosyć, aż za dosyć?

Tak się użalając doczekaliby jednak łąta spokojnie, gdyby nie umysły niespokojne niedoszłych przywódców.

Wiec Walter Bez Mienia, Gottschalk, von Emich, współziomek ostatnich Yolkmar •— każdy z osobna, chociaż jednomyślnie, burzą ludzi przez zauszników swoich, rozpuszczając po obozach wiatry-plotki niegodziwe. Że wielmoże, powróciwszy z drużynami, wyrzną swych byłych poddanych lub

skutych w dyby odeślą do domów... Szalony, kto by na ich przyjazd czekał!

Komu miła sława, wolność, Grób Chrystusów — niech nie czeka!...

To znowuż podszeptują Piotrowi Eremicie, wybrańcowi, mężowi Bożemu, że krzywda mu się oczywista dzieje. Jest usunięty na bok, nie doceniany... On przecież, nie kto inny, powinien być wodzem. Biskup? Dlaczego biskup? Czy chodził do Ziemi Świętej? Wędrował pieszo skroś całego świata? Zwoływał ludzi? Chwytał się za piersi od bólu i mdlał? A teraz co? Ma być niczym, a tamten wszystkim?

Jeszcze temu parę niedziel Piotr byłby odrzekł, że niczego bardziej nie pragnie, jak pozostać samotnym, swobodnym i nic nie znaczącym. Od tego czasu jednak zmąciło mu się nieco rozeznanie. Ogólne uwielbienie zawróciło głowę. Już sam w głębi ducha uważa, że biskup za mało się z nim liczy. Jakby nie on, Eremita, był sprawcą wszystkiego. Czyją zasługą zebrał się tutaj lud chętny isc ratować Boga? Jego, jego, tylko jego...

Gdy o tych sprawach rozmyśla, zwidują mu się cuda i znaki, o których dotąd nigdy nie wspominał. Dziwna rzecz, niby zaszły dawno, a uświadamia je sobie dopiero teraz. Wszystkie utwierdzają go w przekonaniu, że Bóg o nim myślał jako o wodzu. Przypomina sobie, że gdy się modlił przy Grobie Świętym, Chrystus przemówił do niego: „Wstań, Piotrze, przyprowadź lud, aby mnie ratował...” Potem, że szczątek Krzyża Świętego w ołtarzu wysunął się sam ku niemu do pocałowania... A czyż wiele kobiet nie przypisuje mu ciągle świeżych cudów? Uzdrowił .starą Martynę, chorą na kurcze żołądka... Pogodził zwaśnionych małżonków Błażejów, o których mówiono, że nawet diabeł by ich nie pogodził.'

I gdy pewnego świetlistego ranka, po nocy spędzonej na burzliwych naradach, tłumy wywalają kute

wrota kościołów zamienionych na składnice, wypędzają z zagród bydło i wyruszają niezmierną, nieobjętą falą, Piotr Eremita powtarza i: „Bóg tak chce!” stając bez oporu na czele pierwszej najliczniejszej gromady. Pozostający w Clermont rycerze patrzą na ten odpływ z ulgą. (O ileż milej im będzie walczyć bez hołoty!) Biskup Ademar z sercem ściśniętym żalnością. Boże, bądź im miłościw. Płyną, płyną szeroko jak morze. Wał pieszo, gnają pchają ręczne wózki, na których umieścili dzieci i nieco odzieży. Niektórzy jadą na podkutych wołach. Z rzadka któryś dosiada konia, przedmiot ogólnej zazdrości. Drogi nikt nie zna, boć i Piotr płynął do Ziemi Świętej italską galerą. W tym tłumie niepowstrzymanym są bezwstydnicy i zbóje, są niewinne dziewczątka o niczym złym, nie wiedzące, mło-dzianki i dzieci, maleńkie, bezgrzeszne dzieci... Co się z nimi stanie, ach, co się stanie?... O Boże, bądź miłosierny!...

Rozdział czternasty ...GDY MANNA JESZCZE NIE PADA...

Wiewiórka skrętnie zbiera zapasy na zimę, chomik całe lato znosi zabiegliwie zboże. Ale ludzie nie posiadają zwierzęcej roztropności. Idący tłumem krzyżowcy jedzą, uczują, ani się troszcząc o przyszłość. Pędzone przez nich stada wołów, świń i owiec topnieją jak śnieg wiosenny. Topnieją nazbyt szybko. Nie dziwota, gdyż pątnicy zjadają tylko najlepsze kawałki. Resztę rzucają na ziemię. Niech gnije, niech kruki rozdziobią, niech bierze, kto chce. Flaki i nogi, łby i płuca, wątroba i śledziona stają się niepożądane dla zwy-bredniałego nagle podniebienia. Kąski — stanowiące dotąd niedościgłe marzenie ubogiego smerdy, co mięso jadł tylko wtedy, gdy chwycił w sidła zająca, ułowił rybę, drząc równocześnie ze strachu przed panem, do którego przyrodzonym prawem należało wszystko, co żywie w powietrzu, wodzie i w polu — stają się dzisiaj niesmaczne i niepożądane. A co będzie, gdy wołów, owiec i świń pędzonych nie stanie? Gdy skończą się wory ze zbożem? Któż by się o to troszczył? Manna przecież spadnie z nieba. Idąc przez grody i wsie, wędrowcy rzucają gawiedzi jedzenie. Biercie, my mamy dość. Gdy nie stanie, Chrystus ześle nam nowe zapasy. Obdarowani błogosławią krzyżowców i przyłączają się do nich. Więcej jednak niż błogosławieństw słysząc po drodze przekleństw za zdeptane zboże, zniszczone winnice. Jak wielka nieobjęta rzeka płynie tłum krzyżowy, pozostawiając za sobą gołą ziemię. Ni śladu młodych zasiewów. Nie dbają o nic. Obalają płoty chruściane i murki kamienne pracowicie ułożone wzdłuż pól. Wypijają do dna studnie. Po przejściu tysięcy stóp potoki stają się grząskim rozdeptanym bagnem, którego nieprędko napoi się bydło lub człowiek. Suną jak >dź, nieubłagane, obojętnie. Jeden znają okrzyk: Bóg tak Gdy na widnokręgu ukaże się wieża klasztorna, pod-oszą radosną wrzawę, że to już Jerozolima. Pierwsze szeregi

padają na kolana, dalsze tłoczą się i cisną, Jeruzalem! Jeruzalem!

Tak ciągną, brodząc przez łąki pokryte kwieciami sięgającym kolan, wśród ziół miodnych, nad którymi brzęczą pszczoły. Dziewczęta plotą wieńce, spinają je na warkoczach. Przeglądają się w strugach napotkanych, czy im pięknie? Tłumy ogarnia beztroska swoboda, pątnicze oderwanie się od codziennych kłopotów. Dzisiaj śpisz tutaj pod gruszą, a jutro tam kędyś w lesie albo na przykopie. Jak się zdarzy... Jak się zdarzy... O cudowna niefrasobliwość, o rajską przygodę! W wiosennym świetle wędrować przez łągi i bory, wzgórze i doliny, chociażby do końca świata... Gdy idą, znad Mozy i Mozeli, z Burgundii i Szampanii ściągają ku nim nowe sznury ludzi. Zdrowych i chorych. Wlecze się rój dziadów--kalek. Powiewają pustym rękawem, na którym czerwieni się krzyż. Stukają drewnianą nogą. Dygoczą jak opętańcy opanowani chorobą świętego Wita. Chromy wiedzie ślepego, a niemowa pcha na wózku porażonego bezwładem.

Na samym końcu pochodu jest i garstka trędowatych. Szpetna ta choroba od niedawna trapi Europę. Maury przy-wlokły ją do Hiszpanii, skąd przeszła do Francji. Wzbudzający ogólny lęk i wstręt nędzarze poodrzucali kołatki i w swych czarnych, zrudziałych opończach, z białą dłonią wyszytą na piersiach i plecach, nadążają za zdrowymi, jak mogą. Sypią się na nich wyzwiska, a gdy za blisko podejną — kamienie, lecz uczestniczenia w pochodzie nikt im zabronić nie może. Kto wie? Może Chrystus właśnie im okaże swoje miłosierdzie?...

Och tak, każdy z tych nieszczęśników wyklętych śni, że doszedłszy do Grobu Świętego położy na nim swoje bezpalce kikuty, a one staną się znów mocnymi, sprawnymi dłońmi. Wędrując w pyle rozważa, jak wielką jest rozkosz posiadania ruchliwych, chwytnych palców, człowiekowi niezawodnie posłusznych! Jak niewysłowioną radość sprawności cielesnej! Potykając się chorymi stopami o polne kamienie, dumają, jak będzie wyglądać chwila, w której dojdą. Co wtedy uczynią? Czy odważą się objąć święty kamień tymiż żalnymi kikutami lub staną jak dziesięciu mężów trędowatych, wołając z dala: Jezusie Nazareński, zmiłuj się nad nami! Nie rozstrzygnęli jeszcze, jak będzie lepiej, niemniej gorliwie teraz wołają: „Bóg tak chce! Bóg tak chce!” Głos stłumiony i bezdźwięczny dobywa się z gnijących warg, co spodziewają się odzyskać twarde białe zęby i pełne, wilgotne wargi, któ-

rych nie brzydziłyby się kobiety. Nie dzielą się jednak między sobą tymi nadziejami. Wszak Chrystus —

sądzą — nie uzdrowi wszystkich. Może tylko jednego, może aż dziesięciu jak w Ewangelii?... Każdy chciałby się widzieć pośród tych •wybranych, i nie pragnie, aby go inni ubiegli w dotarciu do Grobu Świętego. Każdy udaje, że się niczego a niczego nie spodziewa...

Lecz skryta myśl dodaje skrzydeł, unosi chyżej wykrzywione stopy i już grono bezładne nędzarzy dościga szeregów krzyżowców. Lecą ku nim groźby, kamienie i grudy ziemi, wysuwają się drągi, aż spokorniała czereda cofnie się i przy-zostanie, skryje w chmurze pyłu wzniesionej pięćdziesięciu tysiącami stóp.

Bliżej czoła pochodu, tuż za kobietami otaczającymi Piotra Eremitę, zdążają igrcy, jocularos, skoczkoY/ie, pieśniarze, rybałty, goliardy i przeróżna brać wędrowna. Ci, że są zwyczajni bezkresnych, beztroskich wędrowek, nie odczuwają upojenia drogą równie silnie jak reszta, ciężko zazwyczaj osiadła, do miejsca z dziada pradziada przykuta. Cięży im ścisk, tłok, nadmiar ludzi, zgęszczony cuch potu i nieustanna wrzawa głosów. Stokroć milej byłoby wędrować samoczwart albo samopieć, zatrzymując się, gdzie wola.

Lecz skoro trzeba iść w stadzie, idą ofiarując tę niedogodność Panu, szczęśliwi, że pójdą Go bronić. Nie dbają, czy spotka ich za to nagroda. Gdyby się kto ciekawy natarczywie pytał, czego by w zamian za swą wędrowkę pragnęli, odpowiedzieliby pewnie, że nic... może jeno trochę mniej ludzkiej, pogardy, może jeno prawo do pochówka w poświęcanej ziemi. Niechby już zmarłych rybałtów nie rzucano jak ścierwa przy drodze, broniąc na cmentarz dostępu!

Że zaś swobodne te ptaki nie mogą żyć bez pienia i gędźby, układają w pochodzie pieśni o Jeruzalem uciśnionej i Grobie Świętym, który trzeba wyzwolić. Poddaną przez nich nutę podejmują gromko otaczające ich żaki, wesoly kleryk Bartłomiej z Marsylii i co bliższe szeregi krzyżowców. Pieśń huczy, polata nad polem, raduje serca. Pieśń, potężny lewar Boży, kordiał krzepiący zmęczonych. Przez parę dni ta sama pieśń nie schodzi z ust, aż zaćmi ją druga, nowa, a po drugiej — trzecia. Nie ma nikogo, kto by zapisał poprzednie, więc zanikają w nietrwałej pamięci. Dopiero z rycerstwem pociągną iczeni kronikarze, którzy dzieje tej wyprawy potomnym

fiekom przekażą. Czyny i słowa rzeszy gołocij, sunącej jak szara szarańcza skroś Europy Środkowej, ulecą z wiatrem, zaginą wraz z rzeszą. Ulecą podobnie ich pieśni. Niektóre tylko pochwyca mieszkańcy przydrożnych siodeł lub grodów i przechowują śpiewając je przez sto, trzysta lat i więcej.

Gruba Martyna cudownie wyleczona z kolki i pyskata Laurentowa rządzą bezspornie czeredą kobiet uwielbiających Piotra Eremitę. Wszystkie są zażywe, zamaszyste, obdarzone obfitą wymową i takimże kształtem. Wszystkie stanowią nie-urzędową, ale nieodstępną straż przyboczną Bożego Człowieka. Oddają cześć jego cnotom hałaśliwie i gorąco. Strzegą spokoju, gdy śpi, ścielą mu miękkie posłanie, znoszą najsmaczniejsze kąski. Puszczzone poprzek szeregów, opowiadają niestrudzenie o nowych cudach i nowych znakach potwierdzających codziennie świętość wybranego wodza. Wbijają to w głowę każdemu, kto by jeszcze ośmielił się wątpić. Zarazem znoszą Piotrowi nowiny i plotki, starannie omijając, co by go mogło zasmucić. W ich opowiadaniu wszystko w szeregach dzieje się dobrze, dobrze, najlepiej, a ludzie dzięki jego, Piotrowemu, przewodnictwu przedzierzgnęli się w aniołów.

Kłótlive te białki, o wielkich brzuchach i ciężkich piersiach, patrzą z macierzyńskim, żarłocznym rozrzewnieniem na wątłego chudzielca w przydługiej wytartej opończy. Każda z, nich mogłaby go sobie wziąć na ramię, zarzucić na plecy lub nosić w podołku. Ta niewątpliwa przewaga cielesna wzrusza kłębiaste kumoszki.

Otoczony tym orszakiem, poprzedzony krzyżem, Piotr Eremita jedzie na swej burej mulicy, niedokładnie jeszcze z zimy wyleniałej. Rad jest z tej babskiej opieki, z tego uwielbienia. Kadzidło ma słodką woń, odurzającą każdą ludzką głowę. Piotr poi się tą słodyczą. W glorii własnej skromności i ubóstwa, w coraz silniejszym przekonaniu posłannictwa, wiedzie lud ku Ziemi Świętej. O to, co będzie, gdy spyży nie stanie, troszczy się równie mało, jak tłumy idące za nim. Jeżeli czasem podobna troska zaświeci mu w głowie, odgania ją jako grzech. Grzech nieufności w moc Bożą.. Bóg chciał widomie, aby wyruszyli. Bóg ich nakarmi po drodze. Nie ma się czego obawiać.

I ta pewność bezpieczna nie opuszcza go, gdy żywności jest już tylko na tydzień... Na dwa dni... Na dzień...

Zapasów już nie ma wcale. Co mądry biskup przygotował na v'lka miesięcy, zećpali w parę tygodni. Nie ma nic. A manna

nie pada.

Manna nie pada, lecz ciągną krajem dobrze uprawnym, za-obnym. Z przedziwną jednomyślnością tłum krzyżowy osądza, . tutejsi mieszkańcy winni oddać wszystko, co posiadają, by •wyżywić tych, którzy idą w obronie Chrystusa.

Gdyby Bóg chciał inaczej, zesłałby cudownie pożywienie. Skoro tego nie uczynił, jasne jest, że krzyżowcy

postępują zgodnie z Jego wolą, zabierając po drodze bydło i trzodę, ostatnie zeszłoroczne zapasy zboża, oliwę, wino i pieniądze. Jeśli wywłaszczeni nie chcą oddać dobrowolnie, tym gorzej dla nich. Święty gniew rozpala tłum, a tłum rozgniewany jest straszny. Uznani za niegodziwych sobków i wrogów Chrystusa, oporni oddają gardło wraz z mieniem.

Więc stugębna wieść leci przed nawałą, oblatuje kraj, napelnia przerażeniem i grozą. Ludzie mieszkający wzdłuż brzegów Mozeli, aż po daleki Ren, martwieją od tej nowiny. Wieść o klęsce, sroższej niżli blada dziewa moru, dociera do grodów nadrzecznych, w zbyt obszernych i wspaniałych murach rzymskich nędznie bytujących, do kaszteli, gdzie z pośpiechem ściągają zapasy żywności i podnoszą mosty zwodzone nie spuszczać ich nikomu, do wsi i siół, skąd ludność pośpiesznie ucieka w lasy i góry, chaszczce i skryte wąwozy. Uginając się pod ciężkimi tłumokami, zawodząc, pędząc chudobę w zarośla i kamieniołomy, uciekający zapytują się wzajemnie, cóż to za straszliwy wróg? Nie baron pokłócony z miejscowym baronem, nie biegusy włóczęgi, ni chęsa zbójcka. Więc kto?... Starsi wspominają, co słyszeli od swoich dawno zmarłych dziadów o złych Hunach, pustoszących kiedyś, kiedyś chrześcijańskie dziedziny... Widno te czasy wróciły... Panie, miej nas w swej opiece!...

Zarazem pośród krzyżowców poczynają się rozterki. Pyska dotychczasowy porządek. Szeregi mieszają się. Dotąd, od wyjścia z Clermont, Piotr Eremita szedł naprzód ze swoją gromadą. Ilość ludzi w tej gromadzie jedni obliczają na sto tysięcy, inni na pięćdziesiąt tysięcy. Prawdy dokładnej nikt nie wie. Spisu wszak nie ma. Nie wiedzieć też, czy liczyć dzieci, kaleki, trędowatych, pętających się kupami, czy tylko ludzi zdatnych do walki. Tych jest znacznie, znacznie mniej. Jgólna suma zresztą jest zmienna, gdyż po drodze siła ludzi przyłączyła się do wyprawy, a nierzadko ktoś zniechęcony bo zmęczony zostaje.

W drugiej gromadzie, nadążającej za pierwszą, Gottschalk i von Emich ustalają swoje siły na piętnaście tysięcy. Ciągący za nimi o pół dnia drogi Walter Bez Mienia posiada zra-chowanych i złączonych w rotę dziesięć tysięcy ludzi, ale wyborowych, nie obciążonych babami, dziećmi i wozami.

Dopóki każda gromada posiadała żywność, porządek ten utrzymywał się bez trudu. Co innego teraz, gdy tylko ci, co idą w pierwszych szeregach, są syci. Z bezlitośnie zagarnianego dostatku korzystają tylko sprawniejsi, silniejsi i pierwsi. Ostatnie szeregi zastają nieodmiennie puste domy, puste chlewy i gołe ogrody. Więc rozsypują się szeroką ławą po kraju, rozpryskują na setki drapieżnych oddziałów, wyprzedzających się wzajem, tracą kierunek pustoszą Francję i Niemcy.

Pewnego majowego dnia trzymający swoich w kupie Gottschalk i von Emich uderzają jak taranem w sam środek sił Piętrowych. Nie bacząc na opór i wrzaski, przechodzą po brzuchach gromady, przewracają wstrzymującego ich Piotra, wybijają się na czoło i szybkim pochodem odsądają się o dobry dzień drogi. Głośno oświadczają, że nie myślą iść w ogonie i zjadać ostatki. Pierwsi wejść wszędzie. Do bogatych nadreńskich miast, w całym świecie głośnych. Do Kolonii i Moguncji...

Sponiewierany, zgnębiony Piotr Eremita siedzi na ziemi zasłaniając uszy dłońmi, aby nie słyszeć lamentu poturbowanych. Gruba Martyna ociera mu współczująco zawałaną twarz rańtuchem.

Dymiące gruzy getta grodu Spiru zostały w tyle za Gottschalkową gromadą. W nich kilkanaście trupów porzniętych jak barany na stopniach bożnicy i nagie zwłoki dziewczyny, co sama pchnęła się nożem, gdy gwałtem chciano ją ochrzcić. Od tej krwi, świeżo przelanej, ludziom drżą drapieżnie nozdrza. Von Emich na pięknym żrebcu, zabranym bez zgody właściciela z niedalekiego kasztelu, stoi na pagórku, wołając gromko do swoich:

— ...Bóg nam wskazuje drogę, którą kroczyć mamy... Słuchajcie, bracia! Słuchajcie, woje Chrystusowi! Zali nie słysz--na, byśmy, zanim pójdziemy wyzwalać Grób Święty, ukarali obrzydliwców, za których sprawą Chrystusa Pana naszego do Grobu złożono? Idziemy na Saracenów, lecz cóż Saraceny? Pogany plugawe, przeca nie takie jak Żydy! Nie one ukrzyżowały Zbawiciela! Nie one Go umęczyły! Gdy my w gorzkim utrapieniu, znoju, niedostatku wędrujemy, oddając nasze mizerne żywoty, te łotry, zabójcy Słodkiego Pana naszego, chodzą po świecie swobodnie, bogacąc się naszą krwawicą! Za drogie pieniądze sprzedają nam miecz i zbroje! Zali tak się godzi? Zali tak ma być? Biada Żydom! Bóg tak chce!

— Bóg tak chce! — ryczy gromada.

— ...Idziemy w znoju i trudzie, sami głodując i ostatni nieraz kęs chleba zabierając braciom chrześcijanom, a Żydowiny przekłete siedzą na worach ze złotem! Możeż to być wołą Bożą!? Nie słusznaż, byśmy skarby im zabrali obracając je na wyżywienie w pochodzie?!

— Słuszna! Słuszna! Bóg tak chce!...

— Widzieliście dziewczkę paskudną, co wołała żywota się zbawić niżli święty chrzest otrzymać... Jakoż nie karać śmiercią tak przekłętą uporu!? Nie pomścić takiej zniewagi wyrządzonej Panu?!

— Słuszna! Słuszna! Biada Żydom!

Gottschalk potakująco kiwa wielką głową, z podziwem patrząc na przemawiającego. Jak on wszystko potrafi wyłożyć! Gottschalk, tępy rudy olbrzym, zna jedną umiejętność: bić i grabić. Do chytrności jest niezdolny, nie dlatego, by się brzydził wybiegiem, lecz że żadnego wybiegu nie zdoła wymyślić. Rozumu ma tyle, co sarna

ogona. Toteż słucha bez zastrzeżeń wszystkiego, co von Emich radzi.

Temu obłudzie nie sprawia trudności. Umysłowość jego, młodszego syna zapisanego w obiady, którego ze zniechęconego klasztoru zbiegł wyrostkiem, chuderlawca, surowymi postaciami klasztornymi wstrzymanego w młodzieńczym rozwoju, umysłowość von Emicha jest ciemna, wykrętna i wroga wszystkiemu, co żyje. Świat obszedł się z nim okrutnie, przeto nienawidzi świata. Rad by się zemścić na nim za swoją straconą młodość, za to, że został wyrzutkiem, klasztornym zbiegiem bezdomnym, że w cudzych krajach udaje rycerza, w rzeczywistości równie jak Gottschalk nie będąc nigdy pasowanym. Jak Raul de Beaugency zaprzedałby dla tej zemsty duszę diabłu, gdyby nie to, że w diabła nie wierzy. W Boga również. I właściwie nie pragnie nic prócz pieniędzy. Dużo, uzo złota. Gdy wszyscy urodzeni marzą nad wszystko o sła-^{le}t on nie dba zgoła o sławę. Lata przymusowej pokory obla-^cJr życie w ciągłym fałszu i kłamstwie, zabiły w nim god-

ność, męstwo i szlachetne pragnienie wielkości. Czuje się gadem i zostanie gadem. Złoto uważa za jedyne dobro, o które warto się trudzić.

Nie kosztuje go nic również udawać przed swą gromadą gorliwego chrześcijanina. Pozornie trzymaną w tajemnicy, rozpuszcza wszędzie wiadomość, że w Clermont anioł naznaczył go cudownie krzyżem. Na ramieniu pod szatą nosi rzekomo czerwone, jakby wypalone piętno, lecz nie wolno go ukazywać nikomu.

Z Gottschalkiem tworzą doskonałą parę. Nie łączy ich przyjaźń. O, nie. Nie ma między nimi miejsca na żdźbło zaufania. Lecz Gottschalk ma bary potężne, siłę niedźwiedzia lub tura i prostacką, bezmyślną odwagę. Gotów jest trykać łbem w skałę, jeśli von Emich powie, że tak trzeba. Uzupełniają się wzajem. Ze ściślej wspólnoty poczynają czerpią obaj dość korzyści, by zostać nierozdzielni. Trzeci towarzysz, Otto Yolkmarr, którego zimną przyłączył się do nich, stanowi razem z kaprawym serwiensem Joannem tajne ucho przywódców, donosząc im wszystko, cokolwiek się mówi lub dzieje w idących za nimi szeregach.

Lecz w danej chwili von Emich nie potrzebuje swoich zauszników, by poznać, że słowa padają na dobry grunt, wzbudzając stokrotny oddźwięk. Ani w Clermont po przemówieniu papieża okrzyk „Bóg tak chce!” nie brzmiał zapalniej niż teraz. W otaczającym go tłumie ktoś by nie przyklasnął wezwaniu do Orężnej rozprawy z Żydami? Pobożni ucziwcy nienawidzą ich za Mękę Chrystusa, ogół za bogactwo, za ściąganie wysokich odsetek, za trzymanie dłużników w niewoli. W całym społeczeństwie nie masz nikogo, kto by ich lubił, a w razie potrzeby bronił. Którzy ich potrzebują, najgłośniej powstają przeciw nim. Ponure, straszne historie krążą

czarnym mrowiu zamkniętym w każdym grodzie za bramami getta. Ze bałwochwalczo czczą złotego cielca jak niegdyś pod Górą Synaj, że co sobota piją chrześcijańską krew, zatruwają studnie w grodzie, rzucając w nie psią padlinę, że kradną trupy z żalnika dla obmierzłych czarów, że chwytają mordują chrześcijańskie niewinne dzieciątka. W to wszystko lud wierzy święcie i stąd nawet trędowaci są łacniej cierpieni niż Żydzi,

Więc też w kilkunastotysięcznym tłumie, zebranych wokół Gottschalka i von Emicha, nie masz nikogo, co by na wezwanie nie odpowiedział twierdząco.

Na Żydów! Hejże na Żydów! Pomścić śmierć Chrystusa Pana! Zaopatrzyć się w denary! Bóg tak chce! Bóg tak chce!

Na Żydów!

Gdy z tym okrzykiem przeciągają krajem, przyłącza się do

Ren, do bogatych miast! Biada Żydom!

Biada Żydom!

Rozdział piętnasty NIEGODNE LUDZKOŚCI DZIEJE

Bogaty kupiec moguncki Dawid Kalonymos pędzi gościńcem smagając konia batogiem. Dłoń wije młyńca w bezwiednej, nieustannej chłości. Nogi bodą ostrogami skrwawione boki wierzchowca. Ostatkiem siły pędzi oszalały z bólu koń, ostatkiem świadomości myśli oszalały z bólu jeździec. Zmieniając codziennie konie, pędzi tak już trzeci dzień. To powrót. W tamtę stronę jechał dni sześć. Z prośbą do cesarza o obronę dla swojej rodziny. Przez pamięć owego zdarzenia na morskim pobrzeżu pod Stylo...

Jakże był szalony, głupi! Stracił prawie dziesięć dni! Dziesięć dni! Miasto skorzystać z tego czasu, żeby wywieźć swoich w niedostępne góry czy na morze, sądził, że cesarz coś sprawi... Szloch miesza się z łkaniem, gdy Kalonymos te złudzenia wspomni. Odrzekł mu cesarz: „A cóż ja na-to poradzę...?” Iście, cóż by mógł poradzić bezsilny, wyklęty człowiek, opuszczony przez wszystkich, zgorzkniały i zniechęcony? Cóż by mógł poradzić przeciw klęsce, co pustoszyła dziedziny?

Dziesięć dni! Dziesięć dni! Czy nie przybędzie za późno? Czy zdąży jeszcze ocalić, a bodaj zginąć wraz z nimi? Po drodze w las napotyka zbiegów. Wszyscy mają obłęd w oczach. Niepodobni są do ludzi. Od ich opowieści

przestaje krew krążyć w żyłach. W Wormacji wyrżnięto przeszło tysiąc ludzi! Nie ostawiono nikogo. Powszechnie czczony Izaak ben Dawid ocalał sam tylko z rodziną, bo nad życie ją miłując pozwolił się ochrzcić, by na zgon dzieci nie patrzeć. Ale teźże samej nocy, targany rozpaczą i wyrzutami sumienia, wyrżnął sam swoich najdroższych, dla których stał się odstępca, podpalił dom i zginął w płomieniach. Zbiegowie o twarzach upiórów opowiadają udręczonemu jeźdźcowi o rzezi w Kolonii i mordach w Koblencji... Nie ostał nikt przy życiu w Neuss i Trewirze, w Wewelinghofen, w nieszczęsnym Eller i Xanten... Rozproszone oddziały krzyżowców mordują równocześnie w dziesięciu i więcej grodach. Jęk,

lament, groza lecą bijąc w niebo. Od wygnania z Palestyny lud *Izraela* nie zaznał takiej niedoli... Imiona panów Gottschalka i Emicha krzyczą do Boga o pomstę i karę...

— Gottschalk i Emich... Gottschalk i Emich... —.powtarza

Kalonymos. Skąd mu się zda te imiona znać?...

O... o... skowyczy w. naglej trwodze. Już sobie przypomniał. Już wie. I wie, że dla jego dzieci i wnucząt nie ma ratunku. Obaj rycerze szatańscy nie zahaczyli, nie zahaczyli na pewno odmowy otrzymanej w Clermont! j "gdy zda mu się, że słyszy krzyk trwogi śmiertelnej wyrwany grozą z maleńkich, słodkich usteczek, gdy wyobrazi sobie oczy dzieci rozszerzone przerażeniem i ich przedzgonną mękę i cierpienie — wiruje w głowie obolały mózg. Kołują myśli. Kusi szatan, by dalej nie jechać. Po prostu rzucić się w rzekę i już o niczym nie wiedzieć...

Pada koń o parę stajañ od bram rodzinnej Moguncji.

Lepiej byś i ty, wędrowcze, upadł jak twój koń, nie wchodził w bramy rodzinnego getta. Wywarta ich próżnia, swąd spalenizny i dym, zaduch rozkładających się szybko w upalnym letnim słońcu ciał, czyż nie mówią same za siebie? Siądź pod wyważoną broną, nakryj głowę połą płaszczka i płacz jak Jeremiasz, rozpaczaj jak Hiob, bo nie masz już po co iść dalej...

W kałuży zakrzepłej krwi, nad którą brzęczy rój much, nie rozpoznasz, która krew ściekła z żył najdroższych ci istot na świecie. W zwęglonym rumowisku nie odnajdziesz swego domu, a biada ci, po stokroć biada, jeśli wśród potwornie zniekształconych ciał rozpoznasz znajome rysy...

...Nie wchodzi do środka, wędrowcze...

Ale Kalonymos wchodzi. I szuka. W przeraźliwej ciszy miejsca nawiedzonego śmiertelnie, szuka, by przy swoich skonać. Przeszępuje kupy trupów. Rozpoznaje twarze. Oto z ustami zastygłymi w krzyku uczony rabbi Jonatan; oto zawzięty Sy-meon, żywo widocznie palony, a dalej trupy niewiast i dzieci, dzieci...

Nie. Tu już siły zawodzą. Kalonymos nie podejździe do żalosnych trupków patrzeć, czy szczątek jedwabistych włosów na okrwawionym czerepie nie należał do małej Rebeki o ciemnych oczach gazeli. Siada bezmyślnie na ziemi, patrząc, jak opodal parę psów rozdziera trupa.

...Och, umrzeć, .umrzeć co prędzej!...

W ostatecznej rozpacz, gorszej od konania, drżącymi dłońmi wyciągając ze skórzanej pochwy nóż, Dawid Kalonymos woła w górę nieswoim, przeraźliwym głosem:

—• ...*Eli, Eli, lamma sabachtani!!...*

I jak gdyby w tych słowach przeświętych, w męce śmiertelnej wyrzeczonych przez nie znanego Kalonymosowi Boga, tkwiła moc zaklęcia —• w gruzach coś się rusza, wstaje... Nie pies obzarty padliną — człowiek. Nie człowiek — widmo. Na pół nagi, okrwawiony, z wyrazem obłąkania na twarzy.

— Ktoś jest? — pyta Kalonymos.

— Samuel, syn ben Samuela...

— Znałem cię...

— Poznaję was, rabbi Dawidzie... Po co tutaj wróciliście?...

— Zemrzeć przy swoich.

— Waszych, z kopą innych, arcybiskup skrył w swoim zamku...

Podrywają się z ziemi odrętwiałe nogi. Dłoń puszcza nóż.

— W zamku...?! Skrył...?!

— Tak, ale już ich tam przeklętnicy dobywają... Pewno dobyli... Nie ostanie nikt żyw z Izraela... nikt... nikt...

Kalonymos nie słucha. Biegnie. Skacze przez trupy i zgłiszcza, jakby wstał przed chwilą wypoczęty z łoża. Pędzi, wiele sił w nogach, ku przeciwnej stronie miasta, gdzie odosobnione na wzgórzu, poza murami grodzkimi, sterczy zamczysko biskupie. Ludzi wszędzie pełno. Każdy może Kalony-mosa poznać i ubić jak tamtych. Ale on o tym nie myśli. Przedziera się poprzez tłumy, nie bardzo nawet się kryjąc. Zresztą nikt na niego nie zwraca uwagi. Krzyżowcy są skupieni wokół zamku, a ludność miejscowa już otrzęźwiała. Dość ma mordów, dość rabunku. Wróciła rozważa, a z nią uzasadniony niepokój. Straszni ludzie, co przybyli Bóg wie skąd, wyrżnęli Żydów, a teraz dobywają zamku

świętobliwego biskupa. Gdy go zdobędą, czy nie przyjdzie im ochota wziąć gród? Oj, kto wie? Czy nie zlakomią się nań te obce, krwawe gromady?

Więc na zwoływania Gottschalkowych, by znosić faszynę, drabiny, wiązać je i sięgać murów — wszyscy pozostają głusi. Przeciwnie, chyłkiem sposobią się sami do obrony. Straż grodzka staje na murach. W strażniczych izbach już się grzeje w kotłach woda, a bramy każdej chwili mogą być na moc zawrzyte.

Kalonymos bez przeszkody dobija się blisko zamku. Prawie że w pierwsze szeregi. Samotne drzewo stoi na wygonie. Choć

w pobliżu murów nie powinno się cierpieć drzew, biskup kazał je zostawić, by pastuchy miały się gdzie kryć przed deszczem. Kalonymos drapie się na wielki, rozwidlony pień. Stamtąd będzie wszystko widział. Równie mądrych było więcej. Na drzewie już siedzi kilkunastu ludzi. On z nimi. I patrzą, patrzą...

Zamku niełatwo jest dobyć. Budował go przed stu laty arcybiskup Willigis, ten sam, co wznosił sławną mogunczką katedrę. Mury surowe, kamienne spadają nisko w głąb rowu, gdzie zapleśniała woda chlupie w cembrowinie. Brama warowna, wąska, przebita skroś wieży, zębatą ciężką broną zagrodzona. Brony teraz nie widać, zasłania ją most zwodzony, podniesiony w górę jak koń, który staje dęba. Kamienny przyczółek zieje w próżnię nad głęboką, czarną wodą. Podniesiony most ukazuje spod szerniałych od wilgoci bali zardzewiałe głowice gwoźdźców i zwieszające się wąsy przyciągniętego łańcucha.

Lecz. pobok bramy właściwej ciemnieje furka wąska jak ramiona jednego człowieka. Wydaje się stąd szparą. Od furty rzucona jest kładka z jednego grubego śniatu. Po tej kładce chronili się do zamku ci, co zdołali zbiec z żydowskiej dzielnicy, ale biskupia nieliczna załoga nie zdołała już jej wciągnąć. Gottschalkowi przychwycili belkę i przytrzymali. Gdy ją biskupowi próbowali zrąbać, obsypano ich strzałami. Cofnęli się poza furtę.

Teraz na kładce, łokieć wąskiej, stoi człowiek. Arcybiskup Moguncji Gereon. Samojeden. Za nim zatrzaśnięta furta, pod nim głębia zgniłej wody, przed nim rozżarty mordem i rabunkiem tłum. Pozłocista dalmatyka okrywa postać starego biskupa. Bo wiekowy jest, bardzo wiekowy. Siwe włosy kudła się wokół pomarszczonej twarzy. W suchej ręce kij pasterski. Oczy bystre, nieulekłe. Jeden z rzeszy biskupów, co utwierdzili moc i powszechność świętego Kościoła, nakazali dlań szacunek po całym świecie, co wyniszczyli siebie, tępiąc własne ciało, by tym łacniej, tym skuteczniej mógł duchem ich rządzić Chrystus. Stoi na wąskiej belce samotny.

Wydadz nam Żydów! Bóg tak chce! — ryczą doń zewsząd, 'cz nikt nie śmie stąpnąć na kładkę.

...Wydadz nam Żydów! Hańba ochraniać wrogów Chrystusa!...

Hańba wam, mordercy. Pókim żyw, nie dostaniecie tych

ludzi... Dość zbrodni wzięliście na się... Odejdźcie! Do kościoła żebrać odpuszczenia!...

— Wydadz ich, wydaj. Albo sam zginiesz; wraz z nimi!...

— Wydadzcie wy mi raczej waszych przywódców, zbrodniarzy, co was do zabójstw popchnęli! Kłątwa spadnie na ich głowy! Na potępienie was wiodą!

I złocistą pasterską krzywulą wskazując wprost w Gottschalka i von Emicha, woła gromko, aż echo odpowiada z cembrowiny:

— ...Biada wam, łotry, którzyście lud Boży zmienili w synów diabelskich! Przeklinam was, niegodziwcy! Przeklinam was śpiących, wstających, chodzących, żywych i konających! Przeklinam wasze dusze. Niech po śmierci nie znajdą spokoju! Niech Bóg zapomni dla was o swym miłosierdziu! Luz czyni się koło obu towarzyszy, bo ludzi zdejmuje lęk. Zawieszony nad czarną wodą starzec w pozłocistej dalmatyce wstrząsnął ich ludzkim sumieniem. Milkną i oglądają się za siebie.

Von Emich widzi, że nie ma chwili do stracenia.

— ...Ejże! — woła drwiąco — długoż będziemy słuchać tego dziada? Nie strącimyż go z tej kładki? Niech do żab głosi kazanie!

— Bóg jest ze mną!... Nie strącicie!

— Nie wiercie mu! — krzyczy Emich, — Skoro obmierzłych Żydowinów broni, sam widać z szatanem wzmowie! Kto przyjaciółstwo trzyma z wrogami Chrystusa, musi być Chrystusa wrogiem!

— Największą zniewagą dla Chrystusa jest Jego Imię w twoich ustach!

Von Emich obracając się do tłumy, woła:

— Krzyżowcy! Dobrzy chrześcijanie! Komuż uwierzycie?! Obrońcy Żydów czy mnie, obrońcy

Chrystusa?! Mnie anioł Boży nazaczył krzyżem w Clermont! Noszę to święte znamię na lewym ramieniu...

— Diabeł nazaczył cię jeszcze w kołysce piętnem Judaszowym, „a anioł stoi widomie poza mną, broniąc ci wstępu do furty!

...Anioł za starcem... widomie?... Wszyscy wypatrują oczy. Jest czy nie jest?... Jasno oświetlony mur', szara plama;•odrzwi, słońce drży na starych okuciach...; Nie. widać nic... . : / •

W chwilowej ciszy napięcia rozlega się ludzki przeraźliwy krzyk:

.. : -

— Elohim Rafael!: Widzę!!!...:

Ciężko-miękki łoskot upadającego ciała. To Dawid Kalony-jjios spadł z drzewa porażony potęgą widzenia. Tak, on ujrzał najwyraźniej, tuż za plecami biskupa, olbrzymiego młodziana w zbroicy... Rafael...

Najpotężniejszy z Bożych sług, duchów wieczystych... Ten sam, który młodego Tobiasza poraził... Głowa w chmurach... Lice na wejrzenie jako błyskawica... Ciało jak kamień drogocenny tarsys, stopy skroś wody tkwią w głębinie ziemi... Skrzydła sięgają wschodu i zachodu... Oczy straszliwe, bez dna, patrzące wprost na 'Kalonymosa... ..Stoi na straży kasztelu, który nie będzie zdobyty... ..I ta błogosławiona świadomość jest ostatnią ziemską świadomością Kalonymosowego, zdrączonego serca...

Upadek Żyda i zgon nie wywołują żadnego wrażenia, lecz jego okrzyk powtarzają tłumy. I wszyscy już widzą, widzą doskonale archanioła Rafaela stojącego poza starcem.

Niewypowiedziana wściekłość ogarnia Emicha. Mniejsza o te pół setki nędznych Żydowinów zamkniętych w kasztelu. Mniejsza o nich! Lecz on nie chce, by stary Gereon zwyciężył! Nie chce! Nie dopuści, by uwierzono, że za nim Ktoś stoi! Nie! Tam nie ma nikogo! Nie ma! Sam pójdzie, strąci starego i otworzy furte!

Wstępuje na kładkę, lecz Gottschalk wstrzymuje go przerażony. Naokół nich dwóch coraz szersza przestrzeń pusta. Prostacką duszę rudego olbrzyma ogarnia nie znany dotychczas lęk. Chciałby stąd odejść co prędzej. Nie puszcza towarzysza. Szamocą się. W szamotaniu się spostrzegają, że nowy jakiś żywioł wstępuje w szranki zdarzenia.

Tętent tysiąca koni rozlega się grzmiotem po błoni. Srebrzyste błyski migocą na drodze. Nieprzejrany las kopij... Barwne ptactwo znaków... Złocista kurzawa, obejmująca pół nieba... Chrząstliwy, stalowy rytm... I potężniejszy nad wszystko okrzyk: „Bóg tak chce!!” — okrzyk już nadużyty, już znienawidzony, który tu jednak brzmi jak wybawienie...

•-.Z pozłocistej kurzawy wyłaniają się przyłbice, schylone konie, łby końskie okryte blachą. Z wraskiem, krzykiem, przerażeniem, rozpierzchają się na boki ludzie Gottschalkowi, a ich przywódcy najpierwsi.

książęta lotaryńscy Godfryd i Baldwin ciągną na świętą

wyprawę, do której gotowali się bez mała rok. W Akwizgra-

grobu wielkiego Karola, zebrali wszystkie drużyny

Z nadmorskiej Boulogne, z Mons, z Metz, Toul i Verdun.

O, czemuż nie przyszli wcześniej?

Z drużynami lotaryńskimi ciągną rycerze niemieccy, prawi, uczciwi rycerze. Tym bledną lica z rozpacz i wstydu. Żądają surowej kary na tłumy zbójckie. Chcą wymordować wszystkich Gottschalkowych. A przynajmniej dziesiątkować! A przynajmniej co trzeciemu obciąć prawą rękę! Słyszac to, nieszczęsna zgraja pada plackiem na ziemię skowycząc z trwogi tak samo, jak skowycieli mordowani przez nich Żydzi. Dumny Walter von Rheinbaben przykazuje choć spod ziemi wynaleźć Gottschalka i von Emicha. Mają być kołem łamani na rynku.

Mają być, ale nie będą. Von Emich zawsze potrafi zbiec w porę. Z istic czarodziejską zręcznością wymknął się i teraz, pociągając za sobą współlnika. Wyplłyną aż kiedyś, kiedyś, gdy uznają, że pora k'temu odpowiednia.

Rycerstwo rozkłada się pod grodem na krótki, dwudniowy postój. Choć konie setnie zdrożone, żal czasu na dłuższy odpoczynek, bo nie wiadomo, co poczynają zbrojne kupy Waltera Bez Mienia i jakie są losy niezliczonej rzeszy, co podążyła z Piotrem Eremitą. Krążą pogłoski, jakoby nad Dunajem Węgrzy mieli ich wszystkich wytracić do nogi...

Godfryd de Bouillon stoi obok arcybiskupa Gereona na murze kamiennym pozostałym z, rzymskiego pomnika Druzusa. Patrzą obaj na zgliszcza zrujnowanych domów, na trupy, które wśród zawodzeń i lamentów zbierają ocaleni w zamku Żydzi. Książę lotaryński wzdycha ciężko w jasną kądziel brody.

...Także wygląda w rzeczywistości wymarzona święta wojna, olbrzymi zamysł papieża Urbana...?!

Rozdział szesnasty

W KTÓRYM OKAZUJE SIĘ, ŻE ŁATWIEJ BYĆ PROROKIEM NIŻLI WODZEM

Gruba Martyna wali we drzwi pięściami, aż dudni. Drzwi są mocne, osadzone na biegunach z łoży, od wewnątrz zasunięte zaworą.

Ochrypła z gniewu i krzyku kobieta woła: - Otwórz, niedołęgo! Otwórz! Ludzie na ciebie czekają!... Nie słysząc odpowiedzi przyciska ucho do szpary we drzwiach, by za chwilę znów buchnąć wołaniem.

A wewnątrz chaty Piotr Eremita dygocze z lęku i rozpaczy. Skulony w kącie owija się w swoją podartą kapotę, naciąga kaptur na oczy, błaga Boga o łaskę, aby już mógł nie żyć. . ,

— Otwórz, chrzępie! Zdechłaku! Śnięta glisto! Ludzie czekają! Nuże! Naucz ich teraz jeść siano i trawę, kiedyś przó-clzi tyle gadał! Jeść chcą! Jeść! Ty ośla głowo! Parszywa wy-włoko!

Takimi słowami przemawia Martyna do Bożego Człowieka, którego tak niedawno jeszcze wielbiła na klęczkach i osłaniała od najdrobniejszej przykrości. Im korniejszą była jej ówczesna czołobitność, tym obelżywszą staje się obecna pogarda.

— Wyłaż zaraz, bo całą chatę rozwalimy! Psi proroku! Diabelski pomociu! Manna miała padać z nieba! Nie pamiętasz! ^Paj jej teraz!

Och, och... o... o... •— szlocha w qłos Piotr za drzwiami.

— Płaczesz, pokrako?! To jedno potrafisz?! Płacz nie pomoże... Jeść daj!

^ Zwalony bezsilnie na polepę Piotr zatyka sobie uszy. Smier-wali d' ^PrzyJ^dź i w^Ybaw! Niech rozwścieczona jędzą wy-nie czu^{ZW}_i meCh go thün rozszar^Pie^r zdepcze, spali, byle już - wiedzieć... Nie widzieć rzeczywistości.

Bo jakże ta rzeczywistość jest okropna i sroga, niepodobna i w niczym do tego, czego od niej oczekiwano! Od chwili rozstania się z Gottschalkiem i von Emichem na wędrujące gromady sypią się klęski za klęską, rozczarowanie za rozczarowaniem. Los smaga biczem wrażliwą dziecienną duszę Piotra Eremitę. Rozwiewa boleśnie jego samouwielbienie, zadufaną wiarę we własne posłannictwo i opiekę Bożą nad nim. Karci go nielitościwie.

...Daj nam jeść!

...Daj nam jeść!

Ten okrzyk, dobywający się z tysięcy ust, prześladuje go od dwu miesięcy, wżera się w mózg, dźwięczy w uszach, doprowadza do obłądu. Wszyscy są teraz przeciw niemu. On winowajcą, on sprawcą wszystkiego złego.

On winien, że Koloman, król węgierski, Włodzisławowej następcą, uczony, ułomny i nieustępliwy, otoczył ciasnym pierścieniem wojska gromady krzyżowców zaraz na samej granicy, że wiódł je aż dotychczas między poczwórnym, niemożliwym do przzerwiania częstokołem włóczni, nie pozwalając nikomu rozchodzić się na boki. Że w tłumach ściśniętych między owymi żywymi parkanami panował głód, że ludzie padali z osłabienia, że dzieci marły z głodu, a matki wyły z rozpaczy na pół obłąkane. To wszystko było winą Piotra. To wszystko nie wzruszało bynajmniej wojów węgierskich. Mieli nakaz od króla przeprowadzić szarańcze ludzką, ciągnącą od Zachodu, poprzez kraj aż do granicy cesarstwa greckiego. Czynili to nie troszcząc się o nic więcej. Darmo zaraz w pierwszych dniach Piotr klękał przed nimi, całował stopy żupana błagając, aby pozwolono im wejść do najbliższego miasta i kupić żywności. Równie dobrze mógł się starać zjednać i uprosić kamień. Obawa przed rozejściem się po kraju łupieżczych tłumów głużyła u panów węgierskich wszelkie ludzkie uczucia. Tym bardziej że pogłos o sprawkach Gottschalka i von Emicha rozszedł się szeroko po świecie, dotarł aż do Budy.

Więc w pasie ziemi, pozostawionym jako szlak dla prze-j pędu ludzkiej, nieszczęśliwej trzody, wrywano trawę aż do korzeni, obgryzano korę z drzew. Wychudłe dziewczęta, nie dbając o wstyd, ofiarowywały się jawnie węgierskim włócz-nikom, by otrzymać od nich kawałek chleba jako nagrodę za wianek. Wszystko było dobre, by oszukać głód, nawet żywica, nawet szyszki z drzew. Lecz że i tego było skąpo, że dalsze gromady znajdowały tylko gołą, spaloną, startą na

proch ziemię, że konali z pragnienia — cóż dziwnego, że jątrzył się w nich straszliwy gniew przeciw prorokowi, co wy--wiódł ich tu na stracenie! Niektórzy wątpili, czy Jeruzalem w ogóle istnieje, czy nie poszli zwabieni oszukańczym, bezpodstawnym wymysłem. Gdyby Jeruzalem istniała, byłiby już doń przecie dawno doszli! Podobne odległości nie mogą zna-chodzić się na świecie. Wyszli wszak z Clermont wiosną, wczesną wiosną... Teraz jest lato, żniwa... Dokąd ich wyprowadził ten odmieniec? Czciłi go jako wysłańca Bożego, a widno został posłany przez czarta na zaturę tylu chrześcijan, co najlepszych!

W pomoc Martynie, dobijającej się daremnie do drzwi, dochodzą inni. Już wrota wywalone. Rozsrożony tłum podnosi z ziemi Piotra, usiłuje postawić na nogi, łaje, popycha, wymyśla. Piotr nie stawia żadnego oporu. Daje się wlec bezwładnie jak szmata. Śmierci! Śmierci! Przyjdź! Niedługo by o nią błagał, gdyby nie ratunek nieoczekiwany w postaci Waltera Bez Mienia.

Olbrzym wychudł przeraźliwie i zdaje się jeszcze wyższy. Ogromny miecz uwiązany u szyi kołysz się jak zawieszony na drągu. Ale głos ma brzmienie wodza.

— Niechajcie to nędzne ścierwo — powiada, trącając pogardliwie nogą leżącego Piotra — i słuchajcie! Do was mówię! Dość już zdychać jak barany. Kto jeszcze mocen utrzymać koi w garści — za mną na Węgrów! Na Węgrów!

— Na Węgrów! — odpowiada z uniesieniem tłum.

— Nie macie nic do stracenia. Ja obejmuję dowództwo. Ja sam. Moje rządy będą twarde. Nie jestem gnidą jak Piotr (znów trącił wzgardliwie nogą załosny, bezwładny kształt). Za najmniejszy nieposłuch pięścią po głowie. Pięści mam mocne... Rozdzielić się. Kaleki, kobiety, dzieci czekają tutaj, aż wrócimy. Jeżeli wrócimy, przyniesiemy chleba. Tego zgniłka nie ruszajcie. Może być jeszcze potrzebny. Odstąpili. Gwar, ruch, bieranina. Nowa nadzieja. O Piotra ^{mi}kt się nie troszczy. Leży, gdzie go porzucono. Nędzne ścierwo, jak powiedział Walter. Słusznie powiedział. Nędzne ścierwo... Śmierci! Śmierci! się już ku zachodowi, gdy ktoś się nad nim

Bracie Piotrze! Bracie Piotrze!

lekH ^{bla t} HiacY^{nt} ^{la}godny przepisywacz cennych ksiąg, zbyt ⁱⁱⁱⁿ ^{W^}nieśmiałyY- by wystąpić w obronie Piotra wobec tłu-^u [^]dnakże szczerze oddany.

- Krzyżowcy t. I/II

— Bracie Piotrze... wstań... Nie przystoi ci leżeć w prochu i gnoju...

— Ostaw mnie, ktokolwiek jesteś... Jedyne, co mi przystoi, owszem, to gnój i proch...

Ostaw biednego grzesznika...

— Nie ostawię... Wstawaj, bracie! Wszyscy odeszli... Walter ze swoimi przedarł się przez Węgrów...

Może wróci i przy-niosą chleba...

Piotr przytomnieje, siada. Odsłania spod kaptura twarz brudną i wymęczoną.

— Przedarł się, powiadasz?

— Ano. Och, bracie, co to była za walka! Chwytał ludzi i ciskał na włócznie. Swoich ludzi... Swoimi ludźmi bił Węgrów jak kamieniami... Aż się rozstąpili... Dopieroż on na tych zwałonych jak na wał, a za nim reszta... Och, bracie... Zdeptali dobrych chrześcijan na miazgę, na krwawą miazgę... I przeszli.. Gród widać nie bardzo daleko... Walter go chciał dobywać... Może dobędą... Może wróci. jutro i będziemy jeść.. Będziemy jeść, bracie Piotrze...

Piotr patrzył na niego uważnie.

— Zrobili krwawą miazgę z dobrych chrześcijan, powiadasz?... Czy sądzisz istotnie, że to byli chrześcijanie? Że Walter jest chrześcijaninem? Że jesteśmy chrześcijanami, ty i ja?..

— *Credo in unum Deum...* — odparł zdumiony brat Hiacynt, żegnając się.

— ...Czy nie sądzisz, że czart mami ciebie, mnie, cały ten tłum, i że wszystko na świecie jest tylko czartowskim omamieniem?...

W oczach i słowach Piotra krył się niewątpliwy obłęd. Brat Hiacynt uciekł przerażony, jak mógł najszybciej, unosząc pył sandałów.

Walter bez Mienia nie wrócił na drugi dzień ani na trzeci. Wrócił dopiero po tygodniu, ale wrócił jak zwycięzca, pędząc przed sobą stado świń i owiec. Oczekujące- go gromady stopniały przez ten czas znacznie, lecz ci, co byli jeszcze żywi, witali go tym radośniej.

Gród, o którym brat Hiacynt wspomniał Piotrowi, był znaczny i warowny, jednakże Walter dobył go bez wielkiego trudu, gdyż mieszkańcy nie byli przygotowani do obrony. Załogę i ludność wyrznął, zapasy zagarnął. Chętnie się, że w walce tej zginęło cztery tysiące Węgrów, gdy on zaledwie stu ludzi postradał.

Zali rzeczywiście tak wielu Węgrów legło — nie wiadomo. W każdym razie drużyny węgierskie nie poczynały już sobie równie śmieje jak przedtem. Następowały na tyły, okręzały wokół, lecz nie przybliżyły się zbyt. Koślawy, uczony król węgierski Koloman, zafrasowany porażką, poczuł, że popełnił błąd, pozostawiając krzyżowców w głodzie zupełnym. Należało utrzymać ich w półżyciu. Cierpliwość ludzka podobnie jak cięciwa łuku ma pewne granice napięcia. Gdy je przekroczyć, pęka i rozrywa tamy. Rozpacz jest straszliwą siłą. Nie trzeba jej lekceważyć. Nie należało doprowadzać do rozpaczycy krzyżowcowej hafastry...

Tak rozmyślał uczony król węgierski posyłając na śmierć trzech żupanów, którzy zbyt ściśle wypełnili jego wolę. Za czym tłumom łacińskim pozostawiono swobodę łupienia nielicznych wsi napotykanych po drodze broniąc jedynie wstępu do miast.

Po dwóch jeszcze niedzielach pochodu gromady Piotra Eremity, wiedzione teraz przez Waltera Bez Mienia, żelazną ręką przez niego trzymane, dosięgły grodu Zemlin i granicznej Sawy. Po drugiej stronie skalistego koryta rzeki leżało miasto Białoogród, zaczynały się ziemie serbskie i bułgarskie, podlegające panowaniu basileusa. Uprowadzone o nadciągających krzyżowcach, stały już na przeciwnym brzegu wojska greckie, najemne, złożone z Pieczeniegów i Kumanów. Dowodził nimi najzaufańszy z basileusowych

wodzów Tatikios, wielkorządca zachodnich ziem cesarstwa greckiego.

Na trzech wielkich promach naprędce zbitych z drzew przeprawiali się Latyńcy. Przeprawa trwała sześć dni. Każdą gromadę wysiadającą otaczali łucznicy greccy. Liczyli ilość głów, wskazywali miejsce przeznaczone na obóz, z którego to miejsca nie wolno było nikomu oddalać się bez zezwolenia. Obliczano ilość żywności potrzebną dla danego oddziału i dopiero po załatwieniu tych spraw zezwalano wysiąść z promu następnej gromadzie.

Dziady, kaleki i trędowaci mieli być przeprawieni na samym ostatku, przeto czekali cierpliwie, zbytnio na zwłokę nie

rzekając. Roili się na wybrzeżu jak kupa robactwa, łażąc, orać w rzece łąchy, iskając się lub leżąc na spalonej słoń-trawie. Leżąc patrzyli to w górę na obłoki, to na rzekę rwącą, przepaścistą, bystrą. W miejscu przeprawy nurt był sc[^] spokojny, lecz o kilkanaście stająń niżej marszczył się, pospieszał, pieniał i wpadał z hukiem między zwalone w ko- ały. Wodzili obojętnie oczyma po tych skałach, po ska-

pej roślinności i sterczących uschłych badyłach. Z uciechą rozważali, że co najgorsze zostało już daleko za nimi. Głód, poniewierka, wędrówka przez puszy węgierskie, przez trawy tnące ciało niby nożem.

Nadchodzi chwila, w której obietnice i nadzieje zaczną się urzeczywistniać. Płynąca przed nimi Sa-wa nie jest wprawdzie Jordanem, lecz Jordan musi już być niedaleko. Wszakże cesarstwo greckie stanowi wrota Ziemi Świętej. Cel jest już bliski... już bliski...

Już wszyscy byli po przeciwnej stronie, mężowie, ich żony, dzieci, igrce, mnichy, roby — i zebrani jak gdyby w osobną społeczność nędzarze pojęli, że teraz ich kolej. Zeszli ku wodzie wspomagając się wzajemnie. Przewoźnicy wyskoczyli z promów na brzeg i " rzucili drągi.

— Nie będziemy was wieźć, zarażeni wszarze, przewoźcie się sami, jak umiecie...

Ani się bardzo dziwiąc, ani oburzając, stłoczyli się na deskach. Trędowaci na jednym promie, dziadowska biedota kaleczą na drugim. Który miał zdrowe ręce, jął się drąga. Odbili. Prom okręcał się, spływał, sunął ku przeciwnemu brzegowi. Stoją na nim rzędem łucznicy Pieczeniegowie. Pośród nich Walter. Płynący widzą go górującego nad żołnierzami.

I widzą, jak setnik Pieczeniegów mówi coś do niego. Walter daje głową znak przyzwalający, odwraca się i odchodzi.

Łucznicy rozciągają się długim, nieprzerwanym rzędem.

Napinają cięciwy.

— Po co?

Setnik krzyczy do płynących jakieś słowa, których nie rozumieją.

Ręka daje znak, by zawracali natychmiast, lecz oni również tego nie pojmują. Nawet świst strzał padających w wodę koło promu nie tłumaczy im jeszcze, o co chodzi. Do kogo łucznicy strzelają? Przecież nie do nich! Nie do nich!

I prą się dalej, walcząc z nurtem, jak mogą.

Wtedy na brzeg podjeżdża dwukółka. Żołnierze zawracają konie, strącają je tyłem tuż nad wodę. Z dwukółki wysuwa się rura giętka jak szyja węża, rozszerzona na końcu niby kielich kwiatu. I znów coś krzyczą. Słychać tępy huk. Z kwiatu wylatuje ciemny kłęb, rozjarza się w powietrzu jasnym płomieniem, leci szumiąc i świszcząc, trzęsie grzywą ognia, upada sycząc na wodą przed promem, rozlewa się po niej ciecżą, która płonie. Płonie na wodzie.

To grecki ogień. Broń straszliwa zapewniająca niezwy-

ciężoność Bizantyjczykom, dopóki Saraceny tajemnicy jej nie wykradli.

Grecki ogień!

Ze złowrogim szumem nadlatuje drugi pocisk, przeniósł nieco. Padł za prom. Znów płonie powierzchnia rzeki. Jeśli trzeci będzie celny, tak płonąć zaczną twarze, ciała, odzież... Straszliwy ogień wyżre członki, których -nie zżarł jeszcze trąd...

Z wraskiem przeraźliwym, zrozumiawszy nareszcie, nędzarze zawracają ku węgierskiemu brzegowi. Ale tam szczytnicy stoją już na brzegu murem, potrząsają groźnie oszczepami. Nie wysiadzie na ląd nikt. , Nikt.

Wtedy obłąkani z trwogi, gdy ramiona mdleją, prąd znosi coraz gwałtowniej, nieszczęśnicy poczynają wyć. Modlą się w głos i bluźnią. Ukazują na ramionach szczątki krzyży przypiętych wiosną. Krzyczą, że są

krzyżowcami! Krzyżowcami! Że poszli, bo Bóg tak chciał! Że dla Chrystusa ruszyli! Wzywają Boskiej pomsty i Boskiego miłosierdzia. Skowyczą w lęku przedśmiertnym.

...A woda znosi ich coraz to szybciej...

Z wybrzeża greckiego ich straszliwemu konaniu wtóruje jeden tylko głos. Głos Piotra. Dopiero teraz pojawiający, co się dzieje, Eremita rzuca się na Waltera Bez Mienia. Szarpie za miecz wiszący mu na szyi, jakby olbrzym był dzwonnicy, a on dzwonnikiem bijącym na trwogę. Kaleczy dłonie o ostrze. Żebrze błagalnie litości. Unosi się, grozi.

— Tyś zezwolił, tyś jest winien! Walter odpycha go obojętnie.

— Sam jesteś winien, niedołęgo. Nie trzeba ich było brać. Dość długo to plugastwo wlokło się za nami...

— Ratuj ich! Nie gub!... — szlocha Piotr.

— Ani myślę, A ty chodź. Szlachetny Tatikios chce cię w imieniu basileusa powitać.

Piotr nie chce się ruszyć z miejsca, więc Walter potrząsa go ostro za kołnierz jak szczeniaka, szturcha w zad kolanem i mówi dobitnie:

Jeśli nie chcesz, by ci wszyscy zginęli podobnie, rób natychmiast, co ci każę... Rozumiesz!

^{, ^c na} Poty przytomny Piotr, człowiek Boży, kierownik

^{now} _ idzie potulnie przed Walterem, czując z tyłu jego

wzgardliwe kolano. W oczach wirują czerwone koliska.

uszech krzyk tamtych ginących. W, umyśle przekonanie,

że Walter jest szatanem. Wszyscy obecni znajdują się w kręgu piekielnym. Na samym dnie. On, Piotr, chciał zawieść ludzi do Chrystusa, a zawiódł do piekła. Jak się to stało?! Szatanem jest także szlachetny Tatikios, siedzący na złocistym krześle przed namiotem. Nad nim labarum. Suknia dostojnika mieni się jak muszla perłopławu. Wzrok chłodny i przenikliwy.

Czarująco uprzejmym głosem Tatikios wyraża Piotrowi zadowolenie z poznania tak znakomitego, natchnionego męża. O, jak pięknym dla każdego chrześcijanina jest widok tych tłumów przybyłych na ratunek Grobu Świętego! Jak niezmierną zasługę posiadał wobec Pana ten, który je porwał i Duchem Bożym zapalił!

...To jest szatan... — myśli Piotr — *...princeps mendacii...* On... Jestem w jego mocy... Cały świat jest w jego mocy...

I nie odpowiada nic.

Rozdział siedemnasty ...ZACHÓD ODERWAŁ SIĘ OD SWYCH KORZENI...

Czterema szlakami ciągną ku Ziemi Świętej szlachetni rycerze, co jej zaprzysięgli bronić. Tak jest słuszniej i rozsądniej, ze względu na trudność wyżywienia wielkiej ilości wojsk. Każdy z wodzów obiera sobie inną drogę. Więc Godfryd de Bouillon idzie od Kolonii w górę, ku dolinie Dunaju, tym samym szlakiem, którym trzy miesiące wprzód przeszły niesforne gromady Piotra Pustelnika. Godfryd sprzedał dziedziczne swe księstwa de Bouillon i Lotaryngię biskupom z Leodium i Verdun za sześć tysięcy sześćset funtów srebra i pięć funtów złota. Mieszkańcy grodu Metz wykupili się składając tysiąc funtów srebra i półtora funta złota. Wielkie to bogactwa, toteż wojsko Godfrydowe przedstawia się znakomicie. Dziesięć tysięcy rycerstwa konnego, pięćdziesiąt tysięcy łuczników, szczytników, toporników i czeladzi. Wszystko karne, dobrze uzbrojone, syte. Tabori skąpe, by nie opóźniać pochodu. Żywność kupują po drodze. Kupują uczciwie, bo Godfryd nie znosi gwałtów i ludzkich lamentów. Sam oznacza cenę, którą skarbnik, acz z żalem, wypłaca. Towarzyszą Godfrydowi, prócz brata Baldwina i wiecznie gorzkiej jak piołun Gontrany, przyjaciele, serdeczni druhowie, Konon de Montaignu, Dudon de Contz, Wilfryd d'Esch, Baldwin du Bourg i grabią Hainaux. Większość ich wiezie ze sobą swe żony. Tylko grabią de Hai-naux spotka się ze swoją umiłowaną Idą dopiero w Bizancjum. Urodziła mu zimą^x syna, chorzała długo po słabości, prze[^] to, by się zbytnio nie utrudzić, pojedzie morzem, galerą z uczciwym poczem rycerzy. Kosztowna to droga, bo Genuień--zyki strach wiele biorą za przewóz, ale krótsza i mniej uciążliwa dla niewiasty.

Morzem również popłynął Hugo de Vermandois, rycerz dziel-Y, ale leniwy jak ospała baba. Brat Filip, nie mogąc zaopa-^{tz}Yc go suto w talary, oddał mu własną, królewską, złocistą erę. Oprócz drużyny i giermków towarzyszą Hugonowi rybo" d ^{oger de BarneYi, lle J Wilhel} m ^{de} Melun, zwany Cieślą; jay w gęstwie rąbie wrogów, głowy i ramiona lecą jak

drzazgi pod toporem cieśli. Pan de Melun słynie nie tylko z tej siły, ale i z wiecznego łaknienia.

Trudno uwierzyć, wiele rycerz ten zjada codziennie, zanim poczuje się syt. Za to podjadłszy rzy w bitwie z radości jak koń i śmieje się do krążącej wokół niego śmierci.

Wraz z bratem króla odpływa potężna flota rozbójników morskich, co również przyjęli krzyż.

Prowadzi ich Guynemer de Boulogne, zwany królem piratów, okrutny i genialny, sprawujący srogie

rządy wzdłuż całych wybrzeży francuskich. Ma osiemnaście okrętów. Załoga ich nosi na głowie czerwone lub czarne chusty okalające gęby miedziane, których wyrazu uląkłby się diabeł. Białe zęby błyskają drapieżnie. Złocista królewska galera płynie wśród obszarpanych, czarnożągłych statków pirackich jak łabędź wśród głodnych wilków. Mie-dzianogębe rozbójniki, oparte o burty, patrzą z niedowierzaniem, ze zdumieniem na ten łatwy, ten piękny łup. Zdaje im się nie do wiary, że płyną tak przy niej spokojnie. Ale Guynemer ma posłuch. Guynemer kazał szanować królewską galere. Wygodny rycerz, leżący całe dni na miękkim łożu na pokładzie swego statku, jest jego towarzyszem-krzyżowcem. Wszyscy oni również nie są już chwilowo piratami, ale krzyżowcami. Wolno im grabić tylko Saracenów.

Ciężkie, słodkie grona czernieją już w winnicach francuskich, gdy rusza na święta wyprawę Robert Courte-Heuse, czyli Krótkoudy, otrzymawszy od brata Wilhelma Ryżego, w zamian za zastaw Normandii, dziesięć tysięcy funtów srebra i piętnaście funtów złota. Za te pieniądze (choć połowę ich bez mała rozkradli wnet ulubieńcy) armię wystawił wspaniałą, blisko sześćdziesiąt tysięcy liczącą. Razem z nim jadą: nieodstępny kapelan i doradca Arnuld de Rohes, uczony kronikarz Foucher de Chartres, bracia Guillebaut, królewicz duński Swenon z półtysiącem jasnowłosych, małowównych wojów, i Robert z Flandrii ze swymi ciężkimi Fryzami, niezrównanymi w męstwie i rozwadze. Ciągną z Normandii do Rzymu. Tam przezimują u Grobu świętego Piotra, by wczesną wiosną, z ponownym błogosławieństwem papieskim, ruszyć do kresu podróży. Tak doradził Robertowi przebiegły Arnuld de Rohes. Niech łatwowierny, prostoduszny Godfryd —• mówił — dojdzie pierwszy do Bizancjum, niech nam nasi zaufańcy doniosą, jak się ułożą stosunki pomiędzy nim a Aleksym, wtenczas uwidzimy, jak nam wypada wchodzić w dziedziny basileusa: jako sojusznicy i przyjaciele czy jako zdobywcy... Ciężkie, słodkie, granatowe i złociste grona dojrzewają po winnicach, na poły nagie dziewczyny depczą moszcz w kadziach, a przybrani w kozie skóry chłopcy ciągną na beczce golca zwieńczonego liściem, gdy drużyny Rajmunda z Tuluzy gotują się opuścić ojczyste dziedziny. Jest ich prawie sto tysięcy. Całe rycerstwo z Prowansji, Langwedocji i Tuluzy. Z nimi rycerze węgierscy i rycerze polscy.

Rok z okładem minął, jak ci ostatni wyjechali z domu. Długi, przeraźliwy rok. A czy nie jest on wstępem do dalszych podobnych lat? Kiedyż powrócą do siebie? Hej, któż to może powiedzieć?! Nietęgo czuli się ślącscy rycerze. Ślub to ślub —• i żadnemu z nich ani powstało w umyśle, by się teraz od niego uchylać. Rycerskie słowo nie wiatr. Ale dokuczała srodze tęsknota i nuda. Nie nauczywszy się dotąd kunsztu rozmowy, pozostawali jak dawniej biernymi tylko świadkami hucznego, dworskiego życia. Kwasili się, źli i markotni także o to, że zjadają dobre denary z napisem *Boleslaus justizia*, a nie wiedzieć, kiedy ich zapas odnowią. Żebyż już ruszać jak najprędzej! Nigdy na kijowską czy niemiecką potrzebę nie zbierano się tak długo, a przecież były to nie lada jakie wyprawy.

Do tych trosk dołączało się przykre uczucie pomniejszenia i zgubienia. U siebie byli *primores nobiles*, których wolą działa się wszystko wokoło. Kłoniłi się tylko przed potęgami zaświata, układając swoje życie tak, jak sami chcieli. A teraz cóż znaczą, ziarnka drobne, zmieszane wśród tysiąca ziarn? Nad tymi sprawami zastanawiał się szczególnie często i uparcie Imbram. Ciężyło mu, że nie mógł z nikim, nawet z Jaśkiem Zaworą mówić o nich, a to z winy nieumiejętności dobrania odpowiednich słów. Myśli jego były bogatsze niż twarda i skąpa mowa. Przebywając od roku wśród prowansalskich rycerzy zazdrościł im nieraz łatwości wysłowienia, lekkości, z jaką w czasie zabaw dworskich przerzucali sobie słowa, rymy, wiążąc je na poczekaniu w strofy. Były to dla niego rzeczy niepojęte, niemożliwe. Wstydził się przyznać sam przed sobą, że z rozkoszą ułożyłby ich wzorem pieśniczkę o swojej miłej... Ale jak? Równie łącno można by usiłować związać w równiankę proste krąglaki bukowe.

Lecz wywołana samym tym pragnieniem Ofka stawiała mu J.^{ocza}ch jak żywa. Oczekująca, stęskniona. Obiecywał odjeź-Czając, że wróci po Godach... Czekwała od Godów do Wielkiej-ri^{oCZ} °^ Wielkiejnocy do żniw... Teraz zasię znowu od żniw Godów, od Godów do Wielkiejnocy i wieleż lat jeszcze?...^{at}Y?... Pewno już chodzić zaczyna...

W nagłym porywie tęsknoty uprzytomniał sobie, że gdyby nie własna, zbyt duża drażliwość, byłby mógł pozostać doma. Nikt go w końcu nie przymuszał. Obaj bracia mogli jechać, skoro chcieli, on

ukorzyłby się przed Włodzisławem i ostał. Ostał!... Siedzieliby teraz na dworzyszczu z Ofką, patrząc, jak na polach ozimina rośnie, jak się bór zmierzchem omracza, a na łągach podleśnych wstają topielice białymi smugami mgły. Polowałby na rysia lub tura, wróciwszy z boru legał przed ogniem na ławie pobok starzyka... (Czy tez- żywią jeszcze starzyk, stuletni blisko dziad?)... Ofka przędłaby z dziewczkami śpiewając.. Potem szliby razem do komory... Hej! -

Na myśl, że mogło tak być i że nie żadne czary, jeno własna' jego słabość sprawiły, iż jest inaczej, ogarniało go zdumienie i straszliwy żal. A wraz z nimi niedowierzanie graniczące z lękiem. Więc jakże? Ostałby i nie widział tego dziwnego, straszliwego i ciekawego świata? Nie wiedziałby nic, jak dawniej, o życiu,, które poza. Śląskiem toczy się i huczy? I w tej wątpliwości nie wiedział już sam, czy zlorzeczyć samemu sobie za to, że pojechał, czy przyjąć wyjazd jak nieuchronny zrząd losu, przeciw któremu i wierząc nie warto. To także były sprawy, o których dusznie pragnął pomówić z kimkolwiek ze swoich. Ale z kim? Jasiek Zawora na wszystko, co do niego mówiono, uśmiechał się tylko z jednaką życzliwością i roztargnieniem. Zbylut odwarknąłby szyderczo, po swojemu. Głowacz nie widział potrzeby roztrząsania tego, co było przesądzoną koniecznością, musem. Podobnie uważali Nogodziec i Momot. Oświętowie i Nowiny jedli, spali i narzekali, że nie mają niewiasty. Na tym zbywało wszystkim. W dobrym jadle, w dobrym bycie spędzane beczynnienie wiosna i lato wzbierały w gnatach pragnieniem rozkoszy. Nie było jak jej zadowolić. Niewiast wprowadzie na Rajmundowym dworze nie brakło, nawet chętnych. Wielkie śląskie chłopcy, o oczach modrych jak len i su-miastych wąsach, ruszające się z niezdarną, ale niewątpliwą godnością, podobały się wesołym, czarnookim dworkom. Oni jednak nie uważali za możliwe zwracać na te zaloty uwagi. Nie leżało to w rycerskim obyczaju. Co innego, gdyby nareszcie wyszli w pole! Wtedy sprawa jest jasna. Branki należą do zwycięzców jako godziwa zapłata za znój boju. Nie trzeba wtedy rozważać, czy to niewiasta czyja albo córka. Uczynny i zmyślny giermek potrafi zawsze wynaleźć dla swego pana coś odpowiedniego.

— ...Nikt nie miał takiego węchu do białek jak Chebda.,.

Pamiętasz tę kijowiankę, co mi ją przywiódł... — mówił z ożywieniem Głowacz i urwał z gniewem, jak zwykle, gdy wspominał tego zbiega, oczajduszę, uczciwej śmierci niegodnego Chebdę. Podobnie jak Kocura i resztę biegusów, uważał go za fałszywca, łotra, niewdzięcznika. Kto by się spodziewał, że to taka zmija! Opuścił ich, swoich dobrodziejów!...

Słuchając tych wielokrotnie powtarzanych narzekań Im-bram odczuwał pewne zaciekawienie. Chebda jawił mu się nowym, nieznanym człowiekiem. Niby znało się od dziecka tą łasiczą twarz, dobroduszenie sprytnie oczka i niestrudzoną ruchliwość, a w rzeczywistości nie znało się wcale. Dawny Chebda był cieniem, wiernym cieniem swoich panów. Teraz ten cień żył gdzieś jako samoistny człowiek pośród ogromnej cromady podobnych do niego ludzi.

Na takich rozważaniach, na-takim" zwykłym, pańskim, rycerskim próżnowaniu mijają •dni- przedodjezdne. Najlepsi wasale pana de St. Gilles, d'Armaillac, de la Tour i de Foix ćwiczą za murami drużyny, sprawdzają oręż, gromadzą zapasy, ale sam Rajmund prawie nie opuszcza zamku. Rzadko nawet wyjeżdża na łowy, całe dni przesiadując nieruchomo w rycerskiej sali, w swym wielkim krześle książęcym. Siedzi i duma. Przeżywa po sto razy rychłe rozstanie z ojczyzną... Nie mają woje w zwyczajcu żałować rzeczy już dokonanych i nieodwołalnych, toteż panu de St. Gilles ani w głowie postoi rozsądzać, zali dobrze albo źle uczynił. Nie rozsądza ani nie żałuje... Nie! Na rany Chrystusowe!... Niechaj się spełnia los, niechaj się święci waleczna dola rycerska... Bóg tak chce! Bóg, tak chce!...

Ale myśleć wolno. Wolno obejmować duszą krasę najstodszej dziedziny. Wolno mówić Najwyższemu: patrz, Chryste, oto oddaję Ci wszystko, co mogę, i więcej jeszcze, niż mogę...

Wsparty o rzeźbę wysokiego krzesła odrzuconą w tył głowę, Rajmund słucha godzinami śpiewu igrców. Zawsze lubił mieć koło siebie piewców i gędziarzy, teraz jednak potrzebuje ich bardziej niż kiedykolwiek. Gdy wesołe .dworki Elwiry i jego wasale bawią się, jak zwyczajnie, w turniej miłosny ilbo dobywanie wieży, on każe sobie prawić od dziecka znaną, tysiąc razy wysłuchaną powieść o Rolandzie, co legł w Ronsewalskim wąwozie, o dwunastu szlachetnych wojach rego króla Artura, o zaczarowanym lesie Broceliande lub :>dzieju Merlinie. W każdej powieści bohater odchodzi od

swego kraju, jak gdyby ta sroga cena była warunkiem wielkości. Opowiadają gędźce dzieje prawdziwe, rodowe. Przychodzi syn książęcy prosić pana-ojca: Cny ojczu, daj mi miecz i kilku ludzi,

bym szedł wyrąbać sobie w świecie władztwo... Cny synu, otrzymasz, o co prosisz...

— I ja tak czynię... i ja... — szepce Rajmund sam do siebie. — Wszchemocny Ojczy, Boże, zwól mi zdobyć władztwo, jeno nie dla mnie, dla Twojego Syna...

O zmierzchu, kiedy zejda się wszyscy rycerze i obsiada wielką salę, gdzie na kominie pryska i pali się ogień (wieczory stają się chłodne, szczególnie w wilgotnych murach), inna się wszczyną rozmowa. Jużci, że o wyprawie pochłaniającej wszystkie umysły, jeno nie o tym, co tu zostaje, ale o tym, co się tam ujrzy. Przede wszystkim o Bizancjum! O greckim mocarstwie Cezarów, wywierającym nieprzeparty urok. Krąży o nim wiele sprzecznych opowieści, a prawdy właściwie nikt nie zna. Tyle się wie, co przez kupców syryjskich, wędrujących z towarami po całej Europie, zatrzymujących się szczególnie chętnie w Kijowie, Wrocławiu, Paryżu, Orleanie i Lugdunie. U nich oglądano przedziwne tkaniny (acz nie tak piękne jak te, które nosił stratigos Argyrios, poseł), purpurę z Cezarei, szkło z Sydochu, papirusy egipskie, broń z Damaszku, daktyle, palmy z Jerycho, tajemnicze zasuszone róże, których martwa zwiędłość ożywała w wodzie, jeśli je w niej zanurzyła bezgrzeszna dziewica, klejnoty, misterną sztuką złotniczą dziergane — cenne, ulubione nad wszystko przyprawy: dziwaczną korę cynamonu, gwiaździsty kardamon, badian, pieprz, goździki, alkiernes wszelki smutek rozweselający, imbir i szafran, sandałowe drzewo... Każdy z tych przedmiotów barwnych albo wonnych zawierał w sobie okrucieństwo duszy świata Wschodu. Ujęty w grube dłonie zdrowych, prostych ludzi, owiewał ich obcym duchem, budził niepokój i nieokreślone pragnienie. Teraz, gdy mieli ujrzeć te drogocenne cuda jako pospolitą powszedniość, właściwą krajowi, lekki zamęt ogarniał ich głowy. Samo rozmyślanie o nich pachniało korzeniami, upajało jak słodkie greckie wino, jak uroda kobiet, wspaniałych miłośnic, o których mówił stratigos...

Widząc, że myśli rycerzy schodzą na zbyt niskie tory, biskup Ademar de Monteil, legat papieski, przywódca świętej wyprawy, zabierał głos, by prawić o właściwej mocarstwu greckiemu wytrwałości politycznej i wysokiej wiedzy. Wyliczał ilość soborów szczęśliwie dokonanych i szereg znakomi-

tych świętych. Z rozkoszą opowiadał niewiele rozumiejącym go słuchaczom o świętym Euzebiuszu, największym pisarzu Kościoła, co pierwszy ustalił łączność między datami historii świeckiej a Pismem świętym i osadził mocno Objawienie w rzeczywistości. Z równym zapalem i znanstwem mówił

sztuce, niezrównanej sztuce bizantyjskiej, odrębnej od starorzzymskiej, sztuce chrześcijańskiej. Tam, nad Ramieniem świętego Jerzego *, powstał najdoskonalszy kształt Bożej świątyni. Tam się narodziły bazyliki trójnawowe i pięcionawowe, zamknięte ciesielskim belkowaniem z cedru. Bazyliki kolumnowe, nakryte kolebką beczkowatego sklepienia, szczyt budownictwa: bazylika kopulasta, której wzniosłość prześcignęła

zaćmiła świątynię Salomona, a na koniec Martyria krzyżowe albo ośmiokątne...

Słuchacze wlepili oczy w mówiącego. Niezrozumiałe nazwy wywierały silne wrażenie na ich dziecinne umysły. Biskup zaś milkł i ni stąd, ni zowąd posepniał. Przypomnił sobie bowiem (lecz nie uważał za potrzebne dzielić się tym z otoczeniem), że to samo Bizancjum, siedlisko wiedzy i sztuki, było zarazem gniazdem zepsucia, wymyślnej rozpusty, obłudy i wstręt w dobrym chrześcijańskim wzbudzających występków. Ile chwalebnych soborów, tyleż lub więcej herezji, ilu świętych, tylu co najmniej szkodników Kościoła. Wychwalana przed chwilą przez niego wytrwałość polityczna przeradzała się w fałsz i kręctwo, zwane ogólnie w świecie *graeca lides*.

O tych rzeczach wolał zamilczeć i cisza zalegała salę. Słysząc było tylko trzaskanie ognia i skrzypienie gęsiich piór, cierpliwie przez kanonika Rajmunda d'Aguilers zacinanych.

Kanonik d'Aguilers, kapelan pana Tuluzy, miał ich przed sobą cały stos. Już zastrugane sprawdzał raz jeszcze, odrzucał połowę, wybrane wsuwał w wysuszone trzcinki i tak zabez,-pieczone od złamania wiązał w pęczki. Posiadał już tych pęczków ilość dostateczną, by zapełnić jeden wóz, i grabią Rajmund dowodził, że niebawem gęsi w całej dziedzinie zabraknie, na co kanonik odpowiadał z powagą, że w obcych krajach może gęsi nie być wcale lub o innym upierzeniu, dla szlachetnej sztuki pisania nieprzydatnym. Nie wadzi zatem wziąć ze sobą zapas wystarczający na dobrych parę lat.

Kanonik d'Aguilers z równą starannością przysposabiał ament, czyli inkaust, wygotowany z sepia morskiej, os-

° na ten cel przez rybaków wyławianej i umyślnymi goń-

Owe

*zesna nazwa Bosforu.

cami zwożonej. Gotowy już, gęsty odwar zlewał do pękatych, kamiennych garnków, szczególnie mocnych i szczelnie zamkniętych.

Gdy cisza wywołana przemówieniem Ademara prysła, rozmowa znowu schodziła na drogę. Którędy pójda, wiele też czasu zajmie sama podróż? Rajmund de St. Gilles objaśniał, że pójda wybrzeżem morskim przez krainy słowiańskie i węgierskie, przez dawne dziedziny Hunów i Awarów, przez ziemie bułgarskie i greckie.

— Pono będą tam niebezpieczne i wielce trudne przejścia? — mówił biskup, na co pan Tuluzy odpowiadał z ogniem, że góry srogie są, owszem, lecz nic to, przeciwnie, dobrze, że przed osiągnięciem Ziemi Świętej ścierpią trochę przeciwności. Milej ich Chrystus powita. Tym bardziej że przecież w Bizancjum właściwa droga się kończy. Odległość od pałacu basileusa do Jerozolimy nie jest z pewnością dłuższa niż z Tuluzy do Lugdunu...

— Obawiam się, że znacznie dłuższa... — stwierdzał biskup nie upierając się jednak przy tym zdaniu. Po pierwsze: sam dobrze nie wiedział, po drugie, jeśli daleko, po co ich straszyć zawczasu... Po trzecie: wybór drogi pozostawił poszczególnym baronom. Niech ciągną, którądy im snadniej. Działalność jego jako wodza miała się zacząć dopiero od punktu zbornego naznaczonego w Bizancjum.

Jego osobistym zdaniem, korzystniej było wziąć nieco mniej wojska, a za to przewieźć je morzem. Pewniej — i o tyle szybciej! Żaden jednak z książąt (wyjąwszy Hugona) nie chciał o tym słyszeć. Każdy pragnął mieć ze sobą jak najwięcej ludzi, by zaćmić siłą sąsiada, przy tym oburzającą zdawała się myśl, że znienawidzeni Genuńczycy tyle na nich zarobią. Nie! lepiej po stokroć lądem!

Teraz, zbywszy z pamięci Bizancjum, mówili już wszyscy tylko o drodze. Wzdłuż niej sunąc nawracali do właściwego świętego celu, do Jerozolimy. Starali się wyobrazić sobie, jak wygląda ten uciśniony gród Boży, lecz żadną miarą nie mogli. To jedno wiedzieli, że nie może on być podobny do żadnego z istniejących miast na ziemi. Mury, w których żył i cierpiał Chrystus, szklą się pewnie jak klejnoty, błyszczą jak pawi ogon albo tęcza. Cudowny orzeźwiający zapach drży w powietrzu. Przestrzeń między Bizancjum a Jeruzalem, o której Rajmund mówił, że nie może być większa niż z Tuluzy do Lugdunu, wyobrażali sobie jako wielkie pole rozesłane, sposobne do bitwy. Na tym polu czekają Saraceny, godny

przeciwnik, z którym warto walczyć. Wszakże krążą gadki, że Frankowie i Saraceni pochodzą od Trojańczyków i stąd te dwa narody są najwaleczniejsze na świecie.

Gdy z Prowansji i Langwedocji ruszają świetne drużyny rycerskie, w Italii gromadzi się tysiąc co najprzedniejszych rycerzy i trzydzieści tysięcy pieszych wojów na zawołanie Boemunda, syna Roberta Guiscarda. Nie byle to pan. Ojciec jego był postrachem Greków i Saracenów; by nie rychła śmierć, kto wie, czy nie siedziałby dzisiaj na basileusowym tronie, a požądania syna nie są wcale mniejsze. Jeden to z ludzi, dla których cały świat ciasny. Jest piękny, rosły, zuchwały i przebiegły. Na pozór szczerzy, porywczy, wspaniałomyślny i hojny, w rzeczywistości chciwy, znakomicie opanowany i skryty. Każdy — rzekomo bezpośredni — odruch czy wybuch, jest owocem długiego namysłu. Toteż powiadają, że diabeł uciekł przed nim bojąc się, że będzie oszukany i sprzedany.

Wraz z Boemundem kieruje przygotowaniami ulubiony jego brataniec Tankred, podobny do stryja z twarzy oraz pięknej, urodziwej postaci. Uspodobienie ma ogniste, porywcze, szlachetne i szczerze. Boemund spogląda nań z wyższością nie pozbawioną miłości. W głębi duszy żywi mimowolny podziw dla kryształowej prawości bratańca. Tankred jest jedynym człowiekiem na świecie, któremu Boemund wierzy. Tankred nie kłamie. Jest odważny jak lew.

Normandzko-italskie wojsko obu tych rycerzy zbierało się w słonecznym Benevento i Amalfi. W pierwszych dniach listopada wyruszą z trzech portów: Bari, Brindisi, Otranto — do Durazzo i Yalony. Stamtąd już pieszym pochodem, zbliżonym do szlaku Rajmunda St. Gilles, poprzez skaliste Bałkany i na pół pogańską Bułgarię. ...Sto tysięcy ludzi poszło z Piotrem Eremitą. Piętnaście tysięcy z Gottschalkiem i von Emichem. Dziesięć tysięcy z Walterem Bez Mienia. Sześćdziesiąt tysięcy z Godfrydem de Bouillon. Sto tysięcy z Rajmundem de St. Gilles. Trzydzieści tysięcy z Boemundem i Tankredem. Sześćdziesiąt tysięcy z Robertem Courte-Heuse... Takie liczby zapisali i podali kronikarze uczestnicy wyprawy: Foucher de Chartres, Rajmund d'Aguilers i zatajonego nazwiska rycerz z drużyny Boemunda.

wiadectwo ich potwierdziła uczona Anna Porfirogenetka, Pisująca w czterdzieści lat później dzieje panowania swego

ojca, basileusa Aleksego, oraz mądry Mateusz z Edessy. Potwierdzili historycy arabscy, Kemel-ed-Din, Ibn-al-Atyr, Abul Mechacen, Ibn Giuzi i Abuł Feda. Jakkolwiek zatem zdałoby się to nieprawdopodobnym, uwierzyć trzeba, że tak rzeczywiście było. Że czterysta tysięcy ludzi, stanowiących poważny odsetek ówczesnego zaludnienia Europy, ruszyło przed siebie, w jednym w dziejach świata masowym porywie wiary, ambicji, żądzy władzy i nadziei lepszej doli.

Według słów papieża Urbana II wyrzeczonych do biskupa Ademara de Monteil: Zachód oderwał się od swych korzeni, ażeby runąć na Wschód...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

TOM DRUGI

FIDES GRAECA

Rozdział pierwszy

W KTÓRYM DOBRZY RYCERZE ZWALCZAJĄ NIECZYSTE MOCE

Przerywając co chwila śpiew, by poślinić palce ciągnące nitkę kądzieli, Bułgarka śpiewała jednostajnym, przytłumionym głosem:

...Piętnaście tysięcy jeńców pobrał w pień cesarz Bazyli...

...Piętnastu tysiącom jeńców kazał wyrzeć oczy...

...A co setnemu ostawili jedno oko, żeby dziewięćdziesięciu dziewięciu jeńców do ojczyzny przywiódł...

...Wydarte bystre źrenice rzucili kaci cesarscy na ziemię...

...Źrenice czarne i bławe... Źrenice modre i siwe... zrobił się z nich wielki jak mogiła stos...

...Wiatr powiał, rozsypała się mogiła oczu... Toczyły się źrenice jak krągłe paciory po roli, po trawie, po szerokim wygonie...

...Wrócili ślepy do kniazia Samuela...

...Obaczywszy ślepych wojów, kniaz Samuel wydarł własne swoje oczy i wrzucił je do Dunaju...

...Płyńcie oczy-gwiazdy, sokole, bystre źrenice, płyńcie do chrześcijańskiego cesarza... Nie chcę widzieć krasy świata, kiedy jej moja drużyna nie widzi. Drużyno moja, cóż pocniemy, ślepce?... Siądziem wokoło ogniska i gędzić będziem o minionej naszej sławie... Będziemy gędzić, aż się młodzi skrzepią... Ukują mocne topory... Naostrzą bełty wielu strzał... Pójdą w pole i nas pomszczą...

Rycerze śląscy siedzieli na pryczy słuchając uważnie, ale nic nie rozumieli. Czasami tylko jakieś słowo zapożyczone od Serbów uderzyło ucho znajomym dźwiękiem. W niskiej chacie panował ciężki zaduch, dym z ogniska snuł się po izbie, jrzi w oczy. Postacie przadek, gospodni i jej córki były zaledwie widoczne i żałosna powieść o okrutnym cesarzu Ba--yum, ^{zw}anym Bułgarobójcą, dochodziła jak z zaświata. ^{ie}> z jednego śniatu wycięte drzwi zaskrzypiały prze-

rażliwie, szarpnięte mocno od zewnątrz. Schylając się weszli Imbram, de la Tour i d'Armaillac, przejęci i zadyszani.

Stanęli na środku izby, żegnając się spiesznie raz po raz.

— Co wam? — pytali ze zdumieniem pozostali.

— Widzieliśmy wilkołaka!

— Jezus Maryja! Nie gadajcie!

—• Widzieliśmy jako żywo! Widzieliśmy swoimi oczami!

— Kiedy?! Gdzie?!

— Co ino... Pod lasem... Po tamtej stronie obozu...

— Reta! Reta! Powiadajcie, jak to było?...

— Zaraz, jeno odsapniem... Więc to było tak: już z dawna mówił kanonik d'Aguilers, żeby się strzec, bo tu wilkołaków pełno... „Te Bułgary — prawil — niby są ochrzczone, a w rzeczy samej pogany obmierzle... I czarownictwem się trudnią... Nieraz mi uczone mnichy powiadały, jako tu wilkołactwo się krzewi... Całe wsie pono tym paskudztwem zarażone... Dla ochrony dobrze jest dzięgiel przy sobie mieć i w razie czego do gęby wsadzić, czerwoną krajką szyję owiązać, a kto by miał jakie relikwie, to już najlepszy ratunek...”

...Tak on prawil, a drugie, pytały: Po czym poznać wilkołaka? Pouczał więc kanonik, że taki piekielnik ma znaki czar-towskie nieochybne, a te są: jamka pod pachą albo sierść na brzuchu, albo pazury u nóg...

...Tak my szli stamtąd pogadując o tym, co prawil, i frasując się, że relikwij żaden z nas nie ma, dzięgielu też nie uświadczysz, nawet o czerwoną krajkę trudno i w Boskiej Opatrzności jedyna pociecha. Potem gadali my o pogodzie, że się na jutro wyjaśni, bo mgła ściele się nisko nad ziemią... A przed nami, ale o nas nie wiedząc, szła pani Blanka de Montbeiard, więc gadali my jeszcze sobie, kaj podziiała swoje dworki i że nie uchodzi niewieście dobrego rodu chodzić sa-mojednej... Aż tu jak raz trzask słychać w krzacz przy drodze... De la Tour, bierz oszczep — mówię — bo jakowaś bestia tam szuści, może dzik... Nagotowali my oszczepy wszyscy trzej, radzi, że się zdarzą łowy, aż tu z gęstwiny wychynął — wilkołak!

— Jak wyglądał? Powiadajcie, na Boga!

— W tej pomgle zdał się nam wielki jak krowa... Na tylne łapy się wspiął, pysk rozdziawił, ogień z niego i smród... I do niewiasty!...

— Jezus Maryja! Cóż ona!?

— Stała nieboga w trwodze, my od lęku też ze wszystkim moc stracili... Jeno że jak raz skądś znalazł się rycerz de Beaugency, oszczepem miotnął i niestworowi łapę przetrącił...

— Rycerz de Beaugency zawdy jest blisko Blanki de Montbeliard — zauważył Zbylut z przekąsem.

— Tym razem dziękować Bogu, że był — odparł pogodnie de la Tour. — ...Więc, jak powiadam, lewą przednią łapę pie-kielnikowi przetrącił, że uciekł skowycząc do lasu... Dopieroż my krzyżem ziemię żegnali i prosto przybiegli tutaj...

— Trzeba teraz uważać — pouczał roztropnie Głowacz — czy który z tutejszych ludzi nie ma ręki skaleczonej... Bo to byłby pewnikiem ten sam...

— Na kości świętego Idziego! Tak prawicie?

— Bez ochyby. Opat jeden, wielmi uczony — zwał się Gwido, a rodem był z waszych stron — powiadała mi, jako pewien rycerz, przez wilkołaka napadnięty, odrąbał mu łapę. Niedługo potem jego rodzony wujec, bez ręki przyjeżdża na kasztel. ...Nigdy bym się nie spodział — powiada ten wujec — żeby mnie syn rodzonej siostry okaleczył... I spojrzął jakoś opacznie, a rycerza taki lęk chwycił, że uciekł z komnaty i prosto jak stał w pąc ruszył...

•— Boże, bądź miłościw nam grzesznym! Żebyż już raz wyjść z tych czartowskich pustaci!...

— Myślicie, panie, że u Saracenów będzie lepiej? Tam pewnikiem od sił nieczystych aż rojno...

— Jeruzalem blisko, to demony tracą moc...

— Chyba, że tak...

— Kanonik d'Aguilers mówił, że wilkołaki od wszystkich demonów są gorsze, a tu ich tyła... Uchodźć stąd jak najszybciej!

Obejrżeli się wszyscy wkoło z nieukrywaniem lękiem. Butni, silni i bezwzględni, wobec czarów stawali się trwoźni jak dzieci. A tu chodziło o szczególnie straszne czary! Nieobce były polskim rycerzom jesienne strzygi i upiory, ma-, munny, rożenice, dziady leśne, ubożą, chowańce, południce, rżane baby, wiły, utopce, boginki, odmieńce... Znali wietrzni-ka Stralę i latawca, za którym bije piorun. O wilkołakach jednak, zarówno w Polsce, jak na całym Zachodzie, słyszano tylko jako o rzeczy niezmiernie rzadkiej i niezmiernie groźnej. Żegnali się znakiem krzyża, po raz setny chyba wdychając do końca podróży. Wędrowali już bez mała siedem miesięcy. Wyszli we wrześnie, a teraz była Wielkanoc. Sie-

^m miesięcy, jak darli się przez dzikie góry serbskie, chor-

wackie, bałkańskie, nie wiedząc zgoła, jak wiele jeszcze mają drogi przed sobą. Od samego Triestu zdążyli szlakiem wiodącym tuż nad morzem, popod skałami. Częstokroć zagradzały przejście wielkie głazy narzutowe. Karłowe dęby schodziły w dół aż ku wodzie. Miejscami napotykali ruiny rzymskich miast i rzymskich gościńców. W murach o łukach przedziwnie rozpiętych, w wielkich cyrkach, obliczonych na tłum strojnych widzów, gnieździły się nędzne góralskie osady i pasty chude kozy. Korzenie i trawa rozsadały gościńce, ułożone z wielkich ukośnie żłobkowanych płyt kamiennych. Patrząc na te resztki, tak dobrze sobie znane, rycerze dziwili się ogromowi zamarłej rzymskiej potęgi, ogarniającej niegdyś cały świat. Ale dobroczynny, chociaż zużyty, gościniec skończył się, gdy weszli w odludne góry bałkańskie. Zdały się tak dzikie, jakby w nich nigdy nie powstała ludzka noga; tak obrywiste i groźne, jakby w nich tylko orły mogły polatywać; tak posępne, jakby miały być wrotami piekieł. Wobec ich milczącej grozy, oglądane w pierwszej połowie podróży pieczary Postumii zamieszkałe przez złe jędze, strzępiaste śnieżne szczyty Lelowca, Kamnika lub poświęconego pogańskim bożkom Trzygława — widziały się miejscem bezpiecznej przechadzki. Śnieżne zamiecie szalały nieustannie w wąwozach i na przełęczach. Zdradzieckie lawiny sunęły ze zboczy, gotując białe pochówek, mroźny wicher smagał ręce i oblicza, oblodzona perć umykała spod struchlałej nogi. Co gorsza, góry te tylko na pozór zdawały się bezludne. Zamieszkiwali je dzicy, drapieźni górale niewiadomego szczepu, niezrozumiałej mowy, którzy widząc bezradność, a zarazem bogactwo krzyżowców, czynili zasadzki na drodze, napadali na tyły, szerzyli popłoch w szeregach. Zwinni i śmigli jak kozy, zjawiali się nieoczekiwanie w górze ponad wojskiem, spadali w dół, wyskakiwali zza załomu skał, zarzucając gradem kamieni. Widząc, że ludzie trwożą się i szemrzą, Rajmund, pan Tuluzy, szedł sam pieszo w straży tylnej. D'Armaillac, de Foix, de la Tour i polscy rycerze z nim razem. Biskup Ademar zasię wiódł czoło wojska, głowę na kończącym się węża wielkiej armii.

Bliżej czoła niż środka pochodu, słaniający się z utrudzenia ludzie niosą na zdętwiałych karkach lektyki szlachetnych dam, towarzyszących wyprawie. Jasnowłosa Florina, pieszczona jedynaczka diuka burgundzkiego, płacze, trzęsie się z zimna i strachu, chowa twarz w podolek swojej duegny. I ona należy do zawiedzionych, rozczarowanych. Jakże inaczej wyobrażała sobie krucjatę! Sądziła, że jechać będą wierzchem ze ślicznym królewiczem duńskim strzemię w strzemię, dłoń w dłoń, *przez* nowe nieznanne, ale piękne kraje. Tymczasem królewicza ani śladu, ciągnie pono z Normanami i spotkają się dopiero w Bizancjum. Ona, Florina, jest sama, zziębnięta i tak bardzo przerażona!

Mię mniej stroskany od niej jest uczony kanonik Rajmund d'Aguilers. Więcej niż połowę zapasu gęsich piór grabią kazał cisnąć w przepaść wraz z innymi mniej niezbędnymi iubami, aby ulżyć koniom i ludziom. Rozbito także sporą butlę inkaustu. Na darmo poszło tyle pracy i mozołu! Najpiękniejsze czyny dobrych rycerzy prowanskich mogą przepaść dla potomności, jeśli nie będzie czym ich w kronice utrwalić!

Dumna Elwira nie płacze i nie narzeka. Siedzi w lektyce sina z zimna, lecz obojętna i nieruchoma jak bóstwo. Nie spogląda na boki, udaje, że nie spostrzega przepaści. Niech ci, którzy dźwigają lektykę, troszczą się o to, jak ją cało przenieść.

Wyniosłej tej obojętności nie podzielają oynajmniej ładne dworki, co tak skwapliwie pozwalały rycerzom wyciągać się z twierdzy miłości. Wystraszone, skulone, zmarznięte, to siadają z tyłu na konia któregoś z rycerzy, to wędrują pieszo czepiając się rozpaczliwie jakiej męskiej garści, to popłakują bezradnie, ocierając wierzchem dłoni szcerwienione i odmrożone nosy.

Równie godni pożałowania są paziowie Elwiry. Dotychczas strojni w jedwabie nosili pachnidło, wachlarz, zwierciadełko i chusteczkę pani, nie troszcząc się o nic więcej. Ciężkie na nich obecnie przyszły terminal Mulnicy ostro krzyczą, by się usuwali z drogi. Każdy popycha, nazywa darmozjadami. Pachnidło i wachlarze gdzieś się zagubiły. Szczęście, że pani jakoś nie pyta o nie. Zawiązawszy na szyi długie, do ziemi rozcięte rękawy, przeziębili, skudłaczeni, brną w śniegu, przerażonymi oczami wodząc wokoło.

Blanka de Montbeliard wysiadła z lektyki, w której drży modli się jej matka. Idzie pieszo męskim, śmiałym krokiem. Nie potrzebuje pomocy niczyjej. Raul de Beaugency, który — Jak słusznie zauważył Zbylut — zawsze znajduje się w pobliżu, chętnie by z tą pomocą usłużył, pośpieszył.. Ale Blanka

‘hce. Raduje się tym, że jest wolna. Wolna! Urodziwa

jej twarz chmurnieje i stygnie na widok zbliżającego się mężczyzny. Nie pragnie ich na razie zupełnie. Stroni nawet od swych zacnych stryjów, Szczepana i Pawła Salviac de Viel Castel. Ci dwaj krzyżowcy to bliźniacy, podobni do siebie jak dwie krople wody, a tak się miłują, że zawsze pragną być razem. Tylko dlatego, że Paweł wziął krzyż, Szczepan, strażnik grodzki w Clermont, uczynił to samo, porzucił ważny urząd, żonę i czworo dzieci. Od początku wyprawy jadą obok siebie jak żywy wzajemny sobowtór. Obaj są na wskroś dobrymi ludźmi i chętnie zaopiekowaliby się bratanicą, ale Blanka usuwa się od tej opieki. Rozumie, że zarówno dla niej, jak dla matki, trucicielek, mężo-bójczyń, każdy ma tylko litość albo wstręt. Choć wzięcie krzyża dało odpuszczenie grzechu, ludzie zbrodni nie zapomną. Więc woli być sama, sama, sama! Wolna i sama! Podoba jej się ten srogi świat górski. Jest dziki i niepodległy jak ona. Tak wędrowali najtrudniejszym, najdłuższym szlakiem, jaki można było wymyślić. Iście, chyba dla uzyskania niebieskiej zasługi, trzymano się tej drogi krętej i odległej, wiodącej nieustannie przez najdziksze góry. Od Dyrachium, gdy porzucono brzeg morski skracając ku Ochrydzie i Bitolii, trzeba było przedzierać się przez gniazda górskie, dostępne jeno dla orłów, okrążyć tajemnicze jeziora o niezmierzonej głębinie, spuszczać się w zasypane głazami doliny, borykać z wściekłym wichrem. W tych to górach, w pobliżu jeziora Jenidze, zaszły ich święta Wielkanocne. Napotkawszy nad jeziorem w cieplej, osłoniętej od wichru kotlinie sporą osadę tego samego imienia, grabią St. Gilles zarządził tygodniowy postój, by ludzie i konie mogli nieco wytehnąć. Do Bizancjum należało dojść w pełnksił, nie jak zmęczone wywłoki. Osadę Jenidze założyli swojego czasu zbiegowie, uchodzący przed basileusem Bazylim, zwanym Bułgarobójcą. Niby to chrześcijanie, w rzeczywistości uparcie trwający w pogaństwie, pędzili tu nędzny żywot, nienawidzili Greków i oddawali się czarom.

Siedzący w zadymionej kleci na barłogu z owczych skór rycerze, zapomniawszy o wilkołaku, rozmawiali o czekającej ich dalszej drodze.

—• Biskup powiadał onegdaj, że najgorsze minęliśmy —• objaśniał de la Tour. —• Jeszcze trzeba się będzie tylko przeprawić przez rzekę Strumę, czyli znów promy budować, a nie

wiada, czy drzewo jest blisko... Wszakże za S.trumą, od grodu Seres, droga do Bizancjum równa jak strzelił... Tak tutejsi mówili biskupowi.

_ Od czterech niedziel biskup ciągiem powiada, że najgorsze minęliśmy — zachnął się Głowacz niechętnie.

— Idziem, idziem, a końca utropy nie widać.

_ EJ, może ją wreszcie obaczym... Ciekawość, czy inni już

doszli?

_ Hołota, co poszła z Piotrem, pewnikiem przepadła po drodze. Toć opowiadali Węgrzy... Lotaryńczycy mogą już być w Bizancjum, bo wcześniej ruszyli od nas... I ten wygodny panoczek, morzem pojechał, jakże mu?

— Hugo, królów brat.

— Ano. Ten albo zatonął, albo będzie pierwszy. A Nor-many i Boemund zimują w Italii. Nieprędko się ich doczekamy...

Niskie drzwi skrzybnęły ponownie. Nieśmiało wsunął się do izby gospodarz, ponury, czarnooki brodac. Miał spłaszczoną głowę, spiczaste odstające uszy i niekształtny nos. Stanął pokornie pod ścianą spoglądając spode łba na panów.

— ...Cni się tyli czas bez walki... Jeżeli biskup zechce czekać, aż przyjdą Normany, nie wyjdziemy w pole wcześniej jak na przyszłe lato...

— Saraceny pomrą, a my posiwiejem, nim się ze sobą zmierzymy...

— Ej, dożyć, dożyć tej chwili!...

— Jezus Maryja! Wilkołak! — zawołał nagle Mojmir Sci-borowic zrywając się na równe nogi. Spojrzeli za jego wzrokiem i zdrętwieli. Stojący pokornie pod ścianą gospodarz miał lewą dłoń w przegubie owiniętą zakrwawioną szmatą...

— Święty Idzi, patronie nasz! Ratuj!

— Widzicie, dobrzy rycerze!?

— Lewą mu łapę przetrącił! Lewą mu łapę przetrącił! — przywtarzał de la Tour, dygocąc niby w zimnicy.

Zmilkli, ze wzrastającą grozą i gniewem patrząc na czarownika. Z przerażeniem uprzytomniali sobie, że od trzech dni ^ mieszkali w jego chacie. Bóg jeden wie, jakie nawięzy zdąży} już na nich zarzucić? Mógł im we śnie zadawać dur, ory odbierze moc męską, ośmieszy wojów w oczach nie-iastr, i pomyli prawą rękę z lewą, by znaku Krzyża świętego nie mogli należycie na czole i piersiach położyć... Mógł skoło-^{mr}^^{Shi} zapaść drogę powrotną, mógł zasionąć złą cho-drzenie członków, cuchnięcie z gęby lub wrzody...

Mógi — i to byłoby najstraszniejsze ze wszystkiego —• tchnąć w nich lęk, dobrych rycerzy zmienić w kuroptochów, którzy by zbiegli przed nieprzyjacielem!

Spoglądali na siebie nieomal z rozpaczą. Strach ich obezwładniał, gniew dusił. Dyszeli ciężko z wściekłości, patrząc na chłopca, który stał nieporuszony, jak gdyby nie dorozumie-wał się niczego. W drugim końcu izby prząślica upadła na ziemię z hałasem. Wypuściwszy z ręki wrzeczona kobiety patrzyły z niepokojem poprzez dym ścielący się nisko.

— A może on i nie wilkołak?... — próbował się pocieszać Tarchała. — Cóż, rękę można skaleczyć?

— Ale on ma właśnie lewą, lewą!

— Można lewą, można i prawą... Po drzewo chodził... Może mu w lesie przygniotło?

- Dałby to Bóg!

— ...Dyć... prą... prą... prą... wił kanonik... — bąka Mo-mot — że wił... ko... ko... kołak ma po sobie znaki... ja... ja... mkę pod pachą albo sierść.

— Rozdziewaj się! — wrzeszczą do chłopca. Nie rozumie.

Pokazują gestem.

Nie rusza się.

Spotniały ze strachu Mojmir dżga go mieczem. Wyjąc z bólu chłop zrzuca z siebie kozuch i lniane giezło. Stoi nagi, żółty, owłosiony, z zapadłym brzuchem i wystającymi żebrami. Ani na chwilę nie podnosi głowy.

Wszyscy rycerze, jak ich jest ośmiu, oblatują oczami to chude, szpetne ciało., zda się węższą po nim wzrokiem. Nie ma nic. Żadnych znaków.

— Obróć się! — krzyczą ukazują wymownie ręką, o co chodzi.

Lecz chłop jeszcze silniej przypiera plecami do ściany. Coś bełkocze, po raz pierwszy otworzywszy usta, coś prawi, składa błagalnie ręce. Ale obrócić się nie chce.

Zacisnąwszy z pasji usta Zbylut porywa, głownię z ogniska i rzuca pomiędzy ścianą a golca. Oparzony odskakuje z wraskiem, upada na twarz i wtedy... I wtedy wszyscy widzą...

Widza własnymi oczami, dobrych, chrześcijańskich rycerzy...

Ten człowiek ma •— ogon!

U końca krzyżów wyrasta krótki na palec chrzęp, porośnięty długawym rzadkim włosem...

...Wilkołak!...

Stali nieruchomo, omartwiali grozą. Bali się rąbnąć go mieczem, by czary nie przeszły po ostrzu na rękę. Bali się ruszyć.' Nie mogli oczu oderwać od dziwotwora, od widomej oznaki straszliwego czarnoksiężstwa. Kobiety

przeżalone płakały. Porzucona przez Zbyluta głównia syczała cicho pod ścianą.

Głowacz spojrział w tę stronę i nagle ujrzał ratunek. Pochwycił głównię, rozkołował nad głową, rozzarzył, cisnął w kąt, gdzie leżało drzewo zniesione na opał, porwał z paleniska drugą, rzucił na barłóg i pierwszy skoczył do drzewi.

Zrozumieli pozostali. Stłoczyli się za nim. Z trudem, przepychając się i przeszkadzając sobie wzajemnie, wypadli na dwór. Zatrzasnęli drzwi, podparli je oszczepami na moc, na siłę. Przeżegnali znakiem krzyża. Odetchnęli. Z wnętrza dolatywały rozpaczliwe krzyki.

— Choćby ogień ugasił! — rzekł rozważnie Głowacz — to i tak zdechną, bo z chaty innego wychodu nie ma.

— A czary chyba się nas, krzyżowców, nie imają?

— Po prawdzie tak powinno ono być...

— Nie ugasił — stwierdził z zadowoleniem Zbylut. -Jakoż z chaty dochodził trzask ognia. Krzyki zmieniły się w nieludzki wrzask. Przez szpary w ścianach dobywał się dym.

— Wszystko w po... po... porządku. Możemy iść.

— Spaliliście czarta, ale kto wie, czy te baby były winne? — niepokoił się de la Tour.

— Wielka rzecz: baby! Zresztą, nie frasujcie się. Skoro z czarownikiem żyły, musiały także być wiedźmy...

- Bóg nas uchronił szczęśliwie.

Ruszyli żwawym krokiem, z radością przekonywając się, że mięśnie ich nóg działają silnie i sprawnie jak zawsze. Prostowali plecy, przeciągali ramiona. Nie, nie czuli w sobie żadnych nawięzów. Za nimi ogień wystrzelił jasnym płomieniem przez dach chaty, oświetlił ciemnię wieczoru. Przed idących rycerzy wybiegły ich własne cienie, długie, czarne, mocne. Patrzyli na nie z szacunkiem i zadowoleniem, bo cień jest arcyważną częścią istoty człowieczej. Chwała Bogu, że czarownik nie zdołał ich skraść.

Naprzeciw tętnią spieszne, liczne kroki. Biegnie kilkunastu rycerzy i pachołcy.

- Gore! Gore! Kto żyw, gasić!

— Nie trzeba gasić! Niechajcie ognia! To my spaliliśmy w chacie wilkołaka!

— Nie może być! Wilkołaka?!

— Prawie gadamy. Samiśmy widzieli. Wilkołak isty.

— Ten sam, jenz dziś napastował szlachetną Blankę de Montbeliard — dodaje Głowacz objaśniające.

— Naszą bratanicę?! — wykrzykują obecni wśród przybyłych panowie Paweł i Szczepan de Viel Castel. Są nie tylko nad podziw podobni do siebie, ale i mówią zawdy to samo i jednocześnie.

— Naszą bratanicę?! — powtarzają, podnosząc do góry ze zdumieniem brwi. —• Nic o tym jeszcze nie wiemy! A że jak raz nadchodzi Blanka zwykłym, szybkim krokiem (towarzyszące jej dwie służebne dziewczęta zaledwie mogą nadążyć) — stryjowie zasypują ją pytaniami. Ku ogólnemu zdziwieniu Blanka wypiera się wszystkiego.

— Nie żaden wilkołak to był, ale pies — powiada śmiejąc się. — Pies następnik ze sfory pana de Foix, dużego rostu... Panu de Beaugency zdało się we mgle, że wilkołak, i oszczepem go skaleczył... Pan de Foix wielce o to markotny...

— Mylicie się, szlachetna pani — prostuje łagodnie, ale stanowczo de la T aur. — ...Wilkołak to był prawy... Od strasznego nieszczęścia uchronił was de Beaugency... Tego wilkołaka my rozpoznali... Miał czartowskie znamię: ogon... Zgorzał w tamtej chałupie, co płonie...

— Widno to był inny.

— Nie inny, ale ten sam, bo lewą rękę miał skaleczoną od Raulowego oszczepu...

— Na mnie wyskoczył pies — upiera się Blanka wzruszając wzdorliwie ramionami.

Dalszy spór przerywa głos dzwonka dobiegający z oddali. Błogosławiony, święty dźwięk! Milkną wszyscy nasłuchując z radosną ulgą. Jest wąty i cienki jak płacz dziecka, a jednak kojący, bezpieczny. Biskup wzywa na niespór, bo dziś jest niedziela.

— To dlatego, że niedziela, Pan Bóg nam poszczęścił i udało się przeklętnika spalić... •—• stwierdza Głowacz rozważnie.

Rozdział drugi SPRAWA PRZYSIĘGI

Przewidywania Rajmundowych wojów były słuszne. God-fryd de Bouillon pierwszy stanął pod Bizancjum. W przeciwieństwie do zapalczywego grataiego Tuluzy obrał rozważnie najlepszą z dróg lądowych, zwykły szlak kupców syryjskich, dążących na Zachód ku swym stacjom w Kijowie, Wrocławiu, Orleanie, Lugdunie. Szlak ten nie odbiegał zbytnio- o'd drogi obranej przez Piotra Eremitę i wiódł na Sofię, Filipopol, Adrianopol.

Wojska Godfryda szły w nie zamaconym porządku, kupując żywność po drodze, płacąc jej pełną wartość dobrą lota-ryńską monetą. Ten sposób pochodu, o ile godziwy i słuszny, o tyle był kosztowny, pochłaniający całą nieraal Godfrydową gotowiznę. Cena otrzymana za księstwo Lotaryńskie, księstwo Bouillon i gród Metz, za wielowiekowe dumne dziedzictwo, starczyła zaledwie na doprowadzenie armii do Bizancjum. W szkatule Godfryda poprzednio tak ciężkiej, że ciągnęły ją cztery konie, przeświecało obecnie dno. Na dwie niedziele jeszcze starczy, a co dalej? Z bólem obliczano, że —• przy najbardziej nawet wygórowanych żądaniach

Genuńczyków —• przewóz morzem całej armii byłby wyniósł zaledwie połowę wydanej sumy. Zbyt późno było jednak żałować.

Po drodze wędrownicy zbierali od miejscowych ludzi mętne wiadomości o gromadach Piotra Eremity, ciągnących tędy ubiegłego lata. Wiadomości były nieściśle, sprzeczne, lecz jednak zgodne w opisie panujących wśród krzyżowców: głodu, grabieży, nędzy, krwawych bratobójczych walk.

•— Kara Boża za to, że ruszyli sami bez pozwolenia bisku-P^a — mawiał Godfryd. — Boże, bądź im miłościwi Kto wie, czy podobnie nie będzie się działo z nami za parę niedziel, <ty pieniędzy na żywność nie stanie?

' Twoja głowa, by tak nie było — odpowiadał na to 'aldwin, jak zwykle bezstroski.

~ Ciężko jest — narzekał Godfryd — nie wiemy jeszcze

zupełnie, jak się do nas odniesie Aleksy... Wiesz, co powiadają o Grekach... O ich kręactwie, obłudzie... Powinien nas przyjąć jak swoich i dać utrzymanie, ale jeśli tego nie zrobi, co będzie? Baldwin wruszał ramionami powtarzając, że kłopotać się o to jest rzeczą brata. Czyż nie on stanowi głowę wyprawy? Sam Baldwin nie przejmował się niczym wierząc mocno, że dobry rycerz potrafi zawsze wywalczyć sobie w obcym świecie odpowiednie władztwo i znaczenie. By się tylko dostać nareszcie do Saracenów! Jak myślisz, bracie Godfrydzie, wiele będzie z onego Bizancjum do niewiernych? Dwa dni drogi? Trzy?

— Daj Boże, aby było jak najbliżej •— wzdychał Godfryd.

Dnia dwudziestego grudnia, na parę dni przed świętami Bożego Narodzenia, stanęli w pobliżu Bizancjum. W tejże samej porze Rajmund St. Gilles znajdował się jeszcze daleko, daleko, w Spalato, obaj Roberci, normahdzki i flandryjski, zimują ze swoimi w Rzymie, a Boemund z Tankredem nie opuścili jeszcze Amalfi. Lotaryńczycy są dumni, że przybyli pierwsi. Z uniesieniem podchodą pod wzgórze, z którego zapewne już zobaczą miasto...

Widać je rzeczywiście jak na dłoni. Otworzywszy usta w podziwie rycerze stoją nieruchomo, zagapieni. Wszystkie opowiadania, legendy zasłyszane o piękności i wielkości Bizancjum dalekie im się zdają od rzeczywistości. Nie można stąd wprawdzie rozróżnić szczegółów, lecz ocenić łatwo wysokość i długość murów, olbrzymi obszar miasta, większego niż wszystkie grody francuskie razem wzięte. Miasto strzeżone przez Boga! Miasto, którego miejsce zostało również wybrane przez Boga. Takiego położenia nie posiada żadna stolica na świecie. Otoczone z jednej strony przez morze, z drugiej przez Ramię świętego Jerzego, z trzeciej przez Złoty Róg, za plecyma posiadając nadto Wielkie Morze, czyli Czarne — może się słusznie uważać jako nie zdobyte. Wznoszące się od zachodniej strony mury, na które poglą-dają w tej chwili zdumione oczy Latyńców, są podwójne, wysokie, potężne, po wierzchu obite miedzią. W czerwonych błyskach zachodzącego zimowego słońca miedź płonie jak smuga ognia, jak czarodziejska wstęga, broniąca dostępu do grodu. Za murami bieleją domy, złocą się dachy niezliczonych świątyń i pałaców. Olbrzymia kopuła Wielkiej Świątyni, czyli Hagii Sofii, gorzeje jak drugie słońce, jak oślepiający płomienisty stos. Całe miasto zdaje się

tonąć w złocistej poświa-

cie ogarniającej półwysep aż po ciemniejące po obu stronach, zwałnione w tę porę morze. Milczący, oszołomieni widokiem, rycerze zeszli ze wzgórza, ciągnąc naprzód szerokim, znakomicie utrzymanym gościńcem. Po takiej drodze jak ta nie zdarzyło się im kroczyć nigdy, odkąd żywi.

Wzdłuż całego gościńca, o godzinę drogi od siebie oddalone, znajdowały się posterunki żołnierzy basileuso-wych, zwanych w.arangami. Każdy posterunek składał się z lichej lepianki mieszkalnej i przypartej doń kamiennej czworokątnej, dość wysokiej wieży, jplasko ściętej na szczycie. Wieże te były do siebie bliźniaczo podobne, a Latyńcy napotykali je, stojące w równych odstępach, od chwili gdy zeszli z góry. Codziennie o zmroku warangowie rozpalali na wieży ogień z przygotowanych zawczasu smolnych i palnych gałęzi, po czym okrywali płomień zasłonami z blachy, bądź całkowitymi, bądź powycinanymi w różnego kształtu otwory, miarowo podnosili je lub opuszczali. Na skutek tej czynności strażnik, czuwający dniem i nocą na następnej wieży, widział światło w pewnym określonym kształcie i w pewnych odstępach czasu, które to przerwy i kształty przekazywał natychmiast dalszemu.

Ciągnący drogą rycerze patrzyli na te praktyki ze szczerym zdziwieniem, nie mogąc się dorozumieć ich znaczenia. Ani przypuszczali, że dzięki tym świetlnym sygnałom, basileus jest od dłuższego czasu najdoskonalej powiadomiony o ich nadejściu i liczbie.

Dzięki tym sygnałom również, zaledwie Godfryd zatrzymał się, by rozłożyć obóz na równinie o milę od miasta, przybyli doń w świetnym orszaku, kosztownych strojach posłowie cesarza Aleksego, czyli basilikowie, z darami i pozdrowieniem. Składając podarki oznajmili księciu Godfrydowi w poprawnej

łacini, że Najdostojniejszy, Bardzo Świątły, Bardzo Pobożny, Apostołem Równy, basileus Autokrator pragnie powitać u siebie drogiego gościa jak najrychlej. Szlachetny gość będzie P^zYJęty jak syn.

Wraz z poselstwem przybył do obozu Hugo de Vermandois, brat francuskiego Filipa, który wybrawszy roztropnie drogę morzem znalazł się bez trudu w Bizancjum już przed paru miesiącami. Rycerze nie poznali go w pierwszej chwili, gdyż przyodziany był po grecku, w świetny, bogaty i wygodny strój. Na stopach złożone sandały. Cienka jak przędza tunika, na niej płaszcz spięty fibułą, podbity kosztownym płaszczem bezcenny ze złotolitej, mięsistej, a zarazem

miękkiej materii, tkaney w rzędy purpurowych smoków. Na szyi nosił migotliwe zawieszenie, na przegubie dłoni bugi, na palcach liczne pierścienie.

— ...To wszystko dostałem od basileusa Aleksego — chwalił się znajomym rycerzom lotaryńskim, ukazując blask i wielkość osadzonych w zawieszaniu klejnotów. — A wiele mam j tego jeszcze na kwaterze! Nie dalibyście wiary! Wystarczy coś pochwalić, by natychmiast darowane zostało. Podobnie obdarują pewnikiem i was. Mają tam takie skarby, że choćby połowę rozdali, zostanie - im jeszcze więcej, niż posiada cały świat. Pokazywał mi kiedyś basileus swój skarbiec. Na świętego Dionizego, dobrego patrona Paryża! Nic podobnego i we śnie się nie zamarzy! Gmach srogi, podziemny, komnat z pół setki, wszystkie od podłogi do stropu zapchane kosztownościami. Aż mnie zemdlilo od samego patrzenia. Za setną, co ja prawię, za tysięczną część tego złota kupiłbyś wszystkie nasze królestwa i księstwa, z dodatkiem angielskich i niemieckich... Bogać mi, nie kłamię... Niech święta • Genowefa przyświadczy... A wieleż jeszcze skarbów znajduje się w pałacach, kościołach! Obaczycie!... Małą miarę możecie zresztą brać z tego, co ninie tutaj przynieśli...

Spoglądali wszyscy w stronę, gdzie basilikowie składali przed siedzącym na niskim obozowym stołku Godfrydem przywiezione dary. Było na co patrzeć. Rzucone na ziemię mieniły się i lśniły zwoje złotolitej materii, podobnej do płaszcza Hugona, cudownie piękne i lekkie tarcze złożone, wysadzone koralem, miecze, włócznie, przedziwnej roboty pancerze, kryształowe czary, szkatuły ze słoniowej kości pełne najdroższych pachnidła... Z boku ustawiono wielkie amfory z winem, kosze z owocami, ciastem i mięsiwem.

Godfryd dziękował uprzejmie posłom, obojętnym wzrokiem patrząc na rozłożone przed nim bogactwo.

...Broń przyda się — myślał — wino i jadło również, ale na co, u licha, żołnierzowi te kruche, łatwe do stłuczenia czary albo stroje?... To dobre dla takiego piękniśa jak Hugo...

Dziękując, zapowiadał przybycie swoje nazajutrz. Posłowie wśród niskich ukłonów zbierali się do odejścia.

Baldwin podszedł żywo do brata.

— A czymże ty ich obdarujesz?

— Ja? Nie mam nic do darowania. Zbroi ani miecza przecie nie oddam.

— To nie uchodzi, Godfrydzie!

— Dlaczego? Nie jesteśmy przecież poselstwem, tylko żołnierzami, w dodatku krzyżowymi, w pochodzie... — Pomyślą, żeśmy żebraki...

— Niech myślą, co chcą... Zresztą, cóż byś dał? Nie mamy nic ozdobnego...

— Gontrana ma piękne perłowe zausznice i także bugi — rzekł Baldwin z wahaniem. Godfryd zmarszczył brwi.

— To gorzej zaświadczy o naszym ubóstwie niż zupełne wstrzymanie się od darów — zapewnił. — Co znaczą zausznice i bugi w porównaniu z tymi, o, rzeczami? Śmiech prosty. Nie sądzę zresztą — uśmiechnął się mimo woli — by na to Gontrana zwołała?...

Baldwin potarł bezwiednie dłonią kark, ale nie ustąpił.

— Gdybyś ty od niej zażądał, odda bez lamentu.

— Ja nie zażadam, bom samej rzeczy przeciwny.

— Baldwin ma słusność — wtrącił się do rozmowy Hugo — dary trzeba dać, ale Godfryd dobrze prawi, że zausznice i bugi mało wiele znaczą. Mają tam takich na korce. Do skrzyni cisną, ani spojrzawszy. Poślijcie lepiej parę gładkich dziewczek... To na basileusowym dworze bardzo lubią. Mają tam niewolnice z całego świata, ale naszych nie... Będą radzi...

— Oszałeliście, panie? — syknął Godfryd.

— Widzę, że przywieźliście gromadkę i to wcale gładkich — ciągnął nie zrażony Hugo ukazując ręką

dworki Gon-trany, z należytej odległości zachłannie śledzące wzrokiem dary pozostawione przez Greków.
— Tamta czarnuszka na przykład, co stoi na lewo...

Baldwin zaczerwienił się, nie wiadomo czemu.

— Tej Gontrana nie odda — zaręczył z żywością — to jej ulubienica.

— Poślijcie zatem pozostałe...

Ale Godfryd uderzył się z gniewem dłonią po kolanie. To są córki wolnych ludzi, nie niewolnice! — zawołał. Dwie są niewolnice, owszem — zauważył Baldwin — z tego jedna bardzo gładka i nawet pono prawiczka...

~" I niewolnych nie oddam na grecką rozpustę! Dostyć! Nie chcę o tym słyszeć!

W ^godnym zazwyczaj głosie Godfryda brzmiało tyle stanowczości, że Baldwin i Hugo zamilkli. Basilikowie odeszli, " P^{row}adzeni poza obóz przez czterech rycerzy. Hugo pozo-

°Powiadajcie nam teraz — zwrócił

- Krzyżowcy t. mi

się do niego God-

fryd — jakim jest w istocie Aleksy i czy będzie nam pomagał, czy nie?

—• Da nam wszystko, co zechcemy — zapewnił Hugo kołyszając się niedbale z nogi na nogę. — Kaźcie nam, książę, nalać tego wina, co basilikowie przywieźli, jest przednie... Wszystko, co zechcemy...

Aleksego poznałem doskonale... Na wylot... To wcale niezły, prostoduszny człowiek, nie ma w nim ani źdźbła chytrności. Owinę go dookoła palca... W ogóle ta osławiona chytrność grecka! Można by o niej dużo mówić... My jesteśmy znacznie mędrsi niż oni... Toteż wszystkiego, co ja albo moi woje prawią, słuchają z poszanowaniem, nic nie przecząc... Niezłe ludzie, chociaż niedołągi prawe... Turniejów nie czynią, jakby ich zgoła nie znali, za to kochają się w wyścigach, gonitwach, wiecie, wierzchem albo cztero-kolnymi wozami... Jest tu cyrk najpiękniejszy na świecie, który się po tutejszemu nazywa Hippodrom, i tam się te gonitwy odprawiają... Ludzie dzielą się na dwie strony, tu mówią faksje, Zielonych i Niebieskich, bo w tych kolorach woźnice gonią... Sam basileus jest zawsze obecny i basileus też...

— Wolej powiadajcie wpierw, książę — przerwał niecierpliwie Godfryd — zali basileus da wojsku zaopatrzenie?

— Już mówiłem przecie, że niewątpliwie da wszystko, co zechcecie. Jeszcze dwie niedziele temu, skoro przyszła pierwsza wiadomość o waszym pochodzie, Aleksy powiadał, jako da wam spyżę, przewóz do Azji i jeszcze pośle Butumitosowe , drużyny (ten Butumitos jest u niego dowódcą) ...zaś galery z ich przeklętym ogniem popłyną wzdłuż brzegu, aby nas potem wspomagać. Bo wyobraźcie sobie, tutaj powiadają, że do Ziemi Świętej jeszcze srogi kawał drogi!

— Nie może być!

— Powiadają, że z Francji albo z Italii przyjdź tutaj, to przy tamtej drodze tyle co przechadzka...

— Tak powiadają, bo nie byli we Francji.

— Stratigos Argyrios był.

— A te ich wojska coś warte?

— Wojska są przednie. A ubrane, a ustrojone! Książę u nas tak nie chodzi. Ale i do boju dobre. Szczególnie drużyny, które tu zwą athanatoi, czyli nieśmiertelni. Same najemne...

Wszystkich tu spotkasz... Orniarzy, Arabów... Bogać mi, nie łż! — Arabów, Waregów, Pieczeniogów, Rusów... Siła im płacą... Brat Boemunda z Tarentu dowodzi tu strażą cesarską...

__— Brat! Rodzony!?

__ Nie rodzony, przyrodni, bo Boemunda rodziła Altaerada, a tamtego — Wit mu na imię — Sykelgaita... Dobry chłop... Jeżeśmy się polubili... Lecz Godfryda co innego uderzyło w opowiadaniu Hugona.

__ Mówiliście, książę, że Aleksy wiedział, iż ciągniemy, dwie niedziele temu?

__ Ano. Mówił mi o tym z jego polecenia parakimenos, czyli główny zarządca dworu...

— Skąd mógł wiedzieć?! Nikomu a nikomu nie dawałem znać!

— Nie wiem skąd — odparł obojętnie Hugo —• ale wiedział. Radowałem się z waszego przybycia, wiecie co dnia pytał parakimena, co z wami? Powiadał mi: wczora nocowali tani a tam, dzisiaj uszli bez mała sześć mil, zatrzymali się na postój w tej wsi... I tak co dzień.

— Czary chyba jakie!?

— Pewnie, że czary. Dziwne to są ludzie, ale wczasu i wygody można u nich użyć jak nigdzie na świecie... Takiego jada jak tu w życiu nie widział... A czy uwierzycie, szlachetni panowie, że tutaj

wszyscy czytają? Wszyscy, nawet białogłowy. Cięgiem czytają albo piszą... Jakiś dur z tym czytaniem. Pytał mi się kiedyś kyr-palatiu, co mi najmilej czytać. Najmilej mi bawić się mieczem — powiedziałem. — Książka jest dla mnichów i uczonych, a nie dla rycerzy... Czytać potrafię i kiedyś nawet sam cały psalterz przeduka-łem, ale odkąd go umiem na pamięć, czytanie mi już zbytnie... Nie biorę książki do ręki... •— Nic na to nie rzekł... Odszedł. Widno się zawstydził, bo one pewnikiem dlatego na 'książki łase, że cło miecza już serce stracili, a może im Pan Bóg pamięci poskąpił i niczego nauczyć się nie mogą... Dziwaczne ludziska, ale żyć umieją... Obaczycie! Czas się nie dłuży... Warto by tutaj parę lat posiedzieć.

Boże broń! — zaprzeczył żywo Godfryd. — Rajmund z biskupem pewnikiem lada dzień nadciągną... Normany też... rzeba,^skoro tylko przyjdą, ruszać, ruszać najprędzej!. Nie Tzysłiśwa tu, żeby oglądać Bizancjum. I tak już siła czasu łciliśmy... Przeszło rok...

^Mie stracilibyście tyle, gdybyście morzem jechali... Ja Przyjechałem jeszcze w sierpniu... Aleksy przyjął mnie jak •a- Zaraz też i przysięgę złożyłem... przysięgę? — zapytał Godfryd zdumiony.

— Basileusowi na wierność, tę samą, co i wy złożycie... Otóż po przyjeździe, we wrześnie, z bratem Boemunda, Witem, szczuliśmy psami jelenie... Cóż to była za gonitwa! Bo też i psy tu mają nie byle jakie...

— Powiadajcie, panie, co to za przysięga — przerwał stanowczo Godfryd.

— Na wierność, i że co zdobędziemy, to dla niego... Wiac one psy, jak dopadną śladu...

— Ostawcie psy, bo tamto ważniejsze... Aleksy wymagał od was tej przysięgi?

— Jużci, że wymagał... Inom przyjechał... Od was także będzie jutro żądał.

— Ja nie złożą.

— Albo co? Na zdradzie mu stoicie? Wojować z nim chcecie?

— Na zdradzie mu nie stoję. Ziemi nie myślę zabierać, ale przysięgi nie złożę, żebym tu miał trupem paść!

— Dlaczego?

— Bom wolny żołnierz Chrystusów.

— Dyć basileus nie poganin. Chrześcijański cesarz, choć schizmatyk.

— Wszystko jedno. Nie przysięgnę. Nie po tom się wyzuł z ojcowizny, by wchodzić w służbę czyją.

— To nie ma żadnego znaczenia! Tak czy tak, będziemy z nim w przyjaźni.

— Nie! Nie! Niech sobie trzyma najemników, Waregów, Rusów czy Pieczeniegów... My nie najemniki... My krzyżowcy! Przysięgaliśmy Chrystusowi i nie możemy nikomu więcej! Chrystusa idziemy bronić, nie cesarza!...

— Róbcie, jak chcecie (Hugo ziewnął rozgłośnie), jeno w takim razie ślijcie co prędzej posłów, odwołując wasz przyjazd jutrzejszy, bo tam na was będą czekali z przysięgą...

— Ależ posłowie mi o tym ani słowa nie mówili!..

— Nie mówili, bo po prawdzie ja to wam miałem przedstawić, jeno mi z głowy ze szczętem wyszło...

— Dla Boga! Dla Boga! Takiej rzeczy, takiej najważniejszej rzeczy zabaczyć! — zakrzyknął Godfryd z rozpaczą.

Piękny lekkoduch nie przejął się tym okrzykiem bynajmniej.

— Ślijcie natychmiast ludzi do basileusa albo mu to tłumaczcie sami — powtórzył obojętnie, wydymając wargi.

Godfryd poderwał się z ławy.

_. Montaignu! — zawołał —• d'Esch, du Bourg! Chodźcie tu, a żywo!

Trzej wywołani rycerze porzucili oglądaną z ciekawością crecką broń podchodząc spiesznie ku rozmawiającym.

_. pojedziecie nie mieszkając do Bizancjum — mówił Godfryd; zwykły jego spokój pierzchł, oczy

błyszcząły gorączko-wo_ — Pojedziecie jako moje posły...

— Ja pojadę z wami — zaofiarował się Hugo —• abyście się łącznie dostali...

— Jedźcie jako moje posły — powtórzył Godfryd dobit-

me — Rzekniecie, iż przysięgi basileusowi złożyć nie mogę i proszę, by mnie od niej zwolnił. Nie stoję mu, uchwaj Boże, na zdradzie ani dobra zazieram, ale krzyżowcem będąc nie mogę przysięgać nikomu.

Przysięgałem Bogu, a dwóch panów mieć nie można. Ród mój był zawdy wolny. Nie hołdowałem żadnemu panu. Nie byłem wasalem niczym. Boży jestem sługa, nie cesarski. A zdrady niech się ode mnie nie obawia. Przyjacielem mu jestem, równie bezpiecznym, jak zaprzysiężony. Tak mu mówcie... Montaigu! Tobie polecam, lepiej to powiesz niż ja...

Konon de Montaigu, rosły chłop o dumnej, orlej twarzy, skłonił głowę na znak zrozumienia i jednomyślności.

— Jedźcie zaraz — nalegał Godfryd.

. — Ale ochędożcie się przystojnie, giermków weźcie kupę, bo tam bardzo na ozdobę zważają... — ostrzegął Hugo.

— Jedźcie, jak chcecie, byle skoro, skoro!... Hugo uderzył się w czoło:

— Mam myśl! Co tu będziecie czekać i trapić się przesadzonymi, prawdę rzekłszy, skrupułami? Jedźcie razem do Bizancjum. Poczekacie w pałacu, który mi na cały czas pobytu tutaj przydzielono (Hugo podkreślił z dumą te słowa). Prędzej usłyszycie odpowiedź. I naradzimy się rychlej, co dalej.

— Dziękuję. Pojadę — rzekł Godfryd po krótkim namyśle. • Baldwinie, tobie zdaję opiekę nad wojskiem, bo może dzisiaj nie wrócę.

Brat skrzywił się zmartwiony. Byłby wolał sam pojechać, aliła go ciekawość zobaczyć nareszcie Bizancjum tyle osławione, tak bliskie. Obaczyć swoimi oczami skarby, o których opowiadał Hugo, pogadać z Witem, bratem Boemundowym. • to wie?... Kto wie?... Nie zapomniał swych marzeń udzielnym księstwie...

— Jako sobie dajecie radę z zaopatrzeniem drużyn? — pytał w godzinę później Hugo jadąc pobok Godfryda ku widnemu w dali grodowi. — Porządek u was w obozie, aż dziw...

— Jeżeli basileus wiktowi żołnierzom nie da, ten porządek za parę dni pryśnie..., Ostatnie talary wydaję... Jeszcze trochę, a żołnierze zaczną grabić.

— Da wikt, na pewno. I dobrze da. Nawet pan de Melun, którego zwiemy Cieślą, przyznaje, że nigdy nie żał tyle i tak dobrze, co tu... Wina też nie skąpią... Ale pomimo tego moi żołnierze grabią... Z rozpusty... Trudno utrzymać ich w ryzach, bo nie na wiele zważają... Czasem uproszę Cieślę, aby szedł robić porządek. Boją się go, bo jednym trząchnięciem zabije człowieka, ale znaleźli już na niego sposób. Skoro przyjdzie, podsuwają mu prosię pieczone w cynamonie... Nie zdarzyło się jeszcze, by odmówił, a gdy siądzie do jedzenia, zapomina natychmiast o gniewie...

Godfryd nic nie odpowiadał, ale nie zrażony Hugo paplał dalej:

— Siła rzeczy można -by się tu nauczyć... Co za mieszkania, co za wygody! Anim przypuszczał, że tak może być... A kobiety! Żebyż u siebie mieć takie! Powabne, wonne, w miłości biegle... Znają arkana, o których u nas nikt nie wie. Na przykład, opowiem wam...

—• Ślubowałem czystość —• przerwał Godfryd chłodno.

— Prawda. Omniszyliście się z dobrawoli. Szkoda. Brat wasz za to skorzysta, mam nadzieję, z mego doświadczenia...

:—i Mój brat ma żonę — odparł Godfryd jeszcze chłodniej.

— A rzeczywiście. Przywiózł ją ze sobą... Nie ujmując czci waszej bratowej, po co? Ja swoją zostawiłem doma.

— Czy sądzicie, panie, że odległość zmienia śluby?

Och, jakież ten cnotliwiec był nudny! Hugo spojrział na niego z odrazą.

Prawy mnich, prawy mnich, lepiej by siedział w klasztorze. Szczęście, że Baldwin jest inny.

Kopyta końskie zatętniały pod wielką sklepioną bramą „Grodu strzeżonego przez Boga”. Warangowie stojący na straży, poznawszy Hugona, pochyliłi halabardy. i

Rozdział trzeci W GRODZIE STRZEŻONYM PRZEZ BOGA

Nawet poważny Godfryd zapomniał o swojej trosce, pochłonięty widokiem, jaki się przed nim roztoczył. Byłóż, byłóż na co patrzeć! Hugo, znający już dobrze gród, rad, że może być przewodnikiem i udawać byw-alca, wiódł ich rozmyślnie do pałacu najdłuższą drogą, okrążając wkoło miasto. Przed zapuszczeniem się w gąszcz ulic ukazał im lśniące w oddali, na przeciwnym brzegu Ramienia świętego Jerzego, miasto Chryzopolis *

objaśniając, że znajduje się ono już w Azji. Słyszac to, rycerze żegnali się pobożnie, gdyż słowo Azja zdawało im się nierozdzielnie połączone z Ziemią Świętą. Hugo uśmiechnął się z wyższością. Taki sam kraj jak tu. Żadnej różnicy nie ma. Wszyscy znaczniejsi patrycjusze mają tam swoje letnie pomieszkania, że to wyżej, przeto

powietrze rzeświesze niż w grodzie.

Po czym odwracając się w przeciwną stronę, wskazał im po drugiej stronie Złotego Rogu osadę genueńską Galata, z wysoką wieżą strażniczą, sterczącą na wzgórzu.

— To i tu są Genueńczyk!!? — zdumiał się de Montaignu.

— Gdzie by tej zarazy nie było! Mają tu swoje składy, okręty... Przez nich moje pocziwe piraty (brudasy śmierdzące, ale dobre chłopcy... Z Guynemerem siła wina razem wypiliśmy) nie mogły tu zostać, bo Genueńczyk! strasznie ich nienawidzą. I opieka basileusowa nic by nie pomogła. Spaliliby niebożętom okręty pewnikiem... Więc Guynemer powie-

•• Jestem dobrym chrześcijaninem i zaczepki nie będę szudział:

?—/•• Popłynął ze swoimi wzdłuż brzegów azjatyckich, tam.

na nas czekać... Patrzcie no na ten most... Widzieliście kiedy taki?

^ J^{edn}ak jeszcze niż wielki most, łączący Bizancjum a, zaciekawiał rycerzy olbrzymi, w całym świecie >ny łańcuch, zamykający wejście do Złotego Rogu w razie

* Dzisiejsze Skutari.

zbliżania się nieprzyjaciela. Obecnie nic nie groziło, przeto łańcuch gruby i śliski jak smok, zwolniony z żelaznych kołowrotów, na które napinały go siły pięćdziesięciu ludzi, zwiślał swobodnie, zanurzony w wodzie. Na wiecznie spokojnych wodach kanału stały rzędami galery basileusa, owe szerzące wszędzie postrach trójpokładowe szalandy, zwane pyrforoi albo igniferi, gdyż miały „grecki ogień”. Były barwiście malowane i złoczone, o wysokich dziobach rzeźbionych w kształt orłów, smoków, aniołów i gryfów. Spomiędzy złoczeń i rzeźb wychylały się zdradzieckie leje, mogące każdej chwili plunąć nieugaszoną, straszliwą pożogą. Tych statków było w porcie trzysta albo więcej. Wokoło nich kołysały się niezliczone mniejsze galery pościgowe, o jednym rzędzie wiosła, zwane monerami. Resztę wolnej powierzchni wody wypełniały ściśle łodzie, barki, czółna. Małe, lekkie monoxylai wydlubane z jednego pnia, rusko-warenskie czajki obłożone spławami z sitowia, ciężkie kupy kupców, zjeżdżających tu zewsząd, . Azji, Grecji, Irlandji, Bagdadu, Cypru, Rodosu, Egiptu, Genui, Kijowa, Nowogrodu, Perejasławia... Wyładowane z barek towary można było oglądać codziennie na słynnym targu bizantyńskim, mieszczącym się przy klasztorze świętego Mamasa. Tam, pod baczynym okiem celników, sprzedawano wszystkie wytwory i cenności świata. Barwny, pstry, krzykliwy tłum wypełniał ściśle plac. Chlamidy greckie ocierały się o kozuchy Finów z dalekiej północy. Przecudne amfory rodyjskie stały obok skór niedźwiedzi i wilczych, zwałonych na kupę. Złoty miód z wysp, (w szklanych przezroczystych słojach, których tajemnica wyrobu nie znana była Latyńcom, sąsiedował z bryłami bursztynu złotymi i przezroczystymi jak miód. Kość słoniowa w surowych kłach leżała na ziemi i rycerze lotaryńscy spoglądali ze zdumieniem na te srogie zębce nieznanego smoka. Nie mniejsze zdumienie połączone z lękiem wywoływały w nich zasuszone krokodyle przywożone przez indyjskich czarowników, służące do leków, i wielkie, żywe węże, ruszające się leniwie w takt puszczaki zaklinacza.

Pobok brodatego Persa, sprzedającego szmaragdy, kucaly czarnowłose, brunatne Cyganki, natrętnie narzucające się z wróżbą. Na widok obcych rycerzy cmokały głośno wargami, przykładaly dłonie do czoła i piersi, wyciągały proszaco ręce. Lotaryńscy wzdrygali się z odrazą na widok tych ciemnych, prawie małpich dłoni i odwracali głowy. Pośrodku placu stało rusztowanie, pokryte podłogą z desek, na którym

kat wypalał oczy skazańcom, podejrzanym o niezadowolenie z błogosławionych rządów Bardzo Światłego, Bardzo Pobożnego, Apostołom równego Autokratora. Oślepienie było w Bizancjum ulubioną i powszednią karą. Skazując człowieka /ia śmierć narażało się jego duszę na potępienie, ginął bowiem w stanie grzechu. Przez oślepienie czyniło się go nieszkodliwym, a zostawiało mu czas do pokuty. Wyroki odbywały się codziennie, gdyż nykteparchos, czyli prefekt grodu, dosłownie „zarządca nocy”, nie próżnuje. Jego wysłańcy węsżą za każdym niebacznym słowem. Nawet za cieniem słowa. Czasem i cienia nie trzeba. Nykteparchos musi przecież wykazać, że w grodzie nastrój jest wciąż niebezpieczny i że bez jego czujnej opieki przepadłby tron dla dynastii Kom-nenów. Więc i teraz kilku związanych ludzi stoi podle rusztowania. Spoglądają wokół siebie ostatni raz. Ostatni raz widzą biały dzień, złociste miasto, zieloną wodę i kolorowy, bliźni tłum. Po jednemu pachołcy kata wyciągają ich na rusztowanie. Kat wyjmuje z kociołka z węglami rozpalony do białości

pręt. Ogłuszający wrzask bólu, szamotanie — i już pacholcy spychają nieszczęśnika w dół, a chwytają następnego. Oślepiiony, z dwiema krwawymi ranami w miejsce oczu, wyjący z bólu, pada jak bezwładna masa. Wstaje, potyka się biegnie na oślep szlochając, znów pada. Patrząc na jego niezdarne ruchy ludzie śmieją się i klaskają w dłonie. Macającym wokół siebie bezradnie ślepcowi podsuwają nieoczekiwane przeszkody, aby się przewrócił. Aż zwabiona hałasem wysunie się z tłumu czarna postać mnicha lub mniszki, co litościwie weźmie oślepionego za rękę i poprowadzi.

— Okrutny naród — mówi Godfryd odwracając się ze wstrętem.

— • Słusznie prawicie — przytwierdza Hugo. — U nas tak ludzi nie męczą. Albo po prostu zachłuszczą, albo żywo spalą, albo łeb utną i koniec.

Bodajby tak było! A nie zakopują to żywcem w ziemi? Nie obcinają członków?

Ale nie za byle głupstwo jak tu... Spójrzcie tam, książę:

^{en}kościół i kasztel, całkiem już prawie za murami leżący, to Blachernos, letnie mieszkanie basileusa. W kościele, za °ą kratą, jest cudowna Najświętsza Panna, palladium ffrrodu, patronka najulubiejsza. Zowią ją Panagia Blachernirzawa targu pozostała już daleko poza jadącymi. Dążą

teraz po gładko wybrukowanych ulicach pełnych ruchu. Strojni patrycjusze przejeżdżają wierzchem na ślicznych jak marzenie arabskich koniach, drobniejszych znacznie niż konie rycerzy łatyńskich. Tęfizy niewolnicy, zwani mangipitia, biegną rytmicznie, niosąc na ramionach lektykę wytwornej małżonki któregoś z dostojników Dworu. Lektyka jest złożona jak klejnot, wysadzana kością słoniową i perłową masą. Poprzez cienkie jedwabne firanki mającą wielkie czarne oczy i ukarminowane usta. Przed lektyką biegnie kilku niewolników z prętami trzciniowymi w rękę, którymi rozganiają pieszy tłum torując mangipitiom drogę. Wieczorem oprócz trzcini niosą pochodnie. W skromniejszej, mniej barwnej lektyce, nie poprzedzanej przez nikogo, przesuwa się uczony profesor Kolegium Filozofów lub Geografów. Inne panie, równie wytworne jak poprzednie, lecz którym lektyka zdaje się .być duszną, jadą na wozach okładanych srebrną blachą i ozdobionych emalią. Lica mają zasłonięte leciuteńką gazą. Siedzą wysoko na aksamitnych poduszkach, woźnica znacznie niżej od nich, na skraju wozu, tuż za końskimi zadami. Lecz baczność! Strojny młodzieniec wyprzedza wszystkich, stojąc wyprostowany, podany w tył na lekkim, dwukołowym wozie, świecącym od ozdób. Płaszcz wzdyma się u ramion. Ogniste konie rwą, kładąc się na złotych lejcach. Chrząstliwy, miarowy tupot zagłusza inne hałasy uliczne. To wojsko idzie zmieniać straż wokół Świętego Pałacu. Naprzód protospatariowie z włócznią i szczytem, zakrywającym ich o!d stóp do głów. Za nimi warangowie z halabardami o szerokim ostrzu, athanatoi-nieśmiertelni, w pancerzach ze złotej siatki potyskującej z daleka, dobierani spośród najpiękniejszych ludzi, że wyglądają jak bogowie greccy, i na koniec archontopule od dziecka do służby wojskowej przeznaczeni, chowani na koszt basileusa w szkole wojskowej, znajdującej się przy logothesionie.

Pomiędzy wojskiem, lektykami, wozami przemyka się, ciśnie, snuje nieprzeliczony pieszy tłum, podobny do tego z targu. Różnorodny, różnojęzyczny, różnobarwny, przetykany niby makiem czarnymi szatami mnichów. Tłum gadatliwy, ciekawy najnowszych wiadomości politycznych i ostatnich intryg dworskich, lecz zdanie swoje wyrażający oględnie, bo znienawidzony nykteparchos ma swoich wysłańców wszędzie; Hugo ukazuje co chwila coś nowego.

•— ...Kościół Świętych Apostołów, gdzie basileusów chowają. Mało który z nich pomarł ze starości i w łożu, ale po-

|

chówek ma każdy... To Bukoleon, piękny kasztel, gdzie basi-leus mieszka, kiedy mu się Święty Pałac sprykrzy... Te srogie budowle to urzędy... Tytu urzędów, co tutaj, nie ma na całym świecie... I, niech mi kto powie, po co? Niechby się uczyli od nas... Sąd książęcy, strażnik grodzki i na tym koniec... Nie trzeba więcej... Tu ciągiem wszyscy do urzędów chodzą i na karteczkach piszą... Uwierzyście, że te towary, co na targu, to wszystko zważone, zapisane... Od każdej sztuki czy miary kupce muszą płacić słoną daninę... Po drogach nikt pono myta nie pobiera, można cały kraj przejechać nie napotkawszy rogatek, za to tutaj basileus dobrze ich obciąża... Ale uważajcie teraz, bo wjeżdżamy na plac Augusteon albo Agora, bo go tak i tak zowią, który jest najpiękniejszym placem na świecie... Istotnie, nie było na ziemi nic równie świetnego jak ten plac, ujęty z jednej strony złotymi mozaikami

pokrywającymi wejście do Hagii Sofii, z drugiej gmachem Senatu, z trzeciej Świętym Pałacem, podobnie jak Hagia Sofia przez Ju-styniana wzniesionym, z czwartej zamknięty portykiem i kolumnadą. Na szczycie kolumn stały złote i srebrne posągi basileusów i ich żon. Pośrodku placu wznosiła się porfirowa kolumna wzniesiona przez Konstantyna Wielkiego, zwieńczona złotym krzyżem, opatrzona napisem: Święty! Święty! Święty! Na szerokich stopniach cokołu kolumny siadał basileus w dni triumfu. Tędy ciągniono w uroczystym pochodzie tłum jeńców. Tu Autokrator, nie ruszając się ze swego siedziska, opierał nogę obutą w purpurowy sandał na głowie zwyciężonego wodza czy księcia, leżącego w prochu. Grały trąby, grzmiąły kotły, a nieprzeliczony tłum, wypełniający plac, wołał:

...Długie życie wielkiemu Basileusowi, najpobożniejszemu, niezwykłemu Władcy! Długie życie Basileusowi, którego Pan wybrał i nazaczył! Długie życie Basileusowi, którego Pan prowadzi i zawsze prowadzić będzie! Długie życie Basileusowi, którego ramię podtrzymuje losy świata! Długie, życie Basileusowi, który upokarza i niszczy wrogów Kościoła i swoich!

Godfryd ze wzrastającym roztargnieniem słuchał opowiadania Hugona, oczy mając utkwione w rzeźbione wrota Wielkiej Świętyni. Pragnął jak najprędzej znaleźć się w niej i zosić sam ze swoimi myślami.

sz t °. onae — przystał zawsze zgodny Hugo, posłyszawszy zyczenie. — Idźcie do świętyni. Warta widzenia, na

świętego Dionizego, warta! Ja powiodą rycerzy, oddam ich w ręce protoproedrosa i wrócę po was. Pójdziemy razem do mego pałacu, który jest tuż blisko...

Oddawszy konia giermkowi, Godfryd pchnął niewielkie drzwi wycięte w ogromnych szczerzłotych wrotach. Przeszedł jeden przedsiónek pełen żebraków, drugi pełen księży i mnichów, uniósł ciężką, chrzęszczącą kotarę, zasłaniającą wewnątrz, i przystanął...

...Otoczył go złocisty półmrok, w który bladobłękitne światło, siejące się z wierzchu kopuły, spływało niby z niezmierzonej wysokości. Świętynia była olbrzymia, obliczona na dziesiątki tysięcy ludzi, a zdawała się jeszcze stokroć większa przez mądre rozplanowanie ścian, głębokość i rozmiar wnęk, harmonię proporcji. Nakrywająca gmach kopuła, lekka i wyniosła, zdawała się obejmować cały świat. Ściany pokryte złotą mozaiką, na której roił się tłum świętych i aniołów, wyglądały jak obłudy sennego marzenia, mogące rozwiązać się za łada tchnieniem. Po bokach nawy stały kolumny sprowadzone ze spalonej przez Herostratesa świętyni Diany w Efezie i z tajemniczego dalekiego Baalibeku, którego imię nawet nigdy do rycerzy zachodnich nie doszło. Sześćset złotych świeczników zwieszało się na złotych łańcuchach z wysokiego stropu. Było tu cicho, odległe i niedosiężne. Kościół poświęcony Mądrości Bożej zdawał się doskonały i nieobjęty jak Mądrość sama. W wielkim gmachu, wzniesionym przedziwnym nieodgadnionym kunsztem, ginął ciężar i gatunek materiału użytego do budowy. I wsparta na granitowych fundamentach, mająca przetrwać tysiąclecia świętynia, ze swymi bajecznymi ścianami z mozaiki i kopułą raczej tkaną z dymów kadzidlanych niż zmurowaną z kamienia, widziała się ideą, zamysłem, marzeniem o doskonałym kościele bardziej niż rzeczywistością...

Zagubiony w pustym o tej porze ogromie, Godfryd postąpił nieśmiało ku środkowi. Czuł się maleńkim pyłkiem, nicością wobec potężnego Piękna. Mądrość Boża... Hagia Sofia... Jakże nikłe i nędzne są wszystkie sprawy ludzkie wobec niej! Jak błahe i niegodne najmniejszej uwagi! Tyle znaczą, co myśl i krok Godfryda, niezdolne nawet obudzić echa pod strzelistą tęczową kopułą!

Zgnieciony własną małością, przyklęknął przed jednym z ołtarzy lśniącym od drogich kamieni. Próbował modlić się. Wzywał znajome słodkie Oblicze Dzieciątka Jezus i Matki Bolejącej... ludzkie, współczujące... bliskie... Lecz za ledwie

przyzwane, pierzchały jakby spłoszone ogromem, zmieniały się w nieruchome, nieczułe postacie, spoglądające ze ścian w złotej glorii...

Miałki, zagubione w ciszy kroki zastukały tuż za nim. Wcale nie onieśmielony czarem miejsca Hugo uderzył go po ramieniu.

— Na odwieczny dostaną posłuchanie — oznajmił. — Wielka to łaska. Nieraz znaczniejsi posłowie po parę dni muszą czekać... Piękny kościół, co? Nawet w Paryżu takiego nie mamy... Greki uważają go za *asylum inviolatum*. Który tu uciecze, może być wzięty tylko głodem... Więc każdy, co ma zabrane sumienie, tutaj się chroni co rychlej, tusząc, iż go nie zaczepią... Basileus co do

mniejszych szanuje to prawo, co do większych — nie... Opowiadali mi, że kiedyś basilisę jedną, co męża kazała utrupić, bo był stary, ona zaś młoda, parakimenos własnoręcznie od tej kolumny oderwał i za próg wyciepał... Prawda, że to był rzezaniec, więc się jej gładkości nie litował...

— Ostawcie mnie, panie, na chwilę, bom jeszcze pacierzy nie mówił... — prosił Godfryd błagalnie. Wbrew twierdzeniu Baldwina dziewczyna, którą Hugo określił jako czarnuszkę, nie była ulubienicą Gontrany, bynajmniej. Pani uważała ją za hardą i leniwą. Natomiast na miano czarnuszki zasługiwała w zupełności." Miała smagłą cerę, wielkie czarne oczy i krucze warkocze. Nazywała się Leona. Przebiegając do namiotu pani zatrzymał Baldwin zły i znudzony, że Godfryd długo nie wraca. Sprzykrzyło mu się już czekać.

— Brzeg płaszczu mi się oderwał — zawołał — chodź no tu zaszyć!

Wbrew opinii Gontrany o lenistwie dziewczyny, Leona skoczyła do namiotu po nici i igły jak sarna. W postawie jej, gdy podchodziła do Baldwina, nie było również śladu hardości, tylko pełne gotowości oddanie.

— Gdzie się rozdarł? — zapytała.

O tu — rzekł Baldwin, rozwierając szeroko poły, a gdy podeszła bliżej, ogarnął ją płaszczem i przycisnął oburącz do siebie.

- Puśćcie mnie, panie — szeptała, niezbyt przerażona —• Paru Gontrana zobaczy. zobaczy, poszła odmawiać pacierze.

—• Stara Helgunda ujrzy i doniesie...

— Niechby spróbowała! Oćwiczylbym na śmierć tą potworę...

Nie wypuszczając dziewczyny spod płaszczu ciągnął ją w stronę swojego namiotu, współstrwożoną, wpółzalotną.

— Brat francuskiego króla — mówił głaszcząc ją pod brodę — chciał, by cię oddać w podarku cesarzowi greckiemu...

— O Jezu! — stanęła, tym razem rzeczywiście przerażona.

— Nie bój się. Rzekłem zaraz, że pani Gontrana nie zwoli, bo cię nawidzi nad inne.

Roześmieli się oboje z dobrego żartu.

— To co? To jakie inne posłają?... — dopytywała się z niepokojem.

—• Nie. Książę Godfryd nie przystał.

— Książę Godfryd sprawiedliwy pan...

— Wolisz go może ode mnie? — zapytał żartobliwie uchylając zasłony namiotu. Stanął jak wryty.

Małżonka jego, Gontrana siedziała na niskim stołku na wprost wejścia.

Zwinna jak łasica Leona nurknęła z powrotem pod płaszcz Baldwinowy, wycofała się, narzucając fartuszek na głowę, i uciekła tak, że Gontrana nie zdążyła jej rozpoznać.

Baldwin stał w miejscu niepewny i zawstydzony jak żak. Wąskie usta Gontrany zacisnęły się jeszcze bardziej, oczy błyszczały jak żuźle.

— Racz mi powiedzieć, z którą z dziewczek mam zaszczyt dzielić męża? — zapytała cedząc słowo po słowie.

— Ty zaraz myślisz Bóg wie co — oburzył się Baldwin. — Zawołałem ją, aby mi zaszyła płaszcz, bo frędzla się naderwała...

— Która to była?

— Żadna z twoich dworek.

—• Cudzą dworkę wołałeś, żeby ci zaszyła płaszcz! — wykrzyknęła złośliwie.

—• Nawinęła mi się właśnie pod rękę... Zmierzyła go nienawistnie pogardliwym wzrokiem.

— Odpowiadaj, która to była?! — powtórzyła rozkazująco. — Nie Leona przypadkiem? Tak mi się coś widzi...

— Powiedziałem, że żadna z twoich...

— Nie łzyj! — krzyknęła groźnie. — Mów! Żadne cudze dworki tutaj nie zachodzą... Chcę wiedzieć, która pokłada się w książęcym łożu, na moim miejscu... Dalej! Nuże! Mów!

Milczał. Ją udany spokój opuścił. Podeszła tuż ku niemu krokiem rozdrażnionego zwierzęcia i chwyciła za ramiona. Po-

czuł jej cienkie, ostre palce, wpijające się w ciało poprzez materię kaftana.

— Co ci po tym? — bąknął rezygnując z dalszej obrony.

— Na śmierć każę ją zachłostać! — syknęła. — W twoich

oczach! A jeżeli mi nie powiesz, będę je chłostać wszystkie po kolei!... Teraz! Zaraz!... Ty przekłety

wiarołomco! Plugawy kłamco! Ty... Ślubną żonę ze szlacheckiego rodu masz, a dziewczkę wieszysz do namiotu... Bezwstydniku! Pluję na ciebie, na twoją gębę obmierzłą! Ty gadzie! Gadaj mi natychmiast, która?

—• Rzekłem, że żadna z twoich...

— Łżesz! Łżesz! Łżesz! Rycerz-kłamca! Piękny rycerz! To Leona, na pewno Leona! Ją pierwszą każę ochłostać... Helgunda! Helgunda!...

Prawdopodobnie podsłuchująca w pobliżu, wsunęła się do namiotu ochmistrzyni, mała, chuda, z rękami pobożnie złożonymi na podołku.

— Pachółka z różgami, tęgiego! I dworki wszystkie tu zwołać! — krzyknęła do niej Gontrana.

— Ani pachółka, ani różeg! — zaprzeczył Baldwin z wściekłością. — I wynosić mi się stąd natychmiast, stare ścierwo.

— Mnie słuchaj — wrzasnęła Gontrana — pachółka wołaj, a żywo!

— Precz stąd! Jeśli ci życie miłe!... — powtórzył Baldwin z taką pasją, że ochmistrzyni uznała za stosowne wycofać się szybko, rzuciwszy od progu bolejące spojrzenie na swą panią.

— Zamorduj mnie lepiej, niż mi taką hańbę masz wyrządzać! — krzyknęła Gontrana. — Masz tu nóż, masz, pchnij! Będziesz się mógł pokładać z ladacznicami do woli! Zabij!

— Opamiętaj się, niewiasto, nie wrzeszcz!... Po co cały obóz ma wiedzieć, co się u nas dzieje...

Owszem, niech cały obóz wie, jak się sprawia książę... Książę! Rycerz! tfu!

-- Milcz, Gontrano. Tyś winna. Nie wrzeszcz. Ty jedna. Pędzisz mnie od swego łoża jak psa. Więcej niż rok jak z tobą me spałem. Co mam robić, kobieto? Co mam robić! Ja niezdatny na mnicha jak Godfryd...

Trzeba było za niego iść... Dobra by ^{Was była para}—

l_{ec} ^{achłwiała} się jak uderzona, twarz jej zastygła na moment, wnet wybuchnęła jeszcze głośniejszym jazgotem:

— Kobiet ci się zachciewa, kiedy na świata wyprawę idziesz, rozpustniku! Każdy dobry krzyżowiec czystość ślubował... Ty wieprzu nieczysty! Poganinie!

— Milcz, na Boga... — szeptał schryple Baldwin. Ogarnęła go straszliwa złość, nieodparta chęć schwywania żony żelazną dłonią za gardło i zduszenia jak kury.

— Milcz, na Boga, bo nie zdzierzę...

— Nie zamilknę! Wołać będę, aż wszyscy posłyszają!

Tętent koni, liczne kroki rozległy się na dworze. Szybkim ruchem rozgarniając zasłonę Godfryd wszedł do namiotu.

— Byle psiarczyk lepiej dochowuje słowa! — wrzeszczała Gontrana, w zacierzewieniu nie widząc wchodzącego. — Słowo Baldwina Lotaryńskiego to śmiecie!! ...Gorzej jak śmiecie... Ha! ha! ha!

— Ani słowa więcej, Gontrano — rzekł Godfryd surowym, spokojnym głosem — mamy ważniejsze sprawy na głowie niż słuchanie twoich nieprzystojnych wrzasków... Zamilknij natychmiast! Powtórne zalecenie nie było potrzebne, bo Gontrana, usłyszawszy jego głos, ucichła od razu. Puściła kaftan Baldwina, spokorniała, w oczach jej stanęły łzy. Odeszła cicho w głąb namiotu i tam usiadła na zwiniętym w wałek kobiercu nie spuszczać oczu z dziewierza.

Baldwin ocierał pot z czoła. — Bóg ci zapłać — rzekł do brata. — Myślałem, że ją zabiję... Gdybyś częściej zechciał z nią mówić, inaczej by wyglądało moje życie...

Godfryd nie zwrócił uwagi na te słowa, jakby ich nie słyszał. Szarpiąc niespokojnie jasną brodę, mówił:

—• Żle jest, Baldwinie. Musimy się najrychlej naradzić, co dalej... Chodź do mnie. Tam będzie spokojniej.

Ani spojrzawszy na skuloną w kącie bratową wyszedł z namiotu. Baldwin za nim. Ledwo znikli, Gontrana skoczyła do wyjścia. Odchyliwszy zasłonę patrzyła za odchodzącymi, patrzyła, patrzyła...

— Co jest złego? — zapytał Baldwin, gdy zasiedli w namiocie Godfryda. Montaigu, d'Esch i du Bourg z nimi. — Czy to wedle tej przysięgi?

— Wedle przysięgi — potwierdził zgnębiony Godfryd. — Słuchaj, co de Montaigu powiada...

— Więc widzieliście basileusa? — zwrócił się do rycerza Baldwin ciekawie.

— Widzieliśmy, a jakże. Hej, wszystko, co królów brat prawil, to jeszcze mało...

— Nie może być! Prędko was przyjęli...?

— Dosyć prędko... Wpierw czekali my w sali modrej i złotej, którą zowią... jak to ją zowią, du Bourg?

— Później opowiecie te szczegóły — przerwał niecierpliwie Godfryd — teraz powtórzcie jeszcze to, co najważniejsze... To, co mówił Aleksy...

—• ...Powiedzieli nam, że trzeba przed nim na ziemię paść jak poddany przed panem — jał opowiadać Montaigu z wolna, uważnie, aby niczego nie ominąć — ale nie zdało się to-nam godziwym.

Rzekliśmy, że u nas takiego zwyczaju nie ma,, i pokłoniliśmy się tylko, całując go w rękę. Srogi to majestat i wspaniały... Tron...

— Opowiesz później o tronie, Montaigu! — nawoływał Godfryd. — Teraz to, coście mówili...

—• ...Więc nie padliśmy na ziemię zgoła... On sowę zażął,, ale nie bardzo, i wnet pytał: kiedy księżę lotaryński przyjedzie?

...Powiedzieli my: Miłościwy Cesarzu! Dobry rycerz, pan nasz Godfryd, księżę Lotaryngii i Bouillon, pan na Metz, Toul i Yerdun, przyjedzie cześć winną wam oddać, jeno racz,, Miłościwy Panie, zwolnić go z tej przysięgi, o której grabią de Vermandois mówił, bo księciu składać jej nie przystoi...

...Zacukał się, aż oczy przymknął i powiada: „Jakoż to? Wrogiem mi chce być wasz księżę?”... A my na to: Nie wrogiem, owszem, przyjacielem bezpieczniejszym niż zaprzysiężony, ale-przysięgać nikomu nie może, ślubowawszy Chrystusowi Jego tylko bronić...

Rozjaśnił lico i prawi: „Tylko o to chodzi? Ależ Chrystus i ja — to jedno... Najpiękniejszym tytułem basileusa jest Filo-christos... Czego Chrystus pragnie, tego i ja... Co On rozrządzi, temu ja się z pokorą poddam... Złożenie przede mną przysięgi podwaja ważność przysięgi złożonej Zbawicielowi”... ^ ...Tu jał wzdychać i na obraz Najświętszej Panny spoglądać, a my rzekli: Racz, Miłościwy Cesarzu, dać nam poznać słowa przysięgi, abyśmy mogli powtórzyć naszemu księciu. Wtedy on skinął na jednego ze swoich, całego we złocie, a ten czytał... I takie są słowa przysięgi:

„Niechaj słyży Zbawiciel nasz, Pantokrator, Filanthropos, ezus^Chrystos i przeczysta Panagia, Theotokos Blachernitissa, święci Apostołowie, i święty Teodor megalomartyres, wszyscy Święci, i Święte Pańskie, jako przysięgam Naj-

u _ k.
rzyżowcy t.

dostojniejszemu, Najpotężniejszemu, przez Boga Wybranemu, Autokratorowi, Basileusowi Aleksemu dochować wierności uczciwej. Mienie zdobyte przeze mnie ma być jego mieniem. Grody, które mnie się zdadzą, jego grodami... Moi poddani — jego poddanymi. Przysięgam czcić go i słuchać jako ojca mojego i pana, a przeciw woli jego nie stawać. A jeżelibym tę przysięgę złamał, niech Bóg ukarze duszę moją potępieniem wiecznym”.

— Hołdownicza przysięga! — syknął Baldwin z rozdrażnieniem.

— Jużci co tak — podchwycił Godfryd — gorzej niż hołdownicza, lennicza! I ja miałbym ją złożyć? Nigdy!

—• Co dalej? Co dalej? — pytał Baldwin rozciekawiony.

— Kiedy skończył czytać, powiedzieliśmy: Zaniesiemy wiernie te słowa naszemu księciu. Jako zechce, tak uczyni, a co uczyni, będzie słusznym i dobremu rycerzowi właściwym. I kłonili my się już, żeby odejść, ale basileus jeszcze mówi: „Jedźcie do waszego księcia i powiedzcie, jako spodziewam się, że nierozsądnego uporu poniecha i jutro przede mną się stawi, bo go miłuję jak syna”. My na to: Nie nasza rzecz powiadać księciu, jako ma postąpić. Ale to wiemy, że tej przysięgi nie złoży. A jemu wtedy twarz stergła i prawi: „Nie moja wina, jeżeli pan wasz dłoń ojcowską wyciągniętą ku niemu odtrąci... Chciałem okazać mu wszelką łaskawość, tę samą, jaką bratu francuskiego króla okazuję... Na niczym by wam nie zbywało... Skoro jednak nieprzyjacielem moim chce być, niechaj nie spodziewa się ode mnie by najdrobniejszej pomocy... Takie jest moje słowo”. Wtedy my pokłonili się i poszli...

— I co począć, co począć teraz? — zwrócił się Godfryd ku bratu.

— Tego przysięgać nie można — stwierdził Baldwin drapiąc się z namysłem w głowę — to pewna.

— Przez gardło by mi nie przeszło! Ale co poczniemy?! Za trzy, cztery dni najdalej, w obozie nie będzie ani denara...

— Owa! — zakrzyknął butnie Baldwin — mało tu złota wokoło! Nie skrzywdzimy basileusa, jak go trochę podbierzemy...

— Grabić myślisz? Za nic w świecie!

— To nie grabież. Nie możemy przecież zdychać tutaj z głodu...

— Nie, nie! Ani mi o tym wspominaj! Nie przeżyłbym takiej

hańby...- Będę jeszcze próbował inaczej... — Pojadę do Galaty, do Genuńczyków... Może zgodzą się po

chrześcijańsku przewieźć nas na tamtą stronę... Do Azji. Zapłacilibyśmy im potem, zdobywszy cokolwiek na Saracenach. Saraceny podobno są blisko... Ruszylibyśmy w pole, nie czekając na Rajmunda i Normanów...

Baldwinowi i pozostałym rycerzom zabłyśły do tej myśli oczy. Na koniec iść w pole! W pole! Pierwszym walczyć z niewiernymi! A dajże Bóg, aby się Genuńczyki zgodziły! Kutwy to i dusigrosze, ale może się zlitują...

Rozdział czwarty GDY WSCHÓD MÓWI Ó ZACHODZIE...

— Jego Dostojność, szlachetny Szymon Dukas, sebastokrator! — zawołał donośnie eunuch, stojący przy wejściu.

Gospodarz, Pankracy Butumitos, wódz wschodnich sił zbrojnych cesarstwa, porwał się żywo na powitanie znacznego gościa, członka panującej poprzednio dynastii, zachowującego mimo zmiany rządu dawne wpływy u dworu z racji wysokich zdolności politycznych i administracyjnych.

— Co słyhać? — pytał poufnie Butumitos, usadziwszy dostojnika na odpowiednio honorowym miejscu — żadnych nowin?

— Żadnych na ten raz. Ale rotę radzę trzymać w pogotowiu.

Szlachetny Butumitos, dowódca sił wschodnich, szlachetny Tatikios, dowódca sił zachodnich, i szlachetny Euiorbenos Kalatos, dowódca sił południowych, spojrzeli z ciekawością.

— Czemu? Czyżby Latyńcy odważyli się nacierać?

— Burzę "się z każdym dniem więcej... Już dzisiaj uderzyli na bramę Świętego Romana, jeno ich Godfrydos zatrzymał... Powadzili się przy tym z bratem... Jutro może ich zatrzymać... nie zdoła...

— Nieszczęście nam naprowadził stratigos Argyrios! — sarknął z niezadowolaniem Kalatos — potrzebnie posyłano go do Galii!

— Stratigos Argyrios nie jest nic winien — bronił nieobecnego gospodarz — jego podróż nie miała wpływu na ruch tych szaleńców... Sam mi powiadał, jak bardzo był nim przerażony... To papież wszystko zrobił, papież ich nasłał, zapewne, by pod pretekstem obrony Grobu Świętego zagarnąć nas pod swą władzę...

— Niedoczekanie, rzymskiego intryganta! Niechaj raczej on podda się patriarsze!...

— ...Stratigos jeździł — objaśniał dalej Butumitos — by zaciągnąć jak najwięcej ludzi do naszych rot...

Niebezpieczeń-

, w jakim się „Gród od Boga strzeżony” znajduje, przedstawiał wymownie, by osiągnąć tańsze warunki zaciągu... Nie jego wina, że całą Galię, Italię i sąsiednie kraje opadła kołowacizna, nierozumny pęd na Wschód i rzekoma pomoc, która stamtąd miała przyjść, może snadno przerodzić się w klęskę... Właśnie, by się od tej klęski zabezpieczyć, Najdostojniejszy Pan nasz, Basileus — oby Bóg mu dał długie życie! — żąda od księcia lotaryńskiego przysięgi.

— Czy najdostojniejszy nie błądzi? — zapytał Tatikios, znikając ostrożnie głos. — Lepiej by ustąpić i dać im żywności niż narażać nasze przedmieścia i targi na najgorsze niebezpieczeństwo ze strony tych barbarzyńców. Dać im jeść i niech siedzą lub idą sobie, gdzie ich poprowadzą Parki!

— Co nam przyjdzie z tej przysięgi?

Sebastokrator spojrział na trzech wojowników z politowaniem, jakie mąż stanu żywi dla żołnierza.

— Szlachetni wodzowie nie wiedzą zapewne — rzekł pouczająco — że niby szarańcza wali na nas cała zbrojna Europa... Najprzód przyszły obmierzłe bandy, dobrze znane szlachetnemu Tatikiosowi, które łośkiego lata zanieczyściły i zasmrodziły Bizancjum... Wiódł je ów pocieszny „Kukupe-tros”, ów pseudoświęty, w rzeczywistości dureń i niedołęga... Udało się te bandy zepchnąć do Azji... Mają obóz pod Civi-tot... Teraz nadeszli Lotaryńczycy... Ale to dopiero początek... Zbliżają się chmury Frankopulów... Z południa Rajmund :St. Gilles... Z północy Flandryjczycy, Normany... Normany!... Pomnimy wszyscy Normanów... Pomnimy chyba dobrze?... Wszystkich razem ma być podobno więcej niż trzysta tysięcy... Co pocniem, jeśli zamiast iść na Saracenów, zechcą dobywać Bizancjum? Dlatego Najdostojniejszy Basileus — oby Bóg mu dał długie życie! — chce każdego kolejno związać przysięgą, zanim się poczują we wspólnej sile...

— Co to pomoże? — zauważył sceptycznie Kalatos. — Jeśli Frankopule zechcą dobywać Grodu, przysięga ich nie powstrzyma...

Mylicie się, szlachetni panowie. Acz wydaje się to nieprawdopodobne, te prostaki dochowują istotnie przysięgi... Nie może być!

~" °Pócz Boemunda, który nabrał już przemyślniej szych wiadomości o sposobach rządzenia państwem, pozostali taaro-™ ^dotrzymują swego słowa. Jeżeli przysięgną nie tknąć niob łTT n*^e ^n^' Można być spokojnym. Oczywiście nie szoby się k_{ez} d_{ro}bnych gwałtów, rabunków, grabieży...

:

Przecież to dzicz, nie znająca miary ni posłuchu... Ale wodzowie, cokolwiek by zaszło, nie obróciliby się przeciw nam...

— Dziwne! Takie znaczenie ma u nich słowo?...

— Takie. Przeto najważniejszą rzeczą obecnie jest nakłonić ich pojedynczo do przysięgi... Według

ostatniej poczty gołębiej, Rajmund z Tuluzy może tu być za dziesięć niedziel,, może nawet nieco wcześniej... Skoro się dowie, że Lotaryń-czyk zaprzysiągł, snadniej to samo uczyni, zwłaszcza że God-fryd będzie go namawiał... W przeciwnym razie podzegaliby się wzajemnie do oporu, a tymczasem nadeszłyby Norma-ny i...

— Wiadomo.

— Lecz jeżeli Lotaryńczyk się nie zgodzi?

— Na świętego Teodora Stratilatosai Nie wiem, co wówczas będzie. Spodziewam się jednak, że własni ludzie go zmuszą. Są głodni.

— Niedobrze jest mieć głodnych i zbrojnych ludzi pod murami — zauważył Butumitos, kręcąc krągłą, wielką głową.

— Niedobrze.

Wszyscy czterej zamyśliли się nad tymi obcymi wojskami, . tłumem zbrojnym, stojącym u bram. Nie pierwszy raz w ciągu dziejów. Trzysta lat temu i więcej, czasu strasznego oblężenia Bizancjum przez Awarów, stali pod miastem, ramię przy ramieniu, Słowianie i Huny, Awary, Pieczeniegi, Bułgary, Wa-regi, Persowie, Medowie, Jazygi, Gepidy i inne plemiona, których nazwy już się zatarły w pamięci. Stali jako wrogowie, mierząc oczami ze strasznym pożądaniem „Gród strzeżny przez Boga”.

Dzisiaj ponowna fala ludów wzbiera, nadchodzi, nadpływa. Idą wprawdzie jako sprzymierzeńcy i obrońcy, lecz doświadczenie Bizantyjczyków nakazuje ostrożność. Znają nieodpartą pokusę złota, którego tutaj jest nadmiar. Złoto! Złoto! Znajduje się wszędzie. Jest go pod dostatkiem i w tej sali, gdzie siedzą czterej przyjaciele. Złoto kapie ze stropu. Błyszczą na ścianach jako tło do malowideł. Złote są lampy, złote kadzielnice, w których na rozżarzonych węglach syczy i pali się bursztyn. W Bizancjum kochają się w złocie i nawet większość nazw w grodzie, jak Chrysoteras, Chrysopolis, Chrysotrikli-nion, wywodzi się od złota.

Doskonale wyuczona służba, której ruchami kieruje wzrokiem stojący nieruchomo u wejścia eunuch, roznosi bezszelestnie cudowne owoce południa, na złotych misach (znów złoto!) drobne ciastka o smaku miodowo-korzennym, ulubione

ostre serki owcze i w wielkich złotych i srebrnych dzbanach wino mrożone, wino grzane, wodę pachnącą i piwo. Użycia piwa nauczyli Greków zaciągając do wojska Rusy i Waredzy, Co prawda, bizantyjskie piwo jest ciężkie, słodkie i korzenne, mało przypominające lekki napój pędzony z chmielu i jęczmienia, ulubiony ludom słowiańskim i ich sąsiadom.

Przyległa komnata, równie rzęsiście oświetlona, należy już *do* gynaeceum, czyli żeńskiej części domu. Oddziela ją ciężka jedwabna zasłona, przy której stoi dwóch eunuchów biało odzianych, z mieczami w rękę. Stoją sztywno jak posągi. Niegdyś zadaniem ich było nie wpuszczać nikogo do gynaeceum, dziś są tylko dowodem zamożności domu. Dawne zwyczaje poszły ^w zapomnienie. Jakże by życie towarzyskie, życie kulturalne mogło istnieć bez kobiet? Jakież urok mogłaby mieć rozmowa, gdyby one nie brały w niej udziału? Toteż im wyższe, pełniejsze staje się życie umysłowo-artystyczne Bizancjum, tym bardziej rośnie ich wpływ i znaczenie, tym niezależniejsze wywalczają sobie w nim stanowisko. Pomimo to formę gynaeceum zachowują, gdyż, pozornie krępując, zapewnia niemałe korzyści. Na podstawie dawnych praw i obyczajów gynaeceum stanowi odrębną, zupełnie niezależną część domu, zaludnioną przez niemożliwą do sprawdzenia ilość niewiast, a to krewnych, przyjaciółek, wędrownych mniszek, służ, niewolnic. Istne państwo w państwie, rządzące się samodzielnie. Równie wielka ilość przeróżnych zakamarków, schowków, bokówek, ukrytych starannie komórek, labirynt znany tylko jego właścicielkom, uniemożliwia panu domu przeprowadzenie ścisłego dozoru nad mieszkaniem swej żony i córek.

ile przypuścimy, że zechciałby ten dozór rozciągnąć nie lękając się oburzonego jazgotu stu niewiast. Zatem gynaeceum trwa. Szlachetnie urodzone panie, wychodząc z mieszkania, zasłaniają sobie lica gazą przeroczystą

lekką jak tchnienie. Jedyne to jednak oznaki dawnej uległości. W rzeczywistości przysługuje im swoboda, większa niż gdziekolwiek indziej na świecie. Korzystają z niej, by mieszać ^{slc}. z zapałem do wszystkich dziedzin życia, szczególnie do polityki. Wokół tronu cesarskiego, niezależnie od tego, kto ^{na} nim zasiada, miotają się nieustające intryki kobiece, i niejedno zdarzenie, mające odbić się głośnym echem w dziejach świata, zostało wywołane i przygotowane przez białe, nieodpowiedzialne dłonie kobiet.

*» skład za tą działalnością zwyczajne cnoty domowe wy--wśród pięknych patrycjuszek bizantyjskich. Wierność

praktykowana jest tylko przez stare i brzydkie. W przedziwny sposób umieją tu pogodzić życie niekrępowane niczym.: z surową, drobiazgową i formalistyczną pobożnością. Ilość potomstwa jest

ograniczona do jednego albo dwojga, a i to jedyne dziecko natychmiast po urodzeniu zostaje oddane na wy-karmienie i wychowanie zaufanej niewolnicy.

Lubujące się w wygodzie, pięknie i użyciu społeczeństwo bizantyjskie żywi niewyczerpaną wyrozumiałość i pobłażliwość dla drobnych, uroczych grzeszków kobiecych. Oczywiście, tylko w swojej sferze, sferze panujących bogaczy. W stosunku do plebsu prawa są niezmiernie ostre i wykonywane-z całą bezwzględnością. Kobieta nieurodzona ponosi śmierć za złamanie wiary. Ściśłość nakazuje wyznać, że i patrycjusz-kom zdarza się czasem, iż zostaną postrzyżone, odziane w habit i wywiezione do klasztoru położonego na skalistej ponurej wyspie Proti, klasycznym miejscu wygnania pięknych grzesznic wysokiego rodu. Aby jednak wywołać tę karę, trzeba czegoś wyjątkowego, niełaski basileusa, odkrytej nieudanej dworskiej intrygi albo szczególnie jaskrawego zgorszenia. Nie było zatem dziwnym, że w pałacu szlachetnego Butu-mitosa zasłona, oddzielająca komnaty gynaecium od reszty mieszkania, była uchylona, a trzymający straż eunuchowie-społgładali bez zdziwienia na odbywające się za nią zebranie.

Kobiet było siedem. Trzy córki Butumitosa i cztery przyjaciółki. Teodora, Zoe, Agata, Prakseida, Irena, Eudoksja, Anastazja. Wszystkie młode, posiadające trzy główne zalety wymagane w Bizancjum od kobiet: urodę, wytworność, wykształcenie. Smukłe ich ciała były cudownie utrzymane i pielęgnowane, umysły giętkie i ćwiczone. Uczyły się wielu rzeczy i mogły rozprawić swobodnie o geografii, historii, matematyce, filozofii, teologii i poezji. Toteż nie tylko otaczający ich młodzi wykwinisnie, zajmujący się wyścigami jako celem życia, ale poważni *logioi*, ludzie pióra (ściśle: słowa), nie nudzili się w ich towarzystwie bynajmniej.

Urodziwych młodzieńców znajdowało się dwóch, Dimitrios i Kleon, pisarzy trzech, a to: Jan Italos, uczony objaśniacz Platona, którego dzieła świeżo przepisał ku wielkiemu niezadowoleniu patriarchy; poeta Prodomos, bożyszczę modnych pań, nie dorównujący jednak wielkiemu Michałowi Psellosowi, świeżo zmarłemu, oraz Bazyli Ceces, znakomity znawca Hezjoda i Homera. Podobnie jak w przyległej sali, wojska latyńskie, stojące pod miastem, stanowiły niewyczerpany przedmiot rozmowy.

— Chciałabym pojechać, zobaczyć ich z bliska, a ojciec nie
-pozwala — narzekła gniewnie Zoe.

— Nie ma co oglądać —• zapewniał Italos. — Prostaki zupełne. Byle niewolnik ma więcej oglady od nich. Za to pycha ich sięga nieba... Czy uwierzycie, śliczne muzy, że uważają się za istoty wyższe, a na nas, na nas, patrzą jak na ciemnych .barbarzyńców!?

Parsknęli wszyscy śmiechem niepowściągniętym, rozgłośnym, aż w sąsiedniej sali Butumitos zmarszczył brwi. Pozwalał naruszać stare obyczaje, lecz bez zbytnej ostentacji.

— Nas... za barbarzyńców! Oni!... O czcigodny Italosie, powtórz to jeszcze raz!... Błagam!...

— Ależ to wcale niezabawne — zaprzeczył Kleon, młodszy syn kyr-palatioza, czyli nadzorcy Świętego Pałacu.

— Zeszłego miesiąca, w małej sali tronowej, gdy Najdo-.stojniejszy, Najpobożniejszy Pan nasz, Basileus —• oby Bóg mu dał długie życie! — rozmawiał przechadzając się z posłami kalifa — jeden z Frankopulów, zowią go, zdaje się, de Melun, ••usiadł na basileusowym tronie...

— Nie może być!

— Niemożliwe!

— Nie do wiary!

— Ojciec mój był tego świadkiem. Usiadł na basileusowym tronie!!

— No i co? Zasiékano go natychmiast?!

— Gdzie tam. Gdy wszyscy stali w osłupieniu, a Najdo-.stojniejszy Cesarz — oby Bóg mu dał długie życie! — raczył udawać, że nic nie spostrzega, brat paryskiego króla podszedł do niego i jął prosić, by zechciał wstać... Uważacie: prosić! •Gbur wstał, ale mamrotał gniewnie, tak iż wszyscy słyszeli, że taki sam on dobry jak Basileus, czemu by zatem nie miał usiąść, kiedy go nogi zabolaty.

— I co dalej? Co dalej? Co z nim zrobiono?! —• Nic dalej. Poszedł do drugiej sali pić wino.

— Nie ukarzą go?

A nie. Każdego innego stracono by w mękach natychmiast, ale tych szaleńców lepiej nie zaczepiać.

Toteż Naj-dobrotliwszy Basileus — oby Bóg mu dał długie życie! — powiedział: „Niechajcie go.

Czyż mściłbym się za taką zniewagę ^a nierozumnym zwierzęciu? Niech idzie w spokoju". ~- I poszedł?!

— Nie od razu. Mógł Najdostojniejszy Cesarz — oby Bóg ^u dał długie życie! — okazać anielską

pobłażliwość, ale

obecni tak nie rozumieli. Ojciec mój oraz wielki drungarios floty poszli za zuchwalcem, by mu parę słów prawdy powiedzieć. Ledwo usta otworzyli, on chwycił za miecz. Wiecie., szlachetne panie, że te dzikusy nie rozstają się z olbrzymimi mieczami. Ciężkie te ostrza rysują i niszczą szpetnie posadzki cesarskie, ale o odpasaniu ich żaden nie chce słyszeć. Otóż ten zuchwalec chwycił za miecz i powiada: „W mojej dziedzinie, na rozstajnych drogach stoi kamienny słup, który jeszcze Rzymianie stawiali... Na tym słupie dobrzy rycerze przybijają znak, że czekają w gotowości na każdego, kto by pragnął się z nimi potykać. Iłem razy znak swój przybił, nie przyszedł nikt, choć nie zbywa u nas na odważnych. O tym was uprzedziłem, a teraz bierzcie za miecze. Czekam!” i chwycił swoje żelazo oburącz. Ojciec i drungarios stropieni jęli mu przekładać, że tutaj, w pałacu, bić się nie wolno, że później... Ani chciał słyszeć. Powtarzał, że każde miejsce dobre jest do walki i że chce bić się natychmiast. A gdy nie stanęli, zelżył ich grubymi słowami i poszedł.

— Co za dzicz!

— Słyszałem przedziwne rzeczy o panujących u nich obyczajach — rzekł poeta Prodrimos, akcentując śpiewnie wyrazy. — Na przykład powiadają, że gdy toczy się u nich proces, decydującym dowodem prawdy jest branie żelaza rozpalonego do ręki. Kto dłoń sparzy — winien. Kto nie oparzy — nie winien. I to rozstrzyga sprawę.

— Ależ to niemożliwe! Obaj muszą się oparzyć!

— Wtedy obaj ponoszą karę. Jeden, że źle postąpił, drugi, że go bezprawnie oskarżył... Taki sąd nazywa się Bożym... Wierzą mocno, że Pan Bóg gotów, jest zawsze ingerować w ich drobne zatargi i sprawić, że niewinny krzywdy nie poniesie... Mentalność naszych mnichów, ale tam wierzą w te bajki i najprzedniejsi w państwie...

— Ach, jakie to nadzwyczajne! Więc oczekują cudu? Czy może zdarzyć się kiedy rzeczywiście, że...

— Nie może, piękna Agato. Rozpalone żelazo jest rozpalonym żelazem i każdy człowiek musi się nim sparzyć, chyba żeby był posągiem z marmuru lub brązu... Trzeba pierwotnych, naiwnych umysłów, aby podobne mrzonki brać poważnie.

—• Pierwotni i naiwni są oni bez wątpienia —• zauważył milczący dotychczas Ceces — jednakże posiadają w sobie pewną wielkość... Przynajmniej tak mi się zdaje... Może dlatego, że się z nimi jeszcze nie zetknąłem... Z opowiadania

przypominają się typy Homera. Toż samo prostactwo, odwaga, pragnienie niezależności... A przy tym ten pęd do realizowania w życiu jakiegoś ideału, pęd, który u nas niestety -wygasł tak doszczętnie, a który sprawił, że rzuciwszy wszystko, przyszli na przykład tutaj, by bronić Grobu Świętego.

— Ech, gadanie — mruknął urażony Kleon — przyszli tutaj Kila grabieży i dla niczego więcej... Gdy ich poznacie bliżej, szlachetny panie, przekonacie się, że z bohaterami Homera ^nic ich nie łączy...

Brudasy zwykle i złodzieje, chciwe na złoto jak kruki...

— Może być...

— A kobiety?! Powiedźcie nam coś i o kobietach! — wy-ikrzyknęła prosząco Agata. — Czy widział je który z was?

— Ja widziałem —• pochwalił się Dimitrios — dwa razy jeździłem z posłami do latyńskiego obozu.

— Opowiadajcie więc żywo! Obóz jaki? Bardzo świetny?!

- Bynajmniej. Podobną nędzę trudno sobie wyobrazić. Namioty małe, ciasne, ubogie... Żadnych wygod.

Nie znają ich ani nie potrzebują... Odziani byle jak. Z trudem rozpoznasz rycerza od giermka, giermka od sługi...

HfieAle prawcie o kobietach!

- Są jeszcze bardziej nieokrzese od mężów. Nie umieją się odezwać. Nie wiadomo, o czym by z nimi można rozma-•wiać. Widziałem bratową Godfrydosa, Odziana w gruby jedwab, lecz ręce jak u pomywaczki... Czerwone, szorstkie, •opierzchłe. Za nic bym się ich nie dotknął... Nie jestem pewien, czy miała bieliznę pod zwierzchnią szatą, ani kiedy się kąpała ostatni raz... Może przed wyjazdem z domu...

— Nie bądź złośliwy, Dimitriosie.

— To nie złośliwość wcale. Rozglądałem się umyślnie po 'Obozie i nie dojrzałem nigdzie żadnej łazienki, wanny, łaźni, a bodaj miednicy... Słyszałem też, że krój stroju zmienia się nich raz na sto lat, by wnuczki mogły donaszać suknie po babkach... Taki to oszczędny naród... Jak się to wam podoba, kochane dziewczęta?

Chichotały srebrzyście, rozbawione, gdyż w Bizancjum mody zmieniały się parę razy do roku.

~~ Rodzą pono dzieci ustawicznie, jak kobiety z ludu... Niepłodność uważają za hańbę... Natomiast są cnotliwe...

~~ Pewnie! Z takim wyglądem! Nie sztuka! ' . ~~~ Są cnotliwe — powtórzył z naciskiem Dimitrios — tego 'oi możemy zazdrościć.

Spojrzał znacząco na Praksedę, z którą byli zaręczeni.

— Możesz się pomienić — odparła wyniośle — weź sobie taką niekapaną, a ja jednego z rycerzy...

— Ładnie byś się z nim czuła, Praksedo...

—• Dlaczego? Muszą mieć mocne ramiona i uda... Żachnął się i poczerwieniał.

— Nie jesteśmy chyba słabsi... A poza tym... Zaręczam ci,, że nie wytrzymałabyś ani godziny z takim prostakiem owłosionym, cuchnącym... Przecież oni nie znają żadnej gry miłosnej, żadnej delikatności, żadnego wyrafinowania! Mogłabyś równie wyjść za mąż za pierwszego lepszego zaciężnego żołdaka!

— Nie gniewaj się, Dimitriosie. Powiedziałam to przecież, żartem, tylko żeby cię podrażnić...

—• Spodziewam się! — zawołał. •— Ich umysłowość jest również na poziomie zwykłego żołdaka. Nic nie wiedzą. Większość nie umie czytać! Rozumiecie? Nie umie czytać! Umieją tylko pić, żreć i bić się...

— Niestychane! Więc taka jest kultura Zachodu? Cóż -się stało z Rzymem?!!

— Z Rzymem? Zgładzili go barbarzyńcy, których prawnuki pragną teraz zgładzić nas... — powiedział z rozdrażnieniem Dimitrios podając niewolnikowi kielich, by mu dołał wina—

Rozdział piąty BASILEUS ISAPOSTOLOS

Godfryd trwał pogrążony w modlitwie. Przez ostatnie dwie niedziele szerniał, wychudł i zmizerniał. Żył w nieustannym niepokoju i rozterce. Genuieńczycy nie chcieli słyszeć o przewiezieniu wojska bez natychmiastowej zapłaty. Byli kupcami, wyłącznie kupcami, i żadne inne racje nie miały u nich znaczenia. Książę lotaryński dobra swe sprzedał. Był w *rzeczywistości* dziadem, żebrakiem, nie posiadającym niczego na świecie. A zdobycz na Saracenach! Wątpliwa zapłata. Łacniej: może Genuieńczyk! odkupią od Saracenów zdobycz wziętą na krzyżowcach.

Więc nie. O przewozie nie było co marzyć. Myślał, żeby promy zbić. Ale lasy wszystkie były cesarskie i pilnie strzeżone. By zdobyć drzewo, należało wprzód stoczyć otwartą bitwę, zerwać ostatnią nadzieję porozumienia z basileusem. \ Od dwu niedziel z górą wojsko Godfrydowe żyło z żebra-jny, z wyprzedaży cenniejszych rzeczy, lepszego przyodziew-. Raz już Baldwin, nie zważając na oburzenie Godfryda, Spalił i zrabował najbliższe przedmieście. Godfrydowi z największym trudem udało się odwołać wojsko i przyprowadzić je z powrotem do obozu. Rycerstwo było wściekłe i gorliło w, kipiało, żądając, aby mu pozwolono iść się bić. Zdobyć pożywnie! Mniej im chodziło o własny głód niż o konie. Konif' Chude, poszerzeniałe, obracały się ku swoim panom, rżąc nsspokojnie i czekając paszy. Paszy nie było. A przecież zaden z^ch-wójów nie posiadał nic cenniejszego nad konia.

^*modlił się rozpacznie, nie wiedząc, co począć. ...Co PO<ĆI?| , -

, -

£Chryste,-Spomóz , wskaż drogę l

ćh^{oS} S; .po*zył u wejścia. Rycerz odwrócił głowę z nie-ęcia^zły^na xhołką.; który mu znowu przeszkadza, i pod-

h^o! Się nie uk^ając zdumienia. Nie pacholek to był, ale bratowa, Gontrana: ,o

Stała nieśmiało; sku-

c palcami brzeg długich rękawów.

— Wybacz, że weszłam, Godfrydzie — rzekła cicho — zdało mi się jednak rzeczą pożyteczną zapytać, czy wiesz, gdzie ninie jest Baldwin?...

— Nie wiem — odparł z niezwykłą u niego szorstkością, odwracając oczy, aby nie spotkać jej wzroku

— nie wiem, i dziwię się zaprawdę, Gontrano, że w twej nierozsądnej za-y.drości przychodzisz aż tutaj. Podniosła obie rące do góry ruchem zaprzeczenia.

— Ależ ja wiem, gdzie jest Baldwin... Nie o mnie rzecz... Chciałam jeno, byś i ty wiedział.

— O co chodzi? Mów!

(...Och, gdyby spojrzał na nią, gdyby spojrzał! Ale nie uczyni tego. Nie przypominała sobie, by spojrzał na nią kiedykolwiek. I teraz patrzył w ziemię jak prawdziwy mnich...)

— Mówże! — rzucił niecierpliwie.

— Pojechał z Kononem Montaigu, Wilfrydem d'Esch, Pawłem du Bourg i dziesięciu zbrojnymi wykraść z kościoła Bla-chnos cudowną Madonnę...

— Co takiego? — zakrzyknął przerażony. — Powtórz!

— ...Wykraść z kościoła Blachernos cudowną Madonnę — powtórzyła powoli, dobitnie. — Prawił, że

mając Ją w rękę snadnie otrzyma od basileusa zwolnienie ciebie z przysięgi, a nie jest pilnie strzeżona...

— Na świętych patronów Lotaryngii! Dawno pojechali?!

— Niespełna godzinę temu...

— Jeszcze ich może dogonię... Wielki Boże! Konia! Żywo! Trząś się jak w febrze z niepokoju i niecierpliwości,

Spiesznie przypasywał miecz. Dygocącymi palcami zapinał podpinką hełmu. Nareszcie podprowadzono konia, osiodłane* i go dla pośpiechu nie wysokim rycerskim siodłem, lecz lekką .podrózną kulbaką. Godfryd wyskoczył z namiotu jak stał, bez ..zbroi, tylko z mieczem. Gorączkowym ruchem chwycił str&ty mię nie czekając, aż mu je poda pacholek. Zebrał wc'ttze, obrócił się jeszcze raz:

[<

— Bóg ci zapłać, Gontrano! — zawołał i ; ruszył z 'iopyta. Koń sadził wielkimi rzutami, wyciągnawszy :szą jaKfStruna, lecz Godfrydowi zdawało się, że sunie jak¹ •iółw..oĘośaniał głosem i nogą, jeszcze i jeszcze... Z przerażeniem ? a.grozą myślał, że nie zdąży, że popełni świętokradztWę, nirri zdoła przeskodzić. Oburzenie unosiło mu .włosy,..:ha gło^wre, rozpałało gniew nieznany zazwyczaj jego.łagodnej, nab^ze. Prostopolnym i nad wyraz sumiennym będąc, nie znosił instynktownie . żadnego gwałtu, bezprawia,- chociażby b-n gwałt lub bezprawie miały w następstwie przynieść dobre skutki. Podobnie nie znosił nieposzanowania ustalonych praw^f Boskich lub ludzkich. Szczytem wolności było według niego ogólne wzajemne poszanowanie praw każdego. Więc wieść o szalonym zamiśle brata przerażała go nie tylko jako zbrodnia świętokradcza, za którą Bóg niechybnie całą wyprawę ukarze, lecz także jako nierycerskie, gorszące, niegodziwe naruszenie własności państwa, na którego ziemiach przebywali. Nie tylko grzech śmiertelny, ale haniebna grabież. Zobaczył ich na koniec. Odetchnął, ale nie zwolnił. Jechali małą gromadką, bez pośpiechu, zapewne, aby nie zwracać niczyjej uwagi. Nie ukrywali się wcale. Rozmawiali rozglądając się spokojnie wokół jak zwykli podróżni.

Godfryd dognął ich, minął z rozpędu, zawrócił, zatrzymał się w poprzek drogi. Koń robił bokami. Ze zmydlonego zadu piana spadała płatami na ziemię.

— Godfryd! — zakrzyknął Baldwin ze zdumieniem.

— Wracać! Wracać! — wyrzucił z siebie Godfryd z wysiłkiem, z trudem łowiąc dech.

— Wracać! Wiem wszystko! — powtórzył.

— Jechaliśmy sobie poglądnąć na mury... — zaczął swobodnie Baldwin.

— Cichaj! Powiadam, że wiem wszystko... Zawracać! Bogu Najwyższemu dzięki, żeś was dognął w porę!...

— Kto ci rzekł?! Co za jucha przeklęta zdradziła!? — zdziwił się Baldwin nie usiłując już ukrywać dalej.

— Mniejsza z tym, kto. Niechaj mu Bóg za to błogosławi... Uchronił was od zbrodni, a mnie i całe wojsko od hańby.... No, dosyć tego, wracamy!

Ale Baldwin nierad ustępował raz powziętego zamiaru.

— Ostaw nas, Godfrydzie. Głowę bym ściał temu, co ci rzekł, ale skoro już wiesz, proszę, ostaw nas! Bóg świadkiem,, że chcieliśmy pomóc ci bez twojej wiedzy, biorąc ten grzech na nasze własne sumienia. I weźmiemy go, nie lękamy się... Bóg nas ukarze, nie ciebie. Choć, klnę się na cześć, ja tego nie mam za grzech.

My też — potwierdzili jednogłośnie trzej rycerze, Mon^{ta}igu, d'Esch i du Bourg.

Nie gadajcie próżno — przerwał Godfryd głosem dygocącym z oburzenia — nie macie za grzech?... O Boże! Świę-kradztwo straszliwe... dusza... wydana na potępienie... wie^{cz}yste... wieczyste... Szatan opętał... Obronę Chrystusa zaczy^{nac} od znieważania Jego Matki!

—• Ale człowieku! Bracie, posłuchaj!...

— Nie! Nie! Diabeł opętał was wszystkich!

— Nie nas diabeł, ale tobie dur spadł na pomyślenie, God-frydzie!... Świętokradztwo, znieważenie?!...

Zali my pogany!? Zali my zdolni ukrzywdzić Pannę Najświętszą?!... Nie pewniejsza Ona w naszych rękach niż u schizmatyków?! Kto Jej milszy?! Te obłudne bogacze czy my, cośwa przyszli ratować Jej Syna, niechając wszystkiego doma?... Gdzie tu grzech!? Gdzie zbrodnia?!

— Nie bluźnij, bracie. Pókim żyw, tego nie zrobisz. Grzech jest grzechem, a "grabież cudzej świętości — grabieżą niegodną rycerza...

— Grabież! — parsknął szyderczo Baldwin — Godfrydzie, mówisz jak dziecko! Nie grabież, bo to nas właśnie pokrzywdzono i oszukano! Basileus winien jest dać nam wszystko, co potrzeba do życia, on, co przez posłów w Clermont skomlał o pomoc, pomnisz, jak skomlał?! A łudził, a zarzekał się, że o nic mu nie idzie, tylko o Chrystusa! Taka to prawda jak kamień pływa! Nie stoją oni o Boga, tylko o swoje bogactwo... Przyszliśwa Grobu bronić, a on nam przewozu żałuje, jadła żałuje, choć im tu wszystkim masło po

brodzie od sytości sphywa! Zeżreć nie mogą wszystkiego, co mają... Dla mnie Aleksy gorszy niż poganin! Fałszywy gad, zatracona jego mać!

— Ty gadaj swoje, ja wiem swoje. Nigdy, przenigdy nie zwołę. Zawracajcie teraz ze mną. I ani kroku z obozu bez mojego pozwolenia, Montaigu! Nie spodziewałem się tego po tobie!

— Baldwin słusznie prawi — odparł krótko rycerz.

— Nie! — krzyknął Godfryd — nieprawda! A zresztą, czy moja racja zda się wam dobrą, czy nie, mnie słuchajcie, bom ja wódz.

— Tak jest — przyznał dumnie i pościagliwie Montaigu.

— A ja nie słucham i nie wracam! — zakrzyknął hardo Baldwin. — Ani myślę wracać! Opatrywałem kościół wczoraj... Straży tu w dzień zgoła nie ma. Mnichy w tę porę są zajęte w klasztorze. Ni żywego ducha w kościele... a krata cienka, że otrok by ją wyłomił... Nim się kto opatrzy, będziemy już w obozie z Panną Najświętszą, a tam niech Ją próbują odebrać! Obaczysz, czy basileus nie pójdzie w układy!

•— Jeśli to zrobisz — zawołał Godfryd z rozpaczą — przebiję się własnym mieczem! Nie przeżyłbym takiej hańby!

— A wojsko co? Niech ostaje i zdycha lub wraca, jak chce? — zawołał drwiąco Baldwin. — Zabić się... Dobry pomysł jak ^{na} wodza, ale widzi mi się, że mój lepszy... Mieczem nie strasz, do obozu wracaj, módl się, płacz, Boga o radę ^{ro}£ — my tymczasem swoje zrobim.

— przebiję się mieczem — powtórzył głucho Godfryd, i Baldwin przeraził się widząc w jego wzroku, że istotnie to uczyni.

— Więc czego ostatecznie chcesz?! — wrzasnął z gniewem. •— Jeść daj! Głodni jesteśmy! Dajęć do wyboru: albo nam zwolisz zabrać stąd w zakład Madonnę, albo zaraz, dzisiaj jeszcze, skrzykam wojsko i ciągnę na gród... Nie myślimy zdychać z głodu, z łaski basileusa i twojej...

„Jeść daj!”... Okrzyk, który ciął na strzępy dziecinną duszę Piotra Eremitę, szarpał teraz równie boleśnie Godfryda. „Jeść daj!” Żaden najświętszy nawet cel, żaden poryw, poświęcenie, niczego nie działają, nie dokonają, jeżeli się wprzód nie da ludziom •— jeść.

— Będzicie jedli. Baldwinie — rzekł Godfryd, z wysiłkiem poruszając zaschłymi wargami. — Będzicie jedli już jutro. Złożę przysięgę basileusowi. Mniejsza to hańba niż to, co chcecie uczynić...

— Jak uważasz — mruknął Baldwin niechętnie — mnie się widzi inaczej.

— Nam też — przywórzili chórem trzej rycerze.

— Przysięgnę •— mówił Godfryd nie zwracając uwagi na ich słowa. — Wracajcie do obozu... Konon się przyoblecze i pojedzie zaraz do grabiego Hugona... Grabią niech zawiadomi basileusa, że gotów jestem przysięgać, dziś, jutro czy kiedy naznaczą...

Stali nieporuszeni, więc zniecierpliwiony zawołał:

— Czynieć, jak każę! Wracajcie! Ja jeszcze ostanę. Pacholek który ze mną, żeby mi konia pottrzymał... Powlókł się stępa w stronę niedalekiego już kościoła Bla-chnos, ani obejrząwszy się na odjeżdżających. Rzucił wodze chłopcu i wszedł do wnętrza. Było istotnie puste i Godfryd ^z przerażeniem pomyślał, jak bardzo pomysł Baldwina był łatwy do urzeczywistnienia.

Ukląkł przed misternie plecioną, złocistą kratą i zapatrzył się w widniejące za nią ciemne, łagodne, bizantyjskie lico - atki Bożej. Żalodne pochylenie głowy, na wąskich wargach śmiech zrezygnowanej, litosnej wyrozumiałości...

Krzyżowcy t.

— ...Maryjo... Królowo... — szeptał — juźci co lepiej, o Najświętsza, by mnie upokorzono niż Ciebie...

I wyszedł uspokojony.

Baldwin i towarzyszący mu rycerze wracali do obozu w milczeniu, źli z nieudanej wyprawy.

—• Jedno jest dobre — mówił Baldwin — że zmusiliśmy Godfryda do jakiegoś postanowienia. Ja go znam. Modliłby się jeszcze parę tygodni, czekając nie wiedzieć na co, a tymczasem połowa ludzi rozeszłaby się po świecie albo poginęła z głodu...

— Ciężka przysięga — zauważył Wilfryd d'Esch — ja bym jej za nic nie złożył...

— Ja. też — potwierdził du Bourg.

— Ani ja — zapewnił Baldwin. — Ach, gdyby się nam było udało! Wszystko przez czyjąś zdradę albo gadulstwo... Ale czyje?... Kto mógł powtórzyć? Kto podsłuchał?... Kto?! Przecież naradzaliśmy się u mnie w namiocie i nawet pachółka nie było...

— Żaden z nas nie puścił pary z gęby — stwierdzili jednogłośnie trzej rycerze.

— Wiem ja dobrze, ale kto? kto? Łeb mu ukreć! W kawałki posiekać! — odgrażał się Baldwin z bezradną złością,

— Kto mógł powtórzyć?... — zastanawiał się głośno w godzinę później już w swoim stanie.

Gontrana, jego żona, siedziała cicho w kącie, odmrożonymi palcami, których widok tak uraził Greka Dimitriosą, pracowicie cerując rozdartą katanę.

Olbrzymia sala tronowa, zwana Chrysotriklinion, pełna była blasku tysiąca świec, jarzących się w złotych świecznikach. W łagodnym ich świetle migotliwą tęczą barw błyszczały ściany, strop i podtrzymujące go kolumny. Do przy-ozdoby tej sali nie użyto innego materiału oprócz złota, drogich kamieni i cennych kryształów, toteż szlachetne jej piękno przerastało wszystko, co można było wymarzyć. Na ścianach złoto kładło się na złocie, wykładane złotem, ozdabiane złotem, drażone w złocie, przeplatane złotem. Niezrównany artyzm wykonania współzawodniczył z bogactwem surowca. Wszystko, co sztuka egipska,; babilońska, perska i najmłodsza z nich, lecz najdoskonalsza — sztuka grecka stworzyła i dała

światu, zeszło się tutaj, spłynęło, złączyło, rozwinęło, związało logicznie, by stworzyć cud dostojnego bogactwa i czarodziejskiej harmonii. Wzniesiona przez tych samych budowniczych, którzy stworzyli Hagia Sofię, sala Chrysotriklinion zdawała się być dziełem wróżek, śladem pobytu na ziemi jakichś istot wyższych, doskonalszych od zwykłych ludzkich grzeszników.

W jednej trzeciej długości sala przedzielona była złocistą, szczelnie zasuniętą kotarą, tkaną w wielkie fantastyczne zwierzęta i gryfy- Kotara spływała od samego stropu w równych fałdach, lśniących jak strugi wody. Po obu stronach znajdowały się wielkie drzwi ze złota i kości słoniowej, wiodące do dalszego szeregu komnat, równie wielkich, równie pięknych, cennych i bogatych. Z pokrywającego ściany złocistego tła mozaiki widniały postacie taasileusów zwycięskich, basileusów w glorii, basileusów Apostołom równych, basileusów nadających mądre prawa, Basileusów walczących z wrogami Kościoła, basileusów powalających rozszalałe lwy. W jednej z sal na marmurowej posadzce barwił się olbrzymi paw z rozpostartym ogonem, błyszczącym od drogich kamieni. Po czterech rogach w bogato ozdobionych medalionach złociły się orły cesarskie, rzymskie, światowładcze, rozdartą głową patrzące na Zachód i Wschód. Za salą z pawiem znajdowała się komnata Perłowa, tak nazwana od mnóstwa pereł użytych do ozdoby ścian, co nadawało jej tajemniczy, księżycowy blask. Dalej była sala przyjęć basilissy, której pawiment opisywano jako łąkę usianą kwiatami. Dalej sala o ścianach pokrytych zielonym porfirem łączonym z białym marmurem, dającym wrażenie,piękna tak doskonałego, że komnatę nazwano Harmonią. Sala zaślubin z wielkim szczerozłotym łóżem i głośna w dziejach sala Purpurowa, gdzie rodziły basilissy. Dzieci tutaj urodzone otrzymywały tytuł Porfirogenetów, czyli urodzonych w purpurze. Co prawda nie tylko kosztowna purpura ścian dawała miano tej sali. Mogła się tak zwać i z powodu przelanej tu niejednokrotnie krwi. Niesamowicie piękne komnaty Świętego Pałacu były zaludnione tłumem krwawych widm i grozę budzących wspomnień. Tu, w ^ purpur owe j komnacie narodzin, wyłupiono oczy nieszczęśliwemu cesarzowi Konstantynowi VI z rozkazu i w obecności jego matki... Tu pięć siostr cesarza Romana klęczało ich k^{bratoiwai} P^ną Teofano, darmo błagając, by młodej^c rasy nie skazywała na dożywotnie zamknięcie w lochu asztornym... Jak słusznie mówił Godfrydowi grabią de Ver-^{ma*o} który basileus pomarł ze starości. Zgony ich raczej do gwałtownych, a labirynt komnat Świętego

Pałacu dawał dobre schronienie spiskowcom. Zresztą, „purpura jest pięknym całunem” — powiedziała niegdyś Wielka Teodora, skoczka cyrkowa, dziewczka uliczna, na koniec sławna w całym świecie basilissa.

W wielkiej sali Chrysotriklinion, mimo zapełniającego ją świetnego tłumy, cicho było jak makiem zasiał. Szeleściły tylko powłóczyste jedwabie strojów. Ceremoniał dworu, przepisujący dokładnie porządek wszystkich mogących zajść okoliczności, przyjąc, .wyjazdów, przyjazdów, uroczystości, obchodów i zdarzeń, był przestrzegany najściślej i ustalony od wieków. Stosownie do tego ceremoniału nikt nie śmiał przerwać milczenia, dopóki by tego nie uczynił niewidoczny jeszcze za kotarą basileus. Uszeregowani w należyty porządku czekali: sędziwy patriarcha w sztywnej

złotolitej dalmatyce, otoczony gromadą diakonów, główni dostojnicy dworu, para-kimenos, kyr-palatiu, wielki drungarios floty i wielki drunga-rios logathesionu, czyli przywódca lądowych sił zbrojnych całego cesarstwa. Protostrator, czyli wielki koniuszy, proto-proedros, protovestarios — szatny. Niektóre tytuły, jak pan-hypersebastos albo drungarios sebastos, oznaczały honorowe godności nie związane z żadnym urzędem. Nadawał je zazwyczaj basileus własnym krewniakom, tej pladze panujących, by zaspokoić ich zawistną ambicję, uchronić się przed tym, by którykolwiek z nich nie wzuł kiedy purpurowych sandałów ogłaszając się cesarzem.

Za dostojnikami stał tłum eunuchów w białych szatach i złotej przepasce na głowie. Wśród nich znajdowało się wielu bękartów cesarskich zrodzonych na stopniach tronu, którym chciano w ten sposób odjąć wszelką nadzieję panowania kiedykolwiek. Okaleczenie nie przeszkadzało im jednak w piastowaniu wysokich urzędów. Nie tylko stratigos Argyrios był wielkorządcą prowincji, a wszyscy mieli jeszcze w świeżej pamięci straszliwego parakimena, eunucha Bazylego, który przez ciąg panowania trzech cesarzy kierował rządami państwa.

Po przeciwnej stronie sali było miejsce kobiet. Długim, równym rzędem stały patrycjuszki „zostai”, czyli pasowane, mające o każdej porze dnia wstęp do komnat basilissy. Odziane były w jednokie powłóczyste płaszcze dworskie z precudnej materii o niezrównanym połysku i barwie. Ręce ich i szyje lśniły od klejnotów. Na głowach miały wysokie jak wieża upięcie, zwane propoloma, z którego spływała na plecy biała

rzezroczyta zasłona. Za ich szeregiem, na podwyższeniu podobnym do tronu, siedziała matka basileusa, Maria Dałazenos, tura kobieta, o twarzy tak surowej, że prawie kamiennej. Długoletnim jej staraniem, zabiegom, intrygom syn Aleksy ydźwigał tron, więc też czuła się uprawniona do mieszania w weao głosu we wszystkie sprawy państwowe. Głos ten był twardy i ciężki.

Przy boku babki siedziała najstarsza córka Aleksego Anna Porfirogenetka, trzynastolatka, ale robiąca wrażenie dorosłej dziewczyny. Była nad wiek duża i rozwinięta. W wyrazistej, smacfliej twarzy paliły się olbrzymie czarne oczy. Ruchy miała żywe pełne wdzięku. Ojciec kochał ją nade wszystko, dumny z niepospolitych zdolności swej pierworodnej. Uczyla się retoryki, filozofii, historii, literatury, geografii, mitologii, nauk ścisłych, matematyki, geometrii, muzyki i astrologii. Mówiła płynnie po łacinie i znała wszystkich starożytnych pisarzy.

Przy niej, lecz na wyższym niż ona siedzeniu tkwił, spowity w złotogłów niby kosztowna lalka, siedmioletni brat jej, następca tronu, Jan Porfirogeneta. Miał żółtą, niezdrową cerę, nienaturalnie rozszerzoną czaszkę i tępe spojrzenie chorowitego dziecka. Do jego przyjścia na świat Anna uważana była za następczynię Aleksego, toteż ambitna i dumna dziewczyna nie mogła darować bratu, że się narodził. Nienawidziła go i ta nienawiść, rosnąca z wiekiem, miała ją kiedyś, po latach, doprowadzić aż do zbrodni.

Niewidzialna orkiestra, złożona z samych fletów, zagrała. Wszyscy pochylili się w głębokim do ziemi ukłonie, zastygli zgięci we dwoje. Purpurowo-złota zasłona rozsunała się powoli. Na wysokim podwyższeniu ukazała się para cesarska w całym majestacie. Na tylokrotnie opisywanym, przesławnym tronie basileusów siedział Aleksy Komnenos. Nosił gęstą czar-ną^ brodę, zakrywającą pół twarzy. Oczy miał piękne, podobnie jak córka, spojrzenie bystre, na pozór dobroduszne, w rzeczywistości przebiegłe. Siedząca obok, na niższym, mniejszym tronie, basilissa Irena, z rodu Dukasów, córka poprzedniego cesarza, wbrew przepisom zalecającym piękność jako konieczny atrybut basilissy, nie odznaczała się urodą, ale małżeństwo z nią było dla uzurpatora tronu tak ważnym posunięciem politycznym, że Aleksy nie zawahał się pominąć tego szczegółu, na^{Poeci /} Pochleb^{cy} dworscy wysławiali basilissę jako purm^{mej} Za róż<? świata, ozdobę tronu, chwałę cesarskiej chuda^{Y / USmiech} jutrz^{enki}. W rzeczywistości Irena była mała, ra- o niemilej, upartej twarzy. Niekochana przez

męża, zdręczana przez świekrę, ową niezłomną Annę Dałazenos, stała się bardzo pobożna i otaczała rojem mnichów.

Teraz siedziała obok męża w przebogatym, wspaniałym, nieodpowiednim dla siebie stroju basilissy, nieruchoma, sztywna, bezosobowa i obojętna. Podobnie jak mąż, race miała złożone przepisowym

ruchem na kolanach, wzrok pusty, utkwiony w przestrzeń. W chwili gdy rozsunała się zasłona, ani o sekundę wcześniej, ani o sekundę później, z przeciwległej strony wprowadzono księcia lotaryńskiego, Godfryda. Dwóch bez-wąsych eunuchów, wyglądających w swych białych strojach niby dwa anioły stróże, wiodło go pieczołowicie pod ramiona. Za nim, stukając mieczem o posadzkę, postępowali: Baldwin Lotaryński, Konon de Montaignu, Wilfryd d'Esch, Paweł du Bourg, grabią de Hainaux. Zapięte na zbroi płaszcze odrzucone mieli dumnie przez ramię, jak gdyby wysuwając naprzód swą żołnierską stalową prostotę. Godfryd po zmaganiach dusznych ostatnich dni miał twarz zszarzałą, zapadłą, pod oczami głębokie cienie. Szedł, bo go prowadzono. Patrzył w ziemię. Starał się nie widzieć nikogo, nie dostrzegać barwnego tłumy, przyglądającego się ciekawie. W pewnej chwili, gdy doszedł do środka sali, błysnęła przed nim złocista poduszka. Wstrzymano go. Patriarcha wysuwał się z krzyżem. Szttywna dalma-tyka chrobotąła o posadzkę. Na fioletowych pantoflach miał wszyte olbrzymie perły. Godfryd położył palce na krzyżu jak na jedynej ostoi, dotknął się go niby niezawodnego przyjaciela, który nigdy nie opuści. Skrzepionym nieco głosem wypowiedział formułę przysięgi. Krzyż odsunął się sprzed oczu. Księżę wstał unoszony natarczywie przez eunuchów. Wiedziono go dalej, towarzyszący mu rycerze zostali w miejscu. Miał podejść tuż do tronu, klęknąć powtórnie, lecz nie przed krzyżem tym razem, przed basileusem, ucałować jego stopę, kolano i dłoń. Ukłęknać przed basilissą, ucałować jej stopę, kolano i dłoń... Wolny rycerz, nie podlegający nikomu, upokorzy się, jak nigdy nikt z jego rodu nie upokorzył się... Znienawidził cesarza straszliwie, drapieźnie. Zimny pot wystąpił na czoło... Dla Ciebie, Chryste... Dla Ciebie, Chryste... — powtarzał wewnętrznie, lecz słowa z warg nie chciały spłynąć do serca. Przestały działać na duszę. Gdyby nie to, że prowadzono go kornie, ale stanowczo, nie byłby w stanie postąpić kroku w przód. Zbliżał się ciężko, z twarzą śmiertelnie bladą. Już jest o krok. Dwie poduszki wskazują miejsce, gdzie uklęknie. Gdzie musi uklęknać... Dla Chrystusa!... Dla Chrystusa.

Nie uklęknie!... Musi!... Eunuchowie cofają się w tył z nieoczekiwanym płynnym szelestem, tuż za pleca-księcia zasunęła się złocisto-czerwona kotara. Znalazł się niewielkiej przestrzeni wypełnionej zapachem kadzidła, ^jm z siedzącą nieruchomo parą...

Z mimowolną ulgą wyzwolenia od setek ciekawych oczu spojrzął przed siebie. Zdumiał się. Twarze Aleksego i jego żony straciły dotychczasową sztywność. Stali się oboje ludzcy uśmiechali się. Irena trochę kwaśno, półgębkiem, Aleksy szeroko, ujmująco.

— Zwalniam cię, synu, z pokłonu — rzekł doskonałą łacińską przysięgą wystarczy. Siadaj tu, przy moim boku.

Cała krew zbiegła księciu do serca w poczuciu odprężenia, radości, wdzięczności. Byłby teraz z ochotą, bez przymusu, po synowsku, ucałował dłoń człowieka, który go zwolnił z udręki. Niezdolny słowa przemówić usiadł na wskazanym sobie niskim krześle. Jak gdyby na to czekając, zasłona rozsunała się znowu z tym samym miłym szelestem. Cesarz i cesarzowa zastygli ponownie, zmienili się w nieruchome, błyszczące klejnotami kukły. Naśladując bezwiednie ich sztywność Godfryd patrzył bez zmrużenia oczu na salę. Patrzył spokojnie, uważnie. Myśl wracała powoli do równowagi. Wzrok jego przesunął się po dostojnikach dworskich, eunuchach, diakonach, stojących w tyle książętach serbskich, bułgarskich, chazarskich, podwładnych bizantyjskiemu cesarzowi, nareszcie spoczął na własnych towarzyszach. Uśmiechnął się do nich, choć dojrzeć tego uśmiechu nie mogli. Jakże wydali mu się piękni, wśród otaczającego przepychu stojący swobodnie i dumnie w swych blachach pancernych, z wielkimi mieczami obciążającymi pas na biodrze! Jakże byli odmienni od dworaków greckich, jak inni, jak zupełnie, zasadniczo inni! Drodzy, kochani, swoi! Poczul się w każdym włóknie ciała, w każdej kropli krwi Latyńcem, złączonym, z nimi najściślej a obcym Wschodowi, dalekim od świata bizantyjskiego o nieprzekroczoną, niezgłębioną przepaść.

Rozdział szósty SZATAN CZY BÓG?

Piotr leżał u nóg biskupa i łkał. Obejmując stopy Ademara dłońmi, całował jego ciżmy, tłukł głową o ziemię płacząc niezrozumiałe wyrazy.

Biskup spoglądał na niego z politowaniem, nadaremnie przywołując, by się uspokoił i gadał do rzeczy.

Nareszcie silną dłoń podniósł przemocą nędznego człowieczka i postawił przed sobą na nogi.

— Siadaj tu — wskazał mu niską skrzynię — siadaj i opowiadaj, co się dzieje z wami? Kaptur zsuń z głowy, bo nie słyszę, co tam mamlesz.

Niepewnym ruchem Piotr ściągnął kaptur na barki. Zacerwienionymi oczami mrugał jak ptak nie oswojony ze światłem. Mniejszy i nędzniejszy niż kiedykolwiek, miał nabrętkłe powieki, twarz chudą, zapadłą, porośłą

niechlujną szczecią. Wyraz zgonionego, załknionego zwierzęcia nie schodził z jego ust.

— Opowiadaj od początku — powtórzył ostro biskup. — Cóż? Słusznie broniełam wam ruszać bez mnie?

— Oj, słusznie, Wasza Dostojność, ale ja nie winien... ludzie mnie przyniewolili...

— Bez łgarstwa! Pamiętam cię dobrze! Sam gotów byłś prowadzić...

— Zawiniłem! — jęknął ze skrucną Piotr, osuwając się znów na kolana.

— Siedź spokojnie i opowiadaj. Lamentów mam dosyć. Chcę prawdy.

Więc opanowując się z trudem Piotr Eremita jął opisywać szczegółowo wszystko, co się zdarzyło czasu straszliwej wędrówki przez Węgry. Opowiadał o zatopieniu w Sawie trzech promów pełnych biedoty. (Było ich z tysiąc ludzi! Było ich z tysiąc ludzi! — powtarzał łamiąc ręce z rozpaczą). O srogich rządach Waltera Bez Mienia, przed którym drżeli wszyscy, na koniec o przybyciu do Bizancjum.

— Rozłożyliśmy się obozem przed miastem — mówił. — Jeść! nie brakło, na to, Bogu dziękować, nie możemy u bat-sileusa narzekać, ale cóż, ludzie -w beczynności a posłuchu nie utrzymasz... Ledwo krzyknę wytechnęli po drodze, dalejże rozlać się po wszystkich przedmieściach a kraść, a grabić wiele można... Tyle złota wszędy! Jakże powstrzymać pokusę? Szczególnie, że to przecież dobro schizmatyckie!... Na koniec dach ołowiany z letniego pałacu cesarskiego zdjęli i Genuńczykom sprzedali...

— Obmierzła hołota! Hańba! — mrucał biskup ze złością.

— Ja nie winien, Wasza Dostojność! Mnie już nikt nie słucha... Natrząsają się jeno ze mnie... A Walter to jprawy zbój... Zarówno mu, z kim się bije, byle się bić... Wszystkich nienawidzi jednak... Prawi nawet, że wolej na Greków iść niż na Saracenów, bo zdobycz u nich znaczniejsza... Ja nie winien...

— Gadaj, co dalej!

— Obaczywszy pałac bez dachu wojska basileusowe otoczyły wkoło obóz i kazały ładować się co duchu na krypy. A kto by nie chciał, mieli rozkaz ubić. Ale w obozie nie było więcej jak połowa ludzi... Reszta wałęsała się gdzie bądź... Tych nie obaczyli my już nigdy... Ani wiemy, co z nimi... Kryją się gdzie, jak zbójce, czy też ich utrupiono — nie wiedzieć.

— A was przewieziono?

— Przewieźli, pognali kijami jak bydło, aż pod Civitot, podle pogańskiej granicy... Obóz wielki, częstokołem otoczony... Tamto siedzim pół roku już bez mała... Galery morzem przywożą codziennie żywność. Galerą tum przyjechał, zasłyszawszy o przybyciu Waszej Dostojności i reszty szlachejnych panów...

— Głodu nie macie?

— Nie, Wasza Dostojność, przywożą suto wszystkiego.

— • Więc, ostatecznie, nie dzieje się wam teraz źle? Piotr zasłonił twarz trzęsącymi się dłońmi.

W piekle nie jest gorzej! — wybuchnął. — Pewnikiem, że nie byłoby krzywdy, gdyby ludzie byli inni... Każdy syty.; JJo roboty nikt nie goni... Wolni wszyscy... Rzeka tuż... Można ch* h^{ac}, można szmaty prać, można ryby łowić... Można g^{ca} . ^{^n} iⁿ a słończku polegiwać, kościska grzejąc... Ale ^{YJ} klch nie maⁿ - Kraj bezpieczny... Żyć, nie umierać! mocr^{SS} zie nie mo^ogą wytrzymać w spokoju! Ni dnia nie wytrzymać! W obozie ciągle bitki, wrzaski, podjud

za-

nią... Nie ma dnia, żeby paru ludzi nie ubito... Każdy na drugiego koso patrzy. A nierząd! Ni jedna już panienka nie chodzi z wiankiem... Każda z bękartem! Toż samo żony... Rozpustę jawnie czynią, jak im się podoba. Za każda gładszą po kilku chłopów włóczy się jak wilki za suką... Wstyd, groza opowiadać, co się dzieje... Poszaleli wszyscy, męże i białogłowy... Starzy i młodzi. Nie obóz to krzyżowcowy, jeno sabat plugawy, szatański!

— Cóż Walter na to? Powiadałeś, że ma ciężką rękę?

— Walter nie wgląda w te sprawy... Ma swoich dwadzieścia tysięcy zbrojnych, w wielkim posłuchu i ryzie trzymanych, osobny obóz z nimi założył, a o nas nie troszczy się zgoła... Co go to zresztą obchodzi! Dawniej może kołatał się w nim ostatek chrześcijańskiego sumienia... Ale dziś! Dobrał sobie przyjaciela, co zwie się Jerzy Burel, a jest wielki łotr... Ten go ze wszystkim opętał... Piją z Walterem razem, razem chodzą na wyprawy...

— Na jakież wyprawy mogą tam chodzić, człowieku!?

— Za turecką granicę... Ani niedzieli w domu nie posiedzą... Pod Nikodemie zachodzą, pod Xerigordon... Czasem aż

pod Niceę...

— Więc walczą przynajmniej z Saracenami? — stwierdził biskup z ulgą w głosie.

— Bogać tam, Wasza Dostojność! Nie z wojskiem oni walczą, lecz z ludnością! Ludność tam zasie

chrześcijańska, choć od piętnastu lat pod panowaniem pogańskim. Saraceny, w twierdzach siedząc, zgoła im nie przeszkadzają, owszem, radują się, że chrześcijanie, krzyżowcy, o których już tam hyr szedł, mordują i niszczą chrześcijan... Walter nie wraca nigdy do obozu bez zdobyczy i kupy jeńców... Każdy z tych jeńców nosi krzyż poświęcany na szyi i płacząc Chrystusa wzywa...

— Co z nimi czyni Walter?

—• Sprzedaje ich w niewolnictwo Grekom, którzy nam galerami żywność przywożą. Za tani grosz sprzedaje braci chrześcijan... Co zaszę Greki z nimi dalej robią, nie wiem... Pono odprzedają z zarobkiem Saracenom aż do Egiptu...

— Boże! Boże! — rzekł z cicha Ademar. Piotr padł przed nim na kolana.

— Panie! •— zawołał z rozpaczą —iż wami to samo bę_-dzie! Zawracajcie, póki czas, nim diabeł wszystkich opęta. Bo to on sprawca! On, grzeszny archanio! Cała krucjata to jego kuszenie diabelskie i nie z Boga się poczęła, ale z czarta!

Ademar tupnął nogą gniewnie.

_Zamilcz, Piotrze, nim byś gadał bluźniąc! Łacno winę zwałać na szatana, gdy się samemu jest winnym! Obaczysz, Wasza Dostojność, obaczysz! Jeśli w porę nie ujdziecie...

— Szalony jesteś. Idź do kościoła, módl się...

—Ivtałem się to w kościołach nakłęczał, krzyżem należał?!

Wszystko na nic... On i w kościele mnie znajdzie! Prześladowuje, żem go odkrył, odsłonił jego przekłętę czarownictwo... On, on! Przez niego poginęło tylu dobrych chrześcijan i ginie co ' dzień, wąpiąc, zali Chrystus jest, skoro do tego dopuszcza... On winien, że niewinne dziewczęta utraciły wianki i podały się w sromotę... On jest promotorem, fautorem krucjaty!

—Idź do kościoła — powtórzył Ademar. Podniósł szlochającego Piotra z ziemi, przeżegnał krzyżem, dał pierścień do ucałowania i odprawił. Głos jego, gdy pocieszał płaczącego, nie brzmiał równie stanowczo i pewnie jak zwykle. Może dlatego, że tegoż dnia przed południem rycerz Raul de Beaugency zwierzał mu się z tej samej obawy, że krucjata jest dziełem diabelskim, nie Boskim.

Rycerz Raul de Beaugency był niegdyś własnością szatana, zaprzedałszy świadomie, dobrowolnie duszę za cenę zemsty nad wujem. Przyjęcie krzyża zwolniło go z czartowskiego poddaństwa. Przez rok z okładem czuł się szczęśliwy, wolny i błogosławiony. A oto od przybycia do Bizancjum opadały go wątpliwości, czy się wyzwolił istotnie?

Wziąwszy krzyż ślubował czystość na równi z wieloma innymi. Przez rok ślubowanie to nie dawało mu się zbyt w znak, lecz od pewnego czasu działały z nim dziwne rzeczy. Każda kobieta, jaką widział, budziła w nim żądę, silniejszą niż wszystko, co odczuwał kiedykolwiek. Na widok pięknych, strojnych Greczynek staniał się, jakby był otrokiem, którego po raz pierwszy wiodą do niewiasty. Zamykał ' czy, odwracał głowę. Daremnie. Postaci ich wdzierały się pod powieki, towarzyszyły dzień i noc, bezwstydnę, kuszące, niemożliwe do przegnania.

ie mogło to być niczym innym jak diabelstwem. Szatan, ch-w c^{-ZioNYI} Ze mU Się zdoBy^{cz} wymknęła, starał się po-^o n& .nowo- Czyż nie był najchytřejszym ze wszyst-[^] Ziemi, on, zabulus > alias suggestor, złych rad z- Tentator kusiciel, piinceps mendacii, ksiązę fałszu

i obłudy, a właściwie, po prostu: Zły, *Malus*. Ten, co chce zła. Co sprawia świadomie zło. Chwytał ponownie Raula w swe szpony. Ale skąd ma dostęp do mnie?! — biadał zrozpaczony rycerz. — Zaliż nie jestem krzyżowcem? Zaliż nie powinna strzec mnie Łaska Boża?

Skąd diabeł miał dostęp do krzyżowców? — na to pytanie i mądry biskup nie umiał odpowiedzieć. Jasną jest rzeczą, że nie powinien być mieć dostępu. Ale miał. Snadż, wbrew nadziejom papieża, wzięcie krzyża samo przez się nie odmieniało natury ludzkiej, tak łatwo poddającej się złu, tak łatwo idącej za podszeptem niezliczonych kohort szatanów, mniejszych i większych, ogniowych, wietrznych, ziemnych, podziemnych, mogilnych, cmentarnych, przydrożnych, wodnych, północnych, południowych, wschodnich i zachodnich. Wszędzie byli, wszędzie czyhali. Nie mogłeś ustrzec się od nich własną siłą, nędzny człowiecze, jeśli cię nie chroniła i nie wspomagała Łaska Boż a...

Łaska... Jasność, przed którą truchleją złe moce? Czemuż jej nie stało ponad głowami krzyżowców? Kogo winna była strzec bardziej niżli tych, co się na wyzwolenie Świętego Grobu ochotnie ofiarowali?!

Dawne wahania, niewiara w powodzenie świętej wyprawy, roztrząsane niegdyś, przed półtora rokiem, w samotnej wieży biskupiej samo dwa z Urbanem, wygnane z duszy, zaprzeczone, wracały teraz uporczywe, natarczywe. I szarpany przez nie Ademar de Monteil, biskup z Puy, przywódca świętej krucjaty, nie umiał dość stanowczo powiedzieć Piotrowi albo Raulowi, że czart nie ma tu nic do gadania...

—• Boże, bądź miłościw nam grzesznym! Co będzie, jeżeli zWąpię ja, co ich powinienem wieść?

Jużeś zwątpił — odpowiadał w duszy głos. Czyż? Tego, co zdaniem Piotra Eremity był jedynym rzeczywistym inicjatorem krucjaty! — Jużeś zwątpił, a raczej nigdyś nie wierzył... Masz bystry rozum i wiesz, na jakie porwaliście się szaleństwo... Zawracaj ich, póki czas...

— Zawracaj, Wasza Dostojność • — błagał przed chwilą z płaczem Piotr.

Zawracaj! — szeptał w duszy tajemny doradca. Czy nie lepiej posłuchać ich obu? Pierwsze poczynania krzyżowców w obliczu Saracenów — to niszczyć chrześcijan i sprzedawać ich w niewole... Czy nie lepiej położyć temu koniec zawracając co rychlej do domu, zanimby wielka krucjata nie stała się przekleństwem i pośmiechem świata?!

jsfa domiar złego, w sąsiedniej izbie Godfryd, książę Iota-ński, przybyły na naradę do Rajmunda, mówił podniesionym głosem:

— Wierzajcie mi, panie, że acz ciężka to przysięga, lepiej • złożyć, byle stąd ruszać jak najrychlej... Uciekać co sił od tego zbytku, od tej rozpusty, bo gorsze są od zarazy... Ledwo przybywszy, nie znacie tego, co my, dawno już tutaj siedzący... Sam diabeł nie wymyśliłby niczego lepszego, by dobrych wojów chrześcijańskich ze statecznej drogi odciągnąć. Nie poznaję swoich ludzi... Nie poznaję moich rycerzy, z^a których drzewiej dałbym sobie bez wahania odrąbać prawicę... Odmienili się... Nie dziwota! Kto sypia na miękkim łożu, w grzesznym puchu, temu już nie zasmakuje twarde, rycerskie posłanie... Kłuje strawa obozowa, jeśli przywyknąć do cudnego jada... I żona w zgrzebnym giele nie będzie miła temu, co się należy przy bezwstydnym, pachnącym białołowach. Są tacy, których już stąd oderwać nie można. Zatracili się ze wszystkim...

Ukrywszy zmarszczoną boleśnie twarz w dłoniach, biskup słuchał z przerażeniem... Szatan... Szatan... Czyż wszyscy nie mówili tego samego? Pobożny Godfryd także podejrzewał obecność Złego Sąsiada, siewcy niepocziwego kłólu...

— Ale ja nie przysięgnę! — zakrzyknął gniewnie Rajmund St. Gilles. Oburzenie grało w jego głosie jak szlachetny metal.

— Wierzcie, że i mnie nie przyszło to lekko... — zapewniał Godfryd jak gdyby ze wstydem — to samom zrazu powiadał, ale co było począć? Jaka droga? Nie przepawimy się bez pomocy basileusowej... A uchodzić stąd trzeba co rychlej, inaczej żaden z nas Świętego Grobu nie zobaczy!

— Nie przysięgnę! — powtórzył krótko Rajmund z pasją.

— A co uczynicie?

— Nie wiem.

jg Normandzki Robert już się podobno opowiedział za

przy-

szę?gą zauważył jakiś pojednawczy głos. Biskup jtoznał, że to mówi de la Tour.

— Wiem to dobrze! — krzyknął Rajmund — wiem! A Boe-mund powiedział posłom, że złoży przysięgę chętnie, jeśli mu ctactzą tytuł protosebastosa i uczciwą roczną płacę... Tfu! Nie-

^aJ czyni, jak chce! Inny jest pozór na cześć u Prowansal--z niżli u Normanów!

również niżli u~Lotaryńczyków, grabio? — za-Godfryd przytłumionym głosem.

...Teraz pochwycają za miecze... — pomyślał biskup — tego tylko brakuje, o Boże!

Lecz nieskalana prawość Godfrydowa była na tyle znana, że Rajmund St. Gilles powściągnął swą porywczność i rzekł prawie miękko:

• — Nic nie może wam uchybić, książę, którzyście wzorem dobrego rycerza.

— • Daleko mi do wzoru, grzesznikiem jestem, pragnącym jeno ślubu co szybciej dokonać...

— Jaz tego pragnę... Ale hołdownikiem nie będę, na Boga!

— Więc co? Więc co? — powtarzał Godfryd udęczoneym głosem.

...Powiniennem iść, zabrać głos i rozstrzygnąć tę sprawę, bo na tom tu jest — myślał biskup. Ale nie ruszał się z miejsca. Nie odejmował dłoni od twarzy. Jak postąpić? W nim samym, dawnym rycerzu, burzyła się dumna krew na myśl o przysiędze lenniczej przed schizmatyckim cesarzem. Lecz Godfryd miał rację. Nie było wyboru. Uderzyć zbrojnie na wojska greckie, zawładnąć okrętami i przeprowić się przez Ramię świętego Jerzego?! Była to otwarta wojna, nieprzyjacieli na tyłach. Było to pozbawienie wyprawy przewodników, pomocy floty, zaopatrzenia w żywność... Nie było, nie było wyboru... Albo się ugiąć, albo... chyba;... wracać...

— Książę normandzki, książę Tarentu i grabią Flandrii jadą! — zakrzyknął wpadając pacholek. Biskup podniósł się, wyprostował i przyoblekwszy twarz w pogodną powagę poszedł przewodniczyć radzie.

Rada nie była łatwa. Rajmund i Tankred twierdzili nieprzejednanie, że za nic przysięgi nie złożą. Nie po to

przybyli aż tutaj, żeby stać się lennikami. Czyimi? Schizmatycznego cesarza! Niech dusza jego spokoju nie zazna za to, że dobrym chrześcijańskim rycerzom nie daje dojść do Grobu Świętego.

— Ostawmy Bogu troskę o jego duszę — odpowiadał biskup. — Jeżeli to jest wasze ostatnie słowo, szlachetni panowie, a słuszna skądinąd duma ważniejsza niż śluby z do-brawoli uczynione, nie pozostaje nam nic innego, jak wracać do kraju... Nie będzie to zbytym wstydem, gdyż zostaliście przez Aleksę oszukani. Obiecywał pomoc, a teraz chce przybyłych obrócić w najemników.

!

Wracać do domu? To im nie powstało w głowie. Spojrzeli na niego jak na szaleńca.

— Do czego bym wrócił? — zakrzyknął Rajmund z Tu-juz₁ — Przysięgam, że nigdy już ojczyzny nie zobaczę!...

I twarde lico skurczyło mu się męką na myśl, że jest w q_{ru}ncie rzeczy bezdomnym tułaczem, dla którego nie masz już, nie masz powrotu.

— Dlaczego ten wtóry ślub większy ma być od pierwszego, bardziej godny zachowania? — zapytał biskup z goryczą.

Rajmund nic nie odpowiedział, więc biskup tłumaczył dalej, że jeżeli nie chcą wracać (czego się spodziewał) — muszą obaj z Tankredem skłonić się ku przysiędze jak inni, starając się w zamian otrzymać obietnicę pomocy w wyprawie.

Boemund uśmiechnął się zwycięsko. Wychodziło na jego. Onże przecież zawsze twierdził, że trzeba podleżeć, gdzie nie można przeleżeć, za przelotne upokorzenie uzyskując jak największą korzyść, która w przyszłości pomoże odplacić upokorzenie z nawiązką.

Ademar zauważył ten uśmiech i zmieszał się mimo woli. Czyżby przebiegłość Boemundowa, tak niemiła jemu i pozostałym baronom, była istotnie mądrością życiową, a powodzenie towarzyszyło raczej chytrym niżli uczciwym i prostym? Sam nazywał wczoraj szpetnym postępkiem Boemunda, gotowego przysięgać, lecz żądającego w zamian godności pro-tosebastosa, a cóż innego ninie doradzał rycerzom? Pokorę i usiłowanie wyciągnięcia z niej pożytku?!

Na chwilę zaległo milczenie. Tylko Boemund opowiadał coś półgłosem siedzącemu obok niego Robertowi flandryjskiemu.

— ...Inom przyjechał, dwie niedziele temu — mówił mrużąc swe piękne, nieco kocie oczy — przybyli do obozu ba-silikowie z darami. Nie ma, co narzekać. Hojne dary. Oręż i szaty, i złoto. A osobno przednie wino, ciasta, mięsiwo, już przyprawione, tylko sięść i jeść. Ustawili to na stole. Powiadają:

„Najdostojniejszy Basileus, oby Bóg mu dw długie życie! przesyła to wam, książę, ze swego własnego stju". Po-

ziękowałem grzecznie, odprawiłem ich. Myślę soop: Boe-, mundzie, będziesz głupcem, wartym, żeby cię kruki zdziobały, jesh tego jada tkniesz... Zawołałem moich wojów. Basileus d b ° P, ^* — powiadam — • ale uczujcie sami, czyniąc oni lą myśi, bo mnnie ie w żołądku coś rżnie... Poszedłem spać, ^{Wszystko} - c° było, zećpałi. Wyobraźcie sobie, "pa-

nie

mne ^ zachorow^o ał! A byłbym przysięgł, że Aleksy

Dlaczego tak sądziliście, panie? — zapytał Flandryjczyk z osłupieniem.

— Ba, powodów ma dość. Sam bym na jego miejscu to zrobił...

— Ale w takim razie narażaliście swoją drużynę?!

—• Kogo miałem narażać? Siebie? Pachołkom dawać próbować byłoby ujmą dla cesarza...

Flandryjczyk nic nie odpowiadał unosząc z lekka brwi. Był z natury małowówny, wielkiego męstwa i prawości, ale milczący. Co myślał — myślał dla siebie.

Tankred zniecierpliwionym ruchem dziabnął w stół trzymany w ręku nożem, aż ostrze wbiło się w płytę.

— Na co czekamy?! — zakrzyknął. — Radźmy coś, na Boga, bo już usiedzieć nie mogę! Ruszać w drogę nareszcie zamiast tu stać!

— Ruszać! Ruszać co prędzej! — powtórzył jak echo God-fryd.

—• Myśmy już uradzili — rzekł biskup zwracając się z surowym wyrzutem do Tankreda — a tylko wy, panie, i grabią St. Gilles obracacie wniwecz nasze postanowienia opierając się czczej formule przysięgi. Złożyć ją i iść nareszcie tam, gdzie nas czeka wiekopomna sława, gdzie jęczy w niewoli Grób Święty! Na co czekamy, powiadacie? A dyć tylko na was obu! Przyszła mi jednak do głowy nowa myśl, bodaj

skuteczna: Jam jest dowódcą wyprawy, obejmującym władzę nad wami wszystkimi z chwilą wkroczenia do Azji. Tak postanowił Ojciec święty, a wy przystaliście. Może zatem zadowolili się basileus, jeśli ja złożę przysięgę w imieniu waszym?

Spojrzeni po sobie zaskoczeni. Nie! Nie dogadzało to im bynajmniej,

— Nikt nie może przysięgać za mnie, swobodnego pana —• mruknął gniewnie Rajmund St. Gilles.

—• Ani zawnie — dorzucił Tankred.

— Ani za nas, którzyśmy już przysięgali...

— Przy tym zważ, Wasza Dostojność, że macie opiekun-stwo szczere nad nami, ale nie władzę...

— Każdy z nas panem nad swoimi ludźmi!

— Jaz nie myślę mieszać się do waszych ludzi, jeno przypominam, żem wodzem wyprawy... Ani opiekunem lub doradcą, ale wodzem... Pomnicie, jako półtora roku temu, w Cler-mont, dawaliście rycerską porękę?!

Milczą. Bo pamiętają. A woleliby zapomnieć.

'__- Wyciągaliście, jako dobrzy rycerze, prawice na znak posłuszeństwa i zgody. Tak czy nie?

Boemund z uprzejmym uśmiechem przypomina, że go natenczas nie było. Reszta milczy. Niebezpieczne jest milczenie tych ludzi. Mądry biskup nie chce przeciągać struny, by się nie zacięli, i odkłada dalszy ciąg rady do jutra. Przez noc niech zejdzie na nich lepsze pomyślenie...

Wyzwoleni z obowiązku powzięcia trudnego postanowienia od razu, rycerze powstają rażno z miejsc.

Tymczasem Raj-mundowa służba już zastawiła stoły do uczyty. Siadają hałaśliwie, gwarnie, bez greckiego ceremoniału. Tu wszyscy prawi rycerze są równi. Pojadają chciwie, zgłodniali po wysiłku myślowym.

Garściami biorą mięso z mis... Kości obgryzione miotają za siebie psom i pacholkom. Ocierając wierzchem dłoni wąsy, świecące od tłuszczu, pogadują o tym i owym. Uczony Szczepan de Blois, nielubiany ogólnie, lecz ceniony dla wielkich umiejętności, powiada, że kto by chciał, może posłać do swoich wiadomość o sobie. W ślad za drużynami normandzkimi przybyli kupcy florency, którzy dalej jak do Bizancjum nie jadą. Nakupiwszy greckich cudności wracają za parę dni do kraju. Za opłatą czterech denarów podejmują się wziąć list i doręczyć go bez ochyby, oczywiście, jeżeli przeznaczeniem jest osoba szlachetna i znana powszechnie, o którą łatwo dopytać.

— Ważna wiadomość — rzekł biskup. — Zaraz każę wygotować pismo do Ojca świętego ze sprawozdaniem, co się z nami tutaj dzieje.

Powiedział to głosem swobodnym, lecz spojrzenie, jakim obiegnął głowy siedzących przy stole, było znaczące. Robert Krótkoudy stuknął pięścią w stół.

— Ja — zawołał — napiszę do Rudego, wiewa darów dostałem od basileusa, wiewa złota a klejnotów!...

Niech zziele-nieje z zazdrości!

...;

• Niech tym bardziej uważa, że ojcowizna wam już niepotrzebna... — syknął mu w ucho nieodstępny Arnuld. . OJ' prawda. No, więc napiszę, że bieda sroga, droga jeszcze przed nami daleka i nie wiadomo kiedy do Ziemi ^wętej dojdziemy... Też nie łgarstwo, co?

izy mu to, bo przestanie się liczyć z możliwością wa-szego powrotu w ogóle...

Więc co mam napisać? Mówże!!? - Najlepiej nic.

•— Ja napiszę obszernie do żony — stwierdza z zadowoleniem Szczepan de Blois.

— Ja nie potrzebuję — uśmiecha się de Hainaux — bo Idą już pewno jest w drodze. Oczekuję jej przyjazdu lada dzień...

Wielu jest jeszcze takich, co by chcieli listy posłać, ale mało kto pisać potrafi. Ci kręcą się niespokojnie, spoglądają prosząco na kanonika d'Aguilers, aż ten, pomiarkowawszy o co chodzi, powiada:

— Ja wiewa czasu nie mam, kroniką będąc zajęty, ale jest tu brat Bertrand, nad podziw biegły w pisaniu. Powiadają

nim, że do trzech listów dziennie potrafi skreślić... Napisze chętnie każdemu, co potrzeba.

Uczta dobiegała końca. Służba zgarniała ze stołów na ziemię nie dojedzone ochłapy mięsa, okruchy chleba.

Na stole pozostało tylko wino, orzechy i słodkie greckie placki z miodem. Do namiotu weszli ulubieni

Rajmunda śpiewacy, bardowie, gędziarze. Wieczór był czarowny, wiosenny, ciepły

wonny, przeto Rajmund kazał podwinąć wysoko zasłony namiotu, że siedzieli jak na dworze. Ogień na wieżach strażniczych pobłyskiwały z dala jak czerwone gwiazdy. Znaczyły szlaki dróg zbiegających się do Bizancjum niby do ośrodka świata. Przesiane przez ciszę dolatywały po wodzie śpiewne nawoływania ludzi zatrudnionych na szalandach, zwanych pyrforoi. Dzwony biły w monasterach, niezliczonych mona-sterach greckich, większych i mniejszych, otaczających cały gród, aż ku posępnej wyspie Proti, skąd cesarskie wygnanki spoglądały na opuszczony przepych Świętego Pałacu. Miesiąc wyplłynął złotym korabkiem na niebo. Zdawał się większy, jaśniejszy, a zarazem dalszy niż w Prowansji. W powietrzu wisiały wonie bijące z ziół, na azjatyckim brzegu rosnących. Ulubiony śpiewak Rajmunda, Pierretto,

gędził, zadartłszy głowę ku złotemu księżycowi. Aby słuchać jego pieśni, zeszło się zewsząd rycerstwo, obsiadło ciasnym kręgiem szeroki plac przed namiotem. Niewiasty nie brały udziału w uczcie, lecz teraz przyszły, by posłuchać gędźby. Elwira siedzi przy mężu, Blanka de Montbeliard przy matce, a Florina utonęła dłonią w dłoni Swenona, oczami w jego oczach. Oboje nie wiedzą i nie chcą wiedzieć o niczym, co nie jest ich wspólną bliskością. Są tak prześliczni, niewinni i zakochani, że rycerze spoglądając na nich chrząkają z zakłopotanym wzruszeniem. Gędziarz śpiewa starą pieśń o zdrajcy, przezdrajcy, zwanym Isembart, i wrogim Gormondzie. W pieśni słyhać

łoskot walki. Skończył. Cisza leży nad placem. Cisza zasłuchana. Tych srogich mężów niczym nie zaczarujesz jak pieśnią...

Robert Courte-Heuse, czyli Krótkoudy, klepnął się po krótkim udzie i rzekł:

— Mam i ja tu ze sobą niezgorszego skalda...

— Chętnie go posłyszysz — zapewnia pan Tuluzy, spokojny że nikt nie zaśpiewa lepiej niż jego Pierretto.

L- Wołajcie mi Chromego Jana! — zwraca się Robert ku swoim.

Wychodzi stary, kulawy Norman, siwo-rudy. Patrzy na panów spode łba.

— Piej, a pięknie, bo tu naszych pieśni nie znają.

— O czym Wasza Wysokość rozkaże? O dobrym rycerzu Keusie, podczaszym?

— Rzekłeś.

Milkną wszyscy zaciekawieni. Wiadomo, że normandzkie bardy znają piękne pieśni. Zastyszeli je w Walii i Armory-ce. Pieśni o królu Artusie i jego rycerzach podle jednego Okrągłego Stołu siedzących.

Stary śpiewa głosem silnym niby głos młodego:

...Dwunastu parów ma dobry król Artus...

...Każdego miecz jest jak błyskawica, oczy jak ostrze sztyletu, a głos jak staczanie się podmytych skał...

...u każdego z nich jedno serce, jedno słowo, jedna rada, jedna cześć. Każdy miłuje tylko jedną panią i zna jeden tylko krok, krok w przód, a nigdy w tył...

...Dwunastu wrogów ma dobry król Artus. Najgorsi z nich to obrzy Riton, co porwał córkę Hodona, królewskiego siostrzana, zaczarowany kot zwany Palucem, plaga nieszczęsnej krainy Mon, złośliwy karzeł, którego nie ima się miecz, i potwór Kuchulin nie mający sobie równego na świecie...

...Potwór Kuchulin ma u rąk i nóg po siedem palców zakrzywionych jak jastrzębie szpony..

...Niepodobny do innych ludzi jest dobry podczaszy Keus. Jest gorejący jak płomień. W czasie największej ulewy wszystko, co trzyma w dłoni, na szerokość pięści, pod nią i nad nią, pozostaje suche. Jest krzesiwem dla rozpalania ognia, ogrzewaczem towarzyszy w mrozy. Śnieg topnieje wokół niego na trzydzieści kroków w krąg. Idzie jak żywy słup ognia...

...Gdy waleczny rycerz Keus zwany Keusem Płonącym, powalił i obezwładnił srogiego kota Paluca, wrócił do gaju, gdzie zasiadał król, i rzekł do królowej Ginewry:

— ...Teraz nadeszła pora na potwora Kuchulina. Z twojego stada, królowo, porwał wczoraj czworo jagniąt. Onegdaj zjadł troje dzieci rybaka z jeziora. Nie Iza tego cierpieć dłużej.

Wyszedł na wzgórze i, przyłożywszy do ust dłonie buchające parą, jął wołać na cały głos:

— ...Wychodź, Kuchulinie! Staw się przed dobrym rycerzem Keusem, który pragnie walczyć z tobą!

...Posłyszał Kuchulin, wyskoczył ze swojej pieczary. Potoczył się kulą ognistą. Ale Keus sam był ogniem, więc roześmiał się z tego wybiegu.

...Natenczas potwór zamienił się w łuk wielki, sięgający od wschodu do zachodu ziemi. Lecz Keus stalową ręką chwycił łuk w połowie, wygiął, przepalił, że zatrzwożony Kuchulin wrócił co prędzej do własnej postaci.

...Walczyli długo, taczając się po wzgórzach, aż jęczała ziemia. Ryk ich rozbrzmiewał jak grzmot. Źródła ze strachu uciekły pod ziemię. Las pokłonił się jak zboże. Tuman wzniesiony stopami zasłonił słońce i dzień zmienił w noc. Stalową ręką Keus targał zezowate, wiszące oczy potwora, że ten skrył je głęboko pod czaszkę. Przez skórę przytrzymał kości, nie pozwalając mu obrócić się w samym sobie, cisnął zebra dłońmi jak rozpalonymi do białości obcęgami.

...Na koniec Kuchulin, straszny potwór, zaczął błagać:

— Puść mnie, puść, dobry rycerzu. Przysięgam, że nigdy nie stanę na drodze króla Artusa ani nikogo, co nosi jego znak: złotego smoka.

Puścił go Keus łaskawie, a Kuchulin uciekł na drugi koniec świata. Dobremu królowi ubył najzdradliwszy nieprzyjaciel.

...W wielkiej chwale zasiadł Keus przy Okrągłym Stole. Nazywano go teraz Keusem Zwycięzcą. Nie miał z kim walczyć, gdyż nikt nie śmiał się z nim zmierzyć. Ale nie było uśmiechu na jego twarzy.

...Nieszczęśliwy jest najdzielniejszy z rycerzy, Płonący Zwycięzca, którego imię postrachem wokoło. Ma sławę i moc, ma zaufanie królewskie, ma podziw wszystkich, ale miłości nie ma i nigdy mieć nie może.

...Któż szlachetna niewiasta pokocha chodzący płomień? Może go tylko podziwiać z daleka. Płonące serce ma rycerz Keus podczaszy, ale płomienia tego nie ugasi. Nie przytuli się do niego nigdy dziewa jak gołąbka. Nie spocznie na

jego piersi. Któż by chciała spłonąć, zżarzyć się, wyschnąć jak wiór? Zginąć w miłosnym
...Miłuje dobry rycerz Keus piękną Kwintylianie, ulubioną dwór-kę"królowej Ginewry. Płonie ku niej dzień i noc.
Wzdycha panna nad męką rycerza, ale obawia się zbliżyć do nieszczęsnego tęsknika. Obiecuje mu, że nigdy na innego
rycerza nie spojrzy. Może wiek jego upały wygasi, natenczas przytuli się k'nieniu. Niechaj to mu obecnie wystarczy.
...Cóż ma począć rycerz Keus? Patrzy z oddali na swą ulubioną. Bucha ku niej żarem. Od gorąca panna ma lico
opalone zimą jak latem w czas żniwa.

...Zdarzyło się raz, że rycerz Keus spotkał na drodze żebraczkę. Wysuptał z mieszka denara, rzucił jej. Lecz denar
rozgrzał się od jego dłoni i sparzył palce starej. Ozeźliła się i wołała:

— Nie odjeżdżaj, synu ognia. Znajdzie się lepszy od ciebie, co cię upokorzy.

...Dostłyszal Keus i zatoczył koniem.

— Nie znajdzie się taki. Wiesz, ktom jest? Keus.

— Tyś jest Keus, podczaszy. Płomień chodzący? Rzekłam ci prawdę, rycerzu. Znajdzie się lepszy od ciebie.

— Gdzie on jest? — zgrzytnął Keus.

— Poznasz go, że twoja miła roześmieje się do niego.

— Zabiję oboje — rzekł Keus i odjechał doma...

— To jest piękne — rzekł nagle do Imbrama Zbylut, siedzący wraz z innymi na dziedzińcu w stłoczonym
pierścieniu słuchających pieśni.

Imbram ze zdumienia otworzył usta gapiowato. Spojrzał na Jaśka, jakby szukając u niego wyjaśnienia dla
tak niezwykłego odezwania. Zbylut nigdy dotychczas nie zaciekawiał się pieśniami, za którymi oni obaj
przepadali. Nie zwracał na nie najmniejszej uwagi.

— To jest piękne — powtórzył w zamyśleniu Zbylut. Wstrząsnął się i wzruszył ramionami,
jakby szydząc z samego siebie. Spotkawszy utkwiony weń wzrok brata, odwrócił się niechętnie,
bębnąc palcami po głowicy miecza.

..-Zdarzyło się w trzy lata potem... — ciągnął śpiewak swoją po-wjesc — że ^{zm}ów siedzieli rycerze przy Okrągłym
Stole. Królowa przedła opodał wraz ze swoimi dworkami. Dobry król rtus drzemał. Wiatr gładził runo jego
siwej brody.

st ^{glⁿ cz^o?} z lasu wyszedł młodzian. Miał wygląd prostaka, ale Ockn }^{STMla^o- BY^l} jasnowłoso, rumiany. Pachniał
igliwem i trawą. wiedział^{slę} }^{Stary, dol: r^Y kró^l} zapytał przybysza, czego chce? Po-

—j[^]. n"ody, że prosi, by go pasowano na rycerza.

nów tak •, ° ^{acn^o} — rzekł król. — Musisz wpierw dokonać czy-Skałv M y^{ielkicn}. by o nich słyszano od Wielkiego
Kromlechu do

~ Dnv • ^{orskie}J i od lasu Broceliande do źródła Viviany. ,azę wszystkiego, królu, co rozkażesz.

-

— Cóż mam ci kazać?- — zamyślił się król.

— Niech walczy z którym z nas — powiedział szydyczko Keus. Naraz usłyszał śmiech i obejrzał się. Kwintyliana
puściła wrzeczono i patrząc w młodzieńca śmiała się cichym, zachwyconym śmiechem. Bo wydał jej się świeży jak
krynica, a ona była zmęczona spiekotą...

Straszny gniew ogarnął Keusa. Wspomnił sobie słowa starej. Skoczył do panny, wyrznął jej pogębek, przepalając na
liczku skórę aż do szczęki, karła królewskiego, co mu się wtoczył pod ridgi, zarzucił wysoko na drzewo i runął na
przybyłego...

Chromy Jan urwał, by zaczerpnąć tchu. Skorzystał z tego Pierretto. Zrywając się na równe nogi
zawołał donośnie:

— Ja wiem, co dalej! Ja skończę! Wiem, kim był młodzian świeży jak krynica! Szlachetni rycerze!
To był Perceval!

— Nigdyś mi o nim dotąd nie śpiewał —• mruknął zdziwiony Rajmund spoglądając na ulubieńca z
urazą.

— U nas tej gadki nie znają. Niedawnom ją u Normanów posłyszał... Dokończę! Raccie posłuchać,
szlachetni panowie!

Znużony stary śpiewak normandzki usiadł, nie broniąc młodszemu podjąć wątku opowieści. Choć
obcy sobie rodem, byli obaj gędziarzami. Łączyło ich braterstwo pieśni, umiłowanie jej. Pierretto
opowiadał śpiewnie:

...Daleko, daleko, na okraju ziemi, stoi góra Montsalyat... Nie doleci do niej ptak, nie dopłynie ryba, nie przeniknie
głos. Na górze jest zamek warowny. W zamku, w czarze kryształowej, która ma poblask miesiąca, schowana jest Krew
Najświętsza, Krew Chrystusa Pana...

Przymknąwszy oczy z, przejęcia, rybałt Pierretto śpiewał dalej o tajemnicy zaklętego zamku, w
którym rokrocznie na świętego Jana, gdy róże kwitną, w oknach przeblýskuje światło. Śpiewał o
Percevalu, prostaku, trzecim dziecku wdowy, która straciwszy dwu synów rycerzy, chowała ostatniego
w chłopskiej nieznanomości wielkości i sławy. O tym, jak Perceval uratował życie staremu królowi
rybaków, który poznałszy, że chłopiec ma serce czyste, nie znające trwogi, zawiódł go na niedosięgly
zamek Montsalyat.

...Tam widział prostaczek żałobny pochód zaklętych rycerzy wokół świętej czary Graala. Lecz nie śmiał zapytać, co to znaczy. Wyszedł rano, tak jak wszedł. Rybak z wyrzutem powiada:

— Czemuś nie pytał? Byłbyś ich wszystkich ocalił.

— Nie śmiałem pytać.

— Mądry musi być śmiałym. Biada ci. Myślałem, żeś im pchnął zbawcę. Myślałem, żeś jest królewskiego rodu... Biada ci! Biada nam! Nie wyzwoli nigdy nikt świętego Graala.

— ja powrócę.

ja powrócisz. Zawarła się już droga. Nikt cudu nie widzi dwa razy... — Ja go ujrzę i ocalę.

Przymknąwszy oczy rybałt Pierretto śpiewał dalej wśród ciszy tak wielkiej, że słyhać było oddechy siedzących wokoło stu i dwustu ludzi. Piękny jego głos niósł się daleko skroś mroku, zdawał się unosić na utkwionych w śpiewaka spojrzaniach. Nieukożona tęsknica, co ogarnęła serce Percevala, sławnego już rycerza, tęsknica za świętym Graalem, w niewiedzy durnego dzieciństwa przelotnie ujrzanym, rozpacz z powodu niemożności odnalezienia drogi do zaklętej góry, bohaterskie, niestrudzone zmagania się z losem, gorącym echem odbijały się w sercach słuchaczy. Miłośnicy pieśni, byli oni również ponad wszystko miłośnikami wielkości i sławy, mimowiednymi poszukiwaczami piękna duchowego, który to rys podpatrzył u nich i zauważył uczony grecki Ceces. Więc w każdej „geście” rycerskiej przeżywali samych siebie, więc teraz, wraz z Percevałem, przemierzali w poprzek, wzdłuż i wszerz cały świat szukając niestrudzenia świętej, utraconej czary. Wędrowali wraz z błędnym rycerzem, wzdychali w nieutulonym żalu, aż małowówny zazwyczaj Robert flandryjski, nie mogąc powściągnąć uczucia, co mu przepeśniało duszę, powstał i krzyknął wyciągając dłoń:

— I my będziemy iść, choćby do ostatnich dni, aż wyzwolimy Grób Święty! Bóg tak chce!

— Bóg tak chce! — ryknęli wszyscy zrywając się z miejsca. Spłonęli, rozgorzali. Wicher uniesienia przeleciał ponad głowami. Tym wszystkim, co wątpili o świętości krucjaty, widząc w niej raczej kuszenie diabelskie, stało się nagle jasnym, niezbitym dowodem, że inicjatorem jej był archanioł światła, nie książę ciemności, że Bóg tak chciał, że Bożym, była dziełem, z Bożego ducha poczętym. Szatan starał się M spaczyć, plamiły ułomności ludzkie, ale i cel, i myśl pozostawały świętymi. Bożym był ten dreszcz zapału, od którego jeżyła się skóra, a włosy prężyły na czaszce jak druty. Bożym był zew, który wyciągnął ich z domów, i Bożym — •zpierające pierś uczucie wyrastania ponad siebie, gwałtowne łaknienie Czynu ogromnego, wielkiego, co by dzieje te wiekom przekazał i unieśmiertelnił...

ktali ramię przy ramieniu, bezwiednym ruchem wyciągając Przed siebie prawice, jak gdyby w przytwierdzeniu ślubowania złożonego w Clermont. Wszystko, co nie wiązało się

bezpośrednio z Grobem Świętym, wydało im się nagle małe i nikczemne, a żadna ofiara zbyt wielka, by cel ślubowania osiągnąć.

Gwiazdy mrugały w górze niezliczoną rzeszą. Greckie niebo było zarazem ciemne i przejrzyste. Czerwone ognie strażnicze zbiegały się zewsząd sznurem, na podobieństwo tych tłumów, z całego świata przybyłych. Dzwony biły w mona-sterach, a głos ich płynął po wodzie. Zebrani w obozie Rajmunda St. Gilles rycerze przeżywali jedną z tych chwil, które są usprawiedliwieniem ludzkości.

Rozdział siódmy W KTÓRYM DOBRZY RYCERZE WYSYLAJĄ LISTY

Pochylony nad niskim obozowym stołem Szczepan de Blois pisał list do żony Adeli. Dwie długie ćwiartki pergaminu gęsto zapisane leżały przed nim, lecz on nie ustawał.

...Rzadko się zdarza — pisał — by ludzkie przewidywania tak się sprawdziły, jako się moje, dotyczące obecnej wyprawy, sprawdzają. Pewnie zawsze tak jest, gdy na życie patrzeć rozsądnie, o co w naszych drużynach najtrudniej. Nie jesteś, miła moja, białogłową-pustogłową jako zwykle niewiasty, przeto piszę do ciebie jak mąż do męża o wszystkim, co mnie zajmuje. Z tego też śmieliby się niemało panowie, moi towarzysze, białkę za stwór niższy trzymający. Ja wiem jednak, że mnie pojmujesz jak nikt. Żałuję srodze, że lichy wplątało mme w tę wyprawę, gdzie ustawicznie patrzę jak jedyny zdrowy na stado szaleńców. Ninie jesteśmy w Bizancjum. Gród to piękny nad pojęcie, nie ma u nas nic, co by z nim można porównać. Ludzie są głady i rozumni. Z radością pozostałbym tu, zamiast wędrować dalej, ale o tym i myśleć nie można, bo dopieroż byłby huczek pomiędzy naszymi! I tak mają mnie za tchórza, że o byle co mieczem do gardła nie sięgam. Osława czepia się imienia jak smoła, i nie daj Boże, abym miał synowi zostawić takie wspomnienie! Dla niego też tylko, dla Egmonda, jadę, choć mnie już to szczerze mierzi. Rad bym ci, miła moja, opowiedział wszystko od początku, ale to rzecz zgoła niemożliwa. I kronikarze nasi nic innego nie czyniący jak zapiski, nie zdążą spamiętać wszystkiego. Do Bizancjum przybyliśmy dwie niedziele temu. Zastaliśmy Hugona de Ver-mandois, któren tu siedzi od jesieni, Lotaryńczyków i Rajmunda z Tuluzy. W parę dni po nas ściągnęli Boemund z Tankredem. Tak, że obecnie jesteśmy już wszyscy zebrani. Moc nas jest i gdy-bY ład był a posłuch, można by tymi siłami zawojować cały świat.

.?z stpimy i głowimy się, co zrobić z przysięgą na wier-si^{osc} basileusowi. Patrząc na nasze drużyny, cesarz Aleksy obawia

. _by im nie przyszło na myśl uderzyć na niego, miasto na Sara-mhi^{o^} T — na^{mo}te cześć rycerską — nie dziwię mu się bynaj-ociao P^zYsięgę złożył wpierv Hugo, potem, acz z wielkim takrv> BTM — Godfryd, potem my z Robertem i Flandryczykiem, lenieć H^{o^{ei}u^od}- Tylko Rajmund St. Gilles, pyszałek i sza-chce ' t^{oreo} nikt jeszcze drogą rozumu nie trafił, nie wyn^{raw} ^i. ^styszeć. Tankred również. Oni dwaj wstrzymują całą <?• Biskup z Puy, któren Rajmunda przenosi nad innych

ofiarował się, że sam za nich przysięgnie jako dowódca naczelny, ale Aleksy nie w ciemię bity, nie przystał. Nie wiem, jako będzie. Gońce latają z obozu do grodu i zasz, a sprawa z miejsca nie rusza. Quot homines tot sententiae. Stoimy nadal, o co ja się. zresztą nie gniewam. Byłem już dwakroć przyjęty u cesarza. Rozumny jest, światły, hojny. Posłałbym ci te dary, co mi dał, ale boję się, czy kupiec uczciwie odda. Przywiozę sam. Takich klejnotów nigdy jeszcze nie widział.

Mniejsza o klejnoty bo dobytku własnego mamy, chwała Bogu, dość, ale siła można by się nauczyć mądrości. Grecy w naukach są bardzo pomkli, szczególnie w geografii, to znaczy w nauce o ziemi. Wiedzą o wszystkich krajach, gdzie leżą, jakie w nich góry, rzeff, grody, jakby w każdym wiek mieszkali. Wszystko to zebrane mają w wielkie księgi. Podobnie medycy tutejsi na każdą chorobę znają leki skuteczne. Bez zamawiania i czarów dotykem rozpoznają, gdzie się słabość w człowieku kryje. Umiejętności tej nabywają, ucząc się na trupach. Tak, moja miła, martwe ciała zloczyńców, którym się uczciwy pochówek nie należy, krają, rozbierają do najdrobniejszej kosteczki. Potem ścierwo wyrzucają precz, a kostki składają z powrotem do kupy w całkowitego kościel ca. Taki medyk kilka lat trupy praktykując, wie na pamięć, jaka gdzie w człowieku kość, jaka żyła. Gdzie serce, a gdzie wątroba. Nasi spluwają na to, nazywają taką naukę czartowskim zajęciem, kata albo sprawcy godnym, i powiadają, że każdy wolej by sto razy zginął, niż greckiego medyka o poradę prosił. Ja sam nie byłem pewien, czy nie ma w tym krajaniu trupów grzechu śmiertelnego, pókim nie zobaczył biskupa z Puy w rozmowie z nadwornym medykiem cesarskim. Cale przyjaźnie gadali. Biskup nasz lubi wiedzę i równie jak ja rad by się zapoznał z tutejszymi bibliotekami, które są tak Y/ielkie i bogate, że ani sobie tego przedstawić możesz. Cóż jednak począć, kiedy nasi okrzyknęliby wnet, żeśmy gorszycciele, z Grekami wspólnotę trzymający. Bodaj że biskupa schynęliby za to z dowódtwa: schizmatyckimi księgami się ciekawi, nie godzien zalesi być wodzem... Znasz przecie naszych panów, co ustawicznie przeciw rozumowi wierzgają, pomyślenie mają kiepskie, ale prędkie i zażarte...

— Patrzajcie, takułmy jak moja kijowska kobyła — zdziwił się Imbram ukazując wierzchowca dostojnika greckiego. Koń miał cieką skórę, płonące chrapy, wielkie, dumne oko i szyję wygiętą jak u dzikiego ptaka, zwanego łabędziem, co przylatuje z północy zimować na śląskich barzynach. Spoglądali za nim z upodobaniem, wzrokiem znawców.

— Nie dziwota, że podobny — zauważył Głowacz — bo pomnisz, jak gadali w Kijowie, że kobyła była po klaczy, co przyszła z Carogrodu, kiedy cesarzównę Annę kniaziewi Włodzimierzowi wienili... Carogród a Bizancjum to jedno.

— Prawda, że cesarzówna była za Włodzimierzem... A Do-broniega Włodzimierzówna, Bolkowa macierz, to po Annie?

•— Nie wiem. Może po niej...

Umilkli uprzytomniając sobie oszołamiającą wielkość i pięk-

Bizancjum. Z tego starego wspaniałego szczepu pochodziła

ⁿ tka nieodżałowanego króla. Młodziutki, urodziwy Mieszko,

lc przez nią kochany, przez Włodzisława Hermana otruty, hvl jej wnukiem. Chwył ich ostry, dojmujący żal za zmarnowaną królewską dynastią.

W ślad za zalem, wywołana kształtem podobnego konia, nadpłynęła przygaszona ostatnimi czasy nagła tęsknota za domem. Za dworzyszczem śląskim, tak niezmiernie odległym, a tak bardzo bliskim i swoim. Aż dziwno było pomyśleć, że gdy oni tyle rzeczy widzieli, poznali, pojęli, gdy zeszli kawał świata, o jakim się dziadom nie śniło, dom ten stoi, jak stał. Jednak idą roboty polne. Jednak snuje się życie. Hej, móg tam ptakiem polecieć, a bodaj cień pchnąć!...

._ Słyszeliście, co mówił grabią de Blois, że listy można

by posłać, a mnich jest jeden, któren je napisze?

—• Kanonik mówił o mnichu... Słyszeliście, abo co?...

— Może by i my?

— Do kogo? Niewiasty ani starzyk czytać nie umieją...

— Opat by im przeczytał...

To Zbylut mówił. Zbylut wysuwał myśl, by niewiastom, czyli Boguszy i Ofce, przesłać wiadomość! Było to czymś niezwykłym.

- — Co im po tym? — mrucał Głowacz niechętnie. •— Cztery denary chcą kupce od listu, a mnich też pewno za darmo nie pisze...

—• Denary to głupstwo — zapewnił stanowczo Imbram. Był olśniony pomysłem, zdumiony, że wcześniej sam nań nie wpadł. Trzebaż było dopiero, by go ten brat nie cierpiany i nie cierpiący podsunął. Jużci, co opat przeczyta! A raczej: pismo trzeba do opata skierować, któren jest znaczna osoba i łatwa do odnalezienia. W piśmie poprosi go się, by na two-rzyszcze Strzegoniów zajechał i takie a takie posłanie białkom dał...

-eraz i Głowacz nawrócił się do tej myśli.

Jak do opata, to co insze — oznajmił. — Opat zaraz rozpowie wszystkim we Wrocławiu, z Wrocławia hyr pójdzie na dwór książęcy i po całej Polsce. Obaczą, że jesteście sprawiedliwi krzyżowce...

jm, ° kazemy rzec białogłowom? — przerwał niecierpliwie

— A cóż? Żeby dobra i dziecisków należycie strzegły...

— Ja bym jeszcze chciał rzec Ofce, że ją... miłuję... tak samo jak... przy odjeździe... — bąknął Imbram odwracając twarz, bo Głowacz zmierzył go spojrzeniem pełnym pogardy.

•— Na kpiny przed opatem chcesz się podać!? — burknął. — Tyli szmat świata posyłać takie drogic pisanie, po to, żeby białce powiedzieć, że ją... mi-łu-jesz!... Tfu! Ty zawsze durnym otrokiem zostaniesz!

— W Prowansji rycerze nieraz o tym mówią, ba, sam widziałem, że karty z pisanem o tym, jak swoją panią nawidzą, przybijali...

— Prowansalskie cudaki niech sobie robią, co chcą... Na Śląsku to nie uchodzi.

— To i nie warto pisać — westchnął Imbram —• jeśli jej nie mam nic uciesznego powiedzieć?

—• Dość, że się dowie, iż żyjesz i domaś nie zahaczył...

— Nie zabaczyłbym jej i za sto lat, hej!

Łzy stanęły mu w oczach. Zbylut patrzył nań drwiąco, po swojemu.

—• Cię, jaki miłujący! — rzekł z przekąsem. —• A nie mogłeś to z Węgier pacholka do niej pchnąć? Byłby na gębę powtórzył wszystko, co byś chciał. Z Węgier niedaleka droga.

— Prawda! — zawołał Imbram z żalem. — Ze mi też to nie przyszło do głowy! Czemuś wcześniej nie powiedział!?

— Mam cię uczyć? Przecież ją pono miłujesz? Żeby była moją żoną, dawno bym do niej posłał...

Wzruszył po swojemu ramionami i rzucił półgębkiem:

— Żeby była moją żoną, tobym w ogóle wcale nie odjeżdżał.

—• O reta!!! —• zawołał Imbram, teraz już naprawdę rozżalony. Któż był winien temu, że on odjechał!?

Kto to spowodował? Zbylut przecież... nie kto inny.

Brat Bertrand, biegły w pisywaniu listów, był gruby, wesoły, gadatliwy. Z umiejętności pisania znano go w całym konwencie. Sam przeor patrzył z podziwem na dłoń pisarza, suwającą szybko, zamazującą gęsim piórem. Za napisanie listu brał jednego, nieobcinanego denara.

Stojąc za jego ramieniem Głowacz dyktował powoli, rozważnie.

— Piszcie tak, wielobny bracie:

n opata Gwidona w Lubiążu, na Śląsku, podle Wrocławia, Wito-ław Zbylut i Imbram, dobrzy rycerze z rodu Strzegoniów, zasyłają

zdrowienia, w Imię Pana naszego Jezusa Chrystusa. Niech będzie Uchwalony! Jesteśmy w grodzie greckim Bizancjum. Dobrze nam się powodzi. Szliśmy tu bez mała rok. Za parę niedziel ruszymy dalej na pogan Saracenów. O tym dajcie wieść starzykowi i niewiastom na Strzegoniowym dworzyszczu...

Głowacz mówił słowo za słowem, wyraźnie, lecz brat Bertrand nie zwracał nań zgoła uwagi. Z niepojętą szybkością wodził piórem po papierze, wyprzedzając znacznie myśli dyktującego. Gdyby Głowaczowi sztuka stawiania liter nie była obcą, zdumiałby się niemało. Ktokolwiek bowiem cokolwiek podawał do napisania bratu Bertrاندowi, zacny mnich pisał zawsze jedno i to samo. Nauczył się przed laty treści poprawnego listu i powtarzał go teraz niezmiennie, bez omyłki, z taką wprawą, że mógłby go pisać po ćmaku. Pozdrowienie w Panu Bogu Wszechmogącym! Łaska Jego z wami. Niech wam odpuści grzechy, a po śmierci korony niebieskiej nie skąpi. Miłosierdzie Jego jest wielkie, przeto ufajcie, że się spotkamy po stronie sprawiedliwych i zbawionych. W Bogu nasza ucieczka i schronienie. Pozdrawiam was i żegnam pozdrowieniem chrześcijańskim, życząc szczęśliwej śmierci po pobożnym życiu. Amen.

Rozdział ósmy W CHARONOWEJ ŁODZI

Smutnej i bladej Willibaldzie, małżonce Omera Guillebaut, nieraz przychodziło na myśl, że lepiej było zostać v,-domu, znosić mękę i haniebną upokorzenie żelaza, trzymającego kobietę jak w sidłach, niż porywać się na wyprawę. Od długiej jazdy na koniu była równie obolała, odsedniona, a w dodatku musiała cierpieć szorstką obecność męża, ponurego, podejrzliwego Normana. Obaj z bratem nie mieli łatwego usposobienia, o nie! W czasie podróży koń jej okulał, musiała jechać za mężem, na okrytym kapą końskim zadzie, jak to było we

zwyczaju. Trudno podobną jazdę nazwać wygodną. Zad żrebca był krągły, szeroki, śliski. Mąż tęgi, nie mogła objąć go w pół. By się utrzymać, wsuwała ręce za jego twardy skórzany pas, ciasno opięty, który kaleczył jej palce. Przy każdym zwrocie Guillebaut trącał ją łokciem zbrojnym w stalowy ochraniacz i narzekał, że mu wściekle przeszkadza. Gdy prosiła, by zezwolił jej jechać za giermkim lub innym rycerzem, wzruszał odmownie ramionami, z szyderczo wrogim uśmiechem. Isć pieszo (jechali ciągle stępa, mogła byłaby nadążyć) nie pozwalał również. Będąc panią nie mogła wędrować, jak sługa. Toteż do Bizancjum dojechała ledwie żywa, zbiedzona, zgorzkniała, wewnątrznie skulona, by jak najmniejszą powierzchnię wystawiać na razy, których jej życie nie szczędziło. W rozłożonym pod murami Bizancjum obozie odpoczywała nareszcie, dni całe nie wychodząc z namiotu. Własne jej dworki oraz szlachetne Gwenona i Alberta, żony normandzkich nobiliów, opowiadały z zachwytem o bogactwie i piękności życia greckiego. Słuchała z zapartym oddechem jak bajki, ani marząc o tym, by kiedykolwiek te cuda, leżące tuż za obozem, zobaczyć. Wiedziała, że mąż nigdy by na to nie zezwolił.

Za to on sam jeździł codziennie do grodu. Mimo swej nienawiści i pogardy dla kobiet, był ich żądny. Poznał już bizan-

•sicie dzielnice płatnej miłości, ofiarującej się usłudze każ-iVinu Tam zaspokajał swą posępną chuć, pogardę żywioną ulicznic greckich przenosząc w następstwie na Bogu ducha Willibalde. Uraz duchowy zadany przez pierwszą żonę, człowieka, jakiego w życiu kochał i któremu wie-zaufanie zdradzone przez piękną wietrznice — nie za-""erały się z wiekiem, przeciwnie, rozrastały się w sercu i duszy jątrzyły, dokuczały coraz'boleśniej, przesycając goryczą •„z'i tak ponure usposobienie rycerza. Nieustanne rozważania mające za cel wrogą płeć, nienawiść do całego rodzaju niewieściego, doprowadzały pana de Guillebaut do istotnego zamroczenia umysłu. Zaczynał przypisywać kobietom wszystko zło, jakie gdziekolwiek działo się na świecie. Nocami przypominał sobie przepowiednie, zwane prorocstwem Merlina, na-ciinając je do swoich poglądów. Przepowiednie te, liczące już blisko siedem wieków, znane były powszechnie. Każdy tłumaczył je po swojemu, stosując niezrozumiałe obrazy do bieżących zdarzeń politycznych, kościelnych lub zjawisk przyrody. Panu de Guillebaut zdawało się rzeczą jasną i prostą, że mówiły one wyłącznie o kobiecie, samicy, wrogu obmierzłym, wszetecznym. Leżąc w namiocie, trapiiony przypomnieniem gładkiej Greczynki, posiadanej przed kilku godzinami, zaciekał się w swej niechęci. Ot i ta żona! Myślała, że go złudzi pozorami cnoty, chciała być chytrzejsza od niego. Próżne nadzieje! Normana można tylko raz oszukać. Przejrzał kobiety na wskroś i wie, że wszystkie są jednakie. Do nich, do nich, tylko do nich odnoszą się na przykład takie słowa:

...Wzbije się czapla z Kalateryjskiego kraju i wszystek ród ptasi sprzymierzy się z nią... (Chyba dość wyraźnie? — Czapla, grue — bezecna samica) ...Na pola uprawne się rzuci i pożre wszystko ziarno zbioru... (nic chciwszego nad kobiety...) ...A gdy ustanie Piaga, zły ptak przeleci nad doliną Gabes i siądzie na górze wysokiej... Na szczycie rośnie cedr... (to mąż, waleczny, szczery, przez niewiastę okłamany...) „tam założy gniazdo... W gnieździe zntósie_ trzy jaja... Wyjdą z nich lis, wilk i niedźwiedź, które

epy by wąpił, że to mowa o kobiecie. Ona zrodziła lisa, łąko ^{Ytrość_ wilk}a, czyli chciwość, i niedźwiedzia, czyli

ms ^o— Ona przyczyną wszelkiego grzechu. Przeklęta Wy'- ^{W ktÓrej ją Pan BÓ} stworzył! dziewczki^ Z Pogrózką ^{dłóńr} w której czuł jeszcze krągłość

bezbronnf, ^i ^{W Stronę poloweo łóza_ dzie spala} J^{eo} uai ^{udr}ęczona żona.

Florina spuściła dłonie do wody. Woda była ciepła jak latem. Woda przepływała między smukłymi palcami dziewczyny jak coś żywego, miłego, wiecznego i nietrwałego zarazem. Jak życie samo. Łódź posuwała się szybko, zostawiając na wodzie smugą rozdwojoną w kształt jaskółczego ogona. Była to jedna z pięknych, smukłych dworskich łodzi, wyłożona i rzeźbiona, oddana przez basileusa dla przyjemności i wygody szlachetnych gości oraz ich małżonek. Królewicz duński Swenon siedział obok narzeczonej. Stykali się ramionami. Jaśniejszy niż we Francji miesiąc stał wysoko na niebie, moszcząc blaskiem o barwie roztopionego mosiądzu wy orana' przez łódź bruzdę. Krople spadające z wiosel mieniły się blaskiem. Wokoło leżała głęboka cisza i nierównany czar wiosennej bizantyjskiej nocy. Mury, zdające się wyrastać wprost z morza, widziały się białe w miesięcznej poświacie. Ciemna toń była gładka i spokojna jak zwierciadło.

Duegna Floriny, starsza, gruba niewiasta, drzemiała. Miesiąc już na nią nie działał. Dwaj paziowie siedząc w kucki patrzyli przed siebie ku migającym z dala światłom grodu. Narzeczem czuli się sami w obliczu nocy, wiosny i wody. Noc, utkana z księżycowego widmowego światła, woni ziół rosnących na brzegach i cichego plusku wody, zarzucała na cały świat czarodziejską zasłonę złudzenia, zaklętą nawitkę i bogini, zamieniającą w piękno każdą ziemską rzecz. Przez tą zasłonę świat zdawał się najpiękniejszym, najsprawiedliw-szym ze światów, a życie jednym zachwytem. Więc też zachwyconym rytmem biły serca narzeczonych. Upajała ich wzajemna bliskość, nigdy dotąd nie znana. Oboje byli niewinni, po raz pierwszy poznający tajemną łączność ciała j z ciałem, łączność, co spaja

silniej niż łańcuch żelazny; po raz pierwszy czując w sobie rozbudzony żar skrzyszony prostym zetknięciem się dłoni. Jakież to piękne było, jakież nie-j słychane! Nie sądzili, by ktokolwiek przed nimi mógł podobne uczucia przeżywać. Niewątpliwym było, że nie przeżywał ich nikt. Cudowne wrażenia leżały gdzieś nie znane jak ukryte.! skarby, czekając na tę noc i na nich dwoje, by się rozwinąć, zabłysnąć, odurzyć. Florina i Swenon stali się odkrywcami Raju Szczęśliwości, połaci Nieba, dostępnych dla tych, co nie ukończyli jeszcze dwudziestu lat, co płyną w miesięczną noc po szerokiej wodzie, a serce i duszę mają pełne wewnętrznego śpiewu.

Dzwony poczynały bić na wieżach monasterów. Dzwoniły długo, bo zbliżała się pora pierwszej straży nocnej. Rozproszo-

• h ołos przypomniał obojgu niedawny wieczór, gdy Pierret-^{na} -^C • wał o Percevalu, rycerzu świętego Graala, a wszyscy, ^t .[^]wszy się z miejsc, ślubowali życie złożyć, by Jeruza-^rwa^vzwolić. Powrócił zapał tej chwili. Przytuleni do siebie, pTrina i Swenon, zapragnęli przyczynić się do osiągnięcia ' teao celu. Zapragnęli poświęcić się, w podzięce za od-^v aną szczęśliwość złożyć największą możliwie ofiarę. W r^efni radości poczuli arcyłudzkie łaknienie zgładzenia wła-i radości, by tą ceną okupić urzeczywistnienie wielkiego marzenia.

T pod wpływem tego głodu poświęcenia Płonna, gorąca B-ircrundka, z pańskiej rasy nie znającej innego przymusu niż parzucony przez samego siebie, odsunęła się pierwsza od umi-

lowanego.
_ Nie zda się wam godziwym, królewiczu — zapytała — byśmy ślubowali nie dotknąć się, aż wejdziem do Jeruzalem?

Spojrzał na nią z uwielbieniem i przerażeniem zarazem. Milczała. Wysoko ceniąc przysięgę, bał się złożyć ją lekce, a potem zerwać, jak to poczynili inni.

_ . Nie wiem, zali wydzierżem — rzekł niepewnie. — Lepiej zgoła nie ślubować niżli potem nie dotrzymać...

— Dotrzymamy — odparła z dziewczęcą powagą. — Bóg nam pobłogostawi. Będzieszli ślubował?
- Niech tak będzie.

— Tedy ślubujmy oboje.

Nie zważając na zdziwione spojrzenia paziów uklękli w łodzi i ujawszy się za ręce mówili uroczystym półgłosem:

— Panie Jezu Chryste, Zbawicielu nasz, przez miłość Twoich Ran Najświętszych, ślubujemy Ci arii się obejmować, ani boćkać, ani żadną wspólną przą mieć, aż Grób Twój Świąty wyzwolimy. Tak nam dopomóż Bóg. Amen.

Puścili dłonie i usiedli na poprzednim miejscu, nie dotykając się już ramionami. Patrzyli przed siebie na wodę, na złoty szlak, jaki słał przed nimi księżyc, wyolbrzymieni we własnym mniemaniu, dumni, a zarazem zatrwożeni. Po krót-Chwili z westchnieniem kazali wioślarzom nawrócić.

nie h ^{asileu}s Isapostolos przyjmował gości w ścisłym gro-w ' • [^].^{(tworsic}iego ceremoniału, przyjęcie odbywało się nie nej Q v]" ^{Sali} Chrysotriklinion, lecz drugiej, mniejszej zwa-ściom I- ^{Sj}o^{Wa}, Nastrój panował wówczas swobodniejszy. Go-ołno było siedzieć. Wstawali tylko, by odpowiadać

na zadawane przez basileusa pytania. Mogli również rozmawiać z członkami cesarskiej rodziny, o ile ci raczyli się do nich pierwsi zwrócić. Zaproszenie na taki poufny wieczór uważane było w świecie greckim za wyjątkowy zaszczyt i wyróżnienie udzielane tylko panującym.

Tego zaszczytu doznali panowie łatyńscy. Wszyscy już oprócz Tankreda złożyli przysięgę żadaną i cesarz Aleksy pragnął okazać, że potrafi to ocenić. Wprawdzie Rajmund St. Gilles postawił warunek, że słowa przysięgi będą zmienione, zawierające tylko przyrzeczenie, iż żadnych zdobytych ziem nie weźmie dla siebie ani podniesie miecza przeciw ba-sileusowi — cesarz musiał na to przystać. Nie należało przeciągać struny i opóźniać odejścia krzyżowców, których utrzymanie kosztowało niebywałe sumy. Aleksy zatem ustąpił, czuł się jednak urażony i dał to odczuć dumnemu księciu. W przeciwieństwie do innych rycerzy, obsypanych kosztownościami, ani Rajmund, ani jego ludzie nie otrzymali żadnych podarków.

Na dzisiejsze przyjęcie grabią Tuluzy był zaproszony wraz z żoną, lecz odmówili oboje. Elwira byłaby wolała trupem paść, niż klęknąwszy całować dłoń basiliissy Ireny. Córka Alfonsa, pogromcy Maurów, nie poniży się do tego stopnia! Rajmund przyznawał jej słuszność. Tankred nie stawiał się również. Natomiast przybyli pozostali. Biskup Ademar, Hugo, Godfryd, Baldwin z Gontraną, obaj Roberci, Szczepan de Blois; i Boemund. Każdemu towarzyszyło dwóch starannie wybranych rycerzy.

Obawy Elwiry okazały się zbyteczne, gdyż basilissa Irena była nieobecna z powodu osłabienia wywołanego długotrwałym postem. Przy boku Aleksego zasiadała w miejsce matki najstarsza jego córka, Anna Porfirogenetka, ulubienica, przeznaczana niegdyś na tron.

Aleksy Komnenos chciał być tego wieczoru czarujący i przyszło mu to bez trudu. Bogata jego, giętka natura dostosowała się łatwo do upodobań każdego. Po krótkiej chwili olśnił biskupa i Szczepana gruntowną wiedzą, Godfryda pobożnością, Roberta flandryjskiego i Roberta norrnandzkiego doskonałą znajomością rzemiosła wojennego. Był uprzejmy, swobodny, prostoduszny. W ślad za cesarzem cały dwór przesadzał się w uprzejmościach dla Latynców, bohaterom starożytnym równych, choć nazywanych w duchu obmierzłymi barbarzyńcami.

Jedynie księżniczka Anna zachowywała zwykłą pogardliwą

. jść Milcząca i sztywna mierzyła przybyłych obojęt-wynios^{'em>}, drwiącym uśmiechem oglądała Gontranę, zaniedbaną cerę, szorstkie ręce, jej dworki, proste nie umiejące stąpać po śliskiej posadzce. Mimo zna-gniewnych spojrzeń ojca nie kryła się wcale z nie-, jaką wzbudzali w niej przybysze. Wszystko w nich a^{nawe}t twarde, trudne do wymówienia nazwiska. "P suwając po nich wzrokiem, zatrzymała się na Boemun-V-" Ten jeden wydał jej się podobnym do ludzi. Bez przy-^{zie}ci patrzyła na" jego urodziwą twarz, wysoką postać o sze-**rokicli** ramionach i smukłych biodrach. Był przy tym starannie odziany od innych. Patrzyła na rękę leżącą niedbale na łożni miecza. Paznokcie były czyste i równo obcięte. Tak, iedyny to był z nich wszystkich, zasługujący na miano człowieka, nie dzikiego barbarzyńcy.

Jak gdyby odgadując te myśli Boemund spojrział w jej stronę i podszedł z uśmiechem. Nim zdążyła zmarszczyć gniewnie brwi w odpowiedzi na zuchwalstwo, skłonił się i przemówił swobodnie — przemówił, nie pytany, do niej, Porfirogenetki!

— Przyglądacie się, księżniczko, z ciekawością obcym rycerzom? Wydajemy się wam zapewne okrutnymi prostakami?

Głos miał dźwięczny, gorący. Łacina- brzmiała miękko w jego ustach. Anna ani się spotrzęła, gdy odpowiedziała:

— Prostakami? Wy, rycerzu, nie.

— Nie posiadamy skarbów greckich ani wiedzy — ciągnął Boemund — ale posiadamy młodą tęgość i siłę. Do nas należeć będzie świat.

Anna odrzuciła w tył głowę.

— Mylicie się, rycerzu. Świat należy do nas, jedynych prawych dziedziców wielkiego, powszechnego imperium rzymskiego.

— Świat, księżniczko, oddaje się chętniej śmiałemu zdo-Dywczy niż temu, co potrząsa wygasłym już prawem. Wierście

jemu żołnierskiemu doświadczeniu.

^{Nasze} prawa nie są wygasłe i trwają w mocy — odparła urażona do żywego.

na

-i głoWą i nachYliwszy sie_ tak blisko, że poczuła _ J^eS^o oddech, dorzucił przyciszonym głosem:

stworzeń' ZaSługą starYch praw, jeno samą sobą jesteście *^{CU}na pani_ do te^o> bY władać światem... Należał tron zabrany przez brata.

Dotknął zuchwale tajnej rany jej duszy. Jak śmiał o tym wiedzieć! Jak śmiał o tym mówić? Zbladła i cofnęła się o krok z zaskrzonymi oczami. Boemund nie stropił się.

— Ja wywalczę dla was władztwo, większe niżli to zabrane...

Nim zdążyła cokolwiek odrzec, ogarnął ją namiętnym spojrzeniem i odszedł w przeciwny kąt sali. Krok miał koci, giętki, zdobywczy. Nie patrząc, czuł na sobie wzrok Anny obrażony, zadziwiony, niespokojny. Był zadowolony z siebie.

Goście powstawali z miejsc stukając mieczami o posadzkę. Basileus po pozornym wahaniu zgadzał się pokazać im swój skarbiec. Życzenie to było w gruncie rzeczy jego myślą, umiejętnie Latyncom podsuniętą. Pragnął oszołomić ich widokiem swej potęgi, a równocześnie przekonać naocznie, że dobrać się do tych skarbów bez jego wiedzy i woli jest niepodobieństwem dla jakiegokolwiek żywego człowieka. Skarbiec basileusów znajdował się w marmurowych podziemiach Świętego Pałacu. Prowadziły doń dwa wejścia. Oba znane tylko dwu żyjącym osobom: każdorazowemu cesarzowi i jego parakimenowi.

Robotnicy, którzy przed wiekami pracowali nad budową podziemia, nie opuścili żywi miejsca swej ostatniej pracy. Z dwu wejść jedno służyło wyłącznie basi-leusowi, a wiodło wprost ,z jego sypialnej komnaty przez zawiły labirynt tajnych przejść, niewidzialnych zamków i ukrytych-drzwi. Drugie, znacznie trudniejsze i odleglejsze, ukazywane było gościom i podawane za jedyne.

Więc teraz gromada rycerzy, z Gontraną i jej dwiema dworkami, szła w orszaku basileusowym przez

niezliczone dziedzińce i komnaty, kolumnady, wirydarze, atria, stopnie w górę, stopnie w dół, aż poza obręb Świętego Pałacu, w miejsce, gdzie znajdowało się wejście do cysterny.

Istnienia tej ostatniej nie podejrzewali dotychczas rycerze, ze zdumieniem dowiadując się, że Bizancjum nie posiada wcale słodkiej wody i zmuszone jest ciągnąć ją akweduktami z odległej o milę osady zwanej Belgrad, posiadającej nadzwyczaj obfite źródła. Że w czasie oblężenia akwedukty mogły być zniszczone, a gród pozbawiony wody — pod całym miastem ciągnęły się cysterny, przechowujące zapas wody wystarczający dla stolicy na siedem, osiem lat. Cysterna, do której schodzili obecnie, obsługiwała wyłącznie pałac cesarski, a wspierało ją trzysta sześćdziesiąt pięć kolumn, tyle, wiele dni w roku.

W otworze zwilgłych stopni czerniało studzienne lustro nie-

r

Ci

mej wody. Woda ta opadała szybko, ukazując dalszy - °schodów. Gdzieś daleko, nie wiedzący, co robią i na co, olnicy otwierali zawory, upusty, ściągali wodę do puⁿ,^{ie}ch komór zapasowych, obniżając jej poziom do tyła, by 'glileus z gośćmi mógł popłynąć łodzią.

Lśniące od wilgoci stopnie występowały z wody jeden po i -uaim. W miarę jak się ukazywały, orszak schodził po nich. T^zYnm prz^{ez} niewolników pochodnie odbijały się migotli-T-ym masera w wodzie. Blask ich rozświetlał zaledwie szczupły kra q najbliższej przestrzeni, dalej zalegał nieprzenikniony, aż gęsty mrok. Odpływająca woda pluskała i szeleściła o niewidzialne mury. Na koniec z wody wyłonił się ganek obwiedziony z dwóch stron marmurową poręczą. Dalej już schodów nie było. Czarna toń zakotyła się, stanęła. Plusk i szelest ucichły. Pracujący kędyś daleko niewolnicy zamknęli upusty.

Basileus, jego świta, jego goście stanęli na ganku. — Wołajcie Charona! — rzekł Aleksy.

Zza pleców dygnitarzy wysunął się stary niewolnik, półnagi, z wielką siwą brodą. Był głuchy i niemy, przeto mogący być przewoźnikiem cesarskim. Wyglądał istotnie jak Charon. Ale rycerze łatyńscy nie wiedzieli, co by znaczyło to imię, przeto bez niepokoju patrzyli na starca. Skłoniwszy się do ziemi przed władcą, niewolnik otworzył niewidoczne w murze, szczelne, zamczone wrota poruszane ręczną dźwignią. Za nimi majaczyła martwym przebłyskiem woda. Na wodzie stała złocista krypa cesarska. Wrota były tak szczelne, że przy[^]wysokim stanie wody w cysternie, do komory-przy-stani nie przenikała ani kropla i okrywające siedzenie kobierce pozostawały suche, zwiotczałe "jedynie od trwającej w powietrzu wilgoci. Brodząc po pas Charon wypchnął łódź na gładkie, tonące wiecznym mroku jezioro cysterny.

Jadący milczeli niby, pod niewidzialnym nakazem. I choć rycerze łatyńscy nie wiedzieli, co oznaczało przezwisko Charona, ani zasłyszeli kiedykolwiek o Styksie, ogarniała ich groza, jak gdyby zanurzali się w dziedzinę zmarłych. Dokąd płynęła złocista łódź, przemierzająca się z wolna pomiędzy wilgotnymi kolumnami? Gdzie byli? Jak dawno płynęli? Zdawało im się, że czarna nieruchoma toń z wystrzelającym z niej lasem kamiennych słupów wiedzie w nieskończoność, a oni płyną już po niej szereg godzin, może dni?... W rzeczywistości cysterna, choć ogromna, nie była tak wielka, jak irq się to wydawało. Objeżdżali ją już bowiem trzeci czy czwarty raz sądząc, że jadą ciągle w przód.

Nareszcie zatrzymali się przy ganku, bliźniaczo podobnym do poprzedniego. Charon pozostał w łodzi, zgarbiony, brodaty. Pozostali poszli po schodach w górę, potem wąskim przejściem wprost, potem uchylono jakieś drzwi potężne, potem znów schody w górę i w dół. Skarbiec. Wysokie sklepienie komnaty. Ściany wykładane marmurem gładkim jak lód. Sklepienie z drobnej, wąskiej cegły o wytrzymałości granitu, której tajemnica wyrobu była pilnie w Bizancjum strzeżona. Parakimenos własnoręcznie zapalał od wyjątego z łodzi kaganka liczne lampy zwieszające się na złotych łańcuchach i od stropu. Każde nowe światło wywoływało szereg nowych czarodziejskich migotań, potysków, drgnień blasku, aż stało się od nich jasno we wszystkich czterech salach. W tym odurzającym świetle widniało bogactwo, wyglądające raczej na sennie, nieprawdopodobne marzenie niż na rzeczywistość. Złoto leżało od posadzki aż do stropu, złoto w sztabach, w bryłach, w żółtych jak wosk kręgach, w solidach zwałonych na kupy jak piasek. Zesypane na ziemię jak zboże w spichlerzu, leżały korce drogich

kamieni, pereł i klejnotów. Pod ścianami stały złote zbroje, złote rzędy, złote sprzęty, złote trony, złote posągi, łańcuchy, naczynia. Od widoku tyłu skarbów, od nagromadzenia bogactw przybyłym mąciło się w głowie. Staniali się oszołomieni, szczykali po rękach, by przekonać się, że nie śnią. Basileus Aleksy chodził po skarbcu z uprzejmym uśmiechem gospodarza, co rad jest, że goście widzą jego dobro, a zarazem stwierdzają, iż dobro to pilnie jest strzeżone i do zdobycia niełatwe. Ręką ukazywał wysoko pod sklepieniem ślady pozostawione przez wodę. W razie niebezpieczeństwa najazdu skarbiec mógł być w przeciągu paru pacierzy całkowicie zatopiony.

— Wybierzcie sobie stąd, co się wam żywnie podoba — awiał. — Daję najchętniej, w dowód mej szczerzej ku wam przyjaźni.

Wzdragali się udając obojętność. Nalegał. Niby od niechce- wybierali najdrobniejsze, najmniej wartościowe rzeczy. Przyjmowali powściągliwie me czując za hojnością szczerzego, otwartego serca. Byliby woleli przyjść tutaj jako zdobywcy

Boemund, z lekka przęgięty w biodrach, zmrużonymi oczami oglądał skarbiec. Nie wziął nic. Umknął dłoń przed zaponą podawaną mu przez Aleksego.

- jeden tylko klejnot pragnąłbym otrzymać — rzekł patrząc wprost w oczy cesarza.

_ Jaki to? Mówcie, książę — zapytał Aleksy z niedostrzegalnym niepokojem.

— Pierścień, który nosi na palcu księżniczka Anna Porfirogenetka — odparł Boemund głosem gładkim jak dobrze wymierzone cięcie.

Aleksy zbladł i poczerwieniał. Zuchwalstwo Tarentczyka odjęło mu mowę. Pohamował się jednak i odparł prawie spokojnie:

— Zbyt szybko idziecie, książę. Onegdaj prosiliście tylko o tytuł protosebastosa.

— Prędzej dojdzie do celu, kto szybko idzie — odrzucił Boemund.

— Są cele nieosiągalne.

— Dla mojego rodu nie ma takich.

Ciemna skóra Aleksego pociemniała jeszcze bardziej pod naporem wzburzonej krwi. Ten hołysz ośmielał się przypominać swój ród, zatem swojego ojca, groźnego szaleńca, który o włos nie stał się panem Bizancjum! Przez chwilę zdawało się, że cesarz wybuchnie. Należał on jednak do tych graczy politycznych, co nigdy i w żadnym wypadku nie palą za sobą mostów. Uśmiechnął się więc tylko ze wzgardliwym lekceważeniem i odszedł wdając się w żywą rozmowę z biskupem. Boemund pozostał zwycięzcą. Ostatnie słowo było jego. Nie wątpił, że potrafi, jeśli zechce, zdobyć tron basileusów-Przegnałby, hen, Saracenów, przywrócił dawną świetność, dawne granice cesarstwa... Tak, to dla niego zadanie... Wydawało mu się naturalnym i słusznym, by on, książę Tarentu, wybił się nad innych krzyżowców, użył ich sił jako pierwszego stopnia do zdobycia zamierzonego celu. Któż by z nich mógł się z nim mierzyć? Poczciwy skrupulat Godfryd, lekkomyślny, leniwy Hugo, zarozumiały głupiec Robert normandzki lub Robert flandryjski, zabierający głos raz na dobę albo rzadziej? Jednemu Rajmundowi St. Gilles Boemund przyznawał zdolności wodza równe swoim, uważał jednak grabiego za nieobliczalnego popędliwca, postępującego zawsze wbrew własnym swoim interesom. Ot, choćby dwa przykłady: ślubował, że nie wróci do Tuluzy... Dlaczego? Co mu z tego przyjdzie? Takie piękne księstwo, zupełnie nieobdłużone... Albo z tą przysięgą basileusowi?! Tyle krzyku, upierania się — o co? Sam na tym stracił, bo mu Aleksy nic nie dał... Nie, nie, mimo swoje zdolności, mimo przepyszne drużyny, Rajmund St. Gilles nigdy Boemunda nie przewyższy.

Wychodzą już ze skarbcza. Parakimenos gasił światła, zamykał drzwi. U stóp schodów głuchoniemy brodaczek czekał skulony na przodzie łodzi, bardziej niż kiedykolwiek podobny do swego przezwiska. Przy młym świetle lamp wiózł ich znowu nieskończenie długo między rzędami wyrastających z wody, lśniących od wilgoci kolumn, w głęszy prawie zaświatowej. Wędrowka po tym labiryncie wodnym była tak niesamowita, że gdy przybyli na koniec do brzegu i weszli na schody jaśniejące u góry pełnią słonecznego światła — nie byli pewni, zali wszystko, co widzieli, nie było przywidzeniem, obłudą, majakiem...

Oczekujący na powrót cesarza orszak powiększył się o szlachetnego Euforbena Kalatosa, dowódcę południowych sił zbrojnych cesarstwa. Aleksy spojrział nań pytająco, a gdy wódz padł na kolana, pozwolił wsiać i mówić.

— Najdostojniejszy, Najpobożniejszy, Najświętszy, Apostołom równy, Panie! Rycerz Tankred zagarnął siła statki genueńskie, załadował swoje wojsko i ninie jest już po tamtej stronie...

— Nie złożywszy przysięgi! — zawołał z gniewem Aleksy-

— Tak jest, o Najdostojniejszy, oby Bóg pomnożył twoje lata!

— Tankred przeszedł na tamtą stronę! — zakrzyknął Godfryd z mimowolną zazdrością i podziwem.

Przeszedł! — zawtórował jak echo Baldwin. i złym okiem spojrział na Boemunda.

— Nic o jego zamiarze nie wiedziałem — odparł Boemund wcale niestropiony.

- Wy za niego odpowiadacie, odpowiadacie za wyrządzoną ^{przez} niego szkodę!

- MÓJ brataniec jest pasowanym rycerzem i odpowiada ^{za} siebie.

- Niedawno, tłumacząc go z prostackiego uporu przedstawiliście rycerza Tankreda jako otroka, w waszym wszystkim od was zależnego... Łacno zmienia się u was mniemanie...

Boemund poczerwieniał z gniewu i podszedłszy tuż do cesarza syknął:

— Nje tak łacno jak u greckiego basileusa, co chciał otruć

swojego sojusznika i krzyżowca! Dlatego mój brataniec, prostym i uczciwym będąc, nie chciał przed takim władcą przysięgać!

O dziwo, Aleksy nie wybuchnął gniewem.. Nie kazał uwięzić śmiałka. Poczerwieniał i ściszym głosem rzekł:

— Cóż za brednieprawicie mi, książę? Kto kogo chciał truć? Kiedy?

— Żadne brednie, jeno prawdę szczerą. Przysłałiście mi, Miłościwy Panie, zaraz po przyjeździe podwieczerek ze swojego stołu. Wdzięczny za taką szczerotę, zaprosiłem towarzyszy moich, wojów.

Aliści Matka Boska nie chciała lichej śmierci swych obrońców. Objawiła mi się mówiąc: „Nie jedz, Boemundzie!” Nie wiedziałem czemu, alem zaraz rzekł do towarzyszy: godzi się, byśmy ku czci Najświętszej Maryi Panny przepościli dzisiejszy dzień. Usłuchali, choć z żalem. Wyszli ze mną. Ale pies mój ostał. Jako nierozumne stworzenie wdarł się na stół i pokosztowawszy — zdechł! Zdechł! Dopierom poznał, czemu mnie Najświętsza Panna ostrzegła. Nigdy o tym nie mówił, bo mi wstyd było taką rzecz roz-g aszać, ale już więcej milczeć nie będę!

Aleksy targał niespokojnie brodę.

- Pies zdechł, bo obżarł się nadto. - uśmiechnął się wzgardliwie:

- Język miał czarny, a żywot wzdęło mu jak banię... -

— Skąd ja mogę znać przyczynę? Może ktoś z waszych trucizny dosypał?

— U nas trutka nie w zwyczaju. Mieczem rozprawiają się mężowie, nie jadem.

Aleksy wzruszył ramionami i odszedł. Boemund dopiął swego. O Tankredzie nie było już mowy.

— Zuch Tankred! Zuch Tankred! — powtarzał Godfryd z zazdrością. — Mogliśmy wszyscy tak zrobić... A o czym rozmawialiście tak długo z cesarzem?...

— Et, nic... Na Tankredowy postępek narzekał..

Najdostojniejszy basileus, już w swoich komnatach, mówił z rozdrażnieniem do parakimena:

— Przecież postanowiłem wyraźnie, że nie będziemy truli Guiskardczyka!

— Tak jest, Najdostojniejszy, Najświatlejszy, Najpobożniejszy Panie, oby Bóg pomnożył twoje lata! Postanowione było, że trucizny się nie doda...

— Więc kto się ośmielił! Słyszeliście, co opowiadał?

— Słyszałem., Najdostojniejszy, Najpobożniejszy, Najświatlejszy Panie, oby Bóg pomnożył twoje lata!

— Kto! Kto!?

— Może Najdostojniejsza, Najczcigodniejsza Anna Dalaze-nos... — szepnął nieśmiało parakimemos.

Aleksy zamyślił się.

— Może... Bardzo za tym na radzie obstawała... Może... W każdym, razie tego, co jej rozkazu usłuchał, odnaleźć i dziś jeszcze przykładnie ukarać... Dość tego! Nie ma nic szkodziwszego jak zbyt gorliwi służalcy...

— Winny będzie odnaleziony — zapewnił parakimemos.

Lecz jeszcze tegoż wieczoru, gdy Najdostojniejszy, Najpobożniejszy basileus układał się do snu — co było zawiłym obrzędem zatrudniającym kilkudziesięciu ludzi, ceremoniałem długim i arcyważnym — nykteparchos błagał pokornie o posłuchanie i basileus go przyjął. Ze zdziwieniem posłyszał, że książę Tarentu kłamał. Trucizny w przesłanych potrawach nie było. Nie zdechł żaden pies. Cały posiłek zjedli ze smakiem Boemundowi woje. On jeden nie jadł. Bał się.

— To pewne? — pytał Aleksy,

— Najzupełniej pewne, Najdostojniejszy, Najpobożniejszy,

Najświatlejszy Panie, oby Bóg pomnożył twoje lata! J_ A to gracz... To gracz! Uwierzyłem mu... Możesz odejść... M kteparchos padł twarzą na ziemię i wysunął się z kom-lecz zawiły ceremoniał rozdzielania nie został zaraz ^{na} X' ^{ty} Basileus siedział nieporuszony, ze wzrokiem utkwio- ^{Po} j ^w przeciwległą ścianę.

*— Znakomity gracz — powtórzył sam do siebie. — Znali śmiałe urojenia Boemunda, sięgające jego córki, wydały ^{mu} się mniej bezpodstawne.

Rozdział dziewiąty

W KTÓRYM ZNÓW ZJAWIA SIĘ SZATAN

Po wielu bezowocnych próbach Adernar de Montell stracił nadzieję nawiązania znajomości z patriarchą greckim Symeonem. Stary dostojnik Wschodniego Kościoła czuł nieprzejednaną niechęć ku Latyńcom. Zarówno on, jak jego akolici, nie mogli uwierzyć, by biskup rzymski chciał z nimi mówić ot tak, z ludzkiej życzliwej ciekawości, bez ukrytego celu nawracania z powrotem do Rzymu. Do tej obawy przyłączało się nieuświadomione, niemniej dotkliwe poczucie niższości wobec macierzystego Kościoła, co pozostał niezależnym od władzy świeckiej i hardo się jej przeciwstawiał, podczas gdy oni, najstarsi chrześcijanie, podlegli byli niewolniczo basi-leusowi.

Tę niechęć duchowieństwa greckiego podzielali mnisi, opaci i wszyscy dygnitarze świeccy. Pomiędzy Latyńcami a Grekami stał nieprzebrany mur wzajemnych uprzedzeń. Aby te uprzedzenia zważyć, trzeba było długich, długich lat. Najlepsze strony życia bizantyjskiego, nauka, wiedza, sztuka, przemysł, handel, kultura codziennego życia, były przed krzyżowcami zawarte naглуcho. Natomiast otworem stały: rozpusta, łatwe miłostki, przesadny zbytek. Ludzie tonęli w nich jak muchy w miodzie i nie tylko Godfryd mógł powiedzieć z goryczą, że nie poznaje swoich ludzi. Twardzi woje Zachodu w nowych warunkach rozhartowywali się ze zdumiewającą łatwością. Uroczyste śluby szły w zapomnienie. Niejeden, co przysięgał nie tknąć niewiasty przed uwolnieniem Grobu Świętego, ukazywał się stale w otoczeniu wesółych Greczynek. Pili, jedli, spali w nieznanych przedtem puchach, a widząc, że pieniąż daje możność używania tych wszystkich rozkoszy, zaczęli bardziej niż kiedykolwiek cenić sobie pieniąż. Wielu z żalem myślało o chwili odejścia z Bizancjum i z chęcią pozostałoby tutaj na stałe. Ci wynajdywali tysiączne powody, by odwlec chwilę wymarszu do

któremu w rzeczywistości nic już na przeszkodzie nie stało. Na czele tych miłośników Grecji i Greczynek stali Hugo de Vermandois i Robert normandzki. Przemysłny a rozpustny Arrruld de Rohes podsuwał im coraz nowe racje przedłużania pobytu.

Według jego rady należało wyruszyć razem z basileusem — nie wpraw. Gdyż Aleksy obiecywał solennie pociągnąć tuż za krzyżowcami wraz z całą armią dowodzoną przez Eufor-bena Kalatosa. Szlachetny Butumitos miał iść przodem równocześnie z Latyńcami i flotą ubezpieczającą wybrzeże.

— Jeżeli wyjdziemy pierwsi — dowodzili Hugo i Robert — ta jucha nie ruszy na pewno... Mydli nam oczy, abyśmy stąd jak najprędzej wyszli, a sam zostanie...

— Jeżeli będziemy czekać, aż on się zbierze, minie znów parę miesięcy — odpowiadał biskup. — Wszak mówił nam Wit, Boemundów brat, wiele to czasu trwa...

Każdy wyjazd basileusa zabierał istotnie wiele czasu, przygotowań i pieniędzy. Porządek pochodu była drobiazgowo przepisany w księdze ceremoniału dworskiego, przez Konstantego VII Porfirogenetę spisanej, i nie wolno było zmienić go w żadnym szczególe. Według tej księgi, dla przewiezienia Najdostojniejszego Autokratora i jego połowego taboru potrzeba było tysięcy koni, tysięcy mułów i dwa tysiące ludzi. Kilkuset urzędników oraz paru wysokich dygnitarzy połowych, jak protostrator, koniuszy; epiklitos, adiutant- logateta stada; drungarios straży, odbierający osobiście od basileusa codzienne hasło wieczorne; idikos, klucznik, i oikiakos, wielki kuchmistrz, przewodniczyli tej armii, nie mniej ważnej od właściwej. Okryte purpurowymi kapami, znaczone piętnem cesarskim konie i muły dźwigały nieprzebrany zapas szat, strojów, bielizny, pościeli, kosztownych namiotów, naczynia kuchennego, stołowego, zapasów. Oprócz wina, oliwy, migda-w, przedniej mąki, serów, tłuszczu, suszonych owoców, pachnideł, olejków, wyszukanych przysmaków — szły za ta-oren całe stada owiec, krów i trzody. Na wozach wieziono ach kury, kurczęta i gęsi. Osobny oddział rybaków ^ sieciami obowiązany był dostarczać codziennie świeżego ks^{As}i^U - rybi. Wieziono również świeczniki, lampy, świece, Jede^{Ze}gar^zwo^{Je} pergaminu, leki, maście i balsamy, gata^Zz^złoto^{At}ych namiotów był kaplicą wyposażoną w bo-obrazów^C ?T^{osztowności} szat rytualnych, kielichów, posągów, ' ' Wszystkie namioty i sprzęty cesarskie były po-

dwójne, gdyż skoro basileus, Apostołem równy, zajmował jeden, służy z drugim zdąжали pośpiesznie na najbliższy postój, by tam rozbiwszy obóz oczekiwać w gotowości przyjazdu Najdostojniejszego. Pochód wojska, obciążonego w ten sposób, nie mógł być pośpieszny ani zwrotny.

— Doczekamy nowej zimy oglądając się na Aleksego — biadał Godfryd, gdy zebrali się na dziesiątą chyba z rządu rade, w -wielkim wspólnym Rycerskim Kole, na polu trzymanym.

— Lepiej wyjść zimą, ale w zdwojonej przez basileusowe* wojska sile...

— Czyż wierzycie, że on wyjdzie istotnie!? — wołał zapalczywie Rajmund. •— Ruszy się, owszem, ale po pierwszym naszym zwycięstwie; wcześniej, bez ochyby, nie.

De Hainaux nie zabierał głosu na radzie wcale. Trudno mu było mówić cokolwiek. Rycerski instynkt wołał, że trzeba wychodzić jak najprędzej, a serce płakało o Idę. Nie nadjeżdżała... O Boże, dlaczego nie nadjeżdżała!? Mieli się przecież spotkać tu, w Bizancjum... Jeśli wyjdą, nim ona przybędzie, jak się o niego dowie?...

Sędziwy Anzelm de RibauMont składał ręce: Jechać! Jechać! Jak dotąd uchronił szczęśliwie przed

zepsuciem powierzonego swej opiece chłopca, pięknego jak cherubin Pawła Engelrama, ukochanego chrześniaka. Trzymał go z dala od złych towarzyszy, zajmował cały dzień, wożąc łodzią po morzu, zwiedzając port, okręty, kościoły, budowle, drżąc ustawicznie, by kobiety nie zauważyły anielskiej urody chłopca, nie zapragnęły jego niewinności, lub co gorsza, by nie wpadł w oko któremu z dworaków greckich i nie dał znęcić się do wstrętnej, męskiej rozpusty. Jak dotąd, udawało się to staremu, lecz noce były coraz gorętsze, wonniejsze, słońce rozpalało coraz silniej, a zachęczone powodzeniem dziewczki greckie, o umalowanych policzkach i oczach przedłużonych farbą aż do skroni, przychodziły już same do obozów, zaglądając wyzywająco w głąb namiotów.

Baldwin, zapytany o zdanie, krzyknął, że należy jechać, po czym nie czekając dalszego ciągu narady, siadł na konia i pognął do grodu. Żał mu było tracić choć jednej godziny. Wyzyskać, wyzyskać uciechy przedziwnego miasta, wiele tylko starczy sił. Każdy dzień, każdą noc. Tym bardziej że Gontrana dziwnie w ostatnich czasach złagodniała, a raczej zobojętniała na to, co on czyni. Bogu dzięki.

Kto inny natomiast robił mu wyrzuty... Trudno uwierzyć:

T ona!! Rozzuchwalił dziewczynę i teraz pozwalała sobie tać cierpko pana, skąd wraca i gdzie noc spędził! Inny kazałby ją ochłostać i przywrócić do porządku, ale Baldwin był miękki i zawsze musiał podlegać jakiejś kobiecie.

"Grner Guillebaut wstał i gniewliwym głosem wypowiedział swoje zdanie. Ruszać należy natychmiast, ale wszystkie białki trzeba ostawić w Bizancjum. Niech ani jedna nie płacze się przv obozie! Bo z nimi zginiemy wszyscy, nic nie działawszy..."

— Kobiety są utrudnieniem w pochodzie — przyznał biskup — ale jakże je ostawić? Ślubowały, podobnie jak my...

— Co ich ślubowanie znaczy!? Ślubowanie białki! Ostawić je, jeśli mamy dojść!

— To niemożliwe — stwierdził biskup. — Dziewek i tak w naszych obozach nie rna, tylko urodzone białogłowy i ich dworki...

— To wszystko jedno! Urodzona, nieurodzona, jeśli białogłowa, trzeba ją ostawić! Wiem, co mówię! Słuszność mam! Powiadają, że basileus ma dwadzieścia tysięcy rzezańców; niechby odstąpił dwie setki do strzeżenia albo w pasy je opiąć i dopieroż spokojnie odjechać...

— Oszaleliście, rycerzu!?

— Hańba! Hańba! Niecnotę naszym małżonkom zarzuca!

— Nie godzi się nam słuchać spotwarzania szlachetnych naszych niewiast! — zakrzyknął Rajmund siny z gniewu. — Ja stoję za ich cześć! Odwołajcie natychmiast wasze oszkliwe gadanie!

Omer Guillebaut parsknął śmiechem.

- Odwołać! A jużci! Możecie mnie rozsiekać, a do końca będę wołał to samo. Baby — to zguba wyprawy! I wszystkie są jednakie! Nie ma różnicy! Dziewka czy księżna! Każda ma tylko rozpustę na myśli! Przez nie wszystko zło na świecie! O nich Merlinowe przepowiednie mówią... Posłuchajcie tylko...

„Porwie się czapla z Kalateryjskiego kraju”...

- Milczeć! Milczeć! Nie Iza wśród nas hańbić niewiast!

- Milczcie albo przysięgam na Boga, że te słowa wrócą warn z mieczem do gardła!!

Ostawcie go! To szaleniec! — błagał biskup, chwytając Rajmunda za ręce. Walka między grabią St. Gilles a Omerem uuiebaut musiała przerodzić się niechybnie w bitwę Pro-ansa czyków z Normanami. Za wszelką cenę należało temu Azić. Nie bacząc na nie biskup padł na kolana przed

Rajmundem, który zaskoczony tym ruchem usiadł i upuścił miecz. Ze swej strony Arnuld de Rohes wyprowadzał z koła rycerza de Guillebaut, mamroczącego nieustępliwie pod nosem, że wszystkie białki są plugawe i wszeteczne.

— Dla was, dla was, wielobny, dałem mu ująć z życiem — warczał wściekle Rajmund — lecz jeśli się tu jeszcze kiedy pokaże, zasiekę jak psa!

Raul de Beaugency nie brał udziału w sporze. Zdaje się, że zgoła nie słyszał, o czym mówiono. Pochłaniała go całkowicie własna troska. Był zgubiony nieodwoalnie zgubiony. Złamał przysięgę czystości, żył z niewiastą, a zatem był znowu w mocy szatana. Może zresztą być w jego mocy nie przestawał? Z rozpaczą przypominał sobie, że idąc za ową kobietą, żoną dowódcy wigilów, do jej sypialnej komnaty, nie działał w porywie głuszającym wszelkie uczucia. Nie! Był zupełnie przytomny i trzeźwy. Zdawał sobie sprawę z tego, co czyni, i zamiast ze zgrozą uciec od pokaźnicy, odczuwał złą radość z powodu, że tak właśnie postąpił i że

nic go od tego nie powstrzyma... To> diabeł myślał przez niego, to diabeł czynił przez niego... Nie zda się już na nic walka. Próżne usiłowania. Jest potępieńcem, dla którego nie masz nadziei, nie masz ucieczki ani w życiu, ani w śmierci...

Gdy się już wszyscy mieli rozchodzić, Robert flandryjski zabrał głos mówiąc, że należy jechać i że przyczyna tak długiego gadania jest dla niego niezrozumiała. Czy wyszli z kraju po to, by siedzieć w Bizancjum, czy iść do Ziemi Świętej? Czy ślubując liczyli na pomoc basileusa, czy na swoje siły? Wszelka rada jest bezprzedmiotowa, jeżeli nie ma na celu ustalenia, którego dnia wychodzą. On radzi pojutrze. Związała jego, prosta przemowa robiła wrażenie, ale natychmiast podnosił się Szczepan de Blois, przedstawiając wszystkie „za” i „przeciw” rychłego wyjazdu w sposób tak uczony i wielostronny, że słuchaczom mąciło się w głowie i ostatecznie rozchodzili się nic nie uchwalwszy. Dnie mijały. I kto wie, czy stosowanie do przepowiedni Godfryda nie doczekaliby się drugiej zimy, gdyby pewnego dnia galera cesarska, jedna z zaopatrujących w żywność obóz krzyżowców Piotra Eremity, nie wyrzuciła na ląd kilkudziesięciu obłąkańców, do żywych ludzi niepodobnych, zwiastunów straszliwej nowiny. Okropna wiadomość zaiste! Walter Bez Mienia i doradca jego, Jerzy Burel, ośmieleni powodzeniem swych wypraw

zbójceckich na ludność miejscową, uderzyli na Turków, zajęli twierdę Xerigordon, wyrznęli załogę. Zdufnieli. Szczęśliwi, ^{ze} pierwsi rozpoczynają wojnę z Saracenami, ruszyli cały obóz i posunęli się aż pod Niceę. Tam, nie ubezpieczonych czatami, nie przygotowanych do rzeczywistej obrony, otoczyły oddziały sułtana Kilidż-Arslana i wyrznęły wszystkich co do nogi. Wszystkich! Nie ostał się nikt, prócz tych kilkudziesięciu, co zdołali zbiec. Otoczonych Turcy rżnęli bez wytchnienia przez trzy dni i przez trzy noce. Wybili ich prawie trzydzieści tysięcy, bo tyle pozostało ze stutysięcznej armii Piotra Eremity. Których nie umorzył głód w równinach węgierskich, którzy nie utonęli w Sawie, nie przepadli w Bizancjum, skończyli tutaj swe marzenie o Grobie Świętym, swą długą mozolną wędrówkę... Wśród ocalonych znajdował się Piotr Eremita, z nim brat Hiacynt i Bartłomiej, wesoły kleryk z Marsylii, którego chybkie nogi nie mogły nigdy usiedzieć na miejscu. Ci trzej uratowali się tym, że straszliwego dnia poszli do kościoła w oddalonej o pół dnia osadzie i nie było ich w obozie, gdy otaczały go tureckie wojska.

Wszystkie te szczegóły opowiadał brat Hiacynt, gdyż Piotr nie był w stanie przemówić ani słowa. Nieprzytomnym wzrokiem rozglądał się po kątach izby żegnając się ustawicznie i szepcząc słowa egzorcyzmów. Gdziekolwiek spojrzeł — widział szatana. Ten triumfujący wróg zmuszał go, by ustawicznie miał w oczach straszliwy obraz rzezi, by nie mtógł nim ani przez chwilę zapomnieć. By nieustannie słyszał jęk konających i wrzask trwogi żywych. Nieludzki wrzask. By nieprzerwanie rozpamiętywał nędzny koniec wielkiego porywu. Koniec! Koniec! Było ich trzydzieści tysięcy. Zostało... trzydziestu... Wyrżnięto mężczyzn i kobiety. Igrców i mni-^{chów}. Rzemieślników i rolników uczciwych, prostych, tak samo jak przebiegłych rzezimieszków. Wszyscy zginęli jednakowo, bez różnicy. Matki i ich maleńkie dzieciątka. Podrostki staruchy. Wszyscy!

Jednako zginęli ci, co poszli z prawdziwej gorącej miłości. ^ozej, śniąc o Jeruzalem po nocy, jak zbójce, którzy chrześc^{ia} sprzedawali niewiernym w niewolę. W jednym okrzyku ^{zm}ieszały się jęki pobożnych przepisowaczy ksiąg i rozpustników, co dawno Boga i celu ^śświętego zabyli. Z olbrzymiej ⁿijet już [£]Q Swe g kraju ⁿie powróci ani do wyzwolenia-Grobu Świętego się przyczyni. Ani zazna lepszej doli, ani zbawioną zobaczy. Nie posłużyła na nic ich męka.

u

• Krzyż
yzowcy t. I/II

Stała *siq* zbędna i nieużyteczna. Skończyła się, skończyła się wielka, powszechna wyprawa krzyżowa Piotra Eremity...

Zginęli Walter Bez Mienia i jego zły doradca Jerzy Burel. Zginęły Laurentowa i gruba Martyna, co nigdy czciły Piotra, a potem poniewierały. Zginęły dziewczęta, co dwa lata temu idąc przez doliny francuskie, plotły wieńce na łąkach i śpiewały pieśni. Wszyscy zginęli klnąc, bluźniąc, wyjąc ze zgrozy i płacząc. A wszystkiemu był on winien, Piotr, on i nikt inny... On ich z domów wyprowadził...

O tak, szatan mógł się z niego natrzasać, mógł sztydzić do woli. Nawet dobrotliwe ręce biskupa, obejmującego po ojcowsku Piotrową udręczoną głowę, nie mogły przesłonić tego szyderczego wzroku świdrującego mózg na wskroś, jadowego wzroku, przed którym nie było ucieczki, podobnie jak dla Raula, ani we śnie, ani na jawie, ani w śmierci, ani w życiu...

Na poły obłąkany, skulony w kącie namiotu, Piotr szczękał zębami dygocząc jak w zimiicy. Brat Hiacynt,

poruszony własnym opowiadaniem, lkał, a zebrani panowie uchwalili wyruszyć natychmiast. Już nawet najgorętsi zwolennicy słodkiego pobytu w Bizancjum głosowali za szybkim pochodem. Straszliwa góra ciał pozabijanych, porzuconych bez pochówku na pogańskiej ziemi, wołała pomsty, kołatała palącym wyrzutem. By panowie baroni, panowie rycerze pośpieszyli się więcej — nie byliby, nie byliby wyginęli ci chrześcijanie!

W drogę! W drogę! Gdy to jednogłośne postanowienie zapadło, nawet Hugo, nawet de Melun poczuli się lepiej. Dość greckich rozkoszy. W drogę!

Ładowanie wojska na statki odbywało się sprawnie i szybko. Nieprzeliczone złociste galery krążyły od brzegu do brzegu wysadzając przewiezionych, wracając po nowych. Sam cesarz na koniu okrytym złotolitą kapą, w wysokiej koronie na głowie, z berłem w ręku, otoczony błyszczącą od klejnotów świtą, patrzył z brzegu na odjazd wojsk łatyńskich i swoich. Przy dźwięku dzwonów, bijących we wszystkich monasterach, z bramy grodu wyszła procesja. Patriarcha szedł błogosławić odchodzące wojska Butumitosa. Poprzedzający procesję oddział żołnierzy miał białe tuniki i złoczone włócznie. Jeden z biskupów/ wschodnich niósł wielki krzyż srebrny z relikwiarzem pośrodku. Otaczali go mnisi, trzymający na wysokich czerwono malowanych żerdziach złote posągi Serafinów. Za nimi patriarcha i bandofory — chorążowie, niosący labarum z monogramem Chrystusowym. I nieprzeliczony tłum. Wszedł-

„zy na najbliższy statek patriarcha błogosławi swoich — tylko swoich. Ustawia się tak, by wiatr nie niósł jego błogosławieństwa w kierunku Latynów. Na co im jego modły? Mają swojego biskupa...

Biskup Ademar stoi już na przeciwległym azjatyckim brzegu. \Vokoło niego panowie rycerze. Do nich przemawia. Od chwili/ gdy tu stanęli, on jest ich wodzem naczelnym. Zaklina, by się temu poddali, nie psuli wielkiego dzieła wygórowana pychą i waśniami. Przypomina, że najświętszym przykazaniem rycerskim jest męstwo i dobroć. Te dwa. Nie za-baczcie o tym, woje Chrystusowi! Bo któren jest mężny — jest prawy: kłamstwo to przymiot tchórza. Któren jest dobry, nie obrazi Boga, nie ukrzywdzi żadnego stworzenia. Będzie cichy, nie wynoszący się nad innych, niekłótniwy. Mężny i dobry nie będzie nigdy zawstydzony, ni przez Boga, ni przez ludzi, a nie masz wszak na świecie boleśniejszej i cięższej rzeczy jak wstyd. Męstwo i Dobroć! Na rany Chrystusa! Pierwszego wam nie trzeba zalecać, ale weźcie w serce drugie...

Rzucal w nich te słowa jak żywe strzępy, zalecając cichość, ustępliwość, pokorę krwistym bykom, przerosłym na wskroś nieugiętą pychą. I mówiąc, sam nie miał wielkiej nadziei, by słowa padły na ich dusze jak na dobrą glebę, a nie na opokę.

Woda pokryta jest statkami jak żywym, ruchomym pomostem, po którym przechodzi ustawicznie fala ludzi i koni. Kołuszają się lasem włócznie. Złote zbroje pułku athanatoi, nieśmiertelnych, błyszczą z dala jak słońce. Wojska Godfryda, Rajmunda, Boemunda, obu Robertów ustawiają się porządnie w szyk pochodu. Pierwsi z łatyńskich rycerzy (jeśli nie liczyć Tankreda, który obozuje tuż) stoją na ziemi azjatyckiej. Na nie znanym nowym lądzie. Nie znane leżą przed nimi drogi. Nieznane dzieje. Boże, miej ich w swej opiece! Jest rok Pański, miesiąc maj.

Od rozpoczęcia powieści, od chwili gdy rycerze ślącys rozgromieni pod Kruszwicą zdążali puszczą-borem ku domowi, gdzie na Imbrama Strzegonia czekał świeżo narodzony syn —•^minęły dwa lata.

Rozdział dziesiąty JESZCZE JEDEN NOWY ŚWIAT

Nieopisanie wielkie cmentarzysko kości rozkłada się na miejscu ostatniego postoju armii Piotra Eremity. Na przestrzeni mili kwadratowej bieleje ziemia od. nagich piszczeli. Czaszki, klatki żeber, biodra i golenie rozwleczone są przez drapieźców po wzgórzach, wąwozach, zaroślach. Nie zbierze nikt swoich kości na ostateczny dzień Sądu, gdy przyjdzie stanąć w Jozafatowej dolinie. Przez kilka tygodni żerowały tu szakale z całej Bitymii i Frygii zebrane. Nocą ploszyło je sieknięcie lwa. Płowy, wielkogłowy zwierz-pan podchodził niedbałym krokiem. Rozgarniał łapą gnijący stos trupów i odchodził z pogardą od zbyt śmierdzącego padła. Nad rojowiskiem szakali kołowały stada sępów. Skwir gołoszyjców dawał się słyszeć z daleka. I dziś, choć kości dawno wybielały, siedzą one gromadnie na wzgórzach, kracząc i czekając, czy nowa, niespodziewana zdobycz im nie spadnie.

Pobożny imam w wielkim turbanie przechodzi mimo, obracając w dłoni różaniec. Z pogardą odwraca oczy od nieczystych kości giaurów. Niech Allah im miłosierdzia nie okaże! Pokarał ich. Chwała mu! Przyszli tu drapieżnym stadem i zginęli. Poznali moc Proroka. Niech imię jego będzie uwielbione! Podobno od Bizancjum ciągną nowe, jeszcze liczniejsze gromady niewiernych... Zginą podobnie jak ci. Allah jest wielki!

Z dalekiego szlaku sułtan Kiłidż-Arslan pisze do emira Mudzahida, syna Dżubaira, dowódcy załogi w Nicei, wielkim grodzie o potrojnych murach strzeżonych przez trzysta wież:

Allah jest wielki! Powiada mi Abdullach, syn Nadziha, któren to usłyszał za pośrednictwem Abdul Hadżadza, syna Agbasa, że wiele giaurów przeszło Bosfor i ciągnie ku wam. Ilość ich równa się ilości piasku w morzu lub gwiazd na niebie. Są to te rzesze, żadne naszej zguby, których natarcie zapowiadają nam od dwu

. Łoż wszakże znaczy ich liczba, skoro psy niewierne nie znają i karności, ani sposobu walki? Idą po zgubę, którą znajdą równie „niechybnie jak poprzedni, których naszym mieczem poraziła dłoń Proroka- Niech imię jego będzie pochwalone! Powiedz miłej żonie mojej, Dżurisy, że serce jej niech pozostaje spokojne. Od nadchodzącej szarańczy żadne niebezpieczeństwo grozić nie może. Rozbijaj cję o mury grodu jak fala morska o skałę. Daj mi znać, gdy ta szarańcza ucieknie lub gdy ją wytępicie doszczętnie ku chwale Proroka. Allah z wami!...

Stary emir Mudżahid, syn Dżubaira, czyta ten list z należytą czcią i szacunkiem. Ukończywszy całuje pieczęć, cmokając głośno, i wyciąga się ponownie na jedwabnej sofie, aby namyślić się nad jego treścią. Wiadomość o nadciągających wojskach niewiernych nie jest dla niego nowiną. Donieśli mu o tym już dawno jego wysłańcy. Żałuje, że niewierni, przybywający z Rumu czyli Europy, są tak mało ważnym nieprzyjacielem, z którym walcząc trudno zyskać sławę i zasługę. Zasługa wojny świętej! Pierwszą jest w obliczu Allacha. Wszak Prorok rzekł: „Allah miłuje tych, co walczą w obronie Koranu w szyku bojowym zwartym jak budowla ołowiem spajana”... I po wtóre Prorok rzekł: „Jeden postój na wojnie świętej więcej wart niż siedemdziesiąt lat modlitwy w domu”. I po trzecie rzekł Prorok: „Kto walczy na wojnie świętej, choćby czas tak krótki, jaki upływa między jednym a drugim podojeniem wielbłądzicy, otrzyma niechybnie raj”.

...Oby Allah zesłał świętą wojnę, radość serca wiernych! Oby zesłał również godnych nieprzyjaciół, dla których warto by wydobyć z duszy najpiękniejsze męstwo jak klejnot ze skarbca... Emir Mudżahid wstaje i wyciąga modlitewnie ręce w stronę kibli, czyli Mekki. Po czym uważając, że na taką nagrodę trzeba zapracować, nie wraca na miękkie posłanie, lecz zasiada do rozpoczętego przepisywania Koranu. Poza łowami — to jego ulubione zajęcie pochłaniające całe nieomal dni. Przepisał już w życiu świętą księgę czterdzieści sześć razy, z tego dwa razy czystym złotem. Niemała to zasługa, jakże nikczemna jednak w porównaniu z jednym postojem na wojnie świętej.

Oparłszy mocno dłoń w drewnianej podpórce, pisze z wolna miękim pędzelkiem, literami, które wyglądają jak piękny, zawity ornament, wiążący się w ścisły szlak.

-Kiedy zapadnie godzina, która ma zapaść, J^eJ zjawieniu kłamu nie zada.

Ona poniżej i wywyższy.

Kiedy ziemię wstrząśnie dreszcz

I góry rozsypią się w pył,

Staną jedni po prawicy, drudzy po lewicy.

A ci, co po prawicy...

Cóż z tymi, co po prawicy?

Wśród zwisających powojów i rozłożystych akacyj,

I wydłużonych cieni,

I owoców rozlicznych, i wysoko usłanych wezgłowi, i dzlewic-

[rówieśnic rozkosznych, zażywać będą wygody. To dla tych, co po prawicy.

Nie usłyszą tam swaru ni posądzeń, jeno słowa: pokój! pokój! A ci, co po lewicy... Cóż z tymi, co po lewicy?

W skwarnym wichrze i ukropie, w cieniu smolnego dymu, w głodzie

[i poniżeniu

Trwać będą ci, co przedtem żyli w dostatkach A nie wierzyli w Proroka.

Lub mówili: Gdy pomrzemy i staniemy się prochem i kośćmi, czy też

[będziemy na pewno wskrzeszeni?

Pogrążeni w błędzie żreć będą z drzewa piekielnego Zakkum, Od którego zapłoną wnętrzności. A gasić żar będą ukropem, Żłopiać jak spragnione wielbłądy. Taka będzie ich uczta w dniu sądu!...

Zmęczony emir Mudżahid odkłada pędzelek.

...Toż samo będzie udziałem niewiernych, ciągnących z daleka ku Nicei... Podobno wierzą oni, że Chrystus jest Bogiem... Mniemanie bluźniercze i błędne. Jezus Chrystus jest czcigodnym prorokiem, dalekim wszakże od Wielkiego Proroka Mohammeda; Bogiem — Allah jedynie. Niechaj Iblis ogarnie niewiernych!

Emir Mudżahid woła eunucha, który powtórzy posłanie sułtana jego ukochanej żonie, Dżurisy, pozostającej w Nicei. Eunuch biegnie żywo przez liczne komnaty pałacu. Na marmurowych dziedzińcach biją fontanny. Woda dzwoni i mieni się w słońcu. Okna opatrzone są kratami misternie rżniętymi z drzewa, zwanymi muszrabija. Stąd w komnatach panuje zawsze chłodny półmrok. Półmrok barwisty, gdyż w pułapach komnat, wykładanych rzeźbionymi belkami, wprawione są latarnie z kolorowych szkieł. Szkła są grube i szlifowane jak drogocenne klejnoty.

Dżurisa leży na posłaniu z poduszek. Jest piękna jak Aisza, ukochana żona sławnego księcia Hamdanidy, sułtana Aleppo. O nim właśnie śpiewają jej dziewczki, wtórując sobie na cytrze:

Hamdanida, pan Aleppo, był waleczny i piękny. Najpiękniejszy, najwaleczniejszy z wiernych. Miał trzysta żon. Ale ukochaną jedną. Kto był ukochaną? Greczynka chrześcijanka była ukochaną. W ja-syr wzięta, panią uczyniona. Panią i pierwszą.

...Pozostałe dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć żon nienawidzi nieczystej, którą kocha pan. Umawiają się potajemnie,

że ją zabiją i zgładzą. Jedna poda jej truciznę, druga przebijie oszczepem, trzecia, jeśli tamtym się nie powiedzie, zaciśnie sznur' jedwabny na jej białej szyi. Tak radzą nie wiedząc, że przysłuchuje się sułtan....

...Poszedł drżący z gniewu do ukochanej Aisz (wpierv u niewiernych nosiła imię Ireny) i rzekł:

— O, moja gołąbko, krynico mojej radości. Iblis, który świątobliwemu Abu-Bekri ukazał się niegdyś w postaci sędziwego starca z Nedźdu, przybrał sobie dzisiaj postać dwustu dziewięćdziesięciu dziewięciu niewiast. Oto, co mówiły o tobie, któraś jest jasnością mych spragnionych oczu. Biada im, albowiem zginą dziś wszystkie, pójdź popatrzeć, jak będą je tracić.

— Nie trać ich, panie — prosiła z płaczem Aisza. — Jeśli to uczynisz, Jakże ujdę zemsty ich krewnych, ich ojców i braci? Nie skryję się nigdzie. Zabierz mnie lepiej stąd daleko w góry, zmuruj zamek kamienny, do którego nikt prócz ciebie nie będzie znał drogi, i tam osadź niewolnicę twoją. Gdyż dla ciebie, panie, porzuciłam niego Boga i mój kraj, i niczego nie pragnę prócz ciebie...

Hamdanida, chwalebny sułtan Aleppo, przycisnął ją do serca i powiedział:

— Tak się stanie.

I uwięził ją w góry dalekie, i słuch o Greczynce zaginął... ..Kiedy umierał chwalebny sułtan Hamdanida...

Oczekujący dotąd końca pieśni eunuch poruszył się niecierpliwie. Dżuriszsa zauważyła go i zapytała:

—• Czego chcesz?

— Wielkie jest imię Allacha! Emir Mudżahid, syn Dżu-baira, przesyła ci słowa, przez pana naszego sułtana Kilidż--Arslana w liście podane.

Słyszając to Dżuriszsa zerwała się z poduszek i skrzyżowawszy ^ręce na piersiach pochyliła się nisko, bo tak przystoi żonie słuchać słów męzowych.

— Wielki sułtan pisał, by serce twoje zostało spokojne, choć zgraja niewiernych pojawi się w dolinie koło grodu. Rozbiją się o mury jak fala morska o skałę.

"~ Serce moje pełne jest spokoju i radości, że pan mój ^D mnie pamięta —• odpowiedziała Dżuriszsa.

Po czym w nagrodę za dobrą wiadomość podała wysłańcowi garść daktyli leżących w srebrnym naczyniu i ułożyw-^ZY się z powrotem na poduszkach, dała znak niewolnicy, by P^odjęła dalej przerwana opowieść.

...Kiedy umierał chwalebny sułtan Hamdanida, podłożono mu pod głowę cegłę, którą z dawna kazał sobie przygotować. Z czego ulepiono tę cegłę? Z potu i pyłu wyciskanego każdorazowo ze skóry sułtana w łaźni wieczornej po bitwie z giurami. Latami zbierano je, bo tak sułtan kazał. Chciał mieć śmiertelny zegłówek żołnierza...

Szczerą radość panuje w „Grodzie strzeżonym przez Boga" z racji odejścia krzyżowców. Przez pół roku miasto żyło w ustawicznym niepokoju. Zbrojne tłumy, obozujące pod murami, mogły się stać nie lada niebezpieczeństwem dla stolicy, zwłaszcza że były to tłumy zuchwałe, łupieżcze, porywcze jak wichry i nieobliczalne.

Zarówno patrycjusze, jak plebs zasypiali codziennie z niepokojem, a dzień rozpoczynali modlitwą do Najświętszej Panagii Blachernitissy, by raczyła Gród od plagi grożącej uchronić. Blachernitissa próśb tych wysłuchiwała. Latyńcy przeprawili się przez Ramię świętego Jerzego, poszli do Azji, z której oby nie wrócili! Tego im szczerze życzone.

Po Matce Boskiej błogosławieństwa i pochwały idą ku ba-sileusowi, który mądrą polityką okiełznał Latyńców. Nie żałował darów ze swego skarbcza, nie szczędził zabiegów i trudu, byle szalonych pyszałków ujednać. Poniżył swój majestat, Apostołom równy, aż do zapraszania latyńskich wodzów na poufne pogawędki w małej Onyksowej sali! Cześć mu i sława! Oby Bóg przedłużył jego lata!

Bogacze, uwolnieni z ciężkiej nad nimi zmory, składają sobie wzajemne powinszowania szczęśliwego uniknięcia grabieży. Wiedzione ogólnym uczuciem radości, trzy piękne córki Butumitosa, Teodora, Zoe i Agata, idą do Anny Porfiroge-netki. Mają ku temu prawo. Matka ich była zosti, czyli pasowaną damą dworu, ten sam zaszczyt oczekuje je po zamąż-pójściu, przy tym ojciec, szlachetny dowódca sił zbrojnych cesarstwa, pociągnął z Latyńcami na niebezpieczną wyprawę.

Eunuch wprowadza je do okrągłej, złocistej sali, stanowiącej ośrodek należącego do córki basileusa gynaecium. Zazwyczaj dumna i nieprzystępna, Anna przyjmuje je chętnie. Jest chciwa nowin.

Dziewczęta siadają na niskich poduszkowych siedziskach, basileusówna na podwyższeniu, w poręczowym krześle. Śliczne, młodziutkie niewolnice podają im bezszelestnie owoce smażone w miodzie i wodę mrożoną z winem, zaprawioną zapachem różanym albo fiołkowym. Rozmowa toczy się oczywiście o Latyńcach.

___ Tłumy ludzi — mówi Teodora — chodzą oglądać miej-^{sce}/ gdzie obozowali. Co prawda, nic tam ciekawego nie ma. Ubóstwo, brud, wygasłe paleniska, rozwleczone słoma... y\ przede wszystkim smród... smród... Śmieją się wstydliwie wszystkie trzy. Zoe dodaje:

___ Czy uwierzy Wasza Wysokość, że ci barbarzyńcy nie

znają podobno wcale ustępów? Ich obozowiska są otoczone wieńcem nieczystości. Trudno sobie wyobrazić, jak błonie wyglądałoby w razie ich dłuższego pobytu!

— Zostało gruntownie nawiezione i to jest, sądzę, jedyna korzyść, jaką można osiągnąć od tych cudzoziemców...

— Co za szczęście, że odeszli! Po prostu lżej się oddycha, gdy ich w pobliżu nie ma!

— Obmierza dzicz!

— Równie ograniczeni, jak zarozumiali! Anna nie bierze udziału w tym chórze.

— Czyż wszyscy są tacy?... — zapytuje wahające.

— Wszyscy! — odkrzykują jednocześnie. — Ojciec mówił, że wśród tych Latynów, o golonej brodzie, zadartej pysznie głowie, rozdętych nozdrzach, skorych do gniewu, o prostackim sposobie mówienia, nie ma ani jednego, zasługującego na miano człowieka, nie barbarzyńcy.

Anna chmurnieje, jakby osobiście urażona, i mówi chłodno:

— Widziałam ich na przyjęciu u Najświętobliwszego, Naj-pobożniejszego basileusa, oby Bóg mu dał długie życie! i przekonałam się, że są między nimi rycerze, mogący śmiało współzawodniczyć z naszymi...

Siostry spoglądają po sobie zdumione. Co Porfirogenetka chce przez to powiedzieć? Prawdopodobnie bierze je na próbę..., I zaprzeczają gorąco. " "

— Współzawodniczyć z naszymi...? Wasza Wysokość raczy sobie żartować...

— Takich tam nie ma...

— Są — upiera się Anna. — Na przykład... na przykład... księżę Tarentu...

To powiedziawszy płoni się ciemnym dziewczym rumień^{ce}m, płoni się aż po białka oczu. Ha, trudno. Można być córką basileusa, najdumniejszą, najuczciwszą panną świata, ^a Jednak rumienić się jak zwykła dziewczyna, gdy niebacznie ^czyjeś imię potraci...

, Teodora, Zoe i Agata milkną zaskoczone, po czym z po^sPiechem zaczynają mówić o czym innym.

Biskup Ademar wdycha ciężko, patrząc na rozwleczone cmentarzysko kości. Łzy spływają mu po twarzy. Jak Piotrowi Eremicie lub Raulowi de Beaugency wydaje się widzieć wszędzie diabła, tak on teraz widzi przechadzającą się po tym polu — śmierć. Ona mówi. *Mors dicit*:

—• Sami mnie wyzywali. Sami zgonu swego chcieli. Dlaczego miałam litość im okazać? Na wszystko jednak poluję. Jak czujny łowca gonię za sarną i wilkiem, ścigam żurawie i dropie, w dziupła ptasie leżę, kunie i wiewiórce nie daruję, a ludziom miałabym darować?... — Tak jest, jako prawisz, kostucho. *Pallida Mors aequo pulsata pede pauperum tabernae regumque turres...*

Jesteś udziałem niezaprzeczoną wszystkiego. Lecz tu przesadziłaś w srogości... Nie mogłaś chociaż dzieciątek ostawić?... One cię nie wyzywały. Zeżarłaś gnaty starców, zarówno jak kruche kosteczki niewiniątek w pielgrzymce zrodzonych, co innego życia jak koczownicze nie znały... Kres ich w tej samej godzinie co tamtych starców dosytnych... Dlaczego? Zali to Bóg im nazaczył życie krótkie jak zamknięcie powiek? Czyli ty postąpiłaś przeciw Jego woli?... Czy zgonem ich kierował los, czy też przypadek?... *Mors tacet*. Śmierć milczy. Zostawia w duszy biskupa najstraszliwszą rzecz: wątpliwość bez odpowiedzi.

Otoczający legata rycerze schodzą z koni. Czują się winni umartwienia tyłu niebożątek. Nie śpieszyli dostatecznie. A że każde ich uczucie uzewnętrznia się bezpośrednio jak u dzieci, więc klękają, oskarżają sami siebie z głośnym krzykiem, walą w opancerzone piersi twardą rękawicą. Żal, skrucha przeradzają się w pragnienie pomsty. Zależeli pole w Bizancjum. Zapomnieli Saracenów. Teraz już nie zapomną. Nie stracą ani godziny. Naprzód! Naprzód!

I suną nieprzerwanie jak olbrzymi wąż. Niby łuska prze-błyskują pancerze stalowe, szare, bure. Ciemne, jednobarwne, surowe, odbijające od światła Wschodu rozmiłowanego w połysku i świetnej barwie. Krok ich chrzęści. Miarowo dudnią kopyta. W zaroślach rozpląszcza się lew niepewny, czy rzucić się, czy też uciekać. Zawczasu chroni się w wąwozy szakał. Sępy kołują nad szeregami wysoko. Czy to ci, co dostarczą im żywności, czy też mający być sami żywnością?

Suną przez urodzajne doliny Bitynii, przez rzadkie dąbro-

wy i wzgórze. Na południowych stokach rosną brzoskwinie, morele, niedojrzałe jeszcze melony. Pachną gorzkie migdały. Słońce pali żarem, lecz miły chłód zawiewa od morza. Na wyłożonych polach kładzie się ciemna plama sunącego wojska. Wą trzema równoległymi szlakami, jak trzy bliźniacze rzeki. Trzysta tysięcy i więcej. Suną morskim wybrzeżem popod Nikodemie, czarodziejskie niegdyś miasto Dioklecjana ^a potem Konstantyna Wielkiego. Jeszcze inny wielki cień siania się na brzegu, o którym krzyżowcy nie wiedzą: wygnanego Hannibala, co skonał tutaj z tęsknoty.

Kraj, którym idą, jest piękny i stary. Podobnie jak w Prowansji zmieniło się już wielu bogów. Pierwotni mieszkańcy czcili boga urodzaju i gościnności, dobrodusznego Labaziosa, oraz boginię płodności, Kybele, zwaną przez nich matką Ma. Potem uczciwe te bogi zostały wygnane przez sromotne bóstwa fenickie, zło

miłującą Astarte i współnika jej, Attisa. Potem przyszły bogi greckie, bogi rzymskie, a na koniec Bóg Prawdziwy, chrześcijański. Bóg Prawdziwy władał półkuli Azji Mniejszej przez więcej niż pół tysiąca lat, aż oto niedawno półkiosiężyc obalił krzyż i rozłożył się zwycięsko, głosząc swoją wiarę. Muzułmanie, którzy wiarę tę przynieśli, nie są podobni do Greków ani do pierwotnej syryjskiej ludności. Przypominają raczej rycerstwo zachodnie. Gwałtowni, okrutni, odważni, zdolni do szlachetnych odruchów, zamiłowani w rycerskim geście i pieśni, szanujący swoje słowo. I zrozumiały stają się rozpowszechniona gadka, że Frankowie i Saraceni pochodzą z jednego gniazda, że wywodzą się wspólnie od słynących z męstwa Trojańczyków.

Nie dbając o to rycerze nienawidzą żarliwie Saracenów. Podobnie jak stary emir Mudżahid, syn Dżubaira, modlą się, by wróg okazał się godnym ich męstwa. Płyną trzema rzekami. W górze kraczą nad nimi sępy. Prócz sępów ich własne myśli, ciężące jak chmura. Myśli te są sprzeczne, zawile, trudne do zrozumienia im samym. Nigdy w domu podobne im nie nawiedzały. W domu! Wszystko tam było łatwe, proste, zrozumiałe. Ludzie, którzy do rzędu skąpych przyjemności, starannie wymienianych przez trubadurów, zaliczali puszczanie krwi lub patrzeć, jak śnieg pada — zetknąwszy się ^{vv} ciągu ostatniego półrocza z bogatym, różnorodnym, wymyśl-ⁿym życiem greckim, musieli odczuwać mat w głowie. Od-nowy świat, a raczej wiele światów, odmienne oblicze Odkrycie to wzbudziło w nich niepokój, niemożność

powiązania nowych pojęć w całość. Jedne wrażenia spadały na nich gwałtownie jak ciosy, inne drażyły dusze powoli, lecz wszystkie działały niechybnie. Działały w jednym kierunku: obalenia dotychczasowego pojęcia o świecie, o jego rozmiarach, o prawach nim rządzących. Pojęcia te wydawały się dotąd niewzruszalne, a teraz pękały jak zwłatałe nici. Więc wykołejeni rycerza nie wiedzą, co począć ze swą rozbudzoną nagle ciekawością, zmysłowością, dociekliwością. Jedni nurzają się całkowicie w Bogu jak Godfryd. Inni mniemają, że są w ręku szatana jak Raul. Biskup rozprawia ze śmiercią. A jeszcze inni suną tępo przed siebie, niezdolni rozplatać własnych uczuć, dają się bezwolnie nieść wypadkom. Wszystko jest dla nich zbyt dziwne, zbyt nieoczekiwane. Choć nieuświadomione, uczucia te przemieniają ich powoli. Każdy codziennie budzi się cokolwiek innym, niżeli zasnął z wieczora. Zachodzą w nich zmiany, o których sami nie wiedzą. Tak wędrują łatyńscy rycerze. Na ziemi ruchliwy cień. Nad głowami sępy i zolbrzymiały, przerastające ich pojęcia, więc coraz goręcej modlą się o walkę. W ogniu bitwy zginą, przepadną niewłaściwe rycerzom wątpliwości.

Tych zmian, tych udręk, szarpiących krzyżowców, nie zauważają, nie zapiszą towarzyszący im uczeni kronikarze. Zrozumieją je dopiero po wielu wiekach potomni. Zapiski o nich nie mówią. Nie z braku obowiązkowości pisańskich, o nie! Jedynym staraniem kanoników Rajmunda d'Aguilers i Foucher de Chartres jest dokładne zapisanie wszystkiego, co się dzieje dokoła. Nie jedzą, nie śpią, z każdego postoju korzystając, by pisać, pisać. Gęsie pióra szeleszczą niestrudzenie po cienkim, przednim pergaminie, zakupionym w wielkiej ilości w Bizancjum. Pomimo tego nie dojrzą najistotniejszych spraw, które stanowić będą o właściwym znaczeniu krucjaty. Może są zbyt blisko, może patrzą zbyt drobiazgowo. Biadają jednogłośnie nad szerzącym się pośród krzyżowców zepsuciem, lecz przyczyny i smaku drożdży, sprawiających ten groźny zaczyn, poznać nie umieją.

Rozdział jedenasty POD MURAMI NICEI

Od Nikodemii morze, towarzyszące dotąd wiernie krzyżowcom, widoczne z każdego wzgórze, uciekło na zachód. Szlak wojsk prowadził na wschód, ku Helenopolis, całkowicie zniszczonemu czasowi ostatnich walk Greków z Saracenami. Potężne góry Arganton zamknęły drogę idącym. Na szczytach leżał dawno nie widziany śnieg. W te góry należało wejść, należało je przejść. Przedrzeć się przez gardziele głębokie, lecz wąskie, zawałone głazami, zarosłe cierniem. Po uciążliwej przeprawie na drugi brzeg rzeki, zwanej przez Greków Drakon, czyli wąż, dla licznych zakrętów, a przez niewiernych „Rzeką czterdziestu brodów”, wojska rozłożyły się obozem w dolinie. Cztery tysiące ludzi zbrojnych w topory i osęki ruszyło w przód, by rozszerzyć drogę, wywalać skały, wyrąbywać cierniste zarośla. Na skalnych, zawrotnie stromych ścianach wąwozu ryli krzyże jako drogowskazy i ślady swej pracy. Że wszystko, cokolwiek robili, robili mocarnie, przeto pozostawione przez nich głębokie rysy w kształcie krzyża-widoczne będą jeszcze za kilkaset lat, strzegąc od zabłądzenia pielgrzymów.

Z szczelin skalnych, z krzów kolczastych, zwanych saksaul, tak twardych, że siekiera krzesiła z nich iskry — wyszły na dźwięk mowy znajomej na wpół żywe widma. To Walter Bez Mienia i paru jego towarzyszy. W chwili pogromu poranieni padli na ziemię udając martwych. Nie ruszali się, gdy ich przygniotły potrójne, poczwórne i dziesiątne zwały trupów. Dusili się pod nimi, tracili rozeznanie, mdleli, ocykali na moflent, by zemdleć ponownie, i tak przez trzy doby, które trwała rzeź. Kiedyś w mroku ożywił ich prąd powietrza. Tuż Pjisko warczenie, skomlenie, mlaskanie. Lwy i szakale roz-^cągały trupy. Naci rannymi widniało niebo. Z trudem wy-li ku pobliskim krzakom. Szakale z podwiniętymi pod sie-

bie

ogonami cofały się o parę kroków i oblizując pyski pa-
zyły ciekawie. To, co przed chwilą było trupem, wkręca się ^v zMośla. Instynkt życia nagle rozbudzony każe moribundom

skryć się, zaszyć głęboko, wpełznąć pod niedostępne nawet dla lwa, twarde ciernie, przywarować, wstrzymać dech. Przy-taili się. Ustrzegli ledwo kołaczące się w nich życie, spełnili ten najważniejszy nakaz rodzaju. Ustrzec życie! Lizali się z ran, jak to czyni zwierz. W dzień wypęzali do wody i na pola. Rwali owoce nisko rosnące, żuli niedojrzałe melony lub wysysali mlecz z nieżrałych kłosów pszenicy. Noce spędzali w twierdzy twardych jak żelazo cierni, których kolce boleśnie kaleczyły wychudzone ciała. Tak bytowali nie wiedząc sami, zali są żywi czy umarli; czekali nie wiedząc na co. Aż doczekali się łoskotu siekier i głosów swojackich. Zrazu wzięto ich za upiory. Pomału wyjaśniła się rzecz. Przygarnięto ich, odkarmiono.

Na prośby biskupa Rajmund St. Gilles ciał Walterowi całkowity przyodziewek i miecz, który tenże po dawnemu zawiesił sobie na szyi. Lecz olbrzymi kościej, nawet gdy się po kilku dniach odżywił i stał podobnym do ludzi, nie był już dawnym Walterem, zuchwałym, srogim zawiadką. W spowiedzi ze szlochom wyznawał biskupowi, że poczucie odpowiedzialności za śmierć tysięcy bliźnich zżera mu dusze i że serce w nim od tego schnie. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić — bo do pieszych włódków przystać nie chciał, a rycerstwo patrzyło na niego ze wzgardą — trzymał się namiotu biskupa. W namiocie tym przesiadywał już stale drugi rozbitek, mniej winien, równie nieszczęsny, Piotr Eremita, doszczętnie z rozumem skłócony. „Kukupetros”, śmieszne przezwisko nadane mu w Bizancjum pono przez samą Annę Porfirogenetkę. — przylgnęło do niego na stałe, odpowiadając doskonale jego obecnej duchowej postaci. Piotr, natchniony mówca z Cler-mont, mąż Boży, kierownik uwielbiających go tłumów, przestał istnieć, rozwiął się. Pozostał „Kukupetros”, pocieszny półgłówek, nieustannie widzący szatana, wszędzie, nawet w kubku wody.

Widok obłąkańca nie mógł być miły Walterowi.

— Na pomstę i hańbę Bóg nas dwu zostawił przy życiu — mawiał do biskupa. — Wolej bym skonał trzy razy, niżli sam ocalał, ja i ten biedny niedojda! Gdzie sprawiedliwość? Tamci poginęli, a my, cośwa ich tutaj wywiedli •— żyjemy... Po co?

— Dla pokuty — odpowiadał z powagą Ademar.

Imbram szedł szybkim krokiem, zakreślił koło namiotu i natknął się twarzą w twarz na obszarpańca przyglądającego

„jo uważnie koniom. Przybłąda był chudy, zgarbiony, o twarzy wydłużonej i wąskiej jak pysk łasiczy. Nie zauważył również nadchodzącego i cofał się teraz pośpiesznie, z kornym lakiem. Bełkotane pod nosem wyrazy przykuły przechodzącego rycerza do miejsca. Chwyił obdartusa za ramię, zajrzał mu w oczy, krzyknął ze zdumieniem.

— Chebda!

Tak, istotnie był to Chebda, niewierny sługa, co rzucił niegdyś swoich przyrodzonych panów, by samodzielnie iść na świętą sprawę. Ocalał z pogromu razem z Walterem Bez Mienia i teraz plątał się po obozach, niczyj i bezpański. Pociągnięty siłą starego przyzwyczajenia, odszukał obóz Ślązaków, by popatrzeć, co się tam dzieje.

— Chebda! — powtórzył Imbram miękkim głosem. Sam nie wiedział, kiedy ułapił chudzieńca w ramiona i ucałował jak równego sobie. Jak gdyby Chebda był opuszczonym domem, za którym Imbram przeżywał właśnie ostry napad tęsknoty. Znajome lico sługi stanęło w oczach niespodzianie, bliskie jak rodzona strzecha. Ucałował go, uściskał i cofnął się o krok zmieszany. Badawczo rozejrzał się, czy nikt niewczesnego wybuchu poufałości z poddanym nie widział. Na szczęście nie było nikogo w pobliżu, tylko Benito szcztokował starannie zad przywiązanego do drzewa konia udając, że jest całkowicie zajęty robotą.

Imbram odetchnął. Znów widział w przybyłym jedno tylko: dawno nie widzianego swojaka. Roześmiał się radośnie, prawie dziecinnie.

— Bacz, stary — rzekł — źrebiec dobrze się trzyma. A jako ci się tu widzi? Śmieszny kraj... Do żniw już się gotują, a u nas żyto pewnie dopiero się kłosi?...

- Dopiero się kłosi... — powtórzył Chebda jak echo.

Obu wydało się, że widzą łan, ten przed dworem, pod lasem, pokryty błękitnozielonymi piórami młodego żyta. Na łągu modrym od niezabudek żaby grają. Woń żywiczna niesie się od boru... PCraSka przelatuje z drzewa na drzewo... Na grudzi P^{as}ą się konie...

Wpatrzonych niemo w ten zwid zaszedł Zbylut.

~~ Jesteś, łążęgo — zauważył obojętnie. — Że to cię nie .™pili?... Użyłeś swobody?... Możesz ostać, ale pomnij, że jakby ci jeszcze raz przyszła ochota...

Dopowiadając myśli świsnął znacząco trzymanym^w woni prętem.

hebda skulił się, zmalał. Po prawdzie zapomniał, że jest

własnością swych panów, własnością, którą mogą srogo za odejście ukarać. Nie zastanawiał się jeszcze, czy tu zostanie, czy nie. Przyszedł ot, tak sobie, popatrzeć... Od półtora roku odwykł od poddaństwa. Głos Zbyluta przypomniał mu je natarczywie. Przypomniał je również Imbramowi. Wróciło poczucie odległości dzielącej rycerza od sługi. Imbram odsunął się mimo woli. Rumieniec oblał mu twarz na myśl, że starszy brat mógł nadejść wcześniej.

Zbylut odszedł, lecz oni obaj zostali zakłopotani, spłoszeni. Chebda kręci się niespokojnie, pyta o to i owo... Gniada kobyła czy zawsze obłamuje sobie kopyto?... A Jego Miłość pan Głowacz jako się mają?... A Wasza Miłość czy z Benita zadowoleni?...

— Bardzo, bardzo — mówił Imbram. — Powiadaj no, stary: tamci, co z tobą poszli, Chróściel, Dulęba, co z nimi?...

— Poginęli wszyscy. Dulęba jeszcze w Bizancjum kajś się zawieruszył... Użyli my dużo biedy — dodaje poufnie.

I znów milczą. Chebda przestępuje z nogi na nogę... Zostać, nie zostać? Jadło by miał zapewnione... Nie, nie zostanie. Lecz gdzie pójdzie? Biskup przygarnął wprawdzie wszystkich ocalonych, ale pozostając u niego spotykałby ustawicznie dawnych swoich panów, należących do tego samego obozu Rajmunda St. Gilles... Trzeba się będzie ucześcić gdzie indziej... Choćby i głodować znowu przyszło, mniejsza o to, byle nie należeć do nikogo...

— Wasza Miłość —• baka nieśmiało —• ja już pójdę... Nie ostanę...

•— Idź z Bogiem.

W głosie rycerza jest prawie ulga. Tak, lepiej niech Chebda idzie. Imbram nie wie już, czemu go ucałował, i czuje, że to zagadnienie będzie go dręczyć, ilekroć spojrzy na starego sługę. Lepiej go nie widzieć.

I Chebda odchodzi.

To przelotne zjawienie się, ponowne zniknięcie — stanowiło przedmiot dłuższych rozmów w gronie polskich rycerzy. Głowacz nie posiadał się z gniewu i zwymyślał Imbrama jak żaka.

— Powiedział ci, że idzie sobie, a ty na to: Idź, owszem. Takeś powiedział?

—• Ano.

— Boginkowy odmieniec! Niezguła! Dyć to nasz człowiek!

Nasz poddaniec! Nie miał prawa odchodzić, aniś ty nie miał prawa odpuszczać go bez mojego zezwolenia! Jaki mi łaska-wiec! Na moją szyję, na moje źrenice klnę się, że drugi raz czegoś takiego nie ścierpię! Świat się przekocił do góry nogami! Zamiast ochłostać biegusa i na postronku za koniem uwiązać, odpuszcza go... Idź sobie...

Imbram bez słowa . wzruszał ramionami (dawniej nigdy by sobie na to nie pozwolił) i spoglądał na Jaśka Zaworę, pewien milczącego poparcia ze strony przyjaciela.. Prawo... Prawo... Na Śląsku było istotnie tak, jak Głowacz mówił. Sługę, co by chciał odchodzić, należało ukarać jak nieposłusznego psa, ale tutaj!?

Odszliśmy od Śląska daleko^ odległością i nowym zgoła tokiem myśli. W świeżo zdobytych pojęciach z trudem mieściły się dawne.

Nie dla Głowacza. Zarówno jego, jak Momota i Ściborowica przemiany, nurtujące całe rycerstwo zachodnie, nie imają się zgoła. Pozostawali takimi samymi, jakimi przed dwoma laty opuścili Śląsko.

W Bizancjum czuli się na ogół lepiej niż w Tuluzie. Nie tylko dlatego, że tu znano piwo, zbyt ciężkie wprawdzie, zbyt korzenne, ale piwo — lecz że - spotykali w zaciężnych wojskach basileusa wielu Rusów, z którymi mogli ugwarzać jak ze swoimi. Jedynym przedmiotem ich rzeczywistej zgryzoty była niechęć basileusa do Rajmunda St. Gilles, długi za^ targ o przysięgę, załatwiony połowicznie, ku niezadowoleniu obu stron. Istota tego zatargu nie obchodziła sama przez się nic a nic Ślązaków, lecz odczuli na sobie jej skutki. Podobnie bowiem jak Prowansalczyki, nie dostali żadnych darów. Węgrzy, którzy po przybyciu do Bizancjum przyłączyli się, nie wiedząc czemu, do obozu Szczepana de Blois, chętni się przy każdej sposobności otrzymanym bogactwem.

kosztownościami wychwalając pod niebiosą besileusową szkodrość.

— ^Nigdy nie miał szczęścia — narzekał słuchając ich (Jświęta Cwała — od dziecka mi się nie wiedzie...

Bo i młodszym się urodził, i białkę mam puklatą, i ludzimi w górach Potracił...

To jest prawda, że nam się nie szczęści od samego po-

- przyznawał gniewnie Głowacz — a wszystko przez

P^{rz}yglupka Imbrama, co się wtedy w bramie obejrzał...

Tyle zmartwień przez niego!

na ^{przycz}y tych darów nie otrzymanych pogniawali się na jakiś czas z de la Tourem, gdyż rozżaleni, szpetnie

• Krzyżowe

y t. I/H

gadali na Rajmunda, którego tenże był przyjacielem. Pogodzili się jednak rychło, bo łagodny de la Tour nie był pa-miętliwy, przy tym i Ślązacy, przyparci do muru, przyznawali, że na miejscu grabiego nie kwapiliby się do składania schizmatyckiemu cesarzowi przysięgi na wierność. Zresztą nadzieja rychłego starcia z Saracenami rozpogadzała wszystkich. Cóż ich może jeszcze czekać? Jedna, dwie zwycięskie bitwy, bogata zdobycz, spełnione śluby, możliwość powrotu w wielkim dostatku i chwale.

Nicea, pierwsza potężna placówka muzułmańska, jaką krzyżowcy mieli napotkać po drodze, pozostawała dopiero od czternastu lat w ręku niewiernych. Mury, wzniesione niegdyś przez Rzymian, były w swoim czasie wzmocnione i poprawione przez Bizantyjczyków z właściwym im rozmachem budowlanym i siłą. Potrójnym pierścieniem czteromilowej długości obiegały miasto. W gęstych odstępach z muru wyrastały wieże, czworokątne i okrągłe na przemian, ciężkie, przysadziste, warowne, ślepiące w dal maleńkimi otworami strzelnic. Tych wież było trzysta siedemdziesiąt. Z jednej strony miasto opierało się o stromą, lesistą górę, z drugiej mury spadały wprost do askalońskiego jeziora wielkiego jak morze. Twierdza zdawała się wyrastać wprost z jego szafirowej toni niby Afrodytę grecką. Jezioro ciągnęło się daleko na zachód, od wciętej głęboko w ląd zatoki morskiej, zwanej Nicejską, oddzielone wąskim pasem ziemi. Otaczające jezioro wzgórza zdały się w ten początek lata rajem pełnym niewy-słowionej urody. Zza murów miasta wystrzeliwały pierzastymi barwnymi kłębami kwitnące krzewy. Wyżej, nad kwieciami, wznosiły się, jak ostre igły świdrujące niebo, minarety, którymi muzułmanie zdążyli już zaopatrzyć wszystkie kościoły nicejskie. Obite miedzianą blachą trzykrotne mury były szerokie na dziesięć stóp. Można było bezpiecznie jechać po nich konno, a nawet wozem. W najniższych miejscach mury te posiadały trzydzieści stóp wysokości. Do miasta wiodły trzy bramy. Południowa wychodziła na wielki szlak, wiodący skroś pustym ku Antiochii. Rzymskim zwyczajem brama składała się z trzech łuków sklepionych z marmuru. Łuki pokryte były piękną płaskorzeźbą, przedstawiającą legionistów cezara Dioklecjana, zbrojnych we włócznie, okrytych szczytami. Przy wschodniej bramie, równie trzyłukowej, dochodził do miasta akwedukt, zaopatrujący gród w źródlaną wodę górską. W ra-

ie uszkodzenia akweduktu musiano się w mieście zadowalać \roda z jeziora, słodką, lecz niesmaczną, przejętą zapachem rybim. Trzecia brama, otwierająca 'się ku Bizancjum, wzniesio-^{na} była z marmuru szarego. Strzegł jej, na środkowym łuku umieszczony, przeraźliwy łeb Gorgony o włosach zjeżonych wężami. Oczy wiedźmy były białe, niby ślepe, lecz, ważę czuj-rie patrzyły na każdego wchodzącego. Pobożny przepisywacz Koranu, emir Mudżahid, syn Dżu-baira, dowódca załogi nicejskiej, stał na murze koło bramy, patrząc na zbliżające się nieprzeliczone szeregi niewiernych.

— Na zapyłone w pielgrzymce sandały Proroka! To jest święta wojna! Allah jest wielki! — mrucał z zadowoleniem. Zbliżające się szyki nie przypominały w niczym łupieżczych band rozbitych przed dwoma miesiącami. To był nieprzyjaciel orężny, zbrojny i zwarty.

Ulubiona żona sułtana Kilidż-Arslana, Dżurłsza, nie podzielała tego zadowolenia. Kazała również wynieść się na mury, by zobaczyć nadchodzącego nieprzyjaciela. Czarni rzezańcy o 'muskulach ze stali, ze złotymi obręczami na przegubach dłoni i nóg, nieśli jej kosztowną lektykę otoczoną gromadą starannie zakwefionych niewolnic.

Emir na widok orszaku pokłonił się nisko. Choć lektyka była szczelnie opięta i nie można było dostrzec nic wewnątrz, zasłonił oczy końcem turbanu, by nikt nie posądził go o chęć ujrzenia oblicza niewiasty sułtana.

— Mudżahidzie, synu Dżubaira — rzekła Dżurłsza przytłumionym przez zasłony głosem — chcę, byś mnie uspokoił. Nasz pan i władca — oby Prorok pielęgnował jego dni! — pisał, że najeźdźcy rozbijają się o mury jak fala morska o skałę... Nasz pan i władca wie, co mówi. 'Kaźde jego słowo jest natchnione przez Allacha... Jednakże czuję lęk, Mudżahidzie, synu Dżubaira, czy pan nasz, pisząc te słowa, znał siły niewiernych? Czy wiedział, jaka ich ilość nadciąga? Lękam się, Mudżahidzie, synu Dżubaira, że to oni nas zaleją... Lękam ^{sic?} o siebie i o mego synka, który jest radością oczu naszego Pana i władcy...

~ ~ Allah jest wielki — odparł pogodnie Mudżahid. ^{zurisza} na to zapewnienie uderzyła w płacz, więc stary ^{1 r} ^przekląwszy w duchu plemię białogłowskie, jął zapew-^{ze Allacn} wspomóże wiernych, a nie giaurów, oraz ^{nie} Jest grodem jako inne. Od strony jeziora nikt ; ^{oblegnie, Ps} y niewierne nie mają okrętów. Ani sił ^{ecznych}, by obstać w krąg jezioro. My mamy okręty,

—
że jej

dobrze ukryte w kanale za pierwszym murem. Nie-obawiaj się, Dżurłszo...

Dżurłsza westchnęła i kazała się nieść dalej. Widok był zewsząd ten sam. Nie objęte wzrokiem masy zbrojnych ciągnęły ku miastu. Zlewały się z trzech stron jak trzy wielkie rzeki. Na widok stojących na murach obrońców podnosili groźnie dłonie do góry, potrząsając kopiami. Okrzyk „Bóg tak chce!”

przelatywał nad szeregami jak grzmot. Podkreślał go warkot bębnow, nowości nabytej w Bizancjum, gdzie ją przejęto od Saracenów. Chrapliwie i groźnie ryczały surmy drewniane i srebrne, rżwały rogi turze. W bojowej wrzawie trąb, bębnow i rogów wojska krzyżowców zajmowały stanowiska na obozy. Godfryd z Baldwinem od wschodniej strony miasta. Obaj Roberci, Boemund z Tankredem i Szczepan de Blois z północnej, Rajmund St. Gilles zaległ od południa, przecinając drogę, którą mogłyby nadejść oblężonym posiłki. Jedynie strona jeziora, pozostała wolna, jako strzeżona wodą sama przez się.

Potężny wygląd murów zapowiadał długie i twarde oblężenie, przeto nie tracąc chwili czasu, wojska łatyńskie zaczęły pracować nad umocnieniem swych obozów, należytym ich obwarowaniem. Ziemia furczała spod łopat, kopiących rowy. Inni grodzili pastwiska, na które mieli puścić konie. Całe oddziały niosły faszynę, gałęzie i drzewo. W przeciągu dwóch dni ogołocili wszystkie okoliczne wzgórza z zielonej szaty lasów. Spłoszone ptactwo i zwierz leśny uciekły daleko w głąb łąd. Zwiędłe gałęzie i liście pokryły brzeg jeziora. Lecz drzewa było mało, ciągle mało. Na opasanie mocnym częstokołem trzech gromad, po sto tysięcy w każdej, trzeba było ścinać wiele dębów, cedrów, buków. Wprędce ich nie stało. Nie stało chrustu do wyplatania kobylic, mających zastawić przejścia w parkanach obozowych. A wojom nie chce się odchodzić po nie zbyt daleko.

Chrustu nie ma, natomiast są kości... kości... Bieleją wszędzie. Są ostre, mocne. Nadają się doskonale do umocnienia płotów.

Pierwsi Normanowie zgarniają je na wozy jako materiał obronny. Inni zrazu brzydzą się takim postępkim. Kość chrześcijańska nie ma się poniewierać. Pochować uczciwie, owszem, ale nie na płoty brać...

Prowansalczyki, zawsze niechętni Normanom, idą z tym na skargę -do biskupa. Niech zeklnie Normandczyków i zabroni.

Biskup myśli długo, zanim odpowie:

A jeśli niebożętom, w czyścicu -ostającym, przyniesie ", g że się choć kością do świętej sprawy przyczynią? Uprawda! Ten wzgląd nie przyszedł nikomu do głowy. Biskup łusnie prawi. Bezpożyteczna śmierć tysięcy pielgrzymów niech się bodaj kruszyną przyczyni. Niech kości zmarłych zabezpieczą żywych. Czaszki wystrzelone z wielkich proc, miotających głazy, niech wpadną do grodu niewiernych jak złowrogie ostrzeżenie... Słusznie...

Ci sami, co szli na skargę, zbierają teraz, gorliwie rozsiane po polach piszczele.

Niezależnie od tych robót, na przedpole, dzielące miasto od obozów, wyjeżdżają harcownicy spośród najpierwszych rycerzy. Uzbrojeni tylko w miecz, kopię i tarczę, podjeżdżają aż pod bramy, wyzywając męstwo niewiernych. Wprędce Sara-ceni dorozumiewają się, o co chodzi. Przez małą furtkę w bocznym łuku bramy rzucają na szeroką fosę mostek. Po mostku, natychmiast za nim wzniesionym, wyjeżdżają poszczególni jeźdźcy. Są precudownie odziani w jedwabne szaty błękitne, żółte, purpurowe. Wiatr wzdyma szerokie rękawy. Na piersiach i grzbietach lekkie pancerze z blachy pozłocistej. Na hełmie barwisty turban. Okrągły szczyt na lewym ramieniu. W rękę szablę, ze sławnej w całym świecie stali damasceńskiej. Migocą w słońcu jak drogocenne owady. Lekkim, pływającym biegiem prześlicznych koni podjeżdżają ku Łatyń-com, jak gdyby w zaloty. Rozpoczynają się harce. Z obu stron z natężeniem patrzą na nie setki i tysiące ludzi. Patrzą, jak giętkość, błyskawiczna szybkość obrotów zewrze się w boju z żelazną, ciężką, nieruchawą siłą. Żelazne męże łatyńskie czują się silniejsi, i de Melun, jeden z najlepszych harcowników, rzy wzgardliwie na widok pogan, których zwie pacholętami. Sadzi wprost na Ibrahima, syna Mudzahida, z kopią złożoną wpół ucha. Na czole konia ostry róg stalowy. Stalowe blachy na bokach, łuskowy, błyszczący kropierz osłania zad. Siodło głębokie, wąskie, sterczy wysokim łękiem z przodu i z tyłu. Łęk osłania brzuch rycerza, lecz zarazem uniemożliwia wszelkie poruszenie. W rycerskim siodle można tylko siedzieć pro-*, nogi mając sztywno wyciągnięte. Ani pochylić się. w przód, ani w tył.

przyłbicą poddarta do góry, jako przystoi w czas harców, stalowym szłomie, pancerzu, w blachach okrywających

ramiona, golenie, długą kopię ująwszy krzepko w garść,

Mełun wali wprost na Saracena, który stoi patrząc go jakby z ciekawością. Stoi, nie porusza się. Pod ko-

pytami francuskiego zrebca ziemia drży. Kopia przebije na wylot lekkomyślnego przeciwnika. Przebije?... Może tak, a może nie. W chwili gdy pobladłe usta stojącego na wałach emira Mudzahida, ojca Ibrahima, nie są zdolne wymówić: Allah jest wielki! — młodzieniec odskakuje w bok. Kopia przeszywa próżnię. Rozpędzony rycerz z trudem hamuje konia, zawraca kipiący złością, składa się ponownie, znów pędzi, znów mija zwinnego jak lampart poganina. Co więcej, ostry dzirynt, rzucony niechybną ręką, uderza go boleśnie w głowę wginając blachę szyszaka. Dysząc ciężko z pasji de Melun wbija w ziemię kopię i chwytając oburącz miecz. Przedtem z rozmachem pluje w obie garście, nie z obawy, by rękoność wypnęła mu się z

ujęcia siatkowej rękawicy, lecz w obronie przed czarami. Kreśląc mieczem wkoło głowy diabelskiego młyńca, podjeżdża już wolniej, pilnie bacząc na każde poruszenie przeciwnika. Powietrze świszczy od ciężaru miecza. Krzywa szabla Ibrahima połyskuje w słońcu. Już się dopadli. Straszliwy miecz z warkotem przecina pustkę, błyszcząca szabla bezsilnie kołacze po opancerzonym karku, po blachach ramiennych. Taka igraszka może długo trwać, aż do zupełnego wyczerpania walczących. Zapasy brytana z wężem. Wiec też de Melun jest wściekły. Nigdy w życiu nie spotkał nic podobnego! I gdy w pewnej chwili Ibrahim odskakuje daleko na swym rączym, zwrotnym koniu, a Cieśla w pościgu za nim natyka się na innego Saracena harcownika, z całą siłą bezsilnej pasji zamierza się mieczem i przecina jeźdźca w pół. Ścina go jak drzewo w lesie. Tułów z głową upada na ziemię. Drgające uda trzymają się jeszcze konia tryskając fontanną krwi. Okrzyk grozy na murach. Okrzyki oburzenia i radości wśród krzyżowców. Oburzenia, bo przy harcach nie Iza walczyć z drugim nie pokonawszy wprzód swego; radości — że pierwszy trup padł po stronie pogan. To dobry znak. Niedbały o treść okrzyków, bacznym na wszystko giermek Cieśli już zdejmując z trupa zbroję, chwytając konia. Dla niego to najważniejsze.

— Allach jest wielki! — szeptem emir Mudżahid, bo Ibrahim, duma starych oczu, nawrócił ku de Melun. Znowu zwiążali się w tańcu. Szczeka głucho wielki miecz, kołacze ostro przenikliwie szabla. Lecz w tejże chwili w obozach trąby poczynają grać zwo- łując, bo pora na Anioł Pański. Harcownicy muszą zejść z pola. Na ten raz dość. Po stronie pogan zginęło pięciu ludzi,

o stronie chrześcijan trzech. Rycerze Roger de Forez, Baldwin du Gand i jeden giermek. Pierwsi polegli! Sława im! Będą jutro pochowani uroczyście.

— Allach jest wielki! — powtarza po raz trzeci emir Mudżahid i schodzi z murów, by dotknąć (bo uściskać nie przystoi) powracającego cało syna. Tak, to święta wojna! Święta wojna! W jeziorze, gładkim jak zawsze, odzwierciedlają się mury i białe obłoki. Na gankach minaretów stoją jnuezini. Kłoniąc się w stronę Mekki wołają śpiewnie, że Allach jest Bogiem i nie masz nikogo ponad nim.

...Że Bóg chrześcijański jest jeden i nie masz nikogo ponad Nim — głoszą w obozie trąby i dzwon, co płoszy demony, i śpiew kilkuset tysięcy ludzi.

— Jeden jest Bóg i nie masz nikogo ponad Nim!

Stępkając i prostując obolałe grzbiety, giermki i pachołcy obrabiali wielkie kłocce, przeznaczone do sklecenia wieży oblężniczej. Siedząc opodal rycerze patrzyli na ich robotę. Wokoło czerniały gołe wzgórza. Trawa w dolinie była zdeptana i wyschła. Po jeziorze pływały wzdęte trupy, od których rozchodzi się smród.

— My się tu trudnim — narzekał de Foix (na razie pachołcy się trudzili, nie on) — a Greci stoją sobie za jeziorem i o nic się nie kłopotują!...

— Wiadomo, przyjdą do gotowego...

— Chyba ich wtedy wodzowie nie puszczą?!

— Ano, chyba...

— Powiadali — zauważył Imbram — że wódz onych, Bu-tumitos, czy jak go zowią, jest chory... Medyki go leczą... To powiadał starszy od warangów, którego przysłał do biskupa pytać, czy powózek z ich zatraconym ogniem przysłać nie trzeba... Barony rzekły, że nie...

• Słusznie. Lepiej się obejść bez tego paskudztwa.

— Wieże wystarczą.

Grecki ogień! Z pewnością zmusiłby przekłętą twierdzę do szybkiej uległości... Rycerstwo łatyńskie jednak nienawidziło J bronii zdradzieckiej, wzbudzającej zabobonny lęk. Użycie jej było według nich rzeczą niegodną rycerza, któremu przystoi tylko uczciwa walka wręcz, kopią lub mieczem.

...c mija, jak trwa tu oblężenie, nie przynosząc żadnej niczej ^{zm}iany, choć na wszystkich odcinkach toczy się

zażarta walka. Rycerze niestrudzenie przystawiają do murów zbyt krótkie drabiny, które mużłmanie odpychają drągami i obciążone ludźmi przewracają z powrotem na walczących. Oblęgającym udało się jedynie zasypać rowy ziemią i faszyną oraz zniszczyć do cna cały kraj wokoło. Poza tym twierdza stoi, jak stała, w potrójnym pierścieniu murów, za żelaznymi kutymi bramami, których nie ma się ogień ani topór.

Nim wieże oblężnicze będą gotowe, nie pozostaje nic innego jak mozolne kruszenie muru, obalanie go drągami i osękami. Niewdzięczna praca! Na oblegających mużłmanie miotają z góry kamienie, leją ukrop, smołę, zrzucają zapalone kłaki i nasiąknięte żywicą szmaty. Więc woje chronią się pod tarcze, w szyk zwany zółwim. Co drugi w szeregu osłania siebie i towarzysza uniesionym ponad głowę szczytem. Zresztą ukrop z wysoka wylany stygnie prędko na powietrzu, smoła, płaty płonące nie

chwytają się blach pancernych i kaftanów skórzanych. Ogólne straty poniesione dotąd nie przewyższają tysiąca ludzi. Byle twarzy nie podnieść, bo wtenczas łatwo wzrok stracić w oka mgnieniu. Saraceny tylko na to czekają.

Więc z głową skrytą pod przydaszek szczytu, pod którym chluszcze woda, smoła zastyga na brzegu czarnymi, lepкими kolcami, milesy i oszczepniki łomocą osękami podważając mur. Gruz się sypie. Pył wapienny wisi w powietrzu jak dym. Gdy ręce towarzysza trzymającego szczyt omdleją, zamieniają się: ten chwyta tarczę, tamten drąg. Kują znowu jak dzięcioły.

. Lecz gdy zbyt ostro poczną wgryzać się niby krety, gdy mur rąbany na przestrzeni mili poczyną chwiać się w- posadach, poganie, wysypują na głowy oblegających kosze pełne żywych węży: czarne lub miedziane, plamiste lub zygzakowate, mniejsze i większe, padają z sykiem. Przerażone, okręcają się wokół ramion, szyi. Tego nie mogą znieść nie tylko piesi woje, ale i rycerze. W zetknięciu się z gadem, z gadem, który jest jednym z szatanem, ogarnia ich nieprzewyciężony wstręt i lęk. Cofają się w popłochu, oni, co nie cofają się nigdy przed niczym. Odskakują od muru, odślaniają niebacznie głowy, zrywają wstrętne oploty. Wałą szeleszczące pod nogami węże, czym się da, kto berdyszem, kto głąszką, kto mieczem. Pocięte dzwona drgają na ziemi. Muzułmanie wyją z radości i odtrącają drabiny, mocno przedtem przez chrześcijan trzymane, a widząc powodzenie tej broni najskutecz-

riejszej, zrzucają węże coraz częściej, coraz gęściej. Skąd 'ch tyl^e bi^o? Czyż gród cały jest zamieszkały przez gady? To pytanie dręczy niejednokrotnie rycerstwo. Jedy-słuszne wyjaśnienie: czary. Obmierzłe kapłany pogańskie, zwołujące co dzień Saracenów z wierzchu minaretów na modlitwę, przemieniają w żmije kamienie grodu.

Co gorsza, krzyżowcy przekonali się, że muszą wbrew wszelkim rycerskim zwyczajom walczyć po zachodzie słońca. Nocą, jak zbóje! Dotychczas wojowali tylko z rycerstwem, podobnie jak oni pasowanym, szanującym te same umowy. Zgodnie z nimi, gdy pora była odmawiać Anioł Pański, walczący schodzili z pola. Trąby ogłaszały wzajemnie przeciwnikom, że następuje w działaniach wojennych przerwa do rana. Tej przerwy dochowywano uczciwie. W nocy ściga się złodziei lub wykrada dziewczkę. W nocy toczą się skradki, zasadzki, zdradzieckie napaści, obmierzłe pasowanemu wojowi.

Saraceni byliż pasowanym przeciwnikiem czy nie? Niby tak, niby nie. Waleczni jak najlepsi, lecz równocześnie, zdaniem Latynów, obrzydliwie chytry, nieuczciwi, nie trzymający się przepisów szlachetnej walki. Od dłuższego czasu, co noc, spuszczały się na linach: i naprawiali uszkodzenia w murze, poczynione w dzień przez krzyżowców. Większe wyrwy Zatykali głązami, faszyną, ubijali piaskiem.

Zrazu rycerze, skoczywszy rano do dzieła, widząc nikły _ skutek wczorajszego trudu, sądzili, że — podobnie jak z węzami — działają tu pogańskie czary. Boemundowi woje wytropili jednak rychło nocną robotę oblężanych. Zaskoczeni tym i zmartwieni, postanowili zarzucić cne obyczaje i walczyć o każdej porze, wzorem pogan. Biskup rozgrzeszał ich i sami zachęcał. Stanęło na tym, że każda drużyna podzieli się na dwie części, z których jedna będzie kruszyć mury w dzień, druga strzec ich w nocy. Wraz też uradzono, że na harce nie będą wyjeżdżać nawet w niedzielę, a to, by okazać "wzgardę nieprzyjacielowi, co tak nieuczciwie poczyną.

Tym ostatnim postanowieniem wielce był zmartwiony pan de Melun, który nie mógł dotąd przeboleć, że nie położył Ibrahima, syna Mudżahida. Porywczozapewniał, że nie opuści Nicei, dopóki go nie odnajdzie i w pojedynczej walce nie pokona,

Kto by z nim wcześniej bój nawiązał, będzie miał ze mną sprawę — groził.

•, . ^{raz^e} pocieszał się miotaniem kamieni na mury, równie ^{nie}> jak to czyniły proce, a. nieporównanie celniej. Gdy

tylko zoczył turban, przebłyskujący na murach, rozkraczał nogi, a ujawszy w dłonie kamień tak wielki, że kto inny aniby go podniósł z ziemi, kołysał się wahadłowo, zrazu wolno, potem prędzej, aż rozmachnąwszy wyrzucił pocisk, który rzadko chybiał. Toteż gdy go dojrzano z murów, leciał na jego głowę rój strzał. Pan de Melun śmiał się swym śmiechem podobnym do rżenia, zapewniając, że nie na jego skórę te igielki. Zresztą nie tylko on jeden odznaczał się siłą dość wielką, by przerzucać kamienie przez mury. To samo czynili łagodny de la Tour i Walter Bez Mienia. Krzepką pięścią, a zarazem zawziętym uporem odznaczał się Rajmund St. Gilles, który pierwszy darł się na mury, po drabinie nieustannie odrzucanej, nieustannie podnoszonej. Kiedyś przybiegli za nim paziowie Elwiry błagając, by im pozwolił leżeć ze sobą, a zwolnił z

noszenia wachlarza i chusteczki. Bo też co prawda przez ostatnie dwa lata wyrosli z małych pacholątek na wcale słusznych otroków, o długich rękach, wielkich nogach, niezgrabnych ruchach. Paziowski biało-błękitny strój nie był już wcale dla nich odpowiedni. Nogawice sięgały kolan, długie rozcięte rękawy, wystrzępione, wyblakłe, stały się kuse, zwisały jak szmaty. Chłopcy czuli się śmieszni i płonęli żądzą bardziej męskiego zajęcia. Rajmund byłby się chętnie przychylił do tej prośby, lecz Elwira ani słyszeć o tym nie chciała. Wyrzec się zwykłego orszaku? Cóż za umniejszenie!

Czas mijał, mijał. Upał doskwierał coraz natarczywiej. Słońce paliło nie znanym dotychczas żarem. Ogołocona z lasów okolica nie zachowała ani odrobiny cienia i rycerze poczynali żałować, że w zbytnim pośpiechu wycięli doszczętnie drzewa. Z daleka, o kilka mil, trzeba było ściągać kłocę odpowiednie do budowania wież, czyli beluard.

Gdy materiał był już ściągnięty na miejsce, wyłaniała się nowa trudność, jak go użyć? W obozach zbywało na biegłych w swoim zawodzie cieślach. Byli tylko wojacy. Cieśle zginęli w gromadach Piotra Eremity. Każdy z rycerzy wiedział wprawdzie dobrze, że beluarda ma być związana mocno z belek jak dzwonnica, że z boku sterceć musi taran w kształcie baraniego łba, grzmocący mur z wielką siłą, że mają być piętra, na których staną łucznicy, oszczepnicy i rycerze, a wszystko musi się poruszać na kołach pozwalających srogą twierdzę dębową posuwać wzdłuż murów. To wszystko wiedzieli. Ale jak zamysł wykonać? Jak kłaść zręby? W każdym obozie stukały zapalczywie siekiery, lecz wynik jak

dotąd okazywał się słaby. Pracowicie sklecone budowle były 'ezdarne, przewracały się na lada nierówności, taran nie działał, albo znów były tak ciężkie, że nie można ich było pchnąć z miejsca, gdyż zarzynały się głęboko w grunt.

Rozmawiająca gramadka rycerzy głowiła się właśnie nad tym patrząc, jak pacholcy obrabiają kłocę.

^__ Krzywo ciosasz; daj mi siekiere — rzekł nagle Imbram

do jednego z nich. Odebrał mu topór, okraczył pień i jał ciosać umiejętnie, lekko puszczając ostrze, odcinając szczyпки równe jak mierzone.

__ Składnie to wam idzie — pochwalił z uznaniem de la Tour.

Imbram uśmiechnął się bezosobowo. Wydało mu się, że ciosa belkę na wieżbę nowego dachu na starym dworzyszczu, co właśnie łońskiego roku mieli czynić. Lecz Głowacz patrzył niechętnie, zmarszczony, i Imbram oddał pacholcowi topór.

Siedząc na kłodzie narzekali dalej wspólnie:

— Z tego upału wyschniemy na trzaski...

,— Nic gorszego jak obleganie grodów... Bitwa, hej, bitwa, to jest radość, a nie mury psować...

—• Po jadło trzeba posyłać coraz dalej... Na tym gorącu wszystko od razu gnije... Wczoraj przywieźli cuchnące mięso... Zwierzyny ani uświadczysz... Ani mizernego ptaszka, żeby się bodaj uweselić... Moje sokoły skapieją na szczt...

—>Az początku wiela to było kuropatw, a różnego ptactwa w sitowiu!

— Uciekły bestie niewdzięczne... Widno wołą poganów...

— A, o, dziwajcie się! Dziwajcie się! Właśnie, jakowys ptak ku nam leci!

— Nie może być! Gdzie?!

— Awo... o... o... Gołąb...

—, Et, gołąb... To i co? Z grodu nie odleci... -^Kiedyż właśnie patrzcie, że leci od grodu ku nam... "•* To chyba nie gołąb?...

— Gołębiego lotu bym nie poznał?! Zgłupiałem do szcztu w tej Azyjej czy co?

Iście, że gołąb i kajś w świat leci...

• E, Dokoła mieć pod ręką, sokoła! Piętro! Skocz po starego drzemlika, a żywo!

^

— Nie żartujcie. Nim chłopak przybiegnie, gołębia nie bę^{dz}ie ani śladu...

~ Jak to nie będzie? Na pustyni nie ostanie. Gołąb zawdy

do domu powróci, nie wiecie?... Zatoczy koło i wróci... Poczekamy... „/:•• . .:

Ponieważ roboty rycerze i pacholcy patrzyli z zadartymi głowami na błękitną kopułę nieba, skroś której żeglował maleńki, samotny punkcik. Gołąb. Od ogrodów cienistych, od dachów znajomych szybował na południe, ku pustyni. Piętro przyniósł zakapturzonego sokoła, który dziobał go po rękę i rwał się skwircząc niecierpliwie. Rycerze czekali, czekali, ale gołąb nie powrócił.

Nie bacząc na gorąco Ademar de Monteil, biskup z Puy, przywódca świętej wyprawy, w towarzystwie Hugona de Vermandois, grabiego de Hainaux i giermków pojechał do obozu greckiego odwiedzić Butumitosa. Cel odwiedzin był dwojaki. Przekonać się, czy dostojnik istotnie słabuje, czy też udaje

chorobę, aby się usunąć od walki, oraz prosić o użyczenie ludzi biegłych w budowaniu wież oblężniczych. Słońce paliło niemiłosiernie. W suchej spopielonej trawie cykały koniki polne. Biskup wspomniawszy mimo woli, jak wyglądała ta okolica przed miesiącem, i ogarnął go nieznośny, dojmujący smutek. Na przestrzeni paru mil wkoło rozciągała się strefa zniszczenia, wypalona słońcem, odarta z roślinności. Unosił się nad nią zaduch trupów, które wrzucano do jeziora, by wodę zeń uczynić niemożliwą do picia dla mieszkańców grodu. Usiłowanie to zresztą chybiało, celu, gdyż Nicea, podobnie jak Bizancjum, posiadała zapas wody w cysternach, natomiast trupy zbierały się w ławice przy brzegu, krzyżowcom, nie poganom, trując wodę i powietrze.

— Muszę nakazać, aby koniecznie grzebali ciała — rzekł biskup do towarzyszy. — Z tego smrodu zaraza snadno może się wszcząć.

— Słuszna, słuszna — przytakiwał z roztargnieniem de Hainaus pochłonięty własną troską. Prosił o pozwolenie towarzyszenia biskupowi w nadziei, że w obozie greckim dowie się czegoś o Idzie. Musiała już albo przyjechać do Bizancjum, albo nadesłać wiadomość o sobie. Niepokój o ukochaną kobietę targał nim coraz okrutniej. Teraz jadąc krzepił się nadzieją, którą sam określał w duchu jako szaloną i nedorzeczną, że może ją zastanie... Może przyjechała z Bizancjum onegdaj albo wczoraj, albo dziś rano, i nie zdążyła jeszcze dać mu znać... Może ją tam za parę godzin obaczy... O, żebyż tak było! ebyż tak się stało!... Modlił się z żarliwością błagając o cud.

....

— Zaraza, murowana — przyznawał obojętnie Hugo: — ale

co do grzebania, obawiam się, że nasi ludzie będą to uważali za zbyt utrudnienie...

Biskup nic nie odpowiedział, gdyż piękny leniwiec miał słuszość. Grzebać trupy i to pogańskie! Na pewno nie zechcą. Rozkaz wydany przez naczelnego wodza pozostanie pobożnym życzeniem jak tyle innych. Zachłysnął się goryczą swego tytułu i odpowiedzialności, nie popartych żadną władzą.

Pustynna sfera zniszczenia urywała się jak ręką uciał u granicy greckiego obozu. Po dawnemu rosły tam drzewa i krzewy, zieleniła się trawa. Od namiotu do namiotu, od zagrody z końmi do zagrody, przewidzione były drogi otoczone płotkiem ze sznurów. Wszelkie śmiecie i nieczystości zbierano i natychmiast palono lub zakopywano. Porządek i ład panowały wszędzie wzorowe.

— Nasi panowie mogliby się siłą od Greków nauczyć... — zauważył znów biskup rozglądając się wkoło z zazdrością.

— Zawsze to mówię! — wykrzyknął Hugo z zapalem — te Wygody! Ta przemyślność w używaniu życia. Ach, oni umieją żyć...!

— Tak, tak — przytwierdził półprzytomnie de Hainaux.

— Co prawda — ciągnął biskup — nie wiada, czy byłoby tu równie porządnie, gdyby trwali od czterech niedziel w boju jak my...

— Tak... tak... Wasza Dostojność pozwoli mi pojechać w przód...?

— Jedźcie.

De Hainaux popędził cwałem.

Butumitos był chory rzeczywiście. Trapiła go częsta w tych stronach gorączka. Wysechł i żółkł, ale medycy uważali, że choroba ma się już ku odwrotowi. Leżał w swoim wielkim, pięknym namiocie, przewiewnym i chłodnym, bo dwa orle skrzydła zawieszono u pułapu i poruszane sznurem przez niewolnika sprawiały przyjemny wiatr. Lśniący biały jedwabny pościel dawała wrażenie świeżości i wykwinu, aż Hugo westchnął z zazdrością.

Dowódca grecki uprzejmie witał gości dziękując im za przybycie. Niewolnicy podsuwali miękkie siedziska, misy z pa-

nącą wodą dla obmycia dłoni i wino kołujące kawałkami ^Dtu, nalane w przezroczyste, tęczowe szklance, zasze mgłą ^d-chłodu napoju.*,

ni .

Zmęczeni i zgrzani goście ujmowali je w dłonie z rozkoszą, dziwiąc się w duchu, skąd lód o tej porze. Butumitos wyrażał zdumienie, że szlachetni wodzowie odmówili przyjęcia ognia greckiego. Za jego pomocą można snadno w grodzie wznieść pożar, co osłabia opór i męstwo oblężonych.

— Obaczmy jeszcze, obaczmy... nasi rycerze niezwyčajni tej broni... — odpowiedział wymijająco biskup. — Mamy za to inną prośbę do was, szlachetny panie: zbywa nam na ludziach obznajmionych z budowaniem beluard. Bez tych zaś nie zdobędziem grodu. Jeżeli posiadacie takich, użyczcie nam.

Ważniejsza to dla nas pomoc niżli ogień.

Butumitos spojrzawszy uważnie na własne pielęgnowane paznokcie, potem w kąt namiotu, gdzie w postawie pełnej szacunku siedział Pantopulos, sławny na całe cesarstwo budowniczy wszelkich machin oblężniczych. Zamyślił się, czy kazać mu zbliżyć się, czy nie? Po namyśle postanowił poczekać. Nic pilnego. Nie wiadomo jeszcze, jak się rozwinie zamierzona przez niego gra.

— Niestety — rzekł głośno — przebiegłem myślą wszystkich naszych ludzi i nie widzę nikogo odpowiedniego... Ale nie frasujcie się, Wasza Dostojność... Natychmiast posłę do Bizancjum, by nam najlepszych wojskowych cieśli przystano...

— Będziemy obowiązani — zapewnił biskup, wlepiając w mówiącego badawcze oczy. Instynktownie wyczuł wahanie. Co oznaczało? Gdybyż przejrzeć, zrozumieć tych Greków! Zimny płyn chłodził rozkosznie podniebienie, poruszane z lekka skrzydła orzeźwiały, było wygodnie, miękko, ale zarazem tak nieswojo, nieszczerze i obco!

Rozmawiali teraz o Saracenach, o ich sposobie wojowania i naturze. Biskup był chciwy wiadomości, a Butumitos opowiadał uczenie i zajmująco. Objasniał, że nazwa Saracenów jest równie mało ścisła jak Agarenów. W rzeczywistości i muzułmanie składają się z rozlicznych plemion, niegdyś wrogich sobie i obcych, które islam złączył w jedno i pchnął na podbój Zachodu.

— Gdyby nie przeklęty szatan Mahomet — mówił — siedzieliby po dawnemu na swoim półwyspie jako rozbójnicy i pasterze wielbłądów, mając namiot za jedyne mieszkanie. To Mahomet opętał ich i zjednoczył. Mają wspólną wiarę i wspólny język, bo Koranu nie wolno tłumaczyć, stąd muszą się wszyscy uczyć po arabsku... Poganie, zajmujący obecnie Niceę i dziedziny aż po Antiochię, to wcale nie Arabi, ani

„raceny, tylko Turcy, Seldżuci, sprowadzeni niegdyś z Tur-k'estanu przez kalifów bagdadzkich do pułków straży przybocznej. Rośli, wielcy i dobrzy żołnierze... Ci nowi słudzy zawładnęli panami i sami stali się władzą. Teraz oni tu rządzą "W przeciwieństwie do dawnych świątłych kalifów z plemienia Abbasydów, tych rządy są okrutne i twarde. Toteż -wiele szczepów zbuntowało się przeciw nim... Już i Bagdad nie jest tym, co dawniej był... Państwo Harun-al-Raszyda, przyjaciela waszego Karola Wielkiego, już nie istnieje. Każdy sułtan jest panem dla siebie... W stosunku do kalifa zachowują beztreściwe pozory dawnej zależności. Sułtanat Kilidż--Arslana zwie się u nich Romania, czyli „zabrany Rzymowi"... Tak, tak, nam to wszystko wydarli piekielnicy... O przeświety gród Jeruzalem walczą ciągle to ci, to tamci wyznawcy proroka... Wszyscy sułtani są między sobą skłócenii, koso na siebie patrzący, i chwila byłaby dogodna dla zwalczania prze-klętników, gdyby nie to, że sama wiadomość o najeździe chrześcijan już wystarczyła, by się pogodzili... A jakież o nich zdanie Waszej Dostojności jako o przeciwnikach?... Waleczni? Nieprawdaż?...

— Strasznie chytry. Przekonałem się niedawno, że nocą, ukradkiem, naprawiają mury, więc teraz będziem i w mroku pilnować...

Butumitos ze zdumienia aż usiadł na łożu.

— Jak to? — zapytał — to dotąd nie strzeżliście?!

— Przywykłem do uczciwej rycerskiej walki tylko od wschodu do zachodu słońca.

Butumitos położył się i przymknął na chwilę oczy. Podobna prostoduszność odebrała mu mowę.

— W dzień pilnowaliśmy dobrze —• mówił biskup nieco urażony — będziemy robić to samo i w nocy... Już są wydane rozkazy... W dzień nawet ptak nie mógł przelecieć i to nie gadka, ale prawda, bo onegdaj gołąb leciał z grodu, to go nasi rycerze spostrzegli...

Butumitos znów usiadł zaciekawiony.

— No i co? — zapytał. Biskup nie zrozumiał pytania. "~~ A nic. Poleciał kajś w świat.

— Nie'ustrzelili go?!

— Nie.

^ Jak można było puścić, jak można! W którą stronę Nad naszym obozem, czyli na południe... Dłaczego py-

tacie o to, szlachetny panie? Czy kierunek lotu gołębia może mieć znaczenie?...

— Jak czasem... Jak czasem... Na południe?... A czy liczyacie się z możliwością nadejścia posiłków dla twierdzy... Kilidż--Arslan ma w Nicei żonę i syna... Przyjdzie im z pewnością na pomoc... Czy jesteście na to przygotowani?...

— Kilidż-Arslan jest podobno o sto mil i nie może wiedzieć, co się tu dzieje. A zresztą przygotowań żadnych nie trzeba. Jak przyjdą, to ich z Bożą .pomocą pobijemy, i koniec. Nasze rycerstwo tylko się modli o bitw<|.

Butumitos zdziwił się po raz trzeci. Takiej mowy nie słyszeli dawno Grecy. Choć dzielący wszelkie przywary swej schyłkowej, przekwitłej rasy, stary wódz był żołnierzem i umiał ocenić te słowa. Z mroków pamięci nadbiegło natrętne przypomnienie listu, pisanego niegdyś przez jednego z sułta? nów do jednego z basileusów, który odważył się odmówić płacenia haraczu. List brzmiał:

Pismo twe otrzymałem, psie niewierny, synu nieczystej. Odpowiedzi mojej nie usłyszysz, ale ją zobaczysz.

Basileus uląkł się i co prędzej .daninę posłał. Butumitos pomyślał teraz z goryczą, że ci prostacy byłiby

postąpili inaczej...

Potrząsnął głową i wyciągnął rękę po mrożone brzoskwinie, zachęcając gości, by raczyli posmakować ich również.

— Ach, człowiek tu inaczej oddycha! — mówił Hugo zajądając z rozkoszą.

— Tak, tu jest obfitość wszystkiego. Należy ją wykorzystać, bo niedługo za Niceą zacznie się droga wielce uciążliwa...

— Jak daleko stąd do Jeruzalem? — zapytał biskup. Pytanie to zadawał w ciągu ostatnich miesięcy niezliczoną ilość razy nie mogąc nigdy usłyszeć jasnej odpowiedzi. I teraz Butumitos począł z zastanowieniem przyglądać się ponownie swoim paznokciom. Nie wiedział, do jakiego stopnia Latyńcy są oporni i zawzięci, i obawiał się, że usłyszawszy prawdę, postanowią wracać do Bizancjum...

— Dość daleko — • rzekł w końcu — • jednakże człowiek znajdzie wszędzie... Cały świat nie jest tak wielki, by był nie-obeszłym..'

— Jeszcze go jednak nikt nie obszedł — odparł biskup. Ach, im także świat zdawał się niegdyś niewielki, łatwy do

mierzenia rycerską stopą. W ostatnich dwu leciech roz-P, , „jg straszliwie, zolbrzymiał i zdziwniał... —

Jeszcze go 'kt nie obszedł — powtórzył — • zresztą, ja nie o to pytam, • o wiele czasu trzeba na drogę do Jeruzalem?

— To zależy od tego, jak się idzie.

— Zwykłym wojennym pochodem.

, — Pochód pochodowi nierówny.

Biskup zacisnął wargi obiecując sobie nie pytać nigdy więcej. Zawsze to samo, zawsze to samo! Każdy zapytany wykręcał się od odpowiedzi jak piskorz. Dlaczego? Co kierowało tą powszechną złą? Czy do Ziemi Świętej było bliżej, niż on, Latyńcy, sadzili, czy też dalej, nieskończenie dalej?...

Począł żegnać gospodarza ku strapieniu Hugona, który miał nadzieję pozostać tu przynajmniej kilka dni i przekładał, że należałoby doczekać przyjazdu obiecanych cieśli.

— Patrzeć, jak oszczepniki i tarczownicy kują w mur, a Rajmund St. Gilles przewraca się z drabiną i znów na nią wchodzi, nie jest ciekawe — zapewniał. — Bez greckich cieśli nie zbuduję wieży, a bez wieży nie zdobędziem grodu... Więc po co się śpieszyć, gdy tu można by posiedzieć w chłodzie?...

— Nasi towarzysze prążą się na słońcu. Zresztą, zostańcie, grabio. Nikt się wam w tym nie przeciwi.

— Sam nie zostanę. Dopieroż by na mnie wydziwiano! Ale na świętego Dionizego! Nie rozumiem, dlaczego Wasza Dostojność chce jechać?! • — sarknął Hugo i wyruszył zły, pełen żalu do ludzi, co dobrowolnie utrudniają życie sobie i innym. Ach, Grecy, Grecy! Od nich się uczyć! Oni umieli uczynić bytowanie na ziemi rozkoszą!

De Hañaux włókł się z tyłu równie osepiony i bezmowny.

Idzie nie otrzymał żadnej wiadomości. Obóz Butumitosa utrzymywał stałą łączność z Bizancjum i zapewniano go ostatecznie, że do „Grodu strzeżonego przez Boga" nie przybyły w ostatnich tygodniach żadne galery z Francji lub Italii. Nie przybyła również łądem żadna szlachetna małżonka krzyżowca. Więc co się z nią stało? Co?

. udręczonej głowie majaczyły burze (ależ w tę porę morze „P°kojne), piraci... (ależ wszyscy poszli na świętą wypra-

w, rob'y, to znów obawa, że po prostu zapomniana o nim myśl • • Zostać z dzi eckiem niż jechać tyli kraj świata. Ta

ściskała serce jak żmija rzucona z murów. Jak się dowie-

dzieć, jak się dowiedzieć?! Skąd zasięgnąć wieści? I jak tu żyć w niepewności?!

Na głównym placu przy rzeźbionej studni tłum otacza baj-czarza. Ludzie są ciemnolicy, śniadej cery, czarnych pobły-skliwych oczu, w turbanach lub bez, odziani w luźne, barwne płaszcze albo łachmany, albo nieodziani wcale. Sami mężczyźni. Kobiety przesuwają się z daleka, dźwigając ku murom wiadra z ukropem lub pęki strzał, ale nie śmiały zatrzymać. Twarze mają osłonięte gęstą czarną zasłoną. Tak kazał Prorok. Niewiasta ma być jak noc cicha, jak noc ciemna, jak noc niewidzialna. Niewiasta ma być usunięta z życia, uważana za nieczystą. Szalony, kto by jej wierzył. Szalony, kto by się na niej opierał. Niewiasta jest zdradliwa. Według Koranu, jeżeli zostanie z mężczyzną tyle czasu, wiele trzeba dla ugotowania jaja • — • już może być posądzona o zdradę. Niewiasta musi być zamknięta i strzeżona.

Obarczone niechęcią Proroka niewiasty nie śmiały przeto wchodzić się w tłum słuchaczy, z żalem przechodząc mimo. Ach, opowieści! Najulubieńsza radość wszystkich ludzi Wschodu. By nie stracić zasłyszanego wątku opowiadania, mąż przestaje bić żonę, kat wstrzymuje w pół drogi miecz nad szyją skazańca, niewolnicy stawiają na ziemi niesioną lektykę, z której wychyla się, równie jak oni, zaciekawiony dostojnik, kupcy przestają targować się, sprzeczać, zachwalać wrzaskliwie towary. Bajki,

bajki! Każdy gotów ich słuchać bez końca, jak ów krwawy sułtan, któremu mądra Szehere-zada prawała opowieści przez tysiąc i jedną noc.

Bajczarz jest zwykle starym, bywałym człowiekiem. Pamięć ma pełną zdarzeń, metafor i wierszy. Muzułmanie kochają się w wierszach, dźwięcznych rymach i bogatych przenośniach. Każdy bajczarz chełpi się, że zna ich więcej, niż gwiazd migoce na niebie, że jest uczonym i biegłym w pięknym słowie. Poeci mówią, że posiadli tysiąc porównań-określeń na konia, tysiąc na lwa, tysiąc na miecz i dwa tysiące na wielbłąda; bajczarz zapewnia, że do tego skarbcza może dorzucić drugie tyle piękniejszych niż wszystkie dotychczasowe.

Tak mówiąc rozkłada na ziemi brudny, wytarty dywanik, siada na nim z podwiniętymi nogami. Chytrym okiem łypie po otaczających, zajmuje ich rozmową o byle czym, by się tymczasem zeszło jak najwięcej słuchaczy. Inaczej — ci, co przyjdą później, żądają, by zaczynać dla nich powieść od początku, a na to wcześniej przybyli sarkają.

Słuchacze zaś biegną zewsząd. Kłapią o ubitą ziemię bosą

lub płytkim, opadającym z pięty chodakiem. Tłoczą się

^S isną, ciekawi jak dzieci. Już zwarty tłum otoczył opowia-

czka Nawet sam emir Mudżahid, syn Dżubaira, śpieszący murów do pałacu na radę, przystaje w otoczeniu swych mu-szyrów i szeików.

Na wjdok zastępcy sułtana opowiadacz przypada trzykrotnie czołem do ziemi i już nie czekając na nikogo zaczyna swoją opowieść:

...La ilah el Allah, Mohammed rasu! Allah!

Działo się przed nieskończone licznymi wiekami, gdy Prorok i święte sury Koranu drzemały w łonie Allacha, istotne, nieśmiertelne, lecz ludziom nie znane...

...Ibn Dżira z plemienia Ad, syn Ibn Abdullacha, ojciec walecznego Abbasa, był mężem o lędźwiach suchych, pełnych dumnego spokoju. Bohaterstwo spoczywało, gdzie on rozbił namiot. Wielbłądy jego były wytrwałe i mocne, kobiety wonne i tuste, koń śmigły jak pierzasty bełt strzały, podobien koniowi znaczonemu przez Proroka, o którym uczoną księgę napisał Abu Ubajda,

którym pieśni śpiewał szlachetny Asmai, mający płynny miód w ustach.

...Przeto gdy Ibn Dżirę, syna Ibn Abdullacha, zabili wojownicy z mściwego plemienia Tamud, Abbas, syn Ibn Dżiry, zebrał mężów szczepu Ad. Przysięgli społem na słońce i jego światło, "na księżyc, ukazujący się tuż za słońcem, na niebiosach i mieszkające w nim bogi, że pomszczą śmierć wojownika.

...Wtenczas Abbas, syn Ibn Dżiry, poszedł do doliny, gdzie stał posąg bożka (imię Proroka zakryte jeszcze było przed oczami wiernych), by ciągnąć wróżebne strzały, oznaczające dzień zaczęcia zemsty. Trzy były strzały: rozkazująca, zabraniająca, wyczekująca. Abbas wyciągnął drugą strzałę.

Zdziwił się i w wielkim gniewie połamał ją i cisnął bożkowi w twarz, wołając: Gdyby twojego ojca zabito, inaczej byś odpowiedział! I sam poszedł szukać pomsty. W walecznym boju wytracił więcej niżli trzydziestu mężów z mściwego plemienia Tamud

starczy orzekli, że jakkolwiek cennym mężem był Ibn Dżira, syn uczył g dostatecznie.

Lecz obrażony przez Abbasa bożek ukarał mężne plemię Ad, zsyłając srogą posuchę. Ginęły wielbłądy i konie. Starcy wysłali postów do świętego miasta Mekki — wszyscy obecni pochyłili p j ¹o wy — by uprosić deszcz u przeświątego kamienia Kaaby.

^o ^o ^{wie}. Przeszli pustynię, wdarli się na góry, które noszą zimę miacp ^S } ^{viosnę} na ramionach, jesień w łonie, lato mając drze-nem «^U ^{Stop}, * ^{zeszli} do świętego grodu. Tam ich przyjęto wi-zapomni tTM ¹ tańcami, w słodkiej rozkoszy niebaczni posłowie ^{SZ} ^Y na • ^U ^{sw} ^J ^{eo} przybycia. Aż po miesiącu, wspomniaw-Kaaby, ^S ^N ^{fro} ^{je} Poślanie, powiedzieli, po co przyszli. Stróż świętej A jeden ^m ^w ^{te} ⁱ ^z ^y ^w ^l ^k ⁱ e obłoki i zapytał, który by chcieli, wie ^w ^v ⁱ ^l ^o ^k był biały, drugi czerwony, a trzeci czarny, Posło-ran czarny, gdyż zdał im się zawierać w sobie więcej

deszczu. I powrócili do kraju Ad, a obłok płynął nad nimi. Biada złym posłom, biada walecznemu plemieniu! Biada Abbasowi, synowi Ibn Dżiry! Z czarnego obłoku spadł huczący wiatr i grad, który wytłukł stada i zniszczył pastwiska... Cóż teraz poczną waleczni?...

Emir Mudżahid oderwał się z westchnieniem od opowieści i odszedł. Obowiązek przede wszystkim.

Marzenie całego życia, święta wojna toczy się wokoło i synowi Dżubaira nie wolno okazać się niepomyślnym jak posłowie plemienia Ad. Poszedł do pałacu na radę, gdzie czekały nań ważne sprawy.

Na! ulicach rojno i gwarno, tak rojno, że niewolnicy muszą torować drogę przed emirem i towarzyszącymi mu szejka-mi. Muzułmanie żyją na ulicy chroniąc się pod dach, tylko gdy słońce zbyt praży. Na ulicy gotują, jedzą, modlą się, kłócą i kupczą. Głodu ani przygnębienia nie znać jeszcze w grodzie, mimo dwumiesięcznego blisko oblężenia. Nic dziwnego. Nie wykryte dotąd przez krzyżowców galery przywożą codziennie nocą żywność z tamtego brzegu jeziora.

Nie patrząc na kłoniący się przed nim tłum, emir idzie zamyślony. Żal mu dalszego ciągu opowieści. Co uczynił mimowolny sprawca zła Abbas, syn Ibn Dżiry? Zapewne udał się sam do Mekki błagać przebaczenia? Mekka!... Stary emir Mudżahid jest wzorem wiernego wyznawcy Proroka, przeto był już w

Mekce dwa razy za swego żywota. Widział Kaabę, miejsce święte świętych. Na podwórku olbrzymiej moszei surowy granitowy sześcian, w zwykłe dni owinięty czarna zasłoną dzierganą przez dżiny. Niegdyś było tu siedlisko wszystkich bogów i granit otaczało więcej niż trzysta posągów. Dziś króluje tu niepodzielnie chwała Proroka. Na wysokości siedmiu stóp nad ziemią czernieje w granicie otwór. Jedyne wejście. Można się doń dostać po przystawionej drabinie i z trudem wczołgać do wnętrza. W ciasnej pieczarze powietrze stoi nieruchome, duszne. Żyły tętnią w skroniach, tchu nie staje. Mętne światło sieje się ze szczerozłotych lamp. Ściany i strop pokryte są literami z marmuru i złota. Naprzeciw wnętrza ciemnieje rzecz najświętsza: mały czarny kamyk, który anioł przyniósł z nieba Abrahamowi. Żaden może przedmiot na świecie nie jest tak dawno i nieprzerwanie czczony jak ten kamyk. Tysiąc lat uwielbienia minęło nad nim już wtedy, -gdy Mojżesz zawierał z Bogiem przymierze na górze Synaj.

Obok Kaaby bije źródło, które trysnęło, gdy Hagar zasła- •_: niła oczy, by nie widzieć śmierci Izraela konającego z pra-

ienia. Tak jak wówczas, Allah ześle zawsze źródło, by na-^{en} wiernych, a nad głowy giaurów napędzi czarny obłok,

który i^{cn} wytraci. Już sułtan Kilidż-Arslan ciągnie przez pu-
stynię, jak wicher huczący i grad...

la Hah el Allah, Mohammed rasul Allah!... Wchodząc na marmurowe stopnie pałacu emir spogląda wdzięcznością w niebo. Wargi półświadomie powtarzają ulubioną surę Koranu. Sura brzmi:

Rzekłem mej duszy strwożonej widokiem licznego wroga: Hańba ciczemu się lękasz? Długie życie rzadko jest płaszczem chwalebny. Szata długowieczności przystoi tylko sercom słabym i tchórzli-wym. Szczęśliwy, kto legnie w pełni sił na wojnie, stokroć szczęśliwszy i błogosławiony, kto legnie na świętej wojnie! Życie jest uludnym skarbem. Odkrada go każda noc. Umniejsza każdy dzień. Ni_e warto oszczędzać życia...

La ilah el Allah, Mohammed rasiil Allah!... Pochwalona święta wojna, radość rycerskiego serca!

W precudnej sali, wznoszonej przez Bizantyjczyków, ozdobionej przez Arabów, panował przyjemny chłód z bijącej pośrodku fontanny. Sala ta zwana była zegarową z powodu sławnego dwoistego zegara, któremu równego nie posiadało nawet Bizancjum. Zegar stanowiły dwie tarcze złociste na przeciwnych ścianach umieszczone, każda zaopatrzona w dwanaście otworów. Były to drzwi godzin. W tarczy po lewej -- godzin nocy, po prawej — godzin dnia. O każdej godzinie dnia z odpowiednich drzwi na prawej tarczy wysuwał się złoty krogulec i upuszczał z dzioba złote kule, które z miarowym brzękiem padały na umieszczoną poniżej złocistą misę.

Kiedy zapadała noc, złoty krogulec powracał do gniazda, a poczyniała działać przeciwległa tarcza. Kolejno w otworach godzin zapalało się światło błyskające i gasnące odpowiednią do godzin ilość razy. Piękny ten zegar był przysłany sułtanowi przed paru laty przez samego kalifa z Bagdadu.

Na wprost wejścia, na środkowej ścianie, widniała ułożona z mozaiki mapa. Rysunek jej podał Ibn Istakri, syn sławnego

adara z Bassory. W ogromnym kręgu mapa zawierała cały świat ówczesny. Na północy ograniczało ją morze, zwane Mo-

em Ciemności. Na południu biała płaszczyna ziem nie za-
eszkatył z powodu gorąca. Na wschodzie Morze Chińskie,

Rumⁱ, czyli Euro^{pa}- Franc^{ja}- Niemcy, Polska, lia, która tu nazwana była Anklitarą. Zarysy tych

państw nie były ściśle, mylny również wzajemny stosunek ich wielkości, natomiast północna Afryka, Arabia, Azja Mniejsza i całe pobrzeże Morza Śródziemnego oddane były z zadziwiająco i nigdzie wówczas nie znaną wiernością. Podobnie starannie odrysowano wyspy: Sycylię, Kanadię, Cypr. Nil, ojciec żynego Egiptu, brał początek z wielkich jezior, które potomkowie krzyżowców mieli odkryć dopiero w kilkaset lat później. Za to nie było zupełnie na mapie północnych krair szwedzkich, norweskich i duńskich.

Zarówno mapa, jak tarcze zegarów otoczone były ornamentem, pokrywającym wszystkie ściany pałacu i stropy. Ornament ów, bogaty, wytworny, przedziwny, wyszukany, misterny, zawiły, cudownie przejrzysty, choć ciasno zgęszczony, czarodziejski w doraźnym wrażeniu, stawał się z czasem nużący dla oka i jednostajny. Ten sam, bez zmian, w Nicei, co w Antiochii, Damaszku, Kairze, Fezie, Alhambrze, Grenadzie... Oschłość islamu, zabraniająca odtwarzania żywych kształtów, czy to ludzkich, czy zwierzęcych, zniszczyła kwitnącą tu niegdyś przepiękną, różnorodną sztukę perską. Zubożywszy się okrutnie sztuka arabska stała się bezpotomną, skończoną w samej sobie, nie stanowiącą szczebla do niczego dalej.

Tuż za salą zegarową znajdowała się pracownia alchemiczna, w której urzędował całe dni niezmiernie uczony Ibn Idżak. Sam emir odnosił się do niego z poważaniem i dopytywał o wyniki badań. Alchemia, podobnie jak geografia, stała u Arabów na stopniu nie znanym reszcie świata, wybiegającym daleko ponad poziom wiedzy ówczesnej. Na sto lat przed krucjatą uczeni arabscy odkryli spirytus, alkohol czysty, utajony zarówno w owocu, jak ziarnie, duszę wina, szatana przekłętą przez Proroka, posiadającego jednak nie-zmierną doniosłość w lecznictwie. Podobnie odkryli kwas siarczany i zasadę transmutacji metali. Wierzyli, że każde ciało w naturze, czy to żywe, czy pozornie martwe, stałe, ciekłe czy lotne, składa się z tych samych pierwiastków, a tylko układ ich i wzajemny stosunek bywa różny. Zatem rozbiwszy materię na nieskończenie drobne części i ułożywszy je z powrotem dowolnie, otrzymać można nowe ciało. Z tych arabskich pewników wyjdą w przyszłości wszystkie usiłowania alchemików europejskiego średniowiecza. Stąd, uszczknięta przez krzyżowców, wylęgnięta mądrość Alberta Wielkiego, *magni in magia naturali*, Paracelsusa i innych. Napis kuficzny, obiegający pracownię uczniów mądrego Ibn Ruszta,

nego w Europie Averroesem, lub uczniów wielkiego Abu ^z. j. Abdallah Ibn Sina, zwanego nie wiedzieć czemu ^AZBZ Hiszpanów Avicenną, przetłumaczony na łacinę, da kr togram ⁿ_{le}o^dostępny w każdej alchemicznej kuźni,

brzmiący:

YISITA INTERIOREM TERRAE, RECTIFICANDO, INYENIES OCCULTUM LAPIDEM

Fontanna pluszcze cicho. Emir Mudżahid z zadowoleniem usiadł przy niej na skórzanych poduszkach. Nowiny, jakie mu przyniósł aga-szeik, były dobre, były bardzo dobre. Galera, która przybiła dziś w nocy z ładunkiem węży, przywiozła wiadomość o spiesznym pochodzie sułtana z odsieczą. Idzie w wielkiej sile. Z nim wszystkie szczepy, poprzednio skłócone, dziś zespolone chęcią walki z niewiernymi. Allah jest wielki!

— Czy Agida znalazł kogoś do przetłumaczenia pisma giaurów — zapytał nagle.

Agida, przyboczny doradca, wysunął się z pośpiechem spoza nieruchomego rzędu szejków. Owszem, znalazł. Przeprowadził ze sobą psa niewiernego, który równie dobrze zna grecki jak arabski. Oto on. Pchnął przed siebie człowieka w safianowych łapciach i długiej jedwabnej szacie, niegdyś kosztownej, obecnie wyplamionej i wytartej. Twarz, podobnie jak strój, zdradzała dawne dostojeństwo i godność, dziś spodłone i sponiewierane. Był to Ormianin, ongi jeden z najpoważniejszych mieszczan grodu. Dygotał jak w zimnicy, oczami obiegając niespokojnie wkoło.

Emir wyjął z zanadru skrawek zbrudzonego pergaminu, zwinięty ciasno w trąbkę, i rzucił tłumaczowi pod nogi.

— Czytaj!

Był to list, który przed paru dniami Frankowie, przywiązawszy do strzały, puścili na mury. Nie znana muzułmanom geneza tej przesyłki była następująca: -

znajdujący się licznie w Nicei chrześcijanie od rozpoczęcia oblężenia cierpieli srogie prześladowanie ze strony Saraceniów. Echo tych prześladowań doszło do 'latyńskich obozów wywołując oburzenie i obawę o losy współwyznawców. Na ⁿ_{Zie} P^{anow} baronów roztrząsano wielokrotnie, w jaki sposobnożna by pobratymców ochronić, zanim się miasto ^{Zle} - Butumitos, który wyzdrowiawszy przybył do biskupa

w odwiedzin, poradził, by na pergaminie wypisać ostrzeżenie, że w razie dręczenia chrześcijan Latyńcy, wszedłszy do miasta, nie będą żywić nikogo, i takowy kartelus owinięty wokół strzały rzucić na mury...

Pomysł podobał się wszystkim.

— ...Kanonik d'Aguilers zaraz to napisze! — wykrzyknął Rajmund St. Gilles.

• — ...Kanonik d'Aguilers?... • — powtórzył Butumitos przeciągle. • — Czy sądzicie, szlachetni panowie, że w Nicei znajduje się ktokolwiek, znający łacińską mowę?

To prawda! Baroni spojrzeli po sobie zaskoczeni. Znów w obozie łatyńskim nikt nie znał arabskiego, a nawet znając, nie zechciałby się nim splamić.

• — Jeżeli mnie upoważniacie — ciągnął Butumitos — każą posłanie wypisać po grecku.

— Bóg zapłać — rzekł biskup — przyjmijmy to z wdzięcznością. Powiedzcie nam wszakże najszczerzej, szlachetny panie: znacie dobrze Saraceniów? My nie. Zali jesteście pewni, iż takie

pisanie odniesie zbawienny skutek, nie ozeźli pogan jeszcze bardziej i sroższymi dla tych biedaków nie uczyni?

Butumitos spojrzął z namysłem na podniebienie namiotu, potem właściwym sobie ruchem na własne barwione paznokcie. Owocem tego namysłu nie zamierzał dzielić się z nikim. Rzecz jest prosta: jeżeli w grodzie panuje głód i przewidują możliwość poddania się — list może wyrzeć pewien skutek. Jeżeli głodu nie ma, a co więcej, załoga oczekuje odsieczy sułtana, chrześcijanie nicejscy srogo za podobne pismo odpowiedzą... Ostatecznie jednak... cóż to szkodzi?... Nieznośni i pyszni byli zawsze ci mieszczenie nicejscy... Przeklęty żywioł! Bogacze, którzy czasu zdobycia Nicei przed piętnastu laty nie wspomagali dostatecznie basileusa, a zabiegali zawczasu o łaskawość muzułmańską... Pomni na to, gotowi by teraz przeszkadzać w, rozpoczętej przez Butumitosa subtelnej i mądrej grze...

•—• Kto grozi, przejawia siłę, a siła wzbudza szacunek — rzekł sentencjonalnie.

List postanowiono wysłać. I oto ten sam list właśnie leżał, na ziemi u stóp Ormianina, który rozwinął go drżącymi ze strachu palcami.

— Czytaj! — powtórzył groźnie emir.

— Nie śmiem, najdostojniejszy władco, opiekunie wiernych... — wyjąkał tłumacz.

_ - Czytaj natychmiast!

_ Posłanie dobrych rycerzy chrześcijańskich do psów niewiernych...

J_ sylabizował Ormianin szcękając zębami. Emir porwał się z jataganem, lecz powściągnął się i usiadł spokojnie.

...Otoczyliśmy gród wielkimi siłami i zdobędziemy go w niedługim czasie, za wolą Boga, który nas wspomaga. Jeżeli bracia nasi, chrześcijanie, znajdujący się pod przeklętym waszym panowaniem, nie będą się uskarżać na prześladowanie — okażemy wam łaskawość naszą i wybijem tylko mężów pozostawiając przy życiu niewiasty i dzieci. Jeżeli jednak przed naszym przyjściem włos im z głowy spadnie, nie ostawimy żywym nikogo z nasienia waszego. A tak się stanie, gdyż moce niebieskie są z nami. Szatan, którego chwalicie, nie ustrzeże was.

Ormianin upuścił papier i padł jęcząc twarzą na ziemię.

— Ja nie winien!... Ja nie winien!... — bełkotał. — Najdostojniejszy opiekunie wiernych, ja nie winien!...

— Co dalej? —• zapytał emir.

— To wszystko.

Emir zwrócił się do Agidy:

—• Ubić to ścierwo i miotnąć za wały.

Wyjącego z trwogi tłumacza wywleczono. Emir Mudżahid zachował twarz niewzruszoną, bo mężowi nie przystoi okazywać na zewnątrz swych uczuć.

— *Bism'ilah el rahman el lahim* — rzekł — w imię Boga łaskawego i miłosiernego, ujadanie nędznego szakala nie może dotykać wyznawców Proroka! Z zuchwalców, co się miotają pod murami, nie ujdzie ani żywa noga! Nie ostawim im na świecie ani tyle miejsca, wiele go zawiera grzbiet wielbłąda... A psów nieczystych, co się widno skarżyli, wyprowadzić za mury i ubić w oczach gjaurów... Wszystkich ich spędzić i ubić... Kobiety co młodsze rozkrzyżować na pohańbienie, jako uczyniliśmy pod Meliteną...

— Stanie się według twej woli — odparł z uznaniem aga--szeik. — Czy możemy wyłowić nieczystych dziś jeszcze?

Wyłowić ich i spędzić można dziś — odparł emir po namyśle — ale wywieść za mury i ubić dopiero, gdy chwalebny sułtan — oby Prorok błogosławił jego dni! — nadcią^{me} i gjaury będą zaprzątnięci bitwą. To rozerwie ich uwagę na dwie strony...

Doświadczona mądrość płynie z twoich ust — zapewnili ^dziwem słuchacze mlaskając wargami.

†

Obiecani przez Butumitosa cieśle nie nadjeżdżają, choć galery dowożące żywność z Bizancjum obróciły już trzykrotnie do tego czasu. Wódz grecki zaręcza, że nie rozumie przyczyn tej zwłoki. Tymczasem nieudolnie klecone wieże przewracają się w dalszym ciągu, nie czyniąc żadnej a żadnej szkody oblężonym. Trzeba kruszyć mozolnie mur. Niełatwe to zadanie w żarze wzrastającego codziennie upału. Żelazne szłomy i blachy napierśne rozgrzewają się od słońca tak, że syczą spryskane wodą. A zdjęć pancerzy nie sposób, bo kamienie gęsto lecą z góry. W sercach utrudzonych wojów wzrasta zawziętość, gniew i rozdrażnienie. Nie myślą schnąć całe lato pod obrzydłą twierdzą! Ach, gdyby mieć dobrych cieśli! Przeklęte Greki! Dlaczego ich nie przysyłają!?

Swenon, królewicz duński, syn Olafa, pracuje bez wytchnienia. Jasnowłosa, zimna zawziętość skandynawska upodobnia go do wybuchowego Rajmunda St. Gilles, co nieustannie usiłuje wdrzeć się na mury po zbyt krótkiej i wątej drabinie. Z taką samą pasją Swenon wali własnoręcznie toporem w mur, jak gdyby rąbał drzewo w duńskim lesie. Nie przygląda się, jak inni rąbią, lecz wychudły i

szczerniały natęża, wiele ma sił. Rycerze duńscy naśladową swego królewicza i nigdzie może wyrwa w murze nie jest tak głęboka i groźna jak na ich maleńkim odcinku.

Od strony obozu Rajmunda śpieszy ku nim Florina ze swą duegną. Niesie narzeczonemu poczęstunek: wino chłodzone i piękny złocisty melon. Melon zdobyty z trudem, przywieziony z daleka, z okolic, co nie uległy jeszcze zniszczeniu. Z baszt dojrzano już idące niewiasty i sypie się w ich kierunku grad strzał. Duegną Bonina drży i prosi z płaczem, by się oddalić od murów, ale Florina potrząsa przecząco głową. Krew burgundzkich panów nie zna lęku, a przy tym szkoda nadkładać każdej chwili drogi.

Dawno nie widziała swojego miłego!

Ale i on już je zoczył i cisnąwszy topór biegnie w przód, by się zbytnio nie przybliżyły. Zdejmuje z rozkoszą szyszak z głowy. Czoło ma przecięte opalenizną od połowy, pod żelazem białe. Włosy sklezione potem, spłowiałe. Oczy zaczerwienione od pyłu i słońca. Spękane wargi. Florina patrzy nań z żalem. Miękkimi, chłodnymi dłońmi gładzi ostrożnie twarz narzeczonego, jak gdyby szukając pod maską trudu dawnej jego krasy. Potem piją wino z jednego kubka. Ale wino, tak starannie uprzednio chłodzone, zagrzało się przez drogę i spieniło. Melon jest przejrzały, niesmaczny. Śliczna jego woń

mieniła się w mdły, przykry zapach. Za długo czekał. Swe^Z „zajada go jednak ze smakiem, by zrobić przyjemność

Florinie.

po czym oboje patrzą na siebie jakby zawiedzeni. Żal im czegoś, ale sami nie wiedzą czego. Florina wzdycha. Gdybyż znaleźć choć odrobinę cienia, choć źdźbło murawy, usiąść spokojnie, pogwarzyć... Ale nie ma, nie ma... Słońce niemiłosiernie pali, niebo z upału wydaje się szaropłowe, a w powietrzu trwa uporczywie trupi zapach, przyprawiający chwilami o mdłości. Nie wiadomo, o czym mówić. Na murach przebrzydłe Saraceny wykrzywiają się i wrzeszczą. Duegną sapie jak miech kowalski.

Zmartwiona, bliska płaczu Florina zbiera się do odwrotu.

Rozdział dwunasty GRZECH CZY WIEDZA?

Godfryd lotaryński przyjechał do biskupa na zwykłą wspólną radę wodzów. Towarzyszący mu rycerze d'Esch, du Bourg, de Montaigu stali p[^]zed namiotem z gromadką rycerzy Raj-mundowych wypytujac ciekawie pięciu Ormian, którzy zeszłej nocy zbiegli z miasta do obozu.

Rozmowa nie szła s,kładnie, bo tylko jeden ze zbiegów umiał coś niecoś po łacinie. Dobierając z trudem wyrazy powiadał:

— ...Uszło nas siedmiu, ale dwóch nie utrzymawszy sznura spadło i na miejscu ostali... Z takiej wysoczyzny, nie dziwota! Leżą tam pod murem, bez chrześcijańskiego pochówku. Nam Bóg miłosierny błogosławił, żeśmy cało zeszli i z góry nas nie spostrzeżono... Muzułmamy wszystkich chrześcijan wyszukują w grodzie i spędzają na plac targowy... Tam ich trzymają pod strażą od czterech dni... Po co, nie powiadają... Zbiegliśmy, nie ufając poganom. Kto ich wie, co zamyślają...

— Bo i pewnie... A jako w grodzie z żywnością? Musi już i nie stać? Nie? A bogactwa sali tam rzeczywiście takie, jako powiadają?

Bogactwa? Zbiegowie grodcy cmokali wargami nie znajdując dość słów dla opisanja nagromadzonych w Nicei skarbów. Był to wszakże gród najbogatszy w cesarstwie, a Arabowie dołożyli jeszcze niemało... Słuchającym błyszczały oczy. Gdy im Basileus tkął w skarbcu drogocЕННОści do ręki —• nie brali. Lecz teraz było zgoła co innego. Dobra zdobyte na nieprzyjacielu w uczciwej otwartej walce to nie tylko korzyść, ale zaszczyt i chluba. Świadectwo przewag orężnych po powrocie doma. Pamiętnik wojennych działań. Każdy na to łakomy, nawet najbogatszy, a cóż dopiero biedaki!

Więc też ze szczególną ciekawością słucha opowiadań Ormian siwy, zażywny St. Pierre de Luz, dawniej giermek pana de Foix, w Clermont na rycerza pasowany. Bieda, trzymająca go długie lata w służebnictwie u równego sobie rodem,

la rnu się mocno we znaki, pragnie teraz pozostawić syno- tyje grosza, by nie potrzebował z kolei oszemłanym si-^V izną włosom witać rycerskiego pasa. Dusznie modli się, by Chrystus w zamian za trudy, poniesione dla Jego Grobu, zezwolił mu zbierać trochę mienia.

Jeszcze goręcej pragnie, jeszcze pilniej słucha nieśmiały „iermek pana d'Armaillac, Laurenty. Rodzony jego brat, z którym miłowali się serdecznie, przynaglony nędzą, oddał się przed kilku laty dobrowolnie na własność biskupowi z Leodium. Podpisał dokument, stwierdzający, iż nie przymuszony przez nikogo — postanowił cały byt oddać na usługi nowego pana.

A ta umowa moja — opiewał dokument — ma mieć moc obowiązującą po wszystkie dnię żywota mojego. Chyba żebym Waszej Dostojności wypłacił dwieście uczciwych, nieobcanych denarów...

Dwieście denarów! Drogo biskup wielebny oszacował młodego! Prawda, że chłop był przystojny, tęgi, wartki do każdej roboty, wprawny w czynieniu orężem. Zresztą dla obu braci nie miało wtedy znaczenia, czy cyrograf

wymienia sto, dwieście lub trzysta denarów. Każda z tych sum była równie nieprawdopodobna do osiągnięcia i zdobycia. Lecz teraz, kto wie, kto wie?... I Laurenty spogląda tęsknie ku murom rozmyślając, czy uda mu się jednemu z pierwszych wskoczyć do miasta, schwycić coś wartościowego, zanim rycerstwo położy rękę na wszystkim, ukryć zdobycz przed okiem swego pana i szczęśliwie do domu ją dowieźć?

Teraz do grona rycerzy, wypytyujących Ormian, przyłącza się Arnulcl de Rohes, kapelan normandzkiego Roberta. Pragnie dowiedzieć się szczegółów o położeniu i miejscu najbogatszych, najświetniejszych pałaców. To ważne. Zapisując skrętnie otrzymane wiadomości myśli zarówno o sobie, jak o swym wiecznie obdłużonym, wiecznie grosza przy duszy nie mającym księciu, którego po swojemu miłuje. Dziwna to para, księżę normandzki i jego kapelan. Robert jest lekkomyślny, rożny i ograniczony. Arnuld przebiegły, wytrawny, opanowany. Jednakże są nierozdzielni. Robert żyje i sarka na przewodnictwo Arnulda, lecz słucha go we wszystkim. Arnuld nów uważa Roberta za szczebel pomocny do wywyższenia¹⁶; Kressem marzeń przedsięwziętego kapelana jest coś wię^{ej}^{na}wet niż infuła biskupia. Czuje w sobie dość zdolności, Y sięgną[^] aż po kapelusze. A od kapelusza jeden krok do Y- Tiara! Klucze świętego Piotra. Dwa. Jeden od władz-

stwa dusz, drugi od ziemskich spraw. Arnuld chętnie zrzeknie się pierwszego, by tym krzepcie] dzierżyć drugi. Osiągnąć magiczną, cudowną rzecz: władzę.

Na razie przyszły biskup, kardynał, papież ukrywa starannie te dumne zamysły zadowolając się skromnym stanowiskiem kapelana. Czuwa nad wydatkami nieobliczalnego Roberta, wyklóca się z nim i jego rozzuchwalonymi dworzanami, w wolnych chwilach pocieszając się towarzystwem dwóch gładkich panien, rzekomo siostrzenic, o których powiada, że musiał je zabrać, bo niebogi sieroty nie mają innego krewnego prócz niego, ni żadnej duszy życzliwej.

Dokładnie prowadzony wywiad z Ormianami przerwało nadejście nowego, nieoczekiwanego orszaku. W otoczeniu kilkunastu warangów jechał na gniadej mulicy nadworny medyk Butumitosa. Wódz grecki przysłał go, zasłyszawszy o zasłabnięciu szlachetnej bratowej księcia lotaryńskiego, Gontrany. Medyk miał na sobie ciemną luźną szatę, na nogach fiolkowe sandały, bystre oczy w twarzy pomarszczonej jak twarz starej baby i wielką skórzaną torbę z przyborami lekarskimi przytroczoną do siodła.

— Małżonka Baldwinowa chorzeje iście — przyznał Konon de Montaigu. — Z tej właśnie przyczyny księcia Baldwina nie masz z, nami.

— Dawno zaniemogła?

— Trzy niedziele temu.

— Rad bym ją jak najprędzej obaczył.

— Upředzę wpierv księcia — rzucił Konon niechętnie. Pożegnał z nie tajonym zalem towarzyszy i wsiadłszy na koń ruszył do lotaryńskiego obozu. Po drodze przyglądał się Grekowi podejrzliwie.

Wszystko, co opowiadano o bizantyjskich medyках, o krajaniu przez nich trupów, przychodziło mu do głowy. Jeśli to prawda, jakże do uczciwej, szlachetnie urodzonej białogłowy dopuścić takiego plugawca? Nie mogąc znieść podobnej niepewności zapytał towarzysza wręcz. O dziwo, medyk nie zmieszał się wcale.

— Do skutecznego leczenia — odparł — niezbędna jest gruntowna znajomość ciała ludzkiego. Tej zaś jakże nabyć inaczej?

Oburzenie aż zatknęło Konona. Wyniośle i wzgardliwie przedłożył Grekowi swój rycerski pogląd na krajanie ludzkiego padła. Jedyna, według niego przystojna modła leczenia polega na oddaniu choroby w opiekę któremu z wielkich świętych skutecznej pomocy. Tak, jak się to czyni w swia-

tłych

chrześcijańskich krainach Zachodu. Każde miasto, ba, k[^]żda wieś ma tam swojego Patrona, co leczy jakąś chorobę. Ttak małe dziecko nawet wie, że święty Idzi jest pomocny kolkę i wrzody, święty Mamert chroni od krwotoków, 'wiety Wit leczy drgawki, a święta Apolonia uporczywe bóle ebów. Im oddawszy się w opiekę, można czekać spokojnie. Albo człowiek ozdrowieje, albo nie, zależnie od tego, jak rozrządzi wola Boża.

Grek słuchał tych wywodów z roztargnieniem, wodząc oczami P^o ogołoconych z zieleni i wyschłych wzgórzach.

— Dziw, żeście jeszcze wszyscy nie zachorzeleli w tym powietrzu — zauważył nagle.

— Powietrze wszędzie jednakie — mruknął Konon.

Medyk spojrział nań z ukosa.

— Mylicie się, szlachetny panie. Zdarza się, że w jednej okolicy ludzie żyją zdrowo długi wiek, w innej zasię, o parę mil zaledwie odległej, chorzeją bez ratunku i końca. Inne jest powietrze na górach a inne w dolinie. Inne nad morzem, a inne jeszcze, nad wyraz szkodliwe, nad bagnem. Toteż gdy wielki medyk arabski Ibn Razes, któren żył temu przeszło sto lat — bo trzeba wiedzieć, że Arabowie górują w wiedzy

lekarskiej przed wszystkimi narodami świata...- sposobami, których tajemnicy jeszcze nie posiadliśmy, umieją zdejmować z oczu ślepotę czyli kataraktę, umieją uczynić ciało nieczułe na ból, że człowiek żywo krajany śpi spokojnie, nic o tym nie wiedząc... umieją...

—• Każda czarownica to samo potrafi, od diabła posiadłszy niewrażliwość na ból...

— Tu nie są czary, jeno wiedza... Ale zahaczyłem, o czyni jałem mówić... Otóż, gdy wielki Ibn Razes miał z rozkazu kalifa budować w Bagdadzie hospitium, porozwieszał wprzód w różnych dzielnicach miasta surowe mięso i porozstawiał wodę w otwartych naczyniach... Trzy razy dziennie chodził je oglądać...

Wyobraźcie sobie, panie, że w jednych miejscach polpsuło się zrazu, a w drugich uchowało się świeżo znacznie dłużej. Gdzie najpóźniej mięso zrobaczywiało, woda najpóźniej zaśmierdła, tam wybudował hospitium, słusznie powiadając, że tu musi być powietrze najzdrowsze...

j~ Szataństwo czyste, które jeno schizmatyk może wychwa-

c- — wybuchnął Konon oburzony. — Pogańskie urny to stracenie duszy!

•stracenie duszy lub jej zbawienie nie ma nic wspólne-

go z nauką, którą godzi się czerpać zewsząd, choćby od pogan.

Montaigu splunął wymownie, zbyt ożeźłony, by mógł odpowiedzieć. Dojechali do obozu w milczeniu.

Rycerz zeskoczył z konia i pobiegł szukać Baldwina, pragnąc go co prędzej ostrzec przed pokazywaniem żony obmierzłemu medykowi. Grek z filozoficznym spokojem siedział na swej gniadej mulicy czekając.

Baldwin stał w żoninym namiocie drapiąc się z zakłopotaniem w głowę. Stara Helgunda siedziała w kącie mamrocząc pacierze. W powietrzu było błękitno od dymu, którym przed chwilą okadzono chorą. Gontrana, wyschła od gorączki jak wiór, leżała nieruchomo, pokaszując i gadając coś do siebie niezrozumiale. Do męża odnosiła się opryskliwe i wrogo, choroba nie zmieniła jej usposobienia na łagodniejsze. Tylko ilekroć kto wchodził do namiotu, podrywała się z wezgłowia, patrząc płonącymi oczami ku wejściu, po czym opadała na poduszkę bezsilnie, jak gdyby rozczarowana.

I teraz, postyszawszy orężne kroki Konona, aż usiadła z wrażenia na łożu, a rozpoznawszy wchodzącego, zmarszczyła się żałośnie i legła z powrotem.

— Cóż jest? •— zapytał Baldwin podchodząc ku niej.

— Nic, nic, idź sobie, idź sobie, ach, idźże sobie w końcu! — jęknęła.

Wyszli obaj z wyraźną ulgą, jaką odczuwa się opuszczając izbę ciężko chorego, któremu pomoc nie można. Montaigu w szybkich urywanych słowach opowiedział rozmowę z greckim obrzydliwcem.

•— Myślisz, żeby ją uleczył? — zapytał Baldwin- przeciągle.

— Uleczyłby bez ochyby, boć szatan wszystko może i tym właśnie ludzi przyłudza... Ale grzech by to był śmiertelny... Co by ksiązę Godfryd powiedział?

— Juźci co tak... Ja się jej wszakże zapytam...

Wrócił do namiotu powitany nieżyczliwym spojrzeniem Helgundy i nachylił się nad chorą.

•— Gontrano! Gontrano! Posłuchaj! Przyjechał medyk grecki... Plugawiec, co trupy kraje... Od pogan rozumu nabrał... Szatański pachoł. Wyleczyć może ciało, ale duszę utrupi... Godfryd by o nim ani słyszeć nie chciał... Chceszli go widzieć, czy nie?...

— Co Godfryd?! Gdzie jest?! — wykrzyknęła dziko, porywając się z postania.

— Godfryd jest w obozie Rajmundowym... Tu przyjechał

abelski sługa... medyk grecki... Pytam, zali chcesz go wi-?... — tłumaczył cierpliwie Baldwin. Nie chcę nic... Nie chcę nic... Zostawcie mnie raz już pokoju! — odparła obracając się gniewnie do ściany.

— Nie chce — stwierdził z zadowoleniem Baldwin, wyszedłszy do czekającego przed wejściem Konona.

— Odpraw schizmatyka co rychlej. Niech wraca, skąd przyjechał. Z Gontrana będzie, jak Bóg da, bez jego pomocy.

Z nieukrywaną przyjemnością Montaigu powtórzył Grekowi postanowienie księcia. Medyk nie okazał żadnego zdziwienia. Skłonił głowę i trącił mulicę piętami. Jeszcze nie zdążył wyjechać z obozu, gdy powietrze rozdarł wrzaskliwy głos trąb. Ludzie pędzili co duch do koni. Warczały bębny. Krzyk się niósł po wszystkich obozach:

— Saraceny!... Saraceny!...

—

Krzyżowcy t. III

Rozdział trzynasty ALLAH AKBAR!

Szeroką przestrzeń zajmują wojska sułtana Kilidż-Arslana. Spieszą się, płosząc po drodze stada onagro, czyli dzikich osłów, antylopy szablorgie i zające pustynne. Nadeszły szybkim pochodem nie tracąc ni chwili czasu. Zapal pędzi je jak płomień. Święta wojna! Święta wojna! Biada zuchwałym niewiernym, chwala wyznawcom

Proroka!

Idą w wielkiej sile. Samej jazdy jest dziesięć dzamatów, w każdym dzamacie po pięć segbat, a w każdym segbat blisko tysiąc ludzi. Gdy wypuszczą strzały, tworzy się ciemna chmura podobna lecącej szarańczy. Gdy wyciągną krzywe szable, błysk przelatuje ponad szeregami jak nagle olśnienie pioruna. Są tu wszystkie szczepy, wszystkie rody z Bitynii, Lidii, Frygii. Są też Arabowie z Nedzdu, czarni jak Murzyni, i jaśniejsi od nich Arabowie ze szczęśliwej krainy Jemen, i Beduini z pustyni w białych albo czarnych chustach, objętych na głowie trzykrotną opaską. Sniadoliczy, o sępich wydatnych rysach, podobni są z dala do kruków.

Przed sułtanem Kilicliż-Arslanem niosą sułtański, siedmiokrotny mendżuk, to jest buńczuk, z ogonów kozwołów, oprawny w złoto, zwieńczony złotym miesiącem. Przed emirami noszą mendżuk potrójny, koński, przed szelkiem pojedynczy, Bezpośrednim podwładnym szelka, nie posiadającym prawa do buńczuka, jest aga. Adze podlegają czorbadżowie, czyli dziesiętnicy. Czorbadży, równie jak ordapasza lub wezyr, to wyrażenia tureckie przywleczone przez Seldżuków, niemile Arabom, przecie rozpowszechniające się coraz bardziej w świecie mużułańskim.

Koń sułtana jest biały jak mleko, ale czarnej skóry, przeto gdy spotnieje, zdaje się maści stalowej. Ogon, jak śnieżny wodospad, spływa aż do ziemi. Na zadzie nosi pięciokrotne święte znamię palców Mahometa. Rząd szczerozłoty. Napierśnik spięty brylantową gwiazdą. Choć nie tak bogato przystrojone, wszystkie konie wokoło są piękne, lotne i cenne.

Znają ty^{lko} stepⁱ alop. W galopie wyciągają się nad ziemią k strzała puszczone z cięciwy. Stanowią najwyższe ukocha-[•] • j dumę swych jeźdźców. Dla rycerza Zachodu koń, horz, • t również rzeczą najważniejszą i pożądaną, stanowi do-ód boaactwa, dostojęństwa i znaczenia. Lecz dla Araba jest zyffłs więcej jeszcze: najserdeczniejszym ukochaniem du-ży Za konia wojownik arabski odda żonę (to najłatwiej), vnów, majątek i życie. Konia umiłował Prorok. Nie wznosił się do siódmego nieba na grzbiecie wielbłąda ani na grzbiecie orła, ani na grzbiecie gazi. Płomieny rumak Borak podleciał pod niebo jak chmura. Więc nic dziwnego, że każdy z wiernych żywi cześć i podziw dla konia.

Każdemu stoi w pamięci niedawne zdarzenie w plemienu Nagli, gdy nieubłagani wrogowie ścigali jeźdźca, którego klacz pomykała niestrudzenie, sadząc jak sarna przez rozpadliny i głązy. Ścigali go cały dzień, a ona nie ustawała. Jęli wołać: Stój! Jesteśmy przyjaciółmi! Pozwól nam ucałować czoło twojej dzielnej klaczy! Więc stanął. Uczcili zwierzę. Wyrzekli sakramentalne: „Idź umyć nogi twojego wierzchowca i dopiero sam pij wodę” — po czym rozjechali się w pokój.

Na czele każdego segbatu cwałuje brzękliwa muzyka na szałamajach podobnych francuskim obojom, fletach, tołumba-sach, litaurach, dzwoneczkach i brzękadłach, choć donośny dźwiękliwy jej zgiełk ginie w głośniej wrzawie. Nie śpiew to, lecz miarowe chóralne powtarzanie sur Koranu. Język arabski jest dźwięczny i dzwoniący. Zgłoski dżir, dżin i dżan bębnią w nim jak grad padający na pokrywę kotła. Ten dźwięk upaja, oszołamia. Każę zapomnieć o zmęczeniu, pragnieniu i głodzie. Swobodni ludzie pustyni miłują nade wszystko rym i rytm. Miłują je prawie na równi z wolnością i koniem. W uniesieniu nie potrafią mówić inaczej jak wierszem. Wierszem pełnym kwiecistych metafor pisane są urzędowe dokumenty kalifów z Bagdadu. Wierszem improwizują płaczki żale swe po zmarłych. W pieśniach, wierszach są zawarte stare kroniki arabskie. Największym zaszczytem jest posia-^{la} w rodzinie poetę. I teraz, w pochodzie powtarzają wiel-

^{la} Skosem rymowane sury, opiewające chwałę Allacha, co.

zlecił świętą wojnę.

Odrł^{anioł} Gabriel Proroka: W czym leży istota wiary? Prorok i hammed: w^{yznawać}, że Allah jest jeden, a jam jego. Pielm--^{pl}, nować godzin modlitwy, pościć miesiąc Ramadan i odbyć

^Szymkę do Mekki.

...Zmarszczył brwi anioł Gabriel i zapytał wtóre: W czym leży istota wiary? Odrzekł Mohammed: Wyznawać, że Allah jest jeden, a jam jego prorok. Prowadzić wojnę świętą z niewiernymi, pilnować godzin modlitwy, pościć miesiąc Ramadan i pielgrzymować do Mekki...

Lecz anioł pyta po trzecio: W czym leży istota wiary? Odrzekł Mohammed: O, potężny Gabrielu! Wyznawać, że Allah jest jeden, a jam jego prorok, i prowadzić świętą wojnę z niewiernymi.

Wtedy rozchmurzył się anioł mówiąc: Przysięgam na noc nadchodzącą i zorzę, kiedy rozkwita, żeś sprawiedliwie odrzekł, Mohamme-dziel...

Teraz wojownicy powtarzają śpiewnie powieść o rozkoszach rajy. O lepkich wdziękach czarnookich hurys, które ich powitają na łożach o złotym wezgłowiu. Na myśl o tym oczy płoną. Cudowna nagroda oczekuje ich niechybnie. Nic jej nie umknie, nic jej nie oddali, skoro wyszli na wojnę świętą, czyn, co jest Bogu najmilszy...

O biada, biada niewiernym, co przyszli niebacznie z daleka, wyzywając gniew dzieci Proroka! Poczują na

karkach gniot ciężkiej stopy zwycięzców. Chyba... chyba że się upokorzą i uczczą Allacha...
W tym jednym razie z wrogów nienawistnych, pogardzonych, staliby się przyjaciółmi, nieomal pobratymcami. Dla muzułmanów nie istnieją różnice narodowości, języka albo barwy skóry. Jedna różnica to różnica wiary. Kto wiarę przyjął i pomaga ją szerzyć, jest bratem i współplemieńcem. Brat, który wiary doskonalej nie wyznaje, jest wrogiem. Obróć na niego co prędzej miecz, zanim cię Allah ukarze!
Niegdyś, przed świętym dniem Hidżry, Arabowie żyli jako inni ludzie, pożądamy cudzego wielbłąda, konia lub dziewczyny... Lecz islam przeorał ich dusze i dziś każdy z tych wojowników pragnie najgorętszym, męskim pożądaniem jednego tylko: by cały świat uwierzył w Proroka.
Rudy tuman podnosi się spod kopyt końskich, przesłania pół nieba. Gdyby nie on, kto wie, czy rozognieni wojownicy nie dojrzeliby wśród chmur... otwartych dla nich wrót raj... I tak zda się im chwilami, że coś nieziemsko pięknego prze-błykuje pośród pyłu, niby zaklęty gród kolumnowy Irem, widziadło zaczarowane, zwidując się oczom zbłąkanych w pustyni... I przeżywając zawczasu słodczyce oczekującej nagrody przysięgają, że walczyć będą zawzięcie jak Szanfary, co położył sam jeden stu wrogów z plemienia synów Samana, że pozostaną wierni jak Ibn Samuaal, co dał zamęczyć syna

w swoich oczach, lecz przyjaciela nie wydał pięknie jak piewca wolnej pustyni, Antara...
że zginą

Ruch gorączkowy panuje w chrześcijańskich obozach. Giermkowie już wiedzą panom konie, podają do ręki kopie. już rycerze stają w szyku obrzednim, zwanym płotem, szeregi za szeregami, drużyny za drużynami. Już się rozciągnęli ławą, z prawej mając miasto, z tyłu obwarowane obozy. Szeregi stoją głęboko. Od nadlatującej chmury pogan brzmi głośnie, dźwięczne *la ilah el Allah, Mohammed rasul AHah* — nad krzyżowcami polatuje twarde, zwięzłe: Bóg tak chce! Bóg tak chce!

Wielkie -pięści w żelaznej łuskowatej rękawicy dygocą z radości, obejmując drzewce. Bitwa! Bitwa! Od dwóch lat upragnione, oczekiwane zmierzenie się z poganami nadchodzi nareszcie! Bóg tak chciał! Bóg ich wiódł! Bóg teraz pomoże zwyciężyć. Ustokrotni siłę każdego ramienia, uzbroi mocą. Bóg... Bóg...

Napięta siła wiary drży jednako nad oboma wojskami. Dwie wiary zderzą się jak dwa tarany, jak dwie chmury pełne burzy. Grom, który z tego starcia wyleci, wstrząśnie ziemią. Posłyszycy go cały świat.

...*La ilah e/ Allah, Mohammed rasul Allah!*...

Bóg tak chce! Bóg tak chce!

Żelazną strugą starają się wbić chrześcijańscy rycerze w ciało armii muzułmańskiej. Rozepchnąć klinem na dwoje, stratować lśniących jedwabiem jeźdźców i drobne, polotne ich konie. W części im się to udaje. Nie mogą Arabowie zdzierżyć straszliwego impetu natarcia. Lecz że ich taktyka Jest inna, nie płoszą się tym zbyt. Dążeniem sułtana

ilidz-Arslana jest dać się nieprzyjacielowi, owszem, -zanu-^{tz}Yc, zapędzić głęboko, Natenczas otoczyć, oderwać od trzonu ^wojska, obezwładnić gęstwą. Rozbić stalowy klin nacierających na sto poszczególnych ognisk walki. Oślepić chmurą s rżał. Pozorną ucieczką rozciągnąć w nieładzie hufce. Do-z[^] rzucić do boju pozostałe wojska, stojące opodal, ^{Po} brzucnacn niewiernych. Że strzały odskakują od ^w Pancernych, Saraceni usiłują razić konie. Konie noszą maja } ^{Zie} żelazne napierśniki i także przyczółka, na zadach tuskowany kropierz, lecz muzułmanie mierzą w nie

osłonięte niczym brzuchy, w nogi. Gdy od lewego skrzydła z hukiem i szumem nadbiegają Lotaryńscy.

Godfryd na czele z mieczem wzniesionym do góry, nim dopadną szeregów nieprzyjaciela, boki Godfrydowego bachmata zjeżone są strzałami, że gnady źrebiec widzi się jak rumak skrzydlaty Borak, co niósł Proroka do nieba. Dzielny koń przebiega tak parę staj, aż wali się nagle na nozdrza. Giermek pędem podprowadza księciu drugiego wierzchowca. Podobnie zwalono' już konie pod panami de la Hache, Baldwinem du Bourg i jednym z Salviac de Viel. Dosiadają zastępczych koni klnąc i wygrażając muzułmanom za tak zdradziecką modłę "walki.

Na czele swoich drużyn Rajmund St. Gilles walczy jak uosobiony żywioł boju, jak Keus, Płomień chodzący. Przy nim Ademar, biskup z Puy. Miecz w jednej dłoni, krzyż w drugiej. Wodze rzucone na łęk. Koń mądry, sam się powiedzie. Za biskupem Piotr, skulony, na poły przytomny. Nie chce się przyznać przed sobą samym, że zgiełk bitewny, który otaczającym rycerzom rozdyma nozdrza, upaja jak wino, jego przeraża, odbiera resztę odwagi i sił. Patrząc na widomy jego lęk krzyczą ze śmiechem, by wracał do obozu, do bab. Ale Piotr nie chce wracać. Chce przełamać swą bojaźń i walczyć. Jeżeli zginie, tym lepiej. Tuż przy nim Walter Bez Mienia. Ten się nie lęka. Biskup może rzucić wodze, modląc się i bijąc na przemiany, bo Walter nad nim czuwa. Nie dbając o siebie osłania przede wszystkim wodza. Straszliwy jego miecz, tnie ludzi wpół, odrzuca z rozmachem, precz głowy. Raz po raz czyni się luz wkoio » biskupa. Niech patrzą inni rycerze, niech wiedzą, zali pogardzany bękart zasłużył na pas?!

Lecz komu tam w głowie patrzeć, gdy każdy sobą zajęty. De la Tour przebija kopią szóstego już przeciwnika, wywleka z siodła, unosi do góry, trzyma w powietrzu w białym na drzewce i ciska z rozmachem bluzgające krwią ciało na szeregi wrogów. Bracia Salviac de Viel walczą ramię przy ramieniu, każdy bardziej bacznym na drugiego niż na siebie. Jak żęncy zboże, tak ścinają wrogów panowie de Foix, d'Ar-maillac, de Luz, de Beaugency. Śląska gromada trzyma się w kupie, rąbie zaciekle niby drwale puszcza. Plunawszy w garść wałą z rozmachem mieczem od lewego, jak toporem. Padają razy, których nie powstydziliby się sam pan de Melun. Zwołują się hasłem rodowym Nogodzice i Oświaty, Zawory i Nowiny. Tylko Strzegonie walczą milcząc. Ich zawołania

rzemiennego godzi się używać jeno w śmiertelnej, ostatecznej potrzebie, gdy znikąd nie masz ocalenia. Nie walczą przez to mniej mężnie. Choć w obczyźnie, oddaleni od Śląska bardziej niż którykolwiek z przedziadów był oddalony, biją ochoczo jak pod Kruszwicą czy Kijowem. Miarowo i pewnie, na odlew i z góry. Bacząc, by nie dać się rozerwać i otoczyć, suną nieustępliwym szeregiem, giermków mając poza sobą.

Na jedną tylko chwilę ramiona ich słabną, to gdy z głębi, spośród pogan nadciągają wielbłądnicy. Pokraczne stworzenia pędzą, wyciągając długie szyje. Plaskają niekształtne rozplaszczony kopyta, podobne zwojom burego sukna. Szpetne złośliwe pyski plują na konie cuchnącą śliną.

— Dla Boga! — krzyczy Tarchała prawie z przerażeniem.

Lecz drudzy uspokajają go żywo. Czyż nie widział już tych pokrak płowych w Bizancjum? Bydlę jak każde inne, z którego miecz juchę łatwo wypuści...

Młodzieńczą, dawno straconą siłę dłoni odzyskał stary Anzelm de Ribaumont, gdy ochrania ukochaną głowę Pawła Engelrama. Niech młodzianek walczy z szaloną nieopatrzno-ścią młodości. Stary czuwa nad nim pilnie.

Godfryd lotaryński bije się z twarzą uniesioną, natchnioną, nieziemską. Jak gdyby walczył z szatanem twarz w twarz. Między jednym ciosem a drugim spogląda w górę, spodziewając się ujrzeć tam współwalczącego w obłokach archanioła Michała, wodza wojsk anielskich; świętego Jerzego, pogromcę smoka Lewiatana lub świętego Teodora, Bożego żołnierza. Choć z natury niezbyt mocny, nie mogący równać się z siłaczami jak de Melun, Walter Bez Mienia albo de la Tour — w uniesieniu wali nie gorzej od nich. Gdy odrąbuje ramiona, przebija na wylot lutowia, zdaje mu się, że druzgoce Zło samo. Niech się rozpada w drzazgi, niech nigdy nie wstanie! I łagodny Godfryd z rozkoszą czuje pod kopytami trzeszczące kości powalonych nieprzyjaciół.

Pięć godzin już walczą bez przerwy w rozedrganym upałem powietrzu, żarze słonecznym tak srogim, że rozpalony pancerz parzy ciało przez kaftan skórzany, gdy wojska obu bertów, Szczepana de Blois, Hugona i Boemunda, warujące P Przeciwnej stronie grodu, dowiadują się dopiero o bitwie. ; ciuchu stają w szeregu, ruszają skoro w bój. Lecz droga atwa. Z jednej strony miasto, z drugiej własne obwaro-e obozy, oparte o stronie wzgórze, z zachodniej strony jezioro. W wąskim przejściu pomiędzy mu-

rami grodu a częstokołem obozowym z kołów drewnianych i ludzkich puszczeli, z bramy wschodniej wypada Ibrahim, syn emira Mudzahida, z trzema segbat przedniej jazdy. Zastawia drogą. Nie mogąc rozwinąć się ni przeciwnika ominąć, rycerze stracą na walkę z Ibrahimem czas dość długi, który wystarczy, być może, Kilidż-Arslanowi na przełamanie Lota-ryńskich i Prowansalczyków.

Zawsze przytomny Boemund nie pcha się do walki, gdzie tylko pierwsze czwórki biją się, a reszta depcze sobie po piętach i klnie. Wyłazi samojeden na jedną z rozpoczętych wież oblężniczych, niezdarny stos belek i drągów. Z tego podwyższenia ogarnia wzrokiem większą przestrzeń. Widzi, jak Flandryjczycy ścierają się z Ibrahimem, zatrzymując cały pochód. Z murów oblężeni miotają na nich kamienie, oszczepy, włócznie. Szyją chmurą strzał. Taka zabawa może trwać snadno do wieczora. W oddali, z drugiej strony grodu, obłok kurzawy zdradza miejsce, gdzie toczy się walka. Upragniona bitwa rozgrywa się tam bez rycerstwa, stojącego tu beczynnie!

Szybko Boemund schodzi z wieży, cofa swych ludzi, wydaje rozkazy. W mig rozwalają częstokół zasypując fosę. Pędzą w poprzek obozowiska sadząc przez sznury namiotów, Struchlałe niewiasty i pacholcy patrzą na nich w zadziwieniu.

Już obalają częstokół po przeciwnej stronie, wdzierają się na wzgórze, spuszczały stromym stokiem w dół i — na koniec droga wolna. Konie pędzą muskając brzuchami ziemię. Schylone w pół ucha kopie lśnią niecierpliwie. Już minęli Ibrahima. Czy uderzyć nań od tyłu, czy lecieć, nie tracąc chwili, ku tamtym?

— Na krew świętego JanuaregoH — krzyczy strasznym głosem Tankred — patrzcie!!
Podnoszą przyłbice osłaniając oczy dłońią; pod ochroną jazdy Ibrahimowej, u stóp murów, dzieją się okrutne rzeczy. Saraceni wywlekli z grodu więcej niżli tysiąc Ormian i mordują ich teraz spokojnie, zimno, bez pośpiechu, tak jak tylko Wschód mordować potrafi. Pośród ofiar są wszystkiego wieku i obojej płci. Niedolatki, starce, dzieci. Skowycza obłąkani z trwogi, w śmiertelnym popłochu rzucają się na oślep trafiając wszędzie na mur ostrz. Saraceni młodszych kobiet nie mordują od razu. Zwłókszy z nich szaty powalają na ziemię, rozkrzyżowane dłonie i stopy przykrępowując do zabitych w ziemię kołków. Tak ostaną. Niech je hańbi, kto chce. Niech

je żrą mrówki, rozszarpie w nocy szakal, w dzień sępy. To odpowiedź emira Mudzahida na lekkomyślne pogroźki Fran-

ków... . _ Za mną! — krzyczy Tankred zawracając konia, lecz Boemund żelazną ręką chwyta go za ramię.

_ . stój! Nie mamy czasu! Co ci do nich? To nie nasi!

_ Chrześcijanie!

_ . Schizmatyki... Tam trzeba nam czym prędzej, tam, zanim Prowansalczyki wszystką sławę zbiera.. , Z żalem, blady z gniewu, Tankred daje się odciągnąć. Zresztą Boemund ma słuszność. Największy czas wesprzeć Rajmundowych, Godfrydowych, którym po sześciogodzinnym boju w spiekocie ramiona mdleją, tchu nie staje. Spod przyłbicy ściekają pot i krew. Wyszłe usta nie mogą wydobyć głosu. Gdybyż z rozpalonych niebios spadła kropla deszczu! Gdybyż kto dał kubek wody!... Ta myśl ślaniających się z pragnienia i trudu rycerzy miała w sobie moc porozumiewawczą? Siedząca w namiocie Elwiry Florina podsuwa nieśmiało, że może by zanieść wody walczącym rycerzom?.. Od rana tkwią na upale...

Elwira się waha, ale inne podchwytyją. Blanka gotowa jest pobiec od razu. A dworki Elwiry aż ręce składają, by im również pozwolono. Więc dumna pani przystaje.

I już biegnie bezładna gromada kilkudziesięciu kobiet, z konwiami, stągwiami, kubkami i czerpakami. Porwane zapałem nie dbają o możliwe niebezpieczeństwo. Mogą je poga-ny ogarnąć, mogą osiągnąć strzały z murów. Mniejsza o to. Dostoją swoim. Nie przyszły tutaj na próżno, nie są dla mężów zawadą. Choćby wypadło zginąć, czyż nie są wszystkie z dobrej krwi rycerskiej?

Już je ujrzeli walczący woje. Początkowo niechętnie zdumienie przeradza się szybko w radosne uznanie. Ciepła mętna woda smakuje jak nektar. Spalone usta z rozkoszą cedzą ożywczą wilgoć, starając się zatrzymać ją w sobie jak najdłużej. Nie> piją wiele, pomni, że tylu innych czeka. Farę łyków wystarczy. Z wdzięcznością patrzą na poczciwe białki, czując w sobie rosnącą chęć najświetniejszego wykazania się ich oczach. Hej, to już nie zdobywanie „twierdzy miłości”ⁿⁱ turniej na dziedzińcu, ani gonitwa do pierścienia! Niech wiażą dobre dziewczęta, jak walczą ich rycerze, niech się po-»Wą. Spłonione dziewczki, okrutnie rade ze swego pomysłu,

kwa

pią się stąd odchodzić.

. - »• Tour wieździe Rajmunda ogłuszonego silnym ciosem,

co spełził po szyszaku. Szłom wytrzymał, lecz grabiego zamroczyło. Zapominając o zwykłej dumie, Elwira śpieszy ku niemu z wodą, z dłońmi pragnącymi przynieść ulgę.

— Dobra, dobra żono... — bełkocze Rajmund na poły przytomny. Pierwszy raz ją taką widzi. Coś wiąże się pomiędzy nimi i rośnie, nie znane dotychczas. Bliższa wspólnota na dobro i zło.

Bitwa trwa nadal, nieustępliwa, okrutna, zażarta. Norma-nowie, Flandryjczycy przerabali się nareszcie przez Ibrahi-mowych i walą z chrzęstem w bok wojsk muzułmańskich. Baczny na wszystko, stojący na wzgórzu sułtan wysłał przeciw nirn ostatnie, nieczynne dotąd dżamaty. Ścierają się z Normanami w pędzie, przelatują skroś siebie, zawracają, by znowu uderzyć. Równocześnie niebo, stojące dotąd nieruchomym, rozżarzoną słupem, poczyna drgać, rudzić i szarzyć jak spłowiła ścierń. Z nagła porywa się wicher. Kręci tumanem kurzawy, oślepia, rozdyma burnusy jak żagle, ogony końskie jak żagwie, proporce jak napięte struny. Dmie od chrześcijan ku Arabom, z północy na południe. Wielbłądy chrapią i stękają. Konie cofają się. Allach doświadcza wiernych, Iblis wspomaga giaurów!...

Podobni sępom Beduini pierwsi zawracają konie. Za nimi reszta. Gdy.hasło raz dane, daremnie grozi sułtan, daremnie szeicy zawodzą wspaniałe sury. W świcie burzy nikt nie słyszy ich głosu, nawoływania. Nim jeździec zamyśli odwrót, koń sam się obraca z wiatrem. W żrącym rudym tumanie rycerze ścigają pierzchających. Zrozpaczony Ibrahim zabiera niedobitki swoich, zachodzi z boku, uderza na oślep,

borykając się z wichurą. Zaledwie się szepił z Fryzami, wpada nań z tyłu Szczepan de Blois ze swoimi ludźmi. Daremne męstwo. Oddział Ibrahima otoczony, ujęty w żelazne kleszcze. Nie ujdzie z niego ani żywa noga!

Elwira, Blanka, Florina, reszta kobiet, schwycona przez za- : wiemchę, zbłąkane, nie wiedzą, co począć, gdzie iść, W trwodze przypadły jak przepiórki pod skałami. Ani marzyć o odnalezieniu drogi do obozu w gęstej oćmie walącej z nóg, zapierającej dech. Są same. Paziowie Elwiry, chwyciwszy broń i konie zabitych, pognali za rycerstwem w swych kusych, cudackich strojach. Niech ich ukarzą za to, że rzucili wacniarz pani i pachnidło. Trudno. Nie mogli dłużej wy-dzierżyć!

Na pobojowisku siła trupów. Całe zwały. Ukazują się, to giną w przeblyskach dnia, gdy na chwilę przerwie się obłok

kurzawy. Leżą społem dobrzy rycerze, giermcy, ścierciały, oac hołcy j poganie. Splątani razem w objęciu śmiertelnym, v,o walczyli jeszcze na ziemi, do ostatniego tchu. Konie, wielbłądy leżą przewalone. Obok nich wyprute jelita w bucha-iących parą lub zsiniałych, strupiałych już kręgach. Tu i ówdzie odrąbane głowy, ramiona. Bezkształtne tułowia. Nad głowami skulonych ze strachu kobiet łomot skrzydeł. To sępy zleciały na skały. Będą tu czekać do rana. Zdobycz im już nie ucieknie. W swej sępiej mowie wychwalają świętą wojnę. Jakikolwiek jest jej wynik, one osiągną korzyść.

Niewidzialne za chmurą pyłu słońce zaszło i wiatr raptownie ucicha. Tak raptownie, że przyzwyczajone do przeciwstawiania się jego naporowi ciało chwieje się niby zapadając w próżnię. Pył powoli opada. Daleko, w górze, ukazuje się chłodne seledynowe niebo, na którym za chwilę wszędzie czerwony miesiąc. Gdzieś tuż blisko skomlą żarłoczne szakale. Od leżących nieruchomo trupów idzie groza.

Ukryte w załomie skalnym kobiety nie śmia opuścić swojej kryjówki. Zresztą nie wiedzą, gdzie droga. W pustynnej zamieci odbiły się daleko od obozu, aż na drugą stronę grodu. Co począć teraz? Po upalnym żarze dnia chłód nocy przenika je aż do kości. I strach, strach...

W oddali tętent kopyt. Kto nadjeżdża? Swoj czy wróg? Ktoś woła. Wywołuje po imieniu. To swoi!

Tak, to Rajmund St. Gilles, z nim Swenon, d'Armaillac, de la Tour, de Foix, - de Beaugency. Nie zastawszy niewiast w obozie szukają ich strapieni. Są czarni z trudu, zachrypli, lecz zadowoleni z boju.

— Tym chłystkom daruj — mówił Rajmund do Elwiry, która żali mu się na paziów — dobrze stawali, jak mi Bóg miły! Jużem im obiecał giermkowanie... Zwycięstwo jest wielkie, nie ma co gadać. I nasze, własne, bo Normany z Fryzami przyszły na sam koniec... Butumitos, gad obrzydły, ani się pomknął z pomocą. Stał i czekał, co z nami... Poślę mu za to trzy tysiące, albo więcej, głów pogańskich. Niech widzi, jako wojuję... Resztę głów procami ciśnie się do grodu...

Siła ich legło? — dopytują ciekawie niewiasty. • Na oko więcej niżli sześć tysięcy... naszych także nie-mało... Siadajcie na koń, bo kawał drogi, a późno.

Podsadzają niewiasty na okryte kropierzami końskie zady. *vazdy rycerz bierze jedną, a poniektóry dwie. Jedną z przo-

u na łęk, drugą z tyłu. Konie wprawdzie setnie znużone, ale jakoś się dowłoką.

— Szmat drogi musim nadłożyć — objaśnia Rajmund Elwirę — bo podle wschodniej bramy leżą te niebogi Or-mianki, więc i niebezpiecznie tamtędy jechać, i wam nieprzy-stojnie.

— Co za Ormianki?

— Jeszcze przed południem pogany wywlokły z grodu wszystkich chrześcijan i ubiły...

Panienek przy tym ze sto pohańbili do kołków przywiązawszy i tak, żywe, poniechali.

— Żyją jeszcze? — pyta Blanka z rozszerzonymi grozą oczyma.

— Królewicz duński prawi, co żyją. Krzyczały pono pomocy, gdy przejeżdżali.

— To trzeba je zwolnić co prędzej!

•— Zwolnić?! A kto by je dotknął?! Pogańskie nasienie na nich. Żaden chrześcijanin ani tam podejdzie...

— Pewnikiem już pomarły, piasek musiał je zadusić... — zapewniał Swenon przyciskając tkliwie ramionami szczupłe ręce Floriny, obejmujące go w pół piersi.

— Straszne, straszne —• powtarza Blanka siadając na konia pana de Foix. Udaje iż nie widzi, że Raul de Beaugency podprowadza jej swojego.

Miesiąc już się wytoczył wysoko na niebo. Już się wyzłocił z czerwieni. Ciche przed godziną pole zaczyna się ożywiać. Wśród zmarłych kręcą się żywi. Gromady sług obcinają głowy zmarłym. Śpieszą się, gdyż o świcie głowy mają być rzucone do miasta. Sprawnie to czynią i szybko, jakby jesienią na polu obcinali z naci rzepę. Przerzucają się do siebie głowami ze śmiechem. Inni pchają je do wielkich skórzanych miechów i taszcą do obozu. Jeszcze inni zbierają broń, obdzierają ciała z przyodziewku,

kłóćąc się przy tym zawzięcie. Niemcy twierdzą, że po cięciu poznają rękę swego pana. przeto dana zdobycz do niego należy. Szakale ziewają wśród skał. Łatwiej żreć rozdzielone trupy, ale przykro czekać.

Dobiwszy do obozu rycerze padają na posłanie strudzeni. Rychło śpią snem kamiennym. Jeden tylko Raul de Beaugency nie idzie na spoczynek. Sen się go nie ima. Jest podniecony, niespokojny. Ozeźliła go Blanka. Dawniej chętnie na niego patrzyła, a teraz zgoła nie widzi? Poza tym dręczy go wspomnienie umęczonych kobiet zawiedzianych przelotnie w przejeździe. Bielify się tak dziwacznie w księżycowym blasku. Niezdrowa, nieprzeparta chęć popatrzenia na nie jeszcze raz nie daje spocząć. Okrutna rozkosz widoku męki, do której wstyd się przyznać samemu przed sobą. Każdy inny

brzydziłby się podobnej myśli i odegnał od siebie ze strachem, lecz Raulowi wszystko jest zarówno. Nic mu nie pomoże, nic mu nie zaszkodzi. Potępienie nie zna stopni, równie iak zbawienie. Zapada się weń bez różnicy. Potępiony może bezkarnie iść, gdzie chce, robić, co chce, czynić wszystko, na co mu przyjdzie ochota. Tak czy owak, czyż nie jest własnością szatana?

Miesiąc świeci przeraźliwie. Każdy kształt jest czarny lub biały, zarysowany ostro. Z pobojowiska zeszedli już obcinacze głów, ograbiacze trupów. Zostały tylko szakale. Ludzie śpią twardo, zmożeni całodzienną pracą. Nie masz wokoło nikogo. Tylko potępiony włóczy się po nocy. Jak złodziej, niewidzialny w cieniu, posępny rycerz sunie pod częstokołem, świecącym z góry trupimi czaszkami, czaszkami pomordowanych krzyżowców z armii Piotra Eremity. Zdąży spiesznie ku bramie wschodniej, przy której wymordowano tysiąc ludzi w zamian za ostrzeżenie z porady Butumitosa wysłane.

Oto to miejsce przekłete. Zwał martwych ofiar. A dalej one. Nagie ciała bielą się z dala, niby czarnoksiężski magiczny krąg.

Raul de Beaugency poczuł zimny dreszcz wzdłuż krzyżów, pożądanie w lędźwiach, chwytający za gardło strach, a ponad wszystko wstręt do samego siebie. Czego tu chciał? Po co przyszedł? Jednak szedł dalej, zbliżył się już do rozkrzyżowanych. Leżały do połowy zanurzone w nawianym wichurą piasku, przygwożdżone, rozwarte. Niektórym na łonie wycięto szyderczy znak krzyża. Tym żywoty wzdęły się już i szerniały, a litościwa śmierć zgasła powieki. Lecz większość żyła jeszcze. Zdradzały to konwulsyjne drgania ciała, a czasem żalosne jęki. Raul stał w pośrodku nich, spoglądając wkoło niezupełnie przytomnym wzrokiem. Widziało mu się chwilami, że sam jest szatanem, patrzącym na oddane w jego moc dusze. Naraz drgnął: posłyszał kroki. Instynktownie skoczył w cień i przysiadł na ziemi niewidoczny. Zabezpieczony mrokiem patrzył uważnie, zdumiony. Któż to był? Smukła postać w ciemnym płaszczu... Trzyma naczynie, zapewne z wodą. W drugiej ręce coś błyszczącego... Nóż? Nachyla się nad każdą z leżących,, Zlewa wodą. Rozcina więzy. Lub pewnym ruchem unosi dłoń do góry i zadaje cios, który skraca mękę...

bl t^{w*e}d^{za}.cⁿi ze jest śledzona, postać podeszła tuż M^{so} W pewnej chwili Raul zobaczył jej twarz w pełnym^u księżycowym światle zakrzyknął ze zdumienia:

— Blanka! Blanka de Montbeliard!

Nie wytrzymał. Wskoczył z ukrycia, chwycił ją za dłoń, tę, w której trzymała nóż.

— Co tu robisz,? — zapytał półszepem.

Ochłonęła z chwilowego przestachu i odrzuciła dumnie głowę.

— Przeca widziałeś.

— Co robisz? — powtórzył niepewnie. Nie wiedział sam, co ma uczynić ani jak sądzić jej dziwny postępek. W głowie

miął mat.

— Puść mnie — rzekła z niechęcią, usiłując uwolnić dłoń. Zaciśnął palce tym mocniej. Z przegubu jej gorącej, szczupłej ręki spłynęła ku niemu żądza.

— Miłuję cię z dawna, wiesz... — szepnęła schryplym głosem.

Zatrzęsła się z oburzenia. Słowa te wobec otaczającego obrazu wydały się jej potwornością.

— Puść mnie! — powtórzyła gniewnie.

— Pędzisz mnie od siebie... Na mojego konia nie chciałaś siąść... A ja cię miłuję...

— Puść!

— Nie puszcze! — zakrzyczał z gniewem. Opór jej budził w nim złość. Zapragnął namiętnie zedrzeć z niej płaszcz, rozłożyć nagą na ziemi, jak tamte. Jest wszak w jego mocy, na jego łasce. Jeśli opowie w

obozie, gdzie ją zastał, zakopią ją żywcem albo żywo spalą. Widział naocznie, jak dotykała pohańbionych kobiet. Zebrała na siebie czary, tkwiące w nasieniu pogan, którzy je uprzednio gwałcili. On jeden nie bał się jej dotykać, nic mu bowiem nie mogło zaszkodzić. Ale co powiedzą inni? Patrzyła mu w twarz hardo i wyzywająco.

— Puść natychmiast! Czego chcesz?

— Połóż się — warknął. Roześmiała się złym śmiechem. —• Z tobą — nigdy.

— Powiem wszystkim, gdzie cię zastał.

— Powiadaj. Uwalniałam te nieszczęsne, a które już ledwo dyszą, dobijałam, żeby się nie męczyły dłużej. Powiadaj. Ja ciebie zapytam wtedy: Coś ty tutaj robił?

Zmarkotniał, ale tylko na mgnienie.

— Tropiłem ciebie.

— Kłamiesz. Zobaczyłeś mnie dopiero przed chwilą.

— Jak tego dowiedziesz?

..Puść! — wrzasnęła rozzłoszczona — pość! Mam nóż...

Nie boję się ciebie... Nie dostaniesz mnie nigdy, rozumiałeś, nigdy!

-- Spalą cię.

— Spalą nas razem oboje.

Zręcznym, niespodziewanym ruchem wyrwała mu się i uciekła w noc. Został sam, zawiedziony i wściekły. Krew w nim kipiała. Przestał nęcić nieruchomy krąg kobiet, pół-trupy^z wzdętymi brzuchami, okaleczone, potworne. Tamtej chciał. Ciepłej, żywej. Musi ją mieć, chociażby miano ich potem spalić, jak przepowiadała.

Emir Mudżahid, syn Dżubaira, siedzi w swym pałacu w sali zegarowej. Złoty krogulec upuszcza sześć złocistych kuł, które toczą się z brzękiem po złocistej misie, gdy aga-szeik w otoczeniu muszyrów przynosi mu głowę Ibrahima rzuconą na wały. Tył czaszki zgnieciony procą, lecz twarz prawie nie-ruszona. Cienkie dumne rysy. Zawarte na wieki oczy. Odszedł chwalebnie, wzgardziwszy szatą długiego wieku. Ukochany jednak, Ibrahim...

—• *Bism'ilah el rohman el rahim* — mówi emir pewnym głosem — przez Boga miłosiernego i łaskawego, jestem szczęśliwy, że syn mój zginął w świętej wojnie, jestem ponad pojęcie szczęśliwy...

Obecni schylają głowy z uznaniem.

—• Niechajcie mnie chwilę samego — prosi szczęśliwy emir półgłosem, jakby wstydliwie.

Wychodzą z głębokim ukłonem, tylko głowa Ibrahima pozostaje, biała jak giezło na purpurowej chuście.

Emir Mudżahid ujmuje ją ostrożnie w ojcowskie dłonie. Fontanna cicho pluszcze. Na martwe lico poczynają padać sznurem lśniąca krople... Z fontanny? Nie, to emir Mudżahid płacze starczymi, bezsilnymi łzami, niegodnymi pobożnego wyznawcy Koranu. Niech mu to Prorok wybaczy!

W żarnym gorącu rozkład ciał następuje szybko i gdy wysłani z latyńskiego obozu rycerze wysypują przed Butumito-^{se}m miechy obciętych głów, powietrze zatruwa się wkoło fe-^orem. Straszne są te głowy napuchłe, sine. W obcięciu szyi^{ie}, już od robactwa. Ociekają trupią ropą. Butumitos "fryga się z obrzydzenia, lecz nie daje tego poznać po sobie.

Pan de Melun, stojący na czele wysłańców, ujmuje się dumnie pod boki.

— Dobrzy rycerze, grabią de Vermandois, książęta: nor-mandzki, flandryjski, lotaryński, grabią St. Gilles, grabią de Blois i królewicz duński przesyłają wam, wodzu, tę żołnierską zdobycz, z żądaniem, byś ją co szybciej odesłał basi-leusowi jako dar Latyńców. Jest tu tych głów trzy tysiące z górą. Drugie tyle cisnęliśmy do grodu na postrach. Głowy należały do wojów sułtana Kilidż-Arsłana, tego samego, przed którym drżało Bizancjum...

— Uczynię natychmiast, jako wodzowie sobie życzą — zapewnia uprzejmie Butumitos. Głośno po łacinie wydaje rozkaz, by co duchu ładowano miechy na galerę, która nie mieszkając popłynie do Bizancjum — po grecku zaś dodaje:

— Jeno odbijecie od brzegu, zatopić tę zgniliznę w morzu, a pokład dobrze ługiem wyszorować... Zaraza z tego gotowa... Co za barbarzyństwo!

Nie okazując niczym tych uczuć na zewnątrz, obdarza suto przybyłych w imieniu cesarza. Częstuje mrożonym winem i odprawia zapewniając o radości basileusa. Zaledwo odjechali, zasiada do rady wojennej. Biorą w niej udział dowódcy oddziałów, dawny stratigos zabranej przez muzułmanów prowincji i Pantopulos, biegły budowniczy wież.

•— Kilidż-Arsłana rozbili •— stwierdza z zadowoleniem wódz —• to najważniejsze. Opłaciła się półroczna udręka z nimi w Bizancjum... Teraz chodzi o umiejętne wyzyskanie zwycięstwa... Nicea musi się poddać, ale —

nam...

— Przecież przysięgli, że nie zatrzymają?...

— Wielu nam przyjdzie z tego, że oddadzą gród, skoro wpierv ograbią go, zniszczą, ludność wysięka!... Nie trzeba nam pustych murów... Tak... tak... Czas zwrócić uwagę ich durnych umysłów, że galery dowożą miastu żywność i że bez floty miasta nie ogłodzą... Flotę mamy my... Pantopulos Pojedziesz do nich budować belaurdy i odkryjesz galery...

— Widzieli mnie tu u Waszej Dostojności... Mogą poznać i zdziwić się, że wcześniej nie przyjechałem... — zauważył Pantopulos.

— Nie poznają z pewnością, a choćby, twoja głowa, by coś odpowiedniego wymyślić... Pojedziesz tam zaraz jutro jako budowniczy wysłany z Bizancjum...

Rozdział czternasty O NIEDOSZŁYM SĄDZIE BOŻYM

W skład sądu, prócz biskupa, który przewodniczył, wchodzili panowie: Rajmund St. Gilles, Godfryd lotaryński, obaj Roberci, kapelan *'ij itiq, de Rohes, kanonik Rajmund d'Agui-lers, Szczepan c\ ,lugo de Vermandois i archidiacon

Alberon. Siedzieli ytej sukmem ławie, ustawionej przed namiotem. Oskañ, ,ei, Raul de Beaugency, naprzeciw, pod-sądna z matką z boku, Ciasny wieniec stłoczonych widzów dokoła. Samo najprzedniejsze rycerstwo.

Szczęściem, iż mużłmanie w grodzie zajęci byli grzebaniem głów swoich zmarłych, że śpiewne zawodzenia płaczek dolatywały aż tutaj, inaczej bowiem mogli byli snadno zrobić wycieczkę i wpaść bezkarnie aż do obozu. Wszystkie umysły, wszystka uwaga i baczość zwrócone były ku toczącej się sprawie, pochłonięte sprawą.

Dziwną, niepojętą, okropną.

' Czy spodziewałby się kto kiedykolwiek, że dobry rycerz de Beaugency oskarży szlachetną Blankę cle Montbeliard z dobrego rodu Salyiac de Viel o wszeteczne czarownictwo!!? Zdybał ją pono, jak dotykała trupów kobiet splugawionych przez pogan. Widział, jak je dobijała, zapewne, by zebrać krew dla diabelskich praktyk... Jakże trudno w to uwierzyć, a przecież rycerz nie kłamie... Zresztą podsądna nie wypierała się wcale, twierdząc jeno, że nie dla praktyk to czyniła, ale z litości. „Przez miłość Pana naszego Jezusa Chrystusa...” Tak mówiła śmieje w obliczu tłumu, patrząc sędziom prosto w twarz... Przez miłość Pana naszego Jezusa Chrystusa... Nie lękała się wymówić Przenajświętszego Imienia i połączyć je z obmierzłą zbrodnią!...

•Biskup trwał w milczeniu, przesłoniwszy oczy dłonią. Re--a sędziów zamieniała półgłosem urywane słowa, za to wi-

:owię nie szczędzili głośnych uwag.

~~ Sarn duszę diabłu zaprzedał, a teraz dobrą białkę szarża...

Kn yżowcy t.

•— Wody nam przynosiła z innymi, ninie zaś mają ją sądzić... —• I... i... nie lepsza ona od Pikardczyka... Pamiętacie jako pomarł Montbeliard?

— Jużcić prawda! Struła go!

— Struła, struła! Wszystkim z dawna to wiadomo!

— Trucicielka!

— O wilkołaku mówiła, że pies zwyczajny!...

— Reta! Żeśwa zahaczyli... Widno była z nim w znajom-
stwie...

— Na kości-świętej Cyrgi!! Pewnikiem już dawno czarami się paskudziła, a myśmy ją mieli za cną!...

— Z wilkołakiem współnictwo było oc^wiste, pomnę jak dziś... ;

— Czarownica! Czarownica! Spal,

— Spławić pierwej! Nad jezioro! '.

— Kto ma sznur!?

— Na co próba!? Czarownictwo jawne!... Spalić obrzydłą
co prędzej!

•— Spalić Spalić!

Błada jak kamień, nieporuszona jak kamień, Blanka stoi milcząc. Zacięte usta. Zastygła twarz. Matka, drobna, zgarbiona staruszka, wysuwa się przed nią ze szlochom.

— Panowie, dobrzy rycerze! — woła ku sędziom — na miłosierdzie Boże, wierzcie mi! Nie czarownica moja gołąbka! Nie było dziecka o lepszym sercu dla swej starej matki... Kwiatusek mój, córuchna moja... Ani Bóg stworzył kiedy czystsza duszę. Wołają tu: trucicielka! Nieprawda! Mnie skażcie!

Ja trułam! Przy miesiączku szaleję i białuń zbierałam... Żmijowy jad warzyłam... Ja! Ja! Nie ona!...

— Wiedziałam, co chcesz czynić, matko, i nie przeszkadzałam — odpowiada głucho Blanka.

— Przyznaje się! Przyznaje się sama!!! — huczy tłum.

Ademar de Monteil podnosi głowę. Nie wie nic. Nie rozumie nic. Nie może, nie może uwierzyć, by Blanka była czarownicą. Nie powziął jeszcze żadnego postanowienia. Dokoła aż grzmi od krzyków: Trucicielka!

Czarownica! Spalić! Spalić!

Na stos!

Wyciągnięte dłonie żądają słusznego wymiaru kary. Lecz biskup nie chce być Piłatem. Nie umyje rąk.

— Odkładam wyrok do jutra — powiada silnym głosem. —• Sprawa nie jest prosta. Trzeba wpierv Boga o rozeznanie prosić.

powszechny szmer... Sprawa nie jest prosta?! A cóż może być prostszego?! Mało dowodów? Wątpliwość może zachodzić tylko co do jednego: czy nie lepiej spalić matkę od razu wraz z córką?

— Odkładam wyrok do jutra — powtarza biskup. Spogląda

na swych towarzyszy. Zgadają się. Rajmund z zadowoleniem. Zawsze lubił Blankę. Godfryd obojętnie.

Jest w ogóle przy-gaszony, wychudły, sterany jakimś ukrytym cierpieniem. Baldwin słucha postanowienia z roztargnieniem. Co go to obchodzi? Gontrana bardzo kiepska, dłużej jak trzy, cztery dni nie pociągnie na pewno. W związku z tym Leona staje się coraz natarczywszą. Twierdzi, jakoby zaszła w ciążę... Co za kłopot!

Hugo de Vermandois ziewa z niesmakiem, rad powstając z miejsca. Tylko Arnuld de Rohes potrząsa głową z niezadowolaniem.

— Wola Waszej Dostojności... Przeca my sądym, że lepiej zakończyć dziś jeszcze. Dla przykładu!

Podobnym zbrodniom nie Iza folgować, bodaj paru godzin. Występki trza wypalać co rychlej!

Pobłażliwość staje się współniczką zbrodni...

— Słuszna, słuszna — przytwierdza skwapliwie Alberon archidiakon. Światowiec strojny jak Hugo, pisuje piękne wiersze po łacinie. Powiadają o nim, że lubi towarzystwo kobiet, przeto korzysta ze sposobności, by zaznaczyć swoją poważną surowość.

Lecz biskup jest nieustępliwy.

— Odkładam wyrok do jutra — powtarza po raz trzeci. — Podsądne niech wracają do siebie.

Zebrani rozchodzą się z żalem. Raul. pozostaje, zawiedziony. Cały czas rozprawy patrzył na Blankę, czekając na jej twarzy oznaki błagania, trwogi. Gdyby raz spojrziała na niego prosząco — byłby się cofnął... odwołał... Jak? Tego sam nie "wiedział". Czuł jednak, że zawziętość jego prysłaby natych-nuast, stopniała... że ratowałby jej głowę, choćby z narażeniem życia...

Lecz, Blanka nie spojrziała ani razu. Nie widziała go. Nią oskarżała nawet.

Ano dobrze. Skoro tak, niech ją spalą. Niech ją spalą.

^c-ym okiem patrzył, jak odchodziła, podtrzymując w pół

[^] wjącą się z rozpaczny matkę. Ludzie odsuwali się od nich

ⁿ ^sĘtem. Szły jakby pustą ulicą, wymoszczoną powszech-

^obrzydzeniem i pogardą. Znikły w swym namiocie. Nie

strzeżono ich, nie pilnowano, bo po co? Gdzieżby mogły uciec? Dokąd?

...Tak, nie zdołają nigdzie uciec — myślał jakby z żalem biskup wracając do siebie. —• Nic nie pomoże.

Trzeba wydać wyrok. Wszystko przeciw niej. Wszystko.

—• Szatańska sprawa... — rzekł na poły głośno.

— A szatańska! Szatańska! — zaskrzeczał w kącie głos tak niespodziewany, że Ademar aż się wzdrygnął. To Piotr Erę--mita, „Kukupetros”, odzywał się ze zwykłej swej kryjówki za tapczanem.

— Diabelska rzecz — powtórzył. — Wszystko jest diabel-stwem... Cała krucjata... Diabelstwo!

•— Cicho bądź. Wiesz, że nie wolno ci tak mówić.

•— Dlaczego, Wasza Dostojność? Dlaczego? Wszyscy już o tym wiedzą. Każdy wie. We władaniu szatana jesteśmy. Wielmożnego, jasnego, wszechmocnego szatana...

— Milcz! — zakrzyknął z gniewem biskup — Milcz, bym nie musiał, nieszczęśniku, sądzić i ciebie jeszcze...

— Co mi sąd? Chciałem, żeby mnie ubiły w bitwie... Nikt mnie nie ubił... Co mi sąd...

Przyboczny giermek Rajmunda odsunął zasłonę namiotu.

—• Wasza dostojność, Greci przysłały takiego, co buduje beluardy. Pono onegdaj przyjechał z Bizancjum...

— Dobra wiadomość —• rzekł biskup. — Dawajcie mi go. tu skoro.

Ściemniło się już na dworze, gdy stara pani Sahdac de Viel weszła do Raulowego namiotu. Popatrzył na

nią szyderczo.

...Aha, Blanka sama nie chce prosić. Przysłała matkę... Nic z tego...

Wskazał milcząco przybyłej stołek i czekał, co powie. Nie-lacno jej przychodziło mówić, bo łyzy tamowały głos. Nie przeklinała ani błagała, jako się Raul spodziewał. Przypominała jeno, że drzewiej, na tuluzańskim dworcu, one jedne nie stroniły od niego, potępionego... Czemuż je teraz tak skrzywdził? Czemu na Blankę nastaje?...

Łzy wielkie jak groch leciały jej nieprzerwaną strugą.

— Myślałam dawniej, że się pobierzecie... Że będę wasze dzieciątka kołysać... A wyście, panie, tak uczynili dzieciątku mojemu...

— Myśleliście, że się pobierzemy? —• zapytał niepewnie Raul.

Stara pani kiwa zrozpaczoną głową. Boi się powtórzyć. Boi się CZY ^{n*^e} zblądziła w swej szczerości. Może rycerz wierzy istotnie w czarownictwo Blanki i obraził się, że ją z nim łączyła?-. A przecież w jego rękę teraz życie dziecka...

— Myśleliście, że się pobierzemy?... Wiera... sądziłem tak niegdyś i ja...

— Jezu, Jezu miłosierny... — szepnęła stara.

Zacisnęła kurczowo palce na poręczu stołka i podając się naprzód, wyrzuciła z jękiem:

— Iz miłowania wydaliście ją na męki!?

Spojrzał na nią przekrwionymi oczami.

— Nie chciała mnie... Nienawidziła mnie...

— I za to, że was nie chciała... Jezu! Jezu!

— Nie mogłem się u niej dożebrać bodaj słoweczka... Spoglądała na mnie jak na psa.

— Mylicie się, wam sprzyjała, nie innemu... Zaniósł się gorzkim pośmiechem.

— Sprzyjała... A jużci!... Kot psu podobnie przaje jak ona mnie! Żeby choć słoweczko... Dzisiaj na nią inom patrzył... Gdyby choć raziczek spojrzała jak na człowieka, rzekłbym biskupowi, że wszystko zełgane, chociaż to jest prawda..., prawda...

— Prawda?

—• Jakże?! Kłamałbym na nią... Prawda... Tamem ją zastał... Ale wszystko bym odwołał... By spojrzała...

— A ja wam. mówię, że was miłowała nad innych... Z dawna, z dawna... Dobrze baczyłam... Jeno z nią tak nie można... Chcieliście po niewoli, z góry... Nie taka ona... Harda jest...

Powiedział mi astrolog, że chłopca miała urodzić, tylko się coś w gwiazdach pomyliło... I prawda. Blanka ze wszystkim na chłopca się podała, nie na dziewczkę... Dumna w niej dusza... Męskie serce... Prawa towarzyska dla rycerza. A wy-^{scie} ją chcieli niewolić... To i zapiekła się w sobie, choć wpróżdzi miłowała...,

Miłowała... — powtórzył Raul jak echo. — Miłowała... Coś się w ni^m załamało, odemknęło, przysło. Łzy stanęły oczach. Poczuł się biednym, litości godnym... On i Blanka... *oje najnieszczęśliwszych istot na świecie... On i Blanka... —^{a*a} Błędziła go po ramieniu bez żalu. tob ^ synku, jeszcze może wszystko się naprawi... Bóg

się nagle. •ł ze mną, nie Bóg...

•— Co też ty prawisz!!

•— Czybym ją wydał, żeby diabeł we mnie nie siedział? żeby diabelski nie był?...

— Przeżegnaj się! Przegnaj go!

— Nie przegnam... Nie poradzę...

— Ej, synku, zaliż Pan Bóg nie silniejszy niż diabeł?... Jego wołaj...

Spojrzał jakby uderzony odkrytą nagle prawdą. Iście: Bóg silniejszy...

— Lubiła mnie, powiadacie? — zapytał cicho patrząc w bok.

Zachłysnęła się płaczem.

— Dyć mówię, że zawdy myślałam, co się pobierzecie... Że przy was wieku doczekam, wnusie będę piastować... Synku,

synku...

— Idę do biskupa — rzekł, wstając z nagłym postanowieniem.

Wyciągnęła ku niemu ręce dziękczynnie.

— Idź, idź, a skoro... Ja do niej... Uspokoję ją, gołąbkę moją... Idź.

Wyszli w noc, każde w swoją stronę. Lecz biskup poszedł odwiedzić chorego rycerza de Luz, że Raul nie zastał go w domu, zaś pani Sahdac de Viel z przerażonym zdumieniem zastała przed swoim namiotem strażę. Nie puszczono jej.

— Nikt nie ma wchodzić do czarownicy. Tak grabią przykazał.

— Ja... matka!

— Nie wolno nam puszcząć nikogo.

— Wnet wszystkim będzie wiadomo, że ona niewinna... Rycerz de Beaugency już poszedł do biskupa... Puśćcie mnie.

Byli nieugięci. Zataczając się z bólu poszła do Rajmunda.

Na kwaterze grabiego St. Gilles powitano ją tak, oględnie i z daleka, że czując się niepożądaną stanęła zrozpaczona u progu.

— 'Nic nie chcę, jeno by mi zwolili iść do niej... De Beaugency już do biskupa poszedł odwołać wszystko... On wie równie jak ja, że jest niewinna...

— Więc czemu głupstwa gadał? — mruknął Rajmund ze zło-ścią. Cała ta sprawa była mu nad wyraz przykra i niemiła. Żal zbierał nad starą, żal nad Blanką. Stniły Montbe-liarda, to wiadomo... Ależ to łotr był skończony, okrutnik! Nawet rodzina nie poczuła się do pomsty, zadowolona, że g° ktoś sprzątnął ze świata... Parę lat już minęło... Nie ma

o czym mówić i tych starych historii wywlekać... Co zaś sądzić o obecnych sprawach? ...Jaki giez ukąsił Raula? Dlaczego oskarżał?

— Czemu mnie nie chcą puścić? — biadała staruszka.

— Ech! — machnął ręką — to nie mój pomysł... Inoście

odeszły, kapelan normandzkiego księcia jął nastawać, że Blankę trzeba zamknąć, by na sędziów jakich czarów nie rzuciła... My zrazu nie chcieli, ale poty kawęczył, straszył, nalegał, że biskup ustąpił.

Urwał nagle, żyły poczerwieniały mu na skroni z gniewu.

— Zaraza z tą sprawą! — krzyknął uderzając pięścią w stół, aż kubki dźwięknęły. •— Po com was tu brał, piękna za to odpłata! Przymówek normandzkich musielim słuchać, aż wstyd... Że niby u nas czartowskie praktyki, że nasze białki bezecne... Wszystko przez zawiść! Złość ich żre, że my odnieśli Wiktorię, nie oni, i czepiają się byle czego... Bodajby ich mór wydusił!

- Ona niewinna, niewinna — powtarza kobieta łkając.

- Daj Boże! Ale de Beaugency kiep, sam nie wie, co gada... Normany będą miały jeszcze większą uciechę... Bodaj się zapadł! Chłystek głupi... Boi się diabła, diabeł by stał

takiego durnia... Nie ma strachu, diabeł jest mądry... Na grób świętego Idziego! Dostyc mam tej przeklętej sprawy was wszystkich!

— Boże, Boże! •— szlochała stara. Pożałował jej i dodał łagodniej:

- No, jutro rzecz się wyjaśni. Nie płaczcie. Przespać się możecie tutaj. Blance przez noc nic się nie stanie, a zebrać się mamy jutro wczas, póki upał nie dokucza...

Ucałowała z wdzięcznością jego dłoń i nieco pocieszona klękała w kącie do żarliwych, błagalnych pacierzy.

De Hainaux krąży wokoło namiotu przybyłego Greka Pan-topulosa. Stojący przed namiotem protospatariowie patrzą na ruego ze zdziwieniem. Czego chce o tak późnej porze? Pora J^est późna istotnie.

Ale rycerz dopiero teraz dowiedział się

przybyciu budowniczego. Nie jest w stanie wytrzymać do

,^{ai} Człowiek, który onegdaj przyjechał z Bizancjum, musi .^{wle}dzieć o Idzie! O Idzie! Trzeba koniecznie zobaczyć się j^{ac}-*? ^{dzi}ś jeszcze... Byle umiał po łacinie... Byle umiał po

p_^{le} Q Boże! daj, by zrozumiał, o co chodzi!..^{Zez} szpary namiotu sączy się światło podróźnej lampki

oliwnej. Grek nie śpi. Przywódca straży poszedł oznajmić późnego gościa. Czekać na jego powrót de Hainaux siada na kamieniu. Jest śmiertelnie znużony tęsknotą, zdławiony niepokojem. Blisko rok bez wieści od niej: lato w pełni a ona miała wczesną wiosną przybyć do Bizancjum! Co się z nią stało?! Co jej przeszkodziło?! Gdzie ninie jest!? Wszystkie niebezpieczeństwa mogące na nią czyhać, wszystkie złe przygody, wypadki, włącznie aż do — Boże odpuść! — zdrady, snują się w nocie bezsennym, uporczywym korowodem. Niekiedy zrywał go z posłania dźwięk wołającego go głosu. Jej głos! Przyzywa go... Skąd, z jakiej dali? O nieudolne ciało ludzkie, wiążące ducha w ciężkim, grubym zmyśle! Czemuż człowiek nie jest ptakiem, dla którego nie istnieje przestrzeń? Czemuż nie jest myślą, tchnieniem? Przywiązuje się niepotrzebnie, śmiertelnie, jakby to, co miłuje, było wiecznym i on sam wieczny, jakby miłować było warto, jakby z tych więzów serdecznych wynikało kiedykolwiek coś innego niż gorycz, ból i utrata!

Przez cały dzisiejszy dzień w obozie nie mówiono o czym innym, jak o sprawie Raula de Beaugency i Blanki de Mont-beliard, i dobry rycerz Hainaux pomyślał z rezygnacją, że by zaspokoić swą tęsknotę i niepokój, gotów uciec się — śladem tamtych dwojga — do czarów,...

Błyszczący srebrnym napierśnikiem dowódca protospa-tariów wracał uchylając zapraszająco zasłony. De Hainaus wszedł czując serce łomoczące pomiędzy żebrami. Choć budowniczy przyjechał zaledwo przed kilkoma godzinami, namiot był już całkowicie zagospodarowany. Na ścianie drogocenny ołtarzyk z ikoną i wizerunkiem Najdostojniejszego, Najpobożniejszego, Apostołem równego, Autokratora, Aleksego Komnena. Zegar wodny, przybór do Jaźni, wygodne sprzęty, w górze' wachlarz dla odświeżania powietrza. Sam szlachetny Pantopulos w miękkiej domowej szacie siedział przy składanym stole, założonym niezrozumiałymi na pierwszy rzut oka planami. Ku niewymownej radości grabiego znał dobrze łacinę, jak każdy zresztą wykształceńszy Bizantyjczyk. Powitał gościa nad wyraz uprzejmie.

—• Zastajecie mnie, panie, nad rysunkami wież. Staram się-, rozpoznać, jaki rodzaj będzie tutaj najodpowiedniejszy... Wszystko zależy od gruntu... Inny bowiem system kół trzeba zastosować na piasku, a inny na skale... Przybyłem dopiero onegdaj i nie wiem...

— Ja właśnie przyszedłem... —• zaczął de Hainaux i urwał

czując suchość w gardle a pot na skroni. Wątpiła nić nadziei rozpinająca tym pytaniem most ponad rozłęką... Co będzie, jeżeli nić zwiśnie w próżnię? Jak to znieśe?... Musi znieść w sposób godny rycerza...

— Ze zdziwieniem słyszę, że twierdza dotąd nie okazuje chęci poddania się pomimo klęski zadanej odsieczy — ciągnął Pantopulos. — Wszakże to już trzeci miesiąc trwa oblężenie?

— Trzeci miesiąc — przyznał de Hainaux z roztargnieniem... (a ja nie mam od niej wiadomości prawie jedenaście miesięcy... trzeci miesiąc, co to znaczy!)

— Musi tam już być głód? Co?

— Nie wiem.

— Jeżeli głodu nie ma, widocznie dowożą sobie żywność z zewnątrz?

— To niemożliwe. Którędy?

— Nie mogę wiedzieć... Pierwszy raz tu jestem... Może przez jezioro?...

Patrzył uważnie na rycerza, któremu wydało się nagle, że skądś Greka znał... Może go już widział kiedy? Mniejsza z tym.

— Przyszedłem, choć o tak późnej porze — zaczął zbierając oburącz odwagę — by was, panie, zapytać o jedną rzecz... Dla mnie ważną... Tak niedawno opuściwszy Bizancjum, musicie wiedzieć, zali nie przybyła tam francuską lub wioską galerą małżonka moja, grabini de Hainaux... Oczekuję przyjazdu jej od wczesnej wiosny.

— Grabini de Hainaux... — powtórzył Grek jakby z namysłem.

Rycerz wlepił w niego wzrok rozgorzały oczekiwaniem,

— Nie przybyła — rzekł stanowczo Pantopulos. — Nie przybyła z całą pewnością. Na targi świętojańskie przybywa corocznie siła galer z Zachodu, ale żadna szlachetna niewiasta z nimi nie przyjechała.

- ...Nie przyjechała... Nie przyjechała... — powtórzył kilkami otnie de Hainaux. Ścisnął głowę rękami, pożegnał gospodarza dość obcesowo i wyszedł na majdan obozowy zalany światłem miesięcznym.

Nie przyjechała... Nie przyjechała... Nie przyjechała...

w poprzednim składzie zasiadł, cały plac był już ^{zn} ^{on}V tłumem, czekającym tu od świtu. Że wszyscy owali się na miejscach oprócz Blanki, której jeszcze nie

przywiedziono, huczało wkoło od krzyków. Gdzie czarownica?! Gdzie czarownica? Na stos!!

— Uciszyć się! — krzyczy groźnie de la Tour z polecenia biskupa. — Uciszyć się!

— Niecierpliwość tłumy jest szlachetnym wyrazem pragnienia sprawiedliwości i wstrętu do grzechu — cedzi przez wargi Arnuld de Rohes.

— Vox popu// — vox Dei — przytwierdza sentencjonalnie Alberon.

Szczepan de Blois obraca znudzoną, sceptyczną twarz.

— Opowiadajcie to dzieciom. Tłum chce widowiska. Sprawiedliwość tyle go właśnie obchodzi, ile zeszłoroczny śnieg.

— Nie godzi się mówić takich rzeczy, grabio.

— Ale wszyscy je myślą...

— Czarownica! Gdzie czarownica! Na stos!

— Uciszcie się! — woła znowu de la Tour. — Zanim przywiodą podsądną, oskarżyciel chce złożyć

nowe zeznanie! Uciszcie się!

Cisza zalega. Raul de Beaugency wychodzi przed sędziów. Powiada donośnie:

— Wasza Dostojność, prawi baronowie! Ja, rycerz pasowany, cofam moje wczorajsze oskarżenie lekce rzucone na szlachetną i wszelkiej czci godną Blankę de Montbeliard z rodu Salviac de Viel...

Ostupienie ogólne, zarówno sędziów, jak tłumu. Chwila ciszy i wnet wrzawa.

— Cofa! Cofa oskarżenie?! Co takiego?! Więc łgał wczoraj?! Łgał?!

— Spodziewałem się — szydzi Arnuld. — Czary. Matka czarownicy była wczoraj wieczorem u tego rycerza. Zadała mu lek na stratę pamięci i oto owoce.

— Juźcić co tak... nic innego! Juźcić! Raul uśmiecha się wzgardliwie.

— Nikt mi nic nie zadał. Prawdę mówię szczerą dziś, nie wczoraj.

— Łgał! Łgał! Rycerz łgarz!

I już większość tych, co przed chwilą chcieli wlec Blankę na stos, obraca się przeciw Raulowi.

— Łgałem wyznaje tenże spokojnie. — Czyńcie ze mną, co chcecie.

— Czemuście osławę na nią rzucili?

— Bo mi nie chciała być powolna.

Szmer grozy. Teraz już wszyscy przeciw niemu. Spluwają z pogardą. Trzaskają mieczami. Łgarz!

Oszczerca! Pochutnik!

— Czekajcie! — mówi biskup prawie z przerażeniem. — Wiec nie była na pobojuwisku? Nie dotykała "trupów?

— Nie była. Nie dotykała. Sam to zmyśliłem.

— Ależ ona wczoraj przyznawała się do tego, dodając jeno, że litość ją wiodła...

Prawda! Blanka się nie zapierała!... Raul, który zapomniał o tym, milknie zaskoczony. Arnuld triumfuje.

— Zrazu mówiłem, że go zazionęły... Gada to, co mu ka-
zały...

— Sprowadźcie podsądną — mówi biskup z westchnieniem.

Przeczuwane tajnie tej dziwnej sprawy napełniają go przerażeniem. Jest pod tym jakieś trzęsawisko, zapadnia, której nie może odgadnąć. Skąd się to wzięło? Co odmieniło tych ludzi, tak prostych dawniej i szczerych jak woda w krynicy? Co się z nimi wszystkimi dzieje?

— Przyprowadźcie podsądną — powtarza.

Czterech giermków wyrusza. Pani Salviac de Viel z nimi. Na koniec uściska i pocieszy Blankę!

Biskup trze czoło dłonią. Darmo szukać prawdy. Lepiej się o nią nie kusić...

— Cofacie oskarżenie? — zwraca się do Raula.

— Cofam.

— W takim razie sprawa właściwie upada...

— Za pozwoleniem — oburza się Arnuld — gdy chodzi o praktyki diabelskie, cofnięcie skargi nie umarza sprawy.

- Zbyt pochopnie nazywacie praktykami diabelskimi to, co jest może zwykłą kłótnią zakochanych... Jeszcze nie przysięgali oboje...

— Dla mnie czartowska ręka w tym wszystkim jest widoma. Mówiłem to już wczoraj.

- Surowy z was sędzia.

- Wiera, żeśmy surowi, bo u nas, Normanów, podobne rzeczy się nie zdarzają.

Rajmund powstał siny z giewu.

~~ Ejże, dość tych przytyków! Nie zdarzają się? Jakie mi święte!

^ — Kto święty?... — parska nieoczekiwanie stojący za krze-
le^m Robert Omer de Guillebaut. — Może niewiasty nor-

łzkie? A już! Najgorsze gamratki ze wszystkich! Do nich

"Ją się przepowiednie Merlinowe... Słyszeliście?... „Porwie

S czapla z Kalateryjskiego kraju..."

...

Śmiechy wokoło. Arnuld jest wzburzony.

— W imieniu księcia rozkazuję: stulcie gęby! •— syczy w ucho rycerza, który milknie patrząc dokoła głupawo.

— Siadaj i siedź cicho — mówi doń Robert. Omer siada.

— Ano usłyszeliśmy prawdę o białogłowach normandzkich — stwierdza bezstronnie Szczepan

uśmiechając się pod wąsem, bo nikt nie lubi Arnulda.

Lecz kapelan nie daje za wygraną.

— Niewiasty są wszędzie jednakie — powiada niedbale. — Nigdy jednak w Normandii nie spotkał rycerza, co by dziś mówił tak, jutro inaczej, albo oszczerstwem się bawił...

— Bo u was co dnia fałszywie gadają!

— Co takiego?! — ryczy Robert normandzki zrywając się z miejsca.

— Prawdę mówię! Znam was, łupieżcy kościołów, złodzieje świętości!

— Milcz!

— Nie będę milczał! Dostyc mi dojadł ten klecha! Nie złu-piliście to Nantes, Chartres, Rouen? Nie uciekano po całej Francji, uwożąc przed wami najświętsze relikwie?!

Robert stoi, dysząc ciężko z wściekłości. Naraz wybucha śmiechem i siada uspokojony.

— Ale przyznajecie, że przed nami uciekano... Rajmund zagryza wargi, zły na samego siebie.

Niezręcznie

powiedział.

Trudno. Słowa, które uleciało, niepodobna już cofnąć. Wzrusza obojętnie ramionami.

— Uciekano nie znając cechy normandzkiej, że wam nie-śpieszono do bitwy...

— Co takiego?! Obaczymy!

— Obaczyliśmy to już trzy dni temu... Czasu boju z Ki-lidż-Arslanem...

— Przyszliśwa, jak można najskorzej, i dopiero przed nami Saraceny pierzchły...

— Moiściewy, ot, nowina! Więc to wy zwyciężyliście?

— A któż by?!

— Górze! Górze! Tuluza! Tuluza!

— Normany! Normany!

•—' Jeruzalem! — woła biskup z rozpaczą wpadając pomiędzy nich. Znów jak tylekroć błaga, zaklina, prosi, upomina, przywodzi pamięci święty cel wyprawy. Jak to, bić się będą

teraz, po świetnym zwycięstwie nad niewiernymi? Hańba by to była ostateczna! Co by Greci powiedziały?

To ostatnie przekonywa. Siadają uspokojeni. Pan Tuluzy uderza ręką w piersi:

— Poniecham ich, ale przysięgam, że od Nicei pójdą swoim szlakiem, z dala od Normanów, nie chcąc mieć z oszkliw-cami nijakiej wspólnoty...

— Toż samo my z warni.. Ino ruszymy z Nicei...

— Wpierw ją zdobądźcie, panowie! Wpierw ją zdobądźcie!

— Zdobędziemy rychło... O, dla Boga! Co się stało?

Od kwatery Montbeliardów biegnie kupa ludzi. Krzyczą i machają rękami. Nadlecieli zadyszani.

— Nie żyje! Nie żyje!

— Nożem się pchnęła!

— Pewnikiem nocą, bo już ze wszystkim zastygła...

— Kto taki?! Kto!?

— Dyc czarownica... Blanka.

Cały sąd wstaje poruszony. Spieszy na miejsce nieszczęścia. Biskup, wodzowie, trzej księża i Raul blady jak trup.

...Powiadała stara, że Bóg silniejszy niż diabeł... Awo kto silniejszy... Dowodnie się okazało...

Prawdę wołali ludzie. Blanka de Montbeliard nie żyje. Leży na swym tapczanie w pół skręcona, jak gdyby z wysiłkiem wbijając sobie w serce nóż, na którym zastygła jej dłoń. Oczy rozwarte szeroko. Usta w pół otwarte, choć nieme. Gdy matka się nad nią nachyla, wylatują z nich z brzękiem dwie muchy...

— Boże, bądź miłościwy nieszczęsnej — mówi biskup z Puy. -- Najgorszą zbrodnią — samobójstwem przypieczętowała

swój grzeszny żywot — stwierdza sucho Arnuld de Rohes.

Staruszka matka leży bezwładnie, obejmując ciało córki, i nie słyszy nic z tego, co mówią dokoła, ale Raul odwraca się groźnie:

-- Rzekłem już, że Blanka de Montbeliard była cną niewiastą, na którą ja rzucił osławę... Nie wolno lżyć jej pamięci nikomu. Pchnęła się nożem, nie mogąc przenieść hańby, o niewinnie na nią spadła...

W takim razie czymże wy jesteście, rycerzu? — zapytuje drwiąco kapelan.

~ Potępiony — mruknął Raul. — Zresztą rzekłem: czyńcie mną, co chcecie, otom jest...

Jakiej kary żądacie na oskarżyciela córki? — zapytuje

Lecz pani Salyiac de Viel nie słyszy, nie rozumie. Podnoszą ją, odrywają od ciała, powtarzają zapytanie. Potrząsa nieprzytomnie głową.

— Kary? — bełkocze — kary na Raula?... Nie...

I nagle, jakby sobie przypomniawszy, porywa się z zaiskrzo-nymi oczyma:

— Na tego chcę kary, na tego chcę pomsty, co mnie do niej wczoraj wieczór nie dopuścił!... Sama była, sama, gołąbka moja, sieroteńka moja... Bodaj go Bóg skarał, bodaj mu oczy wygniły, bodaj po śmierci nie zaznał spokoju, bodaj zdechł jak pies bez chrześcijańskiego zaopatrzenia, bodaj go święta ziemia nie przyjęła, bodaj go żywcem diabli do piekła porwali!...

— Cicho, cicho, matko, uspokójcie się... Więc na rycerza de Beaugency kary nie żądacie?...

— Nie.. Zawdym myślała, że się pobiorą... Że będę wnusie kołysać... Córuchno moja, córuchno...

Wyszli ostawiając niebogę. Sąd zajął poprzednie miejsca. Biskup powstał, by ogłosić wyrok.

— W imię Pana naszego, Jezusa Chrystusa! W uczciwości i najlepszej chęci sprawiedliwego rozsądzenia rzeczy, taką

ogłaszam rezolucję: Rycerz de Beaugency cofnął skargę na szlachetną Blankę de Montbeliard, zanim to jej jednak clo-nieślił, śmierć sobie zadała. Rycerz de Beaugency oskarżony jest z kolei, że spowodował lekce zgon uczciwej białogłowy. Pytałim matki zmarłej, jakiej chce na niego kary? Powiada, że nie chce nijakiej. Zatem, jak mówi prawo: Nie ma oskarżyciela, nie ma sędziego...

•— My żądamy kary — rzekli jednym głosem panowie bracia Salviac de Viel wysuwając się równocześnie z tłumu. Powitał ich szmer niechęci. Gdzie to byli wczoraj? Czemu nie ujęli się za krewniaczką, nie świadczyli za nią lub przeciw? Wiadomo! Skryli się jak najdalej, udając, że o niczym, nie wiedzą, nieradzi przyznawać się do krewieństwa z czarownicą. Teraz to są.

Pan strażnik grodzki z Clermont i brat jego bliźniaczy przestępują z nogi na nogę z zakłopotaniem. Już cić, prawda, że tak było. Wczoraj, gdy po całym obozie huczało, że Blanka jest bez ochyby czarownicą, woleli, by o nich zapomniano. Dziś co innego. Że są dobrymi ludźmi, żal im i wstyd. Radzi by wczorajszą obojętność naprawić. Obaj pałają gniewem na de Beaugency.

— Żądamy kary — powtarzają srogo.

— Zawiniłem, czyńcie ze mną, co chcecie — powiada Raul, po raz nie wiedząc który.

— Chcemy głowy oszczercy! Rycerz łgarz!

— Uciszcie się! — woła biskup — łgarstwo nie jest dowiedzione! Możecie szukać na nim pomsty za to, że spowodował śmierć bratanicy, ale nie za łgarstwo!

— Jakże, sam się do łgarstwa przyznaje!

— Wczoraj, w obliczu sądu, zmarła Blanka de Montbeliard

przyznawała się, że chodziła do pohańbionych kobiet i dotykała ich... Zatem rycerz de Beaugency nie kłamał, chociaż dziś mówi, że jej tam zgoła nie widział...

Bracia patrząc po sobie zaskoczeni nic nie rozumieją. Biskup ciągnie:

— Sprawa to tajna i zawiła, i nie ludzkie zmysły rozsądzą, kto był praw, kto był winien... Jenó sąd Boży zdolen rozstrzygnąć. Jeżeli żądacie kary za łez, sąd Boży musi w pierw wykazać, czyli oskarżony łże.

— Sąd Boży! Chcemy sądu Bożego! Niech się potyka z nami po kolei!

— Niech się tak stanie.

— Sąd Boży!

Natychmiast giermkowie odmierzą plac i ogrodzą, udepczą starannie ziemię. Biskup poświęci broń i zapaśników. Rozprawa musi się odbyć rychło, dziś jeszcze, gdyż od wyniku jej zależy, czy zmarła Blanka de Montbeliard otrzyma uczciwy pochówek, należnym szlachetnej tiałogłowie, czy pogardliwe rzucenie trupa w jezioro.

Pachołcy pilnie grodzą. Zapaśnicy rozeszli się do swych namiotów przygotować się dusznie do rozprawy.

— Módlcie się i proście Ducha Świętego o wspomnienie! — woła za nimi biskup. Za godzinę mają się tu zejść z powrotem. Trąba da znak.

Panowie Sahdac de Viel modlą się gorliwie, bijąc w piersi skruszonymi dłońmi. Skulony w swoim namiocie Raul nie ttiodli się wcale. Cóż by mu pomogły pobożne słowa? Z trudem usiłuje wprowadzić jaki taki ład w poplątany kłębek TM-Yśli.. Jakże to wszystko było od początku? Jak się to stało? ^w głowie kołują na przemian to czarnoksięski przeklęty krąg ^{na}SJich kobiet, to Blanka, martwa jak one. Skurczona, z sinych ust wylatują muchy... Blanka nie żyje!

^{lanka}
br nie żyje!... On, Raul, ma się potykać z dwoma do-^tYmi rycerzami o jej sławę. Sąd Boży, sąd Boży!
Bluźnier-

czy sąd, a nie Boży! Biskup poświęcił broń i pobłogosławił... A Raul czuje niezbitcie, niezawodnie, nieodparcie, że zabije obu braci. Nie tylko, iż jest młodszy, silniejszy, sprawniejszy, lecz że diabeł nie opuści takiej sposobności, by jeszcze więcej zła wyrządzić... Pokieruje śmiertelnie jego dłonią chociażby wbrew woli... Nie ujrzą dzisiejszego zachodu słońca obaj stryjowie Blanki... Sąd Boży... Każdy go uzna... I Blanka nie będzie miała pochówku.

...Sąd Boży wykaże niewinność jego, Raula, a potępi zmarłą... Jakże do tego dopuścić? Co czynić? Zabić się jak ona? Jej dłoń kobieca nie drżała, gdy jędrne, giętkie ciało przebijała nożem... Jego, męska, drży... Ha, piękny rycerz, co się boi śmierci! Jeszcze nie widziano takiego! Należyta postawa w obliczu zgonu to jedna z najważniejszych, najistotniejszych zalet rycerstwa, tak wrodzona i właściwa, że nie może podpadać w niczyją wątpliwość. A de Beaugency z prastarej, dobrej krwi boi się śmierci jak każda baba!?

...Jakże się nie bać, gdy wiadomo pewnie, że za śmiercią rozpoczyna się potępienie?! Gdy własną ręką trzeba otworzyć furtkę na ogień piekielny!? Strach przenika kości. Nie odważy się. Lepiej znieść hańbę, lecz odwlec bodaj o godzinę spotkanie się z larwami piekielnymi oko w oko. Przeciągnąć bytowanie, nędzne, ale na Bożym świecie... W blaskach słońca, nie tam, nie tam.....Straszliwa pożoga wnętrzości ziemi

na władztwo duchów ciemności oddanych.., Ogień nieugaszo-ny, co spali oddzielone od ziarna plewy... Raul jest tą plewą właśnie... Nie odważy się...

...Wiec co czynić, Boże, którego nie ma się prawa przyzywać? Szatanie, któryś ustawicznie bliski?...

...Trup Blanki leży samotny... Tylko matka przy nim... Płaczki, żałobnicy przyjdą dopiero, jeśli wynik sądu wskaże niewinność zmarłej... Dopieroż obmyją jej młode ciało, co tak mało radości w życiu zaznało, przystroją w białą szatę, dopiero...

...Więc co czynić, co czynić, udręczona duszo? Nie stawić się wcale na sąd?... Hańba ostateczna, niebywała, śmiertelna... A innego wyboru nie ma... Albo zabić się, albo nie stanąć, albo pokrzywdzić Blankę jeszcze jeden, ostatni raz...

Trąba wzywa po raz pierwszy. — W imię Boga! Stawajcie!... Zimny pot na czole rycerza... Boże, Boże! Ejże, wara ci od imienia Boga! Zaliżesz nie potępiony? Zaliś nie wzywał niegdyś nocą Złego na rozstaju?...

Trąba po raz drugi grzmi potężnie, zwołujące... W imię Boże stawajcie!... Raul spogląda przez szpary w namiocie. Na majdanie tłumy, tłumy... Wszyscy w naprężeniu czekają...

...Jeszcze czas skoczyć... Uratować cześć... Zabije obu braci... Blankę wrzucą do jeziora...

Po raz trzeci trąba jęczy, długo, przeciągle, nagłaco... Nad obozem cisza oczekiwania. Cisza śmiertelna. Na koniec po długiej chwili słychać pojedynczy, donośny głos. To biskup ogłasza, że sąd Boży się nie odbył, bo pozwany się nie stawił. Sam uznał swoją winę. Winien jest!

Jak poryk burzy porywa się gwar. Hańba! Hańba! Nie staną! Nie staną! Tchórz i kłamca! Panowie Sałviac de Viel oddychają z ulgą radosną. Poprzednio w namiocie niemało się natrapili zanosząc gorące modły. De Beaugency wprawny w robieniu mieczem jak mało kto, a Bóg jeden wie, jak tam było w istocie między nim a Blanką?... Niepewna, niepewna sprawa... Bogu Najwyższemu dzięki, że tak się skończyła...

Powoli tłum się rozchodzi, ucicha. Raul siedzi nieporuszony. Czy kto nie przyjdzie tutaj? O nie! nie! Nie przyjdzie nikt. De Beaugency wie o tym dobrze. Zna prawa. Wie, że po prostu przestał istnieć. Przestał być prawym rycerzem, dobrym rycerzem. Może chodzić wśród swoich dawnych druhów towarzyszy, nikt się za nim nie obejrzy, chyba, by plunąć ze wzgardą... Nikt go nawet nie kopnie, nie uderzy, by się nie splamić dotknięciem... Może w ich oczach dokonać największych czynów... nikt ich nie uzna... Może ginąć z pragnienia i głodu, nikt mu kubka wody nie poda... Nie ma go! Nie ma go! Wykreślił się ze społeczności...

...By był okrutnikiem bezecnym jak nieboszczyk Mont-bóliard, rabusiem, żarłokiem jak de Mełun, krzywdzicielem kobiet jak Guillebaut — wybaczone by mu łącno. Świat rycerski jest wyrozumiały. Nie ścierpł jeno dwóch rzeczy: łgarstwa i tchórzostwa. Jego zasię mają teraz za kłamcę i tchórzeza...

Godziny mijają w odrętwieniu. Żar dnia. Chłód wieczoru. Mrok. Ktoś się porusza u wejścia. Ktoś wchodzi. Matka Blanki. Nie wie nic, nie rozumie nic, ale instynktem czuje, że znajdzie tu jedyne serce, które jej żalność podzieli. Opowiada Stosem przerywanym łzami... Na podwyższeniu obitym suk-^{ne}«i stoi trumna Blanki... Sukno dał grabią St. Gilles... Biskup ndnią odprawił egzekwie... Sam biskup... A taka pogodna ^{ter}az, gdy jej zamknięto powieki...

~~ To dobrze... dobrze... — wzdycha Raul. Pani Sałviac,

- Krzyż

•owcy t. I/II

biedny, rozdarty strzęp serca, opiera się o jego ramię z ufnością. Wypłakując stare oczy powtarza uparcie:

— ...Myślałam drzewiej, że się pobierzecie... Że będę wnusie kotysać...

Gryząc w zębach suche źdźbło spalonej trawy Florina słucha z niepokojem słów narzeczonego:

— Wiesz już o postanowieniu wodzów... Gdy stąd ruszemy, wojska mają iść osobno, całkiem osobno, daleko od siebie... Co wtedy będzie z nami?

— Co będzie z nami?... — powtarza niepewnie Florina.

— Nie wiedziałaś o tym?

— Wiedziałałam, mówił mi grabią.

— Więc jakże, cóż poczniesz?

Westchnienie bez odpowiedzi. Swenon zapala się, gniewa.

— Będziemy szli z osobna, nie widząc się, Bóg wie jak długo... Jedno może zginąć, a drugie dowie się o tym jakiś dopiero po wielu miesiącach...

— Nie możesz przejść do naszych, jak Lotaryńczyki? Obruszył się.

— Co też gadasz! Towarzyszów, z którymi razem wyszedłem, będę rzucać! Sarna byś mi to ganiła... Z Robertem flandryjskim drużstwo wojenne mam zaprzysiężone... Ty chodź do nas...

Wyprostowała się dumnie, dotknięta.

— Jako moja żona — pośpieszył wyjaśnić. — Innego sposobu nie widzę. Najmilsza moja! Toż pomyśl...

— A przysięga!?

— Och, przysięga! Zrazum jej nie chciała... Po co ona... Od tego czasu jesteś mi jak obca, jak cudza...

Przysięga! Nie w kościele była składana, ale na wodzie... Biskup nas z niej zwolni...

— Nie, nie! Przysięgaliśmy uczciwie... Bóg by nie błogosławił...

— Ejże, czyż mało dla Niego cierpimy?... Pomyśl tylko: by nie kruczata, wziąłbym cię od pana ojca burgundzkiego... Powiozłbym na mój dworzec drewniany, malowany dworzec w Dunii... Pięknie tam jest... Inaczej niż we Francji, ale pięknie... Kwiatuzku mój... Tam byśmy się miłowali wzajemnie w spokoju... Słonko zachodzi — my razem... Wschodzi — nry razem... Na morzu cisza, to burza, a my zawdy razem...^T wrócić tam, miła, z tobą...

Rozejrzał się wkoło i wzdrygnął.

I popatrz, zali» tu nie straszno? Strzeżoga, smród, kłótnie między panami baronami, a ca dalej będzie, nie wiada...

— Grzech tak mówić — szepnęła.

— pyć ja Bogu nie wypominam. Chętnie Mu naszą dolę ofiaruję, jeno mi ciężaru nie przyczyniaj, bo go i tak dość.

— ja nie winna, że chcą nas rozdzielić.

— Tyś nie winna, ja nie winien, a na kim się zmieli, na

nas się skrupi... Tobie to może jedno, a ja i myśleć nie mogę, by cię tak długo nie widzieć!

Nie odpowiedziała nic patrząc w przeciwną stronę. Z oczu jej leciały łzy. Nie chciała, by to obaczył. Nie była już zgoła podobna do dawnej pieszczotki, szczebiotki, co przed dwoma laty w Clermont ślubowała cienkim, na poły dziecinnym głosikiem, że pójdzie na świętą wyprawę. Jak gdyby te dwa lata starczyły za dziesięć, przemieniła się, dojrzała. Aniby ją macierz poznała. Dobra macierz, o czterech podbródkach i obfitej piersi. Płaksiwa i łagodna, bo z gniewu mogłaby się zatchnąć. Aniby ją poznał pan diuk burgundzki, najpotężniejszy władca francuski, co sądził, że na piękną, spokojną przejażdżkę posyła swoją pieszczochę! Siedząca obecnie na skarpie obwałowania obozu Florina jest wyrośnięta, wychudła. Twarz opalona, brunatna, jasnejwłosy straciły połysk od słońca. Kosy, przedłużane dawniej złotymi wstążkami, owija teraz dokoła głowy, bo kurzą się i płaczą. Nie może już kręcić w palcach dawnym ruchem wdzięcznego zakłopotania. Nie robi figlarnych minek. To wszystko dobre było niegdyś, w domu, w domu... Słuchając o malowanym duńskim dworcu uśmiecha się pobłaźliwie, jakby ona była starszą. To, co mówi Swenon, to są marzenia, a tu jest życie, twarde, srogie życie. Temu życiu trzeba sprostać. Trzeba godnie zastępować nieobecnego wśród krzyżowców pana Bur-gundii, Filipa...

- Gdy przysięgałam — dowodzi Swenon — nie wiedzieliśmy, że wojska pójdą osobno... Biskup nas zwolni na pewno

da ślub...

"ie -- powiada Florina stanowczo —• ślub weźmiem, owszem, lecz przysięgę zachowamy...^{airz}Ył na nią zdumiony. ~ Jakże to?

^Yć będziem w czystości. chcę, nie! Nie wydzierzę!

— Wydzierzym... Pewnikiem już przecie niedługo... A bą-dziemy blisko siebie.

— Nie chcę! Nawet mi o tym nie gadaj!

Lecz ona uchwyciła się tej myśli jak zbawienia.

— Posłuchaj... Nie rozłączymy się... Będę zawdy w dzień przy tobie. Będę mieszkać w jednym namiocie z Boniną, a ty w, drogim, podle... Będzie jak dotąd... Dopieroż gdy zdobę-dziem Jeruzalem, powiodą nas z pochodniami do łoża...

— Nie, nie! Biskup nas rozwiąże z przysięgi... Tyś dziecko. Nie wiesz, co mówisz... Nie wiesz, co by to było za życie!

— A jakoż jest teraz?

— To co innego... Być małżeństwem, a nie być, to męka... To męka... Nie mogę.

— Wolisz, by nas rozdzielono?

— Wolę cię mieć, chcę cię mieć! Bogu i tak dużo dajem! —• Grzesznie mówisz. I daremnie. Ja przysięgi nie złamię.

Dotrzymam. Z takiego rodu, że dotrzymam.

— Dziecko, dziecko! Szalone dziecko!

Nazywał ją dzieckiem, choć w głębi czuł, że jest silniejsza od niego, że ona jego ugnie, nie on ją. Na poły już zrezygnowany ścisnął głowę dłońmi powtarzając żałośliwie:

— Nie będzie to dobrze. Obaczysz, nie będzie to dobrze!

Budowa beluard postępowała szybko. Jedna wielka wieża

czterech piętrach, dwie mniejsze o trzech. Na wielkiej mogło stanąć stu ludzi. Most rzucony z góry zatrząskiwiał się, że prawie niemożliwością było go odrzucić. Obrońcy musieliby go dopiero rąbać, co nie było łatwe, gdyż pomost wzmocniono żelaznymi nitami. Patrząc na te potężne, a zarazem lekkie, łatwe do poruszania i niewywrotne budowle, Latynicy odczuwali mimowolny podziw dla umiejętności greckiej. Najbardziej zdumiewało ich to, że Pantopulos wykreślał sobie

obliczał wszystko na papierze, rozdając robotnikom poszczególne roboty, które potem bez przymierzania pasowały do siebie jak ulał. Może znał odpowiednie zaklęcia? Zaglądali do jego zapisków w nadziei odkrycia tajemnicy umiejętności. Dotykali ostrożnie szeleszczących kart papieru, którego wyrób był im nie znany, wodzili niespokojnie wzrokiem po szeregach liczb, przypominających rachunki sukiennika. Nic prócz cyfr!

Cieśle, którzy tyle czasu i drzewa spartolili na klecenie nieudolnych, niezdatnych do niczego machin, kiwali głowami

zazdrością: Ot, jak na wszystko jest sposób, dobry sposób, cała rzecz w tym, by go znać.

Zmęczeni trzymiesięcznym, beznadziejnym rąbaniem murów, rycerze schodzili się gromadnie, popatrzeć, jak postępuje budowa. Kiedyż nareszcie będzie można zacząć szturm?

— Grek prawił wczoraj grabi, że za dwie niedziele — objaśniał przybyłych z nim Ślżaków de la Tour.

— Jeszcze dwie niedziele! Wyschniem z tego czekania na szczę!!

— Grek prawił jeszcze co innego. Że nocą nie mogąc spać z racji fetoru (jaki delikatny!), słyszał pluski na jeziorze... Przymusza, że pogany zwożą żywność potajemnie nocą...

— Et! — roześmiał się Głowacz — gdzieżby trzymali galery?

— To sarno i grabią powiedział... Od tej strony nie widać nijakiej bramy czy wejścia... A Grek swoje.

Może — powiada — tak jest ukryte, że nie można dojrzeć?

— Licho wie, może i prawda?...

— Nie przyzywajcie licha w złą godzinę... Dosyć go i tak się płacze... Jakby to była prawda, trzymałbym siebie i wszystkich nas za dudków i wartogłowów... Może by nocą oba-czyć...

— Obaczysz, jak się kot we łbie zalęgnie... Żadnych galer nie ma. Już by je dawno zoczyli!

— O, właśnie Grek idzie ku nam...

— Obmierzła gnida jak każdy Grek...

— Cichajcie, on wszystko rozumie...

Pantopulos istotnie spostrzegł ich z daleka i podchodził z _ uprzejmym uśmiechem, którego nie odwzajemnili. „Obmierzła gnida”, jak powiedział d'Armaillac. Przyznawali mu godną zazdrości i podziwu biegłość w budowie machin, lecz poza tym był im równie niemiły jak stratigos Argyrios, Bu-tumitos, Tatikios, Euforbenos, Kalatos, czy sam basilcus. ^v swych dziecinnie prostych umysłach nie widzieli różnic ludźmi innej rasy, uogólniając swą opinię o nich bez "eń. Wszyscy Grecy wydawali im się jednakowi. Zedcbrn' ^ Polor^{ac}kiego obyczaju, dwornej uprzejmości upo-nych i"* P^{ozornie} do siebie. Te same ruchy pielęgnowa-ś~:~i "-M/^{ten sam} uśmiech, za którym nie czuło się szczero-- ^ystko to samo...

skończym robotę — zapewniał Pantopulos. — zacząć walne natarcie... A nie baczyliście, szła-

chętni panowie, co się dzieje na jeziorze? Dziś w nocy znów słyszałem plusk...

— Właśnie gadaliśmy o tym, jak by się przekonać.

— Jak? — Pantopulos uśmiechnął się nieznacznie. — Moim zdaniem, zbudować krypę i wieczorem skradką wypłynąć... Zasadzić się cicho i czekać do rana... Co?

—• Prawda! Jak mi Bóg miły, prawda!

— Przednia myśl!

— Desek mam dosyć... Cieślom pokażę, jak mają robić. Grzeczna krypa będzie na jutro gotowa. Czas dobry na zasadzkę, bo miesiąc wschodzi dopiero po północy.

— Ano, zgoda.

— Zgoda.

— Pojechać można — rozważał de Foix — i krypa się przyda. Ryb sobie nałowim. Po prawdzie przydałoby się już dawno, jeno nam jakoś nie wpadło do głowy...

...Ciekawym, czy wam kiedy co wpada do głowy? — pomyślał w duchu Pantopulos żegnając zacne rycerstwo.

Jak powiedział, krypa, wprawdzie lepka od smoły, była nazajutrz zdatna do użytku i spuszczone na wodę. Wsiedli do niej de la Tour, de Foix, de Luz, d'Armaillac, Imbram, Jasiak Zawora i Nowina Dąb.

Wiosłowało sześciu sendensów, Nieodstępny Imbramowy Benito wśród nich. Niepodobny zgoła do owego chudzielca, przybranego niegdyś z litości, rozrósł się w pięknego, krzepkiego pachółka. Płynęli cicho, nie wyciągając wiosła z wody, by nie pluskać. Noc była ciemna, bezmiesięczna. Jezioro stało nieruchomym obrusem, ścielą stalową, płaszczyzną bez końca. Nie opodał czerniał gród. Na ciemnym niebie majaczyły zarysy baszt i zębata koronka murów. W przeciwieństwie do pozostałych trzech stron grodu, gdzie na murach gęsto paliły się ognie strażnicze, od jeziora nie błyskało ani jedno światło. Ciemność i cisza panowały, jak gdyby gród był wymarły.

— Nie strzegą się tutaj zgoła — zauważył Imbram.

— Grek jucha miał dobrą myśl z tą krypą... Gdyby tak tratwy wielkie zbić, nocą zniecka podpłynąć i tedy uderzyć?

— Głowę dając, prawda! Cicho. Awo, jest światło.

Było rzeczywiście. Jedno. Płonęło równym, spokojnym płomieniem jak latarnia, nie ognisko.

— Zapalili je chyba co ino. Nas już bestie wypatrzyły?

— Podpłynęmy bliżej pod wały.

Posunęli się ostrożnie w cień murów. Stanęli nieruchomo, czekając. Po godzinie łódź zaczęła się kołysać z lekka. Wiatr, uciszony na porę spoczynku słońca, powstał znowu, marszczył drobne fale. Uderzały o dno łodzi niby spiesznymi palcami. Rycerzom przyszło na myśl, że może to zmarli wrzuceni do jeziora pukają do nich z wody, i włosy zjeżyły im się z trwogi pod hełmami. Stali jednak mężnie, bez ruchu. Ogarnęło ich niesamowite wrażenie, to samo, co niegdyś w cysternie basileusowej. Woda i noc to dwaj sprzymierzeńcy. Potęgują się, wzmacniają, nasiakają wzajem grozą.

— Baczycie? — szepnął nagle Nowina nastawiając wprawne puszczańskie ucho.

— Isto. Coś kołacze...

— I chlupie... Coś płynie...

Zamilkli zamieniając się we wzrok i słuch.

Noc była nadal ciemna, nie na tyle jednak, by przyzwyczajone do jej mroku oczy nie dojrzały przepływającej galery. Wyszła jakoby wprost z muru i bezszelestnie przesunęła się nie opodał od nich. Szła samym żagle, a może wiosłami tak umiejętnie czyniono pod wodą, że nie było słyhać plusku. Tylko spieszne kołatanie drobnych fal o kadłub. Nie było na niej światła. Sunęła jak widmo.

— Grek, mądrała, miał... •—• Cicho... Druga...

— Trzecia... Czwarta...

Cztery. Przepłynęły, znikły. Czekali jeszcze długi czas. Nic nie nadjeżdżało. Postanowili powracać.

— One sobie co noc pewnikiem tak wypływają, a my stoimy na brzegu jak głupie — biadał Imbram.

— Pogany zatracone, fałszywce!

— Grek ich przejrzał, bo sam taki, a skąd nam mogło przyjść do głowy, któryśmy uczciwej walki zwyczajni...

~ Bo pewnie...-> Do brzegu skoro, do brzegu!

Jedno mnie dziwi — zauważył milczący dotąd de la ^{our} 'Jak Grek mógł słyszeć z brzegu pluski?... Dyć my tuż, a mało co było słyhać?' Ech, oni mają na wszystko sposoby...

^{omo} P^zYwieziona przez rycerzy wywołała wielkie p^a ^{ra} ^z ^{ac} baronów. Poprzednie zajścia, kłótnia mię-^a Jmundem St. Gilles a Robertem normandzkim, świeża,

tak ciężka i dziwna sprawa Blanki de Montbeliard i Raula de Beaugency, nieoczekiwane żądanie Floriny,

by Rajmund w zastępstwie ojca udzielił jej zezwolenia na „biały” ślub z królewiczem duńskim, a biskup tego ślubu dziewiczego udzielił — wszystko to poszło na razie w zapomnienie. Saraceny zaopatrywały się w żywność i broń tuż pod nosem oblegających! Jak im w tym przeszkodzić?

Wyjątkowo Pantopulos był dopuszczony do rady. Nikt go nie lubił, lecz bądź co bądź on wykrył praktyki pogańskie. Boemund spoglądał na niego z zazdrością.

...Jak mogłem sam wcześniej na to nie wpaść? —••• powtarzał sobie w duchu. — Okazałeś się, Boemundzie, równie dur-nyrn, jak ci wszyscy razem wzięci... Nie postawić dotąd straży na jeziorze, co za niedołęstwo!

Trzebaż, żeby Grek jakoby palcem pokazał...

— Żle się stało — mówił rozważnie biskup — ale zamiast biadać, postanówmy, jak zamknąć twierdzę od strony jeziora? Trzeba statków... Chyba je budować?...

— Budowy statków mógłbym się podjąć — rzekł wahają-co Pantopulos — ale to długi mozół. Wiele czasu zajmie. Insza rzecz zbudować krypę, a co innego galery, mogące się mierzyć z galerami w walce. Jeśli wolno mi wyrazić moje zdanie, radziłbym zwrócić się do szlachetnego Butumitosa z prośbą o przeprowadzenie naszych galer z morza na jezioro. Szlachetny Butumitos zgodzi się niechybnie, cel chrześcijański wyprawy mając przede wszystkim na uwadze...

— Ha, może to dobra myśl...

— Jeżeli Wasza Dostojność sobie życzy, mogę powiadomić szlachetnego Batumitosa o tym życzeniu Waszej Dostojności.

— Życzenie nie jest jeszcze uchwałą. Dziękujemy na razie za dobre intencje. Wezwiemy was, panie, skoro postanowienie zapadnie.

Znaczyło to, że chcą gadać swobodnie bez niego. Pantopulos zrozumiał natychmiast i wyszedł. Wyszedłszy przystanął na chwilę. Boemund uchylił zasłony, by sprawdzić, czy Grek nie podsłuchuje. Zmierzyli się chłodno uprzejmym wzrokiem. Pantopulos odszedł niez mieszany. Był zadowolony. Jak dotąd szło niby z płatka.

Na radzie wszyscy mówili jeden przez drugiego.

— Greków mamy prosić o pomoc! A niedoczekanie!

— Jeśli skorzystamy z ich galer, wezmą całe zwycięstwo dla siebie...

— Powiedzą, że bez ich pomocy nie daliśmy sobie rady—

... Wstyd! Wstyd! Lepiej rok tu jeszcze siedzieć, ale ich nie prosić!...

— Wstyd żaden — łagodził biskup — są przecież naszymi sojusznikami... Niemiło prosić, ale dobro sprawy ważniejsze... Naszym celem nie jest Nicea, ale Jeruzalem. Nie stoimy o próżną chwałbę zwycięstwa, gdy właściwa chwała dopiero leży przed wami.

— Słuszne słowa — rzekł Boemund ••••• lecz nim się do tego ostatecznego środka ucieknem, trzeba objechać dokoła jezioro. Dotąd tego nie uczyniliśmy, co jest wielką winą i zaniedbaniem. W objeździe łącno sprawdzimy, gdzie pogańskie galery lądują, gdzie mają składy i przystań. Może uda się tam zrobić zasadzkę i one galery zniszczyć?... Może brzegi tylko w paru miejscach są dostępne, i obsadziwszy je osiągnem to samo co flota... Dziś jeszcze wyruszę z bratańcem biorąc tysiąc ludzi. Sądzę, że szlachetna rada zechce się wstrzymać do naszego powrotu z wysłaniem Pantopulosa?

- Oczywiście — zapewnił biskup.

- Ja pojadę z wami! — wykrzyknął Hugo de Vermandois, rad, że wyrwie się na jakiś czas z otaczającej spalonej pu-staci w rzeźwiejsze nie zniszczone okolice. Wniosek księcia Tarentu uchwalono bez sprzeciwu. Podobna jednomyślność zdarzała się rzadko. Byliby jednak uchwalili wszystko, co odwlekało konieczność zwrócenia się o pomoc do Greka.

Rycerze, przebywający od trzech miesięcy w spalonej, taez-drzewnej pustym, jaką wokół twierdzy rozsieli, chłoną z rozkoszą woń i cienistość boru. Oczy nie mogą się napaść widokiem zieleni, rozpoczynającej się już o cztery godziny od obozu, tam, gdzie nie zdołali jeszcze dojść. Plamy słoneczne kładą się na ziemi jak złote ruchome krążki. Antylopy i dzikie kozły schodzą pić do jeziora sobie tylko wiadomymi dróżkami.

Spod kopyt końskich smyrgają zające i przepiórki. Sokoły, znużone długą bezczynnością, trzepocą się na pięści sokolnika, kwilą i rwą się do lotu. Toteż Tankred poleca puszczać je raz po raz. Niech się nacieszą!

Niech użyją! Cieszy się podobnie całe rycerstwo. Rozprostowują kości utru-,^{zone} sterczeniem pod obrzydłymi murami. Śpiewają rozgłośnie starą bojową italską pieśń. Nie kryją się wcale. Owszem, by zetknąć się z Saracenami. Cóż piękniejszego jak ^ana zielonej łące, w cieniu drzew? Ale Saracenów nie

^{Slaclu} Kilidż-Arslan cofając się zabrał ze sobą wszy-Plerniona. Pozostała ludność uciekła na tamtą stronę je-

ziora. Boemundowi woje wędrują trzy, cztery, pięć dni. Nocami palą ognie i wznoszą zagrody z cierni od lwów. Na koniec dosięgają miejsca, gdzie zwięzający się kształt jeziora wąska tylko smuga gruntu dzieli od morza. Wyjeżdżają chyżo na wzgórze. Morze! Morze!

...Ukochane, pośródziemne, rodowite, swoje morze! Zitalizowani Normanie miłują je podwójnie. Drapieżną miłością wikingów i czułą tkliwością południowców, dla których morze uosabia najpiękniejsze sny. Jest ich właściwą ojczyzną, ulubioną drogą potęgi i sławy. Morze! Wznosi się wysoko pod niebo jak ciemnoszafirowa chmura. Wieje odeń rzeźwy wiatr, nie mający równego sobie. Wiatr, co ma posmak soli i swobody. Stoją pośrodku przesmyku. Z tyłu na jeziorze nie widać nikogo. Ni statków, ni przystani. Jeżeli są, to dobrze ukryte, gdzieś na południowej stronie. A na morzu? — Jakież galery tuż na brzegu — ukazuje Tankred. Rzeczywiście, całkiem niedaleko od gromady stojących na wzgórzu rycerzy, nieomal pod ich stopami, widnieją stojące na kotwach okręty. Pochylone maszty, zwinięte żagle. Statki czarne, szpetne jak wrony. Na wybrzeżu ludzie palą ogień. Co za jedni? ...Nie Greki, bo szalandy nie malowane i labarum nie ma... Nie Saraceny, bo zielonej chorągwi nie widno... Nie Cenuęń-czyki, bo ich galery poznać łatwo z dala... Więc kto? — Kto? — Piraty! Piraty! Moje piraty! — woła radośnie Hugo de Vermandois. — Poznaję ich! To Guynemer! Na pewno! — Co za piraty? — zapytuje Boemund zaciekawiony. — Krzyżowcy jak my, choć zbóje prawe. Razem z nimi przyjechałem, tylko ich Genuęńczyk} do Bizancjum nie puścili... Bóg nam ich zesłał... Obaczycie! Nie będziem się prosić Butumitosa! — Jesteście pewni, grabio, że to oni? — dopytuje nieufnie Boemund. » — Natychmiast się przekonacie: huknijmy razem, jeno głośno: „Bóg tak chce!” odpowiedzą zaraz, bo to też krzyżowcy. — Bóg tak chce! *Dio U volt!* — runęło gromko ze wzgórza. — *Dio H volt!* — odpowiedziano z dołu od ogniska. Stojący pod nim ludzie jęli się kręcić, poglądając ku górze i machając ramionami. — *Dio li volt!* — A co?! — triumfował Hugo. — To Guynemer! Ma dzie-

ięć statków, tyle właśnie, wiele nam trzeba... Chodźmy żywo, jeno samotrzeć, bo płochliwi są i obcych nie lubią... Mnie v-net poznają... Przy tym ogniu smażą pewnie na rożnie jakiegoś poganina... Te juchy wszystko zeżrą. Chodźmy!

___ Na oko widać, że opryszki i grabieżniki prawe — stwierdził nie przekonany Boemund. — Odwrotnie, niż radzicie, grabio, pchnąłbym naprzód pachołów, by się nie narażać na pa-skudzenie walką z hołotą... ___ Kiedyż powiadam, że pachołów zabiją niechybnie, a nas przyjmą jako gości. Z Guynemerem siła wina razem wypiliśmy... Zresztą, pojedę sam wpród. Nie czekając odpowiedzi skierował konia wprost w dół z usypiska. Gniady chrapał niespokojnie, osuwając się na zadzie. Kamienie leciały spod kopyt tańcząc po stoku. Zgromadzeni przy ognisku oberwańcy, osłaniając oczy dłonią, patrzyli niespokojnie i ciekawie w górę na zjeżdżającego ku nim beztrósko jeźdźca. W połowie stoku Hugo zakrzyknął ponownie, machając przyjacielsko dłonią. Odpowiedzieli radośnie. Teraz już poznali bogatego leniwca, z którym płynęli razem do Bizancjum łakomie spoglądając na jego królewską galerę. Sam Guynemer zdał czarna chustę z głowy i powiewał nią uprzejmie. Boemund z Tankredem i dwoma giermkami ruszyli za Hugonem, co prawda niechętnie. Jak tu gadać z tymi ludźmi? Wszakże to nieurodzeni?!...

Lecz gdy zeszli, wygląd Guynemera uspokoił ich obawy. Czarny jak Murzyn pirat o zuchwałych, okrutnych oczach nosił przecie na wyłożonej, wyplamionej smarem i krwią odzieży rycerski pas skórzany, nabijany złotymi ćwiekami. U pasa wisiał mały, krótki mlec.

— Prawy rycerz morski, Guynemer de Boulogne — rzekł obracając włochatą prawicę dłonią do góry. — Zowią mnie królem piratów. Genuęńczyk! naznaczyły sto bizantynów za moją głowę. Śiłam okrętów zatopił, przeca nie podnosiłem nigdy miecza na pasowanego.

- Chętnie w to wierzę — zapewnił Boemund uspokojony, rozglądając się ciekawie po ludziach. Gęby iście w piekle Sptodzone, żelazne gnaty, chudość drapieżnych ptaków, dra-
ezne zęby i oczy. Stali z szacunkiem opodal, w karnym żół-
erskirn szeregu.

Mówiłem szlachetnym rycerzom, że pewnikiem przy tym u smażycie poganina na obiad — roześmiał się Hugo. "Ywało tak, ale dzisiaj mamy dzikiego kozła. Szlachetni

Panowie

aczą się posilić?...

— Jeśli wino macie, owszem.
 — Wina byśmy nie mieli! I to włoskie, nie greckie, bo Genuńczykom zabrane...
 — Ejże, to się; z nimi po dawnemu zabawiacie?
 — Życ trzeba.
 — Siła tu macie galer? — przerwał niecierpliwie Boe-mund.
 — Dziesięć. Było więcej, ale poszły odpocząć chwilę na dnie morza.
 — Słuchajcież, mości królu piratów: pogany w Nicei mają ukryte galery, nocą wypływają na jezioro, lądują, nie wiemy jeszcze gdzie, biorą żywność. Nie mając statków nie możemy im przeszkodzić. Greci chcą nam pomóc, swoją flotę przenosząc na jezioro, ale...
 — Rozumiem, książę, nie trzeba więcej mówić. Guynemer pojmuje łatwo. Niech piekło pochłonie Greci! Dajcie mi trzy setki ludzi, a przeciągniemy moje galery dziś jeszcze...
 — Dam tysiąc.
 — Nie zawadzi. Gdzie stoją? Niechby się natychmiast brali do rąbania drzew.
 — A to na co?
 — Na drogę. Cały przesmyk od morza do jeziora musim okraglakami wymościć.
 — Jedźmy wpierw obejrzeć, które miejsca najskładniejsze.
 — Już wiem. Dwie niedziele stoim w tej zatoczce. Znam dobrze okolicę. Chłopczy! Wynosić z galer na brzeg wszystko, co się da odczepić! Maszty, wiosła, szkatuły, liny, łańcuchy, szmaty... Do diabła! Prędzaj! Czy mam. was popędzać?! Żywo! Niech piorun strzeli w wasze niemrawe pośladki, jeśli się tak macie ruszać!
 Zachęcanie do pośpiechu było zwrotem czysto krasomówczym, gdyż piraci na pierwsze słowa, brnąc po pas w miążkiej wodzie, dopadli biegiem galer i drapali się na nie jak koty.
 — Sprawne pachołki — zauważył Tankred z uznaniem.
 — Wyszkoiliem ich co nieco. Znają mnie, żem nie żartow-niś. Gdzież wasi ludzie, książę?
 — Za wzgórzem. Wnet ich wezwiem.
 Tankred skinął na swego giermka, który podniósł róg do ust, b,,y zadąć głośno, lecz Guynemer zatrzymał go obcesowo.
 — Po co mają tu przychodzić, skoro drzewo nad jeziorem rosna, nie tutaj. Poślijcie do nich chłopca, niech natychmiast staną, gdzie są, i biorą się do rąbania. Proste, śmigłe drzewa.

Okorować je trzeba i z sęków pociosywać. My za dwie godziny galery mieć będązern gotowe. Na świętego Ostremiusza! jeśli wasi nadażą z rąbaniem, nocą możemy już być na jeziorze!
 — Słusznie prawicie — przyznał z uznaniem Boemund. — Sam jadę do swoich, by ich. należycie pogonić. Pokażcie, gdzie składać drzewo.
 Jakoż nie minęła godzina, a na wybrzeżu zapanował ruch pługąc zwierzynę. Łoskot siekier niósł się daleko, objijając swój miarowy rytm o dwie tafle wody. Dukt, ułożony ze świeżo odartych drzew, świecił się z dala, dosięgał już prawie połowy przesmyku. Mimo całego pośpiechu jednak nie zdążono do wieczora wykonać roboty. Dopiero na drugi dzień po południu dwieście ramion chwyciło za liny pierwszej galery, wydzwignęło ją z wody, aż zaszumiała fala, wytargnęło na brzeg i trzeszczącymi skokami ciągnęło po lądzie, po ułożonym ruchomym szlachu. Guynemer był wszędzie obecny, sam podkładając okraglaki, dźwigając ramieniem kadłub, gdy się gdzie zapał na sęku. Pracowali w znoju i zapale całą noc. Gwiazdy poczynały blednąć, gdy pierwsza galera spłynęła na wody jeziora. Już piraci z gorączkowym pośpiechem oblekali ją w należyty rynsztunek, czepiając na właściwe miejsce liny, łańcuchy, maszty, żagle, reje, osadzając w dniach wiosła. Że zbyt wielka ilość ludzi przeszkadzałaby sobie w pracy, Boemund pozostawił Tankreda z trzema setkami zbrojnych, sam z pozostałymi zawrócił do obozu, zanosząc dobrą nowinę. Ruszył spiesźnie, w obawie, by towarzysze baroni, znudzeni jego długim niepowrotem, nie posłali tymczasem gońców do Butu-mitosa. Niech piorun spali przeklętego Greka! Zadziwi się! Pewnikiem od początku o galerach pogańskich wiedział. Oczywiście! Przecież oni budowali Niceę. Musieli znać ukryty za murami port. A lotry, lotry! Dopiero gdy Kilidż-Arslana rozbito, zawiadomił o tym przez Pantopulosa i teraz zeche całą korzyść zagarnąć... To jasne... Jasne jak słońce na niebie... Ależ my jesteśmy wszyscy głupi, a ty, Boemundzio, naj-pupszy, bo się za takiego nie miałeś... Kręcą nami Greci, jak im się podoba... Ale dość! Ostatni raz wywiedli mnie w pole! Ostatni!

~ Co za szczęście, że pojechałem — czwanił się Hugo kłusując pobok niego. — Beze mnie nie bylibyście się porozumie i z Guynemerem... Jednakże my jesteśmy chytryzy, co? To k~.l Y m usr przyznać... Na taki pomysł przeciągnięcia galer i kto nie wpadłby na pewno...

— Jesteśmy chytry? — mruknął Boemund drwiąco. — Myślałem właśnie nad tym dochodząc do sądu zgoła odmiennego...

Hugo spojrzał nań z niedowierzającym zgorszeniem.

Tankred rozmieścił ludzi po trochu na wszystkich galerach. Sam płynie z Guynemerem. Podpłynęli blisko grodu. Cały dzień przesiedzieli ukryci w zatoce, o zmroku wypływając w równym oddaleniu niby rybacy ciągnący z sieciami. Nad jeziorem leży słodka azjatycka noc, niewypowiedziane cicha. Cienki mahometański nów oświeca niebo. Czarne statki stróżują w milczeniu. Nie czekają zbyt długo na zdobycz. ...Oto już nadpływa ona, niczego się nie domyślając...

Błyszczą z dala złoceniami, uderza wysmukłym kształtem. Nie zwyczajna to galera! Pokład lśni pod blask księżycy jak struga zakrzepłej wody. Boki pokrywają rzeźby. Kierujący nią już dostrzegli czekających i płyną spiesznie wprost ku nim, pewni, że płyną ku swoim. Czarne statki stoją nieruchomo, milcząc, aby nie płoszyć przed czasem.

Na Allacha! To nie swoi! Nagle wszystkie wiosła złocistej galery uderzają rozpaczliwie w tył, aż bulgoce wokół woda. Piękny statek staje w miejscu, robi pół obrotu... Nie zrobi więcej! Już dwie pirackie galery zacięły wiosłami wodę tak raptownie, że czarne ciała statków aż poderwały się z fali i runęły z dwóch stron na uchodzącą. Zatrzeszczały przeraźliwie zderzone burty, zaskrzypiały wiązania. Dzioby uniosły się w górę jak konie stojące dęba. Już z dwóch stron na lśniący pokład zarzucono mostki. Zwinne czarne postacie skaczą po nich jak szatany. Krzywy nóż w zębach, włócznia w jednej ręce, maczuga w drugiej. Biada złocistej galerze! Obrońcy stoją rzędem na pokładzie. Zawodzą mężnie i śpiewnie: —• *La ilah el Allah, Mohammed rasul Allah!* — cienki kobiecy wrzask wybija się nad ich głosy.

— Będzie zabawa po bitwie —• zaciera ręce Guynemer wskazując na pokład sułtańskiej galery. Walka rozwija się, toczy z szybkością lecącej burzy. Ciosy są szybkie jak zmruczenie oka. Z poszumem wiosel pędzą na ratunek pierwszej trzy muzułmańskie galery. Będzie robota dla wszystkich. Piraci już wzięli górę. Już się szczepili z nadpływającymi. Po cichej wodzie niesie się wrzawa bitwy, utworzona z trzasku rąbanych burt, łomotu padających ciał, charkotu rannych. Piraci wyją z uniesienia jak sto diabłów. Cienki ko-

biecy gł^{os} zanosi się jak poprzednio okrzykiem śmiertelnej trwogi.

— Co za baba się drze? Nikt jej chyba jeszcze nie zarzy-

na. — dziwi się Guynemer i schodzi pod pokład. Nie stoi o babę, ale biada, jeśli który z ludzi zabawia się z nią przed ukończeniem bitwy i bez zezwolenia wodza! Tych rzeczy stary rozbójnik nie znosi.

Zeszedł na czas. W wysłanej złotogłowie kajucie-komnatce wielki czarny eunuch usiłuje przebić nożem sułtankę Dżuriszę. Eunuch spełnia swój obowiązek. Sułtanka nie śmie wpaść żywa w ręce niewiernych. Lecz na pół przytomna ze strachu kobieta ucieka przed nim zwinnie jak łasica krzycząc przy tym wniebogłosy. W sąsiedniej kajucie płacze rozpaczliwie dziecko.

Jednym machnięciem maczugi Guynemer obala czarnego rzezańca, który w zapale nie zauważył wchodzącego. Dla pewności dorzyna obalonego nożem, spojrzeniem znawcy ogarniając Dżuriszę.

— Nie wrzeszcz, gołąbko, już po nim. Nie na wiele ci się to przyda, ale przynajmniej użyjesz przed śmiercią...

Wyskoczył z kajuty zawierając drzwi na rygiel. Na pokładzie panuje już cisza, jako że znajdują się na nim tylko zmarli i jednooki pirat Mateusz, trzymający ster. Wiosła zwisają nieruchomo w wodzie. Z otworów ich ścieka krew czarnymi kroplami łącząc się z czarną wodą. Na pozostałych galerach wre jeszcze bitwa. Tankred szaleje tam z towarzyszami skacząc jak tygrys poprzez zwoje lin.

— Nie zabijać wioślarzy! — krzyczy pod pokład, gdzie idzie zaciekła rzeźba — są może między nimi jeńcy, chrześcijanie!

Słuszna uwaga. Nielicznych nieszczęśników pozostałych przy życiu piraci i Tankredowi przestają siec, owszem, odrąbują od ław, na których ich chude ciała wytarły wgłębienia, i wyciągają na pokład. Noc już pobieliała świtem.

Wioślarze dygoczą ze strachu. Tankred przemawia do nich. Nic nie rozumieją. Żegna się znakiem krzyża.

Trzech pada^{na} kolana ze szlochem, powtarzając święty znak. Wyciągają ku niemu z uniesieniem ręce.

Tych trzech ostawić, nakarmić — mówi Tankred —^a .^{pozost} ałymi róbcie, co chcecie.

...- sprawa. Każdego pałką po głowie i do jeziora, ^Y bom na pożytek.

^{e SWe} J galery Guynemer gromko wydaje rozkazy. Rozwi-

nać żagle! Wiatr się podnosi, zaniesie wprost do obozu. Pogańskie galery holować. Podział zdobyczy nastąpi na brzegu.

— Co książę pragnie zatrzymać dla siebie? — zapytał Tan-kreda Guynemer, gdy w jakiś czas potem wylądowali o milę niespełna od obozów. Na brzegu wznosił się już spory stos zdobytej broni, odzieży,

sprzętów i różnych cenności.

— Wasz łup —• odparł Tankred, wzruszając ramionami. — Nic mi do niego. Co to za niewiasta?

— Dzierlatka, co tak wrzeszczała na początku bitwy. Pono niewiasta samego sułtana, a to jego szczenię...

— Niewiasta Kildiz-Arslana?! — wykrzyknął Tankred ze zdumieniem.

—• Tak powiadają. Na sułtańskiej galerze jechała... Pytałem wioślarzy, tych trzech... Trudno się z nimi dogadać, ale powtarzają: Kildiz-Arslan...

— Sułtanka nie jechałaby bez dworu...

— Był jeden rzezaniec, którego ubił, i cztery dziewczki, o których nie wiadomo, i woda je zalała w kajucie.

—• Sułtanka... —• powtórzył Tankred z ciekawością.

Guynemer dał znak, by dwóch piratów podprowadziło nie stawiającą oporu kobietę. Lico miała szczelnie przesłonięte zasłoną. Zwoje kosztownego muślinu dzierganego złotem spowijały ją aż do stóp obutych w złote ciżemki. Czteroletni malec, nadzwyczaj piękny, trzymał się kurczowo jej szat, błyskając ku obcym wielkimi czarnymi oczami nieufnie i wrogo jak młody wilczek.

Zatrzymali się przed Tankredem. Jeden z piratów zdał z głowy branki zasłonę. Krzyknęła zakrywając twarz dłońmi. Oderwali je i przytrzymali gotując się zewlec szaty.

Tankred powstrzymał żywo.

— Ostawcie, Nie trzeba.

Z ciekawością spojrział w śliczne odsłonięte lico i mimo woli zapłonął się sam jak kobieta. Na krew świętego Janua-rego! Jakże nieprawdopodobnie piękną była ta poganka! Aksamitnołzawe źrenice gazeli, cera z płatków róży i śniegu. Małe usta wymalowane w kształt serduszka. Nie w tym jednak zamykała się jej czarodziejska uroda. Patrzącemu rycerzowi wydała się być samą esencją kobiecości, ucieleśnioną płcią. Była bezwolna, bezgrzeszna, nieodpowiedzialna. Nie zgrzebna, krzepka łatyńska towarzyska życia, nie wykształcona, ćwiczona Greczynka, mieszająca się we wszystkie sprawy męskie, lecz kobieta. Niewolnica. Jedynym wrażeniem, jakie przychodziło myśli na jej widok, był obraz

uciechy cielesnej. Była doskonałym narzędziem miłości, przednim naczyniem rozkoszy. Udzielanie rozkoszy stanowiło jedyną J^eJ umiejętność, jedyny obowiązek. Być słodką w miłosnym objęciu mężczyzny, powolną każdemu jego żądaniu...

Było to tak oczywiste, jawne, że choć osłonięta szczelnie, zdawała się obnosić swoją płeć na zewnątrz, widoczną każdemu, i surowy dla siebie Tankred, rycerz bez skazy, twardy jak diament, mężny jak lew, piękny jak młody bóg, patrzył w nią niby urzeczony. Nie umiał zdać sobie sprawy z tego, co czuje, pojął jednak, iż nie dopuści, by piraci zabawiali się po swojemu z tym pachnącym niewieścim cudem.

Wstrząsnął się i obrócił do Guynemera.

— Skoro to żona sułtana —• rzekł żywo — nie wolno jej tknąć bez narady panów baronów. Do czasu pozostanie pod strażą moich ludzi, w moim obozie.

Guynemer wyszczerzył szyderczo swą diabelską gębę.

— Ha, w takim razie należałby się nam okup... Ale co tu mają do gadania panowie baronowie?

Książę jest młody... rozumiem...

Tankred poczerwieniał ze złości.

— Mój wiek nie ma nic do rzeczy! Okup dostaniecie. Kobiety nikł nie ruszy, dopóki rada nie postanowi, co z, nią robić...

— To pięknie... A kto nam poręczy okup?

— Ja — wrzasnął Tankred. — Słowo rycerza to dla was mała rękojmia, co?!

— Och, dostateczna, dostateczna... skoro książę sam... — zapewniał pirat mrużąc to prawe, to lewe oko. Był widocznie rozweselony.

Nie zwracając na niego uwagi, Tankred kazał odprowadzić Dżuriszę z dzieckiem do swego obozu, dać jeść obojgu i strzec jak oka w głowie. Sam siadł na konia i pognął co duch do stryja zdać mu sprawę z przebiegu pomyślniej bitwy i zdobycia czterech galer.

~~ Jedna była sułtańska, cała w złocie i ozdobie — zakończył jechała w niej kobieta z dzieckiem, pono Kildiz-Ar-słana niewiasta... Jest ninie w moim obozie pod strażą...

— Gładka?

. ~ ~ ^{Zda}J^e ^{się} — tak... — Tankred poczerwieniał. — Zabrałem choć ^{Piratów} ~ ~ P^{od}.¹ zły na siebie — bo Kildiz-Arslan. o_n ^oamⁿ, jest uczciwym wrogiem. Mężnie stawał. To jego nie-[^]-¹yn, Nie widzi mi się ^ę rzeczą przystojną, by ich na po-> erkę lub śmierć wydawać... Odesłać mu i koniec.

Krzyżowcy 1, m

— Słusznie prawisz — przyznał Boemund — ale nasi tego nie rozumieją. Dla nich to będzie poganka i nic więcej.

— Więc co zrobić? — krzyknął porywczo Tankred. •— Wpadła ci w oko, to ją sobie weź...

— Nie! Ja nie dlatego, tylko że mi się to nie widzi rzeczą uczciwą...

— Skoro tak, odeślij ją Butumitosowi. Na pewno będzie rad. Przechowa ją jako zakładniczkę. Ale to daleko. Nie będziesz jej mógł widywać...

— Nie chcę jej widzieć na oczy! — zakrzyknął Tankred, już wściekły. Okrzyk brzmiał szczerze. Boemund przyjrzał się bratańcowi uważnie. Co za dziwny chłopak!

— W takim razie odeślij Grekom — powtórzył. — Butumi-tos zapłaci chętnie okup piratom.

— Odeślę ją jutro o świcie. —• Radzę, sam odwieź.

Tankred spojrział podejrzliwie na stryja i zaczerwienił się znowu.

— Wystarczy pismo —• mruknął twardo i wyszedł. Wrócił do swego obozu późnym już wieczorem.

Przeszedł

koło namiotu branki sprawdzić strażę, czy nie śpią? Spały, oczywiście! Obudzić je, czy nie? Na razie nie obudził. Pod-¹szedł tuż do namiotu, ujął ręką zasłonę. Stał wahający, niepewny. Nagłym ruchem opuścił rękę, zawrócił i odszedł do swojej kwatery.

Zgodnie z przewidywaniem Boemunda Butumitos przyjął Dżuriszę z należnymi honorami. Piratom wypłacił sowity okup. Żona i syn sułtana byli dlań nabytkiem cennym. Jeśli krzyżowcom noga się powinie, można będzie zawsze z Kildż--Arslanem wejść w układy i obietnicą wydania rodziny uchronić się przed jego zemstą. Po raz pierwszy postępek La-tyńców wydał mu się rozumnym i przenikliwym.

Natomiast obecność piratów na jeziorze powlokła chmurą twarz wodza. Nieoczekiwane utrudnienie! Jak mogli nasi do tego dopuścić! Należy się spodziewać, że wielki drungarios floty ukarze odpowiednio winnych zaniedbania. Trzeba co rychlej porozumieć się z Mudżahidem... — Gołębi stamtąd nie mamy?...

— Nie mamy, Wasza Dostojność — odparł dowódca wigilów.

— Znakami świetlnymi dajcie znać twierdzy, by tu posłańca przysłali.

— Nie będzie to łatwe teraz, gdy jezioro zamknięte...

— Na świętego Teodora Stratilatosa! Mudżahid nie znalazłby sposobu wywieść w pole tych ciemnych byków, niezdolnych zobaczyć dalej jak koniec swojego nosa!? Spuści z murów którego ze swoich jako Ormianina-zbiega...

— Nie wiem, zali tam są mówiący po grecku?

— Sądziś, Arystosie, że Latyńcy poznają, czy kto gada po grecku czy arabsku? Nie ma obawy. Byle gadał niezrozumiale i miał krzyż na piersi... A jak Pantopulos z wieżami?

— Czeka z ich ukończeniem na rozkaz Waszej Dostojności.

— Niech czeka, aż się porozumiem z Mudżahidem... Możesz odejść, Arystosie.

Upał jest coraz sroższy i trudniejszy do zniesienia. Woda cuchnie. Powietrze cuchnie. Twierdza stoi, jak stała. Zakuta w swój podwójny łańcuch murów zaledwie nadwerżonych, bronna w trzysta wież, urąga oblegającym. Toteż zawziętość bojowa Latyńców zmienia się w straszliwą nienawiść. Dopaść tych wrogów okłętych, odpłacić nareszcie za dwumiesięczne bezsilne sterczenie pod niezłomnymi murami, za zdradzieckie naprawy nocne, za dowożenie tajemne żywności, za zrzucanie węzów na głowę, za upał, za wszystkie trudy. Och, odpłacić! Zdusić, zgnieść! Ta chwila obecnie nadchodzi... na koniec! Lada dzień ruszą do szturm, wielkiego szturm, wspartego oblężniczymi wieżami. Już we wszystkich obozach wre ruch jak w podrażnionym, mrowisku. Oddziały przepychają się walcząc pomiędzy sobą, byle zdobyć stanowisko bliższe murów i jedne z pierwszych wziąć udział w natarciu. Każdy pragnie być tym, co skoczyc z pomostu na mury. Do obsadzenia wież zgłasza się tylu chętnych, wielu jest wojów w szeregach.

••Lecz kiedy upragniony szturm nastąpi? Wieże zdają się gotowe, a Grek wciąż zwleka.

Widzi mi się, że jutro można ruszać — nagabywał go niecierpliwie Rajmund St. Gilles. — Beluardy ze wszystkim skończone...

~ Tak się tylko zdaje, Wasza Miłość. Jeśli skutek ma Y^c Pożądany, trzeba jeszcze popracować parę dni.

Parę dni! — wykrzyknął Rajmund z oburzeniem. — Nad¹ Koła już są, młot pięknie chodzi, o...^{iW?Zy} Arabia podskoczył i szarpnął za dźwignię. Wielka stanowiąca taran, zakołysała się, a nie trafiając na

opór muru, zleciała z hukiem z łożyska, omal nie przygniatając stojącego przy wieży pana de Foix. Pantopulos uśmiechnął się pod wąsem,

— Sami widzicie, szlachetny panie, że wieża jeszcze ukończona nie jest... Raczcie powściągnąć słuszną niecierpliwość... Gdy się tak długo czekało, jeden dzień więcej, jeden mniej, różnicy nie zrobi...

— Przeciwnie! Im dłużej, tym większa męka czekać choć godzinę... Jutro sobota, dobry dzień do szturm...

— Dobry istotnie. Niech Wasza Miłość nazaczy szturm na przyszłą sobotę...

— Co? Jeszcze "tydzień! A niedoczekanie! Pracujcie i nocą, ale najpóźniej do wtorku musi być gotowe! Inaczej — dorzucił z pasją — zacniem dochodzić przyczyn tej opieszałości...

Pantopulos zamrugał niespokojnie powiekami.

— Opieszałości! — zawołał żałośnie. — Bóg miłosierny widzi, jako dla Jego chwały pracuję dzień i noc. Taka mnie za to wdzięczność spotyka! Cóżem ja winien, że srogie maszyny muszą zająć nieco czasu... Zresztą, dostojny panie, każdy dzień pracuje dla was. Gród teraz już żywności znikąd nie dowozi i głód się w nim pewnikiem zaczyna.

— Toż \forall łaśnie! — zakrzyknął' grabią St. Gifles. — Chcą jeszcze walczyć z dobrymi wojami, nie z głodomorami, którym miecz wypada z garści!

— Postaramy się z pomocą Bożą dokończyć do wtorku — zapewnił żarliwie Grek.

Fontanna pluszcze jak zwykle, złote kule padają na misę z tym samym co zawsze dźwiękiem, tylko emir Mudżahid nie jest już ten sam co dawniej. Aż dziw, jak postarzał przez ostatni miesiąc. Coraz trudniej przychodzi mu utrzymać spokój właściwy doskonałemu wyznawcy Proroka. Choć wierne usta powtarzają ulubione sury, dusza nie czerpie z nich pokrzepienia. Ciężar niepewności legł na siwej głowie. Jak postąpić dalej? Co czynić? Giaury wysledziły galery, dowożące żywność, i przejęły je. Co gorsza, żona i syn sułtana wpadli w ręce niewiernych. Emir spodziewa się, że sułtanka nie dostała się w nie żywą, lecz jaki los spotkał dziedzica sułtańskiego tronu, ukochanego syna Kilidż-Arslana? Czy sułtan nie uczyni odpowiedzialnym za ich stratę swojego wiernego sługi? Nie posądzi o lekkomyślne narażenie na zgubę? O, czemuż emir ustąpił przed natarczywością Dzu-

riszy?! Z niewieściem uporem żądała, by ją wywieziono z miasta, w którym nie chciała pozostawać dłużej ani chwili... Galery codziennie odpływały i przyływały bezpiecznie... Emir przyznawał w duehu słusność żądaniom sułtanki. Wyjechała. A ot, co z tego wynikło...

A teraz?... Czarne zbójce statki trzymają nieustannie straż na jeziorze. W mieście zaczął się na dobre głód. Już żywność wydaje się tylko obrońcom. Tłumy łaknące chodzą po ulicach i wyją z głodu lub siedzą na placach wzywając głośno Allacha. Giaury podobno gotują się do natarcia. Pobudowali wielkie wieże... *Bismi'lah el lahman el lahim!* Obyż ruszyli jak najprędzej, póki są jeszcze siły do walki! Póki dłoń nieostabła może z rozkoszą zanurzyć płytkie żelazo w plugawym cielsku tych, co nie znają Proroka! Póki przed śmiercią waleczną zdoła się napsuć dość wrogów. Obmierzłych, przeklętych wrogów! Och, jakże ich nienawidzi Mudżahid, syn Dżubaira! Jak ich nienawidzi! Za to, że przyszli tutaj w przymierzu z Iblisem urągać wielkości Proroka, za głowę syna rzuconą szydlerczo na mury, bladą, najdroższą, jedyną głowiczkę — za tępotę, hałaśliwość, prostactwo... Jeżeli wołają Allacha, który doświadcza swych wiernych, jest, by Nicea wpadła w ręce wroga, niech będzie nim każdy inny, bodaj Grek, byle nie oni!... Nie oni!...

...Tu przy fontannie, na czerwonej chuście leżała blada głowa Ibrahima... jedynaka Ibrahima.

...Życie jest ułudnym skarbem... Uszczupła go każdy dzień, odkrada każda noc... Nie warto oszczędzać życia...

...*La illah el Allah, Mohammed rasul Allah!* Czy warto oszczędzać i drzeć o cokolwiek?... Czemu się troskasz, człowiecze! Niech się stanie, co ma być... Niech się stanie...

Ślub Swenona, syna Olafa, i Floriny, córki Filipa, ma¹ w przeddzień wielkiego natarcia. W namiocie-kaplicy ym w Bizancjum biskupowi przez basileusa, ze^{Wszyc}Y wodzowie. Dookoła tłum rycerstwa. Inaczej, ^{od}P^{rawiał}Y^bY się ^{gody} na zamku pana ojco-rarni, ^{całe}J Burgundii zjechałby kto żyw, z godnem, z da-ń ^P ^{onem} ^{Sto} stołów,- w polu, sto beczek wina usta-

wiczie ri j - , - w po
co d-n^ov ^{awian}Ych, sto wołów, sto wieprzów, sto baranów
h, St_o druzek w bieli ; ow, sto

sto muzvl , o rużek w bieli ; złocie za oblubienica...

da., pac* ow, sto bi Ją^cY^ch dzwonów... A kwiecia... kwie^cego, barwistego... Ani go oczami objąć! Jakby

wszystkie burgundzkie sady, winnice, dąbrowy, urodzajne żniwne pola zeszyły się na pański zamek... Krocząca w otoczeniu swych dworów Florina niczego nie żałuje' oprócz tego kwiecia. Że go tu nie ma! Na jasnych włosach, opływających płaszczem złotą szatką, ma ci wiane-czek zielony, ale jakże nędzny! Nie znajdziesz tu mirtu ni ruty. Nie wiedzieć nawet, czy rosną w tym kraju. A może liście, z których wianeczek spleciono, pochodzą z drzewa nieprzyjaznego małżeństwu? Może sprowadzą nieplodność, swarliwość?

Lecz jak to poznać? Nikt mocy tutejszych ziół i krzewów nie zna. Że w pobliżu grodu nie znajdziesz ani żdźbła zieleni, grabią St. Gilles posłał rankiem ludzi do odległych lasów, by nacięli i przywieźli maju. Wracali w samo południe i choć się śpieszyli, wątlą sierpniową zieleń zwarzył upał. Gałązeczki powiędły, pokurczyły się listki. Zaledwie wybrano na wianek. Ha, trudno, dobrze, że i taki jest.

Swenon czeka na swą miłą odziany w krótką czerwoną szatę, rozciętą po obu bokach, ozdobioną białym naszywanym wzorem. Na purpurowym kubraku pas drogocenny i miecz. Na głowie złota królewska opaska. Twarz młoduch ma piękną, ale bladą i umęczoną. Nieradośnie idzie do ołtarza. Za nim stoją dobrzy duńscy woje w szłomach ozdobionych rogami turzymi, łbem wilka, albo zębami niedźwiedzia. Oblicza ich uczciwe, jasne, proste. Spoglądają wokół z niedowierzaniem. Na stare bogi mórż! Cóż to za ślub!? Bez oczepin, bez pokładzin? Po co? Dlaczego? Milczą jednak, bo nie do nich należy osądzać. Tłumią tajony żal. Nie tak, nie tak wyobrażali sobie weselne gody swego królewicza!

Po prawdzie nikt z obecnych nie rozumie celu postanowienia młodych. Sam biskup zalecał im rozwałę i namysł.

— Rzecz sama w sobie jest chwalebna i świątobliwa — mówił — lecz wykonanie wielmi trudne z przyczyny właściwej ciału miłości przyrodzenia. Powstrzymajcie się jeszcze, radzę szczerze. Stokroć lepiej nie ślubować niżli ślubowanie złamać.

Swenon przyznawał dusznie słuszność tym wywodom, ale Florina uśmiechała się dumnie i przecząco. O nie, ona nie ustąpi. Co powiedziała, dotrzyma. Zresztą, o co tyle krzyku? Nicea jutro, najdalej pojutrze będzie zdobyta i ruszą prosto już pod Jeruzalem... Przecież przed zimą tam będą! A rozstawać się ze Swenonem nie chce za nic. Więc innego wyjścia

nie ma. —• Boże wam błogosław... —' wzdycha biskup i oto teraz

wśród uroczystego milczenia wiąże młodym ręce stułą. Obecni rycerze podnoszą mostem prawicę, świadcząc tym ruchem, że Olafów Swenon i Filipowa Florina są prawowitym małżeństwem. Każdy z nich może za to dać gardło.

Zaślubiny już skończone, lecz młodzi nie wstają z klęczek. Chcą jeszcze złożyć przysięgę. Biskup wysuwa ku nim rękę z Ewangelią. Kładą na niej palce, Swenon, drżące, Florina pewne i władcze.

Jednocześnie mówią:

— Dla miłości słodkiego Pana naszego Jezusa Chrystusa ślubujemy, małżonkami będąc, czystości dochować, póki Grób Pański wyzwolonym nie zostanie. Tak nam dopomóż Bóg. Ślubujemy wspólnego łoża nie zaznać ani się obłapiać wcześniej niż w Jeruzalem uwolnionej. Amen.

— Amen — powtarzają wszyscy.

Orszak wychodzi z namiotu. Wita go wrzawa kotłów, trąb, obojów. Witają gromkie okrzyki. Rajmund St. Gilles wzywa wszystkich do swego obozu, gdzie, w zastępstwie nieobecnych rodziców młodej, przygotował biesiadę. Czekają gędzia-rze. Będzie muzyka i śpiew.

— Sercem proszę — powtarza, a wiedzą wszyscy, że mówi szczerze — czynmy razem dobrą myśl, na szczęście młodym, na pomyślność jutrzejszego szturm...

Więc idą hurmem, obsiadają stoły, piją wino; lecz rozmowa się nie klei. Nowożeńcy siedzą cicho obok siebie, pozostali myślą o tym, co jutro przyniesie. Jutro, jutro! Wielki dzień! Którzy go przeżyją, którzy się sława okryją? Któż zgadnie? Jedno jest pewne, że twierdza jutro wieczór będzie w ich władaniu. Na twardej łasce albo niełasce zwycięzców...

Toteż świt nie zdołał jeszcze wsączyć się w pomroki nocy, dy masy wojska posunęły się ku murom. Choć tego nasmarowane, skrzypiały przeraźliwie koła beluard obciążonych zbrojnych. Olbrzymie maszyny posuwały się sprawnie, poruszane od wewnątrz przez ludzi, siedzących na dolnym poziomie ^{„oscle”} Dokoła tłum spieszonoego rycerstwa. Pacholcy niosą-ł ^{cr,bln}Y. liny i haki. Dygoczące z niecierpliwości ręce, roz-
yorały oczy.

^{in lotarynski} wprowadził swoich z obozu, gdy stara
, za p} ^{Yni He}lgunda, zadyszana i spocona, przytrzymała go
^{ze}go chcesz? — syknął ze złością. Nie znoził obleśnej

wiedźmy. Przy tym co za wróżba! Niczego dziś nie dokona... Gdy baba uczepli się rycerza idącego do bitwy, wiadomo, już jest zauroczony... Bodaj mór trzasnął tę starą!

— Czego chcesz? — powtórzył ostro.

•— Pani Gontrana was woła, panie. Chce wam coś powiedzieć...

— Mnie?! — zdumiał się szczerze, gdyż Gontrana od kilku dni leżała nieprzytomna, jakoby już w agonii, że codziennie ksiądz odmawiał przy niej modlitwy za konających. Chyba też w nieprzytomności mogła go wzywać, po raz pierwszy

w życiu.

— Ocknęła się nieboga ze wszystkim i cięgiem was woła — objaśniała Helgunda. — Ale pośpieszajcie, panie, bo okrutnie słaba...

Zachlipnęła się płaczem, szczerym, bo ze śmiercią Gontrana marny jej los na Baldwinowym dworze. Baldwin westchnął niechętnie, spojrzął żałośnie ku twierdzy, ale zawrócił, zdawszy na chwilę dowództwo Kononowi de Montaigu.

Gontrana była istotnie przytomna ostatnim przedśmiertnym błyskiem świadomości.

—• Baldwinie —• rzekła do męża ledwo dosłyszalnym głosem —• ja nie chcę tutaj umierać... Straszno mi...

— Co masz umierać?... —• rzekł Baldwin niepewnie —• może się jeszcze odmieni...

— Słuchaj, był tu medyk grecki... Prawda, był?... Mówiłeś mi...

— Był...

— Ślij po niego, ślij a skoro... Niech mnie uleczy... Boję się tutaj umierać... Baldwin otworzył szeroko oczy...

— Posyłać teraz po medyka? — powtórzył. —• Ależ moja biedaczko, to jest niemożliwe! Idziemy właśnie do szturm... Przy tym do obozu greckiego daleko. Dawno skończysz, nimby on przyjechał... Co ci do głowy przyszło?... Zresztą to diabelski sługa... Na trupach rozumu nabrał... Wzywać go to grzech śmiertelny... Samaś mi wtedy rację przyznała...

Nie rozumiała nic z tego, co mówił, powtarzając w kółko żałośnie:

— Ślij po Greka... ślij po Greka... Boję się tutaj umierać...

— Nie mogę posłać — tłumaczył zakłopotany. — Co by na to powiedziano? Oleje święte już przyjmowałaś... Nic ci po medyku...

Spojrzała na niego bystro.

— Nie chcesz posłać?

—• j... mogę... Bóg mi świadkiem, że nie mogę.

— Nie chcesz! Nie chcesz! —• powtórzyła. — Wolisz, żebym napędzej skonała, żebyś się mógł do woli ze swoją dziewczką pokładać... Nie chcesz! Nie chcesz!

Gniew dodawał jej sił. Oczy błyszczały w twarzy stygnącej 'uż na poły trupiej. Palce konwulsyjnie tańczyły po kołdrze.

— Przeklnę cię, jak zaraz nie pošlesz! — rzeżała. — Rozumiesz! Przeklnę ciebie! Posyłaj zaraz! Chcę żyć!

—• Dobrze, dobrze... — bąknął i wybiegł z namiotu zropaczony... Gdzie Godfryd? Gdzie Godfryd?

On jeden poradzi' nią sobie... Gdzież tu medyka sprowadzać, grzech śmiertelny na duszę swoją i jej braci, gdy ona i tak do południa nie dożyje?

Godfryda zastał już w zbroi, ze szczytem przewieszonym na szyi, wydającego rozkazy.

— Chodź — błagał Baldwin — chodź! Nie trzeba, by w gniewie umierała, bo spokoju w grobie nie zazna i nam spokoju nie da... Będzie wracać... A tego plugawca przecie sprowadzać nie mogę...

— Tak z nią źle,, — zapytał Godfryd, patrząc uważnie przed siebie.

— Lada chwila skończy... Chodź, chodź... Zawdy się ciebie słuchała... Przemów do niej... Niech spokojnie zamrze... Przeklina mnie, wiesz?

—• Jakże pójdę?... —• wahał się Godfryd. Baldwin, gdy spojrział nań, uderzyła zmiana w twarzy brata.

Wyglądał

dziesięć lat starzej niż zazwyczaj. .

— Jakże pójdę? — powtórzył —• gdy trzeba już ruszać ku murom...

—• Ja cię zastąpię... Swoich zdałem Kononowi... Idź!

— Pójdę — rzekł Godfryd z nagłym postanowieniem. Ściągnął pas szczytu i rzucił tarczę pachołkowi. Przed wejściem do namiotu bratowej zawahał się chwilę, przeżegnał wszedł.

Poznała go od razu i cień uśmiechu przeleciał po jej zapadłej twarzy. Usiadł ostrożnie na brzegu tapczana.

Nie gniewaj się, Gontrano, na Baldwina, że medyka nie zwołuje, o Bogu myśl,,

Nie potrzeba mi już medyka, gdyż tu jest — odszepnęła.

— Pusił głowę zmieszany nie wiedząc, co odpowiedzieć. Ona sło »• ^{Z wYsiłt}iem, zacinając się chrapliwie przy każdym

JE,*.

— Baldwin cię tu przysłał?
— Ano.
— Sam byś nie przyszedł?
— Nie.

Przymknęła oczy jakby uderzona.

— Tyła niedziel chorzeję — użaliła się. — Aniś się kiedy •dowiedział o mnie, aniś zaszedł...
— Odkąd zachorzałaś, każdą noc od zorzy do zorzy modliłem się za ciebie — odparł cicho.
— Co mi po modlitwie? Za każdego modliłbyś się jednak...
— Za ciebie się modliłem i... za siebie...

Spojrzała nie rozumiejąc. Patrzyła chciwie na jego pochyloną głowę, jasną kądziel brody, wychudły zarys policzków. Nagle z wysiłkiem wyciągnęła ku niemu dłoń, mówiąc wyraźnym, uroczystym szeptem:

— Godfrydzie... Pomrę za chwilę... Na śmiertelnym łożu leżąc pytam ciebie, na cześć rycerska odpowiedz mi prawdę. Miłowałeś ty mnie kiedy czy nie?

Zbladł jak chusta. Tym samym uroczystym głosem odpowiedział:

—• Miłowałem cię.. Gontrano, od pierwszej chwili, gdy cię ujrzał, aż do tej, gdy przy twym śmiertelnym łożu stoję, i nigdy nie miłowałem żadnej innej niewiasty...

Ostłupiała, przymknęła oczy. Spod zapadłych powiek zaczęły płynąć gęste, obfite łzy. Twarz była trupia, łzy młode, żywe, •gorące. Toczyły się po spalonej skórze jak paciorki.

— Czemuś ini o tym nigdy nie powiedział? — szepnęła ze żrącym wyrzutem.

— Ślubowałem czystość.

— Po co?

Zdumiał się najwyższym zdumieniem.

— Jak to, po co? Cóż Bogu miłszego jak czystość?

— To trzeba było do klasztoru iść, nie na świecie ostawać! Czy Bogu miłe, żeś moją duszę zatracił?...

Byłam dobra, stałam się zła... Zła jak diabeł... Będę potępiona na wieki...

— Nie będziesz potępiona, otrzymawszy odpuszczenie grzechów i Oleje święte...

— Będę, bo i teraz więcej myślę o tobie jak o Bogu... Czemuś, czemuś to uczynił?... Czemuś mi nigdy słowem nie powiedział!?

— Jakoż miałem mówić?! Ustrzegłem cię od grzechu, a wola ciężej mi było niż tobie...

Chciała się roześmiać — nie mogła.

— Co ty wiesz! Komu ciężej?... Całe życie, całe życie... O Boże!

— Aleśmy się grzechu ustrzegli... — rzekł w kształcie pociechy.

— Tyś się ustrzegł, mnie pogrążając... A Baldwin, co winien? Cośmy zawinili oboje?...

Podniósł głowę, by odpowiedzieć, i umilkł. Baldwin wracał do namiotu rozgorączkowany, wzburzony.

Spojrzał na żonę prawie z roztargnieniem.

— Jakoż, Gontrano — zapytał — Godfryd cię przekonał? Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— Przebacz mi, Baldwinie, wszystko zło, com ci czyniła...

Niesłodkie miałeś ze mną życie... Daruj...

— Nie mam ci nic do darowania — odparł zaskoczony. Mówił szczerze. Nie czuł do umierającej żony żadnej urazy. Niech Bóg ma w opiece jej duszę... Zresztą wszystkimi myślami był poza namiotem.

- Bogu dzięki — dodał — że gniewu do mnie nie żywisz...! Helgunda idzie za mną... A my, Godfrydzie, chodźmy... Coś niedobrego dzieje się w obozie... Trąby rzwą...

— Nacierać! — zawołał Godfryd zrywając się z miejsca.

— Właśnie, że nie nacierać. Na radę. Biskupowy goniec przejeżdżał tutaj co ino... Znów odkładają czy co?! Chodźmy żywo!...

Kurczowo zaciśniętą dłonią Gontrana .schwyciła Godfryda za połą kaftana.

— Nie odchodź... — szeptała na poły przytomnie — aby tę chwileczkę ostań... nie dłużej jak dwa pacierze... przecie cię już nie obaczę...

Zachwiał się z rozpaczary daremnie usiłując oderwać jej zaciśnięte palce.

— Muszę iść... Bóg z tobą... miła... Grzesznym, że to mówię... Muszę iść... To mój obowiązek...

Gontrano... obowiązek...

Zapomnij choć raz o obowiązku!.. Za całe życie... za całe życie... Tę jedną chwilę... Ostań!..

Baldwin patrzył na nich ze zdumieniem zaokrąglonymi oczami. Nie rozumiał nic.

Ostanę — rzekł pokornie Godfryd. Pot wystąpił mu na czoło. Przysiadł z powrotem na tapczanie, p ^f^

Gontrany wyprostowała się, zmiękła, złagodniała. owieki opadły na oczy. Zeszła na nią

błogosławiona ulga, ^prężenie. Odmieniła się.

SJie jak burza Konon de Montaigu wleciał do namiotu.

— Książę! — zawołał — na miłosierdzie Boże, chodźcie żywo! Miasto się zdało Butumitosowi! Nocą, gdy spalim, Greci weszły potajemnie... Na murach już labarum Basileusowef Naszych nie puszczają! Powózki z ogniem greckim stoją u bram! Powiadają, że Nicea ich, a my możemy dalej iść...

— Na rany Boskie! — ryknął Baldwin i wyskoczył / namiotu. Montaigu za nim. Ostrożnie, czule Godfryd odjął palce Gontrany od swojej odzieży. Ułożył jej dłonie na piersi. Nachylił się nad nią żegnalnie, nakreślił znak krzyża. Wydało mu się, że wargi jej drgnęły, że szepnęła jeszcze: — GodfrydzieL.

— Boże, miej ją w swej opiece! — Nie było już czasu oglądać się wstecz. Wybiegł z namiotu, skoczył na konia. Do-pędził Baldwina i Konona. Zewsząd już walili inni. W pędzie minęli ich Hugo i Szczepan de Blois.

— *Graeca fides!* •— krzyknął ten ostatni do Godfryda —• *Giaeca iides!* Wystrychnęli nas na durniów!

— Chyba nie darujemy tego?! — warczał Baldwin. — Ruszamy zaraz do natarcia.

...Obiecałem jej, że ostanę... Jeśli się jeszcze ocknęła nieboga...? — myślał Godfryd pędząc wraz z innymi. Rajmund St. Gilles stał obok biskupa siny z gniewu, targając dłonią kaftan u szyi, bo go dusił.

— Nie wiem o niczym! Nie wiem o niczym! — krzyczał. —• Idę do szturmu! Biada schizmatykom przeklętym!

— Nie Iza bez zgody rady! — powściągnął go biskup, — Czekajcie, aż wszyscy się zjadą!

— Nie potrzeba czekać, bo cokolwiek byście uradzili, ja nacieram! Nie daruję!

— Ja z wami! •— podchwycił Baldwin.

Boemund z Tankredem, obaj Roberci nadjechali równocześnie. Wiedzieli już o wszystkim i z pasji straszliwej ręce dygotały im niby w zimnicy.

— Nacierać! Nacierać! — ryczał Tankred.

...Obaczyła, żem ją samą poniechał, czy zmarła szczęśliwie?... — rozmyślał uparcie Godfryd.

KONIEC TOMU DRUGIEGO